

Gaskin Catherine

Obietnice

**KSIEGA
PIERWSZA
rok 1900**

Rozdział pierwszy

I

Dziecko pojawiło się nie wiadomo skąd. Po prostu nagle znalazło się pod kopytami. Był zmrok szarego śnieżnego dnia. Czarny Jack Pollock, potężny, ciemnowłosy i urodziwy, lubił sam powozić. Stangret towarzyszył mu wówczas na koźle z pełną dezaprobaty miną. I tym razem lejce spoczywały w rękach Czarnego Jacka. Mała postać niespodziewanie wyłoniła się z tłumu falującego pod gmachem Giełdy Zbożowej w Leeds i osunęła się bezwładnie pod koła. Ostremu szarpnięciu lejców towarzyszyło soczyste przekleństwo. W mgnieniu oka stangret zeskoczył na ziemię i chwycił konie za uzdę. Czarny Jack ledwie odważył się spojrzeć na przypominającą kupkę szmat postać. Trzęsąc się ze zdenerwowania, rzucił lejce i zsunął się z kozła.

Kupka szmat leżała złowieszczo nieruchoma, nie było widać śladów krwi ani ran zadanych przez podkute żelazem kopyta. Spod brudnej i mokrej od śniegu derki wystawały gołe cienkie nóżki i skołtuniona strzecha ciemnych włosów. Jak zawsze w takich sytuacjach, zaczął gromadzić się tłum ciekawskich.

Przez chwilę Czarny Jack wahał się, czy dotknąć tej sterty łachmanów, ale niemal natychmiast wrodzona dobroć zwyciężyła uczucie obrzydzenia. Odwrócił zabłoconą figurkę twarzą ku ciemniejącemu niebu i delikatnie obmacał drobną klatkę piersiową, pod którą nierównym rytmem biło serce. Przed oczyma wyobraźni stanął mu obraz zranionego ptaka. Pollock rozejrzał się po zaciekawionych twarzach.

- Czyje to dziecko? Odpowiedział mu niechętny pomruk.

- Nie żyje? - w pytaniu zabrzmiała raczej ciekawość niż troska.

Ptasie serduszko nadal tłuło się pod dłonią Czarnego Jacka. Teraz dopiero jednak Pollock zauważył krew na ciemnych zmierzwionych włosach.

- Żyje - odpowiedział.

Jeśli uderzenie w głowę nie było śmiertelne, dziecko i tak umrze wkrótce z zimna i głodu. W myślach nazywał je po prostu „ono”. Przy migotliwym świe-

tle gazowej latarni nie potrafił rozstrzygnąć, czy mała twarz, wynędzniała tak, że wyglądała jednocześnie na straszliwie młodą i niewiarygodnie starą, należała do chłopca czy do dziewczynki.

- Lada moment wykituje, panie - dobiegła go uwaga z tłumu. - Lepiej dać dzieciaka do szpitala i kłopot z głowy. Nie pana wina. Sam żem widział... Wprost pod konie...

- Potwierdźcie to? - ożywił się Czarny Jack. - Będziecie świadczyć, że...? - Tłum nagle zaczął rozpląwać się w narastającej ciemności. Przechodnie nerwowo odwracali wzrok. Ten wykwinny, zaprzężony w parę rasowych koni, pokazny powóz i wysoki, elegancki mężczyzna klęczący przy brudnej kupce łachmanów, to nie była ich sprawa. Nagle oczy dziecka otworzyły się. Były ciemne, podobnie jak włosy. Powieki drżały przez chwilę, potem znów opadły. Wtedy właśnie Czarny Jack zauważył przypięty do koca skrawek papieru. Nabazgrane na nim słowo rozmazało się pod wpływem wilgoci. Mężczyzna schylił się niżej i z trudnością odcyfrował napis. Lily. Więc to dziewczynka. Kartka z imieniem nie pozostawiała wątpliwości, że mała została porzucona.

- Najlepiej zawieźć dziecko do szpitala, jak radził ten człowiek. Albo może do przytułku - zaproponował stangret. Niechętnie przyglądał się brudnej istotce, nad którą pochylał się jego pan. Powodowała zwłokę w podróży, stanowiła tylko kłopot. Mieli przed sobą jeszcze całe mile uciążliwej drogi. Konie potrzebowały już stajni i owsa, a on sam marzył o kolacji.

Czarny Jack wahał się tylko przez chwilę. Dla małej porzuconej nę-dzarki zarówno przytułek, jak i szpital, mogły stać się jedynie miejscem powolnego umierania. Dźwignął dziecko z ziemi.

- Bierzemy ją do domu, Kitson.

- Ale ona może w każdej chwili skonać na pańskich rękach, sir. A to oznacza kłopoty...

- Bierzemy ją do domu. - Czarny Jack wsiadł do powozu, nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty i rady Kitsona. Cierpko pachnący tobołek ułożył delikatnie na miękkich poduszkach siedzenia. Krew we włosach dziecka już zakrzepła, ale mała nie otworzyła oczu. Jack owinał ją pledem podróżnym i zaczął rozcierać lodowate nagie stopy. W duchu przeklinał swój los. Zrobi wszystko, żeby Lily nie umarła. Dwie śmierci w ciągu dwóch tygodni, tego już nie potrafiłby znieść.

* *

Zmierzch zamienił się w całkowitą ciemność, przedmieścia Leeds zostały daleko z tyłu, a on nadal próbował ogrzać wychudzone ciało. Minęli Bradford, przejechali doliną Aire, aż wreszcie dotarli na wyżyny, gdzie wiatr hulał wśród wrzosowisk. Zbliżali się do domu. Czarny Jack nie zastanawiał się nad dalszym losem kołysanego w ramionach dziecka. Liczyło się tylko to, że mała żyje. A jego

4

żona, którą dla delikatnej urody nazywał pieśczośliwie Lily*, była martwa. Na chrzcie otrzymała imię Latitia, któremu, jak przystało na córkę arystokratycznego rodu, towarzyszył szereg innych imion i tytułów, ale dla męża była właśnie Lily.

Za Czarnego Jacka Pollocka wyszła wbrew woli rodziców. Dała mu dwoje ślicznych dzieci, równie uroczych i pełnych radości życia jak ona. Tego dnia dwa tygodnie temu pojechał do fabryki. I właśnie wówczas zdarzył się wypadek, który zmienił jego życie. W czasie polowania wierzchowiec Latitii wysforował się na czoło wyścigu. Podczas skoku kopyta konia fatalnie zawadziły o szczyt ogrodzenia. W skrytości ducha Pollock odczuł zadowolenie, gdy doniesiono mu, że konieczne było dobiecie klaczy. Nie chciał, aby zwierzę, które spowodowało śmierć jego żony, pozostało przy życiu. Fakt, że powożone przez niego konie omal nie stratowały wynędzniałego dziecka, które zrzędzeniem losu miało na imię Lily, wydawał się gorzką ironią. Jack Pollock nie zastanawiał się nad przyszłością dziewczynki. Pragnął tylko ocalić ją od śmierci. Mała Lily miała bowiem w sobie jeszcze iskierkę życia, nie tak jak jej piękna martwa imienniczka.

II

Dwór w Pellham Langley, wzniesiony przez ojca Czarnego Jacka, był ogromną, ozdobioną licznymi wieżyczkami budowlą. Niektórzy, a wśród nich sam architekt, nazywali ten dom *folie de grandeur***. Wszyscy jednak wiedzieli, że Jamesa Pollocka trudno uznać za dżentelmena. Jego ojca, dziadka Czarnego'Jacka, znano powszechnie na wszystkich torach wyścigowych w Yorkshire aż po Newmarket jako „Dżentelmena Jacka”, wielbiciela kart, koni i kobiet. Nigdy się nie ożenił, ale uznał syna, którego urodziła mu pewna modystka z Leeds. Przydomek dżentelmena stary Pollock zyskał dzięki wymuskanym strojom, ujmującym manierom wobec kobiet i wdziękowi, z jakim umiał przyznać się do porażki. Wygrywał zresztą częściej niż przegrywał, z czego można było wnosić, że przy całej swej niefrasobliwości potrafił dobrze kalkulować. Umarł nagle na torze wyścigowym w Doncaster, właśnie gdy koń, na którego postawił, wygrał o łeb gonitwę St. Leger. Jedenastoletni James, mimo młodego wieku, ze starannie ukry-

waną skwapliwością, przestudiował stan konta bankowego. Chowając odziedziczony po ojcu wulgarny złoty zegarek, przyrzekł sobie, że nadejdzie dzień, gdy dorobek starego będzie stanowił marną część majątku Pollocków. Gdy skończył czternaście lat, zgłosił się na praktykę do biura radcy prawnego. Wierzył, że znajomość prawa otwiera przed zarządcą cudzego majątku szerokie możliwości napełnienia w bezpieczny sposób własnej kiesy. Zainteresował się wielkim przemysłem tekstylnym w Yorkshire, usiłował poznać właścicieli fabryk, starał się nie przegapić żadnej korzystnej inwestycji. Miał na oku fabryki popadające w ruinę, by w odpowiednim czasie skorzystać z bankructwa właścicieli.

*** Lily (ang.) - lilia.**

**** Folie de grandeur (franc.) - pańska rezydencja.**

Interesował się złożami węgla w Yorkshire. Zbierał informacje o małych, podupadających kopalniach i czekał na stosowny moment, aby móc je za bezcen wykupić. Gdy miał dwadzieścia jeden lat, otrzymał wymówienie z firmy prawniczej. Klienci skarżyli się, że młody Pollock wykorzystuje dla prywatnych interesów powierzane mu informacje. Wówczas to James zaczął pracować na własny rachunek.

Świetnie zorientowany w stosunkach w Yorkshire, starał się poznać właścicieli majątków, fabryk, kopalń. Zawsze wiedział, kto ma pieniądze, a kto ich potrzebuje. Pożyczał tym, których słabość pozwalała żywić nadzieję na dalsze zyski. Nabywał udziały w różnych przedsiębiorstwach i dążył do uzyskania pełnej nad nimi kontroli. Mając czterdzieści lat posiadał sześć fabryk i dwie kopalnie. Wówczas to zdał sobie sprawę, że nie ma spadkobiercy dla fortuny, którą z taką energią zgromadził. Postanowił rozwiązać i ten problem. Dawno już porzucił kościół metodystów i przeszedł na anglikanizm, by wejść w środowisko miejscowej szlachty. Faktu, że nie był akceptowany, zdawał się nie zauważać. Ożenił się z zamożną wdową po przemysłowcu z Sheffield, kobietą wystarczająco młodą, by urodzić mu syna. Żona umarła w połogu. James Pollock, przyglądając się wrzeszczącemu, krzepkiemu noworodkowi, postanowił zrobić z chłopca prawdziwego dżentelmena. Udało mu się tanio nabyć, leżącą w sąsiedztwie najnowocześniejszej z jego fabryk włókienniczych, posiadłość znaną jako Pell-ham Langley. Majątek ten należał do rodziny Pellhamów od momentu, gdy wieki temu wpisano go w rejestry Domesday Book*. Ostatni właściciel, odziedziczywszy po przodkach tytuł baroneta oraz liczne długi, zmuszony był sprzedać idący już w ruinę rodowy pałac z czasów Stuartów. Pellham Langley wraz z ogrodami i niewielkim parkiem, ziemiemi folwarcznymi, rozległymi wrzosowiskami i pobliską osadą, która szczyliła się herbem Pellhamów nad drzwiami miejscowej oberży, znalazło się w rękach Jamesa Pollocka. Nowy właściciel dokonał przeglądu domu w towarzystwie specjalnie sprowadzonego architekta.

- Okropny skład rupieci - stwierdził i kazał usunąć wspinające siedemnastowieczne obicia ze ścian i sztukaterie z sufitów. - Chcę domu obszernego, ale i eleganckiego. I wspinałego ogrodu, nawet jeśli będzie wymagał więcej niż jednej pary rąk do pracy.

Rozmiary majątku Pellham Langley śmiało pozwalały uznać nowo nabyty dom za rezydencję godną dżentelmena, którym, zgodnie z ambicją ojca, miał stać się mały Jack. James Pollock był nuworyszem, ale nuworyszem nietypowym. Zamożni właściciele fabryk zwykle kontentowali się swym wzrastającym bogactwem, nie zabiegali jednak tak gwałtownie o przekroczenie barier społecznych. Nie nabywali wiekowych posiadłości, nie kupowali herbów.

Jamesowi Pollockowi zdawał się nie przeszkadzać pełen rezerwy stosunek okolicznych ziemian. Gdy jego syn dorośnie, znajdzie przyjaciół, a przynajmniej znajomych, wśród właściwych ludzi. W oczekiwaniu na ten dzień James pomna-

*** Doomsday Book - księga katastralna, zawierająca spis wszelkiej własności w Anglii za Wilhelma Zdobywcy (przyp. red.).**

7

zał majątek. Pałac Pellham Langley rozrastał się z rozmachem godnym epoki wiktoriańskiej. Wszystkich, oprócz właściciela, raził brakiem gustu i wyjątkową brzydotą. Przebudowa i umeblowanie kosztowały fortunę. James Pollock delectował się widokiem granitowych murów. Prawdziwą rozkosz sprawiały mu bogate tureckie dywany, pluszowe zasłony, masywne mahoniowe meble, ciężkie mosiężne klamki, a nawet błyszczące w ogromnej kuchni miedziane czajniki. Żaden dżentelmen nie mógłby żądać więcej.

Pieniądze nadal płynęły z fabryk i kopalń, z hut stali nierdzewnej w Sheffield i Walii, z zakładów włókienniczych w Lancashire, które otrzymał w spadku po żonie.

Dzięki protekcji wysoko postawionych osób Jack rozpoczął edukację w odpowiedniej szkole powszechnej. Ku swemu zaskoczeniu i złości, James Pollock nie potrafił uzyskać przyjęcia syna do Eton, Harrow czy Marlborough, szkół kształcących elitę kraju. Chłopiec uczęszczał więc do jednej z pomniejszych szkół publicznych. Określenie „szkoła publiczna” zawsze irytowało starego Pollocka, kiedy przychodziło do wpłacenia pokaźnych kwot czesnego. Ale przynajmniej zyskiwał pewność, że była to jedna z najlepszych szkół drugiej kategorii. Panujący nadal obyczaj chłosty i posługiwanie starszym uczniom bynajmniej nie raził opływającego w dostatki fabrykanta. James Pollock nie chciał mieć syna ofermi, a chłopak nigdy nie narzekał. Jack Pollock, nazwany Czarnym z powodu gęstej grzywy ciemnych włosów i czarnych, ładnie sklepionych brwi, jak przystało na przyszłego dżentelmena, pilnie uczył się greki oraz łaciny i grywał w rugby z brutalnością, która budziła dumę w sercu ojca. Rodowitego Jorkszyrczyka bardziej jednak radował widok syna wiodącego prym na polu krykietowym. Gdy nadchodziły letnie wakacje, Jacka wysyłano na praktykę administracyjną do fabryk włókienniczych i hut żelaza. Greka i łacina były niewątpliwie ważne, ale, zdaniem Jamesa Pollocka, mężczyzna potrzebował bardziej konkretnej wiedzy.

Wreszcie, ku wielkiej satysfakcji ojca, Czarny Jack został przyjęty do Oksfordu. James Pollock uważał, że trzy lata studiów uniwersyteckich można by śmiało uznać za stracone, gdyby nie fakt, że zapewniały osiągnięcie statusu

społecznego, jakiego pragnął dla syna. Nie miało żadnego znaczenia, że młody człowiek z trudem brnął przez kolejne egzaminy. Nauczył się za to jeździć konno, strzelać, łowić ryby i grać w tenisa. Posiadał więc niezbędne dżentelmenowi umiejętności. Księgowi pracujący dla Jamesa Pollocka twierdzili, że Czarny Jack ma głowę do interesów. Prowadzone przez niego transakcje okazały się zyskowne, choć mogły budzić zastrzeżenia natury moralnej. Tego typu zdolności były w oczach starego Pollocka więcej warte niż jakikolwiek dyplom uniwersytecki. Czarny Jack nie zdołał się zresztą doczekać egzaminów końcowych. Gdy był już na ostatnim roku, ojciec dostał udaru mózgu i zmarł po dwóch tygodniach choroby. Młody mężczyzna wrócił wówczas do Pellham Langley. Okazało się, że odziedziczona fortuna przerosła najśmielsze marzenia. Spacerując wśród ozdobnie strzyżonych krzewów pałacowego parku, podziwiając uładzoną urodę ogrodu i surowy wdzięk wrzosowisk, rozmyślał o fabrykach i kopalniach, które mu to piękno pozwalały posiadać.

Przed oczyma wyobraźni stawały mu blade twarze pracujących przy maszynach robotnic, przesuwał się korowód brudnych, zmęczonych mężczyzn. Współczuł im, ale za bardzo był człowiekiem swoich czasów, epoki rewolucji przemysłowej, która zrodziła dostatnią Anglię wiktoriańską, by czuć się winnym. Dawał wszak tym ludziom zarobek, zapewniał im byt. Gdyby wiedziony niesmakiem i wyrzutami sumienia sprzedał wszystko, nie było żadnej gwarancji, że nowy właściciel stworzyłby robotnikom lepsze warunki pracy. To jego spadek i przyjmie go z wszelkimi dobrodziejstwami i kłopotami, postanowił. Wieczorami wsłuchiwał się w ciszę swego wielkiego, pustego domu. Miał dwadzieścia jeden lat, a nigdy jeszcze nie kochał ani nie zaznał miłości. Była tym, czego ojciec nie potrafił mu dać, a szkoła czy uniwersytet nauczyć. Czarny Jack nie przeczuwał nawet jej istnienia.

Nosił eleganckie ubrania szyte w Londynie, a jego piwnice słynęły z najlepszych win. Zdawał sobie sprawę, że arystokracja nigdy go nie zaakceptuje, ale ludzie równi mu stanem nie żywili nawet cienia wątpliwości, iż mają do czynienia z dżentelmenem. Wysoki, przystojny, potrafił okazać się czarującym mężczyzną, a wysokość jego dochodów nie budziła żadnych wątpliwości. Sprawiedliwość nakazywała więc przyznać, że jakkolwiek starania, by uzyskać status dżentelmena objęły życie dwóch pokoleń, ale po zniknięciu ze sceny nuworysza Jamesa Pollocka, Jack mógł bez zastrzeżeń zostać przyjęty do ekskluzywnego towarzystwa. Byłoby wręcz niestosowne, zważywszy na fortunę Pollocków, wypominać synowi wątpliwe pochodzenie ojca. Za poręczeniem dwóch przyjaciół z Oksfordu Jack Pollock został przyjęty do znanego londyńskiego klubu. Panie z towarzystwa zdecydowały, że Czarny Jack może być brany pod uwagę jako dobra partia. Ignorowało go jedynie środowisko arystokracji. Dla młodego człowieka nie miało to jednak żadnego znaczenia. Żył, jak chciał, i był pewien, że kiedy nadejdzie czas, sam bez trudu zadecyduje o swoim losie.

Nie spieszył się jednak. Flirtował na zabój, co leżało w jego naturze, z pannami z dobrych domów, ale jego serce pozostawało zupełnie nieporuszone. Odwiedzał też eleganckie prostytutki, wreszcie przez pewien czas utrzymywał kochankę w Leeds. Wiedział, że nigdy jej nie poślubi. Ona zresztą też nie liczyła na małżeństwo. Sugestie, że mężczyzna nie powinien zbyt długo zwlekać z założeniem rodziny, kwitował żartem i śmiechem.

- Na planowanie małżeństwa mam jeszcze mnóstwo czasu. Mnóstwo czasu. Ale nagle plany na odległą przyszłość stały się teraźniejszością. Czarny Jack Pollock spotkał piękną lady Latitię Stafford. Ujrzał ją któregoś dnia na polowaniu i doznał nie znanych mu dotąd uczuć. Nigdy widok żadnej kobiety nie poruszył go w taki sposób. Ściągnięte w węzeł rude włosy o złocistym odcieniu wymykały się spod ronda wysokiego kapelusza. Jack nie mógł oderwać oczu od nieskazitelnej cery i pięknego profilu. Szczególnego wdzięku dodawał dziewczynie filuterny uśmiech i na poły wesołe, na poły poważne spojrzenie oczu o barwie bursztynu. Pędziła jak szalona i dopiero w

ostatniej chwili wstrzymała konia tuż nad krawędzią rowu. Lekkomysłność taka przeraziła młodego człowieka. Latitia śmiała się, prowokowała, aż wreszcie wymknęła mu się pod koniec polowania.

10

Odrzuciwszy zaproszenie przyjaciół, Jack zły i rozczarowany udał się w drogę powrotną. Przed oczyma stała mu urocza postać nieznajomej. Nagle, po raz pierwszy w życiu, zastanowił się, czy Pellham Langley mogłoby mieć panią i czy jego dom okazałby się wystarczający dla tej śmiałej dziewczyny.

Następnego dnia w klubie konserwatystów w Leeds usiłował uzyskać jakieś informacje. Pytał ostrożnie, dyskretnie, a to co usłyszał zupełnie go załamało. Rudowłosą pięknoscą okazała się jedna z trzech córek wicehrabiego Bletchleya, właściciela Witfell, do której to posiadłości Czarny Jack nie miał szans zostać zaproszony. Dwa lata temu, jak głosiła plotka, Bletchley miał kłopoty z lady Latitią na tyle poważne, że zmuszony był wysłać dziewczynę w towarzystwie ciotki i guwernantki na dłuższy czas do Francji. Mówiono o romansie z całkowicie nieodpowiednim chłopcem. Chłopcem, nawet nie mężczyzną. Ciotka, wyczerpana nieskutecznymi próbami utrzymania w ryzach pełniej temperamentu panny, na której widok niemal każdy mężczyzna musiał się obejrzeć, w końcu zrezygnowała i odesłała siostrzenicę do domu. W wieku osiemnastu lat była więc Latitia kobietą dojrzałą do małżeństwa, powątpiewano jednak, czy aby jeszcze jest dziewicą. Podejrzenia takie mogły zniweczyć szanse na wyjście za mąż każdej dobrze urodzonej panienki. Latitia jednak kpiła sobie z opinii środowiska i nawet ojciec niewiele mógł na to poradzić. Po osobie, która nie przejmuje się własną reputacją, niczego dobrego nie można się spodziewać, mówiono. Czarny Jack wysłuchiwał plotek. W większość z nich powątpiewał i nadal serce biło mu z nieznaną dotąd gwałtownością. Wspomnienie ślicznej twarzy o kapryśnym uśmiechu nie opuszczało go, gdy usiłował skoncentrować się na pracy w swoim biurze. Wracał do Pellham Langley wcześniej. Mimo rześkiego chłodu, w powietrzu czuło się już wiosnę. Sezon powoli zbliżał się do końca. Z każdym dniem będzie malała szansa na zawarcie znajomości, rozmyślał Pollock ponuro. A tymczasem ona tam była. Niedbale wsparta o gzyms kominka, rozglądała się po ogromnym, zatłoczonym meblami o purpurowych obiciach salonie Pellham Langley. Wyglądała tak jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy i tylko złocisto-czerwone włosy połyskiwały w świetle ognia.

- Powiedziano mi, że jest pan zajęty, panie Pollock. Że pojechał pan do fabryki - uśmiechnęła się kpiąco. - Czekam już od pewnego czasu.

- To pani? Co pani tu robi, na Boga?

Latitia Bletchley nie zwróciła najmniejszej uwagi na zdumienie gospodarza.

- Miałam pewne trudności z odszukaniem pana. Nie bywa pan u moich rodziców.

- To prawda. Nie przypuszczam, żebym należał do ludzi, których rodzicie pani mogliby dostrzegać - odparł Czarny Jack chłodno. - Zaraz poślę po powóz i natychmiast powinna pani odjechać. Stajenny odprowadzi jutro pani konia. Dziewczyna przesunęła dłonią po gzymsie kominka. Miała wyjątkowo piękne ręce.
- Nie zapytał mnie pan jeszcze o powód wizyty.
- Nie, nie zapytałem. Proszę mi więc powiedzieć, dlaczego pani przyjechała. Zalotny, kpiący uśmiech znów rozjaśnił jej twarz.

- Pomyślałam, że byłoby dobrze trochę lepiej pana poznać. Myślę, że chcę zostać pana żoną.

*

* *

W końcu lord Bletchley skapitulował przed uporem córki. Nie dlatego, że przekonał się do Jacka Pollocka, ale raczej z obawy, iż Latitii grozi staropanieństwo. Był zapewne nawet, jak podejrzewał Czarny Jack, w skrytości ducha, zadowolony, pozbywając się odpowiedzialności za kłopotliwą latorośl. Przyszłego zięcia w końcu ogólnie uznawano za dżentelmena i mógł on zapewnić żonie dostatnie życie. Nieustępliwy wyraz śniadej twarzy, która zauroczyła dziewczynę od pierwszego wejrzenia, zwiastował siłę zdolną przywiązać Latitię na tak długo, jak długo nie wygaśnie jej namiętność.

Wreszcie pewnego kwietniowego dnia, kiedy niziny hrabstwa York zieleni-ły się i złociły w świetle wiosennego słońca, lord Bletchley poprowadził córkę do ołtarza* w należącym do Witfell Manor kościółku, gdzie Staffordowie oddawali cześć Bogu od ponad czterystu lat.

Bardziej złośliwi spośród zgromadzonych na uroczystej ceremonii gości snuli rozważania co do krótkiego okresu narzeczeństwa, sugerując niedwuznacznie, iż panna młoda spodziewa się dziecka i to bynajmniej nie ze świeżo poślubionym małżonkiem.

Przeżywając rozkosz i zaznając czułości, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył, Czarny Jack odkrył, że jego żona była dziewicą. Gdy poczuł jej ciało tuż przy swoim własnym, zrozumiał, że posiadał miłość, w której istnienie dotąd nie wierzył. Nie opuszczające go nigdy uczucie pustki nagle znikło.

- Lily - spytał - dlaczego wybrałaś właśnie mnie? Dlaczego?

Światło brzasku wydobywało z półmroku kształty nagich ciał. Latitia nalegała, by okna pozostawić otwarte, a zasłony odsunięte. Świeża, ostra woń z wrzosowisk wypełniła pokój.

- Chyba szukaliśmy się nawzajem przez całe nasze dotychczasowe życie. Wiedziałam, że to ty, kiedy tylko cię zobaczyłam. Na mój widok wyglądałeś jak rażony piorunem. Wiesz, o czym mówię, Jack.

Życie Jacka Pollocka zmieniło się nie do poznania. Stał się jakby innym człowiekiem. Złagodniał. Zmiękł, mówili co poniektórzy, patrząc z zawiścią na jego szczęście. Żona urodziła mu syna, potem córkę. Mimo upływu lat Latitia pozostała dla niego zawsze tą samą kapryśną, zwodniczą, fascynującą czarodziejką. Kochał ją bez reszty, namiętnie i wiedział, że jego miłość jest odwzajemniana.

Powszechnie przypuszczano, że czeka ich długie, szczęśliwe życie. I rzeczywiście, byli bardzo szczęśliwi, ale dany im czas okazał się zbyt krótki.

*** W Anglii panną młodą prowadzi do ślubu ojciec lub opiekun; pan młody czeka na narzeczoną przed ołtarzem (przyp. red.).**

16

III

Czarny Jack na zawsze zapamiętał pogardę i zaskoczenie, malujące się na twarzy niani małej Margaret na widok zawiniątka łachmanów, które wniósł ostrożnie do dzieciennego pokoju. Przez uchylone drzwi dostrzegł Jona siedzącego z guwernantką, panną Trimble, przed kominkiem. Wszystkie twarze odwróciły się ku wchodzącemu, a Jon rzucił się do ojca i, ze zwykłą sobie ciekawością, zaczął się dopytywać:

- Co to jest, tato? Co tam masz? - Dzieci były przyzwyczajone do prezentów przywożonych przez Czarnego Jacka z każdej podróży, ale nigdy dotąd ojciec nie pojawił się z podarunkiem owiniętym w brudny koc.

Czarny Jack wierzył w serce i rozsądek swego małego syna. W wieku sześciu lat chłopiec miał już sprecyzowane opinie o wielu sprawach.

- Miałem pecha, synku. Ta dziewczynka wpadła mi prosto pod konie. Chyba jest tak głodna, że po prostu zemdlą. Przywiozłem ją do nas.

- Chcę zobaczyć - zażądała trzyletnia Margaret. Ze szczupłą twarzyczką o bursztynowych oczach i filuternym uśmiechu była szalenie podobna do matki, co dawniej sprawiało Czarnemu Jackowi radość. Ostatnio jednak z trudem ukrywał, że widok córeczki go rani. Teraz więc, omijając wzrokiem Margaret, ostrożnie zsunął brudny koc, by dzieci mogły zerknąć na wychudzone ciało i buzię, zniszczoną jak u staruszki. Rodzeństwo bez przestrochu, ale i bez współczucia, a jedynie z ciekawością przyglądało się niespodziewanemu gościowi.

- Ależ, panie Pollock - zaoponowała niania zgorszonym tonem - w jakim celu przyniósł pan to... to stworzenie tutaj? Jestem pewna, że ona ma jakieś robactwo. I wygląda, jakby mogła zaraz umrzeć. Panicz Jon i panienska Margaret mogą się przecież zarazić!

Czarny Jack popatrzył na zdrowe twarze swoich dzieci.

- Wątpię, nianiu. Nie podchodźcie zbyt blisko - zwrócił się do Jona i Margaret. - Przestraszycie ją. Musimy nakarmić tę małą, ale bardzo ostrożnie. Nie za dużo naraz. Nianiu, proszę podgrzać trochę mleka.

- Panie Pollock, w pokoju dzieciennym rządzą ja. I ja decyduję o tym, co się tu dzieje.

- Dosyć. To mój dom - uciał Jack krótko.

Przez chwilę zmagali się wzrokiem. Niewielu ludzi potrafiło przeciwstawić się uporowi Czarnego Jacka.

Szeleszcząc nakrochmalonym fartuchem, niania odwróciła się i szarpnęła za sznur dzwonka. Jej urażona mina

głosiła światu, że jeśli pan Pollock ma fantazję sprowadzać nędzarzy i narażać domowników na różne choroby, to ona, niania, nie zamierza tego postępowania akceptować.

Panna Trimble przyglądała się tej scenie bez słowa. Była szczupłą młodą kobietą o miękkim głosie. Brunatne suknie, które zawsze nosiła, wydawały się zlewać z kolorem włosów. Jej osoba budziła w Czarnym Jacku nieokreślone współczucie. Doceniał spokojny sposób bycia i uczucia, jakimi guwernantka da-

2 - Obietnice

17

rzyła jego dzieci, więc zdecydował, że zajmie się edukacją Margaret. Dla Jona zaś trzeba będzie wkrótce zatrudnić nauczyciela. Pollock nie chciał, by jego syn wyrastał tylko wśród kobiet.^{5 y}

Panna Trimble odezwała się niepewnie:

- Czy to ma sens, panie Pollock? Co właściwie zamierza pan z nią zrobić*?

- Proszę mi powiedzieć, co pani zdaniem ma sens, panno Trimble, a ja pani powiem, co zamierzam zrobić.

Zbliżyła się.

- Mogę ją wziąć, panie Pollock?

Nie podejrzewał jej o taką odwagę. Naraziła się przecież na gniew i pogardę niani. A przy tym dziecko naprawdę mogło okazać się chore.

- Proszę spojrzeć, chyba zaczyna się budzić. Ależ tak... Spójrz, Jon Czy widziałeś kiedykolwiek takie dziwne czarne oczy. Ma poważną ranę na głowie panie Pollock ale wydaje się, że przede wszystkim jest, biedactwo, zamorzona głodem i oszołomiona. Musimy uważać, żeby jej nie przestraszyć. Nakarmię ją jeśli pan pozwoli. Ciepłe mleko z odrobiną rozkruszonego chleba będzie na początku najlepsze.

- I kąpiel - wtrąciła się niania. - Kąpiel. A te ohydne łachmany trzeba natychmiast spalic. I koniecznie należy ogolić jej głowę. Nie mogę, panie Pollock dopuścić, by dzieci się zaraziły.

- A jak ona się nazywa? - dopytywał się tymczasem Jon.

- Ma na imię Lily.

Margaret, mimo że wielokrotnie słyszała to, imię, nie potrafiła sobie z nim poradzić.

- L...Lally-próbowwała.-Lally-wykrzyknęła zadowolona, sądząc, że jej się wreszcie udało.

- A nazwisko? - chciał wiedzieć Jon.

Czarny Jack zawahał się na moment i rzucił pierwsze słowo, które przyszło mu na myśli.

- Leeds. Nazywa się Lally Leeds.

IV

Czarny Jack i panna Trimble rozpoczęli wspólną walkę o życie Lally Podczas gdy guwernantka starała się nakłonić małą do przełknięcia odrobiny chleba i ciepłego mleka, w łazience szykowano już gorącą kąpiel. Czarny Jack pomagał, podtrzymując drobne ciało, które panna Trimble delikatnie usiłowała domyc z zastarzałego brudu. Czarne włosy dziecka zostały obcięte i odsłoniła się rana na czaszce. Skóra wokół skaleczenia była dziwnie pomarszczona. Panna Trimble zdecydowała się położyć Lally we własnym łóżku, ponieważ niania sta, nowczo odmówiła umieszczenia podzrutka w pokoju dzieciennym

- Zaskakuje mnie pani, panno Trimble - zauważyła z przekąsem, nie przejmując się tym, że Czarny Jack ją słyszy. - Myślałam, że jest pani damą

18

Pollock sam zaniósł chorą do sypialni guwernantki. Po raz pierwszy przekroczył próg tego pokoju i ze zdumieniem stwierdził, że wewnątrz niewiele odbiega od wyglądu pomieszczeń dla służby. Jakich wygód zresztą mogłaby się spodziewać samotna kiepsko opłacana kobieta? Umiejętności kucharki czy lokaja były przecież znacznie wyżej cenione niż jej wykształcenie.

- A gdzie pani będzie spać? - zapytał. Bez słowa wskazała na kanapę.

W pokoju było zimno. Ogień na kominku jarzył się słabym płomykiem. Czarny Jack ostro szarpnął za dzwonek na służbę. W drzwiach stanęła gospodyni, pani Plaidstow. Przez kontrast z pogodną, rumianą twarzą, jej ton wydawał się szczególnie lodowaty.

- Panie Pollock. Muszę zaprotestować. Ściąga pan sobie na głowę kłopoty, o których nie ma pan nawet pojęcia. Jediną słuszną decyzją w obecnej sytuacji byłoby oddanie tej nieszczęsnicy do szpitala - zaczęła.

- Jediną słuszną decyzją, pani Plaidstow, jest uczynienie wszystkiego co w naszej mocy, żeby utrzymać to dziecko przy życiu - przerwał jej Czarny Jack. - Jak również, by ogrzać porządnie ten pokój - dodał. - Potrzebujemy tu porządnego ognia w kominku i więcej koców. Poduszkę i kilka butelek z gorącą wodą. I proszę przysłać Billingsa ze szklaneczką brandy.

I z drugą dla panny Trimble. Niech pani też powie kucharce, żeby pteygo-towała mi coś na przekąskę. Zjem tu, na gorze. A co z pani kolacją, panno Trimble?

- Piłam już herbatę z dziećmi - odparła zapytana.

Czarny Jack nie wiedział, jak rozumieć tę odpowiedź. Czy owa herbata oznaczała podwieczorek, do jakiego zasiadał z Latitią w salonie każdego popołudnia o czwartej, czy też wieczorny posiłek ludzi pracy, a więc jajka na bekonie, może rybę. Tracąc cierpliwość dla niuansów etykiety, która przeszkadzała mu w skoncentrowaniu się na problemie chorego dziecka, wrzasnął:

- Na miłość boską, pani Plaidstow, proszę szybciej przysłać Billingsa z brandy. Oprócz tego zimne mięso, chleb, masło. Butelka burgunda i dwa kieliszki. Panna Trimble też się napije wina.

- Ależ, panie Pollock - twarz gospodyni wyrażała głębokie zgorszenie -to... to jest wbrew wszelkim obyczajom.

- Pani Plaidstow, jestem zmęczony i głodny. Jeśli w tej chwili nie wykona pani mego polecenia, zejść na dół i sam wezmę sobie z kuchni wszystko, czego mi potrzeba. A co do dziecka, zaopiekuję się nim, czy pani się to podoba, czy nie.

*

Młoda służąca, Neli, dożyła węgla do kominka. Pani Plaidstow kazała jej pilnować, by ogień nie wygasł przez noc.
- Potrzebujesz odpoczynku, Neli - powiedziała panna Trimble. - Sama wszystkiego dopilnuję.

17

Powieki zamrugały nad zmęczonymi oczyma. Dziewczyna podziękowała z wdzięcznością. Musiała stawić się w kuchni o świcie. To ona bowiem podawała niani poranną herbatę i zanosila gorącą wodę do pokoju dziecinnego. Mimo to przez chwilę jeszcze ociągała się z wyjściem. Tymczasem panna Trimble układała owinięte w koce butelki z gorącą wodą w nogach łóżka. Kolory powracały na małą twarzyczkę, ale były to symptomy wysokiej gorączki. Panna Trimble dotknęła rozpalonego czoła i wilgotnych, wystrzyżonych włosów.

- Wydaje mi się, że temperatura rośnie...

Wieczorem Jon przyszedł życzyć ojcu dobrej nocy i raz jeszcze rzucić okiem na tajemniczą nieznajomą, leżącą z zabandażowaną głową w łóżku panny Trimble.

- Margaret była zła, że niania kazała jej pójść spać - oznajmił. - Także chciała tu przyjść.

Flanelową nocną koszulę chłopca okrywał pikowany szlafrok, identyczny jak ten, którego używał Czarny Jack. Jon we wszystkim chciał naśladować ojca i rzeczywiście był do niego podobny, pomimo jasnych włosów i owalu twarzy, który miał coś z delikatności rysów Latitii. Dopiero teraz, ochłonawszy po osobliwościach i powadze pogrzebu, po przytłaczającym wrażeniu, jakie zrobiły na nim ustrojone w kir konie, przybrane krepą kapelusze mężczyzn i czarne woalki kobiet, chłopiec zaczął rozumieć, że matka już nigdy nie wróci. Czuł się samotny i uspokajało go tylko znajome towarzystwo serdecznej panny Trimble i poczucie bezpieczeństwa, którego zaznawał w obecności ojca. Czasem w nocy płakał jeszcze, próbując zrozumieć nieodwołalność śmierci. Uwielbiał Latitię, podobnie jak siostra i ojciec. Nie do końca uwierzył, kiedy powiedziano mu, że mama nigdy już do nich nie wróci. Ojciec musiał dostrzec coś szczególnego w oczach chłopca.

- Chodź tutaj, synku - powiedział i przyciągnął Jona do siebie. - Śnieg pada na dworze, zauważyłeś? Masz, to pomoże ci lepiej zasnąć. - Nalał odrobinę burgunda do własnej szklanki i rozcieńczył wodą. - Pij ostrożnie. Smakuje ci?

Panna Trimble zacisnęła usta. Wiedziała, że powinna zaprotestować, ale przecież łyk czy dwa nie zaszkodzą Jonowi, a czułość i ciepło w głosie ojca przywróca chłopcu spokój. Trzydziestoletnia panna Trimble pracowała jako guwernantka już w kilku domach, co wystarczyło, by docenić stosunek Czarnego Jacka do dzieci. Sama zaś pokochała Jona i Margaret miłością, która mogła tylko przynieść jej cierpienie w momencie rozstania, gdy wychowankowie dorosną. Ale młoda kobieta nic nie mogła na te uczucia poradzić. Tak jak nie potrafiła opanować litości, którą czuła dla drobnej istotki leżącej w jej własnym łóżku. Panna Trimble wiedziała, że nie powinna niczego po sobie okazywać. Od guwernantki nie oczekiwano wzruszeń, tylko rzetelnego wykonywania obowiązków. Dyskretnie obserwowała więc Czarnego Jacka, kołyszącego syna w ramionach. Ten mężczyzna również nie stosował się do powszechnych wzorów.

Wreszcie Jon dał się przekonać i poszedł do łóżka. Jack Pollock wydał tymczasem polecenie, by wcześniej z rana wysłano któregoś z chłopców stajennych po lekarza. Jedyne mocniejszym zaciśnięciem ust Billings zaznaczył swoją dezaprobatę. Jego niewzruszona postawa świadczyła, że pierwszy szok już przeminął.

- Czy to wszystko, sir?

20

- Tak, dziękuję, Billings.

Kamerdyner bezszelestnie zamknął drzwi. Pozostali sami ze śpiącym dzieckiem. Oddech stawał się coraz cięższy.

- Powinienem był posłać powóz po doktora jeszcze dziś wieczór... Panna Trimble odwróciła oczy od okna, w które wiatr co chwila uderzał

z łoskotem. Czarny Jack ciągnął zamyślony:

- Tak, wiem. Mógłby odmówić. Mógłby nie chcieć się fatygować w taką pogodę, dla niej... - ruchem głowy wskazał dziecko. Podniósł wzrok na pannę Trimble. Przez moment przyglądał się jej, sącząc brandy.

- Rozumie pani, że musiałem ją tu przywieźć? - najwyraźniej nie zamierzał niczego więcej wyjaśniać.

Skinęła głową. Nawet w przyćmionym świetle nocnej lampki i słabym blasku ognia na kominku, jej twarz nie miała w sobie nic przykuwającego uwagę. Czarny Jack zauważył jednak po raz pierwszy, że cera młodej kobiety ma piękny odcień, a brązowe oczy nabrały głębi i ciepła.

- Tak - powiedziała. - Rozumiem.

Miała łagodny głos o miękkim brzmieniu. Gdyby była piękną, można by go nawet nazwać zmysłowym, pomyślał. Ale panna Trimble piękną nie jest i nigdy nie będzie.

*

* *

Czarny Jack uchylił zasłony. W szarym świetle poranka zobaczył, że śnieg zasypał ogrody Pellham Langley i okrył białą pokrywą wrzosowiska. Wiatr ucichł. Zdawało się, że cały świat zastygł nieruchomo. Jack Pollock spędził noc, drzemiąc w fotelu przy kominku. Ogień prawie już wygasł. Lampa się wypaliła. Nie dostrzegł panny Trimble na sofie, gdzie poprzedniego wieczoru przygotowała sobie posłanie. Podeszedł do łóżka i przez chwilę wpatrywał się w leżące tam dwie postacie. Gdy spał, guwernantka wślizgnęła się pod koc i przytuliła chore dziecko. 'Jej zawsze pedantycznie upięte brązowe włosy rozsypały się na poduszce. Czarny Jack zaskoczony był ich długością i gęstością. Przy wystrzyżonej niemal do skóry główce Lally lśniły jak wody brunatnego strumienia. Nagle oczy dziecka otworzyły się, rozszerzone strachem i błyszczące z gorączki. Małe usta drżały, ale dziewczynka nie zapłakała. Ma odwagę, ta Lally Leeds, pomyślał Czarny Jack, albo życie nauczyło ją już, że milczenie jest bezpieczniejsze.

*

* *

Przez następne cztery dni Czarny Jack nie jeździł do fabryki. Obserwując walkę dziecka o życie, jakby raz jeszcze przeżywał śmierć żony. Doktor przyjechał z samego rana. Stwierdził u małej Lally poważny bronchit i dyfteryt. Należało więc odizolować ją od Jona i Margaret.

21

Służąca Neli została wyznaczona wyłącznie do obsługi chorego dziecka. W ciągu dnia przychodziła też pielęgniarka z wioski, by pomagać pannie Trimble w opiece nad małą. Czarny Jack również spędzał całe godziny przy łóżku Lally, nie zważając na protesty lekarza, którego zdaniem i tak uczynił wystarczająco dużo, przyjąwszy nędzarkę pod swój dach.

Ale Jack Pollock uparł się. Zaniedbał, zdaniem doktora, własne dzieci, żeby opiekować się chorą przybłądą. To się po prostu nie mieściło w głowie. I cóż to był za gorszący przykład dla służby. A z drugiej strony, panna Trimble. Doktor nie mógł również pojąć determinacji, z jaką walczyła o życie małej nieznajomej. Czasami wydawało mu się, jakby tych dwoje usiłowało przelać swoje siły i energię w wątłe, zmaltretowane ciało dziecka.

Aż pewnej nocy nadeszło przesilenie. Kiedy lekarz przybył z codzienną wizytą, czego nie zaniedbywał ze względu na pokaźne sumy płacone mu przez Pollocka, zastał trzy kompletnie wyczerpane postacie, które ostatnimi czasy stały się nieodłącznym elementem wyglądu pokoju chorej. Panna Trimble z włosami w nieładzie i w pogniecionym białym fartuchu spoczywała bezwładnie na sofie. Czarny Jack drzemał tuż obok w fotelu.

Służąca Neli powitała doktora nieśmiałym uśmiechem, dygnęła i, co się jej nigdy dotąd nie zdarzyło, odezwała się nie pytana:

- To było okropne, panie doktorze. Myślałam, że mała umrze, tak się strasznie dusiła. Pan Pollock podniósł Lally i włożył jej palce do gardła. Wymiotowała i wymiotowała, ale teraz jakby lżej oddycha - głos Neli załamał się. - I chyba temperatura spada.

Doktor zbliżył się do łóżka i delikatnie wziął dziewczynkę za rączkę. Puls był znacznie wyraźniejszy niż poprzednio, a oczy nie błyszczały już od gorączki. Dziwne brunatne oczy. Doktor nie miał natury marzyciela, ale patrząc w źrenice dziecka, zupełnie niespodziewanie pomyślał o zwiastujących burzę chmurach nad wrzosowiskami. Poczul ciekawość, co też ta dziwna istotka wniesie w życie Czarnego Jacka i jego domowników.

Rekonwalescencja przebiegała powoli. Dziecko było już bardzo słabe, zanim uległo wypadkowi, i zużyło wszystkie siły, walcząc o powrót do życia. Doktor ostrzegł Czarnego Jacka, że w wyniku choroby może pozostać wada serca,

która da o sobie znać, kiedy dziewczynka przeforsuje się. Stopniowo ziemiste' zapadnięte policzki zaczęły się zaokrąglać. Podawano Lally wyłącznie lekkie pożywienie. Zjadała wszystko bez grymasów, ale też nie wykazywała żadnych szczególnych upodobań. W ogóle niewiele mówiła. Leżała w łóżku otulona kocami. Ogień wesoło trzaskał na kominku, a ona wpatrywała się w zabawki, które przyniósł jej Czarny Jack. Dotykała ich czasem nieśmiało i z zaciekawieniem jakby pluszowy królik był czymś cudownym i niezrozumiałym. Nie odważyła się jednak niczego wziąć do ręki.

- To naturalne - oceniła panna Trimble. - Lally nigdy przedtem nie miała prawdziwej zabawki.

Czarny Jack powrócił do swoich fabryk, kopalń i lunchów w Leeds Club, ale nie zaniedbywał codziennych odwiedzin w pokoju panny Trimble. Lubił obserwować postępy dziecka. Czasami, gdy przyszedł, był już późny wieczór. Jeśli dziewczynka jeszcze czuwała, ślad uśmiechu przez moment rozjaśniał jej twarz. Znikał jednak szybko, jakby Lally obawiała się wyrażać jakiegokolwiek uczucia. Zwykle jednak mała już spała. Spędzała we śnie długie godziny, jak relacjonowała panna Trimble. Schorowane ciało wydawało się pragnąć odpoczynku, a umysł zapomnienia. Czarny Jack często przynosił ze sobą poobiednią brandy. Popijał ją, stojąc w nogach łóżka i przyglądając się w zadumie dziecku.

Minęło już piętnaście dni od pojawienia się małej nieznajomej w Pellham Langley.

- Myślę, że ją uratowaliśmy, tę Lally Leeds. Co my teraz z nią zrobimy? -zagadnął pannę Trimble pewnego wieczoru.

- Ach... - westchnęła. - Istotnie, co teraz, panie Pollock? Praktyczni ludzie powiedzieliby, że uczynił pan więcej niż tego wymaga chrześcijański obowiązek i doradzaliby odesłać małą do sierocińca.

- A co pani o tym sądzi?

Wzrok panny Trimble przez chwilę zatrzymał się na twarzy Czarnego Jacka, a potem dziecka. Jej wygląd zdradzał zmęczenie, ale oczy spoglądały niespodziewanie ciepło, jak tej nocy, gdy rozpoczęli wspólną walkę o życie małej nieznajomej.

- Ja nie jestem bardzo praktyczna, panie Pollock, ani, jak podejrzewam, zbyt roztropna. Mnie Lally wydaje się jakąś małą istotką, przywianą przez wichry z wrzosowisk. Póldzika. Przerażona. Jest łagodna tylko dlatego, że nie odzyskała jeszcze sił. Myślę... - przerwała.

- Co pani myśli, panno Trimble?

- Myślę, że gdy będzie zdrowsza, powinna powrócić do bardziej znajomego otoczenia. Nie jest przyzwyczajona do jedzenia na porcelanie, do wykroch-malonych prześcieradeł i sutego ognia na kominku. To bezpieczne stworzenie. Uważam, że musi ją pan odwieźć tam, gdzie ją pan znalazł, chyba że zdecyduje się pan przyjąć za nią odpowiedzialność, dopóki nie stanie się kobietą. Co zamierza pan zrobić? Będzie dorastać w pokoju dzieciennym, czy w kuchni? Zostanie służącą pańskich dzieci, czy towarzyszką ich zabaw? Nie może się pan uchylać od decyzji. Nie wolno potraktować tego dziecka jak tymczasowej zabawki.

Czarny Jack z uwagą słuchał słów guwernantki. W migotliwym świetle ognia jej delikatna cera wydawała się niemal przezroczysta, a włosy nabierały intensywnego odcienia brązu. W oczach zaś malował się na poły stanowczy, na

poły pytający wyraz. I one także jaśniały ciepłym blaskiem. Jack Pollock nagle doznał niezwykłego uczucia. Jakby jakaś niewidzialna nić połączyła go z tą do niedawna obcą kobietą i nieznanym dzieckiem. Jego ręka, wiedziona niezależną od niego siłą, spoczęła na dłoni panny Trimble.

- Obiecuję pani, że Lally nigdy nie będzie służącą moich dzieci.

23

- Czy to znaczy, że pan ją odeśle?

- Nie mógłbym się z nią rozstać, tak jak nie potrafiłbym rozstać się z panią Odwrócili się w stronę kominka. Ich palce nadal pozostawały splecione

Czarny Jack patrzył na młodą kobietę przez dłuższą chwilę. Potem powoli, ostrożnie, jakby się bał, że mogłaby się przed nim cofnąć, wyciągnął pierwszą szpilkę z jej starannie upiętych włosów.

- Chcę je widzieć w całej ich urodzie.

Kolejne szpilki spadały na dywanik przed kominkiem. Fala ciężkich puszystych włosów zsunęła się na plecy, otoczyła jej twarz, dodała uroku oczom. Te ciemne oczy stały się nagle całym światem. Jackowi zdawało się, że dostrzega w nich swoje zwielokrotnione odbicie. Jak we śnie widział własną rękę sięgającą ku skromnej kamei wpiętej przy kołnierzyku brązowej sukni. Szczupłe palce kobiety bez pośpiechu pomagały rozpinąć guziki stanika. Suknia zsunęła się odsłaniając niespodziewanie piękne ramiona i zarys pełnych piersi pod skromną bielizną. Gdy wreszcie rozsznurowany gorset i koszula opadły, Jack odezwał się po raz pierwszy:

- Bardzo kochałem moją żonę.

- Wiem o tym. Nie oczekuję tego rodzaju miłości - odparła. - Pragnę tylko, żebyś mnie tulił i obejmował.

Leżeli na dywanie. Delikatnie gładził jej piersi, całował powieki i usta.

- Nie powinienem tego robić...

- Tak - zachęcała go. - Tak, kocham cię.

Równie niespodziewana, jak piękno jej ukrytego pod brązową suknią ciała okazała się zmysłowość, z jaką odpowiedziała na jego pieszczoty. Gdy Czarny Jack posiadał ją po raz pierwszy, z ust młodej kobiety wyrwał się krótki okrzyk bólu. Potem jednak obydwójce doznawali już tylko czułości i rozkoszy. Wreszcie zmęczeni, ale nie rozplątując uścisku, jakby nawet na chwilę nie chcieli się rozłączyć, opadli na dywan.

- Co ja zrobiłem? Co ja ci zrobiłem?

- Zrobiłeś to, czego od dawna pragnęłam - odpowiedziała. - Kocham cię. Wszystko warto poświęcić, by znaleźć się w twoich ramionach, chociaż ten jeden raz. ^J

A więc to nie tylko on był uwodzicielem. Kobieta, którą trzymał w objęciach, dobrze wiedziała, do czego zmierza. Poczul się zaskoczony. Nigdy nie myślał o opiekującej się jego dziećmi guwernantce inaczej niż jako o wyższej kasy służącej, której uczucia musiały być równie poprawne co schludny wygląd. Przez lata tłumienia pragnień, wrodzona jej zmysłowość mogła się tylko spotęgować. Toteż ostatnie kilka godzin były szokiem dla Czarnego Jacka a jednocześnie źródłem jego zachwyty. Mimo to Jack nie potrafił ani na chwilę zapomnieć o niedawno zmarłej żonie.

Kochał ją jak szaleniec, namiętnie, całym sercem Nikt nie mógł zająć jej miejsca. Ale ta dziwna kobieta niczego nie żądała. Wydawała się naprawdę szczęśliwa z powodu tego, co między nimi zaszło.

- Odejdę - odezwała się, jakby czytając w myślach Pollocka. - Teraz nie mogę tu zostać.

25

- Nie pozwolę ci odejść. Powiedziałem już raz. Ani tobie, ani Lally. Z czasem... Za jakiś czas...

Uciszyła go, kładąc mu palce na wargach.

- Nie mów nic. Nie chcę żadnych obietnic. Pragnę tylko zostać z tobą, dopóki będziesz sobie tego życzył. Dzień, rok. Dla mnie to całe życie. Życie, o którym nigdy nawet nie śmiałam marzyć. Nie pobierzemy się nigdy, to oczywiste. Nie mogę zająć jej miejsca. Miejsca twojej żony. Nie oczekuję tego.

- Zostaniesz - powtórzył Czarny Jack łagodnie. - Ty i Lally. Nagle coś mu się przypomniało.

- Nawet nie wiem, jak masz na imię. - Dotąd była dla niego istotą bezimienną, podobnie jak półżywe dziecko, które przyniósł do domu.

- Alice.

- Alice - powtórzył.

Imię brzmiało słodko i delikatnie, ale Pollock wiedział już, że kobieta, która je nosiła, nie przypominała słodkiego stworzenia, gdy do głosu dochodziła jej namiętność. Był też zaskoczony, że wzbudził miłość w osobie, z której obecności przez lata ledwie zdawał sobie sprawę. Jeśli żonę porównywał do buchającego płomienia, Alice zdawała mu się ledwie iskrą. A jednak tę kobietę trawił wewnętrzny ogień, który zdawał się ogarniać teraz ich oboje. Jack wiedział, że będzie miał wiele kłopotów z powodu Alice, ale zdecydował się stawić im czoło. Tak jak stawi czoło problemom spowodowanym przez Lally. Te dwie kobiety, duża i mała, weszły w jego życie, by pomóc mu znieść żal po stracie Latitii. Patrząc w brązowe oczy Alice, Jack myślał o innych oczach, bursztynowych, których już nigdy nie zobaczy. Pełne życia, śmiejące się oczy. Latitia nie byłaby zazdrosna ani o leżącą obok niego kobietę, ani o obce, nieszczęśliwe dziecko. Rozumiałyby, że pozostanie w jego sercu na zawsze.

Czarny Jack odsunął się delikatnie od ciepłego, pięknego w swej nagości ciała. Podniósł się i podszedł do umywalki. Sięgając po dzbanek z wodą i ręczniki, odwrócił się w stronę łóżka. Jego wzrok napotkał oczy dziecka, całkowicie przytomne, wpatrzone w niego z uwagą. Spokojne spojrzenie uświadomiło Czarnemu Jackowi, że dziewczynka bywała już świadkiem takich scen wcześniej. Zdziwiło go, że nie czuł się zażenowany.

Rozdział drugi

I

Po tych wydarzeniach życie w Pellham Langley zmieniło się. Śmierć Lattin była szokiem. Natomiast przybycie Lally Leeds i romans Czarnego Jacka z guwernantką jego dzieci spowodowały napięcia, co prawda mniej widoczne, ale równie silne. Wobec świata Pollock nadal opłakiwał zmarłą żonę i tak było naprawdę. Czuł się zakłopotany i zawstydzony, że po tak krótkiej żałobie znalazł pociechę w miłości Alice Trimble. Nie chciał, by ich związek pozostawał w ukryciu, ale nie wypadało przyznać się do niego oficjalnie.

- Za rok - obiecywał. - Gdybyśmy pobrali się wcześniej, wyglądałoby to na zniewagę dla Latitii. ^y

Alice odpowiedziała, jak zwykle, opanowanym głosem.

- Nigdy za ciebie nie wyjdę, Jack. Nie mogę zająć miejsca twojej żony. Nie chcę nawet próbować. Zajmę się twoimi dziećmi i Lally. Będę starała się służyć ci pomocą w miarę moich możliwości. Ale nigdy mnie nie poślubisz

Na spokojnej twarzy malował się upór. Jack wiedział już, jak zdecydowanym charakterem odznacza się Alice.

Pojmował też jej obawę przed przyjęciem roli pani na Pellham Langley. Czas to zmieni, pocieszał się. Czas wszystko zmienia. Na razie zaś postanowił przestrzegać konwenansów i cierpliwie czekać aż minie okres żałoby. '

Mała Lally wróciła do zdrowia. Mogła już opuścić łóżko i dzieliła teraz sypialnię z Margaret. Jon został przeniesiony do własnego pokoju. Podobała mu się ta zmiana. Był już na tyle mężczyzną, by doceniać autorytet, jakim cieszył się nie tylko u siostry, ale i u obcej małej nieznajomej. Fascynowała go ta dziewczynka o ciemnych oczach i niesfornych, sterczących włosach, które uszyty przez Alice Trimble czepeczek okrywał tylko czasami. Czasami, gdyż Lally Leeds nie przywykła do nakryć głowy i pozbywała się go, kiedy tylko spuszczone ją z oczu.

- Mała dzikuska - narzekała niania. - Czy można ode mnie oczekiwać że nauczę ją wszystkiego w jeden dzień? Je rękoma. Wyciera palce w sukienki.

26

Wiecznie się brudzi. Jakiż to zły przykład dla panienki Margaret. A wszystko już szło tak dobrze, panie Pollock - pokiwała głową, aż zatrzęsły się liczne podbródki. - Jeżeli to dziecko zostanie, jeśli zostanie tu z panienką Margaret i paniczem Jonem, będę zmuszona złożyć wymówienie. Jestem przyzwyczajona jedynie do dzieci z dobrych domów.

- Skrzyżowała ręce i zamilkła w oczekiwaniu na protesty, perswazje, wreszcie prośby Czarnego Jacka.

- No cóż, nianiu. Przykro mi, że niania zdecydowała się odejść. Bardzo żałuję. To smutne, szczególnie dla Margaret. Tak niedawno przecież straciła matkę. Zbyt wiele zmian w równie krótkim czasie każdego by przygnębiło.

Twarz kobiety wyrażała osłupienie.

- Nie zamierza pan chyba naprawdę zatrzymać tego podrzutka, panie Pollock, wychowywać razem z własnymi dziećmi. To niebywale. Na pewno znalazłaby się jakaś kobieta w wiosce, która zaopiekowałaby się Lally za kilka szylingów tygodniowo. I jeszcze byłaby wdzięczna, a mała mogłaby dorastać wśród ludzi sobie podobnych. Lepszych nawet niż ona, jeśli mogę coś o tym wiedzieć. To jest dziecko rynsztoka, panie Pollock. Ostrzegam pana. Będzie pan żałował...

- Nianiu - przerwał łagodnym, ale stanowczym tonem Czarny Jack. -Chciałbym, żeby niania została, ale skoro niania woli odejść, to trudno. Lally Leeds będzie nadal mieszkać w moim domu.

Kobieta zasłoniła rękoma twarz. Na chwilę opadła sztywna maska wyniosłości i urażonej godności.

- Och, panie Pollock, jak to się odbije na życiu panienki Margaret? Aż boję się pomyśleć.

- Nianiu, Margaret będzie miała towarzyszkę zabaw w swoim wieku, a Jon jeszcze jedną młodszą siostrę. Jestem pewien, że zostaną przyjaciółmi.

- Proszę wybaczyć, panie Pollock - ciągnęła z rozpaczą, a Czarny Jack nagle pojął, że ta despotyczna snobka darzy jego syna i córkę autentycznym uczuciem. - Bez wątpienia, jest pan dużo mądrzejszy ode mnie. Ale ja mam za sobą wiele lat doświadczenia. Wiem coś o dzieciach. Obserwowałam je. Ta Lally Leeds to spryciarzka. Skąd pan wie, co przez nią może stracić panienka Margaret? Panienka Margaret ma prawo do całej pańskiej uwagi, całego uczucia. Ta Lally już jest rozpuszczona przez pana i pannę Trimble, a panienka Margaret czuje się zaniedbana.

Uśmiech pojawił się na twarzy Czarnego Jacka. Wiedział, że wygrał. Niania, chociaż narzeka, na pewno nie odejdzie.

- Więc zadaniem niani będzie dopilnować, by nikomu nie działa się krzywda. Zadba niania o interesy panienki Margaret. Poza tym, czy nie pociąga niani wyzwanie, które stanowi taka mała dzikuska? Proszę pomyśleć, ile dobra niania uczyni dla porzuconego dziecka.

Wiedział, że przesadził. Jednak myśl, że jego wymagająca, władczą córeczka pozwoliłaby komukolwiek zająć jej miejsce w małym domowym światku, niezmiernie Jacka rozśmieszyła. Zupełnie też niespodziewanie ogarnęła go czułość dla obcego dziecka, któremu zawdzięczał odkrycie miłości Alice. Obecność Lally łagodziła ból wywoływany widokiem Margaret, podobnej jak dwie krople wody

do matki, a ciało Alice dawało ukojenie, pozwalało na jakiś czas zapomnieć o pustce i tęsknocie. Jack wiedział, że używając tych dwóch bezbronnych istot dla podźwignięcia z ruin własnego życia, postępuje jak tchórz i egoista. Nie miał jednak siły żyć samotnie.

- No cóż, panie Pollock - skapitulowała niania - znam swój chrześcijański obowiązek. Bez wątpienia postąpił pan szlachetnie, ratując to dziecko. Będę robić, co należy, tak jak pan tego ode mnie oczekuje.

- Dziękuję. Doceniam dobre serce niani.

Nagroda za chrześcijańskie miłosierdzie przyjęła wkrótce namacalne wymiary. Pensja wzrosła o trzydzieści funtów rocznie, a wraz z nią zmieniła się korzystnie pozycja niani wśród domowników. Do pomocy w pokoju dziecinnym przybyła nowa młoda służąca. Małe królestwo rozrastało się. Nianię rozpierała duma i poczucie ważności. Żadna ze znanych jej piastunek nie miała lepiej wyposażonych pokoi dziecinnych, większej liczby służby do pomocy, wyższego wynagrodzenia. Wystarczyło prosić Czarnego Jacka, a wszelkie życzenia były spełniane. Niania nie była jedyną osobą w Pellham Langley, która doceniła smak władzy.

*

* *

Mała Lally powoli oswajała się z nowym życiem. Jadła wszystko, co jej podano, ale sama nie prosiła o więcej. Rozpaczliwie usiłowała naśladować przy stole Margaret. Czasem nawet buntowniczo sprzeciwiała się niani. Nigdy jednak nie udało jej się stłumić wilczego apetytu. Każdy posiłek przebiegał identycznie. Lally brała kilka małych kęsów do ust, a potem nagle rzucała się na jedzenie jak głodne zwierzę, niepewne następnego posiłku. Taka żarłoczność wprawiała Alice Trimble w konsternację. Guwernantka próbowała łagodnie uśmierzać strach dziecka, co nie zawsze się udawało. Niania zaś była zadowolona, bo nie miała kłopotów z namawianiem Lally do jedzenia. Jeśli dziewczynkę krępowało własne zachowanie, to tylko wtedy, gdy Jon zaczynał dobrodusznie jej dokuczać.

- Będiesz tłusta jak Billings, Lally. Będziesz wyglądać jak legumina z konfiturami. Nie wezmę cię do mojej drużyny krykieta, bo grubasy nie potrafią biegać.

Docinki sprawiały, że dziecko przez jakiś czas starało się hamować apetyt. Zwykle jednak widok smakowitych potraw nagromadzonych na stoliku w pokoju dziecinnym stanowił pokusę nie do odparcia. Niania nie zabraniała jedzenia. Stało się jej ambicją, by zademonstrować Czarnemu Jackowi, jak dobrze opiekuje się obcym dzieckiem. Nikt nie mógł jej zarzucić, że zaniedbuje swoje obowiązki albo że faworyzuje małych Pollocków. Ale też ordynarny podrzutek z ulic **Leeds** nigdy nie będzie miał szansy rywalizować z urodą i obyciem pani **Margaret**. Niania mogła więc pozwolić sobie na okazanie wielkoduszności.

Lally uczyła się szybko. Z początku uznała ofiarowane jej pantofelki **za** zbyt **cenne** i **zdejmowała je**, kiedy tylko spuszczone ją z oczu. Wkrótce jednak **zo-**

28

rientowała się, że Margaret nie postawi nie obutej stopy nawet na miękkich dywanach, więc zaczęła robić to samo. Naśladowała wszystko, co zobaczyła.

- Sprytna jak małpka - zauważyła pewnego razu niania. Jon podchwycił tę uwagę i przezywał tak Lally, kiedy chciał jej specjalnie dokuczyć. Małpka. On także mógł pozwolić sobie na wspaniałomyślność, gdyż dziewczynka była oddaną mu całym sercem niewolnicą. Zanim odważyła się wypowiedzieć choć kilka słów, wpatrywała się w Jona, oczekując oznak aprobaty. Liczyła się z nim więcej niż z Margaret, nianią czy guwernantką.

Pewnego razu Czarny Jack zwierzył się panie Trimble, iż niepokoi go ma-łomówność Lally.

- Wygląda na bystrą, ale prawie zawsze milczy. Mam nadzieję, że nie jest opóźniona w rozwoju. Byłoby to niedobre dla Margaret. Ona potrzebuje towarzyszkę, z którą mogłaby współzawodniczyć, a nie głupiej naśladowczyni.

- Wydaje mi się, że milczenie jest w przypadku Lally rodzajem samoobrony - odpowiedziała Alice. - Jak większość rzeczy tutaj, tak i sposób wypowiedzania się mieszkańców Pellham Langley musi być dla niej zupełnie obcy. To inny język. Mała uczy się go, ale boi się popełniać błędy. Nie chce mówić, bo ocenia, że jeszcze tego nie potrafi.

- To zachowanie niezgodne z naturą dziecka. Mimo wszystko, słownictwo Margaret też nie jest przecież bogate, a nikt nie może zarzucić jej małomówności.

- Lally jest niezwykłym dzieckiem. Dziwolągiem, jeśli wolisz. Ona wybrała sobie za wzór i ideał Jona. Mogę się założyć, że kiedy wreszcie zacznie rozmawiać, będzie używać tych samych zwrotów i słów co twój syn. Wkrótce więc zapewne wyprzedzi Margaret.

- Mam nadzieję. Dobrze zrobi mojej rozpuszczonej córeczce, jeśli nauczy się doceniać swoją pozycję i majątek. - Jack zażartował bez zastanowienia.

Był tak przyzwyczajony do bogactwa, że rzadko przychodziło mu do głowy, jak godnym pożądaniami mogło się ono wydawać innym.

*

* *

Dziecka, które Czarny Jack znalazł w Leeds, nie opuszczał strach, że szczęście może się odwrócić. Lally przywykła już do wygod i obfitego jedzenia, ale czasem śniła się jej, że powróciła do dawnego domu. Domu, gdzie jak niewyraźnie pamiętała, panowały zimno i głód. Kiedy nękały ją takie sny, płakała, a wówczas kobieta nazywana nianią, w szlafroku i nocnym czepku, spod którego wymykał się warkocz, przychodziła żeby uspokoić ją i śpiącą w sąsiednim łóżku Margaret. Czasami Lally leżała, nie mogąc spać i myślała. Starła się zrozumieć zmiany, które zaszły w jej życiu. Tamto miejsce kojarzyło jej się z szorstkimi głosami, razami i kopniakami. Pamiętała ciemny i

wilgotny pokój, przesiąknięty kwaśnym, cuchnącym zapachem. Wspominając twarde siennik, na którym wówczas spała, Lally delikatnie gładziła białe płótno nazywane w tym nowym domu

29

prześcieradłem. Paraliżował ją lęk. Bała się, że równie nagle jak znalazła się tutaj, powróci w poprzednie miejsce. Doświadczenie nabyte wśród kopniaków i przekleństw podpowiadało, że nie wolno jej rozgniewać dorosłych, a nawet dać się zauważyć. Żeby nie odesłali jej do dawnego domu.

Lally ze wszystkich sił starała się opanować zawilości niezrozumiałego świata, w którym się znalazła.

Najtrudniejszy do zaakceptowania był ustalony, niezmienny porządek dnia. Każdego ranka w sypialni dokładnie o tej samej porze pojawiała się niania i one obie z Margaret musiały wstawać. Potem siadały do śniadania. To też było dziwne. Nie jadły na stojąco ani nie wrywały sobie niczego. Na stole znajdowało się bowiem więcej jedzenia, niż Lally widziała kiedykolwiek przedtem za jednym razem. Kiedy wreszcie nie mogła już przełknąć nawet kęsa więcej, choć zawsze zdawało się jej, że jest głodna, ona i Margaret szły z nianią bawić się do ogrodu. Wówczas to panna Trimble zabierała Jona na lekcje. Czasami, jeśli było ładnie, dziewczynki wypuszczały się aż na wrzosowiska. Takiej wyprawie towarzyszyła zawsze któraś z niezliczonych, zdawało się Lally, osób zaludniających ten nowy świat. W spacerze popołudniowym brali już udział Jon i panna Trimble. Szli wówczas zwykle w miejsce, nazywane dziecięcym ogrodem francuskim. Żywopłoty były tam przycięte w kształty, których Lally sama nie umiała rozpoznać, ale im właśnie zawdzięczała pierwsze zetknięcie z trudną sztuką pisania.

- Pies - wołała Margaret. I tak, rzeczywiście, można było dopatrzeć się zarysu psa, aczkolwiek nie bardzo przypominał on wygłodzone kundły, znane Lally z dawnego życia.

- K - O - T - literowała panna Trimble.

- Królik! - krzyczała po chwili Margaret. Mysz była kolejnym mieszkańcem tego dziwnego świata. Lally miała nadzieję nie napotkać tu groźnych, zniechęconych szczurów. Dobrze je pamiętała i bała się ich śmiertelnie. Nie wiedziała, co się stało z brukowanymi ulicami pełnymi hałasu i chaosu, powozów, ludzi i koni, stukotu kopyt, krzyku i jazgotu. Ogrody, po których teraz spacerowała, wydawały się niesamowicie ciche. Niewiele dźwięków poza szumem wiatru i głosami ptaków zakłócało tu spokój.

Najdziwniejsza, zapierająca dech w piersiach przygoda zdarzyła się Lally w czasie odwilży, kiedy śnieg zniknął już prawie całkowicie. Nianię zatrzymało w domu zaziębienie, więc panna Trimble zabrała dziewczynki na poranny spa-

cer. Jon również poszedł z nimi. Chłopiec, jak zwykle, pędził na łeb na szyję. Nie peszyła go bynajmniej obecność mężczyzny, zwanego gajowym, którego spotkali podczas przechadzki. Lally przerażał zaś już sam widok munduru tego człowieka. Widywała podobne u żołnierzy i policjantów, których bała się panicznie.

Jon biegł jak szalony. Panna Trimble próbowała za nim nadążyć, nawołując bez przekonania. Zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, chłopiec dotarł do miejsca, o które mu chodziło. Ścieżka urywała się tu nad spływającym ze stromego wzniesienia potokiem, którego wody uwolnione przez odwilż rozbijały się o postrzępione skały.

- Nasz wodospad - krzyknął Jon i zaczął wspinać się po zboczu.

- Paniczu, tam nie wolno. - Ostrzeżenia gajowego zostały zignorowane. Panna Trimble więc zebrała obszerne fałdy spódnicy i zaczęła wspinać się za Jonem.

- Pomóżcie Margaret i Lally, Hughes - zakomenderowała. Gajowy wziął za ręce obie dziewczynki. Potykając się wędrowali pod górę na sam szczyt, gdzie potok, jakby za pomocą czarów, wytryskał prosto z ziemi. Lally miała wrażenie, że twarda obręcz zaciska się wokół jej piersi, ale nie śmiała okazać strachu. Wdrapywała się razem z Margaret. Kiedy dotarła wreszcie na płaską skałę, gdzie czekali Jon i panna Trimble, odsłonił się przed dziewczynką nowy świat.

Mała Lally Leeds nigdy nie wyobrażała sobie, że istnieją takie odległości, takie niezmiernie przestrzenie nieba. Ze szczytu wzniesienia mogli dostrzec Pellham Langley. Widok dymu unoszącego się z jego kominów działał na Lally kojąco. To był ciepły dom, do którego zaraz powróci. Pies, kot, królik i mysz znikły gdzieś wśród innych żywopłotów i już nie oneśmiały. Lally odwróciła się. Teraz ujrzała wysokie kominy górujące nad długimi szeregami zabudowań.

- Popatrz, fabryki - powiedział Jon. - Fabryki ojca. A tam leży Pellham Langley. - Ku zdziwieniu Lally chłopiec wskazał skupisko niewielkich domków na skraju wrzosowisk i wyrastającą spośród nich białą wieżę kościoła. - To są dobra Pellham Langley - dodał tonem wyjaśnienia. Lally nie miała pojęcia, co to znaczy, ale czuła, że dla Jona owe, jak je nazwał, dobra i fabryki są przedmiotem dumy.

Zaczęli schodzić po skałach przy wodospadzie. Panna Trimble i gajowy pomagali dziewczynkom, żeby się nie potknęły. Lally bała się patrzeć w dół. Była zadowolona, gdy znaleźli się wreszcie w znanym, bezpiecznym ogrodzie. Nawet zwierzęta wystrzyżone w wiecznie zielonych żywopłotach nie wyglądały już tak przerażająco. Niania powitała ich gniewnym zrządzeniem.

- Jestem zaskoczona, panno Trimble, że pozwoliła im pani wspiąć się tak wysoko. O tej porze roku jest ślisko i wieje zimny wiatr.

- Muszą czasem przeżyć jakąś przygodę - odparła spokojnie guwernantka. -i będą lepiej spali dzięki takiej gimnastyce.

Po południu dzieci kładziono na krótki odpoczynek. Po czym mieli odpoczywać, tego Lally nie wiedziała, ponieważ nie wymagano od niej żadnej pracy. Jedyńm wysiłkiem, który dziewczynka podejmowała, była próba przyswojenia, tak szybko jak to możliwe, umiejętności i wiedzy obowiązujących w świecie Jona i Margaret. Lally chętnie bawiła się z Margaret. Podczas zabawy nie czuła się gorsza ani śmieszna. Być może to była praca, której od niej oczekiwano, zastanawiała się. Ubierały więc z Margaret lalki i meblowały domek, który wyglądał jak miniatura

Pellham Langley. Układały klocki z wymalowanymi na nich literami. Czasami Jon bawił się z dziewczynkami wspaniałą armią ołowianych żołnierzyków. Lally obserwowała Margaret bazgrzącą kolorowymi kredkami i starała się robić to samo. Bogactwo zabawek oszałamiało, ale największym urokiem nowego świata było jedzenie i ciepło. Lally nie opuszczał strach, że szczęście może się nagle skończyć. Czasem lękała się zasnąć w obawie, by nie obudzić się w dawnym domu. Do wspaniałości życia w Pellham Langley należały też wizyty wiel-

kiego, ciemnego mężczyzny, zwanego **przez** Jona i Margaret ojcem. Lally nigdy nie miała ojca. Margaret oznajmiła kiedyś z wielką powagą, że ich matka umarła. To Lally potrafiła zrozumieć. Widywała martwych ludzi, zimne, wychudzone ciała w ciemnym, wilgotnym pokoju. Ale nie pamiętała nikogo, kto byłby jej matką. W tamtym świecie nie istniała taka kobieta jak panna Trimble, która zawsze nosiłaby brązowe suknie i mówiła miłym, spokojnym głosem.

Jon i Margaret przezywali Lally Małpką. Nie przejmowała się tym. Niech mówią, co chcą. Nie jej nie przeszkadzało, dopóki nie chcieli jej odesłać. Była zdecydowana robić wszystko, czego od niej oczekują, byle tylko mogła pozostać w dużym, ciepłym domu.

II

Nie było sposobu, by powstrzymać szerzące się wśród służby plotki. Alice Trimble nie potrafiła się maskować. Dawniej cicha, ledwie dająca się zauważyć, jak mały brązowy ptaszek, nabrała teraz widocznej pewności siebie. Często śmiała się z Jonem. Jej twarz jaśniała delikatnym rumieńcem, oczy promieniały. Trudno jest zakochanej kobiecie ukryć miłość, trudno zataić poczucie zaspokożenia. Lokaj Czarnego Jacka zauważył to i owo i szeptem przekazał nowiny Billingsowi, który jednakże kazał mu pilnować własnego nosa. Neli, młoda służąca, także coś niecoś dostrzegła, ale milczała lojalnie. Lubiła pannę Trimble. Była jednak pewna, że wszechwładna gospodyni, pani Plaidstow, odkryje wkrótce tajemnicę guwernantki. Od czasu sprowadzenia do Pellham Langley małej Lally Leeds, stosunki gospodyni z Czarnym Jackiem stały się lodowato oficjalne. Pani Plaidstow nie mogła wybaczyć Pollockowi, że nie ugiął się i nie odesłał, jak żądała, nędzar-ki do przytułku. Nienawidziła Lally. Nie opuściła żadnej okazji, by ją skrytykować, czy to w rozmowie z Billingsem, czy nawet z Czarnym Jackiem. Ciemno-oka dziewczynka o czarnych, gęstych, prostych włosach, otaczających zaokrągloną buzię, kojarzyła się gospodyni z doznany upokorzeniem. Do niedawna pani Plaidstow czuła się z pracy w Pellham Langley bardzo zadowolona. Ceniła swój wygodny salonik, przytulną sypialnię, dostatnie posiłki. Była tutaj osobą na specjalnych prawach. Nie życzyła sobie więc naruszania któregośkolwiek ze swoich przywilejów. Kiedy jednak wieść o romansie Pollocka dotarła do jej uszu, oburzenie wzięło górę. Miałaby jeść i spać pod jednym dachem z dziwką? Miałaby pracować dla człowieka, który tę dziwkę utrzymywał? W końcu pani Plaidstow postanowiła rozmówić się z Czarnym Jackiem.

- Wybacz pan, ale to skandal. Na oczach niewinnych dzieci. Pani Latitia dopiero co umarła, a...
- Pani Plaidstow, byłbym wdzięczny, gdyby nie wspominała pani imienia mojej żony.

- W takim razie ktoś inny powinien to uczynić. Jaki to przykład dla dzieci? Musi pan odesłać tę kobietę, panie Pollock. Bez wątpienia ona wykorzystuje pańską słabość i cierpienie. Zdarzają się takie nikczemne, wyrachowane osoby.

32

Czarny Jack starał się zachować spokój.

- Nikczemna? Pani Plaidstow, pani żarty są wysoce niestosowne.

.- Doprawdy, ja nie żartuję. Nie zniosę tego dłużej. Nie mam zamiaru żyć pod jednym dachem z taką kobietą.

- W takim razie, pani Plaidstow, musi pani przenieść się pod inny dach. Bo panna Trimble na pewno tego nie uczyni
- uciął krótko.

Gospodyni trzęsła się z oburzenia, ale nie chciała skapitulować.

- Ta nierządnic! Proszę, by w ciągu miesiąca podjął pan decyzję. Albo ona, albo ja.

- Dostanie pani wynagrodzenie za miesiąc z góry, pani Plaidstow. Może pani natychmiast odejść. Nie chciałbym, by pozostawała pani w sytuacji, która jest dla pani aż tak przykra.

- Przykra? - Gospodyni z trudem panowała nad sobą. - Raczej oburzająca! Lady Latitia - przerwała, gdyż coś w wyrazie twarzy Czarnego Jacka przypomniało jej, że i jego samego, jak twierdzili złośliwi, tylko jedno pokolenie dzieliło od ryszotki. Bez wątpienia to była przyczyna, dla której uparł się przynieść do domu uliczne dziecko czy też mógł wziąć sobie bez żenady kochankę niemal zaraz po śmierci żony.

Pani Plaidstow poczuła lęk na widok gniewu na twarzy Pollocka. Czarny Jack nigdy jej nie zapomni tego, co powiedziała o jego romansie. A ona nie poprosi o przebaczenie. Pobyt w Pellham Langley musiał dobiec końca.

Jeszcze tego samego dnia gospodyni spakowała walizki, odebrała należne jej pieniądze, odmawiając przyjęcia dodatkowego wynagrodzenia i odeszła. Nie byłaby jednak prawowierną córką kościoła metodystów, gdyby sumienie pozwoliło jej zostawić dzieci na pastwę zgorszenia.

Już następnego ranka lord Bletchley zasiadał w salonie Czarnego Jacka ze szklaneczką brandy w dłoni. Czuł się ze wszech miar niezręcznie i zupełnie nie wiedział, jak przejść do sprawy, z którą przysłała go żona. W ciągu lat małżeństwa córki polubił, a nawet zaczął darzyć szacunkiem swego zięcia. Bletchley wiedział, że Pollockowie byli szczęśliwym małżeństwem. Chociaż unikał słowa „miłość”, ale nie potrafił inaczej określić tego, co łączyło Latitię z mężem. Czarny Jack umiał zapanować nad porywczym, żywym temperamentem żony. Uczynił jej życie godnym pozazdrosczenia. Latitia była uwielbiana przez męża i dzieci i na swój sposób odwzajemniała ich uczucia. Bletchley

widział prawdziwy ból Czarnego Jacka po jej śmierci. Wierzył więc, że ten nieszczęsny romans z niepozorną guwernantką zaczął się dopiero niedawno.

- Posłuchaj, Jack - zebrał się wreszcie na odwagę. - Wiem, jak się czujesz. Ale tak nie można, no wiesz... Nie we własnym domu. Naprawdę, nikt by cię nie winił za szukanie odrobiny pociechy gdzieś na uboczu. Dyskretnie. Nie na oczach służby i dzieci... W głębi serca lord Bletchley podejrzewał, że rozpacz zakłóciła Czarnemu Jackowi równowagę psychiczną. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłyby podrutka ze slumsów do własnego domu i nie traktowałyby go na równi z własnymi dziećmi. To szaleństwo. Żaden szanujący się mieszkaniec Yorkshire nie wyrzucałby pieniędzy na opiekę nad bezimienną nędzarką. Przez chwilę Blet-

3 - Obietnice

33

chley zastanawiał się, czy opowieści pani Plaidstow nie zawierają ziarna prawdy. A jeśli to rzeczywiście córka Czarnego Jacka? Nie, niemożliwe. Cokolwiek nie mówiono o jego zięciu, stary lord był pewien, że Pollock nigdy nie dopuściłby, aby jego dziecko, obojętnie, ślubne czy też z nieprawego łoża, znalazło się w stanie, opisanym przez panią Plaidstow.

- Przykro mi, lordzie Bletchley. Musi pan cofnąć swoje słowa. Panna Trimble nie jest „odrobiną pociechy”, jak pan to określił.

W naturze Bletchleya nie leżało przyznawanie się do błędu, ale w końcu sympatia dla Czarnego Jacka zwyciężyła.

- Przepraszam, stary. Naturalnie, nie myślałem w ten sposób. Ale, rozumiesz, tak to z boku wygląda. Mam na myśli... No cóż, ona jest guwernantką.

- Nie ma znaczenia, kim jest. Zostanie tutaj. - W twarzy Czarnego Jacka lord Bletchley dostrzegł zdenerwowanie, ale również stanowczość.

- Oczywiście, nie zamierzasz jej poślubić? Ona nie zajmie przecież miejsca Latitii?

- Nikt nigdy nie zajmie miejsca Lily. Nikt. A jeśli chodzi o małżeństwo, proszę zapytać pannę Trimble. Ona upiera się, że nigdy za mnie nie wyjdzie.

Bletchley zakrztusił się brandy.

- To znaczy, że poprosiłeś ją o rękę? Guwernantkę? To niemożliwe. Guwernantka miałaby zostać panią tego domu? Macochą dzieci Latitii?! Powtarzam, to niemożliwe.

- Panna Trimble powiedziała dokładnie to samo - odparł z uśmiechem Czarny Jack.

Przez chwilę jeszcze Bletchley prowadził bezowocną dyskusję. Jak przekonać szaleńca? Czyżby ta guwernantka była sprytniejsza, niż ktokolwiek mógł przypuszczać? Udając kobietę pełną skrupułów i kochającą starała się wkraść w uczucia człowieka załamanego śmiercią żony? Sprawa przekraczała zdolności dyplomatyczne starego lorda.

Wycofał się więc, a następnego dnia jego miejsce zajęła lady Bletchley.

- Panie Pollock - równie lodowatym tonem mogłaby zwrócić się do lokaja- czuję się w obowiązku zabrać moje wnuki z tego niemoralnego domu. To smutne, kiedy dzieci tracą zarówno matkę, jak i ojca. Przyznaję, że w moim wieku nie mam już ochoty brać na siebie takiej odpowiedzialności. - Przez chwilę wspominała wieczne kłopoty z dorastającą Latitią. Margaret jest bardzo podobna do matki. Lady Bletchley, w gruncie rzeczy, byłaby zadowolona, gdyby wnuczka odziedziczyła niektóre spośród plebejuszowskich cech Czarnego Jacka. Nie, naprawdę nie miała ochoty brać sobie na wychowanie drugiej Latitii. Musiała jednak doprowadzić sprawę do końca. - Uważam to jednak za swój obowiązek - ciągnęła - o ile nie przyrzekniesz, że ta kobieta natychmiast opuści Pellham Lan-gley. A jeśli

chodzi o dziewczynkę... Nie mam wątpliwości, że wypadek był sfingowany. Kiedy ten podrzutek dobrze się tu zadamowi, różne niepożądane typy zaczną sobie rościć wobec ciebie pretensje. Nie, ta kobieta i dziecko muszą odejść, inaczej moje wnuki odjadą ze mną jeszcze dzisiaj.

Czarny Jack pociągnął za sznur dzwonka i czekał aż pojawi się Billings.

34

- Proszę wezwać powóz lady Bletchley, Billings - zarządził z kamiennym wyrazem twarzy.

- Czy mam rozumieć, że dzieci zostają z tobą, a tamte dwie odejdą?

- Dzieci zostaną w Pellham Langley, lady Bletchley. Panna Trimble i Lally także. - Czarny Jack czuł się znużony powtarzaniem tego samego. - To jest mój dom. Miejsce moich dzieci jest w moim domu. Będę o nie walczył nawet w sądzie. Nie pozwolę ich sobie odebrać. One, panna Trimble i Lally są wszystkim, co mam na świecie. Cała czwórka. Lady Bletchley wstała. Była drobną, niewysoką kobietą, ale wrodzone jej dostojeństwo budziło powszechny respekt.

- Będą cię unikać, Pollock. Skazujesz siebie i swoje dzieci na ostracyzm towarzyski. Jon i Margaret nie znajdą przyjaciół. Nie będą nigdzie przyjmowani. - W słowach lady Bletchley zabrzmiał ton czarnej przepowiedni. - Chcesz, żeby Margaret została starą panną?

Czarny Jack roześmiał się, nie mogąc już dłużej hamować zdenerwowania.

- To idiotyczne. Margaret ma trzy latka!

W tym momencie lokaj ponownie pojawił się w drzwiach.

- Powóz zajechał, lady Bletchley.

- Dziękuję, Billings. - Dumnie wyprostowana starsza pani ruszyła w stronę wyjścia. - Może to odległa przyszłość, Pollock, ale posmak skandalu pozostaje na zawsze..

Czarny Jack odprowadził teściową aż na podjazd i podał jej ramię. Nie przyjęła jego pomocy. Patrzył jak powóz znika za zakrętem alei i na chwilę ogarnął go lęk przed tą rozgniewaną kobietą. Nagle poczuł, że nie może powstrzymać szaleńczego śmiechu. Śmiał się, bo nie mógł płakać. Płakać za zmarłą żoną. Płakać nad przyszłością, która została im odebrana. Dlaczego Latitia musiała skakać przez to przeklęte ogrodzenie? Dlaczego nigdy już nie powróci? Nie miała prawa umrzeć... Myśli Czarnego Jacka zaczynały się uspokajać. Latitia taka po prostu już była. Kochająca, pełna życia, lekkomyślna. Zaznali razem wiele szczęścia, ale ich czas się skończył. Teraz musi żyć dla tych, którzy mu pozostali.

Pospieszył w stronę dziecinnego pokoju.

- Jon! Margaret! Panno Trimble! Jesteście tam? - W ostatniej chwili przypomniał sobie o istotce, która rozbudziła w nim na nowo chęć do walki z życiem. - Lally!

Jon otworzył drzwi sali lekcyjnej.

- Widziałem powóz babci - powiedział z nutą pretensji. - Nie chciała się z nami zobaczyć?

- Babcia nie czuła się dziś najlepiej, synku. Była nieco zmęczona. Przesyła wam pozdrowienia. Jest podziębiona...

- Margaret też jest podziębiona, panie Pollock. - Głos niani brzmiał równie oskarżająco jak ton Jona. Czarny Jack miał wrażenie, że ostatnio we własnym domu obwinia się go o wszystko.

- Cóż, to zapewne dlatego, że wiosna w tym roku się spóźnia. Wszyscy potrzebujemy trochę słońca. - Uśmiechnął się do córeczki, jakby prosił ją o po

40

moc. - Byłoby naprawdę dobrze, gdyby wreszcie pogoda się zmieniła. Prawda Margaret?

- Możesz zrobić, żeby było ciepło?

- Nie, ale mogę zabrać was tam, gdzie jest ciepło. Pojedziemy do Włoch Wszyscy. Nic me może się równać z wiosną we Florencji. Wszystko w kwiatach.. Wyobraźcie to sobie! - złapał Margaret w objęcia i zakolysał nią wysoko. - Lally nauczy się włoskiego.

- Lally - powiedział Jon - nie mówi nawet po angielsku.

- Zacznie, synku. Zacznie. - Jego oczy napotkały spojrzenie cichej kobiety w brązowej sukni i Jack zatęsknił do nocy, kiedy znów będą razem. Jej głos go ukoi, a ciało ogrzeje, ratując przed tęsknotą i samotnością. - Panno Trimble, trzeba się zacząć pakować. Niania, oczywiście, jedzie z nami. Seath także. - Seath był kamerdynerem Czarnego Jacka. - Zabierzemy Neli, może również Agnes.

- Jak długo nas nie będzie? - Jon miał praktyczny umysł. - Obiecałem Brod-stonom, że latem będę grał z nimi w krykieta. Chcą zorganizować drużynę z chłopców z wioski.

- Będziemy z powrotem na czas, synu. Wrócimy razem ze skowronkami na nasze wrzosowisko. Kiedy będzie ciepło. Wiedział, że ludzie posądzą go o ucieczkę z domu żałoby, ale nie przejmował się tym. Zabierał rodzinę w miejsce, które miało dla niego specjalne znaczenie. Spędzał tam z Latitią miesiąc miodowy. Planowana podróż nie świadczyła o braku lojalności wobec pamięci zmarłej. To miała być pielgrzymka. Zamknie Pellham Langley na tygodnie, może miesiące. Czarny Jack zastanawiał się czy me dał Jonowi zbyt pochopnej obietnicy co do rychłego terminu powrotu. Chciał uciec od ostracyzmu, który przepowiadała lady Bletchley. Ponad wszystko zaś pragnął uchronić syna. Kiedy minie trochę czasu, wszystko się jakoś ułoży.

- Podoba ci się ten pomysł, prawda, Jon? Florencja, Wenecja, Rzym? Margaret me pojmowała, o czym ojciec mówi. Ale on nawet nie patrzył na

córkę. Przyglądał się z uwagą Lally. Biedna mała. Zaledwie odnalazła się w nowym, dziwnym świecie, a już narażano ją na kolejne zmiany. A Alice? Postanowienie Jacka utwierdziło się. Zabierze ich wszystkich, Jona, Margaret, Lally i Alice Nikt nie będzie mu groził. Ani im. Czyż nie powiedział, że są wszystkim co ma dla mego wartość na tym świecie?

Rozdział trzeci

I

Pellham Langley pozostawało zamknięte przez ponad dwa miesiące. Za nim wrócili, świeża wiosenna zieleń wrzosowisk ustąpiła miejsca jaskrawym barwom lata. Gdy zbliżali się do pałacu drogą ocienioną przez wysokie drzewa, nawet dziwaczna bryła budowli wydała mu się urocza. Czarny Jack miał na tyle wyrobiony smak, że doskonale widział brzydotę swego domu, ale był on przecież świadkiem najszcześniejszych lat małżeństwa z Latitią. Przez pewien czas po jej śmierci Jack nienawidził Pellham Langley. Teraz jednak doznawał dziwnego uczucia. Był zadowolony, że wrócił.

- Dobrze być znowu tutaj - powiedział. Popatrzył po otaczających go czterech twarzach. Jon i Margaret wiercili się z podniecenia. Na buzi Lally malowały się emocje, których do końca nie potrafił zrozumieć. Alice Trimble, tak jak i on, wychylała się z powozu, ale jej oczy zmacone były cieniem obawy. Kiedy spostrzegła, że Jack ją obserwuje, zmusiła się do pogodnego uśmiechu.

- Tak, tak. Dobrze jest wrócić - zgodziła się jakby z przymusem. Młoda kobieta zmieniła się. Brązowe suknie ustąpiły miejsca lawendowym

i perłowszarym, a wieczorami błękitnym. Fasony były modniejsze, śmielsze. Panna Trimble nadal ubierała się jak guwernantka, bo też oficjalnie występowała w tej roli, ale jednocześnie sprawiała wrażenie damy.

Billings czekał przy zbiegających dwoma łukami na podjazd schodach. Lokaje śpieszyli, gotowi pomóc przy wysiadaniu pasażerom. Wkrótce też nadjechał drugi powóz, wysłany po bagaże, których imponującą ilość nagromadzili podczas podróży.

- Witamy w domu, sir. Witamy w domu, paniczku Jonie. Panienko Margaret. - Na widok guwernantki zimna krew Billingsa zawrzała. Ta kobieta nie tylko wyglądała inaczej, ona była już inną osobą. - Panno... panno Trimble. Mała ciemnowłosa dziewczynka wysiadała z powozu ostatnia. Nikomu ze służby nawet nie przyszło do głowy, by jej pomóc. Lally nosiła identyczne ubranie jak Margaret. Włosy miała teraz dużo dłuższe, gęste i ciemne, jedwabiste, ale

całkowicie proste. Czarne oczy wydawały się mniejsze niż dawniej w zdrowej, zaokrąglonej buzi. Billings ledwie rozpoznał w niej chude dziecko, które przed kilkoma miesiącami opuściło Pellham Langley. Lally opiekuńczym gestem ujęła małą Margaret za rękę.

Margaret była tak zmęczona po podróży pociągiem, że wyglądała jakby miała się zaraz rozplakać.

- Panienko Lally - Billings zmusił się do uprzejmego tonu.

Ale dziewczynka zupełnie go zignorowała. Poprowadziła Margaret po schodach, bez słowa mijając witającą służbę. Margaret miała natychmiast pójść spać, ale tym razem Lally nie próbowała jej towarzyszyć. Niania, zaaferowana rozpakowywaniem rzeczy, znużona długą drogą, zapomniała o cichym, niekłopotliwym dziecku.

Podczas gdy Margaret hałaśliwie domagała się włoskich pasztecików, a Neli i Agnes krzątały się szykując kąpiel, Lally cichutko wymknęła się z sypialni do pokoju zabaw.

Tę chwilę wyobrażała sobie każdego dnia włoskiej podróży. Stolik do herbaty nakryty był tym samym co dawniej białym obrusem. Lally otworzyła domek dla lalek i przyjrzała się znajomym ulubionym mebelkom. Potem podeszła do wysokich szafek z zabawkami. Piękne lalki porządnie leżały lub siedziały na półkach. Dziewczynka leciutko pogładziła ich sukienki.

Potem po cichu wymknęła się z pokoju i ruszyła ku schodom prowadzącym na niższe piętro. Mieściły się tam pokoje ojca Jona i Margaret. Lally zerknęła w głąb korytarza o niezliczonej liczbie drzwi. Przez moment wahała się, po czym zaczęła schodzić do wielkiego, wyłożonego mahoniową boazerią, hallu. Przyczaiła się w cieniu masywnej poręczy w obawie, że Billings albo któryś z lokajów mógłby ją zobaczyć, rozgniewać się, nawet odesłać na górę. Nikogo jednak nie dostrzegła. Hall, pogrążony był w półmroku. Dziewczynka z trudem nacisnęła ciężką kłamkę. Drzwi uchyliły się bezszelestnie. Widok ciemnego wieczornego nieba przeraził Lally. Nie mogła jednak się ociągać, jeśli nie chciała, by ją zatrzymano. Zbiegła po schodach i popędziła wzdłuż tarasu do ogrodu francuskiego.

Odetchnęła z ulgą. W ogrodzie nic się nie zmieniło. Te same co dawniej żywopłoty, ten sam staw. Czekał tu na nią królik i kot, i pies. I także mysz. Wszystkich tych nazw Lally nauczyła się od Margaret. Teraz szeptała je po cichutku do siebie. Doszła aż do furtki wiodącej na wrzosowisko. Nie czuła już dawnego lęku. Mogła i chciała wędrować dalej. Był to pierwszy świadomy akt nieposłuszeństwa wobec dorosłych z Pellham Langley. Lally musiała jednak upewnić się, że wszystko jest takie samo jak przed wyjazdem. Spojrzała w stronę domu. Tak, nic się nie zmieniło. Powróciła do bezpiecznego świata. Niepotrzebnie obawiała się go utracić. Gdy podróżowali, przenosili się z miejsca na miejsce, ogarnęła ją panika na myśl, że nigdy nie wrócą do pełnego światła i ciepła, kochanego domu, w którym

przebudziła się z koszmarne go snu. Dopóki nie odbudowała tej namacalnej rzeczywistości, Lally nie mogła poczuć się pewnie.

Teraz zaś wędrowała po głazach nad potokiem, zanurzała ręce w lodowatej wodzie, pozwalając spływać jej między palcami. Wynajdywała małe kamyki i pró-

bowwała dorzucić nimi na drugi brzeg. Nie zważała na przemoczoną sukienkę i ubłocone buciki. Mała Lally Leeds odkryła nowe radości życia. Była wolna od wszystkich obaw i lęków. Zapragnęła zobaczyć szeroki świat z samego szczytu wzgórza, świat, który kiedyś pokazał jej Jon. Chciała ujrzeć z góry Pellham Langley i kominy fabryk w dolinie. Zaczęła wspinać się na czworakach, nie zwracając uwagi na pierwsze krople deszczu, na skaleczone kolano i rozdarte pończochy. Zatrzymała się i usiadła, by ściągnąć mokre buty, przeszkadzające jej we wspinaczce, gdy nagle usłyszała znajomy głos.

- Lally! Lally! Nie ruszaj się. Zostań tam gdzie jesteś. Idę po ciebie. Spojrzała w dół i zamarła. U jej stóp rozwierała się przepaść, a w dole kłębiła się zimna, spieniona woda. Czarny Jack machał ręką i powtarzał:

- Lally, stój spokojnie, już idę.

Dziewczynka zamknęła oczy, bojąc się spojrzeć ponownie w zimną otchłań. Deszcz siekł coraz silniej. Wreszcie tuż koło siebie usłyszała ciężki oddech Czarnego Jacka i odważyła się unieść powieki. W jednej chwili zrozumiała powagę swego przestępstwa. Była nieposłuszna. Narobiła kłopotów. Nie została, by pocieszać grymaszącą Margaret. Zostanie odesłana. Niemal bezwiednie Lally skurczyła się w oczekiwaniu na cios. Zamiast tego poczuła ciepły dotyk i uniosły ją silne ramiona.

- Och, Lally! Jesteś cała - przez moment Czarny Jack kołysał ją jak niemowlę, tuląc i całując. - Lally, Lally! Przeszukaliśmy cały dom. A potem znalazłem otwartą furtkę. Przecież mogłaś spać. Mogłaś się zabić. Dlaczego, Lally? Dlaczego chciałaś uciec? Czy ktoś cię skrzywdził?

Potała pieszczotliwie okrągłą dziecięcą buzią o jego szorstki od zarostu policzek. Lally kochała zapach Czarnego Jacka, woń cygar i mydła. Kochała dotyk tweedowej marynarki. Kiedy połaskotały ją jego wypomadowane wąsy, zachichotała. Strach minął. Mogła się śmiać i mogła mówić.

- Chciałam zobaczyć, czy wszystko jest jak dawniej. Wszystko. Królik i kot, i pies. Czy nikt tego nie zabrał. Chciałam zobaczyć... - wskazała na Pellham Langley pod nimi - dom... Mój dom.

Czarny Jack patrzył na dziecko ze zdumieniem.

- Bałaś się, że coś się zmieniło, Lally?

- Myślałam, że nigdy już tu nie wrócę albo że wszystko będzie - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - inne. Ale wszystko jest nie... nie dobre. - Dziewczynka szukała czegoś w pamięci. Wreszcie rozpromieniła się i zawołała - Jest lepsze.

- Lally, wyrażasz się jak Jon! Roześmiała się zadowolona.

- Kocham Jona. Kocham Margaret. I ojca. I pannę Trimble. - Wyciągnęła rękę, wskazując szeroki świat u ich stóp. - Kocham to wszystko.

- Uczyłaś się mówić, mała Małpko, i nigdy się nam nie przyznałaś. Uczyłaś się mówić od Jona.

To była prawda. Teraz, gdy ośmieliła się wyjść poza monosylaby, jej głosik wydawał się jak na małe dziecko dziwnie głęboki i aksamitny. Miał bardzo ory-

46

ginalną barwą i szczęśliwie nie pobrzmiewał akcentem ze slumsów. Sposobem wyrażania się i wymową Lally przypominała Jona. I trochę Alice Trimble. Nie przejęła za to nic z dziecięcego szczebiotania Margaret.

Czarny Jack niósł dziewczynkę ostrożnie stąpając po śliskich od deszczu gładkach. Lally czuła się bezpiecznie, przytulona z całej siły do przybranego ojca. W otwartych drzwiach frontowych czekała Alice Trimble. Na ich widok ruszyła, by zabrać dziewczynkę z ramion Czarnego Jacka, ale on już wbiegł na schody.

- Musimy szybko powiedzieć Margaret, że jej towarzyszka zabaw żyje. I że zaczęła mówić. Wątpię, by ktokolwiek w tym domu doszedł teraz do słowa, zanim ona się nie wypowie. - Wbiegał, pokonując po dwa schody i wołając: - Lally umie mówić! Słuchajcie, słuchajcie! Lally mówi!

Po tym wydarzeniu dziewczynka zaczęła rozwijać się jak kwiat na słońcu. Z napiętą uwagą próbowała pochwycić i spożytkować wszystko, co mogli jej dać. Słowa płynęły z jej ust niepowstrzymanie. Ciągle śmiała się, wyśpiewała razem z Margaret dziecięce piosenki. Marszcząc brwi w wyrazie koncentracji, usiłowała zrozumieć znaczenie nowo zasłyszanych wyrazów. Radziła sobie z nimi znacznie lepiej niż Margaret i błagała Jona czy pannę Trimble, by wyznaczali jej coraz bardziej skomplikowane zadania. Czasami Jon dopytywał się tonem dobrodusznego protekcjonalizmu:

- No, Małpko, czego się dzisiaj dowiedziałaś?

A ona pisała dużymi dziecinnymi kulfonami słowa, których ją nauczył. Proste słowa, ale dla Lally były one magicznymi zaklęciami. Otwierały drzwi królestwa. Dziewczynka nie bała się już, że te drzwi zostaną przed nią zatrzaśnięte.

Nigdy więcej mała Lally nie sprzeciwiła się poleceniom dorosłych, nigdy więcej nie powędrowała sama przez ogrody i wrzosowiska. Wyprawa w wieczór przyjazdu z Włoch była największą przygodą dotychczasową

życia. Dziewczynka pojęła jednak, że przyczyniła troski i zmartwienia człowiekowi, którego kochała. Nigdy więcej tego nie zrobi, postanowiła.

Jak i poprzednio, Lally starała się zabawić Margaret. Teraz jednak potrafiła wypowiedzieć wszystko, co jej przyszło do głowy, kontakt między dziećmi stał się więc mniej jednostronny. Obie dziewczynki mogły uczyć się od siebie nawzajem.

Alice Trimble pilnie obserwowała rozwój swojej podopiecznej.

- Możliwe, że Lally jest starsza niż przypuszczaliśmy - zwróciła się do Czarnego Jacka. - Była tak wygłodzona, kiedy ją tu przyniosłeś, że wyglądała na młodszą od Margaret. Teraz rozwija się umysłowo równie dobrze jak rośnie.

Powiedziałabym, że niedługo będzie zbyt gruba. Te wszystkie przemiany zakrawają na cud.

II

Kontakty mieszkańców Pellham Langley z miejscowymi ziemianami stawały się coraz bardziej ograniczone. Nie można było zatrzymać lawiny plotek, szerzących się dzięki niedyskrecji pani Plaidstow i lady Bletchley. Cała okolica

aż huczała. Guwernantka, Alice Trimble, to kochanka Czarnego Jacka. Nie do wiary. Ludzie kręcili głowami ze zdumieniem. W klubie konserwatystów w Leeds panowała opinia, że Czarny Jack ma prawo do wszelkich przyjemności, ale powinien zachowywać się bardziej dyskretnie, taktownie, a nie wplątywać w romans z opiekunką własnych dzieci.

- Chłopak wpakował się w niezłą kabałę - brzmiał werdykt. Mimo to w męskim świątku Pollock witany był z pobłażliwą wyrozumiałością. Zgodnie z panującymi obyczajami przez rok po śmierci lady Latitii, wdowca nigdzie by i tak nie zapraszano ani nie przyjmowano jego zaproszeń. Bywalcy klubu postanowili więc sprawę odłożyć i zobaczyć, co wydarzy się w ciągu tego roku. Jeśli guwernantka okaże się kuta na cztery nogi, wkrótce zostanie panią Pollock. Było jednak wątpliwe, czy będzie ona kiedykolwiek przyjmowana przez nfałżonki członków klubu.

Tymczasem życie w Pellham Langley toczyło się swoim torem. Czarny Jack rozmawiał z kandydatkami na stanowisko gospodyni, ale żadna z nich nie spodobała mu się. W sposobie bycia co poniektórych dawała się wyczuć jakaś protekcjonalność, jakby robiły łaskę, zgadzając się służyć w takim domu. Na ogłoszenie odpowiedziały też znacznie bardziej kłopotliwe kandydatki, których referencje pochodziły sprzed wielu lat, a o ostatnich pracodawcach nic konkretnego nie można było powiedzieć. Ostatnia z tych kobiet, ponad sześćdziesięcioletnia niechlujna niewiasta o czerwonych policzkach i nosie, który wywołał natychmiastowe podejrzenie, że jego właścicielka będzie regularnie odwiedzać piwnice z winami, szczerze wyraziła powszechnie panującą opinię.

- No cóż, panie Pollock, moim zdaniem człowiek w sytuacji przymusowej nie powinien grymasić, nieprawdaż?

- Co pani przez to rozumie?

- Nie znajdzie pan wielu chętnych do zajmowania się domem pana utrzy-manki. Ja, na przykład, jestem szanowaną... Czarny Jack zadzwonił na Billingsa. Modlił się w duchu, by Alice ani żadne z dzieci nie usłyszały wyszukanych przekleństw i inwektyw, którymi uraczyła go niedoszła gospodyni, gdy pokazano jej drzwi. Pozbywszy się wreszcie rozwścieczonej kobiety, Pollock ponownie wezwał Billingsa.

- Chcę wiedzieć, jaką podjąłeś decyzję? Odchodzisz, czy zostajesz? O zdumieniu kamerdynera świadczyły jedynie lekko uniesione brwi.

- Przepraszam, sir?

- Zdajesz sobie przecież sprawę z sytuacji. Nie udawaj, że jesteś ślepy i głuchy. Ta... ta kreatura znała moje intymne sprawy, więc zapewne wszyscy wszystko wiedzą. Jeśli chcesz odejść, wystawię ci, oczywiście, znakomite referencje...

Billings słuchał bez słowa. Dawno już bowiem się zdecydował. Nie aprobował tego stanu rzeczy, nie rozumiał posunięć Pollocka. Jeśli Czarny Jack chciał mieć kochankę* mógł znaleźć dziewczynę dużo bardziej atrakcyjną niż panna Trimble, młodszą, ładniejszą. I utrzymywać ją dyskretnie w Leeds czy Bradford, żeby skandal nie dotknął Pellham Langley. Billings nie potrafi zrozumieć, co można dostrzec w kobiecie tak niepozornej jak Alice Trimble. Ale cóż, są różne

49

gusta. Może Czarny Jack po prostu wpadł w pułapkę i nie umiał się z niej wyplątać. Jednak uczciwość nakazywała przyznać, że panna Trimble nie próbowała wykorzystywać swojej pozycji. Nie zadzierała nosa, nie wydawała służbie rozkazów. Ale też zaszły w guwernantce widoczne gołym okiem zmiany. Wyglądała... Billings szukał właściwego słowa. Po prostu wyglądała na szczęśliwą. Szczęście nawet dodało jej urody i wdzięku.

Jednakowoż moralność Alice Trimble nie interesowała Billingsa na tyle, by w wieku czterdziestu sześciu lat miał szukać sobie nowej posady. Dawno temu pojawił się w Pellham Langley w odpowiedzi na zamieszczone przez Czarnego Jacka ogłoszenie. Nigdy nie pragnął osiadłego życia z żoną i dziećmi. Osobista wygoda była jego jedynym celem i wiedział, że łatwiej będzie mu dostatnio się urządzać u Pollocka niż w jakiejś arystokratycznej, ale przez to bardziej wymagającej rodzinie. Gdy Czarny Jack ożenił się, Billings starał się na wszelkie sposoby zyskać akceptację lady Latitii, którą niezmiernie to bawiło.

- Jest przeraźliwym snobem - podsumowała kiedyś. - Ale cóż, większość kamerdynerów cierpi na tę przypadłość. Trzeba brać ludzi z dobrodziejstwem inwentarza.

Jednakże Billings był szczerze przywiązany do lady Latitii. Po jej śmierci ze strachem i niechęcią myślał o kobiecie, która mogłaby któregoś dnia zająć miejsce pani domu. Łagodna, niepozorna Alice Trimble sprawiła mu jednocześnie niespodziankę i rozczarowanie. Billings wolałby osobę ze stosowną pozycją, nawet jeśli byłaby przy tym bardziej wymagająca i władcza niż skromna guwernantka. Nie zamierzał jednak narażać własnej wygody i, jak pani Plaidstow, prawić kazań o moralności. Wiedział, że panna Trimble wygrała, a życie w Pellham Langley było nader wygodne. Czarny Jack nigdy nie podawał w wątpliwość przedstawianych mu rachunków, radził się Billingsa w wielu domowych sprawach, przymykał oko na znikające z piwnicy butelki najlepszych win.

Pod pewnymi względami sytuacja stała się szczególnie korzystna. Wobec braku nie tylko pani domu, ale i gospodyni kamerdyner miał szansę rządzić całym domem i w dodatku wymóc na Czarnym Jacku podniesienie pensji.

- Obawiam się, że nie rozumiem, o co panu chodzi. Nigdy nie rozważałem możliwości odejścia z Pellham Langley. Chyba że to pan ma powód do niezadowolenia z moich usług.

Czarny Jack roześmiał się.

- Idź do diabła, Billings! Jesteś starym hipokrytą. Więc zostajesz. Świetnie, jakoś sobie poradzimy.

Zakłopotany Billings wycofał się w stronę drzwi.

- Wierzę, że wszystko ułoży się bez większych komplikacji, sir. Jak dawniej.

* *

Niemal niezauważalnie Alice Trimble przejęła rolę gospodyni Pellham Langley. Billings sprawował kontrolę nad służbą, kucharka samowładnie rządziła

51

w kuchni. Jednak propozycję menu codziennie przedstawiała Alice Trimble, która zresztą nigdy nie sugerowała żadnych zmian. Billings zaś konsultował z guwernantką domowe sprawy, wymagające, jak mówił, kobiecej ręki. W głębi serca uważał, że sam dałby sobie radę ze wszystkimi tymi problemami, ale roztropność nakazywała mu zasięgać rady panny Trimble. Alice bowiem zyskiwała coraz większy wpływ na Czarnego Jacka. Billings nie zamierzał z nią zadzierać, istniała bowiem ewentualność, że Pollock popełni szaleństwo i ożeni się z guwernantką swoich dzieci. Kamerdyner czekał więc na rozwój wypadków.

Tymczasem w Pellham Langley zachodziły dalsze zmiany. Czarny Jack przeniósł się z pokoi, które zajmował za życia Latitii do skrzydła, gdzie mieścił się apartament Alice Trimble. Służba pojęła doniosłość tego faktu, ale dzieci zdawały się nie zauważać niczego.

Niewielu gości zakłócało spokój Pellham Langley. Kucharka, wspominając czasy wystawnych przyjęć, wzdychała i żaliła się Billingsowi przy wieczornej szklaneczce portwajnu.

- Ach, to było życie... - Wydawała się już nie pamiętać, że ongiś narzekała na przepracowanie.

Zaraz po powrocie z Włoch Czarny Jack wpadł w szal przebudowywania domu.

- Pellham Langley jest okropnie staroświeckie - oświadczył. - Powinniśmy mieć łazienki. Łazienki z bieżącą gorącą wodą, jak w cywilizowanym kraju. Zresztą będzie to duża oszczędność.

Przed paru laty w Pellham Langley zainstalowano kilka ubikacji, ale teraz Czarny Jack marzył o wygodach i urządzeniach, jakie widywał w najlepszych europejskich hotelach; o łazienkach z marmurowymi wannami i umywalkami. Architekt był przerażony, gdy usłyszał, że nawet służbówki mają zostać wyposażone na nowo, aczkolwiek mniej okazale. Tymczasem Czarny Jack żądał realizacji kolejnych pomysłów.

- Mój ojciec nie myślał perspektywicznie. Kiedy Jon, Margaret i Lally wyrosną z pokoi dziecinnych, każde z nich będzie potrzebowało przynajmniej sypialni i bawialni. Bóg jeden wie - zastanawiał się - czy wystarczy im miejsca na jednym piętrze.

Szał przebudowywania i przemeblowywania wniósł również zmiany w życie panny Trimble. Choć Alice nadal odmawiała poślubienia Czarnego Jacka, ten nalegał, by przeniósła się do pokoi, sąsiadujących z jego apartamentem.

- Do diabła, Alice, jestem chory od tego biegania tam i z powrotem. We własnym domu... Jeśli mnie kochasz, jak twierdzisz, wyjdź za mnie - irytował się, a ona po raz setny powtarzała swoje argumenty.
- Nie chcę, by mówiono, że podstępem postawiłam cię w sytuacji przymusowej.
- Czy ja wyglądam na głupca, który łatwo daje sobą powodować?
- Nie mogę zajmować jej miejsca, miejsca lady Latitii. Była taka piękna... wspaniała. To zbyt wielki kontrast. Zresztą za jakiś czas znudzisz się mną. Odejdę, kiedy będę musiała... nie wcześniej.
- Nie pozwolę ci odejść, Alice. Potrzebuję cię.

43

Potrzebował jej, ale nigdy nie wspominał o miłości. Jego uczucia umarły wraz z Latitią. Tak przynajmniej sądziła panna Trimble.

Aż któregoś dnia młoda kobieta zniknęła, Spakowała rzeczy i bez słowa wyjaśnienia opuściła Pellham Langley. Billings poinformował o tym Czarnego Jacka, gdy ten wrócił wieczorem z fabryki.

- Na miły Bóg, dokąd ona pojechała?
 - Nie chciała powiedzieć, sir. Kitson zawiózł ją na stację w Leeds. Nie wie, dokąd kupiła bilet.
 - Głupcze! - Czarny Jack rzadko tracił opanowanie w obecności służby. - Powinieneś być od razu posłać po mnie do fabryki.
 - Bardzo mi przykro, sir... - Billings szczerze się strapił. - Myślałem, że państwo omówili to między sobą.
- Czarny Jack kazał zaprzęgać i wieźć się galopem na dworzec kolejowy. Przeprowadził wszystkich bagażowych. Żaden z nich jednak nie pamiętał opisywanej kobiety. Hojnie rozdane banknoty skutecznie zachęciły pracowników stacji do pomocy. Pollock miał zgłosić się po wiadomości następnego ranka.
- Resztę wieczoru Czarny Jack spędził, przeszukując papiery w biurku zmarłej żony. Latitia zawsze była nieporządna. Swego czasu uważał to za czarujący mankament, teraz jednak przeklinał jej bałaganiarstwo. Gdzieś tutaj powinien być zapisany adres matki Alice Trimble. Jakiś port, o ile pamiętał. Ale który? Jack zdał sobie sprawę, jak niewiele wie o kobiecie, z którą żył od kilku miesięcy. Dręczyła go myśl, że nigdy nie wyznał jej miłości. Wyglądałoby to na zdradę wobec pamięci Latitii. A przecież kochał Alice i musiał ją odnaleźć. Tej nocy łóżko wydawało mu się zimne i puste.

Następnego dnia na stacji w Leeds dowiedział się tylko, że młoda kobieta, podobna do panny Trimble, wsiadła do londyńskiego pociągu. Z Londynu mogła pojechać dokądkolwiek. Zrozpaczony jeszcze raz przeszukał biurko Latitii i przepisał Billingsa.

- Czy ktokolwiek w tym domu wie, gdzie mieszka jej matka? Billings pokręcił głową.

- Może pani Plaidstow...-zasugerował.

Pani Plaidstow przyjęła posadę gospodyni u starego pastora metodystów w okolicach Bradford. Czarny Jack zdawał sobie sprawę, że była to niekorzystna zmiana po dostatkach w Pellham Langley. Nie zdziwiła go więc wrogość, z jaką został powitany.

- Nie wiem nic o miejscu pobytu panny Trimble. To nie moja rzecz.

- Opuściła pani Pellham Langley, powołując się na swoje chrześcijańskie zasady. Błagam więc panią o odrobinę miłosierdzia... Mogła pani widzieć listy zaadresowane do jej matki czy stempel pocztowy na tych, które otrzymywała. -Położył na stole plik banknotów wartości kilkuletniej pensji na plebanii. Twarz pani Plaidstow wyrażała wyraźne zmaganie się sprzecznych uczuć. Wreszcie chciwość zwyciężyła.

- Sprawdzę w notesie, może tam coś jest. - Wróciła kilka minut później -Zapisałam kiedyś na wypadek, gdyby panna Trimble zachorowała. Jej matka

mieszka w miejscowości zwanej Fowey, w Kornwalii. To gdzieś na wybrzeżu, jak mi się wydaje. Mówiła, że jej ojciec był oficerem marynarki. Wątpię, czy... - Czarny Jack nie był jednak zainteresowany opiniami pani Plaidstow. Po prostu odwrócił się i wyszedł..

Dotarł do Londynu w porze odjazdu nocnego pociągu do Kornwalii. Fowey okazało się małą miejsciną, położoną na stromym brzegu rzeki. Uzyskanie dokładnego adresu pani Trimble nie zajęło mu dużo czasu. Matka Alice mieszkała w niewielkim domku, ładnym, schludnym i bardzo skromnym. Starsza kobieta ubrana na czarno, która otworzyła Jackowi drzwi, nosiła jeszcze ślady dawnej urody.

- Pani Trimble? Jestem Jack Pollock. Błede wargi zadrżały.

- Bogu dzięki - wyszeptała.

Znalazł Alice w saloniku na tyłach domu. Jak dawniej, miała na sobie skromną brunatną suknię. Wydawało się, że jej włosy i oczy straciły swój blask.

- Musiałam odejść - spokojnie odparła zarzuty Jacka. - Staralam się nie zająć w ciążę, ale stało się. Odeszłam, żebyś nigdy się nie dowiedział.

- Głuptasie! Mały głuptasku! Myślałaś, że nie będę cię szukał?

- Gdybym miała więcej siły, pojechałbym dalej. Powinnam była ukryć się tak, żebyś nie mógł mnie znaleźć. Mam dość oszczędności na podróż do Ameryki. Myślałam o sprzedaniu pereł, ale nie mogłam się na to zdobyć. Jeszcze nie teraz. Może, gdy dziecko...

Pochylił się i ujął jej dłonie.

- Alice, wiele razy prosiłem, żebyś za mnie wyszła. Ale dopiero teraz mówię, że cię kocham. Zrozumiałem to, kiedy odeszłaś i przeżyłem piekło. Kocham cię, Alice, rozumiesz?

Delikatny rumieniec oblał twarz młodej kobiety. Oczy nagle nabrały blasku.

- Zawsze cię kochałam. Wiesz o tym.

- Wiec musimy skończyć z tym szaleństwem i pobrać się - oświadczył Czarny Jack.

- Jeszcze nie minął rok - zaoponowała. - To nie wypada.

- Do diabła z konwenansami. Latitia nigdy nie przejmowała się takimi bzdurami, więc nie uchybiamy jej pamięci.

Urodzisz to dziecko jako moja żona i nie ma dyskusji.

III

Pobrali się w Fowey i natychmiast wrócili do Pellham Langley.

- Oto pani Pollock - Czarny Jack lakonicznie poinformował Billingsa. Kamerdyner pospieszył z nowiną do kuchni, gdzie wzbudził prawdziwą sensację.

- Mógł tylko tak powiedzieć. Ale czy to prawda? - powątpiewała kucharka.

Wiadomość wywołała wstrząs w całym domu. Jon słuchał ojca w milczeniu, nie dając po sobie poznać, co myśli.

Lally spoglądała nerwowo to na jedno, to na drugie dziecko. Wreszcie utkwiała wzrok w Czarnym Jacku, zadowolona, że

45

przynajmniej on wygląda na szczęśliwego. Czy panna Trimble będzie jej znana pod dawnym imieniem, czy jako pani Pollock, nie miało to dla dziewczynki wielkiego znaczenia. Czekala na reakcję pozostałych. I wtedy nastąpił Wybuch.

- Czy ona została moją nową mamą? Ja nie chcę nowej mamy! Ona jest guwernantką - krzyczała Margaret. - Dlaczego nie może być nadal guwernantką? Chcę do mojej mamy!

Małą buzię wykrzywił gniew. Płacz, który wznosił się do najwyższych tonów, teraz zamienił się w histeryczny wrzask.

- Nie chcę jej! Nie chcę jej!

- Spokojnie, panienko Margaret. Spokojnie... - Niania wzięła dziewczynkę na ręce. - Jeśli pan pozwoli, sir. Myślę, że będzie lepiej...

Czarny Jack przytaknął i ruszył w stronę drzwi.

- Z czasem zrozumie. Pani Pollock nie ma zamiaru zajmować miejsca jej matki.

- Oczywiście, sir. - Głos niani był uprzejmy, ale twarz wyrażała zawziętość.

- Chodź, Jon - odezwał się ojciec. - Chodź, wypijesz z nami herbatę. Twoja... Pani Pollock czeka w salonie.

- Ja też chciałabym - poprosiła Lally. Stęskniła się za Alice Trimble.

- Nie! - krzyknęła Margaret. - Nie! Lally musi zostać ze mną. Chcę Lally!

Oczy Czarnego Jacka spojrzały błagalnie. Dziewczynka skinęła głową, okazując, że rozumie kierowaną do niej prośbę, chociaż nie pojmuje zachowania Margaret.

- Zostanę. - Spełni wszystko, czego pragnie Czarny Jack. Dawno to sobie przyrzekła.

- Grzeczna mała - uśmiechnął się Pollock z ulgą. - Jeśli jutro będzie ładnie, weźmiemy dwiikółkę i urządzimy sobie piknik gdzieś na wzgórzach. - Wiedział o miłości tego dziwnego dziecka do dzikich wrzosowisk.

Przez noc Margaret uspokoi się, odpocznie. Rano nie będzie już tak nerwowo reagować. Dotąd przecież lubiła Alice. Ale wyraz twarzy niani zapowiadał dalsze kłopoty. Przypominał, że wiele osób nie zaakceptuje Alice w nowej roli. Westchnął i gawędząc z Jonem, podążył do salonu.

Alice nalewała herbatę ze srebrnego czajnika, po raz pierwszy podejmując obowiązki pani Pellham Langley. Na jej widok Jon przez moment zawahał się, a potem rzucił się w objęcia dawnej guwernantki.

- Panno Trimble! Panno Trimble, gdzie pani była? Nie miałem lekcji, a Margaret znudziła mnie okropnie. Panno Trimble...

- To już nie jest panna Trimble, Jon. To pani Pollock - łagodnie powiedział Czarny Jack.

- Czy mam panią nazywać panią Pollock? - dopytywał się chłopiec. Potrząsnęła głową.
- Nie. To brzmi dziwacznie. - Zrozumiała, że nigdy nie będzie nazywana matką, czy mamą. - Dlaczego nie miałbyś zwracać się do mnie po prostu Alice? Teraz jesteśmy spowinowaceni.

57

Nie było w zwyczaju, by dziecko mówiło do dorosłego po imieniu. Ale Alice Trimble złamała już tyle konwenansów, że zlekceważenie jednej zasady więcej już nie robiło różnicy.

*

* *

Czarny Jack popędzał murarzy, obawiając się, że hałas i kurz mogą przeszkadzać Alice. Jednak ona nigdy nie narzekała. Zbyt łatwo ją zadowolić, myślał czasami. Wszystkim, czego wydawała się pragnąć, była obecność męża. Toteż spędzał z nią tak wiele czasu, jak tylko mógł, zaniedbując fabryki i kopalnie. Alice sprawiała niewiele kłopotu swoim stanem. Prawdziwym problemem okazała się natomiast Margaret. Dziewczynka uparcie bojkotowała dawną guwernantkę, odrzucając wszelkie próby pojednania. Była też chorobliwie zazdrosna o Lally i jej uczucia dla Alice.

- Lally jest moja! Moja! - krzyczała w atakach furii.

- Lally nie należy do ciebie - Czarny Jack starał się zdobyć na cierpliwość w nadziei, że z czasem córka złagodnieje, zmieni stosunek do otoczenia. Mała miała nie tylko urodę, ale i temperament swej matki. Wobec takiego charakteru wszelkie naciski okazywały się bezowocne, a nawet mogły dać fatalne rezultaty. Latitia jednak nigdy nie była tak zawzięta i apodyktyczna jak to dziecko. Cierpliwości, powtarzał sobie Czarny Jack. Potrzeba cierpliwości i czasu. Mijały tygodnie i Alice stawała się coraz bardziej ociężała. Nadal często się uśmiechała, ale jej ruchy były teraz powolne, a w oczach malowało się znużenie. Musiała zrezygnować z wysiłku uczenia Jona. Czarny Jack zatrudnił młodego nauczyciela, który przyjeżdżał z Bradford, by udzielać chłopcu lekcji. Zaplanowano, że następnej jesieni, kiedy Jon skończy osiem lat, zostanie oddany do szkoły, którą niegdyś kończył jego ojciec.

- Będę wreszcie dorosły - mówił z dumą chłopiec.

Tego roku święta Bożego Narodzenia obchodzili tylko we własnym gronie. Ogromny hall ozdobiony był gałęziami jodły i ostrokrzewu. Jak zawsze przyszli z wioski kolednicy. Pośpiewali i zostali ugosczeni. Ale do tego ograniczyły się świąteczne wizyty. Nikt więcej nie odwiedził Pellham Langley. Czarny Jack wmawiał sobie, że sąsiedzi nie chcieli się narzucać ze względu na stan Alice. Lord i lady Bletchley przysłali gwiazdkowe prezenty dla wnuków,

pomijając w życzeniach ich ojca. Czarny Jack czynił rozpaczliwe wysiłki, by poprawić smętny nastrój. Obsypywał swoich bliskich hojnymi upominkami, starając się zrekompensować im brak radosnej atmosfery.

Dziecko miało przyjść na świat w maju. Poród jednak rozpoczął się pewnej marcowej nocy, kiedy wiatr zawiewał śniegiem jak na rosyjskich stepach. Doktor, pośpiesznie wezwany przez przerażoną przerastającymi jej umiejętności komplikacjami położną, musiał ostatnie pół mili brnąć pieszo przez zaspy. Próżno było marzyć, by słynny specjalista, którego zamierzali wezwać w razie potrzeby, przybędzie w taką pogodę z Leeds. Wiadomość przesłano jednak w nadziei, że

lekarz dotrze do Pellham Langley na czas. Nad ranem burza ucichła. W szarym, przejrzystym świetle świtu wrzosowiska pokryte głębokim śniegiem wydawały się oazą spokoju. Stojąc przy oknie, Czarny Jack pomyślał, że dawno nie widział równie czystego, jasnego poranka. Jego dziecko walczyło właśnie o pojawienie się na tym świecie.

Doktor ze smutkiem pokręcił głową.

- W wieku pani Pollock jest już trochę za późno na pierwszy poród. Musimy przygotować się na komplikacje. Nie mogę odwrócić niemowlęcia. - Pośpnie spoglądał na śnieg. Drogi będą zasypane jeszcze przez wiele dni.

Specjalista z Leeds nie przyjedzie. Nic by zresztą już nie zdołał pomóc.

Wąta, choć śliczna dziewczynka przyszła na świat w jasnym słońcu późnego popołudnia. A Alice umarła. Czarny Jack przytulił twarz do kochanych piersi, obleczonych w czysty biały batyst i koronki, i płakał rozpaczliwie.

- Co ja ci zrobiłem, Alice?... Alice...?

Lally wyślizgnęła się z pokoju dzieciennego. Domyślała się, gdzie szukać przybranego ojca. Nie była zaskoczona ani przestraszona głośnym szlochem. Wiedziała, że tych dwoje ludzi, którzy troszczyli się o nią jak nikt przedtem, darzyło się gorącą wzajemną miłością. Przytuliła twarz do policzka Czarnego Jacka, a on przygarnął ją, jakby szukał u dziewczynki ratunku.

- Widziałeś małą? - spytała. - Ma mnóstwo jasnych włosów. Jak ją nazwiemy?

Czarny Jack wciąż powtarzał imię Alice, więc powróciwszy w końcu do reszty domowników, Lally obwieściła im, że dziecko nazywa się Alice.

Kilka zaledwie osób zebrało się, gdy po raz drugi w ciągu niecałych dwóch lat Czarny Jack chował żonę. Niektórzy nadal powątpiewali, czy była ona jego prawowitą małżonką. Pani Trimble, zbyt schorowana, by zimą podróżować z Kornwalii aż do Pellham Langley, przysłała tylko małą paczuszkę trykotowych ubranek dla swej jedynej wnuczki.

W noc po pogrzebie Czarny Jack siedział samotnie w bibliotece. Nie miał odwagi wrócić do sypialni, którą zajmowali z Alice. Nie chciał też iść do pokoju Latitii. Wpatrywał się w ogień na kominku, pił brandy i oczekiwał na litościwy sen. Właśnie bił zegar w hallu, kiedy mała, pulchna postać, ubrana we flanelową koszulkę nocną, pojawiła się w drzwiach, zamykając je za sobą ostrożnie. .

- Lally, co ty tutaj robisz? Powinnaś spać.

Dziewczynka westchnęła. Jej okrągła twarz zwróciła się ku Czarnemu Jackowi z troską.

- Uśpiłyśmy Margaret - oświadczyła rzeczowo. - Słyszałam, jak niania mówiła Neli, że nie spałeś od... cóż, przez długi czas. Pomyślałam, że przyjdę i posiedzę z tobą.

- Niania nie wie, że tu jesteś? Niecierpliwie wzruszyła ramionami.
- Uważasz, że niania pozwoliłaby mi zejść na dół? - Oparła się o kolana Czarnego Jacka i patrzyła na niego wielkimi czarnymi oczami. - Martwisz się o niemowlę? Zaopiekuję się nim. Zaopiekuję się Alice, tak jak Margaret.

48

Pollock poczuł wyrzuty sumienia. Wlepione w niego oczy były bardzo poważne, zdecydowane. Czyżby bezwiednie pozwolił temu dziecku przyjąć na siebie brzemię opieki nad Margaret?

Z trudem uśmiechnął się do Lally.

- Tak, wiem, że zaopiekujesz się Alice. Wierzę, że pomożesz mi troszczyć się o nią. - Podniósł dziewczynkę i posadził na dużym krześle obok siebie. - Chyba oboje powinniśmy już iść się położyć.

Przytuliła się do niego, jak gruby, ciepły szczeniaczek. Kiedy zasnęła, zaniósł ją do łóżka, starannie otulił i cicho się wymknął. W pokoju na końcu korytarza mamka siedziała nad kołyską niemowlęcia. Czarny Jack wpatrywał się przez chwilę w twarzyczkę najmłodszej córeczki.

- Jest taka śliczna i spokojna, panie Pollock. Prawie w ogóle nie płacze. I wydaje się przybierać na wadze. Myślę, że będzie żyć. Proszę spojrzeć, jak słodko się uśmiecha...

Zawsze słodko się uśmiechała. Nie sprawiała żadnych kłopotów. Przybierała na wadze i przeżyła, jak wyprorokowała mamka. Była piękną dziewczynką, ładniejszą nawet od swej przyrodniej siostry, Margaret.

- Mały aniołek - rozczuliła się niania. - Dobra jak złoto. Zupełnie nieświadoma, że można być niegrzeczną. Miała już prawie trzy latka, zanim przyjęli wreszcie do wiadomości tragiczną prawdę. Mózg dziecka został uszkodzony podczas zbyt długiego, pełnego wysiłku porodu. I Alice miała już taka pozostać. Nieświadoma.

49

KSIEGA DRUGA
rok 1914

Rozdział czwarty

I

Czarny Jack w nasuniętej na oczy panamie siedział wygodnie rozparty na leżaku. Było upalne sierpniowe popołudnie. Regularne uderzenia piłki tenisowej usypiały go. Zapadał w drzemkę, a wtedy głowa opadała mu i budził się gwałtownie, próbując odgadnąć wynik. Grali mieszanego debla. To już chyba ostatni set, pomyślał. Niedługo służący wniosą herbatę do przypominającego pagodę pawilonu, który od kortów tenisowych oddzielał wysoki strzyżony żywopłot.

Margaret i Lally partnerowały dwóm przyjaciołom Jona. Czy byli oni kolegami z Oksfordu, zastanawiał się Czarny Jack, czy jeszcze z Eton? Dwóch leżących na trawie młodych ludzi rozpoznał jako elewów z Sandhurst. Wciąż ich wszystkich mylił, plątały mu się imiona. Wydawali się niezwykle podobni. Zwracali się do niego „sir”, a on, kiedy nie mógł przypomnieć sobie imienia, mówił po prostu „drogi chłopcze”. Miał nadzieję, że nie traktują go z pobłażaniem jako starego nudziarza. To było wyczerpujące lato. Poznał tak wielu nowych młodych ludzi, że można mu było chyba wybaczyć drobne przejawy roztargnienia.

Dziewczęta grały w typowy dla siebie sposób. Margaret, smukła i szybka, ale nie umiejąca się skoncentrować, łatwo wpadała w zły humor, gdy coś nie szło po jej myśli. Lally natomiast wzbudzała w mężczyznach szacunek siłą uderzenia i zdecydowaną, czasem tylko zbyt powolną, grą. Niezawodna Lally, dobra zawodniczka, nigdy nie potrafiła jednak dorównać nieoczekiwanym posunięciom Margaret. W chwili, gdy Czarny Jack obudził się z kilkusekundowej drzemki, jego córka odbiła właśnie prawie niemożliwą piłkę i zręcznym uderzeniem umieściła poza zasięgiem rakiety Lally. Margaret i jej partner wygrali gem. Pomruk uznania dobiegł od strony grupy ubranych na biało młodych ludzi, spoczywających na leżakach lub wprost na murawie. Margaret potrząsnęła włosami, złotymi z odcieniem rudego jak u Latitii, pozwoliła sobie na uśmiech i wyteżyła uwagę, by odebrać serw Lally. Piłka uderzyła ze zdumiewającą akuracnością dokładnie w to miejsce, gdzie powinna się znaleźć. Za każdym razem, gdy Margaret miała

stawić czoło serwowi Lally, wpadała w popłoch. Partner Lally, który, jak przypuszczał Czarny Jack, musiał być jednym z pół tuzina nieprzytomnie zakochanych adoratorów Margaret, nie mógł zmusić się do ostrej walki z uwielbianą kobietą. Pozwalał więc sobie tylko na takie uderzenia, by przeciwniczka mogła je bez trudu odebrać. Piłka latała tam i z powrotem z nudną przewidywalnością. Czarny Jack znów przysnął.

Obudził się, czując dotyk czyichś palców. Alice siedziała obok niego na trawie. Podawała mu główkę róży i uśmiechnęła się. Miała trzynaście lat i była tak piękna, że czasem już sam jej widok ranił Czarnego Jacka. Wyglądała jak baśniowa księżniczka. Długie jasne włosy spływały wokół twarzy o idealnym owalu. Smukła i wysoka jak na swój wiek, poruszała się z czarującą gracją. Miała przejrzystą niemal cerę swojej matki, jej delikatny wykrój ust, ciemne brwi i rzęsy. Ale brązowe, śliczne oczy nie błyszczały żywą inteligencją jak niegdyś u Alice Trimble. Te oczy patrzyły na niego z niewinnością i ufnością, ale też wydawały się puste. Zauważył, że z dłoni córki spływa krew. Zrywając różę, musiała bezmyślnie chwycić za kolce. Uśmiechnęła się, kiedy opatrywał chusteczką skaleczenie. Przyglądała się jej z przyjemnością, jak jakiejś nowej zabawce.

Czarny Jack rozejrzał się wokół po roześmianych twarzach. Urzekły beztroskim wdziękiem młodości. Popatrzył na swą śliczną córkę Alice i pomyślał, że oddałby za nich wszystkich serce. W gorące sierpniowe popołudnie radości i strapienia ostatnich trzynastu lat przesuwają się przed jego oczyma jak cienie. Jack Pollock spoglądał na swoje dzieci i pragnął osiąść jakieś czarodziejskie zaklęcie, by czas zastygł na zawsze w tym pięknym, wyzłoconym słońcem dniu ich młodości. Wiedział, że wkrótce wrzosowiska rozbrzmiewać będą strzałami myśliwych i bał się, by nie towarzyszył im huk armat, ciężkich dział niemieckiej artylerii, gdzieś na polach dalekiej Belgii. Lękał się, że ci pełni życia młodzi chłopcy padać będą, jak upolowane ptaki.

II

Po śmierci Alice Trimble życie w Pellham Langley płynęło jednostajnym rytmem. Czarny Jack robił, co mógł, by dzieci nie odczuły zbyt silnie ostatniej straty. W pałacu pojawiła się nowa guwernantka, panna Godson, nijaka, czterdziestoletnia kobieta, nie wzbudzająca żadnych skojarzeń ani ze swą poprzedniczką, Alice Trimble, ani z Latitią. Billings twierdził, że sam da sobie radę z prowadzeniem domu, więc Czarny Jack zaprzestał starań o znalezienie odpowiedniej gospodyni. Był zresztą zbyt odrętwiały po śmierci Alice, by przeprowadzić swoją wolę. Nie widywał nikogo oprócz dzieci. Całymi dniami zastanawiał się, co zrobić z resztą życia.

Nadszedł czas, by wysłać Jona do szkoły. Czarny Jack pragnąłby zatrzymać syna w domu, ale czuł, że nie powinien tego czynić. Wiedział, że chłopiec wcześniej czy później musi zetknąć się z brutalnym światem, a szkoła miała go do tego przygotować. W nowej szkolnej czapce i blezerze Jon wydawał się bardzo

mały i delikatny. Ale sam kandydat na ucznia nie miał żadnych wątpliwości. Gdy Czarny Jack wsadził go do pociągu w Leeds, uściśnął dłoń ojca jak dorosły mężczyzna.

- Niedobrze tato, że zostajesz zupełnie sam z dziewczynami. Ale czas do wakacji minie szybko. Może będziemy mogli zorganizować niezłą drużynę krykieta w naszej wiosce? Pozwolisz mi grać, prawda? - Wyrastał w cieniu legendy o tryumfie ojca podczas zwycięskiego meczu z Lancashire.

- Będziesz dobrze grał w rugby, zanim skończy się rok szkolny, synku. Jasna dziecinna twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

- Tyle jest rzeczy, których mogę się nauczyć. Ale przypuszczam, że nadal najbardziej będę lubił krykieta. - Machał radośnie, gdy pociąg ruszył ze stacji. Czarny Jack udawał, że jakiś paproch wpadł mu pod powiekę. Gwałtownie wydmuchał nos i otarł oczy.

Margaret i Lally czekały na niego w domu. Dobrze prezentowały się w jednakowych sukienkach i fartuszkach z holenderskiego płótna. Lally, która nic nie umiała, kiedy znalazła się w Pellham Langley, teraz zostawiła Margaret daleko w tyle. Pisała zamaszyście, trochę niezdarne, ale bezbłędnie, zawsze znajdując czas, by odwrócić się i pomóc przybranej siostrze w tym, co przekraczało jej możliwości. Może Alice miała rację, myślał Czarny Jack. Może Lally rzeczywiście jest starsza niż przypuszczali. Zdumiewała go cierpliwość, z jaką usiłowała otoczyć opieką i wesprzeć Margaret.

Guwernantka, panna Godson, odnosiła się do Lally podobnie jak pozostali domownicy w Pellham Langley, wyłączając Czarnego Jacka i Jona. Była rozumną kobietą i usiłowała zachować obiektywny stosunek do obu swoich wychowanek. Ale nic nie mogła poradzić, że wołała pannę Pollock od panny Leeds. Margaret przy tym wymagała więcej uwagi. Często miewała złe nastroje, w chwilę potem zaś była tak miła i słodka, że łatwo jej wybaczano. Lally natomiast posłusznie wykonywała polecenia, a wiedzę wydawała się chłonać bez wysiłku.

Nikt nigdy nie słyszał, by Lally Leeds narzekała, myślał Czarny Jack. Biedna Lally.

* *

Mijały lata i mieszkańcy Pellham Langley zaczęli powracać do normalnego życia towarzyskiego. W kręgu znajomych Czarnego Jacka historia romansu Alice Trimble długo jeszcze stanowiła ciekawy temat rozmów. Ubarwiano ją na wszelkie możliwe sposoby, urozmaicano coraz to nowymi szczegółami. Zainteresowanie budziła też mała Alice. Jest trochę nierozgarnięta, mówiono. Nie żeby zupełnie nienormalna, ale opóźniona w rozwoju. Cóż, Czarny Jack może pozwolić sobie na odpowiednią opiekę dla chorej córki. Najwyraźniej nie zamierza odseparować jej od reszty rodziny.

W rzeczywistości Jack Pollock czynił wszelkie starania, by włączyć Alice do domowego życia. Mała miała swoją własną niańkę, Neli, i nauczycielkę, pan

65

nę Garner ponieważ guwernantka musiała poświęcić czas pozostałym dwóm dziewczynkom. Czarny Jack nie tracił nadziei, że najmłodszą córkę też będzie można wszystkiego nauczyć. Tylko powoli, łudził sam siebie. Piękne dziecko żyło jakby w innym świecie. Uśmiechało się, gdy je pieszczono, prawie nigdy nie płakało. Ciało dziewczynki rosło, ale umysł pozostawał w stanie błogiej niewinności.⁶

Czarny Jack zaczął wydawać w Pellham Langley przyjęcia. Kupcy z Leeds i Bradford przyjeżdżali ochoczo, nie zniechęceni bynajmniej długą drogą bo zaproszenie Czarnego Jacka było dla nich zaszczytem. Pollockowi zdawało się że robić rozmocy, że w jego domu bawili jednocześnie skromni handlowcy magnaci przemysłowi, właściciele kopalń i miejscowa szlachta. Od czasu wypadku Latitn nigdy już co prawda nie polował, ale nadal utrzymywał kontakty ze znajomymi z dawnych lat. Chciał, by jego dzieci obracały się wśród rówieśników z towarzystwa. Zabierał też starsze córki i Jona na wyścigi. Margaret i Lally w eleganckich strojach do jazdy konnej, często galopowały na kucykach po ścieżkach i drózkach wrzosowisk. Nie było wątpliwości, która z dziewczynek jest córką Latitn Okrągłutka czarnulka niezgrabnie podskakiwała w siodle, podczas gdy złotowłosa czarodziejka wyglądała, jakby się w nim urodziła. Jednak kiedy obydwie wzięły udział w konkurencjach dziecięcych na lokalnym pokazie, okazało się, że tłusciutka Lally prowadzi swego kuczka przez przeszkody pewną ręką z nieoczekiwaną odwagą. Doskonale rozumiała się ze zwierzęciem i potrafiła nad nim zapanować. Margaret mogła przesadzić przeszkodę, mogła przejechać idealną randę. Ale najmniejsze niepowodzenie wprawiało ją w taką histerię, że wkrótce cały tor stawał się rumowiskiem strąconych belek, a zniechęcony, zdenerwowany kon opierał się przed następnymi skokami. - Ten mały ciemnowłosy tłusciuch ma wyraźne usposobienie słonia I tak też wygląda - odezwał się jakiś głos z tłumu, tuż za plecami Czarnego Jacka Pollock poczuł przyływ wściekłości, jakby to jego osobiście obrażono. Odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz z jednym ze swych zamożnych, szczycących się najlepszymi koneksjami sąsiadów. Nie od dziś uważał tego człowieka za nadętego idiotę, a jego sposób bycia za żałośnie protekcyjny. Trudno więc było się spodziewać, by ktoś taki wiedział, że słonie znane są inteligencji i w razie potrzeby potrafią poświęcić własne życie dla dobra stada.

Lally, myślał Czarny Jack, zbyt często bywa traktowana jak ulubiony zwierzak Margaret. Jak wesole, zabawne, łakome słońiatko. A przecież, jeśli je przypominała, to dlatego, że broniłaby przybranej siostry tak zajadle i odważnie jak słonica walczy w obronie słabszych ze swojej gromady. Na wiele sposobów świadomie i bezwiednie, Lally wypełniała obietnicę sprzed lat. „Zaopiekuję się Alice tak, jak opiekuję się Margaret”. Z rozpaczliwą determinacją robiła, co w jej mocy jyy dotrzymać słowa. Podążała krok w krok za Margaret, jakby pragnęła podtrzymać ją w razie upadku.

Ale obserwując swą starszą córkę, Czarny Jack obawiał się, że nawet oddana Lally nie zdoła uchronić jej, gdy to nieodrodne dziecko Latitii pozwoli się ponieść jakiemuś szaleństwu.

67

Jon skończył szkołę podstawową i nadal przedkładał krykiet nad rugby. Wkrótce został przyjęty do Eton, gdzie ongiś James Pollock bezskutecznie starał się umieścić syna. Za Jonem przemawiała pozycja dziadka ze strony matki, ale też i poziom, który reprezentował jego ojciec. Awans społeczny zajął więc Pol-lockom trzy pokolenia. W tej samej klasie w Eton uczył się arystokratyczny kuzyn Jona, Patrick Kimble. Mimo różnicy upodobań, ci dwaj zostali najlepszymi przyjaciółmi. Patrick był młodszym synem jednej z sióstr Latitii, Elspeth. Chłopcy nie znali się przedtem, ale poczuli do siebie sympatię od pierwszej chwili. Obaj doświadczyli losu pierwszaków, cierpliwie znosząc zniewagi ze 'strony szó-stoklasistów i służąc za popychadła starszym kolegom. Pocieszali się nawzajem, gdy któryś dostał baty, co zdarzało się nierzadko. Pożyczali sobie kieszonkowe i dzielili się przysłanymi z domu smakołykami. Oczywiście Patricka zaproszono do Pellham Langley, a Jon odbył rewizytę w domu Patricka w Walii. Podczas pobytu w Yorkshire Patrickowi wypadało odwiedzić dziadków w Witfell. Im zaś trudno było pominąć w zaproszeniu Jona. Kontakt między Pellham Langley a Witfell został znów nawiązany.

Któregoś popołudnia lady Bletchley przyjechała na podwieczorek. Margaret i Lally, ubrane w najlepsze sukienki, podawały do stołu. Starsza pani obserwowała je bacznie, zadawała pytania, ale nie chciała zobaczyć przyrodniej siostry swoich wnucząt. Kiedy dzieci wyszły z salonu, zwróciła się do Czarnego Jacka.

- Myliłam się - oświadczyła.

Pollock wiedział, ile musiało kosztować tę dumną kobietę przyznanie się do błędu, ale lady Bletchley była zawsze osobą prostolinijną.

- Myślałam, że to będzie całkowita klęska. Po śmierci tej... tej nieszczęsnej kobiety sądziłam, że powinieneś być znów się ożenić. Ze względu na dzieci. Ale postąpiłeś słusznie. Możesz być dumny z Jona. Wydaje mi się, że lubię go bardziej niż Patricka, nie jest tak pochłonięty sobą. Margaret zawsze będzie nieznośna. Przypomina mi Latitię... nie tylko z wyglądu. Tyle, że Latitia nigdy nie była tak... - zawahała się - tak krańcowa w swych reakcjach. Będziesz miał roboty po uszy, nie tylko z powodu jej urody, ale i charakteru. A co do tej drugiej... Lally. Dziwna mała, nieprawdaż? Właściwie nie taka mała. Naprawdę nie możesz pozwalać jej tyle jeść, Jack. Mogłaby być całkiem ładniutka, gdyby nie tusza. Szczęśliwie ma dobre maniery i, przyznaję, wygląda na inteligentną. Widać, że jest oddana Margaret. Tak, myliłam się. Margaret znalazła w niej odpowiednią towarzyszkę i przyjaciółkę. Bóg wie,

skąd to dziecko pochodzi, ale teraz nie ma to już znaczenia. Musisz przywieźć je obie do Witfell. W święta będą u nas gościć kuzyni Margaret. Najwyższy czas, by ich poznała.

Spojrzenie lady Bletchley zatrzymało się na malowanym przez Johna Singera Sargenta portrecie Latitii w sukni balowej.

- Przysparzała mi więcej zmartwień niż wszyscy pozostali razem wzięci, a właśnie ją najbardziej kochałam. Nie było to sprawiedliwe. - Subtelny, chłod-

57

ny uśmiech pojawił się na jej ustach. - Nie poznaję samej siebie. Chyba się starzeję. Zaczynam się przyznawać do omyłek i słabości. - Podniosła się z trudem wspierając na jedwabnej parasolce. - Musimy wprowadzić Margaret do towarzystwa. Nie jest to zadanie, z którym może uporać się mężczyzna. Może przydam się jeszcze do czegoś. Czarny Jack zadzwonił na Billingsa i kazał wezwać powóz lady Bletchley Przypomniała mu się podobna scena sprzed lat.

- Margaret i Lally dopiero zaczęły dwunasty rok, lady Bletchley. Mamy jeszcze trochę czasu, zanim zaczniemy się martwić.

- Oczywiście nie zamierzasz wprowadzać Lally do towarzystwa, Jack? Mimo wszystko, ona nie należy do naszego świata.

- Zobaczymy, lady Bletchley, zobaczymy - odparł spokojnie. Patrzył, jak powóz starej damy znika za zakrętem alei.

- Będiesz, stara wiedźmo, mieć je obie albo żadnej - zamruczał cicho.

*

* *

Oprócz Patricka, Jon zapraszał na wakacje i innych swoich szkolnych kolegów. Dom Pollocków cieszył się wśród uczniów Eton zasłużoną popularnością Bardzo pobłażliwy, jak oceniano, ojciec Jona, znakomite jedzenie, pełna ryba rzeka, łódzie, wreszcie pokój bilardowy z dwoma stołami były to atuty nie do odparcia, mimo atmosfery pewnego prostactwa. Popularnością, oczywiście cieszyły się polowania w sierpniu, ale największą atrakcją stanowiła siostra Pollo-cka, śliczna Margaret. Druga dziewczyna, o dziwacznym imieniu Lally, nie była warta spojrzenia, ale za to przodowała we wszelkich dziedzinach sportu a wieczorami grywała na fortepianie, podczas gdy chłopcy obtańcowywali piękną córkę pana domu. Wizyty w Pellham Langley były później długo wspomniane. Czarny Jack miał poczucie, że oto spełnia się marzenie jego ojca. Zdawał sobie sprawę dlaczego młodzi przyjaciele Jona lubili tu przyjeżdżać i bawiło go odgrywanie wobec młodzieży roli świetnego kompana. Cieszył się widokiem młodych twarzy, zgromadzonych wokół ogromnego stołu. Chętnie organizował wyjazdy do teatru w Leeds i konne eskapady na wrzosowiska. Pilnował, by spiżarnie pełne były zapasów, albowiem apetyt nigdy gości nie opuszczał. Pollock nabył też dwa automobile i zatrudnił szofera, choć nie potrafił się przekonać do tych nieobliczalnych maszyn. Nadal utrzymywał więc stajnię. W czasie przejażdżek za auto-mobilstami podążała zwykle dwukółka, wysyłana na wszelki wypadek przez troskliwego gospodarza. Jon pokochał samochody z całym swoim młodzieńczym zapalem i wkrótce stał się bardzo zręcznym kierowcą. Czarnego Jacka natomiast przeraziło żądanie Margaret, która także postanowiła pojąć sztukę prowadzenia automobilu. Uczyła się ze zdumiewającą prędkością. Samochody okazały

się jej pasją. Czarny Jack pozwalał córce jeździć tylko po drogach Pellham Langley. Była jeszcze zbyt młoda i nieokiełznana. Towarzyszący jej zawsze szofer przyznawał, że wolałby nie jeździć z panienką Margaret.

58

- Za to panienka Lally, sir, ona jest inna. Ma pewną rękę. Panienka Margaret pędzi, jakby chciała wygrać wyścig.

*

* *

Margaret dojrzewiała i piękniała. Będzie nieznośna, wyprorokowała lady Bletchley. Margaret potrafiła jednak okazywać serdeczność i wielkoduszność. Była rozpieszczona, ale nigdy nieżyczliwa, często bezmyślna, ale nie okrutna. W Lally natomiast upływające lata tylko rozpały żądze wiedzy, która nie opuszczała jej od dzieciństwa. Czarny Jack zastanawiał się, jak podporządkowując się całkowicie zachciankom przybranej siostry, Lally znajdowała czas, by tak wiele czytać. Gdy James Pollock urządził ongiś Pellham Langley, zamówił także cały zbiór klasyki, dziesiątki oprawionych w kosztowną skórę tomów. Czarny Jack zdawał sobie sprawę, że Lally była jedyną osobą, która zajrzała do większości tych książek. Ku zadowoleniu Pollocka dziewczyna podzieliła jego pasję do dzieł sióstr Bronte. Często wędrowała przez wrzosowiska, by przypatrzeć się probostwu w Haworth. W towarzystwie uniknęła miana sawantki, gdyż dyskutowała o książkach tylko wtedy, gdy rozmówca pierwszy podejmował ten temat. Literatura stała się jej prywatnym intymnym światem.

Pewnego dnia Jon, który właśnie został studentem Oksfordu, siedząc z ojcem przed kominkiem w bibliotece, zwierzył się z nurtującego go od jakiegoś czasu problemu.

- Wiesz, ojczu, właściwie to wstyd, że Lally ciągle pełni rolę przybocznej Margaret. Jest na takie życie zbyt zdolna i inteligentna. Słyszy się teraz o dziewczętach uczęszczających na uniwersytet. Co prawda, to nieliczne przypadki i mężczyźni za nimi specjalnie nie przepadają. Wierzę, że Lally dałaby sobie radę, gdyby tylko dano jej szansę.

Pomyśl, co ona ma z życia? Nie jest specjalnie ładna, nie ma majątku... - spojrział z nadzieją na ojca, ale ten milczał.

- Cóż, oczywiście, ona chętnie zgodzi się zostać tutaj z tobą i zajmie się domem. Na pewno okaże się świetną gospodynią.

Czarny Jack uśmiechnął się. Sam był zdziwiony uczuciem żalu, które ogarnęło go, gdy wyobraził sobie życie Lally takie, jak opisał je Jon. Nie chciał jednak rozstawać się z przybraną córką, zrezygnować z jej towarzystwa.

- Myślę, że Lally znajdzie w życiu coś dla siebie. Poczekajmy, aż Margaret... - urwał i zamyślił się. Przyjmowano za rzecz oczywistą, że Margaret wyjdzie młodo za mąż i że będzie to olśniewający mariaż. Wszyscy byli o tym głęboko przekonani, a jej babka robiła co tylko mogła, by spełniły się ambicje rodziny.

Któregoś jesiennego popołudnia, rok przed siedemnastymi urodzinami Margaret, lady Bletchley przyjechała zobaczyć się z Czarnym Jackiem. Nikt nie znał daty urodzenia Lally, więc na prośbę dziewczyny jej święto obchodzono w rocznicę dnia, kiedy Czarny Jack przyniósł ją do Pellham Langley. Urodziny Lally wypadały więc w listopadzie. Ale lady Bletchley nie interesowała się Lally.

- Odkładałeś sprawę zbyt długo, Jack. Wyrzucam sobie, że i ja się zagapiłam, ale list od Elspeth przypomniał mi, że nie mamy już czasu. Jej Julia podob

me skończy w przyszłym roku siedemnaście lat i od następnego sezonu zacznie bywać. Naturalnie, zostanie przedstawiona u dworu. Musisz podjąć stosowne kroki w sprawie twojej córki. Trzeba skontaktować się z marszałkiem dworu, wynająć dom w Londynie. Tysiące spraw do załatwienia. Choćby bał debiutancki. Spodziewam się, że Elspeth zgodzi się wprowadzić Margaret do towarzystwa, choć wątpię, by miała ochotę przejąć wszystkie problemy związane z opieką nad nią przez cały sezon. - Starsza pani westchnęła i uniosła do ust filiżankę. - Gdyby nie zechciała przedstawić Margaret u dworu, myślę, że sama mogłabym to zrobić.

- I Lally - dodał spokojnie Czarny Jack. - Oczywiście, ona także musi zadebiutować razem z Margaret. Lady Bletchley zastygła w niedowierzaniu.

- Och, Jack... - jej ton był nie tyle niezyczliwy, co głęboko zdumiony. - Jestem przekonana, że Lally to dobra dziewczyna i Margaret jest szczęśliwa, mając ją za towarzyszkę. Ale teraz ich drogi muszą się rozejść. Nie wyobrażasz sobie przecież...? - Widząc minę Pollocka, zająknęła się. - Nie możesz myśleć... Jack! Nie ma o tym mowy! Ależ ta dziewczyna... Kim ona jest? Nie znamy nawet jej nazwiska, pochodzi ze środowiska jakichś szumowin. Nie można nigdzie przedstawić osoby tego pokroju. Wybuchłby skandal. A Lally byłaby tylko upokorzona i nieszczęśliwa. Jack... pomyśl!

- Myślę, że każda dama o nieskazitelnej reputacji ma prawo do prezentacji przed królową. Lally została wychowana jak dama. I mogę przysiąc na własne życie, że jej reputacja jest nieskazitelna.

- Oszalałeś, Jack. - Lady Bletchley nie słuchała żadnych argumentów. - Nigdy do tego nie dojdzie.

Lady Bletchley nie przewidziała, że Margaret stanie całkowicie po stronie Lally. Wkrótce po rozmowie Czarnego Jacka z teściową, dziewczyna wybrała się specjalnie z wizytą do Witfell, by spróbować przekonać, babkę.

- Czy babcia wyobraża sobie, że przejdę przez to wszystko bez Lally? - tłumaczyła. - Byłyśmy nierozłączne od... cóż, od zawsze. Jeśli babcia pominie Lally, na mnie też może nie liczyć. A zresztą komu potrzebny sezon? Z tego, co słyszałam, to wielka nuda. W każdym razie, nie pojedę bez Lally. Jak mogłabym potem spojrzeć jej w oczy? Czarny Jack nigdy nie był z córki bardziej dumny. Dostrzegł w jej jasnym, niezłomnym spojrzeniu niepokornego ducha Latitii i poczuł się szczęśliwy.

Nastąpiła wymiana telefonów z Elspeth, matką Julii i Patricka, ale odmówiła ona patronowania komukolwiek poza swoją córką i, z grzeczności, Margaret:

- Naprawdę, Jack, nie możesz ode mnie oczekiwać - jej głos w słuchawce brzmiał piskliwie i zawodząco - że wprowadzę bezimiennego dzieciaka ze slumsów do Pałacu Buckingham.

Pollock musiał pogodzić się z jej odmową, ale bynajmniej nie zrezygnował. Udał się do Londynu, do swego klubu, posłuchał plotek, zadał kilka dyskretnych pytań. Potem złożył wizytę pewnej wdowie, markizie Ross. Jej elegancki dom w Belgrayii wystawiony został na sprzedaż. Markiza owdowiała przed rokiem.

60

Było tajemnicą poliszynela, że jej mąż zastrzelił się, ponieważ nie mógł zaspokoić żądań wierzycieli. Hazard pochłonął prawie cały majątek. Wobec braku dziedzica, tytuł i skromne dywidendy z majątku przeszły na dalekiego krewnego, a ten miał obowiązek wypłacać wdowie niewielką rentę. Wieczne kłopoty finansowe naznaczyły wyrazem goryczy twarz ładnej, szczupłej trzydziestoletniej kobiety, która przyjęła Czarnego Jacka i wysłuchała z zainteresowaniem jego propozycji. Zgodzili się co do ceny. Umowa przewidywała, że lady Ross przedstawi Lally u dworu i zostanie jej opiekunką na czas sezonu. Będzie też pełniła rolę gospodyni, gdy Czarny Jack wyda bal debiutancki dla obu dziewcząt. Wymyślili historię znajomości Czarnego Jacka z nieżyjącym markizem, który rzeczywiście należał niegdyś do tego samego co Pollock klubu. Cena za te przysługi była wysoka. Markiza zyskała szansę uwolnienia się od uciążliwych wierzycieli. Umowa zadowalała więc obie strony. I stanowiła całkowite novum.

Należało jeszcze ustabilizować sytuację prawną Lally. Czarny Jack formalnie adoptował przybraną córkę. Odtąd miała nazywać się Lillian Pollock.

Kiedy Czarny Jack wrócił do Pellham Langley z nowinami, twarz Margaret rozpromieniła się z zadowolenia. Nie wspomniał o tym, że markizie zapłacono . za przysługę.

- Och, jesteś taki mądry! - Margaret zarzuciła ręce ojcu na szyję. - Będziemy mieć wspaniałą zabawę.

Tylko Lally zdawała się w to wątpić, chociaż robiła, co mogła, żeby wyglądać na zadowoloną. Wiedziała, że jeśli odrzuci ten projekt, Margaret także odmówi udziału w londyńskich balach i przyjęciach. Wymamrotała więc tylko ponuro:

- Będę wyglądać jak zupełna idiotka. Jak koń pociągowy przystrojony w białe pióra.

III

Wiosną 1914 roku Czarny Jack z córkami przeniósł się do wynajętego domu przy Wilton Crescent. Margaret i Lally zaczęły bywać na herbatkach i poznały inne dziewczęta debiutujące w tym sezonie.

- To naprawdę głupie - zauważyła Margaret. - Będziemy widywać ciągle to samo towarzystwo na balach i przyjęciach. Ciągłe ci sami młodzi ludzie będą do nas zapraszani. Udamy się gromadnie do Henley i Ascot, a w święto Czwartego Lipca w Eton będziemy obserwować się nawzajem z nadzieją, że nasze kapelusze choć trochę różnią się od nakryć głowy pozostałych dam.

Czarny Jack poprosił Jona, by znalazł partnerów do tańca dla Lally. Większość z nich przyjmowała zaproszenie ze względu na Margaret, na którą pragnęli chociaż z daleka popatrzeć.

- Mądrze pan to rozegrał - powiedziała z uznaniem markiza. - Pański złocisty łabędź będzie przynętą dla towarzystwa, w które wejdzie również i brzydkie kaczątko.

- Wolałbym, żeby nie nazywała pani Lally w ten sposób, lady Ross. Rozłożyła ręce.

- Nie robię tego przy niej. Ale nierozsądne wydaje mi się przeinaczanie rzeczywistości.

Markiza odgrywała rolę opiekunki, jak było umówione, i robiła to z całym oddaniem. Wkrótce też zaczęła odczuwać sympatię do tej ciemnej, mocno zbudowanej dziewczyny, a nawet coś w rodzaju szacunku. Ćwiczyła z Lally dworskie ukłony, przyczepiając do jej sukni kilka zszytych ze sobą ciężkich ręczników, które miały udawać tren.

- Broda do góry, spuść oczy, plecy idealnie proste - powtarzała bez końca.

Aż nadszedł wreszcie dzień, gdy należący do Czarnego Jacka powóz włączył się w długi sznur pojazdów wolno sunących aleją Mail w kierunku Pałacu Buckingham. Lally miała na sobie białą suknię z trenem i trzy pióra wpięte we włosy. Nie wyglądała tak źle, jak obawiała się markiza, ale też nie zwróciła niczyjej uwagi. Nieciekawa, ciemnowłosa, dość tęga dziewczyna, ubrana w źle dobraną suknię i długie białe rękawiczki. Za to perły, które ofiarował przybranej córce Czarny Jack, markiza uznała za wyjątkowo piękne. Lady Ross była spokojna. Lally nie wzbudzi zachwytu, ale z pewnością zachowa się stosownie. Nie okaże zdenerwowania, prawidłowo dygnie, odpowiednio będzie się poruszać. Gdzieś za nimi w którymś z powozów jechała lady Kimble z córką i siostrzenicą. Markiza zauważyła, kiedy dziewczęta szykowały się do wyjścia, że Margaret drżała i była śmiertelnie blada. W długiej sukni z trenem wyglądała szczególnie pięknie. Trzy pióra ślicznie harmonizowały ze złocistymi włosami, a perły, identyczne jak u Lally, sprawiały, że cera Margaret stawała się bardziej alabastrowa. Mimo całej dumy Czarny Jack patrzył jednak na córkę z niepokojem. Wyglądała, jakby miała za chwilę zasłabnąć.

Wśród zaintrygowanych szeptów dziewcząt, ich matek, ciotek i opiekunek lady Ross i Lally przysiadły na małych złożonych krzesłach. Niektóre z debiu-tantek wyglądały na znudzone długim oczekiwaniem, inne były zdenerwowane jak Margaret. W końcu wysoki, przystojny młody gwardzista zawołał:

- Markiza Ross. Panna Lillian Pollock.

Lally znalazła się przed tronem. Złożyła ukłon niemal automatycznie. Z gracją ujęła tren i zrobiła krok do tyłu. Nie peszyła jej obecność królewskiej pary, całą uwagę skoncentrowała bowiem na przejściu przez tę okropną salę bez skompromitowania siebie, i co ważniejsze, Czarnego Jacka. Każdy ruch wykonany został perfekcyjnie, tylko lekko płonące policzki zdradzały emocje.

- Doskonale, moje dziecko - pochwaliła markiza. Były to jedne z najmiłszych słów, jakie Lally kiedykolwiek usłyszała. Właśnie wróciły z lady Ross do domu przy Wilton Crescent. Czarny Jack czekał już z szampanem. Lally zaczęła zdejmować stroik z piór.

- Nie, nie rób tego — poprosił. — Chciałbym jeszcze popatrzeć na was obie, moje eleganckie córki.

Zupełnie jakby myślał, że mogłabym wyglądać choć w części tak ładnie jak Margaret, wzruszyła się Lally.

76

Margaret wreszcie wróciła. Gezy zaczerwienione od łez, zburzona kunsztowna fryzura.

- Potknęłam się! - szlochając, rzuciła się w ramiona ojca. - O mało nie upadłam, musiałam oprzeć się dłonią o podłogę. Taka kompromitacja!

- Nonsens! - przerwała jej ciotka. - To tylko drobne niepowodzenie. W ogóle nieistotne. Dużo hałasu o nic. Za to królowa się do ciebie uśmiechnęła. A to wielkie wyróżnienie.

Margaret przestała płakać. Wypiła szampana z większym zapalem, niż wymagałaby tego roztropność.

- Cóż, wyszło lepiej czy gorzej, ale to już szczęśliwie za nami. Teraz zaczną się przyjemności.

' Dla Lally londyński sezon okazał się prawdziwą torturą. Godziła się na wszystko, czego chciał Czarny Jack, ale cierpiała. Wielki bal wydany przez Pol-locka dla obu debiutantek był tryumfem Margaret. Lally przeżyła go jak koszmar. Stała sztywno pod ścianą, przekonana, że wszyscy patrzą na nią z litością i porównują jej przyciężką postać z porywającą urodą Margaret. Czuła się nudna, gruba i brzydka. Młodzi ludzie, którzy prosili ją do tańca, robili to z poczucia obowiązku wobec Jona lub Czarnego Jacka, przez pamięć o wspaniałych wakacjach u Pollocków lub w nadziei na zdobycie wzglądów Margaret. Była o tym głęboko przekonana. Dawni bywalcy Pellham Langley uważali Lally za poczciwą duszę i odnosili się do niej teraz z prawdziwym współczuciem.

- Głowa do góry, staruszko - próbował ją rozchmurzyć jeden z kolegów Jona, kiedy z ponurą miną wpatrywała się w stół zastawiony smakowitymi zimnymi mięsiami i półmiskami z łososiem, salaterkami pełnymi truskawek ze śmietaną i wszelkiego rodzaju słodyczami, w których próbowała znaleźć pociechę. - Niedługo będzie już po wszystkim. Zawsze mi was żal, biedne debiutant-ki. To trochę przypomina rzucenie nieszczęsnej ofiary lwom na pożarcie. Myśl o tym, że lada dzień wrócisz do Pellham Langley. Wiesz, Czarny... to jest, pan Pollock, zaprosił mnie w tym roku na sierpniowe polowania, więc się znowu zobaczymy. A ty będziesz już miała te bzdury za sobą. Wypełnione życiem towarzyskim tygodnie czerweca i lipca wlokły się straszliwie. Lally odliczała dni do daty powrotu. Grono nowych znajomych, a także kilku spośród przyjaciół Jona ze szkoły i Oksfordu zostało zaproszonych do Pellham Langley na otwarcie sezonu łowieckiego. Pałac okazał się zbyt mały, by pomieścić wszystkich, którzy mieli przyjechać, a służba zbyt nieliczna, by zaspokoić ich potrzeby. Zaczęto więc czynić przygotowania. Ku zaskoczeniu Czarnego Jacka, markiza oświadczyła bez ogródek, że także chciałaby w sierpniu odwiedzić Pollocków. Bardzo mu to dogadzało, bo czyniło wiarygodną historyjkę o dawnej znajomości.

- Polubiłam to dziecko - wyjaśniła lady Ross sucho. - Ma w sobie wiele dobrego.

Ale nie dane było urodziwej wdowie dotrzeć tego roku do Pellham Langley. Przez całe lato, gdy młodzież bez troski tańczyła aż do świtu, w Europie narastał stan wrzenia. Niemcy szykowały się już od zbyt dawna, by jakkolwiek powód

63

mógł je powstrzymać. Prasa brytyjska pisała o „problemie bałkańskim”, o zabójstwie następcy tronu Austro-Węgier. Wielu Anglików nigdy nie słyszało o Bałkanach. Znali za to potęgę własnej marynarki wojennej, czuli się więc bezpiecznie. Wielka Brytania ufała swemu wyspiarskiemu położeniu i wierzyła w niepokonane imperium. Nie przejmowano się układami, przymierzami, aliansami. Tylko poważne gazety zwracały na nie uwagę.

- Czy będzie wojna? - któregoś ranka, przeglądając „Timesa”, spytała Lal-ly. Potworny strach ścisnął jej serce, gdy myślała o Jonie. Czarny Jack próbował zaprzeczyć, ale bez przekonania.

Starał się wybić dziewczynie tę myśl z głowy. Dlaczego ma się martwić? Ale wśród młodych mężczyzn panowała już owa szczególna gorączkowa atmosfera, podniecenie zbliżającą się walką. Mówili o wojnie lekko, jakby to był jakiś specyficzny rodzaj sportu. Na początku sierpnia Anglia została uwikłana w pakt gwarantujący neutralność Belgii. Ależ, oburzali się Brytyjczycy, nikt nie będzie przecież walczyć za cudzy kraj.

Tego upalnego popołudnia, gdy Czarny Jack obserwował rozgrywkę tenisa, jego myśli wróciły do ostatnich wydarzeń. Sir Edward Grey, minister spraw zagranicznych, oznajmił członkom Izby Gmin, że tego ranka, dnia czwartego sierpnia, niemiecka armia przekroczyła granicę Belgii.

Czarnemu Jackowi zdawało się, że nagle jasny letni dzień pociemniał. Wszyscy, których kochał, byli tutaj, Jon, Margaret i Lally, i ten drogi, choć na wpół świadomy elf, tulący się ufnie od ojca. Nad wrzosowiskami niebo zaczęło się chmurzyć. Cień okrył tenisowy kort. Na tarasie pojawił się Billings. Czarny Jack poczuł, jak ogarnia go niepokój. Było jeszcze za wcześnie na herbatę. I za Bil-lingsem nie podążali inni służący. Kamerdyner wyraźnie pragnął oznajmić coś na osobowości gospodarzowi Pellham Langley.

- Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, sir. Pani markiza przed chwilą telefonowała z wiadomościami. Premier przedstawił Izbom posłanie Jego Wysokości. Ogłoszono mobilizację, a Niemcom postawiono ultimatum. Mają czas na wycofanie wojsk do północy.

Czarny Jack popatrzył wokół po młodych, beztroskich twarzach.

- Dziękuję ci, Billings - powiedział cicho. - Powiem im... I lepiej podać herbatę w salonie. Wszyscy będą chcieli być blisko telefonu.

- Bardzo dobrze, sir.

Czarny Jack powoli się podniósł. Zarzucił na ramiona blezer.

- Pójdziemy to obmyć, kochanie. - Ujął Alice za owiniętą chusteczką rękę. A potem podszedł do jednego z młodych mężczyzn, który leżał na plecach

na trawie i z uśmiechem obserwował chmury na błękitnym niebie.

Rozdział piąty

I

ally wymknęła się szybko z wielkiego pokoju. Była to w zasadzie sypialnia Margaret, dziewczyna jednak nalegała, by dzielić ją razem z przybraną siostrą.

- Nienawidzę budzić się samotnie w ciemnościach - tłumaczyła.

Lally przeszła przez przylegającą do sypialni łazienkę, królestwo marmuru i błyszczących kranów, do mniejszego pokoju, przeznaczonego na garderobę. Znajdujące się tam dodatkowe łóżko Lally traktowała jako swoje, choć rzadko z niego korzystała. Od lat używała tego pokoju, by czytać nocami nie przeszkadzając Margaret. Pod wysokim oknem stało biurko. Siadywała przy nim i patrzyła na ukochane znajome krajobrazy, na odległe pasmo gór wydobyte z mroku pierwszymi promieniami letniego świtu, zanim jeszcze słoneczne światło ześlizgnie się w doliny.

Ubiegłego wczoraj, przy długim stole w jadalni, panowała jakaś szaleńcza wesołość. Dwóch młodych oficerów natychmiast wyjechało z Pellham Langley. Musieli złapać wieczorny pociąg do Sandhurst. Wszyscy pozostali czekali w salonie na wiadomość o wygaśnięciu ultimatum. Nadeszła o godzinie jedenastej czasu brytyjskiego.

- A więc - powiedział Jon - mamy wojnę.

Ktoś krzyknął z radości. Czarny Jack nie pamiętał, żeby wydał takie polecenie, ale Billings roznosił już gościom kieliszki szampana. Panowało dziwne podniecenie. Rozmawiano o wojnie, jakby to była gra, a niektórzy z chłopców powątpiewali, czy uda im się zakończyć szkolenie wystarczająco szybko, by zakosztować wojaczki.

- Do świąt będzie po wszystkim - mówili z lekkim rozczarowaniem. Dziewczęta rozglądały się niespokojnie.

Wyglądało, że wszyscy młodzi mężczyźni opuszczą Pellham Langley już z samego rana, bo każdy z nich zamierzał się zaciągnąć. Pozostanie dom pełen kobiet.

W kilka godzin później Margaret przewracała się niespokojnie na łóżku.

- Wszystko popsute, prawda, Lally? Do diabła! Kto wymyślił wojnę właśnie wtedy, gdy nastawiłam się na dobrą zabawę. Tak czekałam na weekend

5 - Obietnice

w Harewood. Minie rok, zanim wszystko powróci do normy. - Tej nocy długo nie mogła usnąć.

Lally obserwowała świt wstający nad górskimi grzbietami i wsłuchiwała się w cichy regularny oddech Margaret. Przed oczyma przesuwały się sceny z całego wieczoru. Piła szampana, ale nie była w stanie wznosić radosnych toastów. Widziała wzrok Czarnego Jacka utkwiony w synu i podzielała dręczący ojca lęk. Jej twarz wyrażała opanowanie, ale żołądek skręcał się ze strachu. Wszyscy oni, ci piękni, młodzi mężczyźni, jakby nie zdawali sobie sprawy z tego, co się naprawdę dzieje. Zatrzymała więc swe obawy dla siebie.

Ale teraz, kiedy w samotności przyglądała się wstającemu porankowi, wróciły ciemne wspomnienia z dalekiej przeszłości. Koszmar, który często ją dręczył i którego nawet miłość Czarnego Jacka nie mogła rozproszyć. Dla Lally ów strach miał wyraźny zapach. Był cuchnący i cierpki. Dopadał ją czasami w najmniej spodziewanych momentach, w pełnym kwiatów ogrodzie lub na widok wazonu ze świeżym bukietem. Łączył się z ciemnym miejscem zatłoczonym cuchnącymi, brudnymi ciałami i stwarzał nękającą pustkę w żołądku, której żadne smakołyki świata nie mogły wypełnić.

Teraz strach Lally skupił się na jednej osobie, na Jonie. Zawsze była bezgranicznie oddana dzieciom Czarnego Jacka. Dorastała jako siostra Jona Pollocka, ale jej umysł i ciało wiedziały, że to nieprawda. Czasami ośmielała się przyznać przed sarną sobą do rzeczywistych uczuć. Kochała Jona tak bardzo, jak tylko kobieta może kochać mężczyznę. Wiedziała, że jest inna. Miała za sobą odrażające dzieciństwo w jakimś zapomnianym świecie i to ją postarzało. Dlatego zapewne uczucie, którym darzyła Jona było dużo dojrzalsze, niż można by oczekiwać od dziewczyny w jej wieku. A Jon traktował ją czule, ufając w wielu sprawach znacznie bardziej niż innym członkom rodziny. Wiedziała, że nie dostrzega w niej kobiety. Była jego siostrą, okrągłutką, niezawodną, rozsądną i czynną Lally. Nie wiedział o jej miłości. I nigdy nie mógł się dowiedzieć. Ale teraz nadeszła wojna i Jon znajdzie się w niebezpieczeństwie. Zapach strachu nasilał się, a żołądek podchodził do gardła. Lally walczyła ze sobą przez chwilę. Potem po cichu zeszła do kuchni. Usiadła w dużej spiżarni i zaczęła pochłaniać plasterki bekonu, jajka na twardo i placek. Wciąż tam była, gdy senna służąca wkroczyła do kuchni, by rozpałić pod płytą. Wsunęła głowę przez uchylone drzwi spiżarni. - A, to panienka - stwierdziła bez zaskoczenia i przyjęła kawałek ciasta, który Lally dla niej odkroiła. - Straszne z tą wojną, prawda, panienko? - Często gawędziła z Lally o tak wczesnej porze.

Czarny Jack także nie spał tej nocy. Siedział przy jednym z wysokich okien w sypialni, którą niegdyś dzielił z Alice przez kilka miesięcy ich małżeńskiego życia. Usytuowany w przeciwległym skrzydle domu pokój Latitii pozostał nienaruszony. Był codziennie odkurzany, zdobiony świeżymi kwiatami. Suknie

sprzed ćwierć wieku nadal wisiały w ogromnych szafach. Buty do jazdy konnej stały wypolerowane i błyszczące na drewnianych prawidłach. Alice Trimble nigdy nie starała się zatrzeć pamięci o Latitii.

Ale teraz myśli Czarnego Jacka nie biegły ku żadnej kobiecie. Serce ciążyło mu jak kamień, gdy przypominał sobie rozmowy minionego wieczoru. Nie ośmielił się powiedzieć nawet słowa, by powstrzymać Jona przed pospiesznym wstąpieniem do armii. Jon jest zdrowym młodym mężczyzną i zrobi to, co uczynić zamierzają jego rówieśnicy.

Czarny Jack z wysiłkiem próbował odwrócić myśli od syna i zastanowić się, jak wojna wpłynie na rozwój interesów. Baczniej nawet niż Lally, Pollock śledził wydarzenia polityczne ostatniego roku. Czytał przemowy kajzera, widział rosnącą potęgę armii niemieckiej, obserwował rozbudowę niemieckiej floty. Nie wierzył w to, co mówiono o Rosji. Wątpił, by rozległe przestrzenie uczyniły ją niemożliwą do zdobycia. Przewidywał wojnę i poczynił w związku z nią pewne plany. Teraz jednak, gdy myślał o swym jedynym synu, ukochanym, przystojnym Jonie, nie potrafił już kalkulować. Wolałby bankructwo niż widok własnego dziecka, idącego na zagładę, która, jak przeczuwał, nadciągała nieuchronnie.

Czarny Jack bez trudu domyślał się dalszego rozwoju sytuacji gospodarczej. Fabryki będą produkować sukno na mundury, bawełna z Manchesteru zostanie przerobiona na koszule i bandaże. Huty i stalownie rozpoczną pracę niemal wyłącznie dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego. Nie podzielał niefrasobliwych uczuć swych młodych gości. Wojna nie skończy się przed Gwiazdką. Potrwa dużo, dużo dłużej. Ojciec uczynił go bogatym człowiekiem. Czarny Jack przewidywał, że jeśli wojna przybierze kierunek, jaki jej wróżył, fortuna Pollocków znacznie wzrośnie. Jednak widząc twarz syna, uśmiechniętą, podekscytowaną twarz Jona, pragnął zatrzymać czas, odmienić los wszystkich tych młodych mężczyzn.

II

Dużo szybciej, niż się spodziewano wojna ogarnęła całą Europę. Armia niemiecka jak fala przetoczyła się przez Belgię, z siłą zapierającą dech tym, którzy nie śledzili wcześniejszych przygotowań wroga.

„Prawe skrzydło musi oprzeć się o kanał”. Opracowana przed laty strategia von Moltkego teraz stała się dyrektywą. Armia niemiecka parła naprzód z przerażającą skutecznością. Ludzie od pokoleń żyjący w pokoju i dostatku myśleli o wojnie jak o burzliwej przygodzie, jakimś romantycznym zrywem, dla którego młodzi chłopcy mogli ochoczo iść na śmierć.

Lally rozłożyła mapy w bibliotece Pellham Langley. Śledziła ruchy wojsk, wczytywała się w nieznane dotąd nazwy. Na pograniczu niemiecko-francuskim to jedna, to druga armia pustoszyła ziemię wroga. Sierpień nie skończył się jeszcze, gdy doszło do pierwszego spotkania Brytyjczyków z Niemcami w Möns i, ku zaskoczeniu swoich rodaków, Brytyjczycy i Francuzi zostali zmuszeni do wycofania się. We wrześniu zaś rozpoczęła się bitwa nad Marną.

Lally spojrzała na Czarnego Jacka ze zdumieniem.

- Jak to możliwe? Jak mogliśmy pozwolić im dojść tak daleko? Czy nie byliśmy przygotowani?

Pollock potrząsnął głową.

- Niewystarczająco.

W tych dniach rzadko bywał w Pellham Langley. Fabryki i kopalnie zajmowały mu cały czas. Młodzi mężczyźni wyjechali. Szeregi robotników mocno się przerzedziły.

- Bogu dzięki - zwierzał się Lally - że mamy taki zbyt. Każdy skrawek sukna, każda tona stali są zamawiane przez rząd. Chciałbym tylko wiedzieć, skąd wziąć więcej surowców.

Coraz częściej nocował w Leeds, jechał do Sheffield albo do Walii. Miał tylko jednego klienta, armię. Wiedział, że zapasy surowców maleją w zastraszającym tempie. Rozpaczliwie szukał lepszego zaopatrzenia. Uregulował zaległe opłaty w bankach, pospłacał pożyczki. Pieniądze ciągle napływały, a brakowało możliwości, by nimi obracać. Nawet mała fabryka butów w Bradford, którą kupił lata temu i niemal o niej zapomniał, nagle stała się zyskowna, obrzydliwie zyskowna.

- Mamy tam produkcję butów wojskowych - wyjaśnił Lally. Często teraz rozmawiał z przybraną córką. Szukał u niej zrozumienia i wybaczenia, że zarabia na ludzkim nieszczęściu. Mnożące się dzięki wojennej koniunkturze pieniądze były nieczyste. Tymczasem Jon zdobywał szlify oficerskie w Catterick. Pod koniec października miała miejsce bitwa pod Ypres i nikt nie twierdził już, że do Bożego Narodzenia będzie po wszystkim.

Lally niespokojnie brnęła przez puste dni. Nie potrafiła na niczym skoncentrować uwagi. Książki, nęcące wcześniej, teraz wydawały się stratą czasu. Margaret dąsała się i irytowała.

- To miał być najlepszy okres mojego życia - jęczała. -1 spójrz, co się stało. Nie ma żadnego towarzystwa. Nie ma nic do roboty.

- Nie ma młodych mężczyzn - dokończył za nią Czarny Jack. Zdesperowana, zdecydowała się odwiedzić dziadków w Witfell, ale wróciła jeszcze bardziej utyskując.

- Dokładnie to samo - narzekała. - Nic tylko wojna i wojna. Babcia organizuje Czerwony Krzyż. Damy przychodzą na podwieczorki i zwijają bandaż. Odbyłyśmy też zajęcia z pierwszej pomocy. Jedna ze służących... - próbowała powstrzymać śmiech, ale nie udało jej się. - Jedna ze służących miała udawać że ma złamaną nogę, a nas uczono, co z tym fantem począć. W ramach wielkiego finału wynosiłyśmy ją na noszach, niby to do karetki, i jedna z tych

idiotek potknęła się. Biedna dziewczyna spadła i naprawdę złamała nogę. To zniechęciło wszystkich do dalszej zabawy.

- Dlaczego - odezwała się zamyślonym tonem Lally - nie miałybyśmy zostać prawdziwymi pielęgniarkami? Margaret osłupiała. Czarny Jack silniej zaciągnął się papierosem. Palił teraz więcej niż powinien.

68

- Naprawdę tak myślisz?

- Dlaczego nie? Jaki z nas pożytek, kiedy siedzimy beczynnie w Pellham? Nie jesteśmy zameżne. Nie mamy dzieci. Znajdzie się mnóstwo innych kobiet do zwijania bandaży.

Zapanowało milczenie. Czarny Jack odpalił kolejnego papierosa od niedopałka, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Czy nie przesadzasz, Lally? To znaczy, dziewczęta jak ty i Margaret... z pewnością jeszcze was tam nie potrzebują - dokończył z nadzieją, że jego argument brzmi przekonująco.

Rzeczywiście szpitale nie były jeszcze zreorganizowane, a personel przygotowany do szkolenia młodych wolontariuszek. Zdarzało się, co prawda, że panie z towarzystwa uznawały pielęgniarstwo za swoje powołanie, zwłaszcza gdy nie miały szans na małżeństwo. Traktowano je jak święte, męczennice albo, zależnie od punktu widzenia, jak kobiety przegrane. Dobrze wychowane i wykształcone młode dziewczęta, zwłaszcza te ładne, były uważane za utrapienie. Przełożone pielęgniarek nie życzyły sobie obecności bezużytecznych panienek z dobrych domów. Nie było miejsca ani czasu na szkolenie amateerek.

- Dlaczego? Czy myślisz, ojcze, że nie utrzymałabym noszy? Czarny Jack pokręcił głową.

- Nie, Lally, o tobie tak bym nie pomyślał. Margaret zaczerwieniła się.

- Ja nie upuściłam noszy. Tylko wam opowiadałam... Wydawało mi się, że to śmieszne!

- Jestem pewna, że nie dla tej biednej służącej.

- Och Lally, czasem jesteś taka strasznie poważna. - Margaret wyglądała jakby się miała rozplakać. Pomysł pracy w szpitalu był jednocześnie atrakcyjny i przerażający. Lally łagodnie dotknęła jej ramienia.

- Wiesz, że nie myślałam w ten sposób. Próbuję tylko... - spojrzała na Czarnego Jacka. - Mogłybyśmy robić coś użytecznego. Na przykład wstąpić do VAD*. Oczywiście oznaczałoby to pomoc w szpitalu w Leeds lub Bradford.

- Jak mogłybyśmy mieszkać w Pellham, a pracować w Leeds? Nie da się jeździć tam codziennie. Rząd nawoływał do oszczędzania paliwa. Oczywiście, gdybyśmy mieli dom w Leeds... - Nagła nadzieja zabłysła w bursztynowych oczach Margaret. - Ależ, ojcze, moglibyśmy wynająć dom w Leeds. Przeniósłbyś się z nami. Tobie też byłoby dużo wygodniej. Moglibyśmy zamknąć Pellham Langley... - Jej myśli pędziły nieposkromione. - Moglibyśmy...

- Spokojnie, Margaret. Spokojnie. Rozważmy wszystkie pomysły po kolei. Czarny Jack dobrze wiedział, jakim torem biegną myśli jego córki. W Leeds życie byłoby o wiele bardziej urozmaicone. Młodzi oficerowie mogliby odwiedzać dom Pollocków. Możliwe stałyby się wypadki do Londynu i spotkania towarzyskie. Nie za często, by nie wyglądało to na brak patriotyzmu. Nagle zrozumiał, że zagubione wśród dzikich wrzosowisk Pellham Langley może pełnej ży-

*** VAD - Voluntary Aid Detachment - Ochotnicza Służba Sanitarna (przyp. red.).**

cia i temperamentu dziewczynie, która niedawno błyszczała w londyńskim świątku, wydawać się więzieniem. Jakże różne były te dwie jego córki, przybrana i rodzona. Lally irytowało poczucie bezużyteczności w chwili, gdy od wszystkich wymagano jakiejś służby. Margaret zaś doprowadzał do rozpaczy brak wielbicieli i rozrywek, gwaru i zamieszania ostatnich miesięcy. Dziewczęta zakończyły już naukę. Nie miały guwernantki, zadającej im lekcje. Ani matki, która by doradzała, prowadziła dom, organizowała zajęcia. Czarny Jack czuł się zmęczony po wyteżonym tygodniu w fabrykach, gdzie utrzymanie wydajnej produkcji zaczęło stwarzać prawdziwe problemy. Z trudem próbował więc odpierać ataki córki.

- Nie możemy zamknąć Pellham, Margaret. Jest przecież Alice. Ona przywykła do tego miejsca. Wolałbym... wolałbym jej nie niepokoić.

Uczucie do Alice walczyło w sercu Margaret z pragnieniem wyjazdu.

- Oczywiście, nie opuścimy jej. Nie myślałam o całkowitej przeprowadzce. Ale jeśli wojna potrwa tak długo, jak się na to zapowiada, będziemy musieli radzić sobie w znacznie gorszych sytuacjach. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale służba coraz częściej przebąkuje o tym, co nazywają wojenną pracą. Niektóre fabryki oferują wysokie płace i nie wymagają specjalnej dyscypliny. Dziewczęta chciałyby wyjechać do miasta... - jej głos zadrżał. Czarny Jack pomyślał, że być może po raz pierwszy w życiu przyszło Margaret do głowy, że istnieje pewne podobieństwo między nią a tymi krzątającymi się po Pellham Langley kobietami w cze-peczkach i fartuszkach, że i one mają nadzieje, życzenia, pragnienia. - Billings poprowadziłby dom. Moglibyśmy wszystko zorganizować dla Alice... nie niepokoić jej. Zostaną z nią Neli i panna Garner. A my będziemy przyjeżdżać i odwiedzać ją, kiedy tylko nadarzy się sposobność. - Popatrzyła na Lally, szukając poparcia. — Chyba dają w tych szpitalach... przepustki albo jakieś dni wolne?

*

* *

Czarny Jack wynajął dom na peryferiach Leeds. Zgrabną klasycystyczną budowlę wzniesiono poza miastem wśród pól i łąk. Z biegiem czasu jednak Leeds rozrosło się. Z dawnych terenów pozostał jedynie spory ogród, a wiktoriańskie wille bogatych kupców tłoczyły się coraz bliżej. Dom nazywał się Grangewick. Spośród sąsiednich zabudowań wyróżniały go piękne proporcje, ale osobom przyzwyczajonym do rozmiarów Pellham Langley wydawał się zbyt mały.

- Ciasny - oświadczyła Margaret. - Trudno. Powinno nam tu być w miarę wygodnie. Nie potrzeba prawie żadnej służby.

Zajęła pokój, który od początku sobie upatrzyła. Z okien roztaczał się widok na kręte ulice Leeds, tonące zwykle w dymie jak w szarej chmurze. Sadza oblepiała zawsze parapety Grangewick, ale była to drobna niewygodna w porównaniu z atutami nowego domu. U podnóża wzniesienia przebiegała linia tramwajowa, gwarantująca wygodne połączenie z miastem. Goście mogli więc dotrzeć do Pol

70

locków o każdej porze bez kłopotu. Dziewczeta wybrały meble, które chciały zabrać z Pellham Langley i Lally kazała zamknąć większość pokoi. Tymczasem Billings uparcie odmawiał pozostania w pałacu.

- Pan Pollock będzie mnie potrzebował. Szczególnie jeśli panią Margaret będą nadal obstawać przy tej dziecinadzie z pracą w szpitalu. - Billings z racji wieku bez żenady pozwalał sobie na wypowiedanie własnego zdania. - Szczerze mówiąc, panią Lally, czy może sobie panią wyobrazić panią Margaret - uniósł brwi - przy zajęciu tak niestosownym.

Nie wydawał się uważać, że byłoby to zajęcie niestosowne również dla niej. Ale cóż, krzepka dziewczyna o silnych rękach i mocnych nerwach nadawała się widocznie do każdej pracy. Tymczasem Margaret... Lally mogła wyobrazić sobie złote włosy wycykające się spod pielęgniarskiego czepeczka, ujmującą, pełną współczucia twarz, drobne dłonie wygładzające prześcieradła rannych oficerów. W głębi duszy Lally zgadzała się z Billingsem. Margaret nie nadawała się na pielęgniarkę.

Gdy jeszcze urządzali Grangewick, Czarny Jack przyjechał z Alice. Sam prowadził rollsa, gdyż szofer został powołany do wojska.

- Byłem w Pellham Langley. Nie możemy jej tam zostawić tylko z Neli i panną Garner. - Śliczna twarzyczka Alice wciąż jeszcze była mokra od niedawnych łez. - Myślała, że ją opuściliśmy - spojrzał błagalnie na Lally.

Lally, dręczona wyrzutami sumienia, podbiegła do siostrzyczki. Czyż nie obiecywała opiekować się Alice? Nie wystarczyło zapewnić jej dobrej opieki. Ona potrzebowała więcej. Lally wzięła dziewczynkę na ręce. Alice lubiła, kiedy traktowano ją jak małe dziecko.

- Kochanie, nigdy więcej nie zostawimy cię samej. Przysięgam, że ojciec, Margaret i ja...

- I Jon? - Alice rzadko o coś pytała. - Słyszałam, że Jon wyjedzie. Gdzie jest Jon?

- Jon odbywa specjalne ćwiczenia, kochanie - cierpliwie tłumaczyła Lally. - Wiesz, że trenuje krykieta i rugby. Te nowe ćwiczenia to też gra, Alice. Pewien rodzaj gry. Jon wkrótce będzie znowu z nami. Musimy czekać. Rozumiesz,

kochanie? - postawiła Alice na ziemi. - Chcesz zobaczyć, jak urządziłyśmy dom? Mamy nowy fortepian. Ten z Pellham by się tu nie zmieścił.

Przeszły do salonu. Alice przytuliła starego królika, który był jej ulubioną zabawką, odkąd wiele lat temu dostała go od Czarnego Jacka. Szła umie trzymając Lally za rękę. Wkrótce potem do Czarnego Jacka i Margaret dobiegł silny, zaskakująco czysty głos Lally. Śpiewała ulubioną piosenkę Alice.

Och, Benie Bolt, czy pamiętasz słodką Alice, Słodką Alice o brązowych włosach? Plakała z radości, gdy posłałeś jej uśmiech I drżała ze strachu, gdy zmarszczyłeś brwi?

Margaret poruszyła się niespokojnie. Czarny Jack westchnął.

III

Mimo śnieżnych zawiei z okien domu widać było wieczorami światła Leeds Więcej światła, niż wymagały tego względy bezpieczeństwa. Wiele, co prawda mówiono o nalotach zeppelinów, ale w tę pierwszą wojenną zimę mało kto rozumiał konieczność zaciemnienia. Walki toczyły się przecież daleko stąd, gdzieś po drugiej stronie kanału La Manche.

W Grangewick święta minęły cicho. Jon nie dostał przepustki, więc nie przenieśli się na Boże Narodzenie do Pellham Langley. Margaret i Lally wraz z innymi młodymi wolontariuszkami rozpoczęły praktykę pielęgniarstwa od najskromniejszych zajęć. Przywożonych z Francji rannych umieszczano szpitalach wojskowych, a gdy te były już przepełnione, w miejskich. Lally i Margaret żołnierze wydawali się ludźmi z innego świata. Rzadko zresztą pozwalano wolontariuszem cokolwiek przy nich robić. Czarny Jack nadal podejrzliwie odnosił się do pomysłu, który uważał za kaprys Lally. Naprawdę jednak martwił się o Margaret. Dziewczyna wracała do domu roztrzęsiona, opowiadała o przerażających ranach, które widziała lub wydawało jej się, że widziała. Toteż Pollock był szczerze zadowolony, kiedy nadeszło zaproszenie od lady Bletchley.

- Nie mogę przyjechać, babciu - tłumaczyła przez telefon Margaret. - Mam dyżur podczas świątecznego tygodnia.

- Nonsens! Jesteś wyczerpana i potrzebujesz odpoczynku. Porozmawiam z siostrą przełożoną.

Nikt nie wiedział, co zaważyło na decyzji przyznania urlopu Margaret Czy argumenty lady Bletchley bądź też jej stanowisko w Czerwonym Krzyżu czy może datki Czarnego Jacka na szpital. Ale faktem było, że zaledwie po sześciu tygodniach służby zasugerowano Margaret, że wygląda zbyt blado i potrzebuje wiejskiego powietrza. Siostra przełożona przyjęła jej odejście z ulgą. Szpital był zatłoczony, potrzebowała fachowego personelu, a nie urodziwej, rozpieszczonej córki miejscowego potentata finansowego. Była również zadowolona, że żądanie lady Bletchley nie dotyczyło powściągliwej, spokojnej Lally. Ta panna Pollock mogła bowiem pracować wytrwale godzinami. Nie okazywania zmęczenia nie miewała ataków nerwowych. Siostra była pewna, że dziewczyna z czasem zostanie znakomitą pielęgniarką.

Lally podjęła się dyżuru w świąteczny tydzień. Pomogła ozdobić sale gałązkami ostrokrzewu, wymyła podłogi, wreszcie rozniosła chorym świąteczny obiad Trochę czasu spędziła przy łóżku żołnierza z zabandażowanymi oczami Pokroiła mu kawałek tradycyjnej świątecznej gęsi i chwilę pogawędziła.

- Z pani musi być śliczna dziewczyna. Czuję to - usłyszała jego słowa siostra przełożona. To jedyna rzecz, jakiej o Lally Pollock nie można powiedzieć pomyślała. Jest zdolna, zrównoważona. Ale ręce ma już czerwone i zniszczone od pracy. Przełożona poczuła litość.

- Panno Pollock - odezwała się szorstko - może pani wziąć wolne na Nowy Rok i dzień poprzedzający.

90

Znała historię Lally. Wiedziała, jakimi uczuciami darzy przybraną córkę Czarny Jack. Była jednak przekonana, że ani on, ani sama Lally nigdy nie poproszą o żadne ulgi, a nikt inny za dziewczyną się nie ujmie. Nie rozumiała, dlaczego Margaret miałyby cieszyć się większymi względami.

Siedząc przy kominku w salonie w Grangewick, Lally witała Nowy Rok samotnie. Alice spała w swoim pokoju pod opieką Neli. Panna Garner odeszła. Gdy podjęto decyzję o zamknięciu Pellham Langley, złożyła wymówienie.

- Nauczyłam Alice wszystkiego, czego, moim zdaniem, jest w stanie się nauczyć, panie Pollock - oświadczyła. - Chciałabym tu pozostać jako jej dama do towarzystwa, ale w obecnej sytuacji myślę, że mogę być bardziej potrzebna gdzie indziej. Zamierzam wstąpić do QARNNS*. Będzie mi brakować was wszystkich, przede wszystkim Alice. To słodkie dziecko.

Lally miała nadzieję, że tego wieczoru Czarny Jack wróci wcześniej, ale zadzwonił do Billingsa z wiadomością, że nie będzie go na obiedzie. Zapewne odwiedzał pewien dom niedaleko Grangewick, gdzie mieszkała niejaka pani Champion. Lally i Margaret udawały przed sobą, że pani Champion nie istnieje. Wiedziały, że Czarny Jack nie traktuje tej kobiety poważnie. Pociągała go jedynie fizycznie. Nie miała szans zająć w jego życiu miejsca Latitii czy Alice Trimble.

Lally usiłowała skupić się na lekturze. Czytała „Synów i kochanków”, powieść uważaną za zbyt śmiałą dla niezamężnych kobiet. Twórczość D. H. Lawrence'a wydawała się jej szczególnie przejmująca, bo mówiła o tym, co Lally sama odczuwała, a czego nie umiała wyrazić. Dziewczyna dobrze wiedziała, że pod maską powściągliwości i chłodu może kryć się prawdziwa namiętność. Wpatrywała się w ogień i myślała o Jonie, a w jej sercu szalała burza. Pisała do niego siostrzane listy i odbierała byle jak nabazgrane odpowiedzi. Dopóki nie wydarzy się coś, co zburzy ich codzienny świat, dopóki życie nie zmusi ich do dojrzałości, nie zapanują między nimi inne stosunki. Kochała Jona całym sercem, ale on widział w niej jedynie niezawodną wesołą przyjaciółkę, która jednocześnie była jego przybraną siostrą. Kobiety takie jak ona nie wzbudzają pożądania, niezależnie od głębokości ich uczuć, pomyślała. Mimo ciepła panującego w pokoju, czuła dreszcze. Przynęła się bliżej kominka. Książka ześlizgnęła się na podłogę.

Zegar wydzwaniał właśnie jedenastą, gdy usłyszała warkot motoru. Z westchnieniem ulgi pomyślała, że mimo wszystko Czarny Jack wrócił i razem powitają Nowy Rok. Zatrąbił klakson. Lally dobiegły jakieś głosy, a potem

pośpieszne kroki Billingsa. Zaciekawiona wyszła do hallu. Przez szeroko otwarte drzwi frontowe wdarło się zimne nocne powietrze.

Na progu stał Jon, a tuż za nim młody mężczyzna w płaszczu oficerskim i dziewczyna w długim futrze. Szal otulający jej głowę skrzył się od płatków śniegu.

*** QARNNS - Queen Alexandra's Royal Naval Nursing Service - Służba Sanitarna Marynarki Królewskiej (przyp. red.).**

73

- Lally! - Jon uściskał przybraną siostrą, całując ją w policzek. - Dobrze cię widzieć. Niespodziewanie dostaliśmy przepustkę, więc pomyślałem, że zrobię wam niespodziankę.

- Zostajesz? - Lally nie próbowała powstrzymać radości w głosie. To było jej chyba wolno?

- Tylko kilka minut. Akurat tyle, by wypić kieliszek szampana i życzyć wszystkim szczęśliwego Nowego Roku. Gdzie ojciec i Margaret? A Alice już w łóżku?

Opowiedziała o wizycie Margaret w Witfell. Co do Czarnego Jacka, oświadczyła, że zatrzymano go w fabryce, więc zostanie na noc w klubie. To było ich tradycyjne wytłumaczenie dotyczące wizyt u pani Champion.

- Lally - Jon objął siostrę ramieniem i podprowadził do przyjezdnych. - To jest Alexandra, Sandy, i jej brat Richard. Richard West. Richard służy w moim pułku. Moja siostra Lally.

- Miło mi was poznać. - Lally wydawało się, że imię zupełnie nie pasuje do dziewczyny. Była jasnowłosa, wyjątkowo ładna. Miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe i głęboko osadzone niebieskie oczy. Lally nasunęło się skojarzenie z kotem syjamskim. Kiedy Billings zabrał jej futro, ukazała się szczupła sylwetka w kosztownej sukni o zwodniczo prostym fasonie. Widząc minę, z jaką Jon podał gościowi ramię, Lally poczuła ból w sercu.

- Wejdźcie...wejdźcie, proszę. Ojciec będzie taki rozczarowany. Jesteś pewny, że nie zostaniecie dłużej? - dopytywała się, usiłując zachować zimną krew.

- Nie możemy, moja droga. Richard i ja dostaliśmy krótki urlop. Sandy zaopatrzyła samochód w Catterick. Musimy jeszcze dotrzeć do ich domu, gdzieś aż za Yorkiem.

- Jedzicie z Catterick? - Lally starała się nie okazać dezaprobaty, która i tak dźwięczała w jej głosie. Trwała wojna, a oni robili sobie wycieczki, zużywali benzynę dla przyjemności.

- To urlop, panno Pollock. Prawdopodobnie ostatni przed wyjazdem na front - tłumaczył Richard West. - W takim momencie można nieco przekroczyć przepisy.

- Na front.... - nikt nie dostrzegł strachu i szoku w jej głosie. W ogóle nikt nie zwracał specjalnie na nią uwagi.

- Billings - poprosił Jon - mógłbyś przynieść nam coś do jedzenia? Jesteśmy przemarznięci i głodni. Trochę nadłożyliśmy drogi, ale mieliśmy nadzieję zobaczyć was wszystkich.

- Natychmiast, paniczu Jonie - rzekł Billings - Nie sądzę, by kucharka już się położyła. Pewnie czeka na Nowy Rok.

- W porządku, Billings. Niech tylko przypadkiem nic nie gotuje. Nie ma na to czasu. Wystarczą jakieś kanapki. - Wprowadził swoich gości do salonu. - Wspaniale cię widzieć, Lally. Co tam w szpitalu?

Z trudem wybąkała kilka słów. Jakby z oddali słyszała rozmowę, a raczej paplaninę pozostałych. Nic nie miało znaczenia poza tym, że Jon mógł wkrótce zostać wysłany do Francji. Czy oni, Jon i Westowie, też odczuwają takie napię

93

cie? Nie była to rozmowa w dawnym beztroskim tonie. Nikt już nie wierzył w rychłe zwycięstwo. Wojna przestała się wydawać wielką przygodę. Zbyt wiele bitew przegrano. Zbyt wiele poniesiono ofiar. Billings wrócił z zawiniętą w serwetkę butelką szampana i czterema kieliszkami na srebrnej tacy.

- Kucharka serdecznie wita w domu, sir i przesyła najlepsze życzenia noworoczne.

- Zejdę, by się z nią zobaczyć przed wyjściem - obiecał Jon. - Ojciec nadal ma dobrze zaopatrzoną piwniczkę, Billings?

- Mamy zapasy, zwłaszcza na taką okazję. Jestem dumny z siebie, sir, bo pan Pollock lata temu za moją radą nabył kilka beczek wspaniałych win dla Pell-ham Langley, na przykład royal mint. - Lally zaczęła zastanawiać się, czy Billings nie świętował już przypadkiem zbyt hucznie Nowego Roku. Ale Jon wydawał się niczego nie zauważać. Wzniósł kieliszek.

- Za zwycięstwo!

- Za zwycięstwo! - powtórzyli.

Dlaczego, pomyślała Lally, nie za pokój? Nie powiedziała tego na głos, bo uznaliby ją za śmiertelnie poważną. Panował nastrój nerwowej wesołości. Rozmowa ślizgała się po wielu tematach. Szkolenia, ewentualny termin wyjazdu do Francji, praca Sandy w Czerwonym Krzyżu. Mówili o wszystkim tak pobieżnie.

Billings wniósł kolejną butelkę.

- Och, ale jestem głodna - westchnęła Sandy na widok kolacji. Zdaniem Lally musiała głodować przez całe życie, chyba że ta szczupła figura

to dar natury. Lally trzymała się z dala od kanapek. Nienawidziła, gdy ktoś obserwował ją przy jedzeniu, kiedy nie mogła pohamować apetytu. Zamiast tego piła szampana, próbując zignorować fakt, że Jon nie odrywał wzroku od Sandy West.

- Musimy już iść - stwierdził w końcu. - Powiedz ojcu, że spróbuję zajrzeć w drodze powrotnej. Ale to tylko dwudniowa przepustka. - Zaledwie dwa dni i spędzi je z Sandy West. Lally poczuła ukłucie zazdrości.

- Gdybyś wcześniej zadzwonił, ojciec czekałby na was - odważyła się powiedzieć. Nagle zrozumiała swój błąd. Młodzi mężczyźni, jak Jon czy Richard West, nie chcieli spędzać ostatnich dni przed wyjazdem na front przy

kominku w rodzinnym gronie. Pragnęli szaleńczej jazdy z Catterick w niepewną pogodę i w towarzystwie osób, w których wydawało im się, że są zakochani. A może naprawdę je kochali. Lally wolałaby nie myśleć tak logicznie, umieć oszukiwać samą siebie.

Zakładali płaszcze. Jon wymknął się na dół, aby złożyć kucharce życzenia noworoczne. Wrócił z pakunkiem owiniętym w brązowy papier i butelką brandy, którą Billings przyniósł mu z piwnicy.

- Kucharka sądząc, że możemy utknąć w śniegu, zaopatrzyła nas sówicie. Może zamarzniemy na śmierć, ale nie umrzemy z głodu. Dzięki, Billings. Szczęśliwego Nowego Roku.

Całował Lally, ale jego myśli były gdzie indziej.

- Szczęśliwego Nowego Roku... - ich głosy gubiły się w ryku silnika, gdy Richard kręcił korbą, by uruchomić samochód. Ruszyli, ślizgając się nieco na

cienkiej warstwie zlodowaciałego śniegu. Lally machała im jeszcze przez chwilę, ale nie wiedziała, czy którekolwiek z nich odwróciło głowę, by zobaczyć ten pożegnalny gest.

Billings czekał w hallu. Popatrzyli na siebie ze smutkiem.

- Cóż, panienko Lally, miło chociaż krótko.

- Tak, Billings. Ojciec będzie żałował, że się z nimi nie zobaczył.

- Pan Pollock zrozumie, panienko. Młodość musi się wyszaleć. - Lally pomyślała, że mógłby tak mówić do kogoś równego sobie wiekiem. Stary zegar wiszący naprzeciw kominka wskazywał, że do północy zostały tylko trzy minuty.

- Zegar się nie spóźnia, Billings?

- Panienko Lally, pochlebiam sobie, że...

- Mogli zaczekać - odwróciła się i weszła do salonu. Podniosła jeden z używanych kieliszków.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda, Billings? Uczono nas w szpitalu, że alkohol całkowicie dezynfekuje.

Napełniła dwa kieliszki tak gwałtownie, że spieniony szampan wylewał się poza brzegi. Billings przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem.

- Szczęśliwego Nowego Roku, Billings.

- Szczęśliwego Nowego Roku, panienko Lally. - Wypiła szampana, jakby to była szklanka wody i napełniła swój kieliszek raz jeszcze, zanim zegar zaczął wybijać północ. Lally podeszła do okna i rozsunęła zasłony, nie przejmując się, że postępuje wbrew przepisom. Poniżej jarzyły się światła Leeds, miasta w którym się urodziła i skąd Czarny Jack Pollock zabrał ją do innego, lepszego świata. Wszędzie wokół słyszała uderzenia zegarów i kościelne dzwony bijące północ. Czy to nie narusza przepisów bezpieczeństwa, zastanawiała się. Biły, budząc w sercach nadzieję. Jakby w ogóle nie było wojny. Lally pozwoliła zasłonie opaść i wróciła do butelki szampana.

- Jeszcze jednego, Billings? - Propozycja była wysoce niestosowna. Ale trwała wojna i nadchodził Nowy Rok.

- Poproszę troszeczkę, panienko Lally.

Nalała pełne kieliszki dla nich obojga. W milczeniu podnieśli je do ust.

- Czy mam już sprzątnąć po kolacji?

Spojrzała na stół zastawiony dla Jona i jego przyjaciół. Przy nich nie pozwoliła sobie nawet na małą przekąskę. Ale Jon odjechał, a jego myśli zaprzętała Sandy West. Ona, Lally, została sama.

- Jeszcze nie, Billings. Ja... zjem chyba kawałek lub dwa.

- Bardzo dobrze, panienko Lally.

Kiedy odszedł, zaczęła nakładać na talerz kromki czarnego chleba z szynką, wołowiną, serem. Jadła i jadła, aż jej wzrok przyciągnęły słodczyce. Przypomniały jej się oczy Jona wpatrzone w Sandy. Nalała więc sobie jeszcze jeden kieliszek szampana, a potem sięgnęła po ciasto z wiśniami.

Rozdział szósty

I

Młody żołnierz umarł na oczach Lally. Została w dużej sali szpitala wojskowego. Dyżurna pielęgniarka zostawiła na jej głowie całe sprzątanie. Zmieniły właśnie opatrunek rannemu, który silnie krwawił po amputacji.

- Jeśli się pogorszy, będę musiała wezwać lekarza. - Siostra, wychodząc na obchód, wydawała się zaniepokojona stanem pacjenta. Lally zebrała pobrudzone bandaże. Poprawiła poduszki, najmniej jak to możliwe niepokojąc chorego, podała wodę, o którą prosił. Została jeszcze chwilę, by szepnąć mu kilka słów pocieszenia: Jakoś ciężko jej było zostawić tego chłopca. Wyglądał tak słabo i samotnie. Musiała jednak dogonić pielęgniarkę i wykonać pozostałe zlecenia. Lally nie protestowała, gdy przydzielane jej obowiązki przekraczały przepisowy zakres prac wolontariuszki. Wraz ze wzrostem liczby ofiar każda para rąk do pracy była na wagę złota. Zbliżał się majowy świt 1915 roku. Z dworu dobiegały pierwsze, nieśmiałe jeszcze, głosy ptaków.

Jakiś ruch zwrócił uwagę Lally. Inny młody żołnierz poruszył się na poduszce. Usłyszała świszczący oddech, z trudem uchodzący z wymęczonych płuc. Podeszła i pochyliła się nad rannym. Nocna lampka oświetlała bledszą od prześcieradeł twarz. Dziewczyna przysunęła ucho do jego ust, próbując zrozumieć słowa, które usiłował wymówić. Ich sens zagubił się jednak w ostatnim westchnieniu. Szeroko rozwarte, nieruchome oczy chorego przeraziły Lally. Sprawdziła puls. Niewielka iskierka życia, która dotąd płonęła w tym zmaltretowanym ciele, zgasła. Lally wyprostowała się, przestraszona. Miała wrażenie, jakby dusza na jej oczach ulatywała z tego człowieka. Pierwszy przebłysk słońca zajaśniał za szybą, jakiś ptak obwieścił nadejście dnia przeraźliwym świergotem. Szukała jeszcze pulsu, ale z nikłą nadzieją. Wiedziała, że chłopak został ranny w drugiej bitwie pod Ypres w kwietniu i był jednym z tych, którzy jako pierwsi padli ofiarą używanych przez Niemców gazów bojowych. Kiedy przewieziono go do Leeds, lekarze uznali, że ma niewielką szansę na przeżycie.

Drugi ptak klótlwym ćwierkaniem dołączył do swojego poprzednika. Lally podniosła z podłogi brudne opatrunki i pośpieszyła odszukać siostrę z nocnego dyżuru. Stan personelu szpitalnego nie był jeszcze tak beznadziejny, by stwierdzenie zgonu mogło należeć do kompetencji niedoświadczonej wolunta-riuszki.

Lally wróciła na salę, kiedy pracownicy zakładu pogrzebowego przyszli zabrać ciało. Pomogła przenieść je na wózek, starannie zakrywając twarz zmarłego prześcieradłem. Nigdy już nie zobaczy tego chłopca. Nabrała pokory obserwując lekarzy bezsilnych, ale nie ustających w zmaganiach o ludzkie życie. Śmierć młodego żołnierza poruszyła ją głębiej niż inne tragedie, na które co dzień patrzyła. Nie odniósł żadnych ran. Miał piękne, silne ciało. Lally wiedziała o tym, bo myła go i zmieniała mu piżamy. Nie czuła się już zakłopotana takimi posługami, a mężczyźni akceptowali jej pomoc chętniej, niż gdyby była jedną z pięknych, eleganckich ochotniczek, za którymi wodzili rozmarzonymi oczami. Przy Lally nie byli zakłopotani. Lubili ją, dziękowali, ale z nią nie flirtowali. Młody żołnierz służył w Pierwszym Pułku Piechoty z Yorkshire, w pułku Jona. Z tego względu również jego walka o życie była dla niej szczególnie ważna.

Lally przez chwilę jeszcze wpatrywała się w zwłoki, a potem szybko powróciła się do swoich zadań. Tyle trzeba było jeszcze zrobić, zanim rozpocznie się dzienna zmiana. Nie miała czasu, by rozpacząć.

* *

Państwo przejęło Pellham Langley i przekształciło pałac na szpital dla rekonwalescentów. Czarny Jack, Lally i Alice jeździli tam przy każdej nadarzającej się sposobności. Alice lubiła przebywać wśród rannych, co budziło niepokój Czarnego Jacka. Ale Lally wyczuwała, że bezpośredni sposób bycia dziewczynki miał prawdziwy urok dla chorych. W Alice, jak w małym dziecku, nie budziły odrazy najbardziej przerażające okaleczenia. Nie zwracała na nie uwagi. Uroczyście pokazywała swoją lalkę lub robótkę mężczyźnie ze zmasakrowaną połową twarzy, spacerowała po ogrodzie trzymając za pusty rękaw żołnierza, który stracił rękę i wydawała się nie widzieć w tym nic dziwnego ani krępującego. Siadywała obok ich łóżek, a oni czytali jej dziecięce książeczki. Nawet najbardziej załamani i cierpiący nie mogli oprzeć się promiennemu uśmiechowi dziewczynki. Patrząc na Alice, można było znów uwierzyć w świat niewinności.

Margaret zazwyczaj nie brała udziału w wycieczkach do Pellham Langley i, choć nigdy by się do tego nie przyznali, bez niej było znacznie spokojniej. Dziewczyna przeżywała nerwowy i kłopotliwy okres. Po powrocie ze świątecznej przepustki nie przepracowała w szpitalu nawet miesiąca. Rozmawiając z Czarnym Jackiem, siostra przełożona była uprzejma, ale stanowcza.

- Pańska córka nie jest dobrym materiałem na pielęgniarkę, panie Pollock - tłumaczyła. Po pierwsze wolontariuszki zobowiązane są do posłuszeństwa. A poza tym nie możemy zatrudniać osoby, która wygląda, jakby miała zemdleć albo do-

98

stać ataku hysterii za każdym razem, gdy zbliża się do poważnie chorego. Takie sytuacje wytrącają z równowagi pacjentów i, mogą powiedzieć, szkodzą pańskiej córce. Jest chętna, pragnie pomagać, ale szpital nie jest miejscem dla ludzi o słabych nerwach. Panna Pollock nigdy nie rozwinię w sobie zawodowego dystansu wobec cierpienia. Nie potrafi współczuć, a przy tym nie rozpieszczać. Ona dostrzega tylko ból, a nie nadzieję na wyzdrowienie. Za to Lally... - Z tonu jej głosu można było wywnioskować, że przełożona nie jest całkowicie bezstronna w stosunku do obu siostr. - Starsza panna Pollock ma zupełnie inne usposobienie. Odznacza się ogromną wytrzymałością i cierpliwością, jakimś wewnętrznym spokojem. Zdają sobie sprawę, że dla młodych dziewcząt to raczej ciężkie życie, zupełnie inne od tego, jakie sobie wyobrażały, gdy zaciągały się w patriotycznym zapale. Przykro mi z powodu panny Margaret, ale z pewnością znajdzie sobie inną służbę. - To był koniec rozmowy.

Margaret rozplakała się, kiedy usłyszała wieści, ale Czarny Jack wyczuwał, że są to bardziej łzy ulgi niż rozczarowania. Potem spakowała walizkę i na kilka tygodni wyjechała do Witfell.

- Babcia na pewno coś wymyśli - powiedziała, żegnając się z rodziną. Lady Bletchley wzięła sprawę w swoje ręce. Wkrótce zatelefonowała do Czarnego Jacka.

- Nie ma sensu zatrzymywać Margaret na wsi. Obawiam się, żeby z nudów nie popełniła jakiegoś głupstwa. - Nie powiedziała, co dokładnie ma na myśli. Czarny Jack jednak przypomniał sobie jaką reputację zdobyła Latitia jako młoda dziewczyna. Lady Bletchley najwyraźniej obawiała się podobnych kłopotów z wnuczką i próbowała zawczasu im zapobiec. - Przyjaciółka Elspeth, pani Pon-sonby-Williams, organizuje dla Czerwonego Krzyża grupę kierowców. Na początku wezmą udział w kursie w Camberley. Będą musieli nauczyć się-jak to się nazywa? -rozbierać silnik, czy coś w tym rodzaju. Margaret jest wspaniałym kierowcą i uważam, że da sobie radę z teorią równie dobrze jak z praktyką. Ona nie jest głupia. Jednak po tym nieszczęsnym doświadczeniu ze szpitalem, nawiasem mówiąc nigdy tego nie pochwalałam, Margaret nie może jeździć ambulansem, jedynie samochodami sztabowymi. To odpowiedzialna praca i potrzebna, a nie związana z koszmarem sal szpitalnych. Naturalnie, dziewczęta dostaną wspólne sypialnie i będą w nocy surowo pilnowane.

- Ale nie podczas pracy - zauważył Czarny Jack. - Margaret ma zaledwie osiemnaście lat.

- Trwa wojna, Jack. Młodzi pragną działać. Czy chcesz trzymać ją beczynną w Grangewick? Czy może myślisz, że ona zostanie tu z nami, parą starych ludzi? Świat się zmienia... - Jej westchnienie było ledwie dosłyszalne przez telefon. - Gdyby miała męża i absorbujące ją dzieci. Ale ja nie pochwalam tych wojennych małżeństw. Są zbyt niepewne.

Czarny Jack pomyślał, że w przypadku Margaret, niezależnie od sytuacji, wszystko jest niepewne. Nie mając jednak nic lepszego do zaproponowania, zgodził się. Uszczęśliwiona Margaret pojechała na kurs. Była dobrym kierowcą, zręcznym i odważnym, ale Czarny Jack wątpił, czy kiedykolwiek zrozumie, co się

dzieje pod maską samochodu. Nie wątpił jednak, że zawsze znajdą się w pobliżu jacyś mężczyźni, którzy chętnie jej pomogą.

- Wiesz, jak to jest, Lally - zwierzała się przed wyjazdem przybranej siostrze. - Muszę tylko jakoś przejść przez ten kurs. - Nagle głos jej zmiękł. - Ale chciałabym się tego nauczyć. Czuję się jak idiotka. W końcu zostałam zwolniona z pracy.

- Nie każdy musi być pielęgniarką - pocieszała Lally. - Jesteś wspaniałym kierowcą. Znajdziemy dobrego krawca na Savile Row, żeby uszył ci mundur. Będiesz w końcu wozić oficerów.

Margaret rozjaśniła się na myśl o ubraniach i o mężczyznach. Wreszcie jakaś atrakcja, nawet jeśli chodziło o starszawych pułkowników. W końcu wszyscy oni mieli na pewno młodych adiutantów. Z niezwykłą dla siebie pilnością przyłożyła się do kursu i zdołała przebrnąć przez trudny egzamin. Narzekała jednak na warunki. „Pokoje są zimne i wilgotne - pisała - a jedzenie po prostu okropne. Nasz dowódca to potwór. Musimy być na kwaterze już o dziesiątej wieczorem. Ale na przepustkę udaje mi się czasem wyrwać do Londynu. Nie jest tak źle...”

Czarnemu Jackowi nawet te ograniczenia nie wydawały się wystarczające, ale w czasie wojny trudno oczekiwać czego innego. Cały porządek świata załamał się. Nie miał pojęcia, jak mógłby ochronić swoje córki, ani nawet czy byłoby to stosowne. Kiedy wojna wreszcie się skończy, nic nie pozostanie z dawnego świata. Czarny Jack nie miał złudzeń. Głosy wojowniczych emancypantek od tak dawna dopominających się praw w końcu zostaną uznane, gdyż kobiety sobie na to zasłużyły. Wyłamały swe życie ze starych ram i wątpił, czy pozwoliłyby wtłoczyć je w nie ponownie. Doświadczenia z Latitią i Alice Trimble sprawiły, że był głęboko świadom hipokryzji mężczyzn w stosunku do kobiet. Wiedział, że związek z panią Champion służył raczej jego wygodzie niż jej uczuciom. Ale pani Champion była zadowolona albo przynajmniej wyglądała na zadowoloną, żyjąc za cudze pieniądze.

Od najwcześniejszej młodości kobiety dla Czarnego Jacka stanowiły zagadkę. Mówiły jedno, myślały drugie. Nie dawało się postępować z nimi jak z mężczyznami. To było powodem, przyznawał, że uważał je za zachwycające, a jednocześnie nieznośne. Trzy córki, kapryśna, piękna Margaret, silna, niezawodna Lally oraz krucha, słodka, przypominająca anioła Alice, stanowiły źródło jego szczęścia. Pani Champion zaś dawała mu wygodę i zaspokojenie zmysłów. Podczas nieczęstych wizyt w Londynie Jack Pollock jadał zwykle obiady z markizą. Sprzedawszy dom w Balgravii, lady Ross przeniosła się do niedużego mieszkania w pobliżu Royal Albert Hall. Żyła spokojnie i oszczędnie, cały swój czas poświęcając pracy dla Czerwonego Krzyża. Jack lubił jej towarzystwo, żywe, często błyskotliwe rozmowy. Peszyły go tylko złośliwe, krytyczne uwagi dotyczące polityki. Słuchając ich, czuł się zakłopotany. Zawsze kochał kobiety, ale one, jak i czasy, zmieniły się.

Ostatnio jednak musiał przyznać, że jego serce i myśli w największym stopniu zaprzątnięte były Jonem. Jedyne synowi bowiem groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale życie szło naprzód. Kopalnie i fabryki musiały zaspokoić

80

potrzeby armii. Choć pracowały przez całą dobę, produkcja była ciągle niedostateczna. Czarny Jack wiedział, że zapasy surowców zatrważająco maleją. Rozpaczliwie szukał możliwości uzupełnienia. Wydawało mu się nieomal nieprzyzwoite, że jego konto bankowe rozrasta się na skutek wojny. Inwestował więc w fundusz pożyczek wojennych. To go jednak nie zadowalało. Ale co więcej mógł zrobić? Stanać na rogu którejś z ulic w Bradford i wręczać funty każdemu mężczyźnie w mundurze? Wiele dawał na cele charytatywne, jednak nadal miał dużo więcej pieniędzy, niż wymarzył to sobie jego ojciec. Czarny Jack zastanawiał się, co zrobi z tą fortuną, kiedy wojna się skończy. Kiedy wojna się skończy... W tym punkcie jego myśli zawsze natrafiały na mur nie do przebycia. Odpychał od siebie wszelkie wątpliwości, ale prawdą było, że tracił wiarę w zwycięstwo. Armie Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii, bataliony z całego imperium walczyły bezskutecznie o kilka mil nieszczęsnej, przeklętej ziemi. Tymczasem Turcy dokonali rzezi na półwyspie Gallipoli. Szeptano, że admirał John Ar-buthnot Fisher, składając rezygnację, miał powiedzieć: „Przeklęte Dardanele, będą naszym grobem”..Zwycięstwo, które miało nastąpić w ciągu kilku miesięcy, stało się nieosiągalnym marzeniem. Czarny Jack, który wyczuwał zbliżający się rozłam wśród sprzymierzeńców, teraz zaczął się obawiać, że wynik tej wojny może być dla jego kraju tragiczny. Nigdy jednak nie wypowiedział tej myśli na głos. Byłaby to zdrada.

II

Znów był sierpień. Czarnemu Jackowi wydawało się niezwykle, że dwanaście miesięcy mogło zmienić w ich życiu tak wiele. Przypominał sobie obrazki sprzed roku, młodych ludzi w białych tenisowych strojach i Billingsa rozlewającego szampana dla uczczenia wybuchu wojny. Znów przyjechali do Pellham Langley na dwa cenne dni przepustki Lally. Zdecydował, że powinna spędzić je poza miastem. Zajęli przydzielone rodzinie ciasne pokoje nad stajniami. Czarny Jack czyścił broń. Po południu razem z Lally mogą pójść na spacer po wrzosowiskach i jeśli jakaś kuropatwa nawinie mu się pod lufę, będzie stanowić smakowite uzupełnienie zapasów spiżarni w Grangewick. Dzień był jasny, słoneczny. Alice pod opieką Neli oddawała się swemu ulubionemu zajęciu. Odwiedzała wszystkich rekonwalescentów. Podczas każdej wizyty w Pellham Langley odbywała uroczysty obchód po salach i pokojach rekreacyjnych, witając się z każdym po kolei. Czasami pamiętała któregoś mężczyznę z poprzedniej wizyty i pozdrawiała go radośnie jak przyjaciela. Do innych podchodziła bez lęku, z uśmiechniętą buzią. Nigdy nie zaznała wrogości czy niechęci, odnosiła się więc do ludzi z całą ufnością. Chorzy i ozdrowieńcy w Pellham Langley odnosili się do niej zawsze przyjaźnie, bo kto mógłby się odwrócić od Alice? Czarny Jack i Lally szli samotnie przez wrzosowiska, wspinając się ulubioną drogą aż na szczyt wzgórza, do wodospadu, skąd mogli widzieć dom i sąsied-

6 - Obietnice

81

nią dolinę z kominami fabryk. Pollock ustrzelił parę kuropatw, ale nie miał ochoty na dalsze polowanie. Czuł się zmęczony. Przysiedli na wrzosowisku nad wodospadem. Słońce ogrzewało im twarze. Świat wydawał się piękny, chociaż wiedzieli, że po drugiej stronie kanału, w Belgii, niemieckie władze aresztowały pielęgniarkę Czerwonego Krzyża, Edith Cavell, która pomogła w ucieczce alianckim jeńcom. Warszawa została zajęta przez Niemców, a Włochy wypowiedziały wojnę Turcji. Wiele rozmawiali o tych sprawach, ale zawsze w końcu wypływał temat Jona i tu musieli zamilknąć, gdyż nie byli w stanie mówić o swoich obawach. Często wspominali też Margaret. Cieszyli się, że życie kierowcy zdaje się jej odpowiadać i dyskutowali o zapewnieniach lady Bletchley, że Margaret nigdy nie zostanie wysłana do Francji, choćby nie wiadomo jak chciała tam pojechać.

- Żadna kobieta poniżej dwudziestego trzeciego roku życia nie może być wysłana na tereny objęte walkami. A wszystko dawno się skończy, zanim ona osiągnie stosowny wiek - uspokajała Czarnego Jacka starsza pani. Ale teraz ugrzęźli w wojnie. Każdy dzień przeżyty przez Jona na froncie zdawał się im cudem. Nie chcieli tego cudu spłoszyć, mówiąc o nim głośno. Leżeli więc wśród sierpniowych wrzosów z twarzami zwróconymi ku słońcu i rozmawiali o dniu, kiedy Czarny Jack wspiął się tu śladem Lally, dniu kiedy wrócili z Włoch i mała samotna dziewczynka postanowiła przemówić. Wspomnienia były bezpieczne, nie budziły lęku.

W pierwszej chwili nie dostrzegli przybysza. Usłyszeli tylko fałszywie wy-gwizdywaną melodię. Był to ostry, niemal przykry dźwięk, nie mający nic wspólnego z muzyką. Lally usiadła.

- Ktoś nadchodzi.

Patrzyli, jak omijał skały przy wodospadzie. Z pewnością nie był tutejszy. Poznali to po ubraniu, ale także po sposobie, w jaki się poruszał. Wspiął się z łatwością, nie przerywając pogwizdywania. Widocznie nie znał tych terenów, gdyż uważnie śledził wąską ścieżkę i stapał z wielką ostrożnością. Nosił tweedo-wy garnitur, nieco zbyt nowy i zbyt modny, jak na gust rodowitego mieszkańca Yorkshire. Oboje, ojciec i córka, przypatrywali się obcemu, czekając aż do nich podejdzie. Mężczyzna zdjął kapelusz.

- Dzień dobry, sir. Pan Pollock, jak przypuszczam. Panna Pollock.

- Tak - potwierdził Czarny Jack krótko i Lally rozpoznała chłód w jego głosie. Nikomu w zasadzie nie wzbraniano spacerów po wrzosowiskach, ale był to raczej przywilej miejscowych ludzi.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Powiedziano mi, że prawdopodobnie znajdę państwa na ścieżce koło wodospadu. Jest zbyt ładny dzień, by czekać beczynn timer, więc pomyślałem, że nawet jeśli się z państwem minę, przynajmniej trochę się przejdę. - Zamilkł, jakby miał nadzieję, że Czarny Jack przerwie ciszę. Wobec braku reakcji musiał jednak kontynuować. - Pozwolicie państwo, że usiądę?

Czarny Jack wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Wydaje się pan dobrze zorientowany w terenie jak na obcego.

82

Lally uświadomiła sobie, że nieznajomy mówi z amerykańskim akcentem. Spotkała w życiu kilku Amerykanów. Jednego z nich, na przykład, poznała podczas sezonu londyńskiego, odległego o wieki, nierzeczywistego okresu swego życia, w który teraz ledwo mogła uwierzyć. A ten człowiek w nowym eleganckim garniturze, wydawał się równie nierzeczywisty, jak ów miniony świat.

- Dziękuję. - Mężczyzna usiadł, podciągając kolana pod brodę. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął papierośnicę z ciężkiego, polerowanego złota. Wyciągnął ją w kierunku Lally.

- Czy pani zapali, panno Pollock? Dziewczyna poczuła, że się rumieni.

- Dziękuję, nie palę. - Dłaczego pochlebiało jej, że ten obcy człowiek uznał, iż może być jedną z nowoczesnych kobiet? Odmówiła, ale starała się nie okazać oszołomienia z powodu jego propozycji. Patrzyła jak nieznajomy przypala papierosa gospodarzowi, a następnie sobie. Miał włosy ciemne, podobnie jak Czarny Jack, ale twarz bardziej pociągłą. Wokół ust ciągnęły się dwie bruzdy, głębsze niż powinny znaczyć twarz mężczyzny w jego wieku. Ile mógł mieć lat, zastanawiała się Lally. Trzydzieści. Nie, pomyślała, więcej. Był wysoki i bardzo szczupły. Można by go nawet uznać za niezdarnego, gdyby nie uderzająca pewność siebie. Miał brązowe oczy, nie łagodne czy ciepłe, po prostu ciemne. Jego usta tworzyły wyraźną prostą linię. Wyglądał, jakby rzadko się uśmiechał.

- Ma pan nade mną przewagę - powiedział chłodno Czarny Jack. - Nie znam pańskiego nazwiska.

Włosy mężczyzny wydawały się zbyt idealnie ułożone. Wiatr ich w ogóle nie potargał.

- Mojego nazwiska? A, tak. Jestem Brock Weymouth.

- Czy powinienem pana znać?

Po raz pierwszy jego usta nieznacznie drgnęły. Można to było uznać za uśmiech.

- Wiem, że wszedłem na cudzy teren, panie Pollock. To pańskie królestwo i jeden z pańskich cennych dni wolnych. A ja jestem intruzem. Nie, nie powinien mnie pan znać. Mam po prostu nadzieję ubić z panem interes.

- I przyszedł pan tutaj w tym celu? Zazwyczaj interesy załatwiam w biurze.

- Wiem. - Brock Weymouth zrobił przeproszący gest. - Niewybaczalnym zachowaniem jest naruszenie prywatności Anglika. A właściwie jego zamku. - Ruchem głowy wskazał leżący poniżej pałac. - Usłyszałem o panu w Londynie i weekend wydał mi się zbyt długi, by czekać. Postanowiłem, że po prostu przyjadę do Yorkshire i zaryzykuję spotkanie.

- To aż tak pilna sprawa? Weymouth zgasił papierosa.
- W czasie wojny nigdy nic nie wiadomo, prawda, panie Pollock? Pomyślałem, że moglibyśmy ubić kilka interesów.
- . Moje godziny pracy, panie Weymouth...

105

- Gdybym przyszedł do pana w godzinach pracy, nigdy by mnie pan nie zapamiętał. Byłbym jeszcze jednym bezimiennym interesantem. Miałem wolny weekend, więc zaryzykowałem podróż tutaj. Poza tym, nigdy jeszcze nie byłem w Yorkshire. - Gestykulował z niewłaściwą, zdaniem Lally, przesadą. - Oczekiwałem ulewy wśród wyjącego wiatru, a przynajmniej ducha Emily Bronte i jej psa, Keepera. Tymczasem świeci słońce i śpiewają ptaki.

- Zna pan imię psa Emily Bronte - zauważył Czarny Jack.

- Tak - odparł krótko Weymouth. Może przypadkiem, myślała Lally, a może świadomie poruszył jedną z namiętności Czarnego Jacka. Czyżby ten Brock Weymouth w jakiś sposób dowiedział się, że Czarny Jack był beznadziejnie, romantycznie zakochany w legendzie sióstr Bronte? Ale Czarny Jack nie dał się wciągnąć w dyskusję. Przez kilka minut panowało milczenie. Obaj mężczyźni kontemplowali rozległy widok, ścielący się u ich stóp. Dolina, ogromny dom, bezkresne wrzosowiska nurzały się w rozrzedzonej upałem mgiełce sierpniowego dnia. Wreszcie Czarny Jack przerwał milczenie.

- Więc, co pana sprowadza? - Jego ton brzmiał teraz odrobinę łagodniej.

- Myślę, że mogę panu coś sprzedać, panie Pollock.

Znow zapadła cisza. Kontrahenci przyjeżdżali do fabryk i czekali cierpliwie, aż Czarny Jack ich wezwie. Nie nachodzili go w domu, nie ośmielali się wtargnąć w jego prywatne życie.

Amerikanin zerknął porozumiewawczo na Czarnego Jacka.

- Prawdziwy dżentelmen nie zachowuje się w ten sposób, chce pan powiedzieć, prawda? Nigdy nie wdarłby się tu bez pana zgody. A ci, którzy nie są dżentelmenami, w ogóle nie ośmieliliby się wtargnąć do pańskiego świata. Zastanawia się więc pan, kim jestem i jak śmiałem odszukać pana tutaj? - Zgasił papierosa i w tym momencie jego oczy napotkały wzrok Lally. Dziewczyna poczuła, że ogarnia ją zakłopotanie. - Cóż, wyobrażam sobie, że w czasie wojny ludzie nie mają czasu na konwenanse. Nie mogę kręcić się po Londynie, czekając, aż zostanę panu przedstawiony. Pan potrzebuje surowców, a ja będę w stanie zdobyć je dla pana. Czy to interesująca propozycja?

- A czegoż to moi agenci nie mogliby dla mnie dostać?

- Goni pan resztkami zapasów, panie Pollock. Każdy przemysłowiec w Anglii boryka się teraz z tym problemem. Nie mogę sprzedać panu węgla ani stali. Sprowadzenie ich kosztowałoby zbyt dużo. Ale wełnę i bawełnę zdobędę bez kłopotu. Ma pan swoich dostawców wełny z Australii, wiem o tym. Jednak ja też mam pewne źródła. Podobna sprawa z bawełną, której domaga się każda fabryka włókiennicza w Anglii. A co pan powie o częściach zapasowych do maszyn? Słyszał pan o jankeskim *know-how*? Ja to mam. Mogę zdobyć, cokolwiek pan potrzebuje. Ta wojna szybko się nie skończy, a pan był jednym z nielicznych, którzy zdali sobie z tego sprawę już dawno temu.

- Od kogo pan o tym słyszał?

- Słyszysz się to i owo. Zdobyłem majątek dzięki temu, że miałem uszy otwarte. Przyjechałem do Anglii, by go pomnożyć. Miałem wrażenie, że aku-
107

rat pan nie odpowie mi sta[^]mi patriotycznymi wykrętami o „radzeniu sobie”, o państwie i wszystkich tych głupstwach - przerwał. - Przepraszam, nie było moją intencją kogokolwiek obrażać, ale człowiek, który poczynił takie przygotowania na wypadek wojny jak pan, nie mógł całkowicie wierzyć w niezachwianą potęgę imperium. Nie wygląda pan na zaskoczonego, że prognozy dla aliantów są obecnie gorsze niż przed rokiem. Wszystko miało skończyć się do Bożego Narodzenia. Jak pan sądzi, ile jeszcze wojennych świąt będziemy musieli przeżyć? Niedługo Ameryka przystąpi do wojny. Teraz jeszcze mogę panu dostarczać surowców. Potem będę musiał zaopatrywać naszą własną armię.

- Więc myśli pan, że Stany Zjednoczone dołączą do nas? Weymouth wdeptał ostrożnie niedopałek w ziemię.

- Jestem tego pewien, panie Pollock. Kto mógłby w to wątpić po zatopieniu „Lusitanii”?

Czarny Jack nie odrywał oczu od wrzosowiska. Po chwili przeniósł wzrok na Amerykanina.

- Dobrze, porozmawiamy.

Brock Weymouth ponownie wyciągnął papierośnicę w stronę Czarnego Jacka i zniecierpliwienie zagadnął:

- Jak pan przypuszcza, dlaczego siostry Bronte tak młodo zmarły? Delikatne zdrowie czy klimat? A może przyczynił się do tego ojciec?

- Ma pan tupet, panie Weymouth, by mówić w ten sposób o Jorkszyrczyku, Czy spodziewa się pan, że poprę pana teorię?

- Patrick Bronte był Irlandczykiem, panie Pollock. Pani Bronte natomiast pochodziła z Kornwalii. W ich córkach więc płynęła celtycka krew. Yorkshire dało im jedynie przestrzeń dla rozwoju wyobraźni.

Czarny Jack podniósł się.

- Pomówimy o tym później, panie Weymouth. Chodźmy do domu. Lally musi przygotować kolację. Przyjmie pan nasz skromny, wojenny poczęstunek?

- Będę zaszczycony, panie Pollock.

*

* *

Do kolacji zasiedli w niewielkim pokoju nad stajniami. Czarny Jack wyciągnął butelkę whisky. Lally ugotowała ziemniaki i przyrządziła rybę w sosie. Weszła Alice. Usiadła obok Brocka Weymoutha i wręczyła mu nowego misia. Gość natychmiast skierował na nią całą uwagę.

- Jesteś bardzo piękną młodą damą, a nosisz tego typka ze sobą. Musisz go bardzo kochać. Czy wiesz, że u nas nazywałby się Teddy, na cześć jednego z prezydentów, Teddy'ego Roosevelta. Ale pan Roosevelt wygląda na bardziej sponiewieranego niż ten kolega. - Brock Weymouth nie okazywał najmniejszego zdziwienia na widok czternastoletniej dziewczynki traktującej pluszowego misia jak ukochanego towarzysza.

85

Lally wiedziała, że Alice była zachwycona, gdy ktoś rozmawiał z nią jakby była dorosła, nawet jeśli nie do końca rozumiała, co mówiono. Pragnęła uwagi i otrzymała ją.

Po kolacji siedzieli pijając kawę.

- A z której części Stanów pan pochodzi, panie Weymouth? - zagadnął Czarny Jack.

- Nie wiem.

Gospodarz opuścił filiżankę.

- Nie wie pan?

- Wiem tylko, że gdy byłem wystarczająco duży, by cokolwiek rozumieć odkryłem, że jestem w sierocińcu w pobliżu Bostonu. Ale nie tam się urodziłem. Po prostu zostałem podrzucony. Nie było żadnych potwierdzających moją tożsamość dokumentów. Znalaziono mnie ponoć na schodach sierocińca. Nie miałem imienia, więc nazwano mnie w sposób najprostszy. Dom stał mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Brockton i Weymouth w Massachusetts. Stąd Brockton Weymouth. Równie dobre jak i inne nazwiska. W sierocińcu mieszkałem do szesnastego roku życia. Wtedy otworzono przede mną drzwi i ruszyłem zdobywać świat. - Pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Lally przestała słuchać. Zaczęła ogarniać ją panika. Znów poczuła zapach wilgotnej, ciemnej nory. Zawładnął ją znajomy głód, którego nigdy nie można zaspokoić. Ten człowiek, jak i ona, nie wiedział skąd pochodzi. Nie znał swego prawdziwego nazwiska. Brockton Weymouth i Lally Leeds. Ciężko nad nimi to samo przekleństwo. Lally poruszyła się niespokojnie. Nie podobało jej się poczucie więzi z tym mężczyzną. Wolałaby, żeby nigdy nie przyjechał. Nie chciała wspomnień z dawnego świata. Paraliżowało ją przerażenie. Słowa nieznajomego niosły w sobie jakąś niepojętą groźbę. Nie, to absurd. On i Czarny Jack spotkają się nazajutrz rano w fabryce, załatwią interesy i Brock Weymouth wróci do Ameryki. Nigdy więcej go nie zobaczy. Lęk wkrótce przycichnie.

Czarny Jack, którego wino wprawiło w dobry humor, odprowadził wreszcie gościa do frontowych drzwi pałacu, gdzie na podjeździe czekała elegancka limuzyna. Alice trzymała ojca za rękę i szła podskakując. Sierpniowy wieczór był nadal pogodny. Światło dnia gasło nad wrzosowiskami.

- Nieźle się panu powodzi w czasie wojny, panie Weymouth. - Czarny Jack wskazał na hispano suizę. - Niewiele się takich obecnie widuje.

- Mam w Anglii kilku przyjaciół. Samochód pożyczyłem od jednego z nich. Odwdzięczę się mu, gdy przyjedzie do Stanów - oświadczył niedbale. Brock Weymouth rzeczywiście zdobywał świat, który pokazano mu, otwierając drzwi sierocińca.

- Mam jeszcze jedną córkę, Margaret. Jest kierowcą w Czerwonym Krzyżu. Pokochałaby jazdę suizą. Stary, dobry angielski rolls jej nie wystarcza... - Czarny Jack mówił dalej o Margaret. Lally chciała go powstrzymać. Więż nie może stać się silniejsza. Po co ten człowiek miałby poznać ich lepiej? Usiłowała zapanować nad myślami. Strach nie może pokonać rozumu. Czego się obawiać? Nieznajomy zrobił grzeczną uwagę na temat kierowców Czerwonego Krzyża.

110

Nic nie wskazywało, że osiemnastoletnia dziewczyna może go zainteresować, nawet jeśli wariuje na punkcie samochodów. Wyciągnął rękę.

- Dziękuję, panno Lally. Kolacja była wspaniała. Nie myślałem, że proste potrawy mogą tak smakować.

Zapamięta ją, oczywiście, jako dobrą kucharkę. To była prawdopodobnie jedyna zaleta, którą mężczyźni w niej dostrzegali. Jeśli Brock Weymouth kiedykolwiek spotka Margaret i ona zechce poprowadzić jego hispano suizę, nigdy nie zapomni tej jazdy.

Patrzyli jak samochód znika za zakrętem alei.

- Dziwny facet. Przychodzi nie wiadomo skąd i pochodzi nie wiadomo skąd. Cóż, zobaczymy, co może dla mnie zrobić. Każdy kontakt jest cenny, a on wydaje się mieć znajomości... - Odwrócił się do Alice. - Chodźmy już, kochanie. Czas przygotować się do snu.

- Teddy Rose - powiedziała nagle Alice. - Brock powiedział, że on nazywa się Teddy Rose. - Podniosła wysoko misia i roześmiała się.

- Tak, tak powiedział. Jak świetnie zapamiętałaś.

Rozdział siódmy

I

Lato odchodziło, a wraz z nim gasły resztki nadziei. Nie będzie końca tej wojnie. Ugrzęźli w niej i pograżali się coraz bardziej. Nikt nie mówił już o szybkim zwycięstwie, nikt, poza głównodowodzącymi, nie wydawał się w nie wierzyć. Bezskutecznie, tracąc wszelką nadzieję, walczono w kółko o te same terytoria. Front przesuwiał się tam i z powrotem. Druga bitwa o Szampanię, trzecia o Artois. Lally wczytywała się w te nazwy, gorzko zastanawiając się, czy za jakiś czas nie usłyszy o dziesiątej bitwie o Artois. Nikt w szpitalu nie traktował jej już jak wolontariuszki. Potrzebowano doświadczenia, cennego doświadczenia, które zyskała. Piekły ją zmęczone stopy, bolały plecy, ale energia nigdy nie zawiodła. Lally odłożyła tomik wierszy Ruperta Brooke'a. Trudno było się przyzwyczaić do myśli o śmierci ulubionego poety. W dodatku nie zginął na polu chwały, niektórzy mówili, że o takim końcu marzył, ale zmarł z powodu zakażenia. Jedyne, co pasowało do jego wizji śmierci, myślała Lally, to fakt, że został pochowany na jednej z wysp greckich, pośród swoich bohaterów.

Do szpitala w Leeds przywożono coraz więcej rannych. Większość z nich miała jednak szansę na przeżycie. Najślabi umierali wcześniej, w okopach, punktach opatrunkowych i szpitalach wojskowych po drugiej stronie kanału. Wyleczonych odsyłano z powrotem do Francji. Niektórzy odzyskiwali siły jedynie na tyle, by można ich było leczyć dalej w sanatoriach, a potem zwolnić ze służby z powodu kalectwa. Nikt już nie marzył o wspaniałych bitwach. „Jeśli mam umrzeć, wiedz, że to moja powinność...” Te patetyczne słowa jakby straciły swoje znaczenie. Lally zaczęła rozumieć, że tylko nieliczni uznawali za honor śmierć na polu chwały. Większość oczekiwała jej nadejścia z przerażającą rezygnacją.

Lally wyczuwała ten nastrój zwątpienia także w listach Jona. Wiedziała, że pisanie przychodziło mu z trudem. Bo co można było powiedzieć? „Boję się, Lally - pisał kiedyś w noc przed bitwą. - Myślę, że jesteś jedną z nielicznych, osób, którym mogę się do tego przyznać bez obawy przed pogardą. Rano poprowadzę moich ludzi do ataku i nie okażę lęku. Bardziej chyba boję się zostać

88

napiętnowany jako tchórz, niż być tchórzem naprawdę. Przyślesz mi skarpety i mydło? Wydaje mi się, że jeśli poproszę Cię, byś mi coś przysłała, to jakbym składał obietnicę, że wrócę, że dotrвам choćby tylko do jutra. Rozważania o przyszłości, o kolejnych bitwach czy ostatecznej klęsce Niemiec, to niewyobrażalna strata czasu. A poza tym jestem zbyt zmęczony, by sięgać myślą tak daleko. Dobranoc, kochana Lally. Kochana Małpko. Mam jeszcze kilka listów do napisania. Opiekuj się ojcem i Alice. Wiem, że on znajdzie w tobie oparcie, jeśli mnie

przydarzy się najgorsze. Pocieszysz też Margaret, prawda? Biedna Lally, zawsze spychaliśmy tak wiele na twoje barki. Możesz udźwignąć jeszcze więcej? Pozdrawiam, Jon".

Tych kilka pełnych rezygnacji listów traktowała ja skarb. Dzieliła się nimi z Czarnym Jackiem i Margaret, gdy ta przyjeżdżała na przepustkę z Londynu, ale robiła to niechętnie. Cóż było w nich takiego, by zatrzymać je w ukryciu? Pisał je brat do siostry, tłumaczyła sobie. Nie zawierały nic osobistego, nic wyłącznie dla niej, poza jednym wyznaniem, że i on często się boi. A co pisał do Sandy West, dręczyła się Lally. Czyją kochał? Czy była wymarzoną dziewczyną, którą wspominał w najtrudniejszych chwilach? Nie dostał urlopu od pamiętnej noworocznej wizyty. Nie widział też Sandy West od tamtej pory, ale w jego listach powtarzały się wzmianki o Richardzie, jej bracie. We wrześniu Margaret przysłała jedną ze swych pospiesznie nagryzmołonych kartek, przeznaczonych dla nich wszystkich. Nie było czasu pisać do każdego z osobna. „Któregoś dnia markiza zaprosiła mnie na herbatę. Podejrzewam, Ojciec, że prosiłeś ją, by miała na mnie oko. Zdaje się, że pracuje okropnie ciężko i nie ma zbyt wiele wolnego czasu. Była to więc tylko pospieszna herbata, urozmaicona straszną babeczką w Lyons Corner House. Lady Ross jest kimś ważnym w Czerwonym Krzyżu. Poczułam się przy niej bezużyteczną idiotką, wożąc tych moich pułkowników i brygadierów. Ale ona była miła i dawała mi do zrozumienia, że i ja robię coś ważnego. Odwiedziłam też Sandy West w hotelu „Savoy". Zastałam ją w towarzystwie kapitana Gaunta, majora Palmera i dziewczyny, którą jak przez mgłę pamiętam z czasów naszego „Wielkiego Sezonu". Dolly Traynor, chyba tak się nazywała? Wszyscy wyglądali bardzo elegancko i dobrze się bawili. A dlaczego nie? To patriotyczny obowiązek zabawiać bohaterów, którzy mieli dość szczęścia, by dostać przepustkę. Muszę przyznać, że czułam się nieco dziwnie, gdyż mój towarzysz nie był w mundurze. Pocieszam się, że każdy od razu mógł się domyślić, że to Amerykanin. Pozwolił mi poprowadzić hispano suizę w drodze z Aldershot, ale nie z powrotem. Mądry człowiek. Twierdził, że wypłam za dużo szampana. Sandy mówiła, że dostała właśnie list od Jona. Ma szansę na urlop w Anglii. Czy to nie byłoby wspaniałe? Tato, kim właściwie jest Brock Weymouth? Wierzysz w tę historię o sierocińcu? Czy może istnieć ktoś z taką luką w przeszłości? Zdaje się, że ma dużo pieniędzy. Może to też bajeczka. Nie pamiętam, żebym już kiedyś spotkała rozwiedzionego mężczyznę. Markiza nie była pewna, czy byłbyś zadowolony, że dałam się zaprosić na obiad. Ale Brock zachowywał się idealnie, lepiej niż niejeden ze znanych mi

dżentelmenów. To intrygujące, nie wiedzieć, kim on jest. Może okazać się kimkolwiek".

Margaret zapomina, pomyślała z goryczą Lally, że i Lally Leeds ma luki w przeszłości.

Usta Czarnego Jacka nieznacznie drżały.

- Lady Ross ma rację. Chyba nie pochwalam przyjaźni Margaret z rozwiedzionym mężczyzną. A co do tego, czy Brockton Weymouth kłamie na swój temat, czy nie, to nie wątpię w jedno. Ma mnóstwo pieniędzy albo jest tego bliski. Część jego fortuny stanowią będą pieniądze Pollocków. Weymouth jest pośrednikiem, Lally, i to na wielką skalę. Nigdy nie spotkałem człowieka tak całkowicie pochłoniętego pomnażaniem majątku. Poza moim własnym ojcem - dodał po chwili z grymasem niesmaku. - Tak, są podobni, pominawszy podstawową różnicę. Mój ojciec był Jorkszyrczykiem, a nie jankesem. Nie podoba mi się ta znajomość. Wolałbym, żeby nigdy się nie spotkali. Margaret pisze, że to przypadek, ale ten człowiek ma naturę lisa. Sposób, w jaki dowiedział się o mnie i wytropił w Pellham Langley świadczy o tym najlepiej. Boję się o Margaret. Ona myśli, że jest szalenie nowoczesna i samodzielna, a tak naprawdę nigdy nie przestaje myśleć... Będę zadowolony, kiedy Weymouth wyjedzie. Mam nadzieję, że nastąpi to już wkrótce.

Po powrocie do Ameryki Brock Weymouth napisał kolejny uprzejmy list z podziękowaniami. Pierwszy otrzymali bezpośrednio po jego niespodziewanej wizycie w Pellham Langley. List ze Stanów brzmiał dość oficjalnie, jakby autor nie spodziewał się więcej z nimi spotkać. Osobliwie na tym tle wyglądało postscriptum skierowane bezpośrednio do Lally. „Wysyłam pani egzemplarz książki wywołującej tu sensację - pisał Brock. - Nazywa się *Antologia Spoon River*. Ciekaw jestem, jak pani ją zrozumie”.

Lally przeczytała ponure, spisane białym wierszem monologi chicagowskiego poety prawnika, Edgara Lee Mastersa. W tym okresie szlagierem stała się piosenka Ivora Novello „Keep the home fire burning”. A na stacji kolejowej, pociągi wiozące żołnierzy na front, żegnała orkiestra podstarzałych mężczyzn, wygrywając „Pack up your troubles in your old kit bag and smile, smile, smile...” Lally nienawidziła tych dziarskich tekstów i prymitywnych melodyjek. Raz jeszcze przeczytała „Spoon River”. Często też wpatrywała się z mieszanymi uczuciami w dedykację na stronie przedtytułowej. „Dla panny Lally, mistrzyni w dziedzinie prostej strawy. Brock Weymouth”.

II

Lally i porucznik Thomas Handley brnęli w milczeniu po wyslizganym, zaśnieżonym zboczach. Poruszali się powoli, gdyż Thomas ciągle jeszcze utykał. Oddychał ciężko, więc Lally nie próbowała nawiązywać rozmowy. Musiał skon-

centrować wszystkie siły na wspinaczce, a w dodatku dźwigał sporą torbę. Nie był, w przeciwieństwie do swej towarzyszki, przyzwyczajony do spędzania na

90

nogach szesnastu godzin na dobę. Lally mogłaby wbiec na wzgórze prawie bez zadyszki. Czasem z powodu znakomitego zdrowia czuła się wręcz winna wobec rannych stłoczonych w szpitalu. Ale Thomas Handley szybko dochodził do siebie. Po świętach dostanie krótki urlop. A potem znów wróci do Francji. Lally zaprosiła go tylko dlatego, że nie dałby rady dotrzeć na Boże Narodzenie do swej rodziny w Devon. Ale dlaczego Thomas Handley, a nie ktokolwiek inny spośród tuzinów młodych mężczyzn, którymi się opiekowała? Nie wiedziała. Po prostu wydał jej się strasznie samotny. Przypadek zrządził, że trafił do szpitala w Leeds, mieście, gdzie nikogo nie znał. Prawie wszyscy pacjenci, którzy mogli chodzić, zostali zaproszeni na wigilijną kolację przez miejscowych znajomych. Wiedziała, że Thomas Handley miał spędzić święta samotnie i w ostatniej chwili, pod wpływem jakiegoś impulsu, zaprosiła go. Zamrugał oczami z zaskoczenia, a jego twarz poczerwieniała. Przystojna, choć raczej surowa, sympatyczna twarz.

- Ależ, dziękuję, panno... panno Lally. Znakomicie! Znakomicie! Najlepsza rzecz, jaka przydarzyła mi się od czasu... cóż, od czasu gdy wyjechałem do Francji.

- To będzie skromna uroczystość w gronie rodziny - powiedziała. - Na Wigilię mój ojciec zaprosił kilka osób, samych przyjaciół. Nie jest to pora odpowiednia na huczne zabawy, ale on zawsze lubił mieć wokół siebie ludzi. Jest pan pewien, że siostra przełożona pozwoli panu iść?

- Jeśli nie, zabiję ją. Poważnie mówiąc, wyjaśnię jej, że to niezbędne dla poprawy mego zdrowia. Że tęsknię za domowym życiem. Nie będzie to dalekie od prawdy. Ale jakim cudem udało się pani zdobyć urlop?

- Nagle uświadomiłam sobie, że nie miałam żadnej możliwości odpoczynku przez ostatnie sześć miesięcy, od sierpnia, o ile pamiętam. Siostra przełożona, cóż, j est w porządku, kiedy się j ą bliżej pozna.

- Powinna panią doceniać, panno Lally. Robi pani dziesięć razy więcej niż inne dziewczyny. Dlatego jestem zaskoczony, że dostała pani wolne na święta. Zazwyczaj przecież była pani jedyną, która godziła się na takie dyżury.

- Oczywiście, zgłaszała się nawet sama, ponieważ nie znała mężczyzny, któremu zależałoby na jej towarzystwie. Pozostałe ochotniczki zawsze mogły poprosić Lally o zastępstwo. Dla niej nie miało to znaczenia. Ale teraz przed Thomasem Handleyem postanowiła udawać, że odrzuciła tuzin zaproszeń.

- Raz zdecydowałam się być samolubna - oświadczyła lekko. - Poza tym ojciec zostałby sam. Moja siostra Margaret nie dostała przepustki. Jest w Aldershot.

Ta rozmowa sprzed paru dni zdawała się wyczerpywać wszystkie tematy. W tramwaju hałas mógł usprawiedliwić milczenie. Lally zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu zaprosiła mężczyznę do domu. Wyczuła nutę zaskoczenia w głosie Czarnego Jacka, gdy poprzedniego wieczoru zawiadomiła go, że przyprowdzi Thomasa Handleya.

- Cudownie, Lally! Oczywiście, twój znajomy, jest mile widziany. -Brzmiało to nieco zbyt entuzjastycznie. Czyżby ojciec sądził, że znalazła sobie

115

wielbiciela? Thomas Handley nie był jej adoratorem. Okazywał tylko wdzięczność i uprzejmość. Przez tych kilka dni z pewnością poświęci jej uwagę, którą w innych okolicznościach obdarzyłby jakąś ładną dziewczynę. Będzie dla niej miły i serdeczny. A wkrótce opuści szpital i powróci do Francji. Wymienią kilka listów. Wszyscy mężczyźni w okopach lubią otrzymywać listy. Po wojnie, nawet jeśli przeżyje, nigdy się już nie zobaczą. Po wojnie... Śmieszne marzenia. Wojna będzie trwać wiecznie i bardzo jest prawdopodobne, że Thomas Handley zginie. Po wojnie... Ich ciepłe oddechy gęstniały w mroźnym powietrzu. Jeszcze żyjemy, pomyślała Lally. Ale, oczywiście, nie powiedziała tego głośno.

Wreszcie dotarli do bramy Grangewick. Zza zamkniętych drzwi dobiegał szum wielu głosów. Otworzył im Billings.

- Ach, panienko Lally. Witam w domu. Wesółych świąt.

- Billings, to jest porucznik Thomas Handley. Ojciec chyba wspominał...

- Tak, oczywiście, panienko Lally. Zawsze z radością witamy każdego przyjaciela rodziny, sir. I na dodatek oficera. Wesółych świąt, sir.

Billings zabrał ich płaszcze i torby. Z salonu dobiegały przytłumione dźwięki fortepianu. To nie będzie bardzo radosne przyjęcie, uznała Lally. Goście w większości byli ludźmi w średnim wieku. Czarny Jack, Billings i kucharka dołożyli wszelkich starań, by nie zabrakło jedzenia i dobrego wina, więc tradycyjnej gościnności stanie się zadość. Pollock ucałował córkę na powitanie.

- Wspaniale, że mogłaś się wyrwać. A to zapewne porucznik Handley. Witam, sir. Dobrze, że pozwolili panu wyjść na kilka dni. Postaramy się zadbać o pana.

Cholera, pomyślała Lally, dlaczego wszyscy wyglądają na tak szczerze zdziwionych? Czy spodziewali się jakiejś pokraki? Może kogoś z pokancerowaną twarzą, bez rąk, bez nóg? Tylko dlatego, że ona, Lally, jest gruba i nieciekawa? Poczula, co zdarzyło się jej zaledwie kilka razy w życiu, jak ogarniają złość na Czarnego Jacka.

- Oczywiście, że o niego zadbamy, ojciec. W porównaniu ze szpitalem... -nagle uśmiechnęła się, przewyciężając rozdrażnienie. W końcu Czarny Jack ją kocha, a ona jego też. - W porównaniu ze szpitalem wszystko wydaje się dobre. - Wcisnęła rękę pod ramię Thomasa, zdecydowana stawić czoło spojrzeniom i wyrazowi zaskoczenia, którym zapewne powita ją towarzystwo w salonie. Niech sobie myślą, co chcą. Niech sądzą, że ten przystojny oficer w niebieskim mundurze rekonwalescenta i czerwonym krawacie, jest jej adoratorem.

- Chodź, Thomas. - Skrępowanie zupełnie ją opuściło. - Chodź, jestem potwornie głodna. Mogłabym pożreć konia z kopytami. Kucharka przez sześć miesięcy oszczędzała na dzisiejszy wieczór.

Obeszli zebranych, przedstawiając wszystkim porucznika Handleya. Wreszcie Lally rozejrzała się za jakimś spokojnym miejscem, by usiąść i zjeść.

- Wyjdźmy do hallu - zaproponował Thomas. Była zaskoczona, że nadal tkwi u jej boku. - Widziałem tam wolne krzesła koło kominka. - Niósł dwa tale

92

rze, a ona wzięła kieliszki. Nie spodziewała się, że z nią zostanie. Pośród gości kręciły się dwie ładne dziewczyny, które mgliście pamiętała z dzieciństwa. Thomas powinien się nimi zainteresować. Ale stało się to, czego się obawiała. Porucznik za wszelką cenę starał się okazać uprzejmość i wdzięczność za zaproszenie.

Nagle głośne walenie kołatki przykuło uwagę wszystkich.

- Kto to może być? O tej godzinie? - zdziwił się Billings i pospieszył otworzyć drzwi. Światło z hallu padło na uśmiechniętą twarz Jona.

- O Boże! Panicz Jon! Wielkie nieba! Proszę wejść, sir! Proszę wejść! Najlepszy prezent gwiazdkowy dla nas wszystkich. Już wołam pana.

Lally zastygła. Talerz wyslizgnął się jej z rąk i rozbił o marmurową posadzkę. Brzęk tłuczonego szkła zabrzmiał w jej uszach jak powitalne fanfary.

- Jon! - rzuciła mu się w ramiona.

- Lally, kochanie. Dobry Boże, Małpko, nie zamierzasz chyba płakać? Nie byłem pewien, czy uda mi się wyrwać, a nie chciałem, żebyście poczuli się rozczarowani. Zdaje się, że zdążyłem akurat na czas. Przyjęcie trwa. A oto Sandy. Pamiętasz Sandy West, prawda Lally?

Lally wysunęła się z ramion Jona. Chłód, który wtargnął do hallu wraz z otwarciem drzwi, nagle ją przeniknął do kości. To było jak zły sen, ta śliczna, obramowana kołnierzem futra twarz. Te jasne loki, wymykające się z wysoko upiętej fryzury na gładkie policzki. Policzki zarumienione z zimna lub podniecenia.

- Z Londynu jechaliśmy pociągiem. Myślałem, że kiedy dobrniemy do Leeds, zatelefonuję ze stacji, ale udało nam się od razu znaleźć dorożkarza, który dowiózł nas za podwójną zapłatę i coś na rozgrzewkę. Więc, Billings, odesłałem go do kuchni. Czy mógłbyś...?

- Natychmiast, sir. Oczywiście. Tylko zawiadomię pana.

Ale Czarny Jack już usłyszał nowinę. Przez chwilę, nie mogąc wydobyć słowa, ścisnął rękę Jona.

- Synu, synu - wykrztusił w końcu. - Cudownie! Nie śmiałem marzyć, że dostaniesz przepustkę wystarczająco długą, by przyjechać. - Otarł łzy. - Cóż, powinienem nagrodzić kucharkę. Ona wyprorokowała twoją wizytę. Mówiła, że

czuje to w kościach. -Nie mógł już dłużej się powstrzymać. Objął Jona i przygarnął go, jak przed laty, gdy syn był dzieckiem. - Co to za wspaniałe święta. Najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostałem.

- Ojcie, poznaj Sandy West. Wiesz o niej wszystko z moich listów. Skontaktowałem się z Sandy zaraz po przyjeździe do Londynu. Rzucaliśmy monetą, czy najpierw pojedziemy do Yorku, gdzie mieszka jej rodzina, czy do Grangewick.

Czarny Jack wyglądał na szczerze zakłopotanego, ale wyciągnął rękę i uśmiechnął się uprzejmie.

- Panno West, to przyjemność wreszcie panią spotkać. Znam pani brata, Richarda. I Jon tyle o was obojgu zawsze pisze. Jaka szkoda, że nie ma dziś z nami Margaret. Tylko jej brakuje do pełnego szczęścia. Muszę posłać Neli,

118

by sprowadziła na dół Alice. Mała nie wybaczyłaby mi, gdyby was dziś nie zobaczyła.

- Zaraz po przybyciu do Londynu dzwoniłem do Margaret, do Aldershot. Powiedziała, że ma szansę na przepustkę. Wiesz, opowie o przyjeździe starszego brata z frontu. A my zostajemy do trzeciego stycznia.

Czarny Jack promieniał, pomagając Sandy West zdjąć futro.

- Trzeci stycznia. Dla mnie, synu, to brzmi jak całe życie. Wykorzystamy każdą chwilę. Powiedz mi, co chciałbyś robić. Oczywiście nie ma teraz mowy

o polowaniach. Ale jeśli chcesz jeździć, wyblągamy lub ukradniemy trochę benzyny. I zostały jeszcze dwa nieźle wierzchowce w Pellham.

Billings pojawił się z tacą zastawioną kieliszkami szampana.

- Sir, mam nadzieję, że nie uzna pan tego za bezczelność. Pomyślałem, że przy takiej okazji...

- Doskonale, Billings. Wspaniały pomysł. - Czarny Jack z trudem skoncentrował się na tyle, by podać kieliszek Sandy West. - Zajmiesz się gośćmi, Billings.

- Tak jest, sir.

Wiadomość rozeszła się już pośród zebranych w salonie. Wszyscy przepychając się w drzwiach wylegli do hallu z powitalnymi okrzykami. Powrót żołnierza z Francji to nie była prywatna sprawa. Wpatrywali się w szczuplejszego niż dawniej, przystojniejszego Jona, w jego ściągniętą zmęczeniem twarz. Ale witali w nim nie tylko dawnego znajomego. Uosabiał dla nich nadzieję, że któregoś dnia ujrzą jeszcze swoich synów, braci czy ukochanych. Jon, Sandy West

I Czarny Jack, otoczeni gośćmi, zniknęli w salonie. Lally znów dostrzegła u swego boku Thomasa,

- Cudownie, prawda? Twój ojciec jest taki szczęśliwy. To zrozumiałe... Ależ, Lally, ty płaczesz!

- A jeśli tak, to co? - rozzłościła się. - Pilnuj swoich spraw, Thomasie Handley.

Jego palce lekko dotknęły podbródka dziewczyny.

- To jest też trochę moja sprawa, tylko troszkę. Wypijmy za ponowne spotkanie i żadnych więcej pożegnań.

Unieśli kieliszki do ust. Oczy Thomasa nadal utkwione były w twarzy Lally.

*

* *

Przyjęcie trwało dłużej niż ktokolwiek się tego przedtem spodziewał. Mieli teraz powód do napełniania kieliszków, a Billings nie żałował szampana. Neli znalazła chwilę czasu, by wymknąć się z kuchni na górę i pośpiesznie ubrać Alicę. Dziewczynka pojawiła się wśród nich z twarzą płonąca z podniecenia. Jon chwycił siostrę w objęcia i podniósł jak dawniej, gdy była małym dzieckiem.

- Stajesz się zbyt ciężka, by cię udźwignąć, co kotku? Czy za to chcesz zatańczyć ze swoim starym bratem? - Przez chwilę wirowali w rytm walca. Dłu-

120

gie włosy dziewczynki spływały jej na plecy jak złocisty welon. Jej ruchy były lekkie, szybkie, precyzyjne. W tańcu Alice stawała się inną osobą, pełną życia i wdzięku, uroczą młodą panną.

- Co za śliczna dziewczyna! - wykrzyknął Thomas. W jego głosie dźwięczało zdumienie. Lally na zawsze zapamiętała tę chwilę. Pierwszy raz jakiś mężczyzna dostrzegł w Alice kobietę.

- Tak - zgodziła się Lally. - Tak, to prawda. Jest bardzo piękna. Goście, zachwyceni widokiem tańczącego rodzeństwa, cisnęli się wokół i bili

brawo. Przez chwilę Alice stała zakłopotana. Potem podbiegła do Czarnego Jacka i schowała mu głowę w kamizelkę. Lally usłyszała jej zachwycony śmiech. Dziewczynka tuliła się do ojca, ale przez cały czas zerkła z ukosa na brata, jakby pragnąc raz jeszcze upewnić się, że to rzeczywiście on. Tymczasem Jon ujął pod ramię Sandy West.

- Billings, mam nadzieję, że wszyscy mają pełne kieliszki - powiedział. -Sobie też nalej.

Słowa młodego człowieka przebiły się przez zgiełk tłumu. Muzyka ucichła. Zapadła wyczekująca cisza. Billings pośpiesznie podał wino gościom i znalazł czysty kieliszek dla siebie.

- Ojcie i wy drodzy państwo. Przedstawiłem już wszystkim pannę West. A teraz Sandy i ja chcemy się z wami podzielić pewną radosną wiadomością. Przede wszystkim z tobą, ojcie. I z tobą, Lally. I z mojąkochaną Alice.

-Uśmiechnął się do Sandy. - Proszę, wznieście kieliszki. Właśnie dziś po południu panna West zgodziła się wyjść za mnie. Zamierzamy pobrać się jeszcze przed moim powrotem do Francji.

Przez chwilę panowała absolutna cisza. Potem wszystkie głosy odezwały się naraz. Zmieszały się ze sobą okrzyki zaskoczenia, słowa gratulacji, śmiechy i szeptem wymieniane uwagi. Ślub dziedzica fortuny Pollocków był sprawą

wagi publicznej. Jaskrawe światło żyrandola podkreślało jeszcze urodę Sandy West. Nikt nie mógłby niczego zarzucić tej jasnej, promiennej twarzy, zwróconej wyczekująco w stronę Jona.

Lally szukała oczyma Czarnego Jacka. Wszystko wokół wydawało się nierealne, jak w koszmarnej śnie. Dźwięki zlały się w jeden szum. Widziała powykrzywiane grymasem uśmiechu twarze, wyciągające się do uścisku ramiona. Widziała Jona całującego z zapalem Sandy. Potem dostrzegła ojca. Z oszołomioną miną popychał Alice w stronę narzeczonych. Lally wlepiła wzrok w rękę ojca raz jeszcze potrząsającą dłonią syna. Uśmiech Alice. Czarny Jack całuje w policzek przyszlą synową. Dopiero teraz Lally spostrzegła, że stąpa po szczątkach talerza, który wypadł jej z rąk, gdy pojawił się Jon. Miała wrażenie, że ludzie wokół niej poruszają się jak marionetki, sztywno i bezdźwięcznie. „Wyjść za mnie... wyjść za mnie...” huczało jej w głowie. Dopóki nie usłyszała tych słów, miała nadzieję, upartą, rozpaczliwą nadzieję. Teraz wszystko przepadło. Lally nie mogła złapać tchu. Nogi ciążyły jej niczym ołów. Starła się patrzeć w ogień, na cokolwiek, byle uciec od widoku tej pary, ich splecionych ramion, rozpromienionych oczu. Nie chciała też widzieć Czarnego Jacka, próbującego zetrzeć z twa-

rzy wyraz zaskoczenia i szoku. Nie miał powodu, by podejrzewać, że Sandy West nie będzie wspaiałą żoną dla jego ukochanego syna. Ale Jon nawet nie spytał o radę. No cóż, pomyślała Lally, dlaczego dorosły mężczyzna, który przeżył prawie rok w okopach, miałby radzić się w tak osobistej kwestii? Zdobył prawo do niezależności i dokonał wyboru. Wybrał. Czarny Jack musiał te fakt zaakceptować.

- Nagle Lally poczuła na ramieniu rękę Thomasa. Jego głos przeniknął przez kakofonię zlewających się dźwięków.

- Lally, Lally! Słyszysz mnie? - powtarzał. - Musisz złożyć Jonowi życzenia. Musisz! Chodź. Na Boga, Lally.

Skąd on wiedział? Czy to aż tak wyraźnie widać? Poczwała, że jakaś siła popycha ją naprzód. Ręka Thomasa nadal mocno ścisła jej ramię. Szampan rozlał się na sukienkę. Trudno.

- Jon... - szepnęła, całując brata.

- Najdroższa Lally. - Odwzajemnił pocałunek. - Wiem, że Sandy i ty będziecie zawsze przyjaciółkami. Zaopiekujesz się nią. Zrobisz to dla mnie, prawda?

Jakoś, nadal z Thomasem u boku, czując krzepiący, bolesny uścisk jego dłoni, zdołała pocałować Sandy w policzek.

- Wiele szczęścia dla was obojga. Powodzenia - wykrztusiła z najwyższym wysiłkiem.

Wreszcie znalazła się z powrotem koło kominka.

- Grzeczna dziewczynka! Wypij ze mną - usłyszała jak przez mgłę. Niewiele zostało w kieliszkach, ale Thomas zaanektował jedną z otwieranych przez Billingsa butelek.

- Teraz wypij za mnie, Lally. I za siebie. My także na to zasłużyliśmy. Opróżniła kieliszek do dna. Handley ponownie go napełnił.

*

* *

Wreszcie skończyło się. Przebrzmiały ostatnie pożegnania, życzenia świąteczne i gratulacje. Zawarczały silniki samochodów, kopyta końskie zadźwięczały ostro na pokrytej lodem drodze. Ogień w kominkach powoli dogasał, pogaszono światła. Lally zamknęła się w swoim pokoju i płakała. Wstydziła się tych łez, ale nie mogła ich powstrzymać.

Najtrudniejsza była rozmowa z ojcem. Pogasił światła w hallu i wchodził na górę. W blasku świecy Lally widziała jego twarz. Porzucił już pozory uprzejmego zadowolenia. Zmarszczki, które wcześniej ledwie dostrzegała, teraz wydawały się wyraźne i głębokie.

- To nie jest tak - zagadnął bez żadnych wstępów. - Nie, żebyś myślał coś złego o Sandy West, choć wolałbym lepiej ją znać. Chciałbym, żeby to był mniej prozaiczny wybór. Inteligentna, bardzo ładna, młoda, ale co kryje się za tą urodziwą maską. Może nic tam nie ma? Nie wydaje mi się, bym czuł się urażony, że

96

Jon mi się wcześniej nie zwierzył. Jest dorosły. Zdobył sobie prawo do własnych decyzji. Martwię się o ciebie, Lally.

- O mnie? - Desperacko walczyła z narastającą histerią. - Co ja mam z tym wspólnego?

- Wiele. Zawsze miałem nadzieję, że Jon... cóż, że zrozumie, kim jesteś. Że to ciebie wybierze.

- Och, ojczu! - Udało jej się ukryć gorycz pod pozorami rozdrażnienia. - Wszystko, co Jon widzi, to jego gruba, poczciwa siostra. Oczekujesz, że zakocha się w kimś, kogo zna całe życie? A poza tym, dlaczego miałby spojrzeć na kobietę taką jak ja, skoro może mieć Sandy? Jon mnie kocha. Ale nigdy się we mnie nie zakocha.

Dotarli na piętro. Lally ruszyła w kierunku swojego pokoju. Czarny Jack jednak zastąpił jej drogę.

- Ale chciałabyś, żeby się w tobie zakochał, Lally?

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i musiał pozwolić jej odejść.

Walka o opanowanie trwała, gdy Lally myła się i szykowała do snu. Z wściekłością szciotkowała długie, gęste czarne włosy. Przeraziła się, widząc w lustrze pierwszą łzę spływającą po policzku.

- Och, przestań, cholerna idiotko - powiedziała gniewnie do swego odbicia. — Spójrz na siebie! Czego oczekiwałaś? Mógł mieć każdą. Zasługuje na kogoś lepszego niż nawet Sandy West. Dlaczego miałby chcieć ciebie?

Łzy nie przestały płynąć. Lally zgasiła światło i odsłoniła zasłony. Przez chwilę próbowała bez skutku skoncentrować się na zimowym wygwieżdżonym niebie. Po chwili jednak ze złością odwróciła się od okna. Poczowała piekący głód. Przez to wszystko prawie nic nie zjadła. W spiżarni znajdzie mnóstwo smakołyków. Wydmuchała nos i dokładniej owinęła się szlafrokiem. Teraz nie było już ważne, czy jeszcze utyje. Zeszła po cichu na dół.

*

* *

Wracając na górę spotkała spacerującego po korytarzu Thomasa Handleya. Miał na sobie szpitalną piżamę i szlafrok. Utykał wyraźniej niż w ciągu dnia.

- Thomas! - wyszeptała.

Odwrócił się. W przyćmionym świetle lampki dostrzegła wyraz napięcia i zmęczenia na jego twarzy.

- Thomas, co ci jest?

- Och, nic takiego, Lally. Znasz to wszystko przecież ze szpitala.

Przytaknęła. Wiedziała, że cierpiący chorzy często nie spali. Jeśli mogli chodzić, godzinami przemierzali korytarz tam i z powrotem. Czasami siostra dyżurna przydzielała im większą dawkę środków przeciwbólowych, ale nie zdarzało się to często. Wszystkie zapisane pacjentom leki były rejestrowane. Bardzo rzadko, poza skrajnymi wypadkami, któraś z pielęgniarek narażała się na gniew leka-

7 - Obietnice

97

rzy, podając choremu dodatkowy lek. Lally zawsze nosiła ze sobą małą ilość słabego środka przeciwbólowego, dostarczanego przez miejscowego aptekarza. Sporadycznie proponowała go szczególnie źle znoszącym ból pacjentom, licząc na to, że raczej ich uspokoi niż uśmierzy cierpienie fizyczne. Ryzykowała natychmiastowym wydaleniem ze szpitala, ale nie potrafiła oprzeć się współczuciu dla ludzkiego cierpienia.

- Mam coś... może pomoże chociaż trochę. Thomas przystanął na progu pokoju Lally.

- Och, na Boga - rozzłościła się - nie bądź takim ciamajdą. Jakbyś nie znał mnie wystarczająco dobrze. Cóż to za różnica, szpital czy Grangewick?

Napełniła szklanke wodą i wyjęła małą, białą kopertkę. Thomas niepewnie rozglądał się po sypialni.

- Ależ to jest różnica, Lally.

- Daj spokój. - Miała już dość głupich konwenansów. Zamknęła za nim drzwi. - Przyjmij to.

Handley wysypał biały proszek na język i popił wodą, krzywiąc się od przykrego smaku.

- Nie wiem, czy to pomoże. Obawiam się, że długo jeszcze nie uwolnisz się od bólu w nodze. W każdym razie, tak twierdzi lekarz. Zwłaszcza jeśli będziesz zmarznięty, zmęczony lub głodny.

Delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

- A ty, Lally? Co z chwilami, kiedy ty jesteś zmarznięta, zmęczona lub głodna? Co tobie przynosi ulgę?

Lally czuła, jakby się nagle postarzała o całe lata.

- Mówią, że Bóg pomaga tym, którzy sami troszczą się o siebie.

- Lally? A czyja nie mógłbym ci pomóc?

- Ty? W jaki sposób? Pomóc mnie?

- Dlaczego nie? Chociaż trochę... - Nagle znalazła się w ciepłych objęciach mężczyzny. - Jeśli chcesz się teraz wypłakać, to płacz. Nikt nie zobaczy. Tylko ja. Kochasz go, prawda?

Był od niej wyższy. Twarz Lally przywarła do napiętych linii jego szyi. Tyle razy kąpała, karmiła, pomagała się ubierać chorym. Nigdy jednak nie odczuwała do nich pociągu fizycznego. Żaden też mężczyzna, poza Czarnym Jackiem, nie darzył jej czułością. Poznała koleżeństwo, żarty, przekomarzanie, ale nie tkliwość, nie namiętność.

- Thomas, myślisz, że oni wszyscy zauważyli? Myślisz, że on zauważył?

- Ja zauważyłem. Czy to nic dla ciebie nie znaczy, Lally? Ciepło stawało się wszechogarniające, jak jego ramiona.

- Droga moja, pozwól mi pomóc. Jesteśmy tylko ty i ja. Sami. Płacz, jeśli chcesz.

Lally spojrzała mu w oczy.

- Nie. Nie chcę już płakać. Nagle skończyły mi się łzy. Chcę się kochać.

- Jesteś tego pewna?

- Jestem pewna.

98

Dali sobie nawzajem czułość i spełnienie. Lally nie przypuszczała, że dotyk męskich rąk może budzić taką rozkosz, że tyle piękna kryją w sobie splecione uściskiem ciała. Thomas wtulił twarz w jej piersi. Nie wstydziła się już braku urody. To nie miało znaczenia. Nawet kiedy w nią wchodził, doznała więcej przyjemności niż bólu. Szeptala coś cicho w jego ramionach.

- Proszę... och. Och, tak... tak... - Zdała sobie sprawę, że go ponagla. Kochali się raz jeszcze. Gwałtowność pożądania młodego mężczyzny, który przez długie miesiące nie miał kobiety, odpowiadała jej własnej potrzebie. Świtało. Gdzieś zza okna dobiegły ich pierwsze odgłosy końskich kopyt, uderzających o zamarznąłą ziemię. Zasnęli przytuleni. Kiedy Lally obudziła się, miejsce obok niej było puste, ale na stoliku przy łóżku leżał sygnet i liścik nagryzmołony na kopercie po proszku przeciwbólowym. „Zatrzymaj go do mojego powrotu”.

* *

Nie zeszła na śniadanie. Kucharka była tym tak zaskoczona, że sama przyszła zobaczyć, co się dzieje z Lally. Przyniosła jej do sypialni herbatę i grzanki. Było to niebywałym naruszeniem zasad panujących w domu Pollocków, ale teraz nastały czasy, kiedy wszystkie zasady zostały złamane.

- Co się stało, panienko Lally? Nigdy nie widziałam, żeby panienka rezygnowała z posiłku albo wylegiwała się w łóżku. Czy panienka jest bardzo chora?

Lally wypła heroatę, ale nic nie mogła przełknąć.

- Jestem po prostu zmęczona. Pomyślałam, że trochę dłużej poleżę. - Sygnet i liścik na odgłos pukania wepchnęła pod poduszkę.

- Cóż, nikt nie może odmówić panience prawa do odpoczynku. Pracuje panienka rzeczywiście ciężko i wie, co to spędzić cały dzień na nogach.

Wreszcie wyszła i Lally została sama. Wszystko działo się tak nieoczekiwanie. Musiała zebrać myśli. Jon żenił się z Sandy West, a ona, Lally, stała się kobietą. Poznała fizyczną miłość, czułość. W tę noc gorzkiej klęski zdobyła niespodziewanie coś, czego się nawet nie domyślała. Czuli się spełniona. Nieszczęśliwa, ale nie wzgardzona. Wstała ostrożnie, czując w całym ciele ślady miłosnej nocy, delikatny ból i przyjemne znużenie. Wbrew wszystkim hasłom wojennej oszczędności wypełniła wannę gorącą wodą i długo leżała, wpatrując się w miękkie wzniesienia piersi i

brzucha. Ktoś uznał ją za godną pożądaną. Czy stało się to zupełnie przypadkiem, czy wzbudziła prawdziwą namiętność, nie przejmowała się tym. Po prostu nie została odtrącona.

Ze szczególną dbałością ubrała się. Ułożyła włosy tak, że twarz wydawała się bardziej pociągła. Znalazła perfumy, pamiątkę londyńskiego sezonu. Wreszcie wyjęła perły od Czarnego Jacka. Nie nosiła ich od tamtego sierpnia, kiedy to ich świat rozpadł się, zdruzgotany na kawałki. Ostatni raz zerknąwszy w lustro, zeszła do salonu, gdzie wszyscy zebrali się przed lunchem na szklaneczkę sherry.

127

Na widok Lally Thomas poderwał się z krzesła. Przez twarz przemknął mu grymas bólu. Chora noga dawała znać o sobie.

- Och... - zawołał Czarny Jack. - Spójrzcie na tego śpiocha! Napijesz się szampana, moja pani? Czy może wolisz sherry? Kucharka upiekła pasztet. Billings twierdzi, co prawda, że to kombinacja mięsa królika i koziego mleka, ale smakuje bardzo dobrze. Cóż, kochanie, odpoczęłaś?

Uśmiechnęła się do wszystkich. Do Jona i Sandy siedzących razem na sofie, do Alice i Czarnego Jacka. Wreszcie posłała rozmarzony uśmiech Thomasowi.

- Tak, to była cudowna noc. Pomyślałam, że pozwolę wam uzgodnić plany weselne bez mojej siostrzanej ingerencji. Czy wszystko już zdecydowane? Gdzie? Kiedy? Mam nadzieję, że dostanę przepustkę ze szpitala. Oczywiście, pozwolą Margaret przyjechać?

Rozsmarowała pasztet na grzance, powąchała i pociągnęła łyk znakomitej sherry, której smak przywodził na myśl słoneczne ciepło.

- Więc, kiedy to będzie? Podejrzewam, że musicie zrezygnować z wielkiej pompy. Jest za mało czasu. Ale przecież wszyscy dołożymy starań, żeby i tak było wspaniale, prawda ojcze?

Zauważyła, że patrzą na nią z zaskoczeniem. Zwracać na siebie uwagę, wygłaszać własną opinię, zadawać pytania, to było niepodobne do Lally. A ona stała plecami wsparta o gzymś kominka i popijała sherry. „Cudownie. Właśnie tego chciałam”, zdawał się głosić jej promienny uśmiech. Odwróciła się do Sandy, siedzącej tuż koło Jona. Tak bardzo blisko.

- A teraz, zdradźcie mi swoje plany. Może mogę w czymś pomóc. Nigdy nie czuła się tak pewnie, ani też nigdy nie cierpiała tak dojmująco jak

teraz, gdy patrzyła na Jona, ściskającego dłoń narzeczonej.

- Och, zapomniałam. To przecież Boże Narodzenie. Wesołych świąt wszystkim. - Dostrzegła lekki uśmiech Thomasa. Czyżby chciał jej dodać otuchy?

Alice podeszła cicho i przytuliła głowę do ramienia siostry.

- Wyglądasz, jakbyś była dzisiaj bardzo wysoka, Lally. Jak olbrzym czy coś w tym rodzaju.

Lally pogładziła złociste włosy dziewczynki.

- Tak, coś w tym rodzaju, kochanie.

III

Ślub odbył się pięć dni później. Wysłano telegramy do znajomych oficerów, którzy akurat byli na urlopie w Anglii. Sandy zawiadomiła wszystkich dawnych przyjaciół, a także współpracowników z Czerwonego Krzyża. Miała na sobie ślubną suknię swej matki i długi sznur pięknych pereł, prezent od Czarnego Jacka. Zamówiono je u tego samego londyńskiego jubilera, który wykonał niegdyś naszyjniki dla Margaret i Lally.

Sandy West wyglądała więcej niż ładnie. Była piękna. Nawet Lally, mimo narastającej niechęci, musiała to przyznać. A na dodatek pochodziła z arystokra

129

tycznej rodziny. Pod każdym względem była więc odpowiednią kandydatką na żonę dla Jonathana Pollocka. Lally miała jednak wątpliwości, czy Westowie uważali Jona za stosownego męża dla swojej ukochanej, pięknej córki. Był jednak zamożny, przystojny, dobrze wychowany. Wreszcie, był oficerem, a więc zapewne dżentelmenem. Ten ostatni fakt zdołał ich przekonać. Alexandra West otrzymała zgodę i błogosławieństwo rodziców. Mogła poślubić Jonathana Pollocka.

Pobrali się w York Minster, ogromnej gotyckiej katedrze pokrytej rzeźbieniami, jak kamienną koronką. Oprócz zaproszonych gości, kościół wypełniał tłum gawiedzi, pragnącej pogapić się na młodą parę. Przyjechało też wielu oficerów, znajomych Jona, a także Richarda Westa i jego siostr. Siostry Sandy były jej druhami. Wystąpiły w białych sukniach, które zachowały z czasów prezentacji u dworu i gronostajowych etolach, chroniących przed chłodem wielkiej średniowiecznej budowli. Wśród mężczyzn dominował kolor khaki, barwa wojskowego munduru. Czarny Jack, Alice i Lally wcześniej rano przybyli na stację w Leeds. Margaret zadzwoniła z Aldershot, by oznajmić, że dostała przepustkę i na pewno przyjedzie. Jon zaś udał się do Yorku już poprzedniego dnia.

- Nie będę ryzykował spóźnienia się na własny ślub - żartował.

Kiedy czekali na peronie, podszedł do nich zawiadowca. Większość ludzi w Leeds znała Czarnego Jacka przynajmniej z widzenia.

- Uszanowanie, panie Pollock. Wielki dzień dla pańskiego chłopca, sir. Proszę przekazać mu moje najlepsze życzenia. Był telefon od paniąki Margaret. Jedź samochodem prosto do Yorku. Nie musi więc pan czekać.

Czarny Jack był zirytowany i zaniepokojony.

- Zupełna wariatka. Ryzykuje, że nie zdąży na uroczystość. I skąd zdobyła samochód? Boże, mam nadzieję, że będzie ostrożna. To diabelnie długa droga.

Kucharka, Billings i Neli pojechali wcześniejszym pociągiem. Czarny Jack spotkał ich na schodach przed katedrą.

- Widzieliście panienkę Margaret? - zapytał natychmiast. Zostało jeszcze pół godziny do rozpoczęcia ceremonii. Goście powoli wypełniali kościół, tłum gapiów gromadził się na chodniku. Pollockowie odczekali kolejne dziesięć minut i zajęli miejsca w ławkach przeznaczonych dla rodziny pana młodego. Lord i lady Bletchley już tam siedzieli. Starsza pani uznała, że okazja uzasadnia odrzucenie wojennej prostoty. Spod długiego futra przezierała szkarłatna aksamitna suknia. Szyję otaczały sznury pereł.

- Osobiście nie popieram wojennych ślubów - obwieściła lady Bletchley teatralnym szeptem. - Ale kochany Jon dobrze wybrał. Znam matkę Sandy całe życie. - Tak więc Alexandra West została zaakceptowana przez Blet-chleyów.

Lally zaskoczona była pojawieniem się markizy, zaproszonej, jak się okazało, przez Czarnego Jacka.

- Pociąg stał w szczyrim polu przez kilka godzin - opowiadała, drżąc z zimna lady Ross. -i nie było nic do jedzenia. Czuję się trochę nie w porząd-

ku. Z powodu tej podróży na ślub odwołałam trzy spotkania. Ale czasem po prostu trzeba się spotkać z przyjaciółmi przy jakiejś szczęśliwej okazji. Inaczej oszalejemy. - Była w mundurze Czerwonego Krzyża, w którym, o dziwo, wyglądała efektownie i wytwornie. Odwróciła się i dokładniej przyjrzała Lally.

- A jak ty się czujesz, dziecko? - Jej spojrzenie było pytające i życzliwe zarazem. I bardzo bystre. Czyżby lady Ross odgadła, jakie cierpienie niosła najbliższa godzina, a potem całe dni, miesiące, lata, myślała Lally. - Podejrzewam, że wszyscy jesteśmy zmęczeni. - Przez sekundę dłoń w rękawiczce ścisnęła rękę Lally, ale szybko odsunęła się, jakby w obawie przed popełnieniem niedyskrecji.

Pięć minut przed rozpoczęciem uroczystości Lally usłyszała za sobą podniecony szept Margaret.

- Udało się! Musieliśmy zaparkować mile stąd. Chyba wszyscy z Yorkshire dziś się tu zjechali.

Czarny Jack i Lally odwrócili się i ujrzeli Brocktona Weymoutha przy boku Margaret.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw mojej obecności, sir. Pańska córka zapewniała mnie, że nie poczyta mi pan przyjazdu za nietakt. W każdym razie wiedziałem, że będzie się pan denerwował o Margaret jadącą samotnie tak daleko.

- Brock załatwił samochód i benzynę - powiedziała Margaret. Przecisnęła się obok Czarnego Jacka, by pocałować lady Bletchley w upudrowany policzek. - Babciu, wyglądasz wspaniale!

- Gdzie - zapytała kwaśno starsza pani - wynalazłaś taki płaszcz? Zupełnie nieodpowiedni dla młodej dziewczyny. - Był to płaszcz z białych gronostajów, długi, z wysoko postawionym, wielkim kołnierzem, który stanowił świetne tło dla kapryśnej, drobnej twarzy Margaret. Efektu dopełniał malutki, futrzany kapelusik. Wyglądała, pomyślała Lally, jak królowa zima z jakiejś rosyjskiej baśni.

- Brock gdzieś wypożyczył, moja kochana. Boski, prawda? Przedstawię ci Brocka na... Och, panna młoda już idzie!

- Zabrzmiały pierwsze akordy weselnego marsza Mendelssohna

Lally siedziała sztywna i chłodna, zimniejsza niż kamienne ściany starego kościoła, i patrzyła, jak Jon Pollock poślubia Alexandrę West w pięknej katedrze York Minster.

* *

Podczas przyjęcia w domu Westów w Burton-in-the-Wolds Lally znalazła się przypadkiem obok Brocka Weymoutha.

- Panno Lally, wygląda pani zachwycająco - zagadnął uprzejmie. - Margaret mówiła, że nadal jest pani pielęgniarką.

132

- Tak - odpowiedziała. - A co pan tu robi? Myślałam, że zostanie pan w Ameryce.

- Mam tu trochę interesów. Dostarczam to i owo aliantom

- Więc będzie pan musiał dostarczać dużo więcej. Nasza sytuacja nie wygląda różowo. Jeśli zamierza pan zobaczyć jeszcze Jona żywym, będzie pan musiał się pospieszyć.

- Droga panno Lally, takie poważne tematy przy równie radosnej uroczystości!

- Bo ja jestem poważna, panie Weymouth. Zechciałby mi pan przynieść jeszcze szampana?

Podeszła Alice.

- Nie mogłabym dostać trochę szampana, Lally? - zapytała. I zaraz dodała: - Nie moglibyśmy pójść do siebie? Tu jest zbyt głośno. Kim jest ta kobieta obok Jona? Czy on wkrótce wróci do domu?

Lally spojrzała na śliczną, młodą twarz, zdradzającą pierwsze oznaki niepokoju. Alice zawsze była trochę przestraszona w nieznanym miejscu, gdy wokół niej tłoczyło się zbyt wielu ludzi. Zdała sobie sprawę, że dziewczynka nie zrozumiała ceremonii ślubnej. Uznała ją widać za jeszcze jedno przyjęcie, z którego Jon wróci sam, jak zwykle.

- Nie wiem, dlaczego nie miałabyś dostać trochę szampana, Alice? Nie denerwuj się, wkrótce będziemy znów w domu.

Brock Weymouth przyniósł szampana i Lally podała kieliszek młodszej siostrze.

- Będzie pan musiał przynieść jeszcze jeden kieliszek, panie Weymouth, dla siebie. Nie może pan pozwolić damom pić samotnie.

Podczas długiej drogi powrotnej Lally uświadomiła sobie, że nic podczas przyjęcia nie zjadła. Walczyła ze zmęczeniem i lekkimi zawrotami głowy, efektem, jak sądziła, zbyt dużej ilości alkoholu. Możliwe, że to szampan rozwiązał jej język. Gdy docierali do przedmieść Leeds, powiedziała:

- Teraz, kiedy wszystko się już skończyło, ojcze, mam na myśli święta i ślub, lepiej powiem ci o moich planach.

Zostanę zawodową pielęgniarką. Zamierzam zgłosić się do służby w szpitalu polowym. Wiem, że jestem zbyt młoda, ale teraz zazwyczaj przymyka się na to oko. Sądzę, że mnie przyjmą. - Jeszcze cztery dni temu nie myślała, że

kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, by to powiedzieć. Ale odważyła się. Jej decyzja była równie nieunikniona, jak małżeństwo Jona z Sandy West.

Światła reflektorów padały na nagie gałęzie drzew. Droga była pusta, groźnie iskrząca się lodem. Na ostrym zakręcie wpadli w lekki poślizg. Czarny Jack starał się zapanować nad samochodem. Kiedy wyjechali na prostą, a szosa przed nimi ciągnęła się szeroką wstęgą, powiedział:

- Nie mogę pozwolić ci jechać, Lally.

- Musisz, ojcze. Musisz pozwolić mi odejść, tak jak pozwoliłeś Jonowi i Margaret.

Lally zdawało się, że nigdy nie usłyszy odpowiedzi.

103

- Czy to znaczy, że straciłem was wszystkich? - odezwał się w końcu.

Milczała, tylko wcisnęła twarz głębiej w kołnierz płaszcza i patrzyła na drogę. Daleko z tyłu za nimi mogła czasami zauważyć światła. To Brock Weymouth i Margaret jechali hispano suizą, z Alice śpiącą w ramionach markizy na tylnym siedzeniu. Wszyscy mieli spędzić noc w Grangewick. Czarny Jack był wyraźnie zadowolony z obecności lady Ross, która obiecała następnego dnia towarzyszyć Weymouthowi i Margaret w drodze powrotnej do Londynu. Lally instynktownie wyczuwała, że ojca, tak jak i ją, peszył sposób, w jaki Brock Weymouth, cicho i niepostrzeżenie stawał się częścią ich życia.

Rozdział ósmy

I

Siostra przełożona za wszelką cenę chciała zatrzymać Lally w Leeds. - Może pani być równie pożyteczna tutaj, panno Pollock. Nic nie stoi na przeszkodzie, by została pani zawodową pielęgniarką. Potrzebujemy personelu do opieki nad rekonwalescentami. Czasem trudniej jest przywrócić ich życiu, niż załatać rany zaraz po bitwie. Będzie pani dobrą pielęgniarką, panno Pollock. Chciałabym mieć panią w naszym szpitalu.

Lally wiedziała, że zdobyła sobie uznanie. Mogłaby pracować w Leeds, pielęgnować rannych, pomagać rekonwalescentom. Mogłaby zostać z Czarnym Jackiem i Alice. Mogłaby być nadal ich niezawodną, kochającą Lally.

- Siostro przełożona, chciałabym jednak pojechać. Starsza kobieta skinęła głową.

- Skóro się upierasz. Obiecuję, że nie przekażę informacji o twoim wieku. Lally Pollock została skierowana do wojskowego szpitala numer 4, w południowym Londynie.

Trzęsła się ze zdenerwowania, kiedy stanęła przed siostrą przełożoną. Przełożona przeciążona była pracą. Tylko kilka minut mogła poświęcić nowej pielęgniarce.

- Zgłosiła się pani do służby w szpitalu polowym, jak słyszałam. Zobacz pani tutaj dość, by przygotować się do pracy w tamtych warunkach. - Zajrzała do trzymanyh w rękę papierów. - Siostra przełożona z Leeds wystawiła pani jak najlepszą opinię, panno Pollock. Popracuje tu pani przez kilka miesięcy. - Spojrzała ostro na Lally. - Potem pojedzie pani wprost tam, gdzie panią skieruje szpital. Mam nadzieję, że nie zgłosiła się pani do tej pracy z myślą o odnalezieniu kogoś we Francji? - Kolejny rzut oka na Lally rozproszył wątpliwości pielęgniarki. - Nie, nie sędzę. Cóż, panno Pollock. Mam nadzieję, że nie będzie pani żałować swojej decyzji. Spędziłam sporo czasu w szpitalu

polowym. To brudna i ciężka praca. Ale wybrała to pani, więc powodzenia. Teraz proszę się zgłosić do siostry oddziałowej na chirurgii.

135

Przypadki były zwykle cięższe niż te, z którymi miała do czynienia w Leeds. Przywozili ich prosto z pociągów. Wielu wciąż miało na sobie brudne strzępy mundurów. Wielu umierało, zanim zdołano udzielić im jakiegokolwiek pomocy.

Lally znów przydzielono skromne obowiązki wolontariuszki, pozwalając jedynie szorować i sprzątać, wyrzucać brudne opatrunki, roznosić posiłki, zapalać papierosy i opróżniać popielniczki. Dyscyplina szpitala wojskowego była sroga. Dziewczyna nie dowierzała własnym oczom, kiedy podczas codziennego obchodu wszyscy mężczyźni, którzy mieli siłę utrzymać się na nogach, stali niewzruszenie na baczność przy swoich łózkach, z termometrami w ustach.

Lally pisała do Czarnego Jacka: „Mówią, że we Francji stosunki są bardziej luźne. Ochotniczki dostają odpowiedzialne zadania, ponieważ wszyscy mają nadmiar pracy. Chciałabym już chociaż zakładać opatrunki, tylko że oczywiście nikt mi tego nie powierza. Ale jeśli nawet nigdy nie przebrnę przez etap przy-nieś-wynieś-pozamiataj, trudno. Ktoś musi to robić”.

Kilka razy na przepustce Lally spotkała się z markizą w Lyons Corner House, niedaleko budynku, w którym lady Ross pracowała. Rozmawiały o różnych problemach, popijając słabiutką herbatę. Aż w pewnym momencie Lally zdała sobie sprawę, że czuje się bliska markizie wiekiem. Lady Ross często wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. W ramach Czerwonego Krzyża kierowała biurem do spraw osób zaginionych.

- To przygnębiająca praca. Tak naprawdę nie ma żadnej szansy odnalezienia większości z nich, ale dla rodziny straszne jest stwierdzenie, że ich syn, mąż czy ojciec po prostu zaginął. Jak? Gdzie? Kto go widział ostatni? Pewna wiadomość o śmierci daje, choć to paradoksalne, jakiś spokój. Ale kogo pytać, kiedy ginie ślad po całym plutonie? Tak wielu nawet nie pochowano albo wrzucono do masowych grobów. Musimy o nich wszystkich pamiętać. Nazwiska na tablicach, to właściwie wszystko, co możemy zrobić.

Markiza zawsze pytała o Czarnego Jacka i Alice.

- Nie dotarłam w końcu do Pellham Langley na polowanie. Szkoda. Kiedyś byłam całkiem niezłym strzelcem. Pozdrów ode mnie ojca, kiedy będziesz pisać do domu. - Dama, która wydawała się Lally tak groźna podczas debiutu w londyńskim towarzystwie, stała się teraz niemal przyjaciółką.

Czasami, kiedy obie dostawały przepustki, Lally spotykała się w Londynie z Margaret. Pewnego popołudnia poszły na kawę do „Savoyu”. Margaret dźgała ledwie tknięte ciastko niedopałkiem papierosa. Lally już miała sprzeciwić się temu marnotrawstwu, ale się zawahała. Nie chciała, by siostra obraziła się i wyszła. Ogromnie ceniła te rzadkie spotkania. Musiała się upewnić, że bliskość wyniesiona ze wspólnego dzieciństwa, nie osłabła w nowej sytuacji.

- Wstyd mi tego, co chcę powiedzieć - wyznała Margaret - i mówię to tylko tobie, bo wiem, że nie będziesz mi robić wymówek. Ale mnie wojna wychodzi na dobre. To mój czas. Strasznie tak myśleć, kiedy tylu ludzi zostaje zabitych
106

lub rannych. Ale to nie ja rozpętałam wojnę. Nie mogę dla dobra sprawy robić więcej, niż robię teraz. Więc dlaczego nie miałabym cieszyć się tym, co mi sprawia radość? Gdyby wojna nie wybuchła, tkwiłabym w Pellham Langley, czekając na zaproszenia od naszych dobrze urodzonych sąsiadów i próbując znaleźć sobie męża. Bogu dzięki, wszystko zmienia się błyskawicznie. Kobiety nigdy już nie będą takie jak przedtem, prawda? Po wojnie nikt nas nie zmusi do powrotu na dawne miejsce. Nie będą mogli tak łatwo zepchnąć nas na margines prawdziwego życia, nie sądzisz?

- Przede wszystkim - przerwała jej Lally - będziemy mogły głosować. Pomyślałaś o tym?

Margaret wzruszyła ramionami.

- Och, polityka, sufrażystki... Nie bardzo mnie to interesuje.

- Apowinno, jeśli nie chcesz zostać jedynie ozdobą salonu. Margaret popatrzyła na siostrę zaskoczona.

- Lally, co ci się stało? Nie wiedziałam, że masz tak sprecyzowane poglądy.

- Ja też nie. Właśnie to odkryłam. Margaret poprosiła o rachunek.

- Jestem zaproszona na koktajl do pewnych ludzi przy Park Lane. Chcesz pójść ze mną? Mam się tam z kimś spotkać.

- Muszę wrócić na dyżur o dziesiątej.

- Więc masz mnóstwo czasu.

Lally stanęły przed oczami szpitalne sale, zazwyczaj ciche w nocy, o ile nie przybędzie jakiś niespodziewany transport wojskowy. Myśl o kilku godzinach wesołej zabawy była kusząca.

- Czy mogę iść tak ubrana - z pełną wątpliwości miną wskazała na swój mundur.

- Oczywiście. Strój patriotyczny. Wszyscy tak robią. A poza tym wyglądasz lepiej w mundurze niż w sukni. Gdybyś tylko zrzuciła parę kilogramów, byłabyś bardzo atrakcyjną dziewczyną..

Lally przypomniała sobie trzy ciastka, które zjadła w ciągu ostatniej godziny.

- Wydaje mi się, jakbym urodziła się gruba - roześmiała się. - A to nieprawda. Umierałam z głodu, gdy ojciec mnie znalazł.

Niespodziewanie Margaret pogładziła jej dłoń.

- Nasze szczęście, że cię znalazł. Chodź, spodoba ci się. To teraz dość powszechny zwyczaj. Kilka drinków i rozchodzimy się.

Więc Lally poszła na swój pierwszy koktajl. Nie знаła gospodyni i nikt ich sobie nie przedstawił. Konwenanse najwyraźniej przestały obowiązywać. Zupełnie nieznajomi ludzie rozmawiali ze sobą z dużym ożywieniem. Lally ostrożnie popijała gin z sokiem pomarańczowym. Nagle tuż przy swoim uchu usłyszała znajomy głos.

- Lally! Ależ to ty! Nigdy nie spodziewałabym się ciebie na podobnej imprezie.

138

Sandy West, nie, Sandy Pollock paliła papierosa w długiej fífce.

- Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Jona? Nie jest najlepszym korespondentem, prawda? Ale ja też. Zresztą byłam taka zajęta.

Lally wiedziała, że praca Sandy w dużej mierze polegała na wychodzeniu na spotkanie transportem wojskowym, przywożącym rannych do londyńskich szpitali. Na Victoria Station młode wolontariuszki roznosiły kubki herbaty i rozdawały żołnierzom papierosy. Teraz, gdy Lally zobaczyła na własne oczy stan przywożonych z frontu rannych, zaczęła żywić niechętny respekt wobec Sandy. Trzeba było mieć odwagę, by stawić czoło widokowi potwornych okaleczeń. W tydzień po ślubie Jon wrócił do Francji. Sandy zaś wynajęła mieszkanie w Londynie. Przyglądając się jej z bliska Lally pomyślała, że szwagierka wygląda ładniej niż kiedykolwiek, chociaż wyraźne zmizerniała. Kości policzkowe rysowały się urzekająco na jej szczupłej twarzy.

- Znasz Harry'ego Gaunta, prawda? Harry przyjechał na krótki urlop i stara się dodać mi otuchy. Widziałam, że kręciła się tu Margaret. Jak się czuje? A co u pana Pollocka? - Nie była pewna, jak ma nazywać Czarnego Jacka. Nie poznali się na tyle dobrze, by zdecydować o takich pozornie nieważnych sprawach.

Nie próbowała zresztą nawet słuchać odpowiedzi Lally. Ponad jej ramieniem rozmawiała już z kimś innym. Do Lally podszedł kapitan Henry Gaunt.

- Czy podać pani jeszcze jednego drinka, panno Pollock? Pewnie mnie pani nie pamięta, ale spotkaliśmy się na pani i pani siostry, Margaret, balu debiutanckim. Wspaniała impreza. Chyba najlepsza w tamtym sezonie.

Lally spojrzała na swój pusty kieliszek. Bal wydawał się jej taki sam jak wszystkie inne, a ów mężczyzna to jedna z bezimiennych, zapomnianych twarzy. Chociaż niewątpliwie była to szczególnie przystojna twarz o zmysłowych ustach.

- Co słyhać u starego Jona? Coś kiepski z niego korespondent.

- To prawda - przyznała Lally. Przyglądała się baretkom na jego piersi. Jedna z kampanii pod Gallipoli, a ta obok, czyżby DSO*? Jeśli wojna potrwa dużo dłużej wszyscy będą mieli piersi obwieszane baretkami.

- Drinka, panno Pollock? - namawiał cicho.

Może dlatego, że od dawna nie miała wiadomości od Jona i nie spodziewała się ich w przyszłości, może dlatego, że nie była w stanie odpowiedzieć na ostatni list Thomasa Handleya, pisany ze szpitala dla rekonwalescentów pod Bristolem, a może pod wpływem myśli o samotnym powrocie na dyżur, podała mu pusty kieliszek.

- Tak, odrobinę, proszę.

Spóźniła się do szpitala dwie minuty i została skarcona przez siostrę przełożoną. Miała nadzieję, że nie czuć od niej za bardzo zapachu ginu. Mężczyzna, któremu podała termometr, wykrzywił twarz w kpiącym uśmiechu.

Przywiez.io

*** DSO - Distinguished Service Order - Brytyjskie odznaczenie wojskowe, ustanowione przez królową Wiktoria w 1866 r. (przyp. red.).**

108

no go prawie miesiąc temu, z obiema nogami rozerwanymi szrapnelem. Wiedział, że nigdy już nie wróci na front.

- Była siostra w mieście, prawda? - zagadnął. - Tak trzymać. Korzystać z życia póki można, zawsze to mówię.

Odwzajemniła uśmiech. Przekomarzenia i żarty z pacjentami były zakazane, ale tę regułę łamały wszystkie pielęgniarki, gdy tylko siostra oddziałowa zniknęła z zasięgu wzroku.

- Czy wie siostra, że ma wspaniałe zęby? Wszystkie własne, prawda? Był to komplement w nie najlepszym guście, ale Lally poczuła się nedorzecznie zadowolona.

Stopniowo i raczej niechętnie pozwalano jej asystować przy opatrywaniu rannych. Poddała się już też szczepieniom ochronnym i miała nadzieję, że jej wyjazd nastąpi wkrótce. Wolałaby Francję niż Bliski Wschód lub statek szpitalny.

Ale rozkaz to rozkaz, jak ostrzegała siostra przełożona.

Tylko raz udało jej się zobaczyć z Thomasem Handleyem. Lally skłamała w szpitalu mówiąc, że idzie spotkać się z lady Ross. Thomas po wyjeździe z Bristolu spędził krótki urlop z rodziną i na dwa ostatnie dni przyjechał do Londynu. Umówili się w „Royal Cafe”. Nie tańczyli. Lally piła herbatę i choć raz w życiu zapomniała o ciastkach. W ich milczeniu nie było żadnej niezręczności, tylko ból. Pojutrze Thomas wracał do Francji.

Delikatnie przesunęła po blacie stolika sygnet. Handley stanowczym ruchem odepchnął pierścionek w jej stronę.

- Chcę, żebyś go zachowała - powiedział.

Przypomniała sobie, jak sprawił, że poczuła się kobietą pożądaną. Tej samej nocy, kiedy straciła Jona. Zastanawiała się tylko, dlaczego Thomas nadal się nią przejmuje. Ale jego twarz była zdecydowana i poważna.

- Pamiętasz, jak tamtej nocy piliśmy za ponowne spotkanie i żadnych rozstań. Wierzyłem w to wówczas, Lally. I teraz wierzę, że wrócę. Że przetrwam. Muszę przeżyć piękne życie. Coś zrobić. Czy kiedykolwiek chciałaś zwiedzić świat, tak naprawdę zwiedzić? Nie muzea, zabytki, ale miejsca. Samarkandę. Pekin. Tybet. Tajemnicze miejsca. Któregoś dnia razem wybierzemy się w podróż, Lally. Będę o tym myślał, kiedy tam wrócę. Kiedy będę przemarznięty, będę stał po kostki w brudnej wodzie. Będę marzył o słońcu pustyń. Bezkrzesnych, niezbadanych pustyń. Myślę, że dałabyś sobie radę z wielbłądem, co Lally?

Parsknęła śmiechem. Napięcie pękło.

- Obawiam się, że poganiacze, czy jak oni się tam nazywają, mogliby pomylić mnie z wielbłądem

Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się razem z nią tak głośno, że ludzie siedzący przy najbliższych stolikach zaczęli dyskretnie się im przyglądać. Była to zresztą zwyczajna w tych czasach scena. Nic ciekawego poza faktem, że dziewczyna w mundurze wolontariuszki była trochę zbyt tęga, a młody oficer romantycznie przystojny. Thomas podniósł rękę, by przywołać kelnera.

- Do diabła z całą tą herbatą i ciasteczkami, Lally. Chcę znów napić się z tobą szampana. Wzniesić toast za ponowne spotkanie i żadnych rozstań.

141

Kelner przyniósł butelkę i kieliszki, a potem cicho zwrócił się do Thomasa:

- Przepraszam, sir. Musimy zejść do piwnicy. Zeppelin.

- Dobrze - odparł Handley i natychmiast się podniósł. Wcisnął kelnerowi banknot pięciofuntowy. - Proszę nam tam podać jeszcze jedną butelkę. W piwnicy także możemy spędzić miło czas.

- Oczywiście, sir. - Kelnera nic nie dziwiło. Oficerowie pod koniec urlopu często miewali szalone pomysły.

Nie słyszeli wybuchów, budynek nie zawalił się. Lally i Thomas siedzieli w niszy, gdzie przechowywano worki cukru i pili szampana.

- Lally, chciałbym, żeby było tak jak tamtej nocy. Ale nie jesteś dziewczyną, którą bierze się do hotelu. Tamta noc... Nigdy jej nie zapomnę. To była naj...

Dotknęła jego ręki.

- Thomas, nic już nie mów. Żadnych pożegnań, pamiętaj. I napełnij kieliszki, głuptasie. Wydałeś wszystkie pieniądze. - Spieniony szampan lał się jej po palcach. - Samarkanda, Tybet, gorące pustynie. Kiedy nastaną chłody, będę pragnąć pustyni dla ciebie, Thomasie.

Gawędząc tak, dopili drugą butelkę szampana. Wreszcie pozwolono im opuścić piwnicę. Zeppelin zrzuciły tylko kilka bomb na południowy Londyn. Jakimś cudem Thomas znalazł taksówkę i odwiózł Lally do szpitala. Nie chciała, by ją odprowadzał.

- Nie wolno nam umawiać się z mężczyznami, wiesz o tym. Powiedziałam siostrze przełożonej...

Jego usta znalazły się na jej wargach.

- Zatrzymaj sygnet, Lally. Kiedy wrócę, upomnę się o niego. - Pewnie zwykle mówią takie rzeczy w przeddzień powrotu do Francji, pomyślała oszołomiona. Będzie dla niego wspomnieniem ciepłego, czystego, bezpiecznego świata. Nie cofnęła się przed pocałunkiem. Kierowca czekał cierpliwie. Wreszcie Thomas pomógł jej wysiąść z taksówki. Idąc ulicą, Lally czuła zawroty głowy. Jak to dobrze, że nie miała nocnej zmiany. Taksówka powoli ją wyminęła. Dostrzegła jeszcze machającego Thomasa. Czy tak to się zawsze odbywa, gdy mężczyzna wraca na front? Usiadła na łóżku, obracając w palcach sygnet. Oczywiście, to się nigdy nie spełni. Nigdy nie będzie baśniowej podróży. Nie będzie Samarkandy ani Tybetu. Ale można o tym pomarzyć. Za spotkanie i żadnych pożegnań.

- Pollock, za pięć minut gaszą światła - zawołała jedna z ochotniczek. - Będziesz się potem potykała po ciemku. Myślę, że trochę za dużo wypijaś, dziewczyno. Lepiej o nim zapomnij. I tak pewnie nie wróci.

* *

Lally dostała trzydniową przepustkę i pojechała do Grangewick. Czarny Jack całymi dniami podróżował pomiędzy fabrykami i kopalniami Leeds, Bradford, Sheffield i Port Talbot. Alice czuła się więc samotna. W oślepiająco jasny zimowy dzień Lally zaprzęła dwukólkę i zabrała siostrę na wycieczkę do Pellham

143

Langley. Trawniki przed pałacem zostały zamienione w ogród warzywny, krzewów w parku od dawna nie strzyżono. Alice z nieszczęśliwą miną próbowała rozpoznać kontury psa, kota i królika. Nie знаła żadnego z pacjentów przebywających teraz w wielkim domu, a oni, nie wiedząc, kim jest, odnosili się do niej obojętnie. W końcu rozpląkała się, tuląc do ramienia Lally.

- Nikt ze mną nie rozmawia - szlochała.

W Grangewick zastały zmęczonego Czarnego Jacka. Kucharka przygotowała świąteczny obiad, Billings podał najlepsze wino. Alice wyglądała ślicznie, ale nadal była strapiona.

- Wszystko się zmieniło. Nikt ze mną nie rozmawiał - powtarzała.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - uspokajał ją Czarny Jack. Po raz pierwszy Lally wyczuła, że nie był pewien tego, co mówi.

- Gdyby tylko Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny - powiedział później do starszej córki. Siedzieli przed kominkiem w salonie. Oboje potrzebowali snu, ale nie chcieli tracić ani chwili z krótkiego urlopu Lally.

- Przystąpią, jak tylko Niemcy zatopią wystarczająco wiele amerykańskich statków.

Powtarzała opinie Brocka. Któregoś popołudnia Weymouth beczelnie zadzwonił do szpitala, narażając Lally na gniew siostry przełożonej. Tylko amerykański akcent natręta uchronił dziewczynę przed potężną awanturą. Mimo wszystko, kto mógł spodziewać się, by cudzoziemiec znał lub respektował sztywne zasady rządzące życiem angielskiej pielęgniarce. W końcu siostra przełożona postanowiła okazać dobrą wolę i pozwoliła Lally na dwie minuty rozmowy, akurat tyle, że dziewczyna zdążyła przyjąć zaproszenie na obiad.

- Tu twój kochany, stary wujek z Ameryki, Lally.

- Tak, wujku - zgodziła się posłusznie.

Czekał przed budynkiem, gdzie mieszkały pielęgniarki. Hispano suiza wzbudziła prawdziwą sensację. Lally zastanawiała się, czy historia o pożyczeniu wozu była prawdziwa. Skąd Brock Weymouth go wystraszał? Kto mógł wiedzieć cokolwiek pewnego o Brocku? Mieszkał w hotelach Londynu, Nowego Jorku i Waszyngtonu. Znał wielu ludzi, ale nigdy nie wspominał o przyjaciółach.

Zabrał ją na obiad do „Ritza”. Był tam dobrze znany. Zapewne dawał duże napiwki, gdyż starszy kelner kłaniał mu się nieustannie i nadszkakiwał Lally. Dziewczyna rozejrzała się po ogromnej sali, pełnej elegancko ubranych ludzi i spytała bez ogródek:

- Dlaczego ja?

Brock zerknął znad menu, które wyraźnie nie wydawało mu się wystarczająco urozmaicone.

- A dlaczego nie? Margaret mówiła, że harujesz w szpitalu jak niewolnica, a jedzenie jest tam ponoć koszarne.

Więc...

Lally roześmiała się.

- Chciałabym wyglądać, jak osoba wygłodzona, Brock. Uśmiechnął się lekko.

- Jesteś świetną dziewczyną, Lally.

111

- Tak, wiem. I wcale mnie to nie cieszy.
 - A kim chciałabyś być, gdybyś nie była sobą?
 - Ja? - Czekala aż kelner napełni jej kieliszek. Wino okazało się doskonałe. Wytrawne, klarowne.
 - Cóż, myślę, że chciałabym mieć kapryśną naturę. Żadnego tam dobrego charakteru. I byłabym piękna. Szczupła, złotowłosa, o kocich oczach - przerwała. Miała nadzieję, że Brock nie zauważył, iż prawie dokładnie opisała Margaret.
- Jedli bez pośpiechu. Lally rozkoszowała się uprzejmością, z jaką odnosił się do niej maitre d'hotel, smacznym jedzeniem, widokiem pięknie ubranych kobiet. W sali restauracyjnej „Ritza” można było zapomnieć o wojnie. Brock wypytywał ją o pracę w szpitalu. Był ciekaw, czego Lally oczekuje po wyjeździe z kraju.
- Niczego nie oczekuję. Spełniam po prostu rozkaz. Bezpieczniej i przyjemniej było w Leeds, ale czułam się tam zbyt daleko od prawdziwego życia.
 - Ojciec będzie za tobą tęsknić. I Alice także.
 - Tęsknią już za Jonem i Margaret. Nic na to nie poradzę. Nie mogę na zawsze zostać w domu.
- Brock niewiele mówił o swoich interesach w Anglii. Odniosła wrażenie, że często podróżował przez Atlantyk. Wymagało to niemałej odwagi w czasach, gdy torpedowanie statków alianckich i amerykańskich przez niemieckie łodzie podwodne stawało się nagminną praktyką. Ale w przypadku Bracka Weymoutha odwaga zdawała się sprawą drugorzędną wobec faktu, że robił interesy. Ryzyko było częścią gry. Nagrody zdobywali szybcy i niestrachliwi. A Brock Weymouth lubił wygrywać. Lubiał świat złoconych sal u „Ritza”.
- Dotarli do szpitala na dziesięć minut przed godziną policyjną. Znalazłszy się w klitce, która służyła jej za sypialnię, Lally przyjrzała się uważnie swemu odbiciu w wiszącym na ścianie lustrze. "Jedyna wizytowa suknia, jaką zabrała ze sobą do Londynu, wydała się jej brzydka i śmieszna. Nie odrywając krytycznego spojrzenia od własnej postaci, Lally wetknęła we włosy biały goździk. Jasny kwiat na czarnym tle. Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest złotowłosą pięknoscią, którą opisała Brockowi.

II

„Kochany Ojciec i Alice, skierowano mnie do trzydziestego czwartego szpitala ogólnego, pomiędzy Boulogne a Abbeville". - Nie była pewna, czy cenzura nie wykreśli nazw obu miejscowości. - „Jest tu trochę inaczej niż sobie wyobrażałam. Główny szpital mieści się w starym opactwie. Refektarz, kaplica i wszystkie wystarczająco duże pomieszczenia przekształcono w sale szpitalne. Pawne cele mnichów używane są jako izolatki dla poważnie rannych i oficerów. Choć rozgraniczenia między oficerami i żołnierzami nie wydają się już tak wyraźne. Ogrody i tereny opactwa również zaanektowano dla szpitala. Część oddziałów mieści się w barakach, a lekarze i pielęgniarki mieszkają pod namiotami. Pomiędzy barakami i namiotami ułożono kamienne chodniki, ponieważ podobno kiedy pada,

112

ziemia przemienia się w istne bagno". Lally zawahała się nad kilkoma sformułowaniami. „Jest tu trochę inaczej niż sobie wyobrażałam". Tyle pozwoliła sobie napisać, respektując surowy zakaz przekazywania do kraju zniechęcających informacji. W pamięci Lally szpital wojskowy w Londynie rysował się teraz jako oaza spokoju i porządku. „Mam poczucie, że jestem tu użyteczna", dodała ogólnie na zakończenie.

Często wspominała ranek, kiedy odjeżdżała transportem wojskowym z Victoria Station. Poprzedniego dnia zawiadomiła Czarnego Jacka. Miała nadzieję, że nie przyjedzie jej żegnać. Ale przyjechał. Stał na peronie, ocierając oczy.

- Będę wysyłał paczki, Lally. Proś, o co chcesz. Wracaj bezpiecznie, córeczko. - Nagle dodał: - Chyba zadzwonię do lady Ross. Chcę opłakiwać twój wyjazd z kimś, kto też cię kocha.

W Calais musieli czekać całą noc. Lally i trzy inne wolontariuszki dotarły do trzydziestego czwartego szpitala pod Boulogne dopiero późnym popołudniem następnego dnia, głodne, brudne i zmęczone. Ale z twarzy pielęgniarek, które je tam powitały, wycierało znacznie większe wyczerpanie. Kiedy Lally weszła do wskazanego jej namiotu, kształtna, mała głowa podniosła się z poduszki połowego łóżka.

- Och, nareszcie przyjechałaś. Powinnaś być już wczoraj.

- Mieliśmy opóźnienie - poczuła, że musi się usprawiedliwić. Wiedziała, że mówi do nie byle kogo. Ta młoda kobieta musiała spędzić tu

wieczność, wojenną wieczność. W jej oczach malowało się doświadczenie. Były to szaroniebieskie oczy ukryte za jasnymi rzęsami. Dziewczyna miała zuchwałą, pokrytą piegami, ładną twarz i grzywę niemal czerwonych włosów.

Ręce nosiły ślady odmrożeń, a twardy cockneyowski akcent nie pozostawiał wątpliwości, skąd nowa znajoma Lally pochodzi.

- Cóż, przyjechałaś prosto na kolację. Jestem na nocnym dyżurze przez najbliższe cztery tygodnie. Myślę, że mi ciebie przydzielą. Dziewczyna, która pracowała ze mną, została odesłana do domu. Załamała się.

Lally zaczęła układać swoje rzeczy w dwóch drewnianych skrzynkach. Przejmujący chłodny wiatr wdarł się do namiotu. Młoda kobieta odrzuciła koce i wstała z połówki. Wyciągnęła rękę.

- Nazywam się Barlow. Susie Barlow.

- Lally Pollock. - Lally zauważyła, że spogląda na swoją towarzyszkę z góry. Kształtna, inna głowa osadzona była na równie zgrabnym, drobnym ciele. Oczy spoglądały inteligentnie i uważnie.

- Pierwszy raz poza krajem, prawda? Założę się, że skłamałaś, podając swój wiek.

Lally przytaknęła.

- Nie zwracają już na to uwagi. Dawniej przestrzegali granicy wieku bardzo rygorystycznie. Teraz potrzebują pomocy i jeśli dostaniesz zgodę rodziców, nie robią żadnych problemów. Ja mam zresztą tylko ojca - dodała. - A tak naprawdę jestem adoptowana.

Susie została jej mentorką i opiekunką.

8 - Obietnice

113

- Nie zadzieraj z tą siostrą oddziałową, która właśnie wraca z urlopu - przestrzegala. - Prawdziwa stara krowa. Zdaje się myśleć, że mamy tu fantastyczne warunki pracy. Uważaj, jeśli kiedyś pozwoli ci pomóc w zakładaniu opatrunków. Cokolwiek pójdzie źle, będzie to twoja wina.

Ale Susie Barlow potrafiła obchodzić się z pacjentami tak, że nawet wymagający zwierzchnicy musieli to docenić.

- Daj skręta, sestro - szczyrzyli zęby w uśmiechu ranni mężczyźni. Niektórzy żartobliwie wołali na nią „Ruda” lub „Ryża”. Drugiego dnia pobytu Lally w szpitalu Susie delikatnie przytrzymała nową koleżankę za ramię.

- Zanim tam wejdiesz, lepiej zatkaj nos, Pollock. Wiesz co to gaz gangrenowy? Większość z tych chłopców miała amputacje. Nieudane amputacje. Dzień lub dwa, to wszystko, co im zostało. Staraj się wyglądać wesoło. Nie chcesz chyba, żeby ich ostatnim wspomnieniem z tego żywota była przygnębiona wo-luntariuszka.

Susie Barlow uspokajała Lally przez pierwsze tygodnie, kiedy trzeba było przyzwyczaić się do koszmarnych widoków, dźwięków i zapachów. Wskazywała często na zdjęcie Czarnego Jacka, które Lally przywiozła ze sobą, i tłumaczyła jak dziecku:

- Twój tata oczekuje, że będziesz dzielna, Pollock. Pamiętaj, to jeszcze nie wszystko, co tu zobaczysz. Francuzi dostali wielkie lanie pod Verdun. Nie wątpię, że wkrótce nasz szpital zapełni się do granic wytrzymałości. Cholerne dowództwo ciągle zapowiada wielkie natarcie, które ma przynieść zwycięstwo. Kupa bzdur, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Chłodna wiosna ustąpiła wreszcie miejsca słońcu wczesnego lata. Do szpitala nadjeżdżały ciągle nowe transporty rannych. Lally zaczęła zastanawiać się, ilu jeszcze umierających zobaczy. Czarne proroctwa Susie zdawały się wypełniać co do joty. Szczęśliwie nie było czasu na strach czy zwątpienie. Personel szpitala pracował w dzień i w nocy. Wszystkiego brakowało, łóżek, kocy, opatrunków, leków, a przede wszystkim, sal szpitalnych. Stare budynki opactwa nie mogły już pomieścić więcej chorych. Szeregi baraków z surowych desek ciągle rosły, a mimo to ranni leżeli na noszach na dworze, czekając na lekarza, łóżko czy salę operacyjną. Czasami umierali pod gołym niebem. Lally nie wspominała o tym Czarnemu Jackowi. Opowiedziała mu za to historię Susie Barlow, dziewczyny z East Endu, która po śmierci brata i narzeczonego zgłosiła się na służbę w szpitalu polowym i wytrwała w swym postanowieniu. „Będziesz ją musiał poznać, Ojczy. To chyba najwspanialsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Przywodzi mi na myśl londyńskiego wróbla. Harda i pełna życia”.

Margaret pisała. „Jestem prawie zazdrosna o tę Twoją Susie Barlow. Nigdy nie myślałam, że możesz polubić kogoś bardziej niż mnie”. Ale któregoś dnia nadeszła paczka adresowana do Susie. Od Margaret.

W jakiś czas potem Lally zawiadomiła ojca: „W zeszłym tygodniu widziałam się z Jonem! Dostał dwudniową przepustkę. Siostra przełożona pozwoliła mi wziąć dzień urlopu, by się z nim spotkać. Nie wolno mi powiedzieć, gdzie.

114

Jon jest zdrowy, chociaż zmęczony. Wszyscy oni są zmęczeni. Ale przynajmniej mógł się dobrze wyszorować. Mieliśmy dla siebie tylko kilka godzin i spędziliśmy je, gawędząc o was. Jon ma nadzieję, że dostanie wkrótce prawdziwy urlop. Ale doświadczeni oficerowie i żołnierze są tu na wagę złota". Po co dodawać więcej? Codziennie widziała ich umierających. Świadomość, że może to spotkać również Jona, przekraczała jej siły. „Strasznie tęskni za Sandy" - pisała z trudem. - „Prosi, żebyście nadal przysyłali mu paczki przez Czerwony Krzyż. Jak najwięcej rzeczy. Zawsze znajdzie się ktoś, z kim się można i trzeba podzielić. Jon prosi też Alice, by zrobiła mu szalik na drutach. Będzie go potrzebował zimą. Ale może po wielkim natarciu, którego ciągle się spodziewamy, wszystko się szczęśliwie ułoży". Nie wierzyła już w rychły koniec wojny, ale musiała coś napisać. Nie wspomniała ojcu o nalocie zeppelinów, który zniszczył narożnik głównego budynku szpitala. Czarny Jack miał i tak dość zmartwień. „Muszę już kończyć. Ogłoszono stan pogotowia. Czekamy na duży transport rannych. Szpital został opróżniony ze wszystkich pacjentów, poza najcięższymi przypadkami. Chciałam więc napisać parę słów, póki jeszcze jest czas". List opatrzony był datą trzydziesty czerwca tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Oboje, Lally i Jon, czuli, że nie ma nadziei na urlop w Anglii. Marzenia o spotkaniu z bliskimi były pocieszającym kłamstwem.

Na dzień pierwszego lipca dowództwo alianckie zaplanowało rozpoczęcie ofensywy nad Sommą.

* *

Świtało. Lally leżała rozbudzona, słuchając grzmotu dział. Od tygodnia już wojska alianckie próbowały przełamać linie obrony wroga. Pielęgniarki jadły właśnie śniadanie, gdy o siódmej trzydzieści pierwsza gigantyczna eksplozja obwieściła rozpoczęcie bitwy nad Sommą. Później ranni żołnierze opowiadali, co potwierdziły też oficjalne źródła, że był to wybuch pięciu ogromnych min lądowych chroniących niemiecką linię obrony. Głęboko wykopane schrony pozostały po alianckim ataku niemal nienaruszone. Wielka artyleria, której zadaniem było unicestwić obwarowania wroga, zdziałała bardzo niewiele. Mówiono też, że brytyjska piechota otrzymała rozkaz, by nacierać w tradycyjnym tempie jednego jarda na sekundę, podczas gdy każdy żołnierz objuczony był ekwipunkiem o ciężarze około jednej trzeciej wagi dorosłego mężczyzny. Szkockie wojsko ruszyło do ataku przy dźwiękach kobz, ósma kompania z Surre wyszła z okopów z futbolową piłką. Zupełnie jakby alianckie dowództwo zamierzało urządzić jakieś niesmaczne, absurdałne widowisko, myślała Lally. Później, kiedy nadszedł czas, by policzyć ofiary, okazało się, że był to najkrwawszy dzień w historii Wielkiej Brytanii. Ze zgrozą i oszołomieniem opowiadano o tej rzezi. Prawie dwadzieścia tysięcy zabitych, około trzydziestu siedmiu tysięcy rannych. Ale zanim poznano fakty, formalnie podano liczby. Lally wiedziała jedno. Napływ rannych z frontu zdawał się nie mieć końca. Nie miała już siły ani czasu

150

zastanawiać się nad rzeczywistością. Ważne było, by ustać na nogach. Uodporniła się na jęki i krzyki potwornie okaleczonych. Przywykła do tego, że wielu z nich umierało, podczas gdy desperacko próbowała opatrzyć im rany. Była odrętwiała ze zmęczenia, ale nie ona jedna. Lekarze zdawali się w ogóle nie opuszczać sal operacyjnych. Sanitariusze biegali z noszami. Lally widziała jak kapelan szpitalny niewprawnie podawał środki znieczulające, szykując rannych do operacji, żeby nie było ani minuty przestoju. Liczyła się każda para rąk do pracy. Trzeba było ratować tych, którzy mogli przetrwać kilka godzin, zanim nadejdzie ich kolej. Lally miała poczucie, że nie potrafi pomóc im należycie, ale nie znalazł się nikt, kto by ją zastąpił. Wszystkie pielęgniarki pracowały równie ciężko, bez chwili wytchnienia. Uczyła się więc, szybko zyskując doświadczenie, ale zdawała sobie sprawę, że odbywało się to kosztem cudzego zdrowia czy życia. Pierwsze dni ofensywy nad Sommą były tylko początkiem koszmaru.

III

Lally straciła poczucie czasu. Godziny dyżurów i godziny odpoczynku, podczas których zapadała w kamienny sen, ciągnęły się nieprzerwanym rytmem. Wciąż napływały nowe transporty rannych. Front brytyjski przesunął się w kierunku Bapaume. Francuzi atakowali Peronne.

Nadszedł rozpaczliwy list od Czarnego Jacka. „Na miłość boską, Lally, co się z tobą dzieje? Ze zgryzoty odchodzę od zmysłów. Nie piszesz. Od Jona też ani słowa. Jestem pewien, że nie ominęła go ta ofensywa. O ile w ogóle jeszcze żyje”. Próbowała więc znaleźć czas, by skreślić choćby parę słów. Nie mogła zostawić ojca bez wieści, niespokojnego, przerażonego. Chociaż nie potrafiła też dodać mu otuchy. Jak powiedzieć, że co prawda żyje, ale szpital może zostać w każdej chwili zbombardowany? Jak uświadomić mu, co może spotkać Jona.

Dni niepostrzeżenie przeplatały się z nocami. Datując liściki do Czarnego Jacka, Lally zauważyła, że minęły już całe tygodnie. Tylko niewyczerpana energia Susie Barlow podtrzymywała Lally na duchu. Lato zbliżało się ku końcowi, a ofensywa ciągle trwała. Alianci parli naprzód straszliwie powoli. Któregoś dnia przyszedł list od Thomasa. Jego oddział znalazł się na odcinku frontu, gdzie toczyły się najokrutniejsze walki. „Błagam cię - pisł porucznik Handley - wydostań się stąd. Wydostań się w jakikolwiek sposób. To chyba prostsze dla pielęgniarki niż dla żołnierza. Nie musisz przestrzelić sobie stopy. Po co niepotrzebnie oddawać życie?” Układając odpowiedź, Lally udała, że nie zrozumiała jego aluzji.

Od jakiegoś czasu była pewna, że i tak wszyscy zginą. Umrą, jak ci mężczyźni, których widywała co dzień na noszach, pryczach, stołach operacyjnych. Jak ci, którzy pozostali na polach bitew, ci, których grzebano w zbiorowych mogiłach. Próbowała nie myśleć. Osiągnęła ten punkt zmęczenia, kiedy przestała już w każdej twarzy ze strachem dopatrywać się Jona lub Thomasa.

Lally odkryła, że śmierć miała swój zapach, obrzydliwy fetor, przenikający mundury, bieliznę, osiadający we włosach, wsiąkający w skórę. Choćby nie wiadomo jak szorowała ręce, odór nie ustępował.

Zaczęła budzić się po nocach. W dusznym namiocie cuchnęło wilgocią i stęchlizną. Obolałe, zmęczone ciało domagało się odpoczynku, ale Lally nie mogła spać. Była teraz tak wychudzona, jak wówczas, gdy Czarny Jack znalazł ją umierającą na bruku Leeds. Zatarłe wspomnienie dzieciństwa, tego ponurego, ciemnego miejsca, którego się bała, powracało coraz częściej.

W listopadzie wielkie natarcie nad Sommą, które miało przechylić szalę zwycięstwa na stronę aliantów, zawiodło definitywnie. Nie można było kontynuować ofensywy w błocie i ulewnym deszczu. Jak później podsumowano, Brytyjczycy i Francuzi zajęli sto dwadzieścia pięć mil kwadratowych, ale nie zdobyli ani jednego obiektu o istotnym znaczeniu strategicznym. Lally nie zdziwiła bynajmniej wiadomość, że nad Sommą poległo ponad czterysta tysięcy żołnierzy brytyjskich i prawie dwieście tysięcy Francuzów. Nikt nie był pewien strat niemieckich, ale niektórzy korespondenci szacowali je na około pół miliona. Zupełnie jakby na tych kilkudziesięciu przesiąkniętych krwią milach kwadratowych świat został unicestwiony. Czy możliwe, by przy życiu pozostali gdzieś jeszcze jacyś młodzi mężczyźni?

- Panno Pollock, musi pani iść na długi urlop - oświadczyła któregoś dnia siostra przełożona. - Nie mamy czasu ani możliwości, by panią tu pielęgnować. - Lally spojrzała na nią ze zdumieniem. Nie czuła się źle. Cierpiała jedynie z powodu jątrzącej się rany palca. Ale czy taki drobiazg mógł zdecydować o odesłaniu pielęgniarki do kraju? Lally poczuła się głupia i bezużyteczna. Ton siostry przełożonej sugerował, że bezsensowna klęska była winą Lally. Brak siły i energii to karygodna wada. Lally, z jakiejś niezrozumiałej dla siebie przyczyny, zawiodła.

- Chciałabym mieć połowę twego szczęścia - radośnie oświadczyła Susie, pomagając przyjaciółce się pakować. - Szkoda, że nie ma czasu poreperować starego munduru. Ale przynajmniej porządnie poukładamy rzeczy. Pamiętaj, zrób coś z tym palcem, bo go stracisz. I zjedz chociaż trochę, dobrze?

Wiążąc sznurowadła, Lally po raz pierwszy zauważyła, że jej stopy zdają się drobniejsze, jakby buty należały do innej kobiety, a spódnica, mimo że ściągnięta paskiem, luźno zwisa i niemal wlecze się po ziemi.

IV

Czarny Jack czekał na nią w Londynie. Dostrzegła go pośród tłumu na Victoria Station i łzy, które powstrzymywała od miesięcy, popłynęły jej z oczu. Przypadła do ojca bez słowa. Wziął od niej torbę i poszli do taksówki, której kazał czekać przed dworcem. Pojechali do „Savoyu”.

Jak tu dziwnie, myślała Lally. Jak czysto i normalnie. Nie, nie normalnie, właśnie nadzwyczajnie. Dywan pod nogami i boye hotelowi. Z uwagą przyglądała się młodym chłopcom. Istnieli więc jeszcze mężczyźni żywi, zdrowi,

nie

okaleczeni. Przyjrzała się uważniej ojcu. Czarny Jack nie był już czarny, tylko szpakowaty. Wprowadził ją do saloniku w apartamencie, który dla niej wynajął i, gdy zamknęły się za nimi drzwi, przytulił z całej siły.

- Och, Lally, kochanie, co oni z tobą zrobili?

- Ze mną? Nic. Czuję się świetnie. Tylu widziałam cierpiących, chorych, a mnie nic się nie stało. Ojczy, to niewiarygodne. Rannych wciąż przywożono i przywożono... Obawiam się, że nie byłam wystarczająco dobra, bo mnie odesłali. Powodem nie może być przecież palec.

Czarny Jack delikatnie obrócił ją w stronę lustra.

- Lally - powtórzył - co oni z tobą zrobili?

Przyjrzała się z zaciekawieniem. Kiedy to ostatnio miała okazję się sobie przypatrzeć? Wysokie tremo odbijało obcą kobietę. Kim była ta nieznajoma w groteskowym, zbyt obszernym stroju? Przypominała cyrkowego kłowna. Jakoś wcześniej nie zauważyła, że mundur prawie z niej spada. Nie poznawała twarzy o ostro zarysowanych kościach policzkowych i ciemnych sińcach pod oczami. Patrząc w lustro, pomyślała nagle, że wygląda jak chudy strach na wróble. Wybuchnęła śmiechem.

- Wyglądam nedorzecznie, prawda?

*

* *

Tak trudno było przyzwyczać się do zapomnianych wygód. Leżąc w wielkiej wannie, Lally patrzyła na swoje ciało, które wydawało się łagodnie falować pod wodą, i nie poznawała go. Wreszcie wstała i owinęła się ręcznikiem kąpielowym. Jeszcze raz spojrzała na nieznajomą postać w lustrze. Cienie pod oczami, szyja jakby dłuższa. Wysoko upięte do kąpieli włosy sprawiały, że Lally samej sobie wydawała się wyższa. Czarny Jack przywiózł z Grangewick kilka jej sukni, ale żadna z nich nie nadawała się do użycia. Wszystkie były zbyt obszerne. Pozostał jedynie peniuar, a i on zwisał smętnie na wychudzonym ciele. W salonie czekał już zamówiony przez Czarnego Jacka lunch. Lally ostrożnie pociągnęła łyk wina i na początek sięgnęła po łososia. Czy to możliwe, żeby nadal istniały takie smakołyki? Trudno uwierzyć. Zjadła odrobinę, by sprawić przyjemność Czarnemu Jackowi, ale nie miała apetytu. Nic nie wydawało się jej wystarczająco dobre. Tymczasem Czarny Jack rozmawiał przez telefon. Mimo protestów Lally umawiał ją z krawcami, modystkami, szewcami.

- To żaden problem - tłumaczył. - Jeśli się ma pieniądze, nawet w czasie wojny można wszystko załatwić. Nie znam się na modzie, nigdy się tym nie interesowałem. Nie możesz jednak chodzić ubrana w ten sposób. Należy ci się wszystko co najlepsze!

Lekarz, wezwany przez dyrekcję hotelu, przyszedł opatrzyć ranę Lally.

- Proszę dwa razy dziennie moczyć palec w roztworze soli fizjologicznej. Myślę, że potrafi pani założyć opatrunek lepiej niż ja. - Spojrzał na nią z porozumiewawczym uśmiechem. - I proszę trochę odpocząć.

118

Pokojówka wniosła płaszcz, kapelusz i suknię, w której zrobiono od ręki kilka zaszewek, by Lally mogła wsiąść do taksówki i dotrzeć do firmy krawieckiej. Czarny Jack postanowił towarzyszyć córce.

- Panna Pollock potrzebuje dosłownie wszystkiego - oświadczył szefowej, która osobiście się nimi zajęła. - Bielizny, sukni, płaszczy, kapeluszy, butów. Natychmiast. Proszę załatwić to w taki sposób, by przyniesiono te rzeczy do pani salonu. Chciałbym, żeby wyszła stąd porządnie ubrana. I musi mieć suknię na dzisiejszy wieczór. Reszta garderoby może poczekać do jutra.

- Ależ to niemożliwe - kobieta rozłożyła ręce. - W kilka godzin? Absolutnie niemożliwe!

Czarny Jack przyjrzał się jej surowo.

- Jestem pewien, madame, że nie chciałaby pani nagle dowiedzieć się, że Brearley's z Bradford nie może już zaopatrywać pani w ten piękny aksamit, z którego słyną kreacje pani firmy. A gdyby Kemply Brothers stwierdzili niespodziewanie, że zapasy wełen i samodziałów wyczerpały się? Oczywiście, jest jeszcze francuski jedwab... Ale cóż, nawet w czasie wojny dostawcy z Lyonu mają swoje sposoby, żeby dowiedzieć się, co słyhać w Yorkshire. W oczach kobiety błysnęła złość.

- Dostarczcie pani Pollock wszystko, co potrzeba - skinęła na pomocnice. - W miarę możliwości, oczywiście.

*

* *

Czarny Jack z uwagą przyglądał się proponowanym przez firmę kreacjom. Ku swemu zdumieniu nie czuł się znudzony. Co parę minut Lally wyłaniała się zza jedwabnego parawanu i z uwagą śledziła własne odbicie w wysokich lustrach, ustawionych tak, by obejrzeć w nich było można suknię nie tylko z przodu, ale i z boków. Czarny Jack upierał się przy najjaśniejszych kolorach. Zbyt długo, jego zdaniem, Lally nosiła stroje o nieokreślonych barwach i fasonach. Z niedowierzaniem wpatrywał się w tę bladą młodą kobietę, która do niego powróciła. Kobieta o intensywnie ciemnych oczach, niemal zbyt wielkich w jej szczupłej twarzy, z pięknie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i linią podbródka. Śliczna, pomyślał, ale w zupełnie niekonwencjonalny sposób. Rysy miała dość surowe, ale ich ostrość łagodziły zmysłowe, pełne wargi. Zmęczona, smutna twarz, której przebyte doświadczenia odebrały wdzięk młodości. Zresztą, jak Czarny Jack doskonale wiedział, Lally od dzieciństwa była poważna i ponad wiek dojrzała.

Siedział, rozmyślał, palił papierosa za papierosem i cieszył oczy widokiem córki. Przyjechała modystka, dobierano kapelusze do sukien i płaszczy. Szewc brał miarę na pantofle. Czarny Jack poczuł, że morzy go sen.

- Ojczy, jesteście już gotowi.

Drgnął, raptownie wyrwany z drzemki. Popiół obsypał mu kamizelkę. Spojrzał na Lally i uśmiechnął się.

- Jesteś piękna, kochanie.

156

Miała na sobie zieloną suknię. Kapelusz rzucał tajemniczy cień na jej twarz. Oczy wydawały się ciemniejsze niż kiedykolwiek. Ich kolor przywiódł mu na myśl niebo nad wrzosowiskami. Czarny Jack wezwał taksówkę. Lally szła cicha, milcząca, ale nie mogła udawać, że nie dostrzega mężczyzn, którzy spoglądali za nią, gdy przechodziła przez foyer.

*

**

Margaret dostała przepustkę do dziesiątej wieczorem i natychmiast wyruszyła do Londynu. Jak burza wpadła do apartamentu Pollocków w „Savoyu” i zatrzymała się nagle, jakby niewidzialna przeszkoda zagroziła jej drogę.

- Lally! O mój Boże! - przez chwilę wpatrywała się w sfiostkę, a potem powoli, prawie z obawą ruszyła ku niej przez pokój. Wyciągnęła ręce i uściśnęła długie, smukłe palce Lally. Nagle, tracąc resztki opanowania, rzuciła się siostrze na szyję.

- Och, kochana! Jesteś taka piękna! Zmizerniałaś. Co ty musiałaś tam przejść. - Jej głowa spoczęła na ramieniu Lally.

- Tak się cieszę, że wróciłaś. Och, najdroższa Lally. Jak ja za tobą tęskniłam! - Z trudem powstrzymywała łkanie. - Taka zmieniona. Ale nadal... ale nadal... A niech to, płaczę. Ojczy, dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

- Cóż, sam nie mogę w to jeszcze uwierzyć. Czy naprawdę mamy Lally z powrotem, Margaret?

- Wróciłam, tato, Margaret. Przestańcie już. Wprawiacie mnie w zakłopotanie. - Czarna i złota głowa znów przytuliły się do siebie. - Margaret, też za tobą tęskniłam. I za Jonem. I za Alice. Jak mężczyźni mogą znieść lata walki? Ja nie zdołałam sprawdzić się nawet przez kilka miesięcy. Boję się, że pozbyli się mnie ze szpitala już na zawsze.

- Nie na zawsze, Lally. Chociaż chciałbym, żeby tak było. Siostra przełożona napisała do mnie. Musisz odpocząć i wyzdrowieć, a potem chcą cię mieć z powrotem. Okazałaś się bardzo zdolną, doświadczoną pielęgniarzką. Jesteś żołnierzem, Lally. Musisz słuchać rozkazów - Czarny Jack posmutniał, ale po chwili zwrócił się do córek zwykłym sobie, żartobliwym tonem: - Czy myślicie że dwie młode piękności zechcą towarzyszyć swemu staremu ojcu przy obiedzie?

*

**

Sandy przyłączyła się do nich na zaproszenie Czarnego Jacka. Zbliżając się do ich stolika uśmiechała się lekko, jak zwykle zadowolona z siebie i pewna, że jej wejście musi zostać zauważone przez wszystkich obecnych w sali restauracyjnej.

- Kochany ojciec. - Pocałowała Czarnego Jacka w policzek. Lally zauważyła, że ustalono już, jak go powinna nazywać. W tej chwili Sandy odgrywała

158

rolę posłusznej, oddanej synowej i czulej szwagierki. - Margaret, naprawdę jesteś okropna - szczebiotała. - Nigdy się nie odzywasz, a wiem, że bywasz w Londynie dość często... - Potem, prawie niechętnie, skierowała wzrok na Lally, piękną i elegancką w sukni z pawiego jedwabiu. - Ojciec uprzedzał mnie przez telefon. Wygląda, że rzeczywiście zagłodziłaś się niemal na śmierć. Teraz możesz odkar-mić się trochę podczas urlopu. Choć muszę przyznać, że dobrze ci ta głódówka zrobiła. Jak się czujesz? Mam nadzieję, że nie jedną nogą w grobie. Ten palec to przecież tylko zadrapanie. - Przerwała paplaninę i odwróciła się do kelnera. -Poproszę koktajl z ginu z odrobiną wytrawnego wermutu. Z lodem. Macie lód?

- Oczywiście, pani Pollock.

Znów przeniosła uwagę na trójkę siedzącą przy stoliku.

- Więc, Lally, opowiedz mi wszystko. To musiało być straszne. Sądząc po twoim wyglądzie...

* *

Siedzieli znów w swoim apartamencie, popijając kawę. Sandy była już wyraźnie znudzona. Paliła nieprzerwanie. Lally była zła na siebie, że i ona pali prawie tyle samo. Z trudem zjadła odrobinę na obiad, ledwie tknęła wspaniałe wino, które Czarny Jack specjalnie na jej cześć zamówił. Czuła się straszliwie zmęczona i oszołomiona.

Nagle przez szmer rozmowy przedarł się głos Sandy.

- Tak mi przykro, Lally. To musiało być dla ciebie okropne. Lally z trudem wróciła do rzeczywistości.

- Co? Co miałyby być dla mnie okropne?

- No... Sprawa twojego przyjaciela, Thomasa Handleya. Strasznie mi przykro, że został zabity. Ale to pociecha dla jego rodziny, że go pośmiertnie odznaczono. Lally! Lally, przestań!

Nie wiedziała, co sprowokowało ją do uderzenia Sandy w twarz. Chciała tylko, żeby zamilkły te okrutne usta. Żeby nie słyszeć... Igły bólu przeszły chory palec i całą rękę. Lally osunęła się na dywan. Nie miała siły się podnieść. Nic nie mogło uśmierzyć zmęczenia i smutku. Z bardzo daleka słyszała oburzony głos Sandy.

- Na Boga! Co ja takiego powiedziałam? Tylko to, o czym wszyscy wiemy. Przecież on nie żyje.

Dywan wydawał się bezpieczną, miękką przystanią, ale nawet on pachniał śmiercią.

*

**

Dużo później przyszedł czas na łązy. Łzy niepodobne do tych, które zakręciły jej się w oczach na widok Czarnego Jacka na peronie Victoria Station. Tłumiła

121

szloch, żeby nie zbudzić ojca. Spal w fotelu obok jej łóżka. Kiedy wreszcie otworzył oczy, zadała dręczące ją pytanie.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Jego odpowiedź była nerwowa, wymuszona.

- Chciałem, żebyś najpierw trochę odpoczęła. Miałem nadzieję, że to całe zamieszanie, powitania, obstalowywanie garderoby, odwróci twoją uwagę. Nigdy nie spodziewałem się, że Sandy wyskoczy z czymś takim. Oczywiście, musiała myśleć, że już o wszystkim wiesz. Jestem pewien, że nie chciała być okrutna.

- Kiedy? Kiedy zginął?

- Nie wiem dokładnie. Jego nazwisko było na liście ofiar dwa tygodnie temu. Umarł jak bohater, Lally. Tak wiele znajomych nazwisk znajduję na listach ofiar. Tak wielu fantastycznych młodych ludzi... chłopców z okolic Leeds, a nawet dwóch z naszej wioski Pellham. Ludzie, których pamiętam, przyjaciele, których Jon do nas zapraszał. Nie wiedziałem, nie byłem pewien, czy Thomas był dla ciebie kimś specjalnym. A był?

- Sama nie wiem. Pisywaliśmy czasem do siebie. To wszystko. - Nie chciała powiedzieć, że między nimi zdarzyło się dużo więcej. Thomas Handley ukoił jej ból i upokorzenie. Sprawił, że poczuła się pożądana i kochana. Marzył z nią o złotych uliczkach Samarkandy. Troszczył się o jej bezpieczeństwo w tamtym piekle, namawiał do wyjazdu. Nigdy już nie odkryje, czy ich uczucia były więcej niż przyjaźnią, czy życzliwość mogłaby przemienić się w coś silniejszego. Lally wtuliła głowę w poduszkę i płakała.

*

* *

Następnego dnia Czarny Jack zmusił ją do pozostania w łóżku. Krzątał się wokół niej, obsługiwał, pielęgnował i błagał, by jadła. Próbowwała. Chciała zrobić mu przyjemność, ale czuła się chora. Podtrzymał ją, gdy wymiotowała w toalecie. Lekarz, którego znowu wezwano, zapisał pigułki nasenne, oczyścił i raz jeszcze opatrzył jątrzącą się ranę. Nie mógł nic jednak poradzić na ból rozpaczy.

- Szok - tłumaczył Czarnemu Jackowi - i wyczerpanie. Mamy tu do czynienia z przypadkiem szoku wojennego. To żadna symulacja, jak podejrzewają niektórzy lekarze spotykając się z podobnymi objawami. Pańska córka żyła w silnym napięciu. Radzę panu zabrać ją na wieś. Mówił pan, że lubiła jeździć konno...

Spakowali się więc i pojechali do Pellham Langley, zabierając ze sobą Alice. Lally nie miała odpowiednich do pobytu na wsi strojów. Czarny Jack wpadł na pomysł, by przeszukać poddasze, gdzie złożono ich rzeczy, kiedy pałac

przekształcił się w lazaret. Po dłuższym czasie zszedł na dół, objuczony ubraniami, których nie oglądał od tyłu już lat. Tweedowe spódnice i żakiety Latitii, amazonka, ciężka peleryna. Lally patrzyła na nie pełna zdumienia.

122

- Pozwolisz mi to nosić... te stroje? Należały przecież do niej.

- Latitia dałaby je tobie, Lally. Jestem pewien. Wydaje mi się, że to twój rozmiar.

Pasowały niemal idealnie. Cóż za dziwne uczucie, myślała Lally, zakładać ubrania kobiety zmarłej przed prawie dwudziestu laty, dziwaczne wiktoriańskie suknie ukochanej żony Czarnego Jacka. Miała wrażenie, że pozostał na nich nikły ślad perfum, ale może była to tylko gra wyobraźni? Spacerując z Czarnym Jackiem po wrzosowiskach, otulona peleryną lady Pollock, Lally pragnęła móc ochronić Jona tak, jak zrobiłaby to matka. Ale nie była w stanie ochronić żadnego z nich, ani Thomasa, ani Jona. Grudzień tego roku odznaczał się burzliwą pogodą. Padało, zadymka śnieżna niemal oślepiła. Lally wolała udawać, że to deszcz i śnieg uderzają w oczy, niż przyznać się Czarnemu Jackowi do prawdziwego powodu łez.

*

* *

Tego dnia Lally samotnie wybrała się do szczytu wodospadu. Czarny Jack musiał pojechać do Bradford, a Alice przeiębiła się. Siedziała z Neli przy kominku w pokoju nad stajniami i usiłowała robić na drutach szalik dla Jona. Czas płynął monotonnie, Lally miała wrażenie, że przeciekał między palcami. Nie potrafiła skoncentrować się na żadnej z kupionych przez Czarnego Jacka książek. Rozkazano jej wziąć przynajmniej miesięczny urlop, ale palec goił się szybko. Nie ropywał już i niemal powrócił do normalnych rozmiarów. Wkrótce nie będzie już dalszych usprawiedliwień dla dalszego pobytu w Anglii. Rozmyślając

o tym, Lally wspinała się oblodzonym brzegiem potoku. Wszyscy żyli teraz nadzieją, że Jon dostanie urlop na święta. Ofensywa nad Sommą została zatrzymana. Czy to dopiero rok minął odkąd Jon przywiózł Sandy do Grangewick i zawiadomił o ich zaręczynach? Tylko rok, nawet niecały. Zaledwie rok temu kochała się z Thomasem? Nagle tuż za jej plecami odezwał się znajomy głos.

- Pensa za twoje myśli, Lally.

Lally nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Brock! - Rozpromieniła się. Przez sekundę zastanawiała się, czy podać mu rękę. Takie powitanie wydało się jej nedorzecznie formalne. Zamiast tego rozwarła ramiona i rzuciła się przybyszowi w objęcia.

- Cieszę się, że jestem mile widziany. Neli wyraźnie miała wątpliwości, czy ucieszysz się na mój widok. W każdym razie twierdziła, że nie wie dokąd poszłaś. Więc zgadłem bez jej pomocy. Na zawsze zapamiętałem ten obrazek, ty i Czarny Jack siedzący nad wodospadem. Wyglądaliście na ludzi prawdziwie cieszących się swoim towarzystwem.

- Jak to się wydaje dawno temu. A co ty robisz w Anglii? Czy może jest to na tyle tajne, że nie powinnam pytać?

Usiedli na skale.

162

- A cóż mógłbym robić? Sprzedaję, badam rynek. Będę prowadził tu interesy, dopóki Stany nie przystąpią do wojny.
- Wyciągnął do Lally papierośnicę i nie zdziwił się, gdy dziewczyna przyjęła papierosa.
- Myślisz, że Ameryka wkrótce się włączy?
- Musi. Wprawdzie Wilson ponownie wygrał wybory prezydenckie dzięki pokojowemu programowi, ale dla większości polityków jest jasne, że nie mamy innego wyjścia. Co prawda w Stanach opinie na ten temat są podzielone. Niektórzy nie widzą powodu, jak mówią, dla którego powinniśmy mieszać się w europejskie kłótnie. Ale sytuacja dojrzała już do decyzji. - Machnął papierosem, jakby oganiając się od nudy. - Wyglądasz wspaniale, Lally. Przyjechałem w interesach do Leeds, więc zadzwoniłem do Grangewick w nadziei, że znajdę tam ciebie i Czarnego Jacka. - Użył tego imienia zupełnie naturalnie. - Billings odesłał mnie tu, do Pellham. Był bardzo przygnębiony. Mówił o tobie zupełnie jakbyś leżała na łożu śmierci. Margaret też się o ciebie okropnie martwi. Ale moim zdaniem, mylą się. Jesteś dużo silniejsza niż dawniej. A kto nie byłby zmęczony, słuchając tych cholernych działań przez tyle miesięcy i próbując połatać te wszystkie pokiereszowane ciała z frontu? Powinni przyznawać medale dziewczynom takim jak ty.
- Widziałeś się w Londynie z Margaret?
- Tylko przez kilka godzin. Na tyle zdołałem wyrwać ją spośród tych jej pułkowników, generałów i wszystkich innych tłoczących się wokół wojaków. Margaret jest bardzo popularną damą. Ktoś mógłby jeszcze powiedzieć, że nie postępuje jak patriotka, gdyby poświęciła odrobinę czasu facetowi, który nie nosi munduru.
- Margaret lubi dobrą zabawę - głos Lally pełen był wyrozumiałości. - Dlaczego nie miałyby cieszyć życiem? Przecież także ciężko pracuje. Mam śmiertelnie dość kobiet wyglądających, jakby uśmiech był grzechem. Tak, wiem. Wiele z nich ma wszelkie powody do smutku, ale nie powinny zazdrościć pogody ducha innym. Uśmiech Margaret rozjaśnia najbardziej ponure miejsce. Wiesz, gdyby to ode mnie zależało - dodała - zdjęto by ze ścian i murów te posępne plakaty wojenne, a na ich miejsce powieszono fotografie dziewczyn takich jak Margaret, radosnych i szczęśliwych.
- Lally, Lally, przestań być taka wspaniałomyślna. Sama wyglądałabyś świetnie na plakacie. Zawsze podejrzewałem, że pod tymi dziecięcymi okrągłościami kryją się piękne kształty. Nie zgadzam się z Margaret i Billingsem. Wyglądasz fantastycznie. Tajemnicza *femme fatale*. Te lekkie cienie pod oczami są bardzo pociągające. Przykro mi z powodu twojej ręki, ale Neli uspokoiła mnie, że już prawie się wygoiła. Martwię się też, że zaczęłaś palić. Tytoń ponoć rujnuje zdrowie. Ja nie potrafię rzucić papierosów. Jestem nałogowcem, więc rozumiem innych. Tytoń to

pierwsza pozycja na liście towarów ładowanych na statki ze Stanów dla aliantów. Brytyjski Tommy musi mieć swego skrzęta. Boże miej go w opiece, czasami to wszystko, co dostają.

- Brock, nie przyjechałeś przecież, by rozmawiać o papierosach czy prezydencie Wilsonie. Czy coś się stało?

124

- Cóż, powiedziałem. Byłem w interesach w Leeds. Lubię Czarnego Jacka. Ciebie, Lally. I Alice.

- I Margaret?

Pałił w milczeniu. Skończył papierosa i zapalił następnego od niedopałka. Pomyślała, "że w ogóle nie zamierza odpowiedzieć.

- No właśnie, mam pewien problem. To znaczy w związku z Margaret. Pierwszą reakcją Lally był niepokój. Jeśli Brock Weymouth przeżywa problemy związane z Margaret, nie powinna siedzieć obok niego.

- Tak, czuję się zakłopotany - kontynuował. - Nie myślałem, że to się kiedyś stanie. Zawsze uwielbiałem kobiety. Nauczyłem się dawać sobie z nimi wspaniałe radę już kiedy byłem dzieckiem. Mogłem okręcić sobie przełożoną sierocińca wokół małego palca. Po prostu kocham damskie towarzystwo, im ładniejsze kobiety, tym lepiej. Jak tylko zgromadziłem trochę pieniędzy, wydawałem, ile się dało na dziewczyny. I to był chyba błąd. Zawsze myślałem o kobietach jako o ślicznych dzieciach, którym daje się prezenty. Sądziłem, że to już wszystko. Wreszcie ożeniłem się, ale nie wydaje mi się, bym poświęcił mojej żonie dostatecznie dużo uwagi. Zostawiła mnie. Prawdopodobnie chciała czegoś więcej niż podarunki, mojego czasu, uczuć, zrozumienia. Nie mogę powiedzieć, że ją winię. Ale teraz... Teraz wpadłem. Odnalazłem kobietę, której naprawdę pragnę. Margaret. A ja dla niej nie istnieję. To nie do pomyślenia, Lally. Oto doświadczony zdobywca serc niewieścich, Brock Weymouth, a ona traktuje mnie jak jakiegoś podstarzałego wujka, którego miło mieć pod ręką, by zabrał ją na obiad, kiedy nie ma nikogo lepszego. Za każdym razem, gdy ją widzę, krąży wokół niej jakiś nowy facet: kumpel Jona, kuzyn Freddiego, brat Reggiego. Słucham tego wszystkiego, a jest czego, zapewniam cię... - Wyciągnął papierośnicę. Lally odmownie potrząsnęła głową. - Tak więc, oto jestem -zakończył żartobliwie. - Fantastyczny Amerykanin, który poznał już w życiu wszystko. Wydaje mi się, że zakochałem się w Margaret i sam nie potrafię w to uwierzyć.

Lally westchnęła.

- Lepiej uwierz, Brock. Kiedy ktoś taki jak ty podejrzewa, że się zakochał, to bywa prawda. Ale nie oczekuj od ojca ani ode mnie pomocy. Jesteś zbyt niebezpieczny dla Margaret. Jeśli kiedykolwiek ci się znudzi, niech niebo ma ją w swojej opiece.

- Lally, daj mi szansę. Chroniłbym ją, pieścił i kochał do końca życia. Do diabła, co ta kobieta ma w sobie? To jeszcze prawie dziecko, a ja robię z siebie głupca.

- Jest podobna do matki. Nigdy nie znałam lady Pollock, ale wiem, że Czarny Jack ją wielbił. To wystarczy, prawda? Ty i Czarny Jack macie wiele rysów wspólnych.

Grudniowy dzień kończył się. W dolinach kładły się głębokie cienie. Brock zgasił papierosa.

- OK, damo w pelerynie. Wyglądasz, jak postać ze starego portretu. I jesteś cholernie mądra, Lally. Zbyt dużo wiesz. Teraz, chodźmy na dół. Mam nadzieję,

165

że poczęstujesz mnie kolacją. Przywiozłem trochę wiktuałów. Szynkę, jajka. Czujesz się głodna?

Nie odpowiedziała, tylko przyjęła jego ramię, gdy pomagał jej schodzić ścieżką przy wodospadzie. Przez cienkie zasłony w pokojach nad stajniami prześwitywało światło. Na podjeździe obok hispano suizy stał samochód Czarnego Jacka.

*

* *

Czarny Jack i Brock kończyli już drugą butelkę wina, przegryzając na zakąskę przywieziony przez Weymoutha ser wensleydale, a Neli położyła Alice spać. Dziewczynka zasnęła, tuląc misia Teddy'ego i Madame Butterfly, śliczną lalkę, którą właśnie dostała od Brocka. Lally starała się ukryć przed Czarnym Jackiem, że prawie nic nie zjadła. Znajdowała już pewną przyjemność w smakołykach, ale dawne porcje po prostu nie mieściły się jej w żołądku. W czasie posiłku rozmowa dotyczyła wielu tematów, ale w końcu zawsze powracali do wojny. Wspominali niepotrzebną rzeź nad Sommą, zastanawiali się, kiedy Ameryka wypowie Niemcom wojnę.

- W październikowym przemówieniu - opowiadał Brock - Wilson stwierdził, że neutralność jest niemożliwa.

Nowoczesna wojna nie pozwala pozostać na uboczu żadnemu państwu. Przypuszczam, że miał na myśli konieczność wszczęcia działań. Nic nie wskazywało na to, by Brock zbierał się do wyjścia. Skończyli już drugą butelkę. Lally napełniła filiżanki kawą. Usiedli bliżej ognia, a Czarny Jack częstował gościa brandy, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Pollock spojrział na Lally z zaskoczeniem i poszedł otworzyć. W progu stał ordy-nans ze szpitala.

- Przepraszam, panie Pollock. W pałacu jest telefon do pana. Podobno pilny.

Czarny Jack bez słowa narzucił płaszcz i wyszedł. Lally poczuła, jak paraliżuje ją strach. Nie była w stanie odezwać się do Brocka, który podsuwał jej swoją szklaneczkę brandy do ust.

- Jeden łyczek, Lally. Jeden łyczek. - Nie próbował jej pocieszać.

Po kilku minutach Czarny Jack wrócił. Słyszeli jego kroki na schodach. Powolne, ciężkie kroki. Bez pośpiechu, bo cóż pośpiech pomoże, Lally wstała i ruszyła do drzwi. Wstrząśnięta twarz Czarnego Jacka była sztywna jak maska.

- Jon? - szepnęła Lally. Opadł na krzesło.

- Nie, nie Jon. Wstydę się powiedzieć, ale dziękuję Bogu, że to nie Jon. To Sandy.

- Sandy?! Co się stało z Sandy? - Uczucie szalonej ulgi sprawiło, iż nie zauważyła uderzenia w oczach ojca..

- Sandy nie żyje. Sandy nie żyje - powtarzał, jakby nie mógł w to uwierzyć.

166

- Jak? - ton Brocka brzmiał bardzo łagodnie.

- Nalot zeppelinów na Londyn poprzedniej nocy. Nieduży, ale dla Sandy okazał się ostatni. Bomba uderzyła w budynek, gdzie Sandy wynajęła mieszkanie. Ofiary wydobyto spod gruzów dopiero koło południa. Jeden z lokatorów zidentyfikował ją. Ktoś znał jej adres w Burton. Westowie skontaktowali się z Margaret, ponieważ była najbliższą. Dostała przepustkę, by pojechać do Londynu. Ministerstwo Spraw Wojskowych skontaktowało się z Jonem. Otrzymał urlop okolicznościowy. Jadę do Londynu spotkać się z nim. To Margaret teraz telefonowała. Lally nie mogła wydusić słowa. Czuła się winna i zawstydzona. Była tak pewna, iż chodziło o Jona, że teraz nie mogła powstrzymać uczucia radosnej ulgi. Nagle jednak Lally uświadomiła sobie, jak ta śmierć dotknie Jona. On kochał Sandy.

- Ojciec... oczywiście, pojedę z tobą. Biedna Sandy. Kto by pomyślał. Jon będzie zrozpaczony.

Czarny Jack rzucił Lally dziwne spojrzenie.

- Tak, też tak myślę. I chciałbym, żebyś była ze mną. Bogu dzięki, że akurat masz urlop. Potrzebuję cię, Lally. Nie wiem, jak spojrzę Jonowi w oczy.

- Jon nie może cię winić, ojciec. Ty też nie możesz siebie obwiniać...

- Nie o to chodzi. Jest coś, co trzeba Jonowi powiedzieć. Jeśli sam to odkryje, będzie mu jeszcze trudniej.

- Panie Pollock, mam wyjść? To sprawa osobista, a ja nie chciałbym się narzucać.

Czarny Jack popatrzył na Brocka badawczo.

- Ty, Brock? Nie, nie przeszkadzasz. Wszyscy i tak będą wkrótce wiedzieć. - Wlepił wzrok w płonący za uchylonymi drzwiczkami pieca ogień. - Nie widzę możliwości utrzymania tego w tajemnicy. Gazety zawsze wywęszą skandal. Zapewne każdy będzie mógł o tej sprawie przeczytać w jutrzejszych gazetach. Błagam Boga, bym spotkał się z Jonem, zanim chłopak dowie się prawdy. Ale obawiam się, że to niemożliwe.

- Przeczyta co? Czego jeszcze ma się dowiedzieć?

- Nalot rozpoczął się koło drugiej nad ranem. Wśród gruzów znaleziono nie tylko Sandy, ale i ciało Harry'ego Gaunta. Został rozpoznany dzięki znaczkowi identyfikacyjnemu. Margaret powiedziała... Margaret powiedziała, że oboje byli nadzy, Sandy i Harry Gaunt. Leżeli w łóżku. Jak ja spojrzę Jonowi w oczy?

*

* *

Lally obudziła Neli i powiadomiła ją tylko o śmierci Sandy.

- Ktoś przyjedzie jutro z Grangewick i zabierze was do domu, Neli. Może lepiej nic nie mówić Alice. Chyba nie pamięta Sandy.

- Pamiętaj ślub, panienko. Nie wiem, czy coś jeszcze.

127

Z pomocą Neli Lally spakowała się błyskawicznie i w kilka minut później pojawiła się w saloniku. Czarny Jack był już gotów do drogi, Weymouth zakładał płaszcz i rękawiczki.

- Brock nas zawiezie. Płonne byłyby nadzieje na pociąg o tej porze.

- Wystarczy nam benzyny?

- Mam kilka zapasowych blaszanek, a Czarny Jack - imię padło zupełnie naturalnie - też ma trochę zapasów.

Wystarczy, by dojechać.

- To długa droga, w nocy.

- Cóż, nie stójmy więc - powiedział szorstko. - Co z tego, że to długa droga? Musimy dostać się do Londynu, prawda?

Lally usiadła z tyłu, razem z bagażami. Księżyc wydobywał z mroku ciemną bryłę Pellham Langley i nagie gałęzie rosnących wzdłuż drogi drzew. Brock Weymouth przejął kontrolę. Może i słusznie, pomyślała Lally. Czarny Jack patrzył martwym wzrokiem na drogę, gdzie tafle lodu skrzyły się niebezpiecznie. Patrzył i milczał, a jego profil był niewzruszony, jakby wykuty z kamienia. Długie, nużące godziny powoli mijały. Robiło się coraz zimniej.

Zatrzymywali się tylko dla napełnienia baku z zapasowych kanistrów. Duży, piękny samochód sunął gładko i szybko albo to Brock był wspaniałym kierowcą. Przed nimi ciągnęła się niemal pusta szosa. Brock złamał zasady zaciemnienia, używając wszystkich reflektorów, ale nie zostali zatrzymani. Wreszcie z pagórków Hampstead dostrzegli na niebie lunę światła wielkiego miasta, której nawet w warunkach wojny nie sposób było ukryć. O późnym zimowym wschodzie słońca jechali przez rozbudzony już Londyn. Wreszcie zatrzymali się przed „Savoyem”.

- Udało nam się znaleźć apartament dla pana, panie Pollock - oświadczył, witając ich, zastępca dyrektora. - Dwie sypialnie. Szczęśliwie ktoś zrezygnował. Panna Pollock już przyjechała. Powiadomię ją, sir, o pańskim przybyciu - przerwał. Lally dostrzegła na ladzie recepcji poranne gazety. Leżały przygotowane do rozniesienia po pokojach.

Wzmianka o śmierci Sandy Pollock nie znajdzie się na pierwszych stronach, brukowce z pewnością nie pominą tak smakowitego kąska. - Panie Pollock, proszę wybaczyć, że mówię o tak prywatnych sprawach. Ale znamy tu obie rodziny od dawna. Moje najgłębsze kondolencje, sir, w imieniu zarządu hotelu i całego personelu.

Które rodziny, myślała Lally. Pollocków i Westów? Czy może kapitana Harry'ego Gaunta?

Czarny Jack zdołał zdobyć się na opanowanie i chłodno podziękował. Jechali windą w milczeniu. Brock próbował dyskretnie się usunąć.

- Nonsens, człowieku - oświadczył Czarny Jack niemal grubiańsko. - Musisz przynajmniej wypić filiżankę kawy. Jechałeś całą noc.

Zastępca dyrektora śpiesznie powiedział:

- Służba hotelowa natychmiast się państwem zajmie, panie Pollock. - Zapukał do apartamentu, a potem otworzył przed nimi drzwi. Mijając go, Lally-zauważyła jego oczy, rozszerzone ciekawością. Na co on się tak gapi? Gdy pomagał jej zdjąć tweedową pelerynę, dziewczyna zdała sobie sprawę, że nadal ma na sobie suknię, która dwadzieścia lat temu była ostatnim krzykiem mody.

128

Drzwi jednej z sypialni otworzyły się gwałtownie. Margaret, rozczochrana, w zwykłym flanelowym szlafroku, który nosiła w koszarach, rzuciła się im na szyję. Oczy miała zapuchnięte od łez.

- Och, dzięki Bogu, że przyjechaliście. Tak się bałam, że Jon dotrze tu przed wami. Nie wiedziałabym, jak spojrzeć mu w oczy, co powiedzieć. - Zwracała się tylko do nich trojga. Wydawała się nie dostrzegać dyrektora hotelu, który wycofał się z uprzejmym ukłonem. Ale obecność Brocka nie przeszkadzała. Była czymś naturalnym.

*

**

Czarny Jack, Margaret i Lally spotkali się z Jonem na Victorii. Zatelegrafował do Grangewick z Dover i Billings przekazał im wiadomość do hotelu. Z trudem odszukali Jona wśród panującego na dworcu zamętu, tłumy wysiadających żołnierzy, rannych na noszach, natrętnych dam z Czerwonego Krzyża. Od razu poznali, że już wie, przeczytał o nagich ciałach Sandy i Harry'ego Gaunta, znalezionych pod gruzami. Jego twarz była zupełnie bez wyrazu. Uścisnął Margaret i Lally i wyciągnął dłoń do ojca. Nikt z nich nie wyrzekł ani słowa.

Milczenie trwało przez całą drogę do hotelu. Kiedy wreszcie zamknęły się za nimi drzwi apartamentu, Lally wcisnęła szklaneczkę whisky w rękę Jona.

Stał, opierając się o framugę okna, wpatrzony w rzekę i Embankment.

- Synu... - zaczął z wahaniem Czarny Jack.

- Wiem - przerwał mu Jon. - Nie musicie martwić się, w jaki sposób przekazać mi prawdę. Jakiś reporter dopadł mnie już w Dover. Bóg jeden wie, jak mnie tam znalazł. Powiedział mi wszystko. Byli razem w łóżku, prawda? Prasa zawsze się interesuje, gdy wydobywane są ciała. Poważne gazety nie piszą o takich rzeczach, ale brukowce żyją ze skandalu. Żadnych oszczerstw, oczywiście, czysta prawda. Zawsze mogą wydrukować fakty i pozwolić

czytelnikowi doczytać się, czego chcą między wierszami. W każdym razie straciłbym tylko czas, próbując udowodnić, że ciało Sandy Pollock i Harry'ego Gaunta nie wydobyto spod gruzów tego samego budynku. I raczej trudno uwierzyć w zbieg okoliczności, że spali akurat w dwóch różnych mieszkaniach. Nieważne, jak dyskretnie sformułowane zostaną doniesienia, fakty mówią same za siebie.

Odwrócił się od okna i wreszcie spojrzął na nich.

- Nic więcej nie mam do powiedzenia. Nie chcę o tym rozmawiać. Nie potrzebuję waszego współczucia. Powiedźcie mi tylko, na jakim etapie są przygotowania do pogrzebu, a zajmę się wszystkim, skoro Ministerstwo Spraw Wojskowych było tak uprzejme, że dało mi na to urlop. Zrobię, co należy do powinności męża, choć wcale nie mam na to ochoty. I to będzie koniec. Nie chcę mówić o Sandy. Rozumiecie mnie? Nie chcę mówić o Sandy.

Twarz Margaret stała się jeszcze bardziej napięta.

- Nie uważasz, że jesteś nieco melodramatyczny, Jon? Nie musisz traktować nas w ten sposób. Co my jesteśmy winni?-

9 - Obietnice

129

- Nic, zupełnie nic. Chyba tego właśnie nie mogę znieść. Może chciałbym, żeby któreś z was wypomniało mi, że ożeniłem się z dziwką. Jesteście wszyscy tacy dobrzy, dyskretni i pełni współczucia. Biedny Jon. Jakie to straszne. Nie dość, że zginęła, to jeszcze w takich okolicznościach. Cóż, Sandy nie żyje. To wszystko! - Opróżnił szklaneczkę, podszedł do barku i powtórnie ją nappełnił.

- Skoro już tam jesteś, Jon - odezwała się Lally - nalej także dla mnie, dobrze?

Spojrzał na nią i wyraz zaskoczenia, którego nie mógł powściągnąć, ukazał się na jego twarzy.

- Zuch dziewczyna. Potrzebuję kogoś, kto się spokojnie ze mną upije. Nie wiedziałem, że nabrałaś tego niezdrowego zwyczaju. Nie mam ochoty obnosić się z żalobą aż do pogrzebu. Napijesz się, ojcze? Drinka, Margaret? Nie zamierzacie chyba pozwolić nam pić samotnie? - Na oślep wlewał whisky do szklanek.

- W porządku, chłopcze. W porządku. - Czarny Jack wstał i podszedł do Jona. Lally przestraszyła się, że zamierza poklepać syna po ramieniu, co w takiej chwili byłoby niewybaczalnym błędem. Ale nic takiego nie stało się. Czarny Jack przyjął szklanekę whisky i wznosił ją w geście toastu.

- Paskudne powitanie, synu, ale tak już jest. Przejdziemy jakoś przez to. Jon nalał drinka Margaret, a jej udało się uśmiechnąć, gdy odbierała trunek

z rąk brata. Makabryczna okazja, pomyślała Lally. Spędzą cały wieczór, rozmawiając o wszystkim, tylko nie o Sandy. Jon im tego zakazał. Więc musieli zagrać w jego desperackim przedstawieniu. Lally podeszła do telefonu i wywołała operatora.

- Proszę nie łączyć do nas żadnych rozmów przez resztę wieczoru. Dziękuję. Potem zadzwoniła na kelnera.

- Ojcze, musimy zjeść porządny obiad. Najlepsze dania. Najlepsze wina. Wszystko. Spójrz tylko na Jona. Potrzebuje kąpieli i nowego munduru. Powinien ściąć włosy. Ale przede wszystkim musi solidnie się najeść. Nasza w tym głowa.

Jon popatrzył na dziewczynę i spróbował się uśmiechnąć.

- Nie wiedziałem, co praca pielęgniarki z tobą zrobiła, Lally. - Pochylił się i pocałował ją. - Dzięki, kochanie. Gdyby to była inna okazja, zabrałbym cię gdzieś potańczyć. Pokazać całemu miastu na jaką piękność wyrosłaś. - W jego głosie narastała nuta hysterii. Lally słyszała ją wiele razy w szpitalnych salach. Wzięła więc szklanekę z ręki Jona i zaczęła ją nappełniać.

- Nigdy jeszcze się nie upiłam. Jak to jest?

- Odkryjemy to razem, prawda, Lally?

*

* *

Jonowi udało się wytrzeźwieć na czas, gdy grzebali Sandy Pollock w Bur-ton-in-the-Wolds. Kościółek wypełniony był po brzegi. Przyjechało więcej ludzi, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Czy wszyscy oni, zastanawiała się Lal-

130

ly, pragnęli okazać Westom i Pollockom, że nie ma znaczenia, jakie historie krążą o Sandy? Czy próbowali podtrzymać na duchu Jona i Richarda Westa, który nie doszedł jeszcze w pełni do siebie po bitwie nad Sommą? Mroźny, zimowy wiatr chłostał zebranych na cmentarzu, ale tłum nie rozchodził się. Lally widziała wątle stare damy, którym trzeba było pomóc przejść ścieżką pomiędzy grobami. Lally dostrzegła lady Bletchley z twarzą ściągniętą i trupio bladą. Nie odważyła się tylko patrzeć na Jona, gdy czytano mszę pogrzebową. To jego teść rzucił tych kilka strasznych grudek ziemi na trumnę. Obaj, Jon i Richard, stali jak na paradyżu, wyprężeni na baczność, z oczami skierowanymi niewzruszenie w dal. Kiedy czas był już iść, Czarny Jack dotknął ramienia Jona.

Westowie zrobili, co w ich mocy, by ugościć tych, którzy przyjechali z daleka. Jon pozostał na stypie przez dziesięć minut. Jego usta mechanicznie odpowiadały na wygłaszane ściszonymi głosami kondolencje. Potem odszukał Lally.

- Chodź! Wynieśmy się stąd. Zabierz swój płaszcz. Przed domem stał hispano suiza z kluczykami w stacyjce.

- Ufny facet, jak na jankesa, nie uważasz? W każdym razie, co on do diabła tu robi? Interesuje się Margaret?

- Tak myślę.

- Cóż, nie będzie miał chyba nic przeciwko pożyczeniu nam samochodu, prawda? W końcu musi zdobyć względy rodziny. - Postawił kołnierz. - Trzymaj się mocno, Lally, to będzie szybka jazda.

- Dokąd mnie wiesz?

- Do Pellham. Po drodze wpadniemy do Grangewick i zabierzemy Alice. Potrzebujemy kogoś zdrowego psychicznie, nie sądzisz? Mam dość hipokryzji i szaleństwa.

*

* *

Jednym z uroków Alice było to, że żyjąc we własnym, oderwanym od rzeczywistości świecie, nie mogła dostrzec i zgorszyć się osobliwościami w zachowaniu innych. Dlatego właśnie Jon uznawał towarzystwo niedorozwiniętej siostrzyczki za kojąco normalne.

Alice akurat jadła kolację w pokoju dziecinnym, kiedy pojawili się w Grangewick. Dziewczynka rzuciła się bratu w ramiona, jak zawsze. Nie zadawała żadnych pytań. Nikt nie powiedział jej, że pojechali na pogrzeb. Wiedziała tylko, że będą poza domem przez cały dzień. Nie zakwestionowała też polecenia Jona, kiedy ten zarządził natychmiastowy wyjazd do Pellham Langley.

- Spędzimy tam święta, kochanie. Jesteś zadowolona?

Święta, uświadomiła sobie Lally. Do Bożego Narodzenia zastały tylko dwa dni.

Billings pośpiesznie pakował koszyk z jedzeniem.

- Nie wiem, panienko Lally, co powie na to pan Pollock. Wszyscy stłoczeni w tych małych pokoikach. Byłoby lepiej, gdybyście zostali tutaj.

174

Potrząsnęła głową.

- Musimy robić tak jak on chce, Billings. Przez tak krótki czas jest razem z nami. - Billings odwrócił się i zdawało się, że spieszy niż zwykle wchodzi po schodach. - Pójdę tylko i przypomnę Neli, żeby zabrała prezent gwiazdkowy dla panienki Alice. To ciągle dziecko. Nadal cieszy się podarkami, jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

Czarny Jack dołączył do nich następnego dnia.

- Przestraszyłeś nas trochę, kiedy tak nagle wyjechałeś, ale wiedziałem, że skoro jest z tobą Lally, wszystko będzie w porządku. - Starszy pan wyglądał na zmęczonego i napiętego. - Potem dotarłem do Grangewick i dowiedziałem się, że porwaliście Alice. Musiałem pożyczyć swój wóz Brockowi, by mógł dostać się do Londynu. Nie wiem, jak odzyskam nasze auto ani jak Brock odzyska swoją suizę, skoro wyjeżdża już drugiego dnia świąt, a Margaret musi wrócić do Aldershot.

*

Śnieżyło tylko trochę, więc całą czwórką poszli na spacer na wrzosowiska. Alice wybiegała naprzód, a potem zawracała, łapała Jona za rękę i zmuszała do gonitwy. Poprzedniego wieczoru dzielili świąteczną gęś z zapasów przygotowanych przez Billingsa. Przy stole towarzyszyła im Neli. Zaskakujące, myślała Lally, jak zaciera się teraz granica pomiędzy służbą a ich pracodawcami. Wojna zmieniła tak wiele. Neli stała się niemal członkiem rodziny. Prawie bezwiednie przyswajała ich zwyczaje. Od czasu gdy panna Garner odeszła, Neli wzięła na siebie całkowicie opiekę nad Alice. Starła się więc naśladować sposób mówienia Pollocków, by dziewczynka nie przejęła jej akcentu. Teraz posługiwała się językiem literackim prawie naturalnie. Tylko przedłużane samogłoski i bezpośredni sposób bycia świadczyły o tym, że została wychowana w Yorkshire. Lally, z nagłym poczuciem winy, zdała sobie sprawę, jak rzadko dotąd myślała o Neli, traktując jej obecność jako całkowicie naturalną. A opiekunka Alice była przecież nadal atrakcyjną, choć już nie pierwszej młodości kobietą. Lally zastanawiała się, czy Neli odrzuciła wszelkie propozycje małżeństwa, by pozostać ze swoją wychowanką? Czy miała w ogóle jakieś propozycje?

- Słyszałaś, co powiedziałem, Lally?

Z nieprzytomnym wyrazem twarzy odwróciła się do Jona.

- Nie, a o co chodzi?

- Ojciec doszedł do wniosku, że mógłby sprzeniewierzyć zapasy benzyny dla fabrycznych furgonetek, by zawieźć nas do Londynu. Powinniśmy oddać wreszcie hispano suizę. Margaret zdaje się zna adres tajemniczego przyjaciela

Brocka, który jest właścicielem tej imponującej maszyny. Moglibyśmy spędzić w Londynie kilka dni. Zaszaleć trochę. Pokołysać się w rytmie bluesa. Dobrze by to zrobiło nam obojgu.

176

Czarny Jack przytakiwał. Lally wiedziała, że łamie jedną z kardynalnych zasad, które sam ustanowił. Rodzina nie miała prawa marnotrawić dóbr potrzebnych państwu w tak trudnym okresie. Ale tym razem starszy pan ugiął się. Zrobiłby wszystko, by Jon zaznał choć trochę przyjemności. Lally zmusiła się do uśmiechu. Bała się trochę Jona, kiedy był w takim nastroju. Nie otrząsnął się jeszcze z szoku. Brawura, pozorna beztroska, z jaką przyjął wiadomość, że Sandy zdradzała go z Harrym Gauntem, maskowały zdławione emocje. Jon nie pozwolił sobie okazać ani złości, ani żalu. Wzruszał ramionami, jakby go to ledwie dotyczyło. Mimo miłości, którą go nadal darzyła, Lally nie była pewna, czy pragnie jego towarzystwa, gdy wciąż jeszcze pogrążony był w tym nastroju.

Czarny Jack namawiał: .

- Jedź, Lally. Będziesz miała okazję założyć wszystkie te kreacje, które niedawno nabyłaś. Szkoda, żeby się zmarnowały... Przykro mi, że nie mogę jechać z wami, ale mam piekielnie dużo roboty w fabrykach. Powinienem udać się do Walii. A wy oboje zasługujecie na urlop.

Jak zawsze zgodziła się spełnić życzenie Czarnego Jacka. Nigdy nie potrafiłaby mu odmówić.

*

* *

Śnieżny krajobraz Yorkshire ustąpił miejsca wiejskim rejonom, gdzie śnieg błyskawicznie zamieniał się w breję. Aż wreszcie w strugach ulewnego deszczu dotarli do Londynu. Odkryli, że pożyczany przez Brocka wóz na stałe garażował w „Ritzu”. Kiedy Jon oddawał kluczyki recepcjoniście, ten zerknął w swoje notatki i oświadczył:

- Ach tak, kapitan Pollock. Pan Weymouth zostawił instrukcje, zanim wyjechał. Gdyby zechciał pan spędzić trochę czasu w Londynie, a miał jakiegokolwiek trudności ze znalezieniem apartamentu, ma pan pełne prawo skorzystać z pokoi pana Weymoutha u nas.

- Jego pokoi? Chce pan powiedzieć, że pan Weymouth na stałe utrzymuje tu apartament?

Recepcjonista popatrzył z pewnym zakłopotaniem.

- Cóż, niezupełnie tak, sir. Pan Weymouth ma przyjaciela, który rezerwuje te pokoje. Samochód także, jak rozumiem, należy do tego przyjaciela. Pan Weymouth korzysta tylko z apartamentu i wozu. To dość częsty układ.

Czarny Jack dzwonił do „Savoyu”, by zarezerwować dla nich pokoje, ale dyrekcja hotelu niczego nie mogła mu obiecać. Lally wiedziała, że Jon woli pozostać w „Ritzu”. Apartament w „Savoyu” zbyt żywo kojarzył mu się z niedawnym koszmarem.

- To bardzo miło ze strony pana Weymoutha. Skorzystamy z jego **grzeczności** - powiedział Jon.
Zaprowadzono ich do apartamentu o dwóch sypialniach, których **okna** wychodziły na Green Park.

177

- Całkiem nieźle się urządził nasz Brock Weymouth. Założyłbym się, że ten mityczny przyjaciel w ogóle nie istnieje. Jest po prostu wygodnym wymysłem. Wiele w opowiadanych przez Brocka historiach może być bujną. Włącznie z nazwiskiem.

- Nigdy nie twierdził, że jego nazwisko jest prawdziwe. On po prostu nic nie wie o własnym pochodzeniu - odpowiedziała. - Czy to zresztą ma znaczenie? Ja też nie znam swojego nazwiska.

Jon gwałtownie odwrócił się do niej.

- Lally, przepraszam. Jesteś, cóż, po prostu jesteś częścią naszego domu. Ciągłe zapominam... - Podszedł do niej. Pomyślała, że zamierza wziąć ją w ramiona, jak zrobiłby to serdeczny, czuły mężczyzna, którego pamiętała sprzed dwóch lat, sprzed śmierci Sandy. Ale wtedy ktoś zapukał do drzwi. Weszła pokojówka z wielkim wazonem.

- Dzień dobry, panno Pollock. Kapitanie Pollock. Przepraszam, ale pan Weymouth życzy sobie, żeby zawsze były świeże kwiaty w pokoju. Ustawiła wazon i delikatnie poprawiła układ bukietu. Potem zwróciła się do Lally: - Czy niczego więcej państwu nie potrzeba, panno Pollock?

- Och... dziękuję, nie. - Dziewczyna czuła się zaskoczona troskliwością Brocka.

Kiedy pokojówka odeszła, Lally wyjrzała przez okno. Nad Piccadilly zapadał zmierzch, ale nadal można było dostrzec w tłumie wielu mężczyzn w mundurach.

- Spójrz, Jon. Spójrz na nich. Czy nie czujesz się trochę winny? Większość z tych ludzi na dole nie mogłaby pozwolić sobie nawet na filiżankę herbaty w „Ritzu”.

Skrzywił się.

- Lally... Lally, to nie czas na rozważanie społecznych niedomagań naszego świata. Po wojnie rzeczy przybiorą lepszy obrót. Wkrótce zaczniesz mnie jeszcze przekonywać o politycznych prawach kobiet.

Lally nagle ogarnęła złość.

- A nie uważasz, że już na nie zasłużyliśmy?

Zdejmował właśnie płaszcz, ale teraz zarzucił go z powrotem na ramiona.

- Lally, możemy zawrzeć rozejm do końca wojny? Zamierzałem usiąść i spokojnie wypić szkocką z obfitych zapasów Brocka Weymoutha. Ale jeśli mam słuchać tyrady na cześć sufrażystek, to pójdę gdzie indziej. Wybieraj. To było zagranie nie fair, pomyślała Lally. Mężczyźni zawsze grają nie fair. I prawdopodobnie tak już zostanie.

- Zdejmij płaszcz, Jon. Należę whisky. Uśmiechnął się.

- Zuch dziewczyna. Co będziemy robić dziś wieczór? Zadzwoń do recepcji. Dowiem się, jaki show mogą nam zaproponować, dobrze? A potem pójdziemy gdzieś potańczyć.

- Teatr? Tańce? Myślisz, że powinniśmy?

- Czego się obawiasz? Że kogoś zaszokuje widok Jona Pollocka korzystającego z kilku dni urlopu po pogrzebie żony? Niech się gorszą. I co z tego, Lal

134

ly? Jeśli nie chcesz iść ze mną, umówię się z kimś innym. Zawsze znajdzie się jakaś wolna dziewczyna. Wciąż mam notatnik z telefonami z kawalerskich czasów.

Lally opuściła głowę. Nie poznawała tego gorzkiego, sarkastycznego tonu. Jon uśmiechał się, ale nie śmiał. Będą dziś wieczór jeść, pić i tańczyć. Urządzą przedstawienie. Może on to tak zaplanował. Miał nadzieję spotkać znajomych, przyjaciół. Chciał im pokazać, jak mało obeszła go zdrada Sandy. Albo może pragnął upić się do nieprzytomności.

- Chętnie z tobą pójdę, Jon. Oczywiście. - Po to przecież wysłał ją Czarny Jack, prawda? Z Lally Jon był bezpieczny.

*

* *

Było już po drugiej, kiedy wrócili do hotelu. Obejrzelili rewię w Pałace. Lally nie potrafiłaby nic powiedzieć o spektaklu. Wsłuchiwała się śmiech wokół niej i z oszołomieniem obserwowała szalone usiłowania publiczności, by bawić się za wszelką cenę. W dwóch klubach, w których później tańczyli, spotkali mnóstwo mężczyzn w mundurach. Większości kobiet nadal udawało się ubierać zgodnie z wymogami mody. Były szczuplejsze, o dużo twardszym wyrazie twarzy niż panny, które Lally mogła pamiętać ze swego sezonu. Ale przecież nigdy dotąd nie była w nocnym klubie. Nigdy też nie widziała pijaństwa. Być może tej nocy sama za dużo wypła. Kiedy wrócili do „Ritza”, czuła wewnętrzne ciepło, a lodowaty ucisk, który dręczył ją od chwili, gdy Sandy wypaplała wiadomości o

śmierci Thomasa Handleya, rozluźnił się i stajał. Teraz mogła pozwolić sobie na ból i był on do zniesienia. Gdy usiadła z Jonem na sofie, popijając szkocką na dobranoc, przyszło jej na myśl, że w tej chwili obydwójce są w podobnej sytuacji. Zranieni, zmagający się z pustką, stawiający czoło nieuchronnej konieczności powrotu do Francji. Spojrzała na Jona.

- Zastanawiam się, czy któreś z nas przeżyje? Wzruszył ramionami.

- Możliwe. Ale jest większe prawdopodobieństwo, że ja zginę. Czuję się oszukany, bo nie mam za co umierać.

Wiem, zaciągnąłem się z własnej woli. Smarkacz wiedziony patriotyczną egzaltacją. Ale to minęło. Teraz spełniam swój obowiązek. Muszę patrzeć na śmierć innych i czekać na własną, bo gdybym odmówił, postawiliby mnie pod ścianą i rozstrzelali. Zmuszają tchórze do bohaterstwa, bo nie ma alternatywy oprócz śmierci. Nie ma drogi ucieczki. A ja chcę żyć, Lally, przetrwać. Nie potrzebuję pośmiertnych medali. Chcę korzystać z życia, teraz, dziś w nocy. Rozumiesz mnie, Lally? Teraz. - Pochylił się i pocałował ją w usta. - Nie jesteś moją siostrą. Jesteś Lally Leeds i pragnę cię.

Odstawiła szklanę.

- Jesteś pewien?

180

Skinął głową.

- Tak, tak Lally. Teraz. Mogę zginąć, zanim znów cię zobaczę.

Argument był nie do odparcia, a jej serce i ciało wystarczająco długo czekały na tego mężczyznę. Nie miała nadziei, a jednak przyszedł do niej. Obojętnie, czy na długo, ale tej nocy był jej. Nigdy więcej nie potraktuje Lally jak siostrę. Stała się dla niego kobietą.

W łóżku ich ciała odnajdywały się odgadując pragnienia drugiego, jeszcze niepewne i zdumione, że mogą łączyć się z taką łatwością. Wykorzystywali siebie nawzajem i oboje to wiedzieli. Thomas Handley dał niegdyś Lally pewność, że może być pożądana. Teraz szukała ukojenia w ciele Jona, choć przypuszczała, że nie posiada jego serca.

Wiedziała, że szukał u niej złagodzenia śmiertelnego ciosu, który zadała mu Sandy. A może pragnął zemsty na wszystkich kobietach, a ona, Lally, była właśnie pod ręką. Jeśli obdarzyli się nawzajem pociechą, myślała, to wystarczy. Niewiele więcej mogli jedno drugiemu zaoferować. Nie twierdził, że ją kocha. Nie oczekiwała tego. I samej sobie nie pozwoliła wypowiedzieć miłosnych wyznań. Zawstydziłyby go tylko i przestraszyły. Lally wiedziała, że nie może spłoszyć Jona. W końcu i tak powiedział: „Nie jesteś moją siostrą. Jesteś Lally Leeds”. To już było dużo.

Rano, gdy zasiedli do stołu, Jon spojrzał na Lally bez skrępowania. Miała na sobie nowy jedwabny szlafrok od Czarnego Jacka. Pewną ręką nalewała wyjątkowo aromatyczną kawę.

- Żadnych pretensji, Lally? Uśmiechnęła się.

- Żadnych... żadnych, w ogóle.

Nie powinien był tego mówić. Lally wpatrzyła się w park za oknem w słabym zimowym słońcu. Próbowwała odegnąć natrętne słowa z wiersza Ruperta Brooke'a: „I najgorsze, że nie ma już przyjaciela ani wroga, tylko śmierć”.

*

Cenne dni urlopu uciekały. Tańczyli, pili i śmiali się, ale ten pozornie szampański nastrój nie zmylił ani żadnego z nich, ani też nikogo spośród przyjaciół. Ich szaleństwa zakrawały na desperację. Byli jak dzieci, broniące się przed ciemnością i przerażeniem. Kiedy wreszcie zegnali się na peronie Victorii, ucałowali się jak brat i siostra.

Lally, mając jeszcze dwa tygodnie urlopu, wróciła do Leeds, do Grange-wick. Czarnemu Jackowi wydała się nawet szczuplejsza niż przed wyjazdem. Twarz miała poważną i piękną. Cienie pod kośćmi policzkowymi dodawały jej tylko urody. Pollock zastanawiał się, co mogło wydarzyć się między nią i Jonem podczas wspólnego pobytu w

Londynie, ale nie ośmielił się zapytać. Jego dzieci nie były już dziećmi. Myślał o powrocie Lally do Francji i narastał w nim strach o tych dwoje.

182

Susie Barlow na chwilę przerwała paplaninę. Właśnie pomagała Lally rozpakowywać walizkę. Delektowała się mydłem i proszkiem na pchły, szpilkami do włosów, balsamem do rąk. Ale zamilkła, gdy przyjaciółka wyjęła dwa nowe mundury i regulaminowy komplet bielizny, prezent dla Susie od Czarnego Jacka. Ochotniczki nie dostawały żołądu. Mundur Susie był połatany i pocerowany, bielizna całkiem sprana i przetarta. Dziewczyna usiadła na połówce, przejęta jak dziecko w Wigilię, i naciągnęła nowe buty.

- Pasują! Masz dobre oko - pochwaliła. Potem spojrzała w górę i Lally z zaskoczeniem dostrzegła wyraz jej oczu. Błyszczących, pełnych łez. - Boże! Jak... Jak ja mu się odwdzięczę? Oczywiście, nie mogę zwrócić kosztów, ale on to wie. - Spojrzała na zdjęcie rodzinne stojące na skrzynce obok łóżka Lally. - Chyba po prostu powinnam zaopiekować się tobą dla niego, prawda?

Rozdział dziewiąty

I

Lally przeciskała się między rzędami łóżek. Przyćmione światło lampy wyłaniało twarze z mroku. Zna je dobrze, wszystkie podobne do siebie. Niektórzy pacjenci bezsennie przewracali się w pościeli, inni oddychali ciężko zmorzeni wywołanym lekami snem. Ale Lally wydawali się niemal identyczni. Młodzi mężczyźni, przystojni czy brzydzy, zrezygnowani bądź przeklinający los, gdy nadchodził atak bólu. Dla niej wszyscy byli piękni i wszyscy tragiczni.

Czasami, kiedy miała chwilę czasu, czytała docierające do szpitala gazety. Niemcy nadal stosowali niezwykle skuteczne łodzie podwodne, a amerykańskie statki często padały ich ofiarą, choć straty brytyjskie były nieporównanie większe. Ile jeszcze, zastanawiała się Lally, Amerykanie mają zamiar czekać z wypowiedzeniem wojny? Kiedy wreszcie wspomogą wyczerpane, a teraz już niemal zdemoralizowane klęskami oddziały brytyjskie i francuskie? Jeszcze trochę i będzie za późno.

Był zimny marcowy świt. Lally przechodziła przez salę szpitalną, gdy jakiś żołnierz zawołał ją szeptem. Pochyliła się nad nim, by lepiej słyszeć.

- Wody, siostró... proszę. Przyniosła szklanekę.

- Nie łykaj, tylko opłucz wargi i wypluj. Przytrzymam miskę - powiedziała. Ten chłopiec nie wiedział, że nie miał już żołądka, który przyjąłby wodę. Poszarpane wnętrzości wtłoczono mu do jamy brzusznej. Czekał na śmierć. Jego oczy wpatrzone były w światło, które delikatnie przenikało przez zasłony. Ranny oglądał swój ostatni świt. Oczy zaszklily mu się, ale Lally wiedziała, że nadal odróżniały blask i mrok, więc zgasła lampę i odsunęła zasłonę na oknie naprzeciw łóżka. Przez chwilę szukała pulsu. Potem jej palce odnalazły dłoń żołnierza. Nie będzie go już tutaj, kiedy ona, Lally, przyjdzie wieczorem na dyżur. Pochyliła się nad rannym.

- Słyszysz ptaki? Wkrótce nastanie wiosna,

138

Wątpiła, by słyszał jej głos. Prostokąt światła zdawał się przygasać. Ręka chłopca robiła się coraz chłodniejsza.

*

* *

Nareszcie nadszedł ten dzień. Szósty kwietnia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku Amerykanie przystąpili do wojny. Długo oczekiwana, upragniona wiadomość. Wkrótce tu będą. Lally przypomniała sobie, co Brock Weymouth mówił o prawie nietkniętym potencjale przemysłowym Stanów Zjednoczonych.

- Oni sami nie wiedzą, czym dysponują, Lally, ale kiedy ruszą, doprowadzą sprawę do końca.

Wiosna okryła zielenią spustoszony kraj. Ciągące się wzdłuż dróg szczytki żywoptotów wypuszczały świeże pączki. Ptaki śpiewały i świergotały pośród stosów śmieci, pozostałych po przemarszu armii. Jeszcze w kwietniu wojska brytyjskie rozpoczęły natarcie, poprzedzone potężnym bombardowaniem i użyciem gazów. Nazwano je później bitwą pod Arras. Każde chyba miejsce na mapie okryte było sławą i hańbą jednocześnie. Kanadyjczycy zajęli Vimy Ridge. Brytyjczycy posunęli się o cztery mile, ale nie udało im się przebić. Lally zauważyła, że to już trzecia bitwa o Szampanię. Ile razy jeszcze będą staczać boje w miejscach okrytych hańbą, gdzie leżą wciąż nie pochowane trupy ich towarzyszy brohi?

Kiedy usiadła w mesie do wieczornego posiłku przed dyżurem, jedna z pielęgniarek oisnęła przed nią starą gazetę.

- Nie wiem, czyją widziałas. Sama mam tygodnie opóźnień. Brak czasu na czytanie albo zasypiam, jak tylko zacznę.

Lally zatoneła w lekturze. Tyle się wydarzyło. Abdykował car Mikołaj. Rosjanie byli właściwie pokonani. Przed końcem roku zapewne poddadzą się. Człowiek, którego nazwiska Lally nigdy wcześniej nie słyszała, niejaki Lenin, ponoć z niemieckiego poduszczenia, wprowadził destrukcję w nowo powstałym rządzie tymczasowym. Ale Rosja była daleko. Zakończenie walk na froncie wschodnim mogło oznaczać, że Niemcy całą swą potęgę zwrócą na zachód. Bardziej przerażające niż wieści z Rosji były jednak plotki, że francuskie wojska buntowały się na skutek strat poniesionych pod Verdun. Lally prześladowała potworna wizja żołnierzy brytyjskich, kanadyjskich, australijskich, francuskich, którzy, wszyscy po kolei, rzucą broń. Widziała już Niemców depreczających bezkarnie wyludnioną i cichą ziemię niczyją.

- Hej, nie będziesz tego jeść? - zapytała siedząca obok niej Susie. - Szczerze mówiąc, Lally, jesteś coraz bardziej podobna do stracha na wróble. - Przyjrzała się przyjaciółce z przekornym uśmiechem. - Nie wiem, czy nie wolałam cię, kiedy byłaś gruba.

Lally popchnęła ku niej talerz. Jakże to było niewyobrażalnie dawno, gdy okrągłutka, naiwna i pełna zapału Lally rozpoczęła tę straszliwą przygodę. Prawie już zapomniała, że wojna toczy się w tylu innych miejscach, we Włoszech,

na Bałkanach, w Turcji, na Bliskim Wschodzie. Wszędzie umierali żołnierze, a pielęgniarki próbowały im nieść ratunek. Horyzont Lally jednak zawęził się teraz do kilku mil kwadratowych flandryjskiej ziemi.

*

* *

Tam daleko, tam daleko

Poślijcie wieść, poślijcie wieść tam daleko,

Że jankesi nadchodzą...

Wkroczyli pełni rozgrzewającej serca świeżej energii przemieszanej z odrobiną aroganckiej zuchwałości. Na początku było ich niewiele, ale wyróżniali się na ulicach Paryża, dokąd Lally pojechała na krótką, trzydziestosześciodzinna przepustkę, by spotkać się z Jonem. Wiedziała już wcześniej o amerykańskich korpusach medycznych, kolumnach sanitarnych, ludziach, którzy sami zgłosili się do służby, zanim stało się to obowiązkiem. Teraz widziała ich na własne oczy. Zachwyciły ją nowe, świeże mundury i krzepiąca niewinność przybyszów zza oceanu.

Było ciepłe lipcowe popołudnie. Siedzieli z Jonem w paryskiej kawiarni, obserwując przechodniów. Stolica wyglądała blado i nędznie, ale oni cieszyli się, bo udało im się skraść trochę czasu dla siebie.

Lally i Susie razem dostały przepustkę, ale Susie wysiadła z pociągu już w Rouen.

- Nie chcę zawadzać. To czas dla was obojga. Zapomnij o przepisach. Czy przyjaciółka podejrzewała, co łączy Lally z Jonem? Jeśli nawet tak, dyskretnie nie zadawała pytań.

- Myślisz, że możemy liczyć na rychłe zwycięstwo? - ciągnęła Lally rozmowę.

Jon wzruszył ramionami.

- Dowództwo obiecywało nam to przez ostatnie trzy lata. Ja osobiście już zwątpiłem. Daleko mi do tego dzielnego i ochoczego chłopaka, który ongiś zgłosił się na służbę. Po prostu robię to, co muszę.

Gdy obudziła się rano, leżał obok, wpatrzony w jej twarz.

- Nie wiem nawet, czy dobrze cię pamiętam z dzieciństwa, Lally. Kiedy przyszedł do nas, uparcie milczałaś, Małpko.

- Użył dawnego przezwiska. Wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie. Lally z bólem uświadomiła sobie, że słońce dawno już wzeszło. Jon musiał złapać powrotny pociąg o jedenastej. W małym hotelu, gdzie zatrzymali się na noc, nikt nie dopytywał się, czy są małżeństwem. Wojnie nie widać było kresu, a młodzi ludzie nie mogą czekać na

miłość bez końca. Tyle konwenansów legło w gruzy przez ostatnie trzy lata. Zbyt wielu zginęło, by oczekiwać od młodych, że wyrzekną się radości, które mogą nigdy się nie powtórzyć. Lally i Jon kochali się tej nocy niemal z desperacją. Ona bała się go stracić, on próbował wymazać pamięć o kobiecie, która go zdradziła. Lally

140

była mu wdzięczna, że nigdy nie mówił o uczuciach. Bo Jon nigdy jej nie okłamywał.

Pożegnała Jona na dworcu, a potem poszła do bufetu, by przeczekać godzinę, która pozostała do odjazdu jej pociągu.

Nieznajomy kapitan strzelców z Wiltshire zajął miejsce obok niej.

- Przyjechała pani na urlop? - zagadnął z nadzieją w głosie.

- Właśnie wracam - odparła. Wiedziała, co kryło się za jego pytaniem. Nastaly dni, gdy nikt już nie zważał na konwenanse. Czas był zbyt cenny, by tracić go na wstępne grzeczności.

Oficer wzruszył ramionami.

- Mam pecha. Dostałem czterdzieści osiem godzin wolnego, a ty jesteś śliczną dziewczyną. Byłoby miło spędzić przepustkę właśnie z tobą.

To chyba pierwszy raz, pomyślała Lally, kiedy jakiś mężczyzna zwrócił na nią uwagę, nie dlatego, że był gościem lub przyjacielem Jona czy Margaret? Ten człowiek nie znał dawnej grubej, nieciekawej Lally. Pożądał młodej kobiety, którą widział przed sobą. Uśmiechnęła się do niego.

- Też żałuję - skłamała. Rozmawiali, popijając brandy, którą jej zaproponował. Kiedy nadeszła pora, odprowadził Lally do pociągu.

- Czy pozwoli się pani pocałować? - zapytał. - Będę mógł udawać, że spędziłem przepustkę z panią. - Długo nie odrywał ust od jej warg. - Każdy mężczyzna na stacji teraz mi zazdrości - powiedział w końcu. Trzymał palce przy daszku czapki, gdy pociąg ruszył.

II

- Słyszałaś ostatnie plotki, prawda? - paplała Susie. - Nie wiem, jak je rozumieć. Hej, chcesz podkładkę przeciw pchłom? Moja mama przysłała sześć. Wsadź ją do majtek, jeśli ci mali sodomici złączą gryźć zbyt mocno. Sale wydawały się dziwnie ciche. Wszyscy pacjenci, poza zbyt poważnie chorymi, by ich ruszać, zostali ewakuowani. Dziewczeta wiedziały, że oznaczało to rozpoczęcie ofensywy. Jak najwięcej łóżek musiało być wolnych.

- Poszaleli - ciągnęła Susie. - Żeby walczyć na tym krwawym kawałku ziemi, Bóg jeden wie ile razy. Jak to nazwą? Trzecią cholerną bitwą pod Ypres? Ja się czuję, jakby to była nie trzecia, a szesnasta. Ci starzy durnie powinni podleczyć sobie mózgownice? Nie umieliby zawiadywać cholerną koleją żelazną, a co dopiero prowadzić kampanię wojenną.

Lally skończyła drugi raz myć głowę. Tego ranka znalazła u siebie wszy. Właśnie wyczesywała je z włosów gęstym grzebieniem, gdy rozległy się pierwsze grzmoty artylerii, złowieszczy, dobrze znany huk, wprawiający ziemię w drżenie. Rozpoczęła się kolejna ofensywa. Lally wiedziała, co teraz nastąpi. Rzeka rannych i umierających, przyprawiający o mdłości rozgardiasz sal operacyjnych, pośpieszne zabiegi chirurgiczne, szalone wysiłki, by połatać, podwiązać, utrzymać w całości ciało, zanim ranny zostanie odtransportowany do portu i, jeśli ma

szczęście, dotrze do Anglii. Znow nastąpią tygodnie, może miesiące, kiedy nie będzie czasu, by cieszyć się wolną chwilą dla siebie. Za kilka godzin zaczną ich przywozić. Pomyślała o wkładkach przeciwko pchlom, o porządnym grzebieniu. O zawszonych męskich ciałach.

- A niech to, Susie, mam dość. Muszę sobie jakoś z tym robactwem poradzić.

- Hej, co ty? Nie możesz tego zrobić!

Lally chwyciła małe nożyczki z koszyka do szycia. Zupełnie nie nadawały się do tego celu, ale będą musiały wystarczyć. Wołałaby któreś z ostrych chirurgicznych nożyczek, ale wówczas musiałaby spytać siostrę przełożoną o pozwolenie. W regulaminie co prawda nie było mowy o obowiązującej fryzurze. A przecież Lally słyszała, że w całych Stanach Zjednoczonych kobiety zaczęły strzyc się na krótko. Obcięte pasma włosów ześlizgiwały się na ramiona, a potem na ziemię, długie i ciemne.

- O mój Boże! - Susie wstrzymała oddech.

Lally cięła nadal spokojnie, ale bała się patrzeć w małe lusterko. Potrząsnęła głową. Poczowała się dziwnie i cudownie lekko. Wreszcie odważyła się spojrzeć na własne odbicie. Proste, ciemne włosy opadły nierówną linią na policzki. Z lustra spoglądała nieznaną twarz. Włosy nie wypełniały już przestrzeni między szyją a ramionami.

Lally odwróciła się speszona.

- Cóż, później pójde do fryzjera, by je wyrównał.

- Co powie siostra przełożona?

- Nie ma prawa nic powiedzieć. Poza tym, w ogóle nie zauważy. Mogę schować włosy pod czepek dużo łatwiej niż przedtem. Chodź. Lepiej zjedzmy śniadanie. Wkrótce nadejdą pierwsze transporty prosto z frontu.

Rozpoczęła się trzecia bitwa pod Ypres, zwana potem Passchendaele. Armie starły się na straszliwej, przesiąkniętej śmiercią ziemi. Było to wczesnym rankiem ostatniego dnia lipca tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, kiedy Lally w desperacji i zniecierpliwieniu ścinała włosy. Wstawał ciemny listopadowy dzień, gdy wreszcie umilkły wielkie działa. Do listy strat dopisano dwustu pięćdziesięciu Brytyjczyków, do listy zdobyczy cztery mile terytorium. Lally widziała wiele ofiar tej bitwy. Niektórzy umarli na jej oczach. Innych powieziono pociągami do Calais i Hawru, a stamtąd do Anglii. Ocaleli, ale utracili ducha walki.

Szpitalny fryzjer przystrzygł zgrabnie włosy Lally. Dziewczyna przyzwyczaiła się do nowej fryzury, swobodnej i wygodnej, ale nadal nosiła czepek głęboko naciągnięty na uszy. Któregoś wieczoru, gdy szykowały się do łóżek, Susie przyjrzała się przyjaciółce. Podpierając się na łokciach, oświadczyła:

- Nie wiem, czy nie zrobię tego samego. Wygląda to nieco, jak to mówią, prowokacyjnie. - Wstała i podeszła do lusterka, unosząc włosy obiema rękami. - Nie wiem... Jeśli sięgałyby dotąd, nie musiałabym się nimi przejmować. Może to zrobię. - Jej myśli pobiegły teraz innym torem. - Po wojnie będzie inaczej, prawda, Lally? Znaczy się, musi być. - Ziewnęła i z powrotem opadła na połówkę. - Boże, ależ mnie bołą stopy. Podejrzewam, że to najlepiej będę z tej wojny pamiętać. Obolałe stopy.

189

Po zakończeniu ofensywy Passchendaele, szpital się upokajał powoli. Było nieco więcej czasu na odpoczynek, ogarnięcie się, pisanie listów.

- Boże, wyglądasz jak wrak człowieka - jęknęła Susie.

- Spójrz lepiej na siebie! - odpowiedziała Lally Susie skinęła głową.

- Chyba masz rację.

Któregoś dnia Susie pędem przemierzała kładki, ułożone na błotnistym gruncie tak, by można było suchą stopą przejść między barakami, namiotami i głównym budynkiem.

- Lally! To twój brat. Przyjechał z St. Omer na motocyklu. Siostra przełożona mówi...

Lally rzuciła się gościowi w ramiona.

- Jon... och, Jon! Wierzyłam, że nic ci się nie stało, bo w razie nieszczęścia powiadomiono by mnie. Ale nawet nie napisałeś. Tylko kilka kartek. - Dlaczego robiła mu wymówki? Krótkie chwile wytchnienia poświęcał pewnie na sen. Jon wypuścił ją z objęć.

- Lally, co miałem pisać? Byłaś tak blisko. Wiesz wszystko. Jedyne, o co się starałem, to żeby nie niepokoić ojca. Ale przed człowiekiem tak przenikliwym jak Czarny Jack, niewiele można ukryć. Czy słyszałaś, że przez dwa ostatnie lata finansował kantinę w Calais? Ufundował ją i obsadził sumiennymi panami w średnim wieku. Trzymał to w tajemnicy. Usłyszałem o tym przypadkiem. Spotkałem też pewnego kierowcę, który opowiedział mi, że ojciec wysłał do Francji co najmniej sześć w pełni wyposażonych ambulansów. Słyszałaś już

o Cambrai? Trzysta osiemdziesiąt brytyjskich czołgów w ofensywie. A Czarny Jack Pollock przyczynił się do tej potęgi na Bóg wie ile sposobów. Zainwestował w przemysł zbrojeniowy i uwierzył w skuteczność tanków. - Zamilkł i popatrzył na Lally, marszcząc czoło. - Wyglądasz jakoś inaczej. Nie chodzi tylko o to, że schudłaś. Co się stało? Zdała sobie sprawę, że wybiegła z baraku bez pielęgniarzkiego czepeczka.

- Nic takiego, Jon. Nic. Poszłam tylko w twoje ślady. Obcięłam włosy. Przypatrywał się jej w ciszy przez kilka minut. Twarz rozjaśnił mu uśmiech.

- Niech mnie diabli, jeśli mi się nie podoba! Wyglądasz wspaniale. - Znów wziął Lally w ramiona. - Kochana, tak dobrze cię widzieć.

Przytulił ją mocno, dziewczynę w wymiętym mundurze, pachnącą potem

1 jodoformem, co gorsza może nawet wkładkami przeciw pchlom. Pozwoliła sobie na tę chwilę luksusu, a potem delikatnie wysunęła się z objęć Jona.

- Daj spokój, to więcej niż pozwala się bratu... - Była świadoma obserwujących ich ciekawskich oczu. Jego ramiona opadły.

- Przepraszam. Zapomniałem. Możemy pójść gdzieś i porozmawiać? Spacerowali po zimnych krużgankach starego opactwa.

143

- Przyszedł list od ojca - opowiadał chaotycznie Jon. - Mamy dwudniowy postój, ale to wszystko. Nie mogę teraz dostać urlopu. Zostało nam niewielu oficerów. Pożyczyłem więc motor i popędziłem do ciebie. Może ty mogłabyś wybłągać jakikolwiek urlop. Któreś z nas powinno jechać. Ojciec jest wściekły. Widzisz, chodzi o Margaret. Zdecydowała się poślubić Grenfella. I to natychmiast.

- Kogo?

- Roberta Grenfella. Nie pamiętasz go? Był ze mną w Eton i w Oksfordzie. Porządny facet... ale... Przyjeżdżał do Pellham ładnych kilka razy. Jego rodzina mieszka w Yorkshire. Sympatyczny chłopak. Jest teraz wicehrabią Grenfell. Był trzecim synem, ale obydwaj bracia zginęli. Został tylko on. Jedyne dziecko lorda Gougha.

Lally przypomniała sobie. Przystojny, jasnowłose, nieco anemiczny młody arystokrata. Tak, rzeczywiście wydawał się sympatyczny. To wszystko, co można było o nim powiedzieć. Zbyt mało jak dla niej. Zbyt mało dla Margaret.

- Ojciec jest całkowicie przeciwny temu małżeństwu. Uważa, że Margaret będzie jeszcze przez chwilę zakochana, a potem zanudzi się na śmierć przed upływem dwunastu miesięcy. Oczywiście, oni nie są ze sobą nawet od roku. Te urlopy. Żyje się wtedy intensywniej. Mówi się to, czego się naprawdę nie myśli. -A przecież on i Sandy West pobrali się podczas jednej z takich przepustek, pomyślała Lally. Czy Jon twierdzi, że tego nie chciał?

- Jeśli nawet dostanę urlop, co miałabym zrobić?

- Porozmawiaj z Margaret, Lally. Masz na nią dobry wpływ. Ojciec... Cóż, zawsze potrafiła owinąć go sobie dookoła palca.

- Mnie dokładnie tak samo - broniła się.

Opactwo ogarniał listopadowy zmrok. W zapadających ciemnościach twarz Jona wydawała się dziwnie postarzała. Znoszona jak jego mundur, przemknęło przez głowę Lally. Nikt nigdy nie będzie w stanie wymazać z jego rysów śladu okropnych doświadczeń. Chociaż Jon miał wiele szczęścia. Nawet przez piekielną bitwę pod Ypres przeszedł tylko z niewielką raną nogi. Wspominał o tym mimochodem w wysłanej do domu kartce. Jakby nie chciał ściągać na siebie uwagi losu, jakby się bał zapeszyć dotychczasowe szczęście. Szkolni koledzy, znajomi * z Oksfordu po kolei odchodzili. Jego kuzyn i najlepszy przyjaciel Patrick Kim-ble, poległ podczas ofensywy Passchendaele.

- Ona cię podziwia, Lally. Wiesz o tym? Zawsze się tobą zachwyca. Wie, że sama by się na taką pracę nie zdobyła. Nie utrzymałaby nawet jednego dnia. Nie z braku odwagi. Margaret nie jest tchórzem, ale nie potrafi nad sobą panować. A ranni nie potrzebują łez. Chcą pomocy.

- Jakże to ma znaczenie, nawet jeśli to prawda? Ta historia o niej i Grenfel-lu? A jeśli Margaret rzeczywiście pragnie go poślubić?

- W tobie ostatnia nadzieja, Lally. Ślub ma się odbyć już za cztery dni. Grenfell ma odłamek szrapnela w nodze. Leczenie zatrzyma go w Anglii na jakieś dwa miesiące. Margaret uparła się zostać mężatką, a ojciec uważa ten po
144

mysł za szaleństwo. Zgadzam się z nim. Nie możesz porozmawiać z siostrą przełożoną? Teraz jest całkiem spokojnie i na pewno należy ci się jakiś urlop. Wrócili do mesy.

- Zabawne. Zawsze myślałam, że to Brock Weymouth ją dostanie. Sądziłam, że mu w końcu ulegnie.

- Szkoda, że tak się nie stało. Nie jestem w pełni przekonany do Weymou-tha, ale ten facet przynajmniej mógłby stawić Margaret czoło.



* *

Twarz, która wyłoniła się z mroku wczesnego grudniowego wieczoru na Victoria Station nie była obliczem Czarnego Jacka. Znajoma twarz w niespodziewanym miejscu.

- Brock!

Zasalutował, zanim pozwolił sobie na serdeczniejsze powitanie. Brock Weymouth nosił mundur majora armii Stanów Zjednoczonych.

- Widzisz, Lally, wpadłem mimo wszystko. Nie myślałem, że kiedykolwiek zmuszą starego Bracka do takiego szaleństwa jak służba wojskowa. A oto jestem. Cóż, moja kariera oficerska nie ma nic wspólnego z patriotyzmem. Po prostu nasz rząd przejął kontrolę nad dystrybucją wszelkich artykułów dla aliantów, więc nie pozostało mi nic innego, jak przyjechać i sprawdzić, czy robi to skutecznie.

Lally z uwagą popatrzyła na Brocka. Jego twarz ledwie majaczyła w mrocznym żółtawym świetle.

- Nigdy bym się nie spodziewała... Ujął ją pod ramię i dźwignął walizkę.

- Do diabła z przepisem, że oficerowi nie wolno publicznie taszczyć żadnych tobołów. Chodź, moja droga. Samochód służbowy czeka. Czarny Jack zajmuje apartament w „Ritzu”. A dla mnie został tylko schowek na szczotki, jako jedyna wolna sypialnia.

Wyszli przed dworzec. Szofer odebrał z rąk Brocka bagaże, uprzejmie przytrzymał drzwiczki.

- Nie rozumiem. Skąd się wzięłeś w Londynie? Masz urlop? I jak się dowiedziałeś...?

Samochód włączył się w nurt ulicznego ruchu.

- Urlop? Moja droga, w pewnym sensie zawsze jestem na urlopie. Stale przebywam w Londynie. Nie myślałaś chyba, że będę tak głupi, by pozwolić się wysłać do Francji. Nie, Lally... Los bohatera nie jest mi pisany. Zawsze zajmowałem się zaopatrzeniem. Zaopatrzeniem w cokolwiek, kogokolwiek i gdziekolwiek. Teraz robię to samo, tyle że dla armii. Korpus kwatermistrzowski. Zdobywam, co potrzeba i dostarczam przez Atlantyk do Francji, na Bałkany, w różne inne miejsca. To samo, co zawsze. Ale obecnie służę oficjalnie w armii Stanów Zjednoczonych. Och, jest jeszcze jedna mała różnica. Dostaję żołd.

10 - Obietnice

145

- Podejrzewam, że to dlatego wynajmujesz zaledwie schowek na szczotki w „Ritzu”? Ale twój przyjaciel nadal użycza ci swego apartamentu, który zaofiarowałeś memu ojcu? I zapewne nie jeździsz już hispano suizą skoro masz teraz samochód służbowy?

Podsunał jej papierośnicę i podał ogień.

- Lally... Lally, od czego w końcu są przyjaciele?

Palila w milczeniu. Jechali przez zaciemnione ulice. Mgła gęstniała. Lally zdawało się, że przenika ją do kości, dusi w gardle.

- Przyjaciele, Brock? Tak... przyjaciele. Próbowales powstrzymać Margaret przed poślubieniem Grenfella? Ojciec ma rację. To małżeństwo nie jest dobrym pomysłem.

Głos Brocka Weymoutha brzmiał zimno.

- Może sama powinnaś powiedzieć to Margaret. Poza wszystkim, kim ja jestem, żeby robić takie uwagi? Nadaję się tylko do tego, by być użytecznym. Zadbać o pokoje hotelowe, samochód. Margaret nigdy nie potrzebowała takich usług. Zawsze dostawała, co chciała. Grenfell został ranny na polu chwały. Bardzo romantyczne. Więc Margaret straciła głowę i uważa, że jest w nim szaleńczo zakochana. Co ich powstrzyma przed małżeństwem? Uroda, pozycja, pieniądze są atutami obu stron. Idealnie. Ja mam powstrzymać Margaret? Ja? Jeśli Czarny Jack nie może?

- Mógłby. Ona jest jeszcze niepełnoletnia.

- Wyobrażasz to sobie? Że posunąłby się do tak drastycznego kroku i zraził ją do siebie na zawsze? Nie, nie Czarny Jack.

- Więc co ja tu robię? Czego ode mnie oczekujecie? - Nagle ogarnęła ją wściekłość. Pomyślała o rannych, którzy naprawdę jej potrzebowali. A jeśli już ma mieć urlop, to mogłaby tych kilka dni spędzić z Jonem.

- Co masz zrobić, Lally? Cóż, przypuszczam, że przyjechałaś, by pomóc Czarnemu Jackowi przez to przejść. I żeby być druhną Margaret.

- A ty będziesz stał obok i spokojnie się przyglądał?

W ciemności jego ręka przez chwilę zaciskała się na dłoni Lally. Pewnie przypadkiem, bo Brock Weymouth nie szukałby pocieszenia u kobiety, której nie pragnął.

- Przyglądał się? A cóż innego mi pozostaje? Margaret nie dostrzega, że istnieję. A, przy okazji, nie wiesz jeszcze, że Grenfell, ku oburzeniu swoich rodziców, poprosił mnie, bym był jego drużbą. Żaden z przyjaciół nie może dostać urlopu. Zresztą po ostatniej ofensywie chyba niewielu już ich pozostało, więc biedak chwycił się ostateczności.

*

* *

Margaret zwracała się raczej do Czarnego Jacka niż do Lally.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego nie powinnam za niego wyjść? Co ci się nie podoba w Bobbym? Jest obłąkany albo może jest tchórzem? Kochamy się, trwa wojna i zamierzamy się pobrać.

146

- Nie mogłabyś poczekać jeszcze trochę, Margaret? - nalegał Czarny Jack. - Teraz, kiedy wkroczyli Amerykanie, wojna nie potrwa już długo. Nastaną normalne warunki i będziesz miała czas pomyśleć. Nie chcę, żebyś popełniła błąd.

Margaret opadła na krzesło. Zakryła twarz dłońmi. W saloniku zapadła cisza. Tylko zza okna dochodziły odgłosy ruchu ulicznego, stłumione przez ciężkie zasłony i mgłę.

Brock przeprosił i wyszedł. Obiad zamówili do apartamentu. Woleli pozostać w swoim gronie niż schodzić do restauracji. Jedzenie było pięknie podane, ale nie tak obfite i wyszukane jak Lally pamiętała. Wojna dawała znać o sobie w „Ritzu”.

W końcu Margaret podniosła głowę.

- Na co mam czekać? Wszyscy niemal już odeszli. Żegnałam prawie każdego z nich. Przyjaciele Jona, chłopcy, których poznałyśmy podczas sezonu. Większość nie żyje. Niektórzy zostali beznadziejnie okaleczeni. A ty, ojczu prosisz, bym czekała?

- Wychodzisz za Bobby'ego, bo jest ich już coraz mniej? Z wściekłością otarła łzy z policzków.

- Jak śmiesz mówić tak mnie! Myślisz, że nie znam twojej historii. Pobraliście się z mamą zaledwie miesiąc po pierwszym spotkaniu. Nie czekaliście!

- To było co innego...

- Zawsze jest co innego! Każdy przypadek jest inny. Mam sprawdzić, czy Bobby przeżyje? Mam mu powiedzieć, że muszę poczekać, by zobaczyć, czy wróci do domu żywy czy w trumnie, jeśli będą mogli znaleźć ciało? Czy nie mogę zaryzykować? Kobiety także ryzykują, ojczu. Bobby jest jedynym, co pozostało z dawnego świata i pragnę go. - Zwróciła cierpiący, błagalny wzrok na siostrę. - Lally, ty mu powiedz. Widziałaś umierających. Ja nigdy. Wiesz, jak to jest patrzeć, kiedy oni wszyscy odchodzą. Jeden po drugim. - Spojrzała znów na ojca. - Zakreślałam ich nazwiska na listach ofiar. A Bobby ocalał i jest duża szansa, że nie zostanie odesłany z powrotem do Francji. Mogę prowadzić normalne życie. Czy nie mam do tego prawa?

Czarny Jack westchnął i wstał. Zdjął kapelusz i płaszcz z wieszaka, potem podszedł do Margaret i dotknął dłonią jej policzka.

- O ile tylko jesteś pewna, że to za niego chcesz wyjść, kochanie.- O ile jesteś pewna. Myślę, że udam się teraz na mały spacer. Złapię trochę powietrza...

- Powietrza? - zdziwiła się Lally. - Jest straszna mgła. Wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi. Może spotkam Brocka. Pójdziemy gdzieś na drinka... On zna tu wszystkie miejsca rozrywek.

Gdy drzwi się za ojcem zamknęły, Margaret z niepokojem popatrzyła na Lally.

- Czy to znaczy, że się zgadza? Nie będzie już stawiał przeszkód? Nie chciałam go zranić, Lally, ale wiem, czego mi potrzeba. Powiedziałam, że Bobby jest tym, co zostało z dawnego świata. I co w tym złego? Może przeżył, żebyśmy

196

mogli się wzajemnie odnaleźć. Kiedy jest ich wokół ciebie zbyt wielu, trudno kogoś wybrać. Nigdy nie jesteś pewna, prawda? Cóż, teraz też nie jestem pewna. Ale czy w ogóle można mieć jakąś gwarancję? Po prostu podejmujemy ryzyko. - Otarła twarz ze śladów łez. - Och, do diabła, Lally, uczcijmy mój ślub! - Nacisnęła dzwonek na kelnera. - Zobaczymy, czy mają tu jeszcze szampana. Jest tak wiele powodów do świętowania. Żyjemy. Ty i ja, i Jon, i ojciec. I Alice. I Bobby żyje. Będzie dobrym mężem. Zobacysz, Lally. Nie sądzisz, że będzie dobrym mężem?

Piły szampana, albowiem hotel wciąż jeszcze mógł służyć swoimi piwnicami gościom pana Brocktona Weymoutha. I rozmawiały o przygotowaniach do ślubu. Lally pomyślała z ulgą, że Margaret ani razu nie wspomniała o przymiotach, które według Brocka czyniły z Grenfella obiekt jej marzeń. Uroda, pozycja i pieniądze, powiedział Brock. Nie rozumiał, że obsesja śmierci i lęk uczyniły tego chłopca dla Margaret pożądanym. Kochała Grenfella, ponieważ udało mu się ocaleć. Podobnie jak Jonowi.

Tydzień później pobrali się w parafialnym kościele Pellham Langley. Raz jeszcze garderoba lady Latitii Pollock została starannie przejrzana. Ale teraz chodziło o strój dla panny młodej. Margaret przywdziała koronkową suknię ślubną swej matki, kiedyś białą, teraz kremową ze starości. Na ramiona narzuciła długą gronostajową pelerynę, która leżała w kufrze zapomniana od czasu śmierci Latitii. W od lat nie ogrzewanym kościele panował przenikliwy chłód. Robert, wicehrabia Grenfell, stał obok narzeczonej. Na czas ceremonii musiał oddać Brockowi Weymouthowi łaskę, bez której nie mógł się teraz obyć. Lally pomyślała, że wygląda przystojniej niż dawniej. Choroba spowodowała, że schudł, a jego rysy nabrały subtelności, przywodzącej na myśl cierpienie. Dopóki się nie odezwał, mógł uchodzić za poetę. Ale w istocie Bobby Grenfell pozostał tym samym sympatycznym, raczej bezbarwnym młodym człowiekiem, którego Lally pamiętała sprzed lat. Dostrzegła jednak, że wpatrywał się w Margaret pełnymi uwielbienia oczyma. Nie mogła też zapomnieć sposobu, w jaki powtarzał słowa małżeńskiej przysięgi. „Z całej duszy będę cię miłował...” Ani dla niego, ani dla Margaret zdawała się nie mieć znaczenia kolejna fraza: „całym moim ziemskim majątkiem będę cię wspierał”. Bo dlaczego miałyby mieć? Byli dziećmi szczęścia, pomyślała Lally. Brock podał Bobby'emu łaskę, ale młody małżonek jej nie potrzebował. Ręka Margaret podtrzymała jego ramię. Może, pomyślała Lally, mimo wszystko Czarny Jack się mylił. Może w Margaret było prawdziwe, silne uczucie, zdolne wspierać mężczyznę, którego poślubiła. Wspierać i kochać go, jak obiecała, tak długo, aż śmierć ich nie rozdzieli.

*

Nie byli w stanie urządzić tak eleganckiego przyjęcia, jakie przed dwoma laty wydawali rodzice Sandy West. Podstawę weselnej uczyty stanowiły produkty ofiarowane przez dzierżawców i przyjaciół Czarnego Jacka. Również pozornie niewyczerpane piwnice Pollocków świeciły już pustkami.

Siostra przełożona szpitala w Pellham Langley usilnie prosiła Czarnego Jacka, by ślub odbył się w wiosce, a przyjęcie w pałacu, a nie w Grangewick, co wydawało się wygodniejsze.

- Chodzi mi o pacjentów, panie Pollock - tłumaczyła. Sprawiłby pan im frajdę. Podnosi na duchu, że ktoś bierze ślub w takich czasach.

Kościół wypełniony był więc nie tylko przyjaciółmi, rodziną i miejscowymi mieszkańcami, ale też wśród gości zebrało się wielu rekonwalescentów, wznoszących później ochoczo toasty za lady Margaret Grenfell.

Lady Bletchley przyjechała z Witfell, by być świadkiem małżeństwa swej wnuczki; starsza pani miała na sobie tę samą szkarłatną suknię, co podczas ślubu Jona i te same diamenty. Pokiwała głową z aprobatą. Z tego małżeństwa mogła czuć się zadowolona. Obejrzała zdobione perłami kolczyki, które Lally i Alice, jako druhny, dostały od Bobby'ego Grenfella.

- Z klejnotów rodzinnych, bez wątpienia - skonstatowała. - Nie byłoby czasu... Tworzą ładną parę, prawda? Jestem zadowolona, że Margaret bezpiecznie wyszła za mąż. - Lekko trzęsącą się ręką przyjęła szampana od Brocka Weymoutha. Wygląda dużo starzej niż dwa lata temu, pomyślała Lally. Może dlatego, że pięciu jej wnuków, w tym Patrick Kimble, zginęło na froncie. - Martwiłam się o Margaret... Ta wojna, taki koszmar. Margaret jest bardzo podobna do Latitii. Nie wiadomo, co mogłoby jej strzelić do głowy. Ale teraz już się ustatkowała...

Markizie również udało się przybyć z Londynu.

- Jak długo to potrwa? - zagadnęła Lally. - Grenfell to dureń. Mam nadzieję, że ty nie postąpisz pochopnie, Lally. Zachowaj przytomność umysłu, dziecko. Czarny Jack będzie się musiał mocno na tobie opierać. Podejrzewam zresztą, że zawsze tak było. Ale on się starzeje. Pracuje zbyt ciężko. Kto to jest ten Brock Weymouth? Przystojny diabeł, ale nie do końca bym mu ufała... Pokaż się, Alice, pozwól obejrzeć swoje kolczyki. Śliczne, śliczne.

Wyglądasz uroczo, dziecko. -Kiedy Alice odeszła, lady Ross powiedziała: - Problem w tym, że ona już nie jest dzieckiem, a pozostała zbyt infantylna, by dostrzec, że mężczyźni patrzą na nią pożądliwie i pragną jej. Czarny Jack będzie musiał bardzo na nią uważać. Chodź, Lally, podejźmy bliżej do kominka. W kościele zmarłam do szpiku kości.

Otuliła się szczerzej sobolową etolą, pamiątkę z czasów, gdy markiz wydawał fortunę na żonę i na hazard.

- Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie twoja pora, nastanie już pokój i będziemy mogli urządzić wszystko we właściwy sposób. Chcę, żeby Czarny Jack powierzył mi wówczas przygotowania i dał carte blanche z pieniędzmi, tak jak na twój debiut. To będzie piękny ślub, zobaczysz. I chciałabym zostać matką chrzestną twego pierwszego dziecka.

149

Gdy zbliżyły się do kominka, młody oficer w niebieskim mundurze rekonwalescenta skwapliwie przysunął dwa krzesła.

- A o kim - zapytała Lally z uśmiechem - myślałaś jako o panu młodym?

- Mam nadzieję, że będziesz rozsądna Lally. Poczekasz, a potem sensownie wybierzesz. Rozejrzyj się, dziewczyno. Wszyscy ci mężczyźni dosłownie pożerają cię wzrokiem, nawet mimo tej dziwacznej fryzury. Nie strać głowy, Lally. Jesteś nie tylko ładna, ale i posażna. Ktoś mógłby chcieć to wykorzystać. Kiedy byłaś brzydsza, nigdy o tym nie zapomniałaś. Ale teraz... -Zwróciła się do stojącego w pobliżu oficera: - Młody człowieku, jesteś ślepy? Nie widzisz, że nasze kieliszki są puste? A poza tym nic jeszcze nie jadłam.

Po kilku minutach trzymały już talerze z plastrami szynki i pieczonej kuropatwy upolowanej na tę okazję wbrew przepisom.

Billings przyniósł im butelkę szampana, więc kieliszki obu pań ani przez chwilę nie były puste.

- Rozumiesz, o co mi chodzi, Lally? Nie jesteś przyzwyczajona do tłumu adoratorów. Nie strać głowy.

Wraz z liczbą wypitych drinków przyjęcie robiło się coraz głośniejsze i weselsze. Ktoś grał na fortepianie.

Twarz Czarnego Jacka rozluźniła się, utraciła wyraz napięcia. Brock został przedstawiony markizie i zdobył jej sympatię.

- Ktoś mi mówił, że jest bardzo sprytny. Wydaje się też, że dosyć bogaty. Ale nikt nie umie powiedzieć, kim on naprawdę jest.

- Brock sam tego nie wie.

- Bzdury! Nigdy nie widziałam człowieka bardziej pewnego siebie, nawet jeśli nie zna swego pochodzenia. Bo ten mężczyzna wie, czego chce. Chce świata. I Margaret.

- Wiesz o tym?

- Nie jestem głupia, Lally. Podczas ceremonii, kiedy wszyscy patrzyli na pannę młodą, on wlepił wzrok w Grenfella. Możliwe, że zakochał się po raz pierwszy w życiu i nie wie, jak się z tym fantem uporać. Przegrał, A on nie jest przyzwyczajony do przegrywania. Gdyby tylko Bobby Grenfell nie był takim durniem... Zona niedorajdy jest silną pokusą dla przedsiębiorczego mężczyzny. -Nagle wskazała na coś za plecami Lally. - Patrz, Margaret idzie na górę, żeby się przebrać. Lepiej stań przy podeście schodów, kiedy rzuci bukiet.

Lally podeszła niechętnie. Nie było zbyt wiele dziewcząt, które tym razem miałyby współzawodniczyć o bukiet panny młodej. Rozluźnienie konwenansów podczas wojny spowodowało, że zaproszono na wesele również córki dzierżawców z wioski. Teraz tłoczyły się wraz z innymi gośćmi w hallu. Margaret zatrzymała się w połowie

schodów. Znała każdy ich stopień. Chodziła po nich przez całe życie. Były częścią domu, do którego należała. Jest piękna, pomyślała Lally, ale nie tak promienna, jak można by się spodziewać po pannie młodej. Margaret odczekała chwilę i teatralnym gestem cisnęła w tłum kwiaty.

201

Szczupła dziewczęca figurka rzuciła się błyskawicznie do przodu. Bukiet wpadł w wyciągnięte ręce Alice. Zapadła głucha cisza. Wszyscy wiedzieli, że Alice nie ma szansy na zamążpójście. Tymczasem dziewczyna rozglądała się wokół, speszona, przerażona milczeniem gości. Nagle rozległy się dźwięki fortepianu. Melodia szczególnie znienawidzonej przez Lally piosenki wypełniła cały dom. Podchwyciły ją liczne głosy.

Strzeżcie domowego ogniska, Kiedy nasze serca tęsknią...

Rozdział dziesiąty

I

Lally ogarnęło uczucie zniechęcenia. W drodze powrotnej do Francji po raz pierwszy w życiu cierpiała na chorobę morską. Patrzyła na podróżujących wraz z nią mężczyzn i podzielała ich lęk, poczucie beznadziejności.

Mobilizowali się, by walczyć o przetrwanie.

W Calais byli świadkami przybycia amerykańskiego batalionu. Lally przyglądała się świeżym, młodym twarzom, czystym i dobrze odżywionym. Oni nie zaznali jeszcze rozczarowania. Żurawie portowe przenosiły całe tony ładunku. Z tego widoku też emanowała nadzieja. Czarny Jack opowiadał Lally niedawno o przerażających stratach marynarki brytyjskiej. Ale z drugiej strony blokada narzucona przez Brytyjczyków poważnie podkopała gospodarkę wroga. Podobno w Niemczech zaczął się głód. Jak to wszystko się skończy? Może nie będzie zwycięzcy, tylko dwa zmęczone giganty zewrą się i zatrzymają w martwym punkcie.

- No i co? - dopytywała się Susie. - Czemu jesteś taka przygnębiona? Twoja siostra wyszła za mąż, prawda? I to za lorda! Więc uśmiechnij się. Mimo wszystko nie jest tak źle. Są tu już jankesi. Wojna już niedługo się skończy. Nic nie trwa wiecznie.

Ale Lally ciągle przypominały się słowa Brocka. Siedzieli przed kominkiem w Grangewick i rozmawiali o szansach na zwycięstwo.

- Sytuacja gospodarcza aliantów uległa diametralnej zmianie - tłumaczył. - Kiedy wojna się zaczynała, Anglia i Francja miały wielki kapitał zainwestowany w Stanach Zjednoczonych. Teraz wszystko się zmieniło. Obydwa państwa wykorzystały już własne możliwości finansowe i obecnie są głęboko zadłużone. Nadal was zaopatrujemy i nadal wam pożyczamy. Zachowujemy pozory, ale też się bogacimy. Równowaga gospodarcza uległa zachwianiu i szala przechyliła się na naszą korzyść. Do czasu wojny nawet nie wiedzieliśmy, ile mamy do sprzedania.

Brock i jego przyjaciele, myśli Lally pobiegły innym torem. Kim oni są? Ten na przykład, który zawsze dostarcza apartamentu w „Ritzu”. Oddany przyja

152

ciel Brocka? I nagle zdała sobie sprawę, że Brockton Weymouth siedział z nią przy kominku w Grangewick, chociaż utracił wszystkie nadzieje na zdobycie Margaret. To właśnie on musi być zaliczony do przyjaciół rodziny Pollocków. Nadal zapewne będzie zaopatrywać ich w to, czego potrzebują. Ale za jaką cenę? Była przekonana, że ten człowiek nie robił niczego, co nie przyniosłoby mu korzyści. Ale siedział tutaj przy kominku. Co mógł na tym zyskać? Jej rozmyślenia przerwał głos Brocka.

- Powinnaś już być w łóżku, Lally. Jadę jutro do Londynu. Mogę odwiedzić cię do Dover, jeśli chcesz.
- A benzyna?
- Czyż nie powiedziałem, że jestem w korpusie kwatermistrzowskim? To studnia bez dna, Lally.
- Podrzucić mnie więc do Londynu. Obiecałam lady Ross spędzić z nią wieczór przed wyjazdem.
- Tak... Lady Ross - powiedział Brock w zadumie. - Ona przepada za tobą.
- Za mną? Skąd wiesz?
- Mam dwoje oczu.

Czarny Jack wysączył do dna swoją brandy.

- Zabiorę się z wami, Brock, skoro i tak jedziecie i zużywacie paliwo. Czyżby fakt, że Lally umówiona była z markizą spowodował nagłą decyzję

Czarnego Jacka? W Londynie zabrał je obie na obiad, a następnego dnia rano pożegnał Lally na Victoria Station. Zaledwie wspomniał markizę, ale też nie powiedział, kiedy wraca do Yorkshire. Z zadumy obudziły ją słowa Susie.

- Spróbuj zmienić wyraz twarzy, zanim pójdziemy na sale, Lally. Miałaś urlop i ślub w rodzinie. Chłopcy chcieliby zobaczyć twój uśmiech.

Lally rozejrzała się po zimnym, wilgotnym baraku, który służył im za stołówkę. Potem przeniosła wzrok na swoje popękane, spierzchnięte dłonie. Nie uzdrowiły ich dwa tygodnie domowego ciepła i grube warstwy lanoliny. Z trudem uśmiechnęła się, jak chciała Susie.

- Racja. Chodź, ugotujemy dla nich kakao. I rozdaję ciasteczka od Brocka. Prawdziwe amerykańskie herbatniki.

II

Dziwne napięcie ogarnęło wszystkich, poczucie, że to się musi wkrótce skończyć. Zimowe dni wlokły się ospale. Lally zaczęła bać się, że wiosna nigdy już nie nadejdzie. Bo wiosna musiała przynieść coś nowego. Dawała szansę kolejnej ofensywy, wspartej siłami amerykańskimi. Budziła nadzieję na rychłe zmiany. Lally młode twarze jankeskich żołnierzy wydawały się świeże i rześkie, tak inne niż u udręczonych Brytyjczyków i Francuzów. Ale wiosenna nadzieja okazała się zdradliwa. Od marca aż do początku kwietnia Niemcy prowadzili skuteczne natarcie. Karta odwróciła się dopiero w pierwszych dniach czerwca, kiedy druga

i trzecia dywizja ze Stanów Zjednoczonych, wsparte oddziałami francuskimi, zatrzymały nieprzerwany atak niemiecki. Amerykańscy komandosi zdobyli i utrzymali Belleau Wood na północ od Chateau-Thierry, a flota brytyjska coraz skuteczniej prowadziła akcję gospodarczej blokady Niemiec. Dziwna była ta nowoczesna wojna, myślała Lally. Działa wciąż wstrząsały ziemią, ale ponad głowami, coraz częściej toczyły się bitwy powietrzne. Krążyły już legendy o asach przestworzy.

- Wygląda to tak czysto tam w górze, prawda siostrzo? - zagadnął ją kiedyś kapral, któremu właśnie zmieniała opatrunek. - Wygląda spokojnie i czysto. Nic z błota i brudu, w którym paprzemy się na froncie. Mówiono mi, że najlepszą pracę mają mechanicy obsługujący aeroplany. Wszystko, co masz do roboty, to pilnować, by prawidłowo latały. Jeśli kiedykolwiek wrócę do domu¹, będę się uczył na mechanika. Cholerne ciężarówki, ambulanse i wszystkie te maszyny ciągle się psują. Powinna się zawsze znaleźć praca. Oczywiście, jeśli w ogóle wrócę.

- Wrócisz - automatycznie powiedziała Lally. Zawsze im to mówiła. Ale teraz sprawy przyjmowały nowy obrót, choć działo się to niezmiernie powoli. Wyobraziła sobie bezkresne wybrzeże i szare morze aż po horyzont. Linia wody cofa się o cal, może stopę, odsłaniając błotnisty pas piachu. Czy coś naprawdę zyskano?

- Panno Pollock, zasnęła pani? - głos siostry przełożonej brzmiał nutą wymówki.

- Ach nie, tylko gawędzimy — pogodnie odparł za Lally kapral. Nie czuł się bynajmniej onieśmielony. Był już dwukrotnie ranny. Pierś miał w orderach i wiedział, jak używać swojej pozycji bohatera do obrony pielęgniarek, które lubił.

Ale siostra perzłożona ciągnęła lodowatym tonem.

- Panno Pollock, proszę skończyć opatrunek i poprawić pościel. Potem może pani iść do mesy. Ma pani gościa. Lally odwróciła się błyskawicznie.

- Gościa? Czy to kapitan Pollock?

- Proszę skończyć opatrunek.

- Pomocy! -Kapral żartował z pośpiechu Lally. -Zabijesz mnie, siostrzyczko. Lepszą obsługę miałbym w punkcie opatrunkowym. - Potem mrugnął do niej. - Idź, kochana. Twój brat, prawda?

Lally opanowała się i odparła z uśmiechem.

- Kapralu, obiecuję pana nie zabić. Jeszcze nie teraz. - Ze szczególną dbałością, metodycznie dokończyła opatrunku. Wyrównała pościel, poprawiła poduszkę, wreszcie podała choremu papierosy.

¹W oryginale „Blighty” - określenie domu, rodzinnego kraju, wymarzonego przez żołnierzy walczących na froncie zachodnim podczas I wojny (przyp. red.).

- Idź, kochana - ponaglił ją ponownie. - Wiem, że chcesz uciekać... Kochasz go, widzę.

- Tak - przytaknęła - bardzo.

205

Amerykański samochód sztabowy stał przed barakiem mesy. Brock Weymouth wyskoczył z auta i zasalutował.

- Brock! - Próbowała nie okazać rozczarowania. - Ty... we Francji? Zdjął czapkę i pochylił się, by pocałować Lally w policzek.

- Cóż, zdecydowałem, że nie mogę wrócić do Stanów, dopóki nie zobaczę drugiego brzegu kanału. Wiesz, taka wycieczka może mi się przydać. Zrobi wrażenie na moich kontrahentach. Oczywiście, nigdy nie zostanę bohaterem jak Jon. Żadnych medali i tym podobnych. - Jona niedawno odznaczono Wojskowym Krzyżem Zasługi. - Żeby mieć order, trzeba walczyć. To nie w moim stylu.

- Więc co tu robisz?

- Co robię? - Nonszalancko wzruszył ramionami. - Zawsze znajdzie się jakiś generał, który potrzebuje zaopatrzenia. Jadę w kilka ciężarówek. Upewniam się, czy moi generałowie są wygodnie zakwaterowani i tak dobrze nakarmieni, by mogli skoncentrować się na wygrywaniu wojny. Faceci jak ja też się na coś przydają.

- Brock, jesteś nieprawdopodobnym cynikiem. A co to wszystko jest?

Nie przerywając rozmowy, Weymouth rozładowywał kartonowe pudło. Wyciągał puszki z brzoskwiniami, kostki mydła, masło, dżem, pudełka herbatników, czekoladę, pastę do zębów, lanolinę, pastę sardelową, prawdziwą kawę.

- Rozprowadź to. Myślę, że dziewczynom brakuje różnych rzeczy, tak samo jak żołnierzom.

- Nie mogę wziąć tego wszystkiego.

- Przestań być taka samolubna. Pomyśl o innych pielęgniarzach. Myślisz, że ci podziękują, jeśli wiedziona szlachetnością to odrzucisz? Żaden z moich generałów nawet na chwilę by się nie zawahał.

Lally pokręciła głową.

- Nigdy się nie zmienisz, Brock. Czy to jest samochód, pokój hotelowy...

- Co u Margaret? - przerwał jej ostro. - Straciłem z nią kontakt odkąd jestem we Francji. W Londynie widywaliśmy się dość często. Wygląda na to, że nie czuje się zbyt dobrze w roli mężatki. Faceci przestali tłoczyć się wokół niej.

Bali się ją skompromitować, jak mniemam.

- Ale ty się nie bałeś. Znów wzruszył ramionami.

- Ja? Cóż, znasz mnie. Nie jestem angielskim dżentelmenem. Łamię zasady. Ale powiedz, miałaś od niej jakieś wiadomości?

- Ostatnio nie. Nigdy dużo nie pisywała. Ale ojciec wspominał, że Margaret ma się dobrze. Nadal pracuje jako szofer. Bobby nie dostał żadnej przepustki, odkąd go odesłali z powrotem. Tak, myślę, że Margaret trochę się nudzi.

- A ty? Co u ciebie?

- Co tu dużo mówić. Po prostu brnę przez kolejne dni. I tygodnie. Boję się przez większość czasu. Padam na łóżko i zasypiam ze zmęczenia, wstaję i zaczynam wszystko od nowa. Niektórzy pacjenci odchodzą, coraz więcej nowych dowożą nam z punktów opatrunkowych. Najczęściej nie ma szansy, by poznać ich lepiej. Umierają albo są przenoszeni do szpitali bardziej oddalonych **od frontu**

155

bądź odsyłają ich do Anglii. Brock, kiedy to się skończy? Musiałeś coś słyszeć. Jesteś cały czas w pobliżu sztabu generalnego.

- Lally, skarbie, sztab generalny nie rozmawia z takimi nieważnymi facetami jak ja. Panowie oficerowie chcą mieć czyste prześcieradła w łóżkach i ogień w pokoju. Zacząłem podejrzewać, że gdybym nie rozkręcił już innych interesów, to powinienem być zająć się hotelarstwem. - Jego twarz nagle spoważniała. - Pamiętaj, że stopniowo niszczyliśmy Niemcy blokadą. Liczba statków, które budujemy przewyższa stan zatonięć. Sprzymierzeńcy Niemiec wpadli w pułapkę. Panuje głód. To doprowadzi do kapitulacji.

- Ale skąd oni wciąż biorą broń i amunicję? Ciągłe słyszeć działa. Ofensywa następuje po ofensywie. Brock dotknął jej ręki.

- Lally, mam tylko trzy godziny i wolałbym mówić o czymś innym niż wojna. Powiedziałem siostrze przełożonej, że przyjechałem na prośbę twego ojca. Dała ci czas wolny. Powiedziała, że i tak miałaś właśnie zejść z dyżuru. Zamówiłem obiad niedaleko stąd. Mają kaczkę i całkiem przyzwoite wino, w co trudno uwierzyć. Więc zdejmij fartuch, właśnie, o tak. I chodź na ucztę.

- Jak zdołałeś przekonać siostrę?

- Mam swoje sposoby, Lally. Tuzin butelek whisky. Zawsze słyszałem, że fachowa pielęgniarka lubi mieć flaszkę pod ręką, by dać pacjentowi pociągnąć, kiedy coś idzie gorzej. Zaoferowałem jej kilka butelek. Nie odmówiła. To była prawda. Siostra przełożona, stanowcza i rygorystyczna wobec pielęgniarek, rannym okazywała współczucie i troskliwość. Czasami nagrodą za szczególny ból stawał się łyk whisky. Był to wysoko ceniony luksus. Kiedy Lally poszła się przebrać, zauważyła, że fartuch ma poplamiony krwią. Narzuciła pelerynę i wróciła do mesy. Brock otoczony był wianuszkami pielęgniarek, które właśnie zeszły z dyżuru. Wykrzykiwały radośnie, pochylone nad zawartością kolejnego pudła. Niewiarygodne. Zawierało ono butelki whisky i brandy.

- Brock! Nie możemy tego przyjąć! - zaprotestowała Lally. Susie odwróciła się do niej z kpiącą miną.

- A kto cię pyta? Major właśnie zrobił prezent dla mesy. Nie uważasz, że zasługujemy na kieliszeczek od czasu do czasu? Pan Weymouth ofiarował już to samo dla żołnierzy. Nic im więc nie zabieramy. - Spojrzała zuchwale na Bracka. - Nigdy nie odmawiamy prezentów od sojuszników. Generałowie też nie. Ani whisky, ani broni.

- Cóż - Brock założył czapkę - powiedzmy, że to paczka przedświąteczna. Tak na wypadek, gdyby siostra przełożona się dopytywała. Lepiej uczcijcie święta wcześniej, drogie panie, ponieważ, jeśli wszystko pójdzie dobrze, na Gwiazdkę już was tu nie będzie.

- Dobra, dziewczyny. Zaczniemy organizować Boże Narodzenie i zabierzmy to wszystko sprzed oczu siostry - dziarsko zakomenderowała Susie.

*

* *

208

Jedli obiad w wiosce prawie nie tkniętej bombardowaniami. Czerwone naszywki na mundurach świadczyły o tym, że większość gości stanowili oficerowie sztabu generalnego. Lally rozejrzała się uważnie. Byli to głównie Amerykanie.

- Nie mogę w to uwierzyć. Może, mimo wszystko, wreszcie ta wojna się skończy. Naprawdę myślisz, że przed świętami, Brock?

- Lally, skarbie, powiedziałem tak, bo nie mogłem znieść wyrazu ich twarzy. Tym dziewczynom brakuje wszystkiego, co dla kobiety niezbędne. Może to słuszne, a może nie, ale sztab woli, żebyśmy szerzyli optymistyczne prognozy. Nie patrz w menu, bo nic tam nie ma. Ale mają wino i kaczkę, a madame właśnie zerwała trochę truskawek.

- Truskawki. Boże, to wspomnienie z innego świata. Ostatni raz jadłam truskawki...

- Ostami raz jadłaś truskawki, Lally, rzeczywiście w innym świecie. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że byłaś grubą małą debutantką i pochłaniałaś wszystko, co znalazło się na stole w zasięgu twego wzroku. Ale mężczyźni zawsze chcieli z tobą rozmawiać, ponieważ byłaś najinteligentniejszą dziewczyną w towarzystwie, a Margaret najładniejszą.

Stanowiłyście interesującą kombinację. - Skinął głową, dziękując kelnerowi, który przyniósł owiniętą serwetką butelkę i nalał wina do kieliszków. - *Vin ordinaire*, oczywiście. Ale udawajmy, że *topouilly-fumé*.

Lipcowe słońce wpadało przez wysokie okna, wychodzące na trochę zaniedbany ogród. Za różaną pergolą, zgadywała Lally, rozciągał się zapewne ogród warzywny, gdzie rosły truskawki i inne delikatesy, a dalej podwórze, po którym dreptały kury i kaczki, bez wątpienia skrzętnie pilnowane przed złodziejami. Chleb na stole był biały i świeży, obrus nakrochmalony. Istniały jeszcze takie oazy jak ta? Od strony ulicy dom wyglądał skromnie i nie miał żadnego szyldu informującego, że jest oberżą. A jednak sala pełna była gości. Tyle że samochody sztabowe zaparkowano gdzieś dyskretnie, by nie rzucały się w oczy przechodniom.

- Lally, jeśli zamierzasz siedzieć z miną winowajczyny, wracamy prosto do szpitala. Do cholery, ciesz się! Jaką różnicę zrobi, że raz porządnie się najesz? Nie możesz posłać im tego do okopów.

- Przepraszam. Nie powinnam marnować...

- Nie, nie powinnaś. I nie psuj radości dziewczynom w szpitalu. Masz zadatki na zasadniczą nudziarę, moja droga.

- W przeciwieństwi do Margaret?

- Cholerna racja! Margaret jest inna. Cieszyłaby się każdą minutą przepustki i pozwoliłaby każdemu mężczyźnie, który zatrzymał na niej wzrok, poznać, że to ją raduje. Oni patrzą na ciebie, Lally. Oficerowie, którzy nie mieli tego szczęścia, żeby towarzyszyła im kobieta, odwracają się i gapią za tobą. Ciesz się tym! Pij wino, jedz i do cholery ciesz się tym! Nie jesteś już grubą debiutantką. Jesteś śliczną kobietą i budzisz pożądanie.

- Czy ty przypadkiem nie zalecasz się do mnie?

157

- Nie, nie zalecam się. Mówię tylko prawdę. Następnym razem, kiedy będę miał kilka godzin wolnego, zabiorę na obiad tę małą czerwonołosą z ładnym noskiem. Jestem pewien, że ona nie będzie żywić żadnych Obiekcji wobec kaczkki i *pouilly-fume*.

Lally podniosła rękę.

- Uroczyście przysięgam cieszyć się każdą minutą i każdym kęsem.

- No, tak lepiej. Tylko nie bądź zbyt uroczyista.

Jedli, rozmawiali i czas szybko im przeleciał. Lally próbowała nie wspominać o Jonie. Zauważyła też jak Brock zaciskał usta, słysząc imię Margaret. Słońce zaczęło się zniżać, gdy popijali kawę i koniak. Już wkrótce musieli wracać. Brock nadal nie wyjawiał, czym się naprawdę zajmuje. Lally zdała sobie sprawę, jak bardzo był dyskretny, niekiedy nie wspominając ludzi, którym podlegał. Ale też, jak dotąd, nie udało się z niego wydobyć ani słowa o interesach, jakimi się parał, zanim przywdział mundur. Brocka Weymoutha nie można było umieścić w żadnych ramach.

Wino i koniak sprawiły, że stała się bardziej spontaniczna. Albo było to powszechnie panujące poczucie, iż czasu jest zbyt mało, by bawić się w subtelności. W każdym razie Lally odważyła się zapytać:

- Nadal wiele myślisz o Margaret, prawda, Brock? Byłeś drużbą na jej ślubie, ale wciąż nie do końca wierzysz, że ona odeszła. A przecież straciłeś ją.

- Tak, byłem świadkiem ślubu. To prawda. Ale później widywałem w Londynie kobietę, która nie zdawała sobie sprawy, co oznacza małżeństwo. - Jego twarz stała się zupełnie pusta. Z taką miną mógł recytować rozkład jazdy pociągów albo coś równie obojętnego. - Musimy już iść, Lally. Mam jeszcze spory kawałek do przejechania w nocy. Poprowadził ją między stolikami. Zauważyła wlepione w siebie spojrzenia. Przed główną bramą szpitala musnęła usta Brocka w pocałunku.

- Naprawdę cieszyłam się tym popołudniem. Dziękuję, że ostrzegłeś mnie. Nie chcę stać się zgorzkniałą starą panną. Będę radować się każdym drobiazgiem, który pojawi się w przyszłości na mojej drodze. Bo będzie przyszłość, prawda, Brock?

- Będzie przyszłość, skarbie. Jasne, że będzie. Ja, wujek Brock, osobiście to gwarantuję.

Samochód sztabowy odjechał we wciąż jeszcze jasny lipcowy wieczór.

- Fiu! - gwizdnęła Susie na widok Lally. - Ale pachniesz! Pełna dobrego wina, co? - Przeturlała się po połowce. - Chciałabym mieć go na kilka godzin. Cóż, nieważne... Powiedz, co jedliście?

* *

Później Lally zawsze myślała o obiedzie z Brockiem jak o jakimś punkcie zwrotnym. Symbolizował dla niej iskierkę nadziei rozgorzałą na nowo pośród okropnego zmęczenia ostatnich miesięcy i lat.

211

Odkąd wojska amerykańskie odznaczyły się pod Chateau-Thierry, szczęście uśmiechnęło się do aliantów. W lipcu Ludendorff raz jeszcze rzucił swe siły do ataku. W ten sposób doszło do drugiej bitwy nad Marną. Dziewięć dywizji amerykańskich stanęło do walki i wyparło Niemców za linię rzeki. Francuzi odzyskali Soissons. Sierpień rozpoczął się więc pod dobrymi auspicjami. Lally wyczuwała podniecenie na salach i w barakach. I wówczas nadeszły wiadomości o bitwie pod Amiens. Brytyjskie plany były starannie opracowywane i dobrze ukrywane. Anglicy rzucili do walki czterysta pięćdziesiąt czołgów i już pierwszego dnia zdobyli osiem mil terytorium wroga. Osiem mil tego pustkowia, błota i zgliszczy, gdzie przedtem tysiące mężczyzn postradało życie, by zyskać choć kilka stóp.

- Boże! - powiedziała Susie. - Nie mogę w to uwierzyć. Myślisz, że tym razem to prawda, Lally?

Mijały sierpień i wrzesień. Nadchodziły wieści, które nie mogły być zmyślane ani przesadzone. W drugiej bitwie nad Sommą i pod Arras Brytyjczycy i Francuzi odzyskali oblane krwią ich rodaków miejsca: Roye, Bapaume, Noyon i Perrone. Niemcy wycofali się aż do linii Hindenburga. Tymczasem Amerykanie zajęli St Michel. We wrześniu i październiku raz jeszcze rozgorzała walka o Argonne i Ypres. Amerykanie przedarli się przez Argonne, a Brytyjczycy zajęli St Quentin i Armentieres. Rozeszła się pogłoska, że rządy niemiecki i austro--węgierski zwróciły się do prezydenta Wilsona z propozycją rozejmu, godząc się na przyjęcie jego Czternastu Punktów. Czasem Lally budziła się w środku nocy, a serce łomotało jej tak, że nie mogła złapać oddechu. Wykonując swoje zadania, które stały się teraz nieomal rutyną, nieustannie myślała o tym, że Jon walczył w dwóch ostatnich bitwach i znów jego batalion przesunięto na linię frontu. Graniczyło z nieprawdopodobieństwem, by Pollock wyszedł z tego bez szwanku. Lally nie wierzyła, że mógłby przetrwać do końca.

- Dlaczego jesteś taka przygnębiona? - pytała Susie. - Wygrywamy. Wreszcie wygrywamy!

Lally milczała. Bała się wymawiać imię Jona, jakby jej słowa mogły zwrócić na niego uwagę nienawistnych bogów. Jon musiał przeżyć jeszcze te ostatnie dni.

A były to naprawdę ostatnie dni wojny, choć bardzo niewielu ośmielało się w to uwierzyć. W październiku Amerykanie i Brytyjczycy kontynuowali swój zwycięski marsz. Armia niemiecka zaczęła gwałtownie się wycofywać. Dziesiątego listopada jankesi dotarli do Sedanu. Prawie dokładnie tam, gdzie się to wszystko rozpoczęło, myślała Lally. Później rozeszła się wieść, że trzeciego listopada wybuchł bunt floty niemieckiej w

Kilonii. Wkrótce rozszerzył się na Hamburg, Bremę, Lubekę i całe północno-zachodnie Niemcy. A w Monachium rozgorzała rewolucja.

Cesarz Wilhelm II abdykował i uciekł do Holandii. Lider socjalistów, Scheidemann, proklamował Republikę Niemiecką.

W wagonie kolejowym w Compiègne przedstawiciele nowego rządu Niemiec przyjęli od marszałka Focha warunki aliantów. Przede wszystkim mieli doprowadzić do całkowitego rozbrojenia państwa.

159

Jedenastego listopada o jedenastej rano ciężkie działa na froncie zachodnim zamilkły. Nastąpiła chwila oszołomienia, niedowierzania, a potem wybuchła histeryczna radość. Lally oprzytomniała, tuląc w objęciach jakiegoś szlochającego żołnierza, człowieka, który znosił swoją ranę ze stoickim spokojem, a teraz płakał jak dziecko.

- Zrobiłem to, siostró. - Ścisnął jej rękę tak mocno, że aż zabolalo. - Na Boga, zrobiłem to! Zwyciężyłem tego starego skurczybyka!

- Zwyciężyłeś? Kogo?

Spojrzał na nią nieprzytomnie. Łzy wciąż spływały mu po twarzy.

- Przeżyłem. Czy to prawda?

Gdy Lally wróciła z dyżuru, znalazła Susie leżącą na połówce. Ramiona dziewczyny drżały, a oczy zaczerwienione były od łez. Dmuchała silnie w chusteczkę do nosa. Susie płakała. Ta Susie, której nigdy wcześniej nikt nie widział załamanej.

- Co? - Nie mogę wylać kilku łez, skoro wszyscy to robią? - rozłościła się. Jon, pomyślała Lally. Od dwóch tygodni nie było żadnych wiadomości od

Jona. Żołnierze ginęli do ostatniej chwili. Czy Jon przeżył? Żaden głos nie zabrzmiał uspokajającą pewnością.

Tej nocy, gdy mężczyźni na szpitalnych łóżkach śpiewali sprośne piosenki, których nauczyli się w okopach, i nikt ich za to nie ganił, gdy wszyscy pozdrawiali się i ściskali, Brock Weymouth przedzierał się przez rozradowany tłum. Drogi były zablokowane. Samochody jeździły bez określonego celu i szaleńczo trąbiły klaksonami. Wreszcie Brock dotarł do mesy pielęgniarek w starym opactwie. Tym razem nikt nie próbował ukrywać pudła z whisky. Sanitariusze, lekarze, ordynansi i kierowcy ambulansów okupowali barak mesy. Sistrzyczki roznosiły wśród personelu i chorych kubki z alkoholem.

- Lally, wszystko w porządku? - spytał Brock.

- Myślę o Jonie. - Więcej nie potrafiła wykrztusić.

Zabawa trwała aż do białego rana. Nikt nie troszczył się o sen, wszelkie przepisy zostały chwilowo zawieszono.

Wyciągnięto skądś poobijany fortepian i ktoś grzmocił weń nieprzerwanie. Brocka otoczały rozpromienione pielęgniarki. Nawet siostra przełożona przy nim tajała. Dla niego śpiewano „Daleko tam...”. Wybaczone mu elegancki, odprasowany mundur. Wybaczone łatwy dostęp do różnych dóbr doczesnych, z whisky włącznie. Trudno było rzeczywiście przyznać, że Amerykanie wygrali tę wojnę. Byłoby to wyparcie się zbyt wielu własnych poległych. Ale

zarówno ranni, jak i personel szpitala wiedzieli, że nie wyśpiewywaliby piosenek tej nocy, gdyby nie interwencja jankesów. Pewien kapitan, bardziej niż inni pijany, walnął Brocka w plecy.

- Mianuję cię honorowym członkiem Królewskich Karabinierów z Wiltshire, stary. Witaj w pułku.

- Dzięki... Doceniam to.

Brock utorował sobie drogę do Lally. Znalazł ją zamyśloną, jakby nieobecną. Blasowany kubek z whisky stał obok prawie nietknięty.

160

- Przestań myśleć o Jonie. Na pewno wszystko z nim w porządku. Słuchaj, sprawdzę to z samego rana. Przez jakiś czas komunikacja będzie jeszcze chaotyczna. Wszyscy zapewne zechcą już jutro się zdemobilizować, spakować ma-natki i wrócić do domu. A nie możemy. Musimy tu trochę uporządkować.

Lally odwróciła się do niego.

- Właśnie to zrozumiałam. Nie można natychmiast wrócić do dawnego życia. W gruncie rzeczy nigdy się to nie uda, prawda? Właśnie przypomniałam sobie, że jeśli faktycznie urodziłam się w tym miesiącu, bo jak wiesz za datę urodzin uznałam dzień, kiedy ojciec znalazł mnie pod Giełdą Zbożową w Leeds, to mam już dwadzieścia jeden lat, Brock. Skończyłam dwadzieścia jeden lat i nawet nie pomyślałam o tym.

Pochylił się i pocałował ją.

- Jedenastego listopada to twoje urodziny, Lally. Wszystkiego najlepszego.

- Czy tobie też wyznaczyli jakąś datę, żebyś mógł świętować? Brock wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ależ oczywiście. Wyznaczyli mi urodziny, w dniu, którego może pozazdrościć mi amerykański chłopiec. Rzekomo urodziłem się czwartego lipca. Brockton Weymouth jest stuprocentowym jankesem.

Lally złapała się na tym, że odwzajemnia jego pocałunek. Ogarnęło ją ciepłe uczucie przywiązania i duchowego pokrewieństwa. Ten człowiek, całkiem obcy pojawił się pośród nich, a teraz znała go jako najdroższego przyjaciela.

- W takim razie żadne z nas nigdy nie zapomni o urodzinach drugiego, prawda?

III

Dni mijały, a telegram od Czarnego Jacka nie nadchodził, więc Lally poczuła się trochę pewniej. Jon nie zginął i prawdopodobnie nie był nawet ranny. Mogła teraz spokojnie czekać. Całkowicie poświęciła się pracy. Wielu przeżyło wojnę, a mimo to nie miało szansy nacieszyć się pokojem. Ciągłe ktoś umierał. Szczególny żal ogarniał Lally na widok nieszczęśników, którzy wypuszczeni z okopów, natychmiast trafiali do szpitala, bredząc w gorączce. Grypa hiszpanka zbierała obfite żniwo. Chorych próbowano odizolować, ale nie sposób było powstrzymać epidemii. Coraz więcej zarażonych umierało. Lally słyszała, jak lekarz wypisujący kolejny akt zgonu mówił do towarzyszącej mu pielęgniarki:

- Zaczynają już publikować statystyki, siostró. Podobno to najgorsze piekło od czasu Czarnej Śmierci w czternastym wieku. W rzeczy samej... - Przerwał pisanie i spojrzał na oczekujące poleceń kobiety. - Prawdopodobnie schodzicie sobie jeszcze nogi. Zaczyna się mówić, że liczba ofiar hiszpanki może przewyższyć liczbę poległych na wojnie. Grypa dociera wszędzie. Proszę pilnować, by pielęgniarki nie były nadmiernie przemęczone. To osłabia - zwrócił się do siostry przełożonej. Bóg wie, jak chciałbym mieć pewność, że dostają przyzwoite jedzenie, ale wiem, że to pozostaje w sferze marzeń.

11 - Obietnice

161

Telefon zadzwonił, gdy Lally myła się przed snem. Jedna z ochotniczek wpadła jak burza do baraku.

- Pollock, to twój brat! Biegnij. Bóg wie, jak długo utrzyma się na linii. Cały świat zdaje się próbować rozmów w tym samym czasie.

Głos w słuchawce pojawiał się i znikał. Na linii coś nieustająco trzeszczało.

- Jestem w Dunkierce, Lally - krzyczał Jon. - Dostałem. Przedostatniego dnia. Nic wielkiego. Tylko w rękę.

- Jon! - Rana ręki nie powinna być niebezpieczna. - Wszystko w porządku?

- Jasne! Ale uważają, że powinienem się trochę podleczyć, więc odsyłają mnie do domu. Zdaje się, że trafię do Chelsea Royal. Chyba nie wrócę już do Francji.

- Dzięki Bogu!

- To wszystko, co możesz powiedzieć? Nie jest ci przykro, że wyjeżdżam?

- Będziesz bezpieczny. Wyzdrowiejesz. Wracasz do domu. To najważniejsze.

- W takim razie, czy zrobisz coś dla mnie, Lally? Czyż mogła cegokolwiek mu odmówić?

- Wszystko, co zechcesz - odpowiedziała.

- Upadnij na kolana i błagaj o czterdziestoosmiogodzinną przepustkę. Musisz spotkać się z rannym bratem. Brock załatwi transport. Będzie drużbą.

Ręce zrobiły się jej mokre od potu. .

- Drużbą? Na czym ślubie?

- Na naszym, oczywiście. Twoim i moim, Lally. Chyba że masz kogoś innego na myśli. Jesteś tam jeszcze?

- Tak... tak, jestem.

- Twój głos nie brzmi zbyt entuzjastycznie.

- Ja... ja...

- Przyjedziesz? Pobierzemy się? Mam umówionego kapelana. Zna mnie od kilku lat, ale mimo to trzeba go było długo przekonywać, by uwierzył, że mogę się z tobą ożenić. Nie mam przy sobie aktu zgonu Sandy, a poza tym on zawsze myślał, że niejaka Lillian Pollock to moja siostra. Przyjął wreszcie do wiadomości fakt, że jestem wdowcem. Pułkownik to potwierdził. Ale jeszcze opierał się, bo, jak twierdził, nie mógł przypomnieć sobie nikogo, kto chciałby poślubić własną siostrę. Och, i skoro jesteśmy we Francji, będziemy musieli przejść także przez ceremonię cywilną.

- Nie wiem, czy powinnam wyjść za ciebie, Jon. Jesteś pewien, że tego chcesz? Nie musisz...

- Przestań, Lally. Przestań. Dorosłem od czasów Sandy. Wiem, czego pragnę, i nie mam już romantycznych kłapek na oczach. Muszę za to być pewien ciebie. Zawsze zastanawiałem się, czy nie postąpiłaś tak po prostu z litości. Mó

wią, że wiele kobiet tak robi. Wiesz, co mam na myśli. Żołnierz wraca do okopów. Żal, współczucie. To może być jego ostatni raz. Czy i z tobą tak było, Lally?

Trzaski na linii zwiększyły się.

- Co? Co powiedziałeś?

- Czy zgodziłaś się, bo było ci mnie żal? Lally, słyszysz mnie?

- Nie, nie o to chodziło. To naprawdę nie było tak. Boże, nie da się o tym rozmawiać, krzycząc do słuchawki. Pewnie parę tuzinów ludzi mnie teraz słyszy.

- Mnie też. Trudno. Potrzebuję krótkiej odpowiedzi. Nie musimy dyskutować. Będiesz, Lally? Przyjedziesz? Poza tym, nawet jeśli postąpisz samowolnie, co będą mogli ci zrobić? Najwyżej cię wyrzucą. A wojna się skończyła.

Wyrobiłaś już swoją normę. Muszę wiedzieć, Lally. Przyjedziesz?

- Tak! Jakoś tam dotrę. Nawet jeśli będę musiała zdezerterować. Ale nie chciałabym odejść ze szpitala. Mamy zbyt wielu chorych. Potrzebują...

- Ja też jestem chory, Lally. - Nie znalazła na to odpowiedzi. Jego głos, słaby i napięty, przedzierał się przez odległe trzaski. - Czekaj przed bramą opactwa w czwartek o ósmej rano. Będzie przejeżdżał tamtędy konwój amerykańskich ciężarówek. Brock umówił się z dowódcą, że ma cię wypatrywać. Podwiozą cię aż tutaj.

- Brock? Jak on to załatwił? - Czwartek był pojutrze, a właściwie już prawie jutro.

- Nie pytaj. Tylko bądź tam. Mogę mu powiedzieć, że będziesz?

- Tak. - Nagle połączenie urwało się.

Idąc przez zimne i ciemne klasztorne korytarze próbowała zebrać myśli. Co się stało? Jedna rozmowa telefoniczna, a były w niej zawarte odpowiedzi na wszystkie nadzieje życia. Ale czy na pewno? Jon nie powiedział, że ją kocha.

Nigdy się do niej nie zalecał, nie adorował jej. Lally wiedziała, że to, co ona czuje jest miłością. Ale jakich on użył słów? „Nie mam już romantycznych kłapek na oczach”. Czy to wystarczy, żeby kogoś poślubić? Wsłuchiwała się w echo własnych kroków w pustym klasztorze. Jeśli żeni się z nią z litości lub poczucia obowiązku, małżeństwo nie może być udane. Marzenia umrą, tak pewnie, jakby to on sam umarł. Ale właściwie, dlaczego wszystko miałoby się skończyć fiaskiem? Nagle poczuła gniew i pogardę dla samej siebie. Dlaczego nie potrafiła uwierzyć w to, co się stało? Brock powiedział jej, że w oczach mężczyzn jest bardzo atrakcyjną dziewczyną. Może więc wzbudzić namietność w Jonie. Nie wolno jej pozwolić sobie na myśl, że Jon zwrócił się do niej, by uciec od pamięci o Sandy. Jeśli Jon nie kocha jej jeszcze, zdobędzie go. Nie przepuści szansy. Nie wolno się wahać, bo mogłaby go stracić. Po czterech

latach wydostał się z piekła i pragnął życia, a nie podejrzeń czy wyrzutów. Poprosił, by czekała przed bramą opactwa, więc będzie czekała. Pojedzie do niego i niech się dzieje, co chce.

*

* *

218

Miotana na przemian strachem i nadzieją poszła do siostry przełożonej i zawiadomiła, że jej brat został ranny.

Odsyłają go do Anglii. Czy mogłaby dostać przepustkę, żeby się z nim zobaczyć?

Siostra zmierzyła Lally spokojnym spojrzeniem.

- Nie ma, jak rozumiem, zagrożenia życia, panno Pollock. Wydaje się też mało prawdopodobne, teraz gdy działania wojenne ustały, by odesłano go znów do Francji. Nie jest zawodowym oficerem, prawda?

- Nie, siostrze.

- Więc prawdopodobnie zostanie wcześniej zdemobilizowany. Sądzę, że może pani poczekać z tym spotkaniem.

- Nie, siostrze. Nie mogę.

- Wie pani, co się u nas dzieje z powodu hiszpanki. Potrzebujemy każdej pary rąk do pomocy.

- Czterdzieści osiem godzin, siostrze, nie więcej. Proszę.

- Panno Pollock, pracowała pani bez wątpienia ciężko. Należy się pani urlop. Cóż, kiedy dotyczy to nas wszystkich. Skoro to jednak tylko czterdzieści osiem godzin... - Sięgnęła po pióro i zaczęła pisać.

*

* *

Następny dzień Lally spędziła w gorączce nadziei i powracających wątpliwości. Była roztargniona. Zauważyła, że drżą jej ręce. Dreszcze nerwowego podniecenia wstrząsały jej ciałem. Okazała się niezwykle, jak na doświadczoną pielęgniarkę niezręczna przy zakładaniu opatrunków. Termometr wyślizgnął się jej z palców i stukł. Przy kolacji nie mogła nic przełknąć. Susie popatrzyła na nietkniętą porcję.

- Nie skończysz tego, Lally? - Nie uzyskawszy odpowiedzi, sięgnęła po talerz przyjaciółki. - Nigdy nie widziałam cię tak rozgorączkowanej. Ale rozumiem. To cudownie, że przeszedł przez to wszystko właściwie bez szwanku. Tylko tamta rana w nodze i jakieś zadrapanie teraz. Niewielu by się znalazło takich szczęściarzy. Choć, pamiętaj, to może być coś więcej niż drobniak, jeśli odsyłają go do Anglii. Niemniej, skoro miał siły rozmawiać z tobą, nie czuje się z pewnością tragicznie. Masz szczęście. Siostra przełożona pozwoliła ci jechać. Cóż, dlaczego niej? Zasłużyłaś na przepustkę.

Susie nadal wesoło gawędziła, gdy Lally układała ubrania w walizce. Nie miała nic, co można by choć w przybliżeniu uznać za strój ślubny. Popatrzyła na barchanową, praktyczną bieliznę i zatęskniła za dotykiem jedwabiu. Po chwili zreflektowała się jednak, że gatunek bielizny nie ma żadnego znaczenia.

Gdy tej nocy Lally wierciła się bezsennie na poduszce, przypomniała sobie obietnicę markizy. Lady Ross chciała urządzić jej wspaniałe wesele. Wreszcie zapadła w niespokojny sen. Mimo panującego w namiocie chłodu, policzki jej płonęły, a ciałem wstrząsały dreszcze.

Obudziła ją Susie, nie budzik.

220

- Czy to już czas? - zdenerwowała się Lally. - Nie mogę się spóźnić. Przy bramie. O ósmej.

Dłoń Susie dotknęła jej czoła, a potem pośpiesznie poszukała pulsu.

- Przykro mi, Lally. Nie wydaje mi się, żebyś mogła jechać do Jona. Myślę, że złapałaś grypę, tę cholerną hiszpankę. Słuchaj, pójdę zawiadomić siostrę przełożoną. I zobaczę, czy da się ściągnąć do ciebie lekarza.

- Nie, nie! - Lally usiłowała wstać. Świeca, którą zapaliła Susie, rozplywała się przed jej oczami. Nikłe, nierówne światło wydawało się podskakiwać i opadać. - Muszę iść, Susie. - Zmusiła się do wstania, lecz zaraz osunęła się z powrotem na połówkę. - Muszę - powtórzyła.

- Nie ma żadnego „muszę”, kochana. Majaczyłaś przez sen. O Jonie. I cała płoniesz. - Ułożyła Lally troskliwie i przykryła dodatkowymi kocami z własnego łóżka. - Nie dałabyś rady stąd wyjść, nawet gdybyś spróbowała. Szkoda, wiem... Zobaczę, czy uda mi się znaleźć siostrę. To okropne, ale nic na to poradzić nie możemy. Możemy tylko czekać na przesilenie.

Kiedy wyszła, Lally raz jeszcze próbowała się podnieść, ale znów runęła bezwładnie. Potem półprzytomna naciągnęła na siebie koce, próbując ochronić się przed lodowatymi dreszczami. Miała wrażenie, jakby mrożone dłonie przesuwwały się wzdłuż jej kręgosłupa. Poduszka wydawała się rozgniatać jej czaszkę.

- Jon... Jon... - szeptała zrozpaczona. Wiedziała, że konwój ciężarówek minie szpital, a ona z nimi nie pojedzie.

*

Minęły dwa tygodnie, zanim mogła wstać, chwiejając się na nogach, słaba, przeżywała najgłębszą depresję swego życia. Przeniesiono ją z namiotu do baraku z piecem. Opieki nad chorą podjęła się głównie Susie, która wpadała do niej na kilka minut podczas dyżurów i spędzała przy łóżku przyjaciółki cały czas wolny od służby.

- Kilka aspiryn to wszystko, co mogliśmy zrobić. Raz myśleliśmy, że już po tobie, Lally - opowiadała później. Temperaturę miałaś bardzo wysoką i majaczyłaś. Siostra przełożona chciała pisać do twego taty. Wtedy nagle gorączka ci spadła i było po wszystkim. Ależ ty znasz kilka porządnych przekleństw. Nigdy nie myślałam, że dobrze wychowana młoda dama mogła w ogóle zetknąć się z takim językiem.

Przekleństwa? Nie, nie słyszała ich zbyt często. Czasami na szpitalnych salach, kiedy któryś z żołnierzy majaczył. Lally była niemal pewna, że słowa pochodziły z ciemnego, zimnego pokoju, który nadal istniał w jej pamięci. Wrócił dawny koszmar, zapach choroby i nędzy, wrażenie dojmującego zimna, przekleństw, uderzeń. Ciało znów bolało ją od tamtych razów.

W słabym grudniowym słońcu Lally wlokła się do mesy. Znów nie była w stanie jeść.

165

- Lepiej wepchnij to w siebie, Lally. Musisz nabrać sił, by chodzić. Wysyłają cię do domu. Taka osłabioną nie możesz jechać. Chcesz, żeby położyć cię na nosze? Dobra, czujesz się na siłach poczytać swoją pocztę? Są tego stosy.

Opatuliwszy się kocem, Lally usiadła naprzeciw żelaznego piecyka i otworzyła listy. Większość, pisana niezdarkim pismem, którego nie rozpoznawała, była od Jona. „Co za cholerny pech. Pozwolili mi dzwonić każdego dnia, kiedy tylko mogłem. Myślałem, że oszaleję. Siostra przełożona pisała, że byłaś bliska śmierci. Nie powiedzieliśmy nic ojcu, dopóki Twój stan nie poprawił się. Kochana Lally, zdrowiej i szybko wracaj do domu. Potrzebuję Cię...” Dalej słowa stawały się niemal nieczytelne. Pod koniec strony przechodziły w dziwną bazgraninę. „Brock i ja nie wiedzieliśmy, co robić, kiedy nie pojawiłaś się z konwojem. Postanowiliśmy zaryzykować telefon. Brock użył swoich wojskowych znajomości, sądząc, że Cię nie wypuszczono. Powiedział, że zostałem odesłany do kraju. Kiedy dowiedzieliśmy się o Twojej chorobie, po prostu usiedliśmy i piliśmy na umór. Spodobałby Ci się nasz ślub, Lally. Brock zdobył tort, lukrowany tort, możesz to sobie wyobrazić? I szampana. Uczta miała odbyć się w sali, gdzie wszyscy mogli nas podziwiać. Brock pożyczył nawet welon... Tylko wracaj szybko do domu, Lally. Mieliśmy ciąc tort szablą...”

Przerwała. Następny list skreślony był tymi samymi bazgrołami. Niepowstrzymane łzy spływały po policzkach Lally. Przegapiła własny ślub. Nigdy nie będzie już lukrowanego tortu. „Przepraszam za pismo - tłumaczył się Jon. - Mam nadzieję, że możesz je rozczytać. Nie jestem przyzwyczajony do pisania lewą ręką. Prawa jest zabandażowana. Dostałem gangreny, dlatego mnie odesłali. Jak widzisz, wylądowałem w Royal Chelsea. Ranę oczyścili tu bardzo dobrze. Straciłem tylko dwa palce. Mówią, że reszta goi się ładnie. Znaczą to, że niestety nie zagram w krykieta w drużynie Yorkshire. Ale myślę, że jakoś to zniosę. Będę po prostu znów marzył siedząc z boku i obserwując grę, tak jak to dawniej robiliśmy. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że przed wojną zawsze było słonecznie. Chociaż przecież wyraźnie pamiętam deszczowe dni. I dziewczęta z moich wspomnień zawsze nosiły białe sukienki. Obiecuję, że będziesz mieć na sobie białą sukienkę, kiedy pójdziemy na mecz krykieta, Lally”. Były też i następne listy. „Ojciec jest tu, w Londynie. Margaret też. Odwiedza mnie w szpitalu codziennie. Wypuszczają mnie jutro, potrzebują łóżka. Połowa Londynu wydaje się chorować na hiszpankę. Będę przychodził tylko na zmianę opatrunków. Brock zaoferował nam swoje pokoje w „Ritzu”. Lady Ross jednak prosi, żebyśmy zostali u niej. Jestem tak rozpieszczany, a nadal czuję się opuszczony. Bo ciebie tu nie ma. Napraw to niedopatrzenie szybko. Przyślij telegram, kiedy tylko będziesz znać datę Twego przyjazdu. Bądź zdrowa, moja ukochana”.

Moja ukochana... Moja ukochana... Nazwał ją swoją ukochaną. To wystarczy, ona sprawi, że to wystarczy, by byli szczęśliwym małżeństwem. Starła łzy z twarzy i powoli wróciła do mesy. Stół nie został jeszcze posprzątanym. Lally znalazła chleb, niesmaczny czarny chleb, do którego dawno się już przyzwyczała. I puszkę dżemu truskawkowego. Rozsmarowała dżem na chlebie i-nalala do

166

kubka wystudzoną lurę, noszącą w szpitalu miano kawy. Będzie jeść i wyzdrowieje. Wróci do domu, do Anglii i odbędzie się ślub. W końcu Jon nazwał ją swoją ukochaną.

*

* *

Do mesy wniesiono pudełka przysłane przez Brocka.

- Skąd on, u licha, wziął nóżki w galarecie? - zastanawiała się Susie. -Naprawdę musiał myśleć, że jesteś umierająca. I spójrz, szynka! Teraz słuchaj. Masz zjeść to wszystko i wyzdrowieć. Nie puszczą cię, dopóki nie będziesz wyglądać na zdolną do podróży. Pewnie dostaniesz długi urlop. Prawdopodobnie w ogóle już nie wrócisz. Podejrzewam... podejrzewam, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

- Susie! To głupi dowcip. Przyjedziesz do Yorkshire. Ojciec pragnie cię poznać.

Drobne ramiona drgnęły.

- Sama nie wiem. Nie bardzo byłabym na miejscu pośród was. Złość przywróciła Lally siłę. Dziewczyna potrząsnęła przyjaciółką.

- Zaraz zacznę znowu przeklinać, i to ci się nie spodoba. Taki z ciebie deli-kacik, już nie pamiętasz?

Inteligentna mała twarz rozluźniła się w szerokim uśmiechu.

- Tak. Będę musiała o tym pamiętać.

IV

Nie spełniło się życzenie markizy. Błagała Lally w listach, by pobrali się w Londynie. „Mimo wszystko - przekonywała - mogłabyś życzyć sobie obecności przyjaciół, a dojazd do Yorkshire nie jest zbytnio dogodny”. „Przekonałam ją, droga Lally - pisała Margaret - że niewielu naszych przyjaciół zostało przy życiu. Większość z tych, których pragnęłybyśmy widzieć, poległo. Jaki sens ma zapraszanie ich rodziców? Dla tych starych ludzi to zbyt bolesne. Lally, jesteśmy szczęśliwi z powodu ciebie i Jona, ale mogłoby to być trudne dla innych dziewcząt, których narzeczeni zginęli, i dla tych mężczyzn, którzy nigdy nie poproszą żadnej kobiety o rękę z obawy przed litością. Mamy szczęście, ty i ja, Lally. Ja mam Bobby'ego, który tylko lekko utyka, a Jon stracił jedynie dwa palce. Trudno jest znieść widok twarzy ojca. On ledwie może uwierzyć, że ma Jona z powrotem, a swoją ulubioną dziewczynkę dostanie za synową. Uważaj, to wywołuje plotki. Gazety już podchwyciły waszą historię i zaczęły przypominać ludziom, że w rzeczywistości nie jesteście rodzeństwem”.

Lally z trudem dostrzegła Jona w tłumie, który witał ją na Victorii. Był nawet Brock. Skąd on się tu wziął, pomyślała,

- Raz już zostałem wystawiony do wiatru jako družba - śmiał się tuląc Lal-ly w objęciach. Myślisz, że dam się znowu nabrać?

Jon jedną rękę miał na temblaku. Drugą niezręcznie przygarnął Lally do siebie. Przez mgnienie oka poczuła jego usta na swoich wargach. Potem znalazła się w ramionach Czarnego Jacka.

- Och, Lally, jesteś jak cień. Kochanie, o mało cię nie straciliśmy.

Jon wciąż milczał. Oczy Lally znów powędrowały do jego chorej ręki, a potem zlustrowały z uwagą twarz. Była bardzo szczupła. Zmarszczki, przedwcześnie wyryte przez te cztery lata, pozostaną na niej na zawsze. Jedne rysowały się wokół linii ust, inne rozchodziły promieniście z kącików oczu, lekko zmrużonych, jakby wiecznie wypatrujących gdzieś w oddali niewidzialnego wroga. Nagle kąciki ust Jona uniosły się w uśmiechu. Lally wydało się, że światło przebiło mrok tego grudniowego dnia. Margaret wydarła ją z ramion Czarnego Jacka.

- Och, Lally, co ja bym zrobiła, gdybym cię straciła? Chłodne wargi markizy delikatnie dotknęły policzka przyjezdnej.

- Drogie dziecko - szepnęła.

Bobby Grenfell przelotnie cmoknął Lally, co należało uznać za powitalny pocałunek.

- Powinni dawać medale wam, dziewczynom, a już przynajmniej jakieś baretki.

Pojechali do apartamentu Brocka w „Ritzu”. To miejsce było dla Lally niemal boleśnie znajome. Nad Green Park, zapadła noc. Podano drinki.

- Czy znowu śpiesz w schowku na szczotki, Brock?

- Cóż, nie. Tym razem znaleźli mi coś większego. Dzielę pokój z Jonem.

Lally sączyła drinka i rozglądała wokół. Kochała ich wszystkich. Tak, w pewien sposób to uczucie obejmowało także Brocka Weymoutha. Pragnęła zostać wreszcie sama z Jonem. Dlaczego Jon na to nie nalegał? Siedział w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na nią. Ich oczy się spotkały, nie padło jednak żadne słowo. Wokół nich trwała rozmowa.

- Włóżysz suknię ślubną matki, tak jak ja. Jesteś tylko o cal wyższa, a nikt nie będzie patrzył ci na stopy. I gronostajową etolę. Alice wyrosła z sukienki, którą miała na naszym weselu, ale znalazłyśmy jedną z moich. Prawie na nią pasuje. Ślub odbędzie się w kościółku w Pellham Langley, jak mój. Nie możemy wykorzystać pałacu na przyjęcie. Mieli przenieść szpital gdzie indziej, ale nadal szaleje ta okropna hiszpanka. Leży tam teraz więcej pacjentów niż kiedykolwiek. Pełno po strych. I, oczywiście, chcieliby ich jakoś izolować. Więc wesele odbędzie się w gospodzie, Lally. Ale będziesz zadowolona, zobaczysz. Prawie każdy mieszkaniec wioski ofiarował trochę cukru,

więc będziesz miała lukrowany tort. Jak cudownie! Wreszcie wszyscy razem. I Boże Narodzenie! - Margaret zagalopowała się, nie zdając sobie sprawy, że przypomniawszy wszystkim świąteczny ślub Jona i Sandy. - Przekazaliśmy telefonicznie zaproszenia wszystkim znajomym. Ktoś wyjdzie im na spotkanie na stację w Leeds. To będzie naprawdę urocze wesele.

- A kiedy - powoli spytała Lally - to ma być?

168

Twarz Margaret zamarła.

- Cóż, kochanie, pojutrze. Nikt ci nie powiedział?

Lally potrząsnęła głową, a niewytłumaczalne łzy zaczęły spływać po jej twarzy. Markiza zerwała się na równe nogi.

- Lally nadal jest słaba, a my wszyscy przekrzykujemy się nad jej głową. Chodźcie. Jon, możesz zamówić obiad do pokoju. Wierzę, że major Weymouth zorganizował coś dla nas w hotelowej restauracji. Chodźcie - powtórzyła.

Wyszli i zapadła cisza. Powoli Jon podszedł do Lally i otoczył ją ramieniem.

- Przepraszam, Lally. To nie wyszło tak, jak bym chciał. Ale wkrótce będziemy mieć spokój. I mnóstwo czasu.

Będziemy mieli cały czas tego świata. Od teraz istniejemy tylko ty i ja. Zaczniemy wszystko od nowa. Mam nadzieję, że wkrótce przestanę czuć się jak stary człowiek. Przestanę czuć się winny, że żyję, a prawie wszyscy, których kiedyś znałem, są martwi. Chodź, Lally, napijemy się. I zamówimy obiad. Musisz jeść. Wyglądasz tak mizernie i wątpię, o mało nie umarłaś. Nie mogłem uwierzyć, że jesteś aż tak chora. Wojna się skończyła. Nic już nie mogło się stać ani tobie, ani mnie. To ja miałem umrzeć, a tymczasem niebezpieczeństwo zagroziło tobie. - Łagodnie obrócił jej twarz w stronę okna. - Spójrz, kochanie, światła palą się na ulicy. Światła, Lally. Znowu zaczyna się życie.

*

* *

Chociaż wydawało się to Lally niewiarygodne, ale dwa dni później naprawdę pobrali się w kościele parafialnym w Pellham Langley.

Lally wzruszona była ciepłym i pełnym przywiązania stosunkiem mieszkańców wioski i serdecznością gości, którzy odbyli daleką drogę, by uczcić ślub jej i Jona. W gospodzie w Pellham zebrali się ludzie, którzy przed wojną nigdy nie bawiliby się razem. Teraz szeregowcy i oficerowie salutowali sobie w poczuciu koleżeństwa łączącego tych, którzy byli pod ostrzałem i przeżyli. Przynajmniej raz pochodzenie nie miało znaczenia. Krążąc wśród gości Lally usłyszała głos lady Blatchley.

- Nie myślę, żeby to było całkiem przyzwoite... Ona jest prawie jego siostrą! - Starsza pani miała na sobie tę samą co na weselu Jona z Sandy i Margaret z Bobbym suknię ze szkarłatnego aksamitu, ale tym razem nie założyła diamentów. Może musiała je sprzedać albo po prostu uznała, że nie warto stroić się w klejnoty na ślub bezimiennej dziewczyny. Nawet jeśli wychodziła ona za wnuka lady Bletchley. Lally ze współczuciem pomyślała o drugiej żonie Czarnego Jacka, Alice Trimble. Czy została potraktowana również w taki sposób. Patrząc na ojca przypomniała sobie noc po śmierci Alice. Wspięła mu się wówczas na kolana i obiecała opiekować się nowym dzieckiem tak jak Margaret. A dziś szła nawa prowadzona pod ramię przez Czarnego Jacka, który oddawał ją za żonę swemu jedyjnemu synowi. Dawna obietnica nie tylko nadal obowiązywała, ale

jeszcze objęła Jona. Głosy zebranych przerwały marzenia Lally. Miała pokroić weselny tort.

Wszyscy przybliżyli się. Patrzyła na twarze tych, wśród których żyła przez tyle lat, twarze miejscowych ludzi, znajome i przyjazne. Jon położył rękę na jej dłoni i szabla rozcięła lukrową polewę, tak cienką, że rozkrojenie ciasta nie sprawiało żadnego wysiłku. Wszyscy jednak zadowoleni wiwatowali i klaskali. Tradycji stało się zadość. Później Billings podzielił tort na właściwe kawałki i podał je gościom. Piwnica Czarnego Jacka została wyczyszczona co do ostatniej butelki. Wciąż wznoszono nowe toasty. Rozmowy stawały się coraz głośniejsze, niemal wrzaskliwe. Zadzwieczał rozstrojony fortepian. Śpiewali wojenne piosenki, szczęśliwi, że to już historia. Nie drażniły już one Lally. Chciała, by wszyscy dobrze się bawili. Kręciła się po sali, która gdy wchodzili wydawała się zimna, ale teraz była duszna i przegrzana. Ludzie pozdrawiali pannę młodą po imieniu.

- Tak się cieszę, panienko Lally, on jest solą tej ziemi.

- Dziękuję... dziękuję.

Wtem koścista ręka w czarnym rękawie dotknęła ramienia dziewczyny.

- Nie poznajesz swojej matki, Lily, ale to ja. Jestem na twoim ślubie. Dumna jak paw.

Lally wpatrzyła się w chudą, pomarszczoną twarz pod wytartym rondem czarnego kapelusza. Oczy, w które spoglądała, były ciemne, rysy dziwnie jej kogoś przypominały. Oblicze tej obcej kobiety to postarzała wersja twarzy, którą Lally widziała codziennie w lustrze, z wyraźnymi kośćmi policzkowymi, ciemnymi łukami brwi. Przerazona, odsunęła się.

- Cóż, nie mogę cię winić, dziecko. To szok. Ale ja po prostu musiałam przyjść, by zobaczyć wesele mojej córki.

Obserwowałam cię przez te wszystkie lata i byłam z ciebie dumna? No i masz, weszłaś do tak świetnej rodziny.

Zdobyłaś pozycję. Czy nie miałam racji? Gdybym zostawiła cię przy sobie, na pewno byś umarła. Dobry wieczór, sir. Cudowny ślub. Po prostu cudowny.

Ręka Czarnego Jacka dotknęła łokcia Lally.

- Kochanie, czas już iść.

- Och tak, sir. I czyż nie była to najpiękniejsza panna młoda? Nikt by się tego nie spodziewał, sir. Wtedy.. dawno temu. - Cichy śmiech wydobył się z wąskich ust.

Idąc za Czarnym Jackiem, Lally odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na tę kobietę. Wiedziała, że widzi ją nie po raz pierwszy. Ręka Czarnego Jacka ścisnęła opiekuńczo jej ramię. Potem poczuła dotyk dłoni Jona. Wśród życzeń szczęścia i głośnych wiwatów młoda para została odprowadzona do jednego ze starych powozów Czarnego Jacka. Padły okrzyki pożegnania. W gasnącym świetle zmierzchu wszystkim, co Lally zapamiętała, była zachmurzona,

niespokojna twarz Czarnego Jacka. Nawet troskliwe ramię Jona, który przytulił młodą żonę, gdy tylko zasiedli w powozie, nie rozproszyło strachu przed tą kobietą w czerni, o ciemnych oczach, tak podobnych do oczu Lally.

* *

170

Pojechali do Grangewick, gdzie Lally przebrała się, a potem na stację w Leeds. Żegnała ich tam niewielka grupka najbliższych, Margaret i Bobby Grenfell, Czarny Jack i lady Ross, która przyjęła zaproszenie Pollocka, by zostać w Grangewick przez kilka dni. Była też Alice, nadal w sukni druhny, tuląca czule Madame Butterfly. Przerazający wydawał się widok tej pięknej, młodej kobiety trzymającej w objęciach lalkę jak dziecko. Ale nikt nie próbował odebrać jej ulubionej zabawki. Kto mógłby chcieć zdenerwować lub zranić Alice? Dziewczyna pocałowała Lally i przytuliła się do niej serdecznie.

- Wkrótce wrócisz, Lally. Ty i ja, i Jon będziemy znów robić różne rzeczy razem...

Dla Alice było doskonale naturalne, że Lally i Jon zostaną na zawsze razem. Taki stan rzeczy pamiętała od urodzenia. Ci dwoje nadal byli jej bratem i siostrą, a teraz stali się też małżeństwem. Lally zastanawiała się, czy Alice może pamiętać ślub z Sandy West. Nieporuszona twarz nie zdradzała nic poza zadowoleniem. Czarny Jack wytłumaczył najmłodszej córce, że wielka wojna już się skończyła i wszystko ułoży się jak dawniej. Będą znów wszyscy razem. Koniec z rozstaniem.

Na stacji brakowało tylko Brocka. Weymonth udał się wcześniejszym pociągiem do Londynu, gdyż dostał rozkaz, by następnego dnia wyjechać do Nowego Jorku.

- Sprawy nie cierpiące zwłoki - powiedział krótko. - Wykręcenie się od dalszej służby zajmie ładnych parę miesięcy, ale mam trochę interesów, które wymagają mojej obecności, więc przekonałem dowództwo, że jestem pilnie potrzebny w kraju. Muszę zorganizować transport dla naszych chłopców, by mogli wrócić do domu. A przy okazji mam też własne sprawy do uporządkowania. Wiadomo ci pewnie, że Kongres ma ratyfikować osiemnastą poprawkę.

- Lally potrząsnęła głową z zakłopotaniem. - Prohibicja, Lally. Wejdzie prawo zakazujące produkcji i sprzedaży alkoholu w całych Stanach. Możesz sobie wyobrazić ten idiotyzm? To prawo stworzone, by je łamać. A ci, którzy bogacili się na tym towarze, nie ustąpią, nawet za cenę zabójstwa.

Lally wzdygnęła się. Ciekawe, jak długo jeszcze Brock będzie pojawiał się w ich życiu. Był drużbą na obu ślubach, ale rola przyjaciela rodziny wydawała się teraz dobiegać kresu. Brock wróci do Ameryki. Widywać go będą najwyżej sporadycznie. Zachowają o nim serdeczne wspomnienie jako o człowieku, pomagał im w tych trudnych

czasach. Pozostanie uczucie wdzięczności, ale osłabną prawdziwe więzi. Brock sterował ich życiem aż do ostatniego dnia przed wyjazdem.

- Mój przyjaciel będzie niepokieszony, jeśli nie wykorzystacie apartamentu w „Ritzu” podczas miodowego miesiąca. Nie cierpi, gdy pokoje stoją puste. -A kiedy Jon próbował protestować, Brock uciszył go. - Na Boga, Jon, nie pojedziecie przecież do Scarborough albo jakiejś innej dziury! Oboje potrzebujecie światła, zabawy śmiechu. Odwiedźcie teatry i kluby nocne. Tańczcie, aż nogi odmówią wam posłuszeństwa.

230

Więc znów znaleźli się w znajomym apartamencie w „Ritzu”. Jon dokładnie obejrzał ogromne bukiety, spróbował chłodzącego się w srebrnym kubelku szampana, posmakował delikatnego kawioru.

- Z gratulacjami od pana Weymoutha.

- Zastanawiam się, którego z generałów rosyjskich zna Brock - wymruczał Jon z ustami pełnymi kawioru.

Pojawiła się ta sama pokojówka, którą Lally pamiętała z poprzedniego pobytu w „Ritzu”.

- Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, proszę pani? Kapitanie Pollock?

Jak to miała w zwyczaju, poprawiła kwiaty w wazonach i upewniła się, czy zasłony są dokładnie zaciągnięte.

- To wielka przyjemność ponownie państwa gościć. I jeśli można, pragnęłabym złożyć najlepsze życzenia szczęścia. Zaznali państwo tyle ciężkich doświadczeń tam, w Europie, przez te wszystkie lata. Należy się państwu teraz dużo radości.

Pamięta oczywiście, pomyślała Lally, że kiedy poprzednio korzystali z tych pokoi, występowali jako rodzeństwo.

Lally jeszcze nie wierzyła, że jest mężatką. Po raz pierwszy zwrócono się do niej per pani. Cały świat się zmienił.

Kiedy pokojówka wreszcie wyszła, Jon natychmiast rozsunął zasłony i zgasił światła w pokoju. Teraz mogli widzieć Green Park i Piccadilly: Luna nad miastem uderzyła ich oczy. Nalał szampana.

- Spójrz, Lally, więcej światła niż kilka dni temu. Więcej światła. Większy ruch. Byłaś wtedy taka zmęczona, Lally. Płakałaś. A ja... Ja czułem się przestraszony. Bałem się powrotu do dawnego życia. Bałem się o ciebie. Chciałem cię uszczęśliwić, ale wątpiłem, czy którekolwiek z nas będzie mogło znowu być szczęśliwe. Po tym co widzieliśmy.

Zastanawiałem się, czy koszmary nigdy nas nie opuszczą. Teraz już się tak nie czuję. To na swój sposób logiczne, że znów jesteśmy w pokojach Brocka.

Otoczył ręką ramiona żony i wzniosł kieliszek w stronę światła, które wydobywały z mroku skraj parku i domy na Piccadilly.

- To nasze światła, Lally. Nigdy nie powrócimy do ciemności.

Ale kiedy Jon spał w jej ramionach, Lally przeżywała własny koszmar, teraz przerażająco rzeczywisty.

W bezpiecznym, ciepłym małżeńskim łóżku, przepelniona miłością Jona, obudziła się półżywa ze strachu. Znowu dręczył ją zapach wilgotnego, ciemnego pokoju. Ale tym razem czuła dotyk ręki chwytającej ją palcami jak szpony. „Nie poznajesz własnej matki, Lily...” Widziała zniszczony kapelusz, wychudzoną twarz. Czy ta kobieta naprawdę jest jej matką? Przeszłość wyciągała po Lally swoje macki.

V

Zrobili, jak radził Brock. Chodzili do teatrów i klubów nocnych, kochali się, i pozwolili, by „Ritz” służył im wszystkimi dostępnymi przyjemnościami.

- To chyba grzech - powiedziała któregoś dnia Lally. - Powinnam teraz być we Francji... I w ogóle się tym nie przejmuję.

Jon przyciągnął ją do siebie.

- A ja czuję, że moje kości powinny być pogrzebane gdzieś we Francji. Czy to rzeczywiście ja? Bezpieczny, ogrzany i czysty. I kocham się z tobą. - Przytulił głowę do jej piersi. - Boże, jak cudownie pachniesz. Zapach kobiety. Czasem budzę się w nocy i czuję smród okopów. Cuchnący, przegniły. Wtedy przysuwam się do ciebie. Pięknej i ciepłej. - Powtarzał jej to już tyle razy. - Może umarłem, a to jest niebo?

- Zawsze podejrzewałam, że jestem aniołem. Pocałowała go.

- Zamierzamy dzisiaj wstawać? Z powagą rozważył pytanie.

- Nie wiem. W okopach wyobrażałem sobie, jakby to było leżeć w ciepłym łóżku przez cały dzień. Czasem chciałem zostać ranny, tylko po to, by znaleźć się w łóżku w szpitalu. Tylko pomyśl, mogę nacisnąć dzwonek, a pojawi się kelner ze śniadaniem. Tak, musiałem umrzeć i dostać się do nieba. Nie zasługuję na niebo, ale to jest jedyne wytłumaczenie tego, co mnie teraz otacza.

Ale w końcu pozostali w „Ritzu” tylko tydzień.

- Nie możemy robić tego Brockowi, a nie ma szansy, żebym to ja dostał rachunek w recepcji. W każdym razie, chciałbym już wrócić z powrotem do domu. Na jakiś czas będzie to jeszcze Grangewick. Wolałbym mieszkać w Pellham, ale na to musimy poczekać.

Pojechali przed Bożym Narodzeniem. Lally była zaskoczona, zastając w Grangewick lady Ross.

- Zostałam zaproszona na rodzinne święta - powiedziała z prostotą markiza. Nigdy wcześniej Lally nie pomyślała, że ta pełna godności, piękna kobieta może ukrywać samotność za maską opanowania i chłodu. Lady Ross nigdy nie mówiła o swoim prywatnym życiu. Nigdy też nie wspominała zmarłego męża.

Lally zauważyła, że przez cały czas ich pobytu w Grangewick, Czarny Jack nie wychodził z domu wieczorami. Co, zastanawiała się, stało się z panią Champion, osobą, o której wszyscy wiedzieli, choć nigdy o niej nie rozmawiali?

Możliwe, że w czasie nieobecności Lally, pani Champion znikła z życia Czarnego Jacka. A może jedynie przestrzegał zasad grzeczności wobec gościa lub delectował się towarzystwem swoich dzieci?

Trwały świąteczne przygotowania. Tego roku Boże Narodzenie zapowiadało się skromnie. O żywność nadal było trudno, ale kucharka rozwinęła w sobie geniusz improwizacji.

173

- Musiałam, panienko Lally. Nie mogłam dostać białej mąki ani masła. Żadnego cukru. Do rozpaczy doprowadzało mnie myślenie, co położyć panu PoHo-ckowi na talerzu. Wszystkie lepsze wiktuały to były prezenty od pana Weymo-utha. A i teraz przyszła następna paczka. Nie wiem, skąd te wszystkie rzeczy bierze. Ale tę odrobinę świątecznego nastroju jemu zawdzięczamy, panienko Lally, więc nie będę pytać, jak to zdobył.

W ten sposób Brock towarzyszył im przy świątecznym stole, niemal tak realnie, jakby był fizycznie obecny. Myśleli o nim, zajadając się brukselką w białym sosie, puddingiem z owoców, które przysłał, wreszcie nadziewanymi likierem czekoladkami w sreberkach.

- Za nieobecnych przyjaciół - wznosił toast Czarny Jack, zanim zasiedli do świątecznego poczęstunku. - Dziękuję Bogu za pokój i za to że wszyscy zgromadziliśmy się wokół tego stołu zdrowi i bezpieczni. - Jego wzrok przesunął się po twarzach Jona, Margaret, Lally i Alice. Czarny Jack uśmiechnął się do Bobby'ego Grenfella i lekko skłonił przed lady Ross, siedzącą po prawej ręce gospodarza.

- Amen - odpowiedział Bobby Grenfell uroczyście i, o dziwo, nie spieszył się, gdy wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

Szczęście Czarnego Jacka, że wszystkie jego dzieci przeżyły wojnę, było tak ogromne, iż gotów był nawet złagodzić swoją niechęć do zięcia. Może teraz potrafił z większym zrozumieniem odnieść się do zamążpójścia Margaret, zaakceptował decyzję poślubienia mężczyzny, który nie mógł być idealnym dla niej mężem. Czarny Jack zdołał już bowiem pojąć, co wojna uczyniła z życiem młodych kobiet z pokolenia Margaret i Lally. Bardzo wiele z nich nigdy nie wyjdzie za mąż, ponieważ ich mężczyźni zostali wybici w okopach i lejach bombowych, unicestwieni przez gazy trujące, uśmierceni przez gangrenę. Powinien docenić zięcia, który mógł zapewnić Margaret normalne życie, zostać ojcem jej dzieci, a jemu, Czarnemu Jackowi, dać wnuki.

- Tak... Za nieobecnych przyjaciół - powtórzył za nim Bobby Grenfell. Przez chwilę przed oczyma zebranych przesunął się znajomy obraz. Listy poległych, długi ciąg nazwisk tych, co już nigdy nie powrócą.

Margaret, nie mogąc znieść chorobliwej atmosfery, która groźnie zawisała nad świątecznym stołem, dodała żywo:

- A zwłaszcza za Brocka, w podzięcie za te wszystkie smakołyki. Nieważne, jak je zdobył. Teraz, kiedy statki nie są już torpedowane, musimy pojechać do Ameryki. Bobby, co o tym myślisz? Ale trzeba wybrać się tam, zanim wprowadzą prohibicję. To zbyt niezdrowe, nie móc dostać drinka, kiedy się ma akurat ochotę.

- Nie wydaje mi się - włączył się Jon - żebyś miała się czego bać. Ludzie tacy jak Brock potrafią obejść to prawo. Jeszcze przed wyjazdem wspominał o roli granicy z Kanadą. W wielu miejscach można ją przekroczyć. Mówił też o Kubie i Wyspach Dziewiczych. Wygląda na to, że wkrótce rozpocznie się przemysł alkoholu na wielką skalę.

- To wszystko brzmi trochę niebezpiecznie - zauważyła lady Ross. - Ale jakąż naiwnością ze strony Amerykanów jest myśleć, że można ustawowo zlikwidować nałóg lub przyjemność.

Później markiza próbowała wydobyć muzykę ze starego fortepianu. Przyjemnym głosem zaśpiewała „I'm always chasing rainbows...”, przesuwając palcem po nutach.

- Ależ, to czysta kradzież! To jest z Chopina! Chodź, Alice. — Alice usiadła obok niej na długiej ławeczce przy fortepianie. - Zaśpiewaj to ze mną.

Alice nie potrafiła czytać nut. Dużo czasu zajmowało jej nawet literowanie najprostszych słów, ale była bardzo muzykalna i potrafiła powtórzyć to, co jej zaśpiewano lub zagrano. Wykonały w duecie piosenkę z kilkoma tylko potknięciami. Wszyscy klaskali. O jedną z nóg fortepianu opierali się ukochani towarzysze zabaw Alice. Teddy Rose w poprzecieranym futerku i Madame Butterfly, której piękna sukienka zaczęła już wyglądać na starą i zniszczoną, mieli teraz nową towarzyszkę, dziwną, brzydką, ale ogromnie sympatyczną szmacianą lalkę. „Nazywa się Raggedy Anne” - napisał Brock w swojej kartce świątecznej do Alice. Wszystko, co Brock jej dawał, w oczach Alice, było cennym skarbem. Trzymała więc nową lalkę na kolanach w czasie obiadu, podczas gdy Teddy Rose i Madame Butterfly siedziały na własnych krzesłach.

Piosenka się skończyła i zanim Alice zdążyła poprosić o jeszcze jedną, Margaret zaproponowała:

- Zwińmy dywan i puśćmy przysłane przez Brocka płyty z jazzem. - Szczupłe, piękne ciało Margaret, swobodne bez gorsetu pod jedwabną suknią, zaczęło poruszać się w rytm muzyki.

- Och, Bobby, nie marzysz o tym, by pojechać do Ameryki?

Jon objął Lally zabandażowaną ręką. Pokój wypełniały dźwięki jazzu. Jon powiedział cicho:

- Pojedźmy do Pellham. Możemy mieszkać nad stajeniami, trzymać się z dala od domu. Potrzebuję powietrza, Lally. I spokoju. Będziemy wędrować po wrzosowiskach. Chcę być w ciszy z tobą. Tylko my dwoje.

Nadzieja napełniła serce Lally. Jon szukał samotności tylko z nią, jakby ją kochał.

- Dobry pomysł. Pojedziemy jutro, kiedy tylko zmienią ci opatrunek.

Jej myśli wybiegły naprzód. Prowiant wybląga od kucharki. Billings otworzy piwniczkę z winami. Czarny Jack pożyjezy konia i dwukółkę. To będzie cichy miesiąc miodowy, jakiego pragnęło jej serce. Jon powiedział, że chce być z nią, tylko z nią. Ostre dźwięki muzyki nagle wydały się zbyt agresywne. Będą cieszyć się spokojem w miejscu, które znali od zawsze, ale zaznają czegoś odmiennego, ponieważ odczuwali je dotąd w inny sposób. Ich ciała zostały poturbowane, zmysły sponiewierane. Oboje wiedzieli, że pragną spokoju, ale ich ciała, przytulone w tańcu, pragnęły

także pełnego zaspokojenia. W Pellham Lan-gley będą leżeć, słuchać wycia wiatru na wrzosowiskach i poznają siebie nawzajem. Uścisk Jona, jego oczy obiecywały tak wiele. Nadzieja Lally rosła. Ona i Jon będą nie tylko kochankami. Będą w sobie zakochani.

175

Następnego dnia Lally wstała wcześniej. Musiała porozmawiać z kucharką o zapasach, które musieli wziąć ze sobą. Podśpiewywała wesoło schodząc na dół. Jaskrawe słońce skrzyło się w pokrytym śniegiem ogrodzie. Ona i Jon... Gwałtownie zatrzymała się i cofnęła za zakręt schodów. Czarny Jack rozmawiał w hallu z czarno odzianą kobietą, tą samą, która jak zły duch pojawiła się na weselu.

- Bardzo pan dobry, panie Pollock. Nie zapomnę, nie zapomnę. - Przymilny ton w uszach Lally brzmiał nienawistnie.
- Może być pan pewien, że będę się od niej trzymać z daleka. Nie chciałabym jej niczego zepsuć, rozumie pan. - Lally natężyła słuch, ale nie mogła zrozumieć, co mówi Czarny Jack. Potem dobiegło ją skrzypnięcie otwieranych drzwi i znów głos kobiety. - Nie będę pana więcej niepokoić, sir, proszę mi wierzyć. - Drzwi zamknęły się.

Lally zeszła do hallu.

- To była ona, tamta kobieta! Ta z mojego wesela. Czego chciała? Kim ona jest?

Czarny Jack skinął na nią.

- Chodź, porozmawiajmy. Żałuję, żeś ją widziała. Dawniej zawsze była dyskretna. Nigdy nie pojawiała się w pobliżu domu. - Podprowadził Lally do kominka. - Może rozzuchwaliła się po tym, jak wtargnęła na przyjęcie weselne.

- Dawniej! Kiedy? Kim ona jest? - Dosłyszała wysoką nutę strachu we własnym głosie.

Czarny Jack położył ręce na ramionach zdenerwowanej dziewczyny.

- Spokojnie, kochana Lally. Ta kobieta utrzymuje, że jest twoją matką. Czują, jak nogi uginają się pod nią, jakby miała zemdleć.

- Nie spotkałeś jej po raz pierwszy na ślubie. Wiem to.

- Pojawiała się wiele razy przez te wszystkie lata. Nie tylko zresztą ona. Były też inne kobiety. Odsyłałem je wszystkie. Dawałem trochę pieniędzy i odsyłałem. Żadna nigdy nie powróciła. Zapewne rozumiały, że następnym razem mógłbym wezwać policję i oskarżyć je o próbę wymuszenia pieniędzy. Ale ta jedna - ona wracała.

- Dlaczego? Czym różni się od pozostałych?

- Może dlatego, że w dużej mierze jej uwierzyłem.

- Ma jakiś dowód? - spytała Lally słabym głosem. Zapach wilgotnego, ciemnego pokoju znowu uderzył ją w nozdrza. Czują raz, słyszała płacz i przekleństwa.

- Nic na papierze. Żadnego aktu ślubu ani dokumentu rejestracji twoich urodzin. Ale znała, chyba że szczęśliwie zgadła, jeden fakt. Wiedziała o kawałku papieru przyklepionym do koca. Wiedziała, że nazywałaś się Lily. Nie Lillian, co jest twoim przybranym imieniem, tylko Właśnie Lily.

Lally oparła się o gzymys kominka. Zauważyła, że ręce się jej trzęsą. Nie potrafiła ich kontrolować, jakby należały do kogoś innego.

176

- Ta kobieta jest moją matką? Skąd mogła wiedzieć, że znalazłam się w Pell-ham? Jak wytropiła mnie u was. Jeśli mnie porzuciła, mogła myśleć, że umarłam tamtej nocy. Skąd wiedziała, że nadal żyję?

- Niejedna osoba wiedziała, gdzie cię znalazłem, Lally. Ta kobieta twierdzi, że stała tam w tłumie i patrzyła. Że była koło Giełdy Zbożowej. Liczyła na to, że ktoś cię weźmie. Widziała wypadek. Nie było zbyt trudno dowiedzieć się o nazwisko właściciela powozu.

- Jeśli... jeśli to prawda, dlaczego mnie porzuciła?

- Mówi, że mężczyzna, z którym wówczas żyła, bił was obie. Pijak. Musiała odejść od niego. Pracowała przy maszynie w fabryce włókienniczej w Bradford. Miała szansę dostać pracę u Mallhama, ale musiałyby mieszkać z innymi robotnikami. Nie było tam miejsca dla dziecka. Więc ona... Tak powiedziała, Lally.

- A mój ojciec? Pollock potrząsnął głową.

- Nie wie, kto jest twoim ojcem. To nie musiał być ten pijak i brutal. Lally zwiesiła głowę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie uwierzę w to. Jestem Lally Leeds. Lillian Pollock. Nie należę do świata tej kobiety.

- Nie musisz w to wierzyć - starał się ją uspokoić.

- Ale ty, ty nie jesteś pewien. Dawałeś jej pieniądze, prawda? Po to i teraz przyszła.

- tak, dawałem. Nie mogłem jej tak odprawić. - Czarny Jack uniósł głowę przybranej córki tak, że była zmuszona patrzeć na niego. - Spróbuj zrozumieć, co czuję. Jeśli ta kobieta naprawdę jest twoją matką, zawdzięczam jej jeden z najcenniejszych skarbów w moim życiu. Zawdzięczam jej ciebie. Czy mogłem ją odprawić, kiedy powiedziała, że cierpi nędzę?

Lally wciąż ścisnęła krawędź kominka. Jej ciało zalewały fale strachu i furii.

- Nie mogę cię zrozumieć, Pragne, żeby ona umarła, bo ja wtedy omal nie umarłam. Nie chcę do niej należeć. Nie chcę... - Jej głos znowu się wzniósł.

- Uspokój się, Lally! Nie powinnaś się tak przejmować. Zapomnij o tej kobiecie. Nie należysz do nikogo oprócz Jona. Żyj dla niego. Zapomnij o niej. A teraz chodź, jesteś blada jak śmierć. Musisz zjeść śniadanie.

Billings z dumą wzniósł jajka na bekonie, ale Lally odsunęła talerz. Mały kęs grzanki stanął jej w gardle. Smród biedy i śmierci wokół niej był silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Gorszy niż zapach sal szpitalnych, gorszy niż fetor zgangrenowanych ran. Kawa, którą nalewał Billings, została przysłana przez Brocka. Prawdziwa dobra kawa.

Lally nie czuła jej smaku. Chciała tylko ciepła. Krzesło stało blisko ognia buzującego na kominku, a ona wciąż się trzęsła.

*

* *

12-Obietnice

177

Poszła z Jonem na zmianę opatrunku. Rana była poszarpana, a dwa z ocalałych palców na zawsze miały pozostać sztywne. Ale ręka goiła się. W jakiś sposób widok tej gojącej się rany pomógł dziewczynie uwolnić się od wrażenia wywołanego pojawieniem się kobiety, która utrzymywała, że jest matką Lally. Czarny Jack prosił, by nie opowiadała o tym Jonowi.

- Jego ta sprawa nie dotyczy. A w ogóle prawdopodobnie wszystko to łągarstwo.

Lally zapakowała zapas materiałów opatrunkowych, by zabrać je do Pell-ham Langley i czuła się niemal szczęśliwa, gdy wyruszali. Zimny wiatr miótł śniegiem. Nastął już prawie zmierzch, kiedy wreszcie dotarli do budynków stajni. Czarny Jack zadzwonił wcześniej, żeby uprzedzić o ich przyjeździe, i jeden z dawnych leśników, który podczas wojny zajął się uprawą roli, rozpałił dla nich w piecach i kominkach. Dostrzegli światło poprzez zasłony. Lally pomogła Jonowi wytrzeć i napoić konia. Potem wnieśli koszyki z jedzeniem i winem, które dał im Billings. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy szykuje posiłek dla Jona. Przez większą część swego życia jadali przy wspólnym stole, ale jej rola ograniczała się zaledwie do nalewania herbaty.

- Ależ, Lally, o co chodzi? Ty płaczesz!

- Nic nie poradzę. To jest prawdziwy początek, Jon. Ślub, „Ritz”, święta w Grangewick, jakby odsunęły się w przeszłość. To się zdarzyło w innych czasach. Ale teraz zaczynam na nowo. Ty i ja. Zostaniesz ze mną na zawsze, Jon, prawda? Przeszliśmy przez koszmar gorszy niż mogliśmy to sobie kiedykolwiek wyobrażać. I wyszliśmy z tego. Zapłaciliśmy z góry. Życie jest nam coś dłużne, Jon. Od dziś będziemy szczęśliwi.

Pocałował ją w usta.

- Będzie cholernie cudownie! Jak mogłoby być inaczej? Ocaleliśmy. Ty i ja, Lally. Wiesz - odsunął ją troszkę od siebie, wiesz, myślę, że powinniśmy mieć mnóstwo dzieci, by zastąpiły tych chłopców, którzy odeszli. Pełno dzieci w Pellham albo lepiej, w naszym własnym domu. Możemy zrezygnować z kolacji i pójść do łóżka?

Roześmiała się.

- Nie zrezygnujemy z kolacji, ale i tak pójdziemy do łóżka.

* *

Dni upływały w kojącym spokoju. Nie zbliżali się do pałacu, nadal zamienionego w szpital, gdzie hiszpanka wciąż szalała wśród pacjentów. Wielu z nich umierało. Prasa zaczęła podawać światowe statystyki. Wydawało się, że liczba ofiar grypy może przewyższyć liczbę poległych podczas wojny. Pewnego dnia Lally zobaczyła karawan na podjeździe wielkiego domu i pośpiesznie odciągnęła stamtąd Jona. Oddychali zimnym, czystym powietrzem

wrzosowisk, a kiedy śnieżycą wysmagała im twarze, obejmując się wracali do kominka w pokojach nad stajnią i do swojego łóżka, ciepłego i obszernego. Cisza uspokajała ich jak

241

spóźnione błogosławieństwo. W tej ciszy i ciepłe poznawali swoje ciała z wciąż narastającym poczuciem intymności. Odkrywali w sobie nawzajem bezgraniczną różnorodność. Lally czuła się niemal odurzona miłością, choć jej zmysły wciąż się rozpalały. Niepotrzebne im były luksusowe apartamenty „Ritza”, wykwintne dania i muzyka. Słuchali wiatru i pili wino przy kominku. Lally opatrywała rękę Jona i gotowała posiłki. Spotykali niewielu ludzi, a i ci nieliczni, widząc spacerującą pod rękę parę, usuwali się dyskretnie.

Stopniowo wyobraźnię Lally przestała dręczyć wizja kobiety o pomarszczonej, wychudzonej twarzy. Czasami mogła zapomnieć, że oczy nieznajomej były niepokojąco podobne do jej własnych. Stopniowo dręczący zapach przestał ją prześladować. Pod wpływem namów Jona jadła w rozsądnych ilościach, choć często nie miała apetytu.

Kiedy budziła się pośród nocy, dręczona koszmarem, ramię Jona obejmowało ją opiekuńczo. Starła się mieć w pamięci radę Czarnego Jacka. „Żyj dla Jona. Zapomnij o niej”. Ale te oczy tak bardzo były podobne.

Jednego tylko brakowało Lally do całkowitego szczęścia. Fizyczna miłość sprawiała im obydwójgu wiele satysfakcji. On był bardzo dobrym kochankiem, a ona odpowiadała chętnie na każde wezwanie. Mąż szeptał jej słowa pełne czułości. Wydawał się szczęśliwy w jej towarzystwie. Chyba nie pragnął żadnych urozmaiceń. Ale Lally nigdy nie była pewna, czy nie spełnia wobec ukochanego jedynie roli uzdrowicielki, osoby, która ma łagodzić wszystkie rany zadane przez wojnę i przez Sandy. Ciągle jeszcze czekała, miała nadzieję. Pragnęła chwili, kiedy Jon dostrzeże w niej kogoś innego niż dawna Lally, którą znał od zawsze. Możliwe, wydawało się to Lally bardzo możliwe, że Jon zwrócił się do niej w pierwszym odruchu bólu, a potem zdecydował się ją poślubić, ponieważ symbolizowała wszystko co bezpieczne, pewne i znane, była kimś, kto będzie go kochał i nigdy nie zdradzi. Z Lally mógł się czuć bezpieczny. Zwracał się do niej, wciąż na nowo okazując jej czułość. Nie odważyła się jednak poprosić, by powiedział: „Kocham cię”. Przypuścmy, myślała, że on wówczas zamilknie albo wyrecytuje te słowa dla jej uspokojenia? Czekaj, powtarzała sobie, bądź cierpliwa i czekaj. Czyż Jon nie powiedział, że mają dla siebie cały czas tego świata?

Rozdział jedenasty

I

Wrócili do Grangewick. Dom był cichy, jak nigdy dotąd. Margaret wyjechała z Bobbym do Neatherby. Czarny Jack znakomitą większość czasu spędzał w fabrykach.

- Oczywiście, w czasie wojny mieliśmy ogromny zbył. Teraz będę musiał wysłać kierowników sprzedaży w poszukiwaniu nowych kontaktów. Nasze wyroby wełniane i samodziały, jak wierzę, uda się sprzedać na całym świecie, ale nastaje ciężki okres dla produkcji stali. Amerykanie stanowią poważną konkurencję. Możliwe, że nasze dawne rynki zbytu nie będą już zainteresowane brytyjską stalą. Musimy znaleźć nowych kontrahentów. Myślałem o podróży do Ameryki. Chciałbym przyjrzeć się ich fabrykom tekstyliów i hutom. Mógłbym też odwiedzić Brocka.

- I ja zastanawiałem się... - zaczął Jon. Czarny Jack przerwał synowi skwapliwie.

- A wy dlaczego nie? Dlaczego wy nie mielibyście mi towarzyszyć? Margaret od dawna marzy o Ameryce. Może moglibyśmy pojechać wszyscy?

Jon uśmiechnął się.

- Ojcie, wciąż jestem w armii. Lally formalnie nadal służy w oddziałach ochotniczych. Myślałem... Oczywiście wkrótce zostanę zwolniony. Nie będą trzymać człowieka z okaleczoną dłonią. Lally też może odejść w każdej chwili. Myślałem jednak...

- Tak? - Lally wyczuła nutę niepewności w głosie Czarnego Jacka. Do tej pory nigdy nie odważyli się rozmawiać o przyszłości Jona.

- Cóż, myślałem, że powinienem dokończyć studiów w Oksfordzie. Chciałbym, wiecie, po prostu, chciałbym wiedzieć, że potrafiłem sobie z tym poradzić.

Czarny Jack w milczeniu kiwał głową.

- Potem - ciągnął Jon - jeśli mnie zechcesz, chciałbym pracować z tobą w fabrykach. Jestem nieco za stary na naukę zawodu, ale przecież miałbym bardzo dobrego nauczyciela.

180

Przez chwilę Lally miała wrażenie, że Czarny Jack załamał się i rozplacze na oczach wszystkich. Nagle stwierdził, że trzeba poprawić ogień na kominku i gwałtownie odwrócił się plecami do Jona i Lally. Kiedy się wyprostował twarz miał już spokojną.

- W każdej chwili, jak uznasz, że jesteś już gotów, synu. Świat, w który wchodzisz, wydaje się inny, trudniejszy niż przed wojną, ale rzetelne prowadzenie interesów zawsze budzi szacunek. Dziwne jednak...

- Co jest dziwne? - spytała Lally.

- Nagle pomyślałem o dziadku Jona. Kiedy zdobywał fortunę i budował Pellham, kierował się wizją bardzo nietypową dla mieszkańca Yorkshire. Marzył, że jego spadkobiercy zmyją z rąk błoto interesów i staną się szlachtą, prawdziwymi dżentelmenami. Ciekawe, co by pomyślał o wnuku, który ukończywszy Eton i Oksford, planuje wrócić do fabryk?

- Nie mógłby sobie też wyobrazić wnuka, biorącego udział w wojnie, podczas której dawno przestał obowiązywać kodeks honorowy. Podejrzewam, ojcze, że świat dżentelmenów uległ zagładzie, chociaż jego resztki będą jeszcze przez jakiś czas egzystować. - Odwrócił się do Lally. - Więc, możemy rozejrzeć się za czymś do wynajęcia w Oksfordzie? Jesteś gotowa na rolę żony fabrykanta, kiedy skończę naukę? Według wyobrażeń Margaret nie będzie to emocjonujące życie.

- Mam dosyć emocji - odpowiedziała Lally. - Będziemy od czasu do czasu odwiedzać Margaret w Londynie. Kuzyni z prowincji. A w soboty i niedziele w Pellham możemy prowadzić życie osiadłej szlachty. Nie przeszkadza mi też dym fabrycznego miasta. Mimo wszystko, tam się urodziłam. - Wypowiadając głośno te słowa zdała sobie sprawę, że była już w stanie stawić czoło prawdzie

o swojej matce. Kilka tygodni małżeństwa, nadzieja na dalsze nienaruszalne szczęście, dały Lally odwagę do przyznania, iż urodziła się w nieznanym miejscu

1 z nieznanego ojca. Odwróciła się i spojrzała w okno na leżące poniżej miasto. - Zostaniemy tutaj, kiedy Jon skończy Oksford? Stąd będzie wygodniej dostać się do fabryk w Bradford i dalej do Sheffield. - Dziwił ją własny spokój. Decydowali przecież o przyszłości, a brzmiało to jak codzienna rozmowa, i to, według gustów Margaret, całkiem nudna rozmowa. Jednak najgorsza monotonia i największa pospolitość wydawały się teraz im obojgu rozkoszą.

II

Pojechali i znaleźli małe mieszkanie w Oksfordzie, zanim jeszcze Jona ostatecznie zdemobilizowano. Powrócił do swojego starego college'u, do St Magdalen. College ten był przygotowany na przyjęcie żonatych studentów, którzy służyli w armii podczas wojny, pod warunkiem jednakże, iż będą oni jadać obiady wspólnie z kolegami i wykładowcami w refektorium.

- Zwolnienie z wojska to tylko kwestia czasu - wyjaśniał Jon swemu dawnemu wychowawcy.

Chorą rękę miał już teraz tylko zabandażowaną. Pracował zaś wytrwale nad tym, by jego pismo leworęczne było bardziej czytelne. W księgarniach Oksfordu kupili zalecane podręczniki.

- Czy nie zanudzisz się, Lally? Nie będzie tu wiele do roboty. Szkoda, że nie możesz studiować, ale nigdy nie pozwolą zameźnej kobiecie na podjęcie nauki w college'u.

Lally uśmiechnęła się do męża.

- Nie mówmy o nudzie, kiedy codziennie dobrze jemy, jest nam ciepło i sucho. Już zapomniałeś?

Pokręcił głową.

- Nie, tylko nie do końca mogę uwierzyć, że to nie sen.

Ofiary zostały już policzone, straty podsumowane. Wydawały się wprost niewiarygodne. Dziesięć milionów zabitych, dwadzieścia milionów rannych. Uczestnicy konferencji pokojowej w Wersalu postanowili utworzyć Ligę Narodów. Nowe hasła brzmiały uroczyście, dumnie i obiecująco. Ale w Rosji Trzecia Międzynarodówka odgrażała się, że doprowadzi do światowej rewolucji i obali system kapitalistyczny. W samej Rosji walki się jeszcze nie skończyły. Bolszewicka Armia Czerwona prowadziła wojnę przeciw białym, wspieranym przez aliantów. Lally trudno było uwierzyć, że brytyjskie wojska nadal uczestniczyły w wojnie domowej tak odległego kraju. Czytała gazety dokładnie jak zawsze, ale z poczuciem znużenia, bez zainteresowania. Niech walczą, byle nie dotyczyło to już Jona ani jej. Zaczęła odczuwać zadowolenie z powodu inwalidztwa męża. Nigdy więcej go nie powołają. Niech prowadzą swoje wojny, ale niech zostawiają ją i Jona w spokoju. Jej świat robił się coraz mniejszy, coraz bardziej egocentryczny. Lally była w ciąży.

Z powiadomieniem Jona czekała, aż pojadą na weekend do domu, do niedawno zwróconego Pollockom Pellham Langley, gdzie spotkają się z Czarnym Jackiem i Alice. Czarny Jack przywiózł korespondencję, która nadeszła do nich na adres Grangewick.

- Coś urzędowego dla ciebie, Lally. Tak przynajmniej wygląda. Przebiegła wzrokiem oficjalne pismo.

- Wygląda na to, że jestem zwolniona z VAD. W samą porę. Mogłoby być mi trudno jedną ręką przewijać niemowlę, a drugą opróżniać baseny.

Na twarzach Jona i Czarnego Jacka pojawił się wyraz szoku. Bała się powiedzieć o tym Jonowi na osobności, ale czego tu się obawiać? Była pewna, że Czarny Jack ucieszy się, ale nie potrafiła przewidzieć reakcji Jona. Czy jednak nie powiedział, że chce wypełnić pustkę Pellham gromadką dzieci? To prawda, ale chciałyby, żeby postrzegał to dziecko jako istotę, która w jeszcze bardziej namacalny sposób zwiąże go z żoną? Dlaczego sądziła, że mógłby tego nie chcieć? Dziecko było przecież dowodem ich miłości. Lally z niepokojem obserwowała twarz Jona. A ta po

pierwszym szoku rozjaśniła się radosnym uśmiechem. Jon usiadł na sofie obok żony, objął ją i zaczął kołysać w ramionach.

- I co ty o tym myślisz? Dziecko! No i masz, ojcze. Będziesz dziadkiem. Czyż Lally nie jest cudowna? Była kiedyś wspanialsza dziewczyna?

245

- Nie, nigdy - odparł Czarny Jack. Jego oczy zaszyły mgłą łez. - Kochanie, Lally, obiecaj mi, że będziesz o siebie bardzo dbać. Obiecaj, iż będziesz jeść!

- Och, przypilnuję tego - zaśmiał się Jon. Choćbym musiał wpychać jej jedzenie siłą. Będziemy mieć mnóstwo dzieci, Lally i ja. - Gestem ręki ogarnął cały dom. - Zapełnimy go dla ciebie, ojcze. Wszystkie te łazienki będą używane. - Znow przytulił Lally. - Masz się dobrze czuć, Lally. Rozumiesz, Małpko? To będzie najzdrowsze dziecko, jakie kiedykolwiek przyszło na świat.

- Zdrowe, tak... - powiedziała słabo. Podchodził do tego tak praktycznie. Oczywiście, jego zdaniem Lally będzie rodzić dzieci tak samo sprawnie, jak wykonywała wszystkie inne obowiązki. - Nie moglibyśmy sobie życzyć, żeby było też choć trochę inteligentne? - dodała.

Weszła Alice. Jon zerwał się i zakręcił z nią walca wokół pokoju. Twarz dziewczyny była oszołomiona, ale radosna.

- Lally będzie mieć dziecko, Alice! Zostaniesz ciocią!

Alice spojrzała na Madame Butterfly, którą przez cały czas trzymała wetkniętą pod ramię.

- Prawdziwe dziecko? Żywe?

- Tak, kochanie - odpowiedział Czarny Jack - Prawdziwe.

Czarny Jack nalegał, by wieczorem zadzwonić z nowinami do Margaret. Margaret wykorzystwała swój posag na wynajęcie małego, ale eleganckiego domu w Londynie. Lord Gough nie mógł jej w tym przeszkodzić, choć nie pochwalał tego pomysłu.

- Och, ojcze, co za nudziarstwo. Teraz będziesz mieć wnuki, gdzie nie spojrzysz. Ja też jestem w ciąży. Lekarz powiedział, że dziecko przyjdzie na świat w listopadzie.

- Margaret!

- Cóż, oczekiwano, że urodzę dziedzica, prawda? Ród Grenfellów musi trwać. Pozostał tylko Bobby i jego ojciec oczekuje wnuków, by dziedziczyli tytuł. Boże pomóż tej małej istocie, jeśli okaże się dziewczynką. Mam tylko nadzieję wydobyć trochę pieniędzy od lorda Gougha na kupno domu. W końcu muszę mieć dostęp do bardzo dobrych

lekarzy londyńskich. Potrzebuję rozpieszczania i trzymania za rączkę. Prawda jest taka, że jestem zdrowa jak koń. To o Lally musimy zadbać. Mam nadzieję, że teraz zacznie jeść.

- Zmusimy ją. - Czarny Jack był wzburzony. Nagle jego rodzina zaczęła się rozrastać. Myślał o tym często, pragnął tego, ale teraz wszystko działo się bardzo szybko. Było to zresztą zjawisko normalne w okresie powojennym. Pośród tych, którzy powrócili zapanowała gorączka, by wypełnić lukę po umarłych. Dorośli patrzyli na dzieci z nadzieją. Były przyszłością, nagrodą za walkę, którą stoczyli i wygrali. Czarny Jack natychmiast porzucił plany wyjazdu do Ameryki.

- Podróż może poczekać.

Kiedy Alice usłyszała kolejną nowinę, przycisnęła Teddy'ego Rose'a, Madame Butterfly i Raggedy Anne do pełnych młodych piersi.

- Jak ja ich wszystkich będę nosić - lamentowała. - To za dużo!

- Po jednym, kochanie - pocieszał ją Czarny Jack - Po jednym.

183

Jon skończył semestr. Nadeszło lato i wrócili do Pellham Langley. Przez cały czas Lally korespondowała z Susie. Przyjaciółka odeszła z VAD i dostała pracę u Harrodsa. - „Dopóki nie trafi się coś lepszego” - pisała. Odmówiła jednak odwiedzenia Pellham Langley. „Nie mogę tak od razu prosić o urlop. Roboty nie ma za dużo, pracuję w dziale tkanin. Ale jest wielu chętnych na tę posadę. Myślę, że dostałam ją tylko dlatego, że siostra przełożona napisała mi tak świetną opinię. Spytała mnie, czy nie chciałabym zostać zawodową pielęgniarką w St Thomas. Możesz w to uwierzyć? Ale nie potrafiłam po prostu znieść myśli o powrocie na stanowisko nowicjuszek”.

W sierpniu Margaret i Booby przyjechali z Neatherby, dokąd pojechali dopiero pod koniec londyńskiego sezonu.

- Wyglądamy absurdalnie - stwierdziła któregoś dnia Margaret, kiedy jej ulubiona sukienka nie mogła się dopiąć na nabrzmiałym brzuchu. - Dwie rozdęte, przekarmione kobiety, a wszyscy gładzą wokół, jakbyśmy były jedyne na świecie, które kiedykolwiek spodziewały się dziecka. Wszyscy mają teraz dzieci. Nie mogę się doczekać momentu, kiedy w końcu znajdzie się godziwa wymówka, bym mogła wrócić do Londynu. Tam macierzyństwo nie będzie jedynym tematem do rozmowy.

- Powietrze w Jorkshire służy ci, kochanie - uspokajał żonę Bobby. -I musimy spędzić jeszcze trochę czasu w Neatherby. Rodzice nas oczekują. Spodziewają się, że zajmę się majątkiem. Oczywiście, rozumieją, że musisz być w Londynie z powodu lekarzy. Ale to ich pierwszy wnuk. Ledwie mogą uwierzyć, że zostaną dziadkami. Wiesz, jak to jest... Starzeją się. No i stracili Davida i Guya. Cóż, podejrzewam, że tak naprawdę nie mieli nadziei na wnuki.

Margaret wzruszyła ramionami, ciągle jeszcze rozdrażniona.

- Gdyby tylko nie robili tyle zamieszania. - Potem jej maniery stały się łaskawsze. Przecież lord Gough był jedyną szansą na własny dom w stolicy. -Oczywiście, kochanie, rozumiem. Ale muszę urodzić dziecko w Londynie. Nie czułabym się w takim momencie bezpieczna na wsi...

- Są odrobinę rozczarowani, że dziecko nie urodzi się w Dentdale. - Dent-dale było szesnastowiecznym, elżbietańskim dworem rodziny Grenfellów, domem, którego panią po śmierci lorda Gougha, miała zostać Margaret.

- Ale rozumieją, że musisz mieć najlepszych lekarzy. Zrobią wszystko, abyście ty i dziecko byli zdrowi.

Lally wiedziała, że Czarny Jack zaproponował, że mógłby kupić Margaret i Bobby'emu dom w Londynie, ale Bobby odmówił, urażony.

- Margaret dostała od pana wystarczająco dużo. Nie zaszkodzi, jeśli trochę poczeka na własny dom w Londynie. Ma zupełnie dobrą rezydencję w Neatherby.

Czarny Jack powtórzył to Lally, z trudem ukrywając satysfakcję.

- Chyba zgadzam się ze starym Goughem. Nic się jej nie stanie, jeśli nawet spędzi większość czasu w Neatherby. My nigdy nie potrzebowaliśmy domu w Londynie. Dzieci Margaret i Bobby'ego powinny wiedzieć, gdzie należą. Niech mnie, jeśli Bobby nie okazał się sensowniejszym facetem, niż podejrzewałem.

Więc Grenfellowie pod koniec sierpnia udali się do Neatherby, a Jon nagle oświadczył, że nie chce wracać do Oksfordu.

- Jestem za stary - powiedział. - Nie mogę udawać, że czas się cofnął. To trudny mózół bez żadnego faktycznego znaczenia. Nie potrafię się przekonać, że greka i łacina są niezbędne, po tym, co widziałem w okopach. Spotykam osiem-nastolatków, którzy właśnie dostali się do college'u, i czuję się jak starzec. Oczywiście, jest wielu facetów w takiej samej sytuacji, ale podejrzewam, że większość podziela moje uczucia. Nigdy nie miałem zadatków na uczonego, ale wydaje mi się, że straciłem i tę dawną odrobinę zapału. Lepiej to rzucić, niż zrobić z siebie durnia, oblewając egzaminy. Studia w Oksfordzie należały do innego etapu w moim życiu. Myślę, że lepiej będzie zająć się u boku ojca zarządzaniem fabryk i kopalń.

Czarny Jack nie dał po sobie poznać, czy rozczarowała go decyzja syna. Może przypomniał sobie, jak i on sam musiał przerwać naukę w tej samej uczelni. Z dnia na dzień spadło na niego prowadzenie interesów. Jon będzie miał więcej czasu, by wciągnąć się w swoją pracę.

- Jak sobie życzysz, synu. Zrób, co uważasz. W okopach zdobyłeś naukę, jakiej myśmy w młodości nie doświadczyli.

Na początku września do Pellham Langley przyjechała Susie Barlow, przywieziona przez Czarnego Jacka z Londynu.

- Twój tata nie przyjął do wiadomości żadnych argumentów. Mówiąc prawdę, zaczęłam się już trochę nudzić przy tej sprzedaży materiałów z metra. - Jej mała twarz zmarszczyła się ze śmiechu. - To było nawet zabawne. Ileż czasu zajmuje niektórym damom wybór kilku jardów materiału na halkę. Czasem mam już pół sklepu na ladzie, a klientki wciąż chcą zobaczyć coś więcej. - Przysunęła się bliżej do Lally. - Twój tata jest naprawdę kimś, prawda?

Powiedział, że mój przyjazd będzie dla ciebie najlepszą niespodzianką. Poszedł do dyrektora i zmusił go do obietnicy, że odzyskam pracę w każdej chwili. Powiedział, że to obowiązek patriotyczny wobec zasłużonych na wojnie pielęgniarek. Same bzdury, oczywiście, ale przyrzeczenie wymógł. Oświadczył, że jego córka ma rodzic pierwsze dziecko, że też była dzielną pielęgniarką. Mówię ci, ten kraj tonie w heroizmie. Powiedział dyrektorowi, że potrzebujesz towarzystwa i pomocy doświadczonej pielęgniarki. Nie napomknęłam ani słówkiem, że na naszym oddziale niewiele miałyśmy okazji, by zajmować się położnictwem. To szczególnie zbyt subtelny dla mężczyzn.

Mogliby nie zrozumieć. Niech będzie. Twój tata... - przerwała i popatrzyła na swoje ręce, które wyglądały teraz bardziej delikatnie i gładko, niż Lally kiedykolwiek widziała. Susie ubrana była w spódnicę i żakiet o prostym, zdecydowanie eleganckim fasonie. Jej szczupła figura wyglądała w tym stroju jeszcze zgrabniej. - Twój tata nalegał, żebym przyjęła taką samą pensję, jaką dostawałam u Harrodsa. Nie chciałam się zgodzić. W końcu też mam swoją dumę.

185

Ale nie mogę pozwolić sobie na wakacje. Trochę pomagam finansowo rodzicom, by nadrobić lata wojny, kiedy nie mogłam zdobyć dla nich ani pensa. Więc twój tata tak naprawdę płaci mi tylko za siedzenie tutaj w twoim miłym towarzystwie. Myślę, że dokładnie to należy do moich obowiązków. Boże, Lally, to dopiero jest dom. Największy, jaki w życiu widziałam - roześmiała się głośno. -Do diabła, Lally, ile to minęło od czasu, gdy dzieliłyśmy miednicę, by wymoczyć stopy? Kiedy zobaczyłam te marmurowe cudeńka, zwane tutaj łazienkami... Nie wiem, czy nie utonę w wannie. Rozkoszna śmierć. Gdyby tak moja mama i tata mogli mnie tu zobaczyć. Słuchaj, Lally, rób wszystko, co ci powie lekarz. Musisz urodzić zdrowe dziecko. Jesteś to winna tym ludziom.

III

Susie została z przyjaciółką przez wszystkie te otepiające miesiące, kiedy Lally czuła się zbyt opuchnięta i ciężka, by się poruszać. To Susie nalegała na codzienne spacerunki po ogrodzie, choć nie pozwalała swej podopiecznej zapuszczać się aż na wrzosowiska.

- Nie, nie pójdziesz! Jeszcze upadniesz i skręcisz kostkę. Twój tata nigdy by mi tego nie wybaczył. - Sprowadziła książki o położnictwie i poważnie je przestudiowała. - Zamierzam wiedzieć, co się dzieje, kiedy przyjdzie czas - tłumaczyła.

Często telefonowała Margaret. Narodziny wnucząt Czarnego Jacka miały nastąpić w odstępie kilku tygodni.

- Gdybym wiedziała, jak to jest, nigdy nie pozwoliłabym sobie na ciążę. To okropne! Nie mogę nigdzie wyjść. Bogu dzięki, wiele osób przychodzi tutaj. Na herbatę i drinka. Leżę na sofie i próbuję jakoś ukryć ten wielki brzuch.

Mówię ci, Lally, marzę o dniu, kiedy znowu zobaczę swoje stopy. Bobby to anioł, ale nie mogę opędzić się od myśli, że jest też odrobinę nudny. On naprawdę chciałby wrócić do Neatherby i rozmawiać z administratorem o sprawach majątku. Często mówi o Jonie, że jeździ codziennie do fabryk. Myślę, że mój mąż mu zazdrości. Chociaż, szczerze mówiąc, nie mogę wyobrazić sobie Bobby'ego zarządzającego fabryką lub kopalnią.

Przebudowę Grangewick zakończono w październiku i Czarny Jack nalegał, by przenieśli się tam wszyscy razem. Lally zdawała sobie sprawę z niepokoju ojca. Obawiał się, jak myślała, że historia może się powtórzyć. Pamiętała poranek, kiedy urodziła się Alice. Głęboki śnieg okrywał wrzosowiska i krętą drogę pod górę do Pellham Langley. Wiejski lekarz przedarł się przez zasy, ale specjalista z Leeds, którego pomoc była konieczna, nie zdążył. Tym razem Czarny Jack nie dopuści do takiego ryzyka.

Osiedli więc w trochę zbyt ciasnym dla całej rodziny Grangewick. Z Londynu przyjechała lady Ross.

- Podobno te ostatnie tygodnie strasznie się dłuży, więc pomyślałam, że może moja obecność trochę ci ten czas umili. Margaret ciągle narzeka, ale

ma liczne towarzystwo. Stanowczo za liczne, jak sędzę. Bobby obawia się, że to ją wyczerpuje, ale nikt nie może Margaret tego wyperswadować. A Bobby nie cierpi się sprzeciwiać żonie. Obawiam się, że potwornie ją rozpieszcza. Bo też uwielbiają, a jego rodzice są tak uszczęśliwieni myślą o wnuku, że godzą się na wszystko. Lord Gough kupił Grenfellom uroczy dom tuż przy Belgrave Square. Niewielki, ale wystarczająco duży, by Margaret mogła wydawać przyjęcia. Teraz jest odnawiany. Ma być gotów wkrótce po narodzinach dziecka.

- Biedne maleństwo - powiedziała Susie. - Jeśli to dziewczynka, to jej współczuję.

Lady Ross przytaknęła ze zrozumieniem. Od początku czuła ogromną sympatię do Susie.

- Ona ma ducha stosownego do tych rudych włosów - powiedziała kiedyś do Lally. - I ogromną inteligencję, która dopiero zaczyna szukać sobie ujścia. Kobieta tego pokroju marnuje się jako ekspedientka.

Markiza nadal pracowała w Czerwonym Krzyżu.

- To czasami potwornie bolesne, Lally. Nadal nie wiemy, gdzie i kiedy tak wielu z nich zginęło. Mówiłam ci, że zostałam zaproszona do uczestnictwa w Komisji Opieki nad Grobami Wojennymi?

W ciemny listopadowy poranek usłyszeli dzwonek telefonu. Czarny Jack zerwał się i był już na dole, w hallu, zanim Billings skończył szamotać się ze szlafrokiem. Dzwoniono z Londynu. Poród rozpoczął się niemal trzy tygodnie przed terminem. Lally, Jon i Susie zgromadzili się u szczytu schodów, słuchając krótkich odpowiedzi Czarnego Jacka. Kiedy odłożył słuchawkę, zauważyli, że twarz ojca ściągnięta była zgryzotą.

- Lally, natychmiast wracaj do łóżka. Kłopoty z jedną to wystarczy.

- Kłopoty?

- Bobby mówi, że lekarz i położna są przy niej, a on nie pozwoli lekarzowi odjechać, zanim dziecko się nie urodzi.

Margaret krzyczy z bólu.

- Margaret będzie krzyczeć - powiedziała lady Ross. - Taka jej natura. - Stała owinięta szlafrokiem, a długi warkocz opadał jej na ramię. Surowa piękność zniknęła. Markiza wygląda, łagodnie i kobieco, pomyślała Lally. Szlafrok z czerwonego jedwabiu był nieco przetarty na mankietach.

- Muszę pojechać do Londynu - powiedział Czarny Jack. Mógłbym złapać pociąg o siódmej. Może pomogę Bobby'emu. Sprawiał wrażenie przerażonego.

- Chciałbyś, żebym z tobą pojechała, Jack? - spytała lady Ross. Popatrzył na nią z wdzięcznością, ale przecząco pokręcił głową.

- Och, nie mógłbym cię na to narażać. Poza tym Lally...

- Lally - włączyła się Susie - ma mnie i Jona. A lekarz i położna są bliżej niż o pięć minut drogi stąd. Myśli pan, że pozwolilibyśmy, by coś jej się stało? I Lally nie będzie krzyczeć. Ma odwagę i rozsądek. Zachowa siły dla dziecka. Lady Ross, czy mam pomóc pani spakować podręczny bagaż? Jestem pewna, że pan Pollock chętnie przyjmie pani towarzystwo. Lally, zrób, co ci kazał twój tata i w tej chwili wracaj do łóżka. A ty, panienko - zwróciła się do Alice, która

187

wymknęła się ze swojej sypialni. - Co robisz nie w łóżku? - Było to powiedziane tonem żartobliwej surowości. Susie bowiem z miejsca oddała serce Alice. -Wracaj do siebie, jak grzeczna dziewczynka. Gdy tylko załatwimy sprawy lady Ross i twojego taty, przyjdę zrobić tobie i pozostałym kakao. - Oczywiście było, że przez pozostałych rozumie Teddy'ego Rose'a, Madame Butterfly i Raggedy Anne. Sussie bowiem przejęła sposób, w jaki rodzina traktowała Alice - jednocześnie jak dziecko i jak dorosłą. Klasnęła w ręce, dziewczyna wybiegła chichocząc.

Lally wróciła do łóżka. Jon podążył za nią zamieniwszy jeszcze kilka słów z ojcem.

- Zawsze to samo - powiedziała do męża. - Margaret i ja jesteśmy niedorzecznie rozpieszczane Rozpuszczane.

Miliony kobiet rodzi dzieci każdego dnia. Niektóre z nich są samotne i pewnie półżywe ze strachu.

- Nie ma na to rady, Lally. Nie możesz zmienić świata, nawet jeśli myślisz, że dostałaś zbyt wiele. Faktem jest, moja droga, że nosisz bardzo oczekiwane dziecko Jona Pollocka i upragnionego wnuka Czarnego Jacka Pollocka, co jest może ważniejsze w oczach opinii publicznej, ale nie w moich. - W ciemności odwrócił się do żony i położył dłoń na jej brzuchu. - Lally, kochanie, musisz być zdrowa. Wiem, czego boi się ojciec. Ja też się boję. Nie chcę cię stracić, Lally. Nie ma na świecie takiego dziecka, które mogłoby mi zrekompensować takie nieszczęście.

Czuła ciepło jego dłoni, słyszała ton jego głosu. Wydawał się jeszcze bliższy niż dotąd. Kiedy dziecko się urodzi... Postanowiła, że Jon nie usłyszy jej krzyku.

*

* *

Dowiedzieli się, że Margaret miała jednak powody do krzyku. Minęły ponad dwa dni bolesnego porodu, zanim wydała na świat drobnego, bladego, ale kształtnego chłopczyka. Czarny Jack opisał im przez telefon sposób, w jaki patrzyła na syna wyczerpanymi oczyma, w jaki się uśmiechała.

- Sprawileś masę kłopotów, malutki - szeptała. - Niech cię pocałuję, łysa małpeczko. Omal mnie nie zabiłeś, a mimo to kocham cię. Czy to nie wariactwo, Bobby? Myślałam, że znienawidzę tego, kto sprawi mi tyle bólu. A teraz on tu jest.... Cóż, powiem ci tylko, że będzie dzieckiem rozpieszczonym. Kocham go.

- Spokojnie, kochanie. Nie mów tyle. Staraj się zasnąć. Skinęła głową.

- Jest niesamowicie do ciebie podobny, nie uważasz, Bobby? Twój ojciec będzie zadowolony... - Uśmiechnęła się znowu i pozwoliła działać lekom. - Tak, zasnę...

* *

Kiedy nadszedł jej czas, Lally obudziła po cichu Jona.

- Zawołaj Susie - powiedziała spokojnie. - Wody mi odeszły. To nic pilnego, ale może lepiej, żebym leżała w suchym łóżku.

Rozbudził się przerażony.

- Lally, Lally, wszystko jest dobrze? Czy to boli?

- Jeszcze nie. Tylko zawołaj Susie.

Kiedy rozpoczęły się skurcze, Susie czuwała przy niej, uzbrojona w całą świeżo nabytą wiedzę o porodzie i zestaw wysterylizowanych i owiniętych w ręczniki instrumentów, które mogły okazać się potrzebne.

- Boże, mamy tego więcej niż w szpitalu, ale nigdy nic nie wiadomo. Cholerni lekarze nie zawsze wiedzą, co robić. - Przyjechała położna i natychmiast chciała usunąć Susie z pokoju rodzącej. Susie jednak nałożyła swój wykrochma-lony, choć mocno znoszony czepek wolontariuszki i ostro stawiała opór. - Proszę chociaż o jeden powód, dla którego powinnam wyjść. Widziałam więcej niż pani. Przez całe życie nie zobaczy pani tego, czego byliśmy świadkami, Lally i ja. Ona chce, żebym tu została. Pan Pollock zresztą tak zarządził. - Ostatni argument wydawał się rozwiewać wszelkie wątpliwości. Polecenia pana Pollocka były natychmiast wykonywane. Przyszedł lekarz, ale większość czasu spędził na dole z Jonem. Czekając, grali w szachy, a Susie mierzyła długość przerw między skurczami. Co godzina dzwonił z Londynu Czarny Jack.

- Proszę się nie martwić, panie Pollock. Wszystko idzie cudownie. Tego można było spodziewać się po Lally. -

Lekarz wydawał się wręcz znudzony nieskomplikowanym porodem.

Było, myślała później Lally, dokładnie tak, jak wszyscy oczekiwali. Po około dziesięciu godzinach, w czasie których lekarz był właściwie niepotrzebny, a specjalista, czekający pod telefonem, w ogóle nie został wezwany, Lally urodziła syna. Skłamałaby twierdząc, że poród nie kosztował jej żadnego bólu, ale wszystko poszło spokojnie i sprawnie.

- Boże, czyż nie jest piękny? Siedem funtów i dziesięć uncji - zachwycała się Susie. - W porządku, kapitanie Pollock, może pan już wejść i popatrzeć. Jeśli nie uzna pan, że to najpiękniejsze dziecko i, że Lally nie jest najwspanialszą matką...

Jon roześmiał się i pośpieszył od razu do żony, nie zatrzymując się nawet, by spojrzeć na syna.

- Zawsze była najlepsza, we wszystkim.

- I lepiej niech pan nie zmienia zdania, kapitanie Pollock, bo będę musiała pana zabić. Osobiście.

Jon pocałował Lally w czoło i ujął obie jej ręce. Susie umyła przyjaciółkę i ubrała w czystą koszulę, zanim pozwoliła wejść Jonowi. Lally pachniała wodą kolońską. Spryskała się nią, by zagłuszyć inny zapach, zapach choroby i bólu, smród biedy. Ta woń prześladowała ją znowu przez ostatnie godziny. Ledwie świadoma, że jej dziecko już przyszło na świat, młoda kobieta chciała jedynie uwolnić się od obsesyjnego zapachu i od lęku. Dotyk ręki Jona odsunął wszystkie obawy w niepamięć.

189

- Już jest w porządku, Lally, kochana... w porządku, moja ukochana.-Powiedział „moja ukochana”. - Odpoczywaj. Wiem od Susie, że mamy ślicznego synka. - Poczula jego pocałunek. - Tak się bałem, Lally. Myślałem, że poznałem już najgorszy rodzaj strachu. Ale to było coś zupełnie innego. Czułem, jakbym cię w to wpakował, a sam uciekł od całego bólu. Ja byłem przyczyną twojej męki i nic nie mogłem zrobić.

- Oboje byliśmy tego przyczyną. Nie cieszysz się?

Przez chwilę słuchał zdrowych wrzasków dziecka w kołysce.

- Nie jestem pewien. Nie jestem pewien, czy mam dość odwagi, by przejść przez to raz jeszcze.

- Głuptasie - powiedziała Lally czule - oczywiście, że znów przez to przejdziemy. Mówią, że za każdym razem jest łatwiej. Przyzwyczaisz się do tego, zanim się zestarzejesz. Czyż nie postanowiliśmy, że zaludnimy... - Poczula jak odpływa w sen. Takiego zmęczenia jeszcze nie pamiętała.

*

*

Obudziła się w pokoju zamienionym w ogród.

- Twój tata ograbił cieplarnie wszystkich swoich-przyjaciół - śmiała się Susie. - i spójrz, jest coś od lady Bletchley. Orchidee. Przyszła zobaczyć dziecko na własne oczy. Sztywna stara dama. Ale jest w tym maleństwie coś, co rozbija każdego. Twój tata przyjechał z Londynu. Wypiła z nim herbatę. Prawdziwa stara dama. Cała była obwieszona diamentami.

Lally spojrzała na orchidee. Pomyślała, że to prawdopodobnie najwykwintniejsze kwiaty, jakich mogły dostarczyć zubożone wojennymi ograniczeniami cieplarnie Witfell. Ślub z Jonem wart był jedynie szkarłatnego aksamitu.

Urodziny prawnuka zostały uznane za godne diamentów. Lally podano dziecko. Nalegała, że będzie sama je karmić i nikt nie ośmielił się temu sprzeciwić. Więc lady Bletchley założyła diamenty, rozmyślała. Stara dama pragnęła uczcić przedłużenie dynastii. Nowe pokolenie rodziło się, by zastąpić wnuków, którzy zginęli na wojnie. Lally karmiła syna. Wydawał się jej pięknym dzieckiem. Oczekiwała wizyty Czarnego Jacka, ale po oddaniu niemowlęcia Susie, niespodziewanie znów zapadła w sen.

*

*

Przez kilka dni Lally pozwalala, by ją rozpieszczano i zagłaskiwano. W końcu jednak z pomocą Susie wstała, ubrała się i zeszła na dół na obiad.

- Kochane dziecko - Czarny Jack podniósł się, kiedy wkroczyła do salonu, gdzie on, Jon i lady Ross popijali sherry. Alice siedziała z nimi. - Powinnaś się oszczędzać?

- Och, panie Pollock - zawołała Susie - to wszystko przestarzałe bzdury. Leż w łóżku, a rozchorujesz się. Lally jest w świetnej formie i dobrze jej robi,

257

jeśli się trochę porusza. Dziecka pilnuje niania, więc nie musimy się o nie martwić. Nie uważa pan, panie Pollock - dodała bez ogródek - że czas najwyższy, by Lally przyłączyła się do ogólnej radości. Uczciliście dziecko szampanem. A co z jego matką?

Jak na zawołanie wszedł Billings. Po latach służby zajął w domu miejsce, które trudno było dokładnie zdefiniować. Wniósł butelki szampana owinięte w biały adamaszek i dobrze schłodzone kieliszki. Neli uprzedziła go, że Lally zamierza zejść na dół, wystąpił więc z własną inicjatywą.

- Mam tylko nadzieję, sir, że w przyszłym roku Francja będzie mieć dobre zbiory. Obawiam się, że jesteśmy niebezpiecznie blisko dna naszej piwniczki.

- Nie do pomyślenia, Billings - roześmiał się Jon. - Jak mogłeś do tego dopuścić?

Obejmował Lally i przyglądał się jej z zachwytem. Fałdy szmaragdowej sukni, która w czasie ciąży służyła za strój wieczorowy, opadały teraz luźno, ale i tak nie opuszczała Lally przykra świadomość, że jej talia jest znacznie grubsza niż powinna. Młoda kobieta rozkoszowała się jednak odzyskanym uczuciem lekkości.

- Nikt, sir, nie spodziewał się, że wojna potrwa tak długo - tłumaczył się Bilings.

- Pan Pollock obawiał się nawet wznowienia działań wojennych - zauważyła cicho lady Ross. - Ale nie chciał nikomu z was mówić o swoich podejrzeniach. Miał nadzieję, że się myli.

- Oby tak było, proszę pani. A teraz, jeśli państwo pozwolą... - Billings miał, oczywiście, przygotowany kieliszek także dla siebie. - Chciałbym zaproponować toast za nowe pokolenie. Zapomnijmy o wojnie.

Chórem powtórzyli ostatnie słowa.

- Czy mogę wiedzieć, jak zostanie nazwane dziecko? Wszyscy o to pytają. Jon przytulił Lally.

- Nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy. Chcieliśmy tylko, żeby się bezpiecznie urodziło.

Czarny Jack odchrząknął nerwowo.

- Więc... Dziś dzwoniła Margaret. Powiedziała, że jeśli nazwiecie swego syna Jonathan, to oni swego nazwą David. To imię najstarszego syna Gougha. Margaret twierdzi, że jest na tyle zdrowa, by przyjechać tutaj na święta.

Spędzimy Boże Narodzenie w Pellham i dzieci zostaną ochrzczone w naszym kościele. David i Jonathan.

- Wspaniale! - ucieszył się Jon. Nawet tuląc się do ramienia Jona, Lally nie mogła stłumić drżenia. Biblijny tekst o Davidzie i Jonathanie kołatał jej się w głowie. „Wśród boju Jonatan przebity śmiertelnie. Żal mi ciebie, mój bracie, Jonatanie. Tak bardzo byłeś mi drogi! Więcej ceniłem twą miłość...”. Otrząsnęła się

191

z ponurych myśli. Był też inny fragment. „Dusza Jonatana przylgnęła całkowicie do duszy Davida”². Tak, to o to chodzi. Będą duchowymi braćmi.

- Tak, niech będzie Jonathan - zgodziła się.

- Dwoje dzieci - powiedziała radośnie Alice. - Dwa dzidziusie tutaj. Prawdziwe.

Czarny Jack podał najmłodszej córce swój kieliszek szampana.

- Myślę, Billings, że panienka Alice może przyłączyć się do naszej uroczystości.

Billings wyglądał na wzburzonego.

- Ależ, oczywiście, sir. Taki ze mnie zapominalski. Przepraszam, panienko Alice. Zaraz przyniosę jeszcze jeden kieliszek...

Nikt z nich nie wiedział, jak przekraczać granicę między dzieckiem a młodą kobietą, którymi Alice była jednocześnie.

*

* 3

Marzenie Czarnego Jacka o ceremonii chrzcin w przytulnej atmosferze wiejskiego kościółka nie spełniło się.

Obydwaj chłopcy ubrani w długie, przekazywane z pokolenia na pokolenie, koronkowe szaty, zostali ochrzczeni w ogromnej gotyckiej katedrze w Yorku. Nalegali na to Goughowie, którzy znaleźli poparcie u Bletchleyów, dając do zrozumienia, że kościół w Pellham Langley może być dobry dla dzieci szlachty, ale jeśli chodzi o wnuki arystokracji, wymagania są znacznie wyższe. Czarny Jack poddał się bez protestu, ponieważ udało mu się przeforsować sprawę znacznie dla niego ważniejszą. Zadepeszował mianowicie do Ameryki natychmiast po szczęśliwych narodzinach dzieci i oto Brock Wey-mouth w idealnie uszytym garniturze pojawił się w York Minster, jako ojciec chrzestny obu chłopców. Przemierzył Atlantyk w okresie najgorszych sztormów i dotarł na czas.

Lally, otulona futrzanym płaszczem, patrzyła jak jej syn chrzczony był zaraz po synu Margaret. W imieniu każdego z dzieci Brock jako ojciec chrzestny i lady Ross jako matka chrzestna przysięgali wyrzec się szatana i jego dzieł.

Wey-mouth wydawał się doskonale znać formułę nabożeństwa albo też, myślała Lally, zadbał o to, by się z nią z tej okazji zapoznać. Nigdy nie będzie malowanym ojcem chrzestnym. Można być pewnym, że uczyni wszystko, co przyrzekł, przynajmniej w sensie materialnym. Duchowe życie Bracka nikomu nie było znane. Wielkie organy rozbrzmiewały na cały kościół, chór śpiewał. Mieszkańcy Yorku, zaczynający gromadzić się w katedrze na wigilijne

²Pierwsza Księga Samuela 18,1 op. cit.

³Pierwsza Księga Samuela 18,1 op. cit.

nabożeństwo, mogli nacieszyć uszy niezwykłą ucztą muzyczną. Lally przypomniał się ślub Sandy i Jona, kiedy wszyscy wyglądali tak radośnie, a jej serce ciążyło jak z ołowiu. Spojrzała na Margaret, bladą i śliczną. Macierzyństwo tylko dodawało jej uroku. Wtedy Margaret przyjechała w białym gronostajowym futrze, wypożyczonym dla niej

192

przez Bracka. To, które miała na sobie teraz z pewnością było jej własnością. Lord Gough najwyraźniej pozwolił synowej wybrać sobie coś z propozycji Har-rodza.

- Arktyczne lisy - szepnęła do Lally. Otoczona wysokim futrzanym kołnierzem twarz promieniała. - Bogu dzięki - dodała - jedno dziecko z głowy. Goughowie oczekują kolejnych. Okropne nudziarstwo. Biedny Bobby, też chciałby, ale obawia się, że umrę. Bobby zaczyna robić się trochę nudny, biedaczek. Ale cóż, nic na to przecież nie poradzi. Czyż Brock nie wygląda wytwornie, Lally? Kto by przypuszczał, że ojciec wpadnie na taki genialny pomysł? Brock nie będzie jak ci typowi zramolali ojcowie chrzestni.

Nabożeństwo kończyło się. Ludzie zaczęli wstawać i ruszać do wyjścia. Chór zamilkł. Wtedy odezwał się pastor:

- Ukochani, za chwilę udzielię ślubu Edith markizie Ross i panu Johnowi Jamesowi Pollockowi. Zapowiedzi zostały ogłoszone trzykrotnie w ciągu ostatnich trzech tygodni, jednak widzę, że dla większości z was wydarzenie to jest zaskoczeniem. Łączymy dwie radosne okoliczności. Przez długie lata nasz naród doświadczał strasznego niebezpieczeństwa. Teraz świętujemy narodziny, chrzciny i nowe małżeństwa. Czy mogę prosić świadków o wystąpienie?

Billings, którego najwyraźniej dopuszczono do tajemnicy, podał bukiet lady Ross, drugi zaś Susie Barlow. Z okazji chrzciny Susie uszyła sobie suknię niezwykle piękną w swej prostocie. Narzuciła na nią futro, przywiezione przez Bracka z Londynu, które, jak mówił, gdzieś pożyczył. Brock zajął miejsce obok Czarnego Jacka. Lally wiedziała, że nie będzie żadnego niezręcznego szukania obrączki, kiedy nadejdzie pora.

- Czy ty, Edith, bierzesz tego mężczyznę, Johna... - Z poczuciem szczęścia i niedowierzania oszołomiona Lally słuchała wymiany przyrzeczeń.

- Tą obrączką poślubiam cię. Wszystkimi moimi ziemskimi dobrami będę cię wspierał.

Pewną dłonią Brock podał obrączkę Czarnemu Jackowi. Czarny Jack Pollock, człowiek, którego Lally nazywała ojcem, żenił się po raz trzeci.

Organy nadal grały. Goście, którzy zgromadzeni na podwójny chrzest stali się równocześnie świadkami niespodziewanego małżeństwa, szeptali między sobą. Tymczasem Czarny Jack i kobieta, która od chwili obecnej

miała nosić miano pani Pollock, zniknęli w zakrystii w towarzystwie Brocktona Weymoutha z Nowego Jorku i Susan Barlow z Borough of Hackney w Londynie, by złożyć podpisy w księgach parafialnych największej angielskiej katedry.

Margaret zwróciła się do Lally z pełnym niedowierzania uśmiechem.

- Och, czyż to nie cudowne! Ona zawsze trochę mnie peszyła, bo miałam wrażenie, że oczekuje ode mnie czegoś więcej. Ale to najlepsze, co mogło przytrafić się ojcu.

Lally zmusiła się do uśmiechu. Zastanawiała się, czy uczucie, które nią zawładnęło, nie jest przypadkiem zazdrością. Przez całe świadome życie Lally Czarny Jack mówił, że jej potrzebuje, że rodzina jej potrzebuje. Obiecała zaopieko-

13 - Obietnice

193

wać się Jonem, Margaret i Alice. Teraz nie była już więcej potrzebna. Prawdziwa dama, którą czciła i uwielbiała, przejmie opiekę nad Pollockami.

- O co chodzi, Lally? Źle się czujesz? - z niepokojem wyszeptał Jon do jej ucha. - Tu jest wprost lodowato. Ani ty, ani Margaret nie powinnyście były brać udziału w uroczystościach.

- Oczywiście, że powinnyśmy były! - błyskawicznie wzięła się w garść. - Jak mogłybyśmy nie przyjechać! Myślę, że ojciec będzie szczęśliwy z lady Ross, a ona z nim.

Siedząca obok Margaret wyszeptała.

- Jak będziemy się do niej zwracać? Nie jest już lady Ross. A przecież nie możemy nazywać jej matką? Nie wiedziałam nawet, że ma na imię Edith...

Nowożeńcy i świadkowie wyłonili się z zakrystii. Susie niemal dorównywała elegancją i dystynkcją Edith Pollock. Brock Weymouth wyglądał, jakby nic innego w życiu nie robił, tylko pełnił rolę drużby. Ci, którzy chcą się nauczyć, uczą się szybko, pomyślała Lally.

Tłumek zgromadzony przed wejściem do katedry zaskoczyły ogłuszające tony weselnego marsza Wagnera.

Wiedzano o chrzcie, toteż nikt nie spodziewał się, że na czele opuszczającego kościół orszaku kroczyć będą państwo młodzi w średnim wieku.

*

Czarny Jack wynajął specjalny wagon, by przewieźć gości z Yorku do Leeds. Było ich zaskakująco wielu. Niektórzy wprawdzie nie uczestniczyli w ceremonii w katedrze, ale przyjechali uczcić chrzciny prosto do Grangewick. Część osób zdecydowało się powitać w domu Pollocków kolejny poranek.

Lally i markiza - Lally nie potrafiła jeszcze myśleć o niej inaczej - poszły razem na górę zdjąć płaszcze.

- To było okropnie podstępne z waszej strony - powiedziała z uśmiechem Lally.

Edith Pollock również się uśmiechnęła.

- Nie wiedzieliśmy, czy byście nam pozwolili, więc po prostu zrobiliśmy to. - Markiza wyciągnęła szpilki i zdjęła kapelusz. - Lally, powiedz, jesteś zadowolona?

Lally skinęła głową.

- To cudowne. Dla niego, dla nas wszystkich. Zawsze zastanawialiśmy się, czy kiedykolwiek znów się ożeni, ale nigdy nie myśleliśmy...

Od dłuższego czasu nie wspominało o kobiecie, którą Czarny Jack utrzymywał w Leeds. Gdzieś w ciągu lat wojny, kiedy Lally, Margaret i Jon byli poza domem zniknęła z życia ich ojca. Nikt zresztą nigdy oficjalnie nie przyznał się, że wie o jej istnieniu, więc też nie wniano, co ojciec uczynił z tą znajomością. Nagle Lally wyobraziła sobie spokojną i godną postać markizy, królową na stałe w Pellham Langley. Czarnemu Jackowi nigdy nie zagrozi już samotność. Zrozumiała teraz radość Margaret.

194

Ale tu chodziło o coś więcej.

- Kocham go, Lally. Pokochałam go tego pierwszego lata, lata waszego sezonu. Widziałam, jak on cię traktuje. Miałaś wszystko to, co i Margaret, a dałby ci nawet więcej, gdyby mógł. I jego miłość do Alice. Tak, Lally, zakochałam się. Czułam się okropnie, kiedy przez te wszystkie wojenne lata przychodził do mnie, opowiadał o was wszystkich, o kłopotach w interesach, tak jakbym była jakimś wiekowym doradcą. Chciałam, żeby zobaczył we mnie kobietę, ale on ustawił mnie na wymyślonym piedestale. Minęło wiele czasu, zanim naprawdę mnie zauważył, ale wszystko to działo się zbyt powoli. W końcu poprosiłam, żeby się ze mną ożenił. To nim wstrząsnęło. Musiałam go nawet przekonywać. Myślał, że jestem całkowicie pochłonięta pracą w Czerwonym Krzyżu i nie zgodzę się przeprowadzić z nim na stałe do Yorkshire. Chyba to narodziny Jonathana i Davida ostatecznie zmobilizowały nas do tego kroku. Nagle uświadomiliśmy sobie, że czas ucieka, a my nie młodniejemy. Zdecydowaliśmy się na cichy ślub. Ludzie zazwyczaj śmieją się z amatorów starszych państwa. Uznaliśmy, że pozwolimy im się pośmiać dopiero po fakcie. Teraz to już załatwione. - Poprawiła włosy. - Płyniemy z Brocktonem do Ameryki. To będzie nasz miesiąc miodowy. Brockton znalazł dla nas dom w Palm Beach, na Florydzie, własność jakiegoś jego przyjaciela. Zabiorę Jacka z Yorkshire na czas tej ohydnej zimy. Będzie miał odpoczynek, na jaki zasłużył, a Jon zyska szansę, by popróbować swoich sił w interesach. Tak, wiem, że nie było mu łatwo przestawić się na nowy tryb życia. Szybciej się usamodzielnij bez Czarnego Jacka. Nie masz nic przeciwko zaopiekowaniu się Alice przez ten czas? Jack potrzebuje zmiany... - Ściągnęła pasek na szczupłej talii i poklepała się po płaskim brzuchu. - Nie wyglądam najgorzej, co, Lally? - Jej wzrok napotkał w lustrze oczy Lally. - Och tak, też mam swoje małe słabostki. I kocham go.

*

* *

Zgiełk przyjęcia narastał. Kolędnicy odśpiewali kolędy i odeszli obdarowani winem, świątecznym ciastem i przyzwoitym datkiem od družby i ojca chrzestnego w jednej osobie. Billings, spocony, ale rozpromieniony, dyrygował dwoma młodymi lokajami i kilkoma kelnerami, najętymi na tę okazję.

- Nie wiem, co byśmy zrobili z szampanem, panienko Lally, gdyby pan Brockton nie sprowadził zapasów z Londynu. Jego przyjaciel siedzi w handlu, jak powiedział. Bardzo teraz trudno dogadać się z naszymi dostawcami co do jakiegokolwiek ilości. Major Weymouth, muszę powiedzieć, ma bardzo dobre znajomości. - Billings zdawał się całkowicie zdezorientowany co do osoby Bracka. Nie potrafił umiejscowić go w żadnej klasie społecznej. Bo przecież nie ma sposobu, żeby się rozeznać wśród tych Amerykanów. Ten człowiek miał źródła zaopatrzenia, dla angielskiego dżentelmena być może zupełnie niestosowne. - Nie wiedziałem o ślubie aż do dzisiejszego ranka, panienko Lally. Do czasu, kiedy kazali mi przynieść bukiety. Neli schowała je do koszyka. Naj

264

pierw pomyślałem, że to żart. Ale pan Brockton nie z tych, co żartują z takich rzeczy.

Lally zauważyła, że Billings z rzadka już tylko nazywa Brocka majorem Weymouthem. Coraz częściej zaś mówi o panu Brocktonie, podobnie jak o paniczku Jonie. Członek rodziny, coraz bardziej członek rodziny. Lally zastanawiała się, czy markiza kiedykolwiek będzie miała możliwość spotkać przyjaciela, który wypożyczył im swój dom w Palm Beach, zaopatrzony najpewniej w wino, jedzenie i dyskretną służbę. Lally wyobraziła sobie plażę przed samymi oknami i morze cieplejsze niż którekolwiek z nich znało. Czarny Jack i markiza... kochankami. Od jak dawna byli ze sobą, zastanawiała się. Nie zdecydowałiby się na małżeństwo jak para niewinnych, popędliwych młodzików. Oboje byli zbyt doświadczeni. Ale zwierzyli się tylko Brockowi i, prawdopodobnie w ostatniej chwili, Susie. A dom w Palm Beach już został dla nich przygotowany.

Brock ofiarował chrzestnym synom zwyczajowe prezenty ze srebra. Susie również obdarowała niemowlęta, ale Lally podejrzewała, że za przywiezione przez nią podarki zapłacił Brock. Susie nie mogłaby sobie na nie pozwolić. Tajemnicą pozostawało, w jaki sposób udało mu się, nie raniąc jej dumy, sprawić, by przyjęła pomoc.

- Ten człowiek ma coś z drania, co mi się podoba - przyznała. - Ale nie udaje przynajmniej, że jest kimś innym niż w rzeczywistości.

- A kim jest?

Susie wzruszyła ramionami. ,

- Dla kogoś takiego jak Brock Weymouth etykieta nie ma znaczenia. Ale uważaj. On nadal interesuje się Margaret. I nie poddał się.

Lodowaty chłód katedry nie zmroził Lally tak, jak prawda zawarta w słowach Susie.

- Co masz na myśli?

- Wiesz doskonale. Bobby to dureń. Miły człowiek, ale dureń. Margaret lada moment zacznie rozglądać się wokół i zgadnij, na kogo padnie jej oko? Na pana Brocktona Weymoutha.

- Jak...?

- Lally, nie czytałaś, że w ciągu ostatniego roku miało miejsce ponad trzy tysiące rozwodów w samej Anglii? Obudź się! Brock to szybki zawodnik.

Jakby na potwierdzenie jej słów, w pobliżu zabrzmiał energiczny głos Brocka. Amerykanin rozmawiał z grupą miejscowych fabrykantów i z burmistrzem Leeds o swojej pośpiesznej podróży przez Atlantyckie.

- Poczuj się usatysfakcjonowany, kiedy wreszcie będę mógł nad nim przelecieć. To zaoszczędzi masę czasu.

Jego oświadczenie zostało przyjęte salwą śmiechu. Zebrani wiedzieli, że pan Brockton Weymouth jest człowiekiem bardzo bogatym, człowiekiem zawdzięczającym wszystko samemu sobie, a zatem z pewnością nie głupcem. Ale pomysł lotu nad Atlantykiem, to mógł być tylko żart. O tak, czytali o tych szaleńcach, Alcocku i Brownie, którzy porwali się na taki bohaterski czyn i skończyli lądując niechlubnie na irlandzkich trzęsawiskach.

266

- W tym roku zorganizowano pocztę lotniczą między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem - wyjaśnił Brock, kiedy śmiech ucichł.

- A niech was Bozia kocha, wy jankesi macie zawsze takie szalone pomysły - skomentował ktoś z tłumu.

- Cholerni jankesi twierdzą, że wygrali dla nas wojnę - burknął jakiś głos.

- Może i wygrali, chłopcze - dobiegła uszu Lally spokojna odpowiedź.

IV

Czarny Jack i jego żona, którą z trudnością uczyli się nazywać Edith, rankiem drugiego dnia świąt wyjechali z Brockiem do Southampton, gdzie wsiedli na liniowiec „Cunard”. Niezwykła, jak na ten dom, cisza zapanowała w Grange-wick.

- Cóż - odezwała się Margaret - co by tu teraz robić? Dom w Londynie nie jest jeszcze gotów, a ja nie chcę jechać do Neatherby. Ale pewnie się nie wykręcę. Mam nadzieję, że będą w okolicy urządzane jakieś karnawałowe bale. Czas się trochę rozerwać. - Wydawała się dziwnie napięta. - Och, wreszcie ciążę, poród i połów mam za sobą. Te miesiące wydawały mi się wiecznością. Myślałam, że kiedy to się wreszcie skończy, poczuję się cudownie. A tu nieoczekiwanie, od czasu do czasu, mam ochotę się i płakać.

- Obecnie nazywają to depresją poporodową - wtrąciła się Susie. - Czytałam o tym.

Margaret spojrzała na nią ostro.

- A co ty zamierzasz teraz robić? - Jej ton brzmiał niemal nieprzyjaźnie. Wydawała się urażona bliskością łączącą Susie i Lally. Nigdy przedtem żadna przyjaciółka nie stanęła między przybranymi siostrami. Lally zawsze całym sercem należała do Margaret. Młoda pani Pollock czuła się rozbawiona rywalizacją między Susie i Margaret. Nie była przyzwyczajona, by się o nią spierano.

- Och, przypuszczam, że wrócę do działu tkanin u Harrodsa.

- Bzdury! - oświadczyła Margaret. Nagle do głosu doszła jej wrodzona wielkoduszność. Mogło ją złościć, że ma w Susie rywalkę, ale nie była zdolna do małostkowej zawiści. - Jesteś na to o wiele za inteligentna. Musi znaleźć się coś

innego. - Żadna z nich nie wspomniała o małżeństwie. Susie, podobnie jak przedtem Margaret i Lally, uważała, że jej szanse na ułożenie sobie życia unicestwiła wojna.

- Tak, coś się znajdzie - powiedziała niedbale Susie. - Nie bardzo widzę odmierzenie materiałów jako szczyt swoich marzeń.

- A co widzisz? - cicho zapytał Jon. Przeważnie milczał. Lubił siedzieć koło Lally, czasami dotknąć jej ręki. Lubił też odwiedzać swego syna o niezwykłych porach, co denerwowało nianię. Rodzice powinni widywać dziecko w wyznaczonych godzinach, a ojcowie z zasady nie bywają tak jawnie czuli. Ale przez tę wojnę wiele rzeczy się pozmieniało. I nawet nianie zmuszone były nagiąć się do nocnych reguł. Susie wiedziała o wizytach Jona w pokoju dzieciennym. Wi

działa zdumienie malujące się na jego twarzy, gdy przyglądał się niemowlęciu. W dziecku był spokój, jakiego Jon nie spodziewał się nigdy doświadczyć. Stanowiło ono element cudu przetrwania. Wszyscy zauważyli, jak cichy był Jon. Jakby nigdy nie miał dość siedzenia przy kominku z nie czytaną książką w rękę.

- Lubię ciepło - tłumaczył się, trochę zażenowany. - Dostałem reumatyzmu od tej cholernej, nigdy nie wysychającej wilgoci w okopach. - To wyjaśnienie ucinając dalsze pytania. W Pellham jednak Jon potrafił bez końca wędrować po wrzosowiskach, by posłuchać krzyku i świergotu ptaków. W otaczającej go ciszy wychwytywał dźwięki, których nie spodziewał się już usłyszeć. Płacz dziecka był dla niego nowym doznaniem. Słuchał go uważnie.

- Susie, ale jak myślisz, co chciałabyś robić? - powtórzył - gdybyś dysponowała jakąś gotówką i miała szansę wyboru.

- Och... nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Przerwę na lunch spędzałam zwykle, obchodząc wszystkie te eleganckie, zawsze zatłoczone ulice wokół Har-rodza. Mnóstwo tam małych sklepików. Sporo pracowni krawieckich i salonów mody. Ale w takich pracowniach trzeba szyć w okropnym pośpiechu. Myślałam o tym, że byłoby dużo tańsze i mniej pracochłonne mieć na składzie rzeczy już gotowe. Wiesz, parę fasonów w różnych rozmiarach. Poprawki można by robić w sekundę. Zebrać w talii, podłożyć na dole. I nowa sukienka gotowa. Teraz, kiedy wojna wreszcie się skończyła i wszystko wydaje się prostsze, kobiety pragną nowych kreacji. Przyjeżdżają po zakupy do Londynu, ale nie każda może zapłacić cenę żadaną przez dobrych krawców. Więc powinno powstać coś pośredniego. Sklepy, do których można wejść bez obaw. Sukienki, które można od razu przymierzyć, sprawdzić, jak pasują, potem zrobić tu i tam kilka zaszewek i po krzyku. Cóż... - Znów wzruszyła ramionami, jakby odpędzając własne marzenia. - To tylko pomysł. Ale myślę, że wiele pań zaakceptowałoby go.

- Tak - powiedziała Margaret. - Też tak sądzę. Doskonale rozumiem Susie. To jest pomysł! Jestem na przykład znudzona tym, co mam i chcę sprawić sobie sukienkę na najbliższe przyjęcie. Albo boję się przekroczyć domowe wydatki. - Spojrzała na oszołomionego Bobby'ego. - Często myślałam, że byłoby zabawnie przymierzyć sukienkę bez poprzedzających ten moment nudnych siedmiu przymiarek.

- Susie, byłabyś gotowa potraktować swój pomysł, jak prawdziwy interes? Mam na myśli te gotowe ubrania. Wypróbowałabyś to?

- Co proponujesz, Jon? - dopytywała się Margaret.

- Proponuję, żebyśmy, ty i ja, Margaret, raz w życiu zrobili coś bez wykorzystywania pieniędzy ojca. - Odwrócił się do Susie. - Margaret i ja mamy trochę. .. Mamy mały kapitał złożony w depozyt przez dziadka Bletchleya. Nie jest

tego dużo, tylko suma, którą przeznaczal dla każdego wnuka w momencie jego przyjścia na świat. Ale to powinno, jak myślę, wystarczyć na początek.

- Nie wiem, Jon - zawahała się Susie. - To ryzyko, prawda? Nie mam żadnego doświadczenia w interesach, tylko trochę umiejętności krawieckich.

- Sama uszyłaś tę sukienkę? - zapytała Margaret. - Możesz nauczyć inne kobiety powielać wykonany przez ciebie szablon, by koszty się zmniejszyły?

269

- Tak, uszyłam ją. I zrobiłam wykroj. Może musiałabym szykować wszystkie wykroje własnoręcznie dopóki nie będę mieć dobrze wyćwiczonych współpracownic. Ale na Boga, jeśli mi się nie powiedzie, to nie wiem, jak wam zwrócę pieniądze.

- To nasze ryzyko, Susie. Podzielimy się potem zyskami. Nie traktuj tej propozycji jako aktu miłosierdzia. Nasz dziadek i ojciec niejednokrotnie ponosili w interesach ryzyko. Tak się robi pieniądze.

Resztę popołudnia spędzili, rozpracowując szczegóły planu. Wyraz znudzenia zniknął z twarzy Margaret. Uczucia Susie oscylowały między radosnym podnieceniem a strachem. Jon wziął papier i ołówek i zaczął notować liczby. Po raz pierwszy Lally dostrzegła w mężu żyłkę do interesów, dziedzictwo po Czarnym Jacku i dziadku Jamesie Pollocku. Nagle uświadomiła sobie, że kiedy nadejdzie pora Jon odniesie sukces w swoich fabrykach i kopalniach. Będzie w stanie przejąć zarząd od Czarnego Jacka i nigdy nie pogardzi tą pracą. Równie sprawnie jak Jon obliczał liczby, ołówek w dłoni Susie przesuwiał się po bloku papieru. Jeden po drugim szkice wypełniały kolejne kartki. Margaret badała je wszystkie uważnie.

- Kochana Susie! Te modele sprzedasz paniom w średnim wieku.

- Będą też i dla młodych. Ale czy widzisz? Zmienia się linia. Nie chcemy więcej żadnych falbanek i tym podobnych fanaberii. Kobiety rezygnują z gorsetów. Chcą czuć się swobodnie i wygodnie w dobrze skrojonych sukniach. Nie wszystkie pragną wyglądać jak królowa Maria.

- Susie, uwielbiam cię! - roześmiała się Margaret. - Od dziś zostajesz moją jedyną projektantką. Będę nosić najprostsze i najelegantsze fasony w Londynie. Rozreklamuję je i sprzedamy wszystko.

- Ależ, kochanie - zaprotestował Bobby. - Nie wolno ci się tak ekscytować. Przemęczysz się. To będzie firma Susie, wiesz...

- A w moim interesie będzie sprzedawać te modele. - Margaret wyciągnęła rękę do Susie. - Jesteśmy partnerkami? Susie wahala się tylko przez chwilę.

- Zgoda! - oświadczyła w końcu krótko.

Margaret, która dwie godziny temu gotowa była z nią wojować, teraz pochyliła się i pocałowała rudowłosą pannę Barlow w policzek.

- Trzeba spisać umowę, Jon. Trzeba skontaktować się z naszymi radcami prawnymi, zanim ojciec się dowie. Choć raz zrobimy coś sami. Zresztą, to nasze pieniądze. Gdyby ojciec tu był, chciałby nam pomóc finansowo i bylibyśmy załatwieni. A w ten sposób zrobimy dobry interes, obracając niewielkimi pieniędzmi, a ściślej mówiąc, Susie robi. Ale to będzie nasz sukces.

- Nie byłbym taki pewien, czy ojciec chciałby się wtrącać. Może miał nadzieję, że wreszcie zrobimy coś sami. Braliśmy od niego przez całe życie. Czas zacząć zarabiać na siebie.

Lally poczuła się w jakimś sensie wykluczona. Nie miała żadnego kapitału i nagle uświadomiła sobie, że nigdy w życiu nie zarobiła ani pensa. Czym mogłaby ryzykować? Podobnie niezręcznie czuł się Bobby. Pieniądze wciąż dosta

wał od ojca, jakby nadal był uczniakiem. Ani jeden akr ziemi- Goughów z pewnością nie zostanie sprzedany, by zapewnić powodzenie pomysłom Susie Barlow. Ojciec nigdy by się na to nie zgodził. Margaret zaś była, choć w niewielkim zakresie, niezależna i mogła grać. A hazard, oczywiście, ją podniecał.

*

* *

W noworoczny poranek Billings zapukał do pokoju Jona i Lally. Było dopiero po siódmej.

- To ja, Billings, paniczku Jon. Mogę wejść? Jon podniósł głowę z poduszki.

- Wejdz, proszę.

Stary kamerdyner ubrany był jeszcze w szlafrok. W ręku trzymał „Timesa”.

- Przepraszam, jeśli pana obudziłem, sir. Ale musiałem to państwu pokazać.

Lally zobaczyła, że ręka mu drży.

- Na Boga, Billings, co się stało?

Billings skierował się w stronę lampy, którą Jon zapalił.

- Tutaj, sir. Noworoczna lista nobilitowanych. Pański ojciec, pan Pollock, sir. Pański ojciec otrzymał godność baroneta. Za zasługi dla przemysłu wojennego, jak piszą. Dla króla i kraju, można powiedzieć. Och, paniczku Jon... - Teraz głos Billingsa drżał, jak i jego ręce. - To bardzo zasłużone wyróżnienie. Pan Pollock pracował tak ciężko. Te czołgi... Takie wielkie ryzyko. Mógł z łatwością bogacić się i nic nie ryzykować. Proszę tylko pomyśleć... Sir John Pollock. A nie powiedział nikomu ani słowa, sir. Ani słowa. Nawet mnie.

- Dobrze wiesz, Billings, że obowiązuje całkowita tajemnica, aż do momentu oficjalnego ogłoszenia nobilitacji. Z całą pewnością mnie też nic nie powiedział!

- Naprawdę, sir?

- Przysięgam, Billings. Nic nie powiedział, prawda, Lally? Twarz Billingsa złagodniała.

- Cóż, pewnie nie mógł. Zastanawiam się, czy lady Ross, wcześniej wiedziała?

Lally przypomniała sobie, jak markiza opowiadała, że to ona prosiła Czarnego Jacka, by się z nią ożenił. Nie wyglądała na kobietę goniącą za tytułami i fortuną. Czarny Jack spotkał takich osób zbyt wiele i potrafił je rozpoznać. Lally znów usłyszała głos Edith: „Kocham go...”

- Jestem absolutnie pewna, że pani Pollock też nie wiedziała - uspokoiła Billingsa. - W każdym razie, nie zrobiłoby to żadnej różnicy.

- Ma pani rację, madam. - Popatrzył na Jona. - Proszę mi wybaczyć, że obudziłem pana i panią Lally, sir. Ale byłem taki szczęśliwy... - Cofnął się, jakby chciał lepiej przyjrzeć się Jonowi. - Zdaje pan sobie sprawę, że tytuł baroneta jest dziedziczny? Nie tak jak zwykle szlachectwo. Któregoś dnia, miejmy na

272

działanie, że do tego bardzo daleko, sir, odziedziczy pan ten tytuł po ojcu. Będzie pan sir Jonathanem Pollockiem. I pański syn uzyska go po panu. - Cofnął się do drzwi. - Cóż, sir, madam... To wspaniały dzień. Musimy wysłać telegram do sir Johna i lady Pollock. Na Florydę... Och, nie, jeszcze nie. Przecież dopiero przyjechali do hotelu „Płaza” w Nowym Jorku. Są tam gośćmi pana Brocktona, jak przypuszczam.

- Bez wątplenia - powiedziała Lally - Brock ma przyjaciela, który przypadkiem utrzymuje w hotelu „Płaza” apartament.

Billings wydawał się lekko zaskoczony.

- Dokładnie tak powiedział, madam.

Kiedy Billings wyszedł, Jon otulił się z powrotem kołdrą.

- Lally, co o tym myślisz? To wspaniałe. Ojciec zasługuje na nagrodę. Któregoś dnia zostaniesz lady Pollock.

Przysunęła się bliżej do męża i wzięła go w ramiona.

- Wydaje mi się, mój ukochany, że zostaniemy zalani tytułami. Będziemy musieli mieć tyle dzieci, żeby chociaż niektóre absolutnie nic nie odziedziczyły. - Westchnęła tuląc się do Jona coraz mocniej. - Dlaczego nie nadali mu szlachectwa? Byłby równie zadowolony, a nas by to przynajmniej nie dotyczyło. Naprawdę nie wyobrażam sobie siebie w roli lady Pollock.

- Do tego, jak powiedział Billings, szczęśliwie jeszcze długa droga.

Rozdział dwunasty

I

Lally dłużył się czas oczekiwania na powrót Czarnego Jacka i Edith. Zima już się kończyła. Listy i kartki przychodziły zbyt rzadko. - Ta poczta lotnicza, o której mówił Brock, może okazać się pożyteczna - snuł rozważania Jon, oglądając barwny widok obsadzonej palmami ulicy. Ku zdziwieniu Lally, Jon jednak zdawał się zadowolony z nieobecności ojca. - Jestem pewien, że zrobił to rozmyślnie - twierdził. - Wiedział, że muszę nauczyć się dogadywać z kierownictwem fabryki i muszę popełnić swoje błędy. Wszystkim jest łatwiej znosić to, kiedy nie ma w pobliżu Czarnego Jacka. Przeważnie gmatwam i partaczę wszystko, Lally. Mam jeszcze piekielnie dużo do nauczenia się. Kopalnie, fabryki włókiennicze i huty nadal pozostawały w całości w posiadaniu Czarnego Jacka. Nawet w okresie największego zadłużenia przed wybuchem wojny, Pollock nie brał pod uwagę możliwości utworzenia spółki. Nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek inny miał nimi zarządzać. Majątek przetrwał wojnę nie obciążony, a Jon był jego jedynym dziedzicem w linii męskiej.

- Muszę się tego nauczyć, Lally. Zacząłem późno, ale ojciec nie ma nikogo innego, komu mógłby przekazać zarząd nad zakładami przemysłowymi.

- Opóźnienie - odparła sucho - nie zostało spowodowane przez ciebie, Jon. Cztery lata wypadły z życia każdego z nas. Ojciec jest zbyt szczęśliwy, że ma cię z powrotem przy sobie, by narzekać, że nie zdobyłeś jeszcze doświadczenia w prowadzeniu fabryk.

Sytuacja młodych Pollocków nie była do końca jasna. Jon dostawał pensję nieco wyższą niż młodszy członek zarządu. Ale za wiele rzeczy nie musieli płacić. Za darmo mieszkali w wynajętym dla nich Grangewick. Samochód był prezentem od Czarnego Jacka, który również płacił pensję szoferowi i mechanikowi w jednej osobie. Po latach służby pielęgniarskiej we Francji, obecne życie wydawało się Lally absurdalnie beczynne. Oprócz niani, pani Dunsta-ble, która opiekowała się Jonathanem, mieli pokojówkę, służącą i kucharkę. Ta

202

ostatnia co rano skrupulatnie konsultowała z Lally propozycje menu, ale tak naprawdę doskonale radziła sobie bez żadnych porad. Do obowiązków młodej pani Pollock należało odwzajemniać wizyty, składane jej przez panie, które tak jak i ona nie miały wiele do roboty. Przygotowywała kanapki na te podwieczorki i jeździła do fabryk, by zabrać Jona, gdy byli zaproszeni gdzieś na cocktail-party.

Zdawała sobie sprawę, że swojej dwuznacznej pozycji towarzyskiej w Leeds. Była żoną Jona Pollocka, ale również podrzutkiem, któremu imię nadał Czarny Jack. W Leeds, Bradford i Sheffield nazwisko Pollock miało potężną

rangę. Któregoś dnia, nieważne kiedy, Lally miała zostać lady Pollock. Była jednak świadoma, że nadal wielu nieżyczliwych za plecami nazywało ją Lally Leeds. Toteż kiedy powrót Czarnego Jacka dał powód do podróży do Londynu i Southampton i dokąd Jon i Alice mieli jej towarzyszyć z ulgą przyjęła możliwość uwolnienia się od koktajli i herbatek. Billings nalegał, by pozwolono mu się przyłączyć do komitetu powitalnego.

- Zarezerwowałem pokoje w „Savoyu”, madam. Mają tam możliwość zakwaterowania służby. Sir Jon będzie chciał mieć ze sobą osobistego służącego. Dotychczas zajmowałem się jego ubraniami, choć, mówiąc ściśle, nie jestem jego lokajem.

Lally wiedziała, że jeszcze nigdy Billings nie pozostawał tak długo bez Czarnego Jacka. Oczekiwał więc jego powrotu równie żarliwie, jak ojciec czeka na syna. Edith będzie musiała stoczyć niejedną bitwę z Billingsem, zanim przejmie najwyższą władzę w domu. Lally była szczęśliwa pozostawiając te boje nowej pani Pollock.

Przed wyjazdem do Southampton spędzili cały dzień z Susie, która otworzyła już sklep, o jakim marzyła, naprzeciw Harrodsa po drugiej stronie Hans Place.

Klientki wybierające się tam i wychodzące stamtąd są już moje. Albo zauważą ceny w naszym oknie wystawowym i nie pójdą dalej. Albo dostrzegą je, wracając z zakupami i będą żałować tego, co zapłaciły.

Sklep Susie był to schludny mały salon, który wydawał się przestronny dzięki niezwykle eleganckiemu choć nielicznemu umeblowaniu.

- Gołębie szarości. Dywan, aksamitne zasłony, krzesła - mówiła Susie z dumą. - Margaret poddała mi ten pomysł. W takim otoczeniu suknie prezentują się dużo lepiej. Każdy kolor wygląda dobrze na szarym tle, a delikatne różowawe światło sprawia, że niejedna dama z ziemistą twarzą poczuje się nagle o dziesięć lat młodsza.. Ale, jeśli pozwolicie, chcę wam jeszcze coś pokazać.

Zaprowadziła gości na górę do pokoju, gdzie pracowały trzy szwaczki.

- Staram się, żeby miały dobre warunki. Przyzwoite oświetlenie, porządna ubikacja i umywalnia. Odpowiednia pora lunchu. Oczywiście żadnego jedzenia na stołach do szycia. Zatrudniłam też chłopca na posyłki do roznoszenia zamówionych towarów. To znaczy, jak już będzie, co roznosić.. . Pozdrów swojego tatę, Lally. Wciąż nie mogę uwierzyć, że poprosili mnie, żebym była ich druzną. Jak w bajce. Ja z ludźmi takimi jak oni.

- Za kilka lat będą się chwalić, że cię znali, zanim stałaś się sławna. Margaret była z nimi w Southampton, kiedy liniowiec „Cunard” wpłynął do portu. Alice pierwsza zauważyła znajomą postać obok Czarnego Jacka i Edith na pokładzie pasażerskim.

- Brock! To Brock!

- Brock... - powtórzyła za nią Margaret.

- Ki diabeł... - Jon stłumił resztę słów.

Czekali aż trójka nowo przybyłych wyjdzie z urzędu celnego. Lally zauważyła, że Margaret przez chwilę wahała się, zanim pozwoliła Brockowi się uścisnąć.

- Jak dobrze cię widzieć.

Twarz Czarnego Jacka była opalona. Lally pomyślała, że ojciec wypoczął i wyprzystojniał. Długa wojna i na nim też odcisnęła swe piętno. Edith, wciąż jeszcze zarumieniona od słońca, wydawała się szczęśliwa i pewna siebie. Wszystko w porządku. Brock podniósł Alice wysoko, jakby wciąż była dzieckiem. Może to nie było zachowanie stosowne wobec młodej damy, ale tego Alice właśnie oczekiwała.

- Brock... Brock, tak się cieszę. Tak się cieszę. - Radość Alice zawsze była zaraźliwa.

W czasie drogi powrotnej do Londynu wcisnęli się wszyscy do przedziału w wagonie pierwszej klasy dzięki temu, że Alice usiadła Brockowi na kolanach. Po przyjeździe Margaret zaprosiła całe towarzystwo do swego nowego domu przy Belgrave Square na obiad. Podziwiali wystrój wewnątrz, elegancki dobór kolorów, szyk nowoczesnych mebli. Podczas gdy Billings serwował drinki, Margaret zeszła na dół, żeby ubłagać własnego kamerdynera Taylora, by udostępnił na ten wieczór swoje królestwo intruzowi.

- On jest u nas od zawsze - tłumaczyła Margaret. - Tak przeżywa powrót mojego ojca.

- Więc, proszę pani, lepiej wezmę wolny wieczór. Dwóch kamerdynerów w jednym domu to za dużo. Ale też, jak pani powiedziała, to stary człowiek, więc trochę mi go żal. Niedługo już pewnie nie podoła swoim obowiązkom. Sir John powinien przenieść go na emeryturę. Zrobiłby staruszkowi dobry uczynek.

Po obiedzie Margaret z oburzeniem zrelacjonowała tę rozmowę.

- Wyobrażasz sobie co za bezczelność. Ale Taylor służył na wojnie. Odznaczono go. To nie jego wina, że człowiek w wieku Billingsa wydaje mu się starcem. A Billingsowi pękłoby serce, gdyby to usłyszał.

Czarny Jack, Edith i Brock poszli odwiedzić dziedzica fortuny Goughów, który spokojnie spał w kołysce. Margaret z rozczuleniem pochyliła się nad synkiem.

- Jest piękny, prawda? - wyszeptła. Obawiam się, że będzie okropnie rozpieszczony. Bobby i ja uwielbiamy go.

- Nie będzie rozpieszczony - powiedziała niania, pani Williams - jeśli tylko zostawią państwo jego wychowanie w moich rękach. — Była niezadowolona, gdyż nie aprobowała wizyt w pokoju dzieciennym o dowolnych godzinach.

276

- Jak można rozpuścić kogoś, kto ma zaledwie cztery miesiące? - uśmiechnęła się Edith. Jej palec delikatnie dotknął policzka dziecka. - Tak, jest piękny.

- Poczekajcie, aż zobaczycie Jonathana - powiedział Jon. - Mówię wam, byłby wstyd, gdyby ta dwójka nie dogadała się ze sobą, kiedy trochę podrosną.

Czarny Jack i Edith postanowili spędzić w Londynie kolejny dzień, by nacieszyć się Davidem i dać mu zabawki przywiezione z Ameryki, zabawki o wiele dla niego za poważne. Chłopczyk chwycił miękkiego białego królika, którego ofiarował mu Brock, ale miś od dziadków okazał się tak duży, że przestraszony malec rozpaczliwie rozplakał się. Miś powędrował na półkę.

- Zbyt wiele osób, proszę pani - ostro stwierdziła niania. - Będzie za bardzo podniecony, a trudno go wtedy uspokoić. Wieczorem Margaret i Bobby wydali koktajl na cześć Czarnego Jacka i Edith. Wypadło to całkowicie spontanicznie.

- Właściwie nikt teraz nie zawraca sobie głowy wypisywaniem zaproszeń. Dzwoni się po prostu do kilku osób, a one wpadają. Lepsza zabawa...

Tempo londyńskich imprez było dużo większe niż dostojny rytm przyjęć, uznawanych za eleganckie w Leeds, zauważyła Lally. Gramofon grzmiał najmodniejszym jazzem z płyt przywiezionych przez Brocka. Martini mieszano i podawano z oliwką lub cebulą, zależnie od gustu gości. Można też było zamówić inne koktajle. Wokół rozbrzmiewały głośne rozmowy. Bobby starannie wypełniał obowiązki gospodarza i pilnował, by Edith i Czarny Jack zostali przedstawieni każdemu ze znajomych Grenfellów. Wspomnienia z Florydy i Palm Beach miały magiczną moc. Wszyscy chcieli o tym słuchać. Czy zima rzeczywiście jest tam taka ciepła? Czy naprawdę kapali się codziennie w oceanie? Brocka zasypywano pytaniami o prohibicję. Czy taki pomysł się sprawdza?

Weymouth odpowiadał z lekkim uśmiechem.

- To po prostu nie mogło się udać. Ustanowić prawo to jedno, a przestrzegać go to drugie. Jeśli połowa mieszkańców kraju łamie ten zakaz bez skrpułów, prohibicja jest absurdem.

- Zastanawiam się... - jakiś mężczyzna, próbując przekrzyczeć hałas, zwrócił się do Lally. - Czy ten człowiek jest... jak to nazywają? Przemytnikiem?

- On nie jest przemytnikiem - Margaret przyłączyła się do nich. - Jest maklerem giełdowym. Ma biuro na Wall Street. To znaczy mniej więcej tyle, co pracować w City. Freddy, jesteś czarującym idiotą. Brock to facet prawdziwie godny szacunku. A ty stanowisz okaz snoba.

- Przepraszam, kochanie. Nie bądź taka drażliwa. Słyszałem, że pożyczył twemu ojcu i macosze dom, w którym się zatrzymali w Palm Beach. Jest bogaty?

- Czy to ważne? Brock ma przyjaciół, którzy pożyczają mu różne rzeczy. A on z kolei pożycza je innym swoim przyjaciołom.

Lally oddaliła się, szukając w tłumie Jona. Przy nim czuła się bezpieczna. Wtem przypomniała sobie, że podczas koktajlu mężowie i żony nie powinni spędzać czasu razem.

205

- Boże - odezwał się do niej mężczyzna, którego chyba nie znała. - Pani szklanka jest pusta. Pozwoli pani, że przyniosę następnego drinka. To było martini?

- Tak... - odparła niepewnie. Nie wiedziała, na jaką ilość alkoholu może sobie pozwolić.

- Jest pani siostrą Margaret, prawda? Nie uwierzy pani, ale byłem na waszym balu debiutanckim. Wyglądała pani wtedy zupełnie inaczej. Wydaje się, że to wieki temu, prawda? - Jedna strona jego czoła zeszpecona była blizną, marszczącą skórę. Tragiczną smuga bieli biegła przez ciemne włosy. Ten człowiek zapewne otarł się o śmierć. - Bardzo pani wyładniała. Co się stało? Proszę poczekać minutkę. Wezmę drinki i zaraz będę z powrotem. Nie odejdzie pani, dobrze?

Wrócił szybciej niż sądziła, że to możliwe. Barek był starannie przygotowany. Dwóch najętych kelnerów rozdawało drinki, trzeci pomagał Taylorowi roznosić tace. Nie wiadomo dlaczego zawsze myślała o Taylorze jako kamerdynerze Margaret, a nie Bobby'ego.

Lally przemieszczała się zgodnie z rytmem przyjęcia, ale nowy znajomy uparcie tkwił u jej boku.

- Z pewnością przyjechała pani do Londynu odwiedzić Margaret? - indagował. - Nie zadzwoniłaby pani do mnie następnym razem? Słyszałem, że Jon jest teraz pogrążony w pracy w swoich fabrykach. Moglibyśmy razem zjeść obiad. Pójść do teatru.

Udawała, że nie słyszy. Wtem Brock natarczywie chwycił ją za łokieć.

- Lally, musimy zabrać Alice do hotelu. Ktoś dał jej martini, może nawet dwa. Nie podoba mi się to, co się z tą małą dzieje. Tylko ty i ja, po cichu, Lally. Nie możemy zrobić zamieszania ani zwracać niczyjej uwagi. Spuśćmy zasłonę milczenia na to, co kieruje zachowaniem tych tak zwanych dżentelmenów.

Lally przestraszyła przeobrażona gniewem zwykle spokojna i opanowana twarz Brocka. Młoda kobieta zrozumiała, że popełniła błąd oceniając Weymou-tha jako człowieka zdobywającego ludzi prezentami. On jeden zatroszczył się o bezpieczeństwo Alice. A przecież nie powinno to być Lally aż tak zaskoczyć. Ale zaskoczyło. Widząc zaniepokojenie na twarzy Brocka poczuła niejasny wstyd, że kiedykolwiek mogła podejrzewać, że jego serdeczność wobec chorej dziewczyny była czynnikiem jakiejś kalkulacji.

- Tak, oczywiście, natychmiast. - Znalazła Alice w grupie siedmiu osób, prowadzących rozmowę ponad jej głową. Najmłodsza panna Pollock wyglądała na zdezorientowaną, a jej oczy miały dziwnie szklisty wygląd. Wybuchła śmiechem bez powodu, podrygując przez cały czas w rytm muzyki. Lally łagodnie wyjęła jej szklankę z ręki.

- Kochanie, Brock chce zabrać nas do hotelu.

- Brock? A tak. Gdzie jest Brock? - Nigdy nie powinniśmy byli zostawiać jej samej, pomyślała ze skrucą Lally. Nawet, jeżeli bawiliśmy się w tym samym pokoju. Alice znalazła się tu poza znanym sobie bezpiecznym środowiskiem, w którym ją rozumiano. Dziwne, że nikt poza Brockiem nie zauważył tego.

279

Ramię Brocka silnie obejmowało talię Alice, kiedy schodzili po schodach. Nikt nie mógł zauważyć, że jej kroki były niezbyt pewne. Brock już tego dopilnował.

- Kochanie, wracamy do hotelu. Zjemy coś pysznego w towarzystwie Ted-dy'ego Rose'a, madame Butterfly i Raggedy Anne.

- Ale dlaczego? - marudziła Alice. Jej głos stawał się coraz bardziej płaczliwy. - Przyjęcie jeszcze się nie skończyło. Margaret powiedziała, że mogę przychodzić na wszystkie jej przyjęcia.

- Dlaczego? Cóż, kochanie, dlatego, że twój stary wujek Brock czuje się śmiertelnie zmęczony i chce po prostu pobyc z tobą. Nie lubię tych przyjęć na stojąco. Dużo ciekawiej jest siedzieć z tobą przy obiedzie.

- Ach tak... - W oczach Alice malowało się czyste uwielbienie. - Oczywiście, skoro jesteś zmęczony... Brock jest zmęczony, Lally.

Lally otuliła siostrę peleryną. Zimne powietrze marcowej nocy uderzyło w nich tak nagle, że Alice aż zachwiała się na progu. Brock gwizdnął na taksówkę.

- Spokojnie, kochanie. Wkrótce będziemy w domu.

Nie rozluźnił uścisku wokół talii dziewczyny, dopóki nie przeszli przez hotelowe foyer i nie znaleźli się w apartamencie Pollocków. Brock posadził Alice na krzesło i przyniósł jej zabawki. Potem zadzwonił na kelnera.

- Gorącą zupę, tak szybko jak to możliwe - zamówił. - Potem prosimy stek średnio wysmażony. Ziemniaki i całą resztę... Tylko szybko, proszę.

- Natychmiast, sir. Jakiś koktajl albo wino?

- Nie - lakonicznie odpowiedział Brock. Skończyli już jeść kiedy zadzwoniła Margaret.

- Dlaczego zniknęliście? Mieliśmy iść wszyscy razem na obiad, kiedy ten tłumek się rozejdzie.

- Tłumek to stosowne określenie - odpowiedział Brock. - Porozmawiamy jutro i lepiej posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia. - Odwiesił słuchawkę. Gniew znów powrócił na jego twarz.

*

* *

Brock pojechał razem z nimi do Yorkshire. Lally zauważyła, że nikt nie kwestionował już jego obecności. Nie otrzymał zaproszenia, jak ktoś obcy. Po prostu miał się wypowiedzieć jedzie, czy nie.

Jestem ojcem chrzestnym, prawda? Traktuję to poważnie. Muszę sprawdzić, czy Jonathan jest większy od Davida.

Poza tym, chcę się trochę powałęsać po wrzosowiskach. Chciałbym też być z wami, kiedy Czarny Jack oficjalnie zostanie ogłoszony sir Johnem. Wiadomości o tym dotarły nawet do Palm Beach. Nasi znajomi byli trochę rozczarowani, że nie został mianowany księciem.

Przez całą drogę do Yorkshire Brock gawędził beztrosko i, jak zwykle, nie powiedział nic, co miałoby poważne znaczenie. I ani słowa o sobie. Spędził tyl-

207

ko dwa dni w Palm Beach, by upewnić się, czy nowożeńcom jest tam wygodnie, a potem wrócił do Nowego Jorku. Czarny Jack potwierdził, że istniała firma „Brockton Weymouth & Partners”. Nikt jednak nie zdawał się wiedzieć, kim są ci partnerzy. Apartament wynajmowany przez Brocka w hotelu „Plaża” nie zdradzał sekretów tajemniczego mieszkańca. Jedynymi akcentami osobistymi było tam kilka obrazów. Weymouth miał też podobno mały dom na Long Island, który wynajmował latem. Regularnie podejmował gości i był zapraszany na różnego rodzaju przyjęcia. Kiedy pań nie było w pobliżu, rozmowy podczas takich spotkań dotyczyły głównie interesów. Pollockom nigdy nie zdarzyło się poznać nikogo, kto znałby Brocka bliżej.

- Naprawdę nie wiem, dlaczego wybrał nas - powiedział Czarny Jack do Lally i Jona. - Wydaje mi się, że chciał mieć rodzinę, a my stanowiliśmy już gotową sporą grupkę rodzinną. I niech mnie, lubię tego człowieka, choć nie potrafię powiedzieć dlaczego. Jest prawie jak młodszy brat - uśmiechnął się do Jona. - Albo dużo starszy syn. Taki przenikliwy. Sprytny. Trudno uwierzyć, że doszedł do fortuny zaczynając od zera. Niektórzy mówią, że to pozory. Że wydaje każdego zarobionego pensa, żeby się pokazać. Jeśli to prawda, Brock jest dobrym aktorem. Wygląda na człowieka, który nie musi troszczyć się o przyszłość. Może rozmawiać o herbacie z Chin i cynie z Boliwii. Poda ci najświeższe ceny, jakby te właśnie produkty kupował i sprzedawał dzisiejszego popołudnia. Niektórzy ludzie, których zna są... cóż, to wielkie nazwiska. Potężne w świecie interesów. Towarzystwo wyższych sfer wydaje się naszego Brocka nie interesować. Bo też on wie, że nie zostanie przez nie zaakceptowany i nawet tego nie próbuje. Nie chce zostać zlekceważony.

- Myślisz, że jest coś z prawdy w tym, co ludzie opowiadają? Że jest przemytnikiem?

Czarny Jack wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie widziałem Brocka załatwiającego tego typu interesy. Ale zanim wyjechał do Nowego Jorku, skorzystał z nowego transportu lotniczego i poleciał na Kubę. Mówił, że w sprawie cukru.

- A cukier to rum - dokończył Jon.

- Czy nie uważacie - zauważyła Edith, że taka rozmowa o Brocku jest trochę nie w porządku? Ostatecznie przecież poprosiliśmy go, by był naszym przyjacielem. Jest ojcem chrzestnym dzieci Jona i Margaret. Skoro wtedy jego sposób życia nas nie raził...

- To nasza wina - powiedział Jon. - Jesteśmy takimi sztywniakami i wyrastaliśmy, wiedząc dokładnie, kim jest każda osoba w naszym świecie. Brock pozostaje tajemnicą... więc nas intryguje.

Zadziwiająco, pomyślała Lally, jak często zapominali, że nie wiadomo także, kim była Lally Leeds. Brock i Alice, którym pozwolono złożyć niezapowiedzianą wizytę u Jonathana, właśnie przyłączyli się do nich.

- Można powiedzieć, że jest jeszcze śliczniejszy od Davida. Posłał mi najszerszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widzieliście!

- To prawdopodobnie przypadek - stwierdziła Lally.

208

- Nie, to nie przypadek! Ten dzieciak wie, czego chce. Chwycił za mój łańcuszek od zegarka szybko jak małpka. - Skinął w podziękowaniu głową, przyjmując szklanekę whisky od Czarnego Jacka i usadowił się przed kominkiem.

-Mówię ci, Jon, chciałbym, żebyś pozwolił mi zająć się nim przez jakiś czas, dopóki jeszcze będzie dzieckiem. Zanim te wasze szkoły publiczne wybiją z niego wszelką inicjatywę. Mógłby wyrosnąć na człowieka zdolnego do wielkich interesów. Gdyby był moim synem, założę się, że czytałby notowania na giełdzie, zanim zaczęliby wpychać mu do głowy całą tę grekę.

- Całkiem interesująca edukacja - powiedział Czarny Jack. - Powinniśmy

o tym pomyśleć. Dwóch chrześniaków spędzałoby z tobą każde lato na Wall Street. Bardzo po amerykańsku. Ostatecznie, tutaj możemy zaledwie zapoznać ich z pracą fabryk.

- Ale jeśli się na to zgodzimy - sprzeciwił się ze śmiechem Jon - to kiedy nauczą się grać w krykieta?

II

Życie w powojennym kraju, wracało do normy. Pozornie wszystko było jak dawniej. Trawniki w Pellham Langley znów stały się aksamitną murawą. Zniknęły z nich grządki warzywne. Bajkowy żywopłot w ogrodzie wystrzyżono i ku zachwytowi Alice, można było już rozróżnić kształty królika, psa i kota. W stajniach pojawiły się konie, ale używano ich teraz tylko do jazdy wierzchem. Czarny Jack pozbył się bowiem ostatniego ze swoich powozów. Co prawda konie nadal wydawały się bardziej niezawodne od samochodów, ale samochody były szybsze. Wiele mówiono o nowym wynalazku, o radiu, które stawało się atrakcją powszechnie dostępną.

Nie wykorzystywano teraz w pełni możliwości fabryk i kopalń. Czarny Jack

1 Jon dokładnie studiowali księgi zamówień i rozsyłali swych przedstawicieli po całym kraju.

- Wciąż mamy zbyt na terenie całego brytyjskiego imperium - mówił Czarny Jack - ale nie jest powiedziane, że tak będzie zawsze. Zaczął więc powoli zmniejszać produkcję hut w Walii. Zapasy węgla z Yorkshire zaczynały już zalegać. Nieuniknione stały się zwolnienia pracowników. Delegacja górników pojawiła się w fabryce w Bradford, by zobaczyć się z Czarnym Jackiem, i odeszła niezadowolona.

- Nie mogę dać pracy, której nie mam - tłumaczył im Pollock. - Ten kraj musi pospłacać długi wojenne.

- Tak, panie Pollock, ale pan nie ma długów wojennych - odpowiedział mu jeden ze związkowców. - Dobrze pan wyszedł na wojnie, proszę nie mówić, że nie. I proszę nam nie mówić, że zależy pan od akcjonariuszy, ponieważ to pan jest jedynym akcjonariuszem.

- Płacę podatki - krótko stwierdził Czarny Jack. Tej nocy kamień wybił frontowe okno Grangewick. Jedna ze służących wpadła w histerię, gdy zna-

14 - Obietnice

209

lazła na progu domu martwego kota i z miejsca spakowała swoje manatki i odeszła.

- Nie pozwól niani przez jakiś czas wychodzić z Jonathanem na spacer -powiedział Jon do Lally. - Ta burzliwa atmosfera z czasem się uspokoi. Ale chciałbym znaleźć jakieś rozwiązanie. Rozwinęliśmy produkcję, by zaspokoić potrzeby wojenne. Teraz po prostu nie ma zbytu. Może Brock ma rację. Jesteśmy zbyt wyjałowieni jako naród. I nie dysponujemy kapitałem na modernizację fabryk.

Margaret i Bobby z małym Davidem przyjechali na kilka dni przed rozpoczęciem sierpniowych polowań.

Czarny Jack z bólem wspominał, kiedy to ostatni raz goście zgromadzili się z tej okazji w Pellham Langley. Kończył się wówczas debiutancki sezon Margaret i Lally, Edith była markizą Ross, a większość ludzi nie chciała uwierzyć w zagrożenie wojną. Ci zaś, którzy uwierzyli szacowali czas jej trwania na dwa, trzy miesiące. Był to czas wielkiego ryzyka finansowego, kiedy Czarny Jack zastawił wszystko, co miał, by zapełnić magazyny fabryk i zgromadzić węgiel na wyrobiskach kopalń: Ze smutkiem wspominał urodziwych młodych ludzi, beztriosko bawiących się w Pellham, pełnych młodzieńczego zapału do walki, o której nie mieli pojęcia. Znalazł książkę gości, użytą wówczas po raz ostatni. Zawierała całą listę nazwisk tych, którzy zginęli. Czarny Jack nie bardzo potrafił dopasować twarze do imion. Pamiętał tylko upał tamtego sierpnia, atmosferę leniwej błogości, białe postacie na trawie, stukot piłeczki tenisowej odbijającej się od kortu i potykającego się w pośpiechu Billingsa, który biegł z wiadomością o wojnie. Zamknął książkę. Z podjazdu dobiegał zgiełk. To przyjechali Grenfellowie. Margaret weszła pierwsza, nawołując domowników. Bobby jak zwykle, włókł się za nią. Niania, owinięta w płaszcz do jazdy, wniosła Davida.

- Kochani... - wołała Margaret. Edith pojawiła się ha piętrze i pośpiesznie zeszła na dół. Billings kazał lokajowi wnieść bagaże. Nianię Williams od razu zaprowadzono na górę, gdzie miała dzielić apartament z Jonathanem i nianią Dunstable. Dziwne wydawało się Czarnemu Jackowi, że raz jeszcze zapełniły się pokoje dziecinne w Pellham Langley.

- Przyjechaliśmy z Neatherby w rekordowym czasie - wykrzykiwała Margaret, całując ojca i macochę na powitanie.

- O wiele za szybko - dodał ponurym głosem Bobby. - Czasami Margaret sprawia, że boję się bardziej niż w okopach. Jak się pani czuje, lady Pollock?... Sir? Co pan sądzi o tegorocznych prognozach dotyczących sezonu polowań? Mój ojciec pragnąłby odwiedzić Pellham. Na naszych wrzosowiskach łowy zapowiadają się nieszczerólnie.

Całą grupą przeszli do salonu na herbatę. Margaret opowiadała o zakończonym właśnie sezonie londyńskim.

- Wszystko jak przed wojną. Mówię wam mnóstwo przyjęć. Znowu odbywają się bale debiutantek. Biedaczki.

Myślisz, że wyglądałyśmy równie okropnie jak one, Lally?

- Ty zawsze wyglądałaś cudownie. Ja, o ile pamiętam, prezentowałam się gorzej niż okropnie.

- Ojciec był dumny z was obu - powiedziała Edith. - Wiem, bo przy tym, byłam.

- Do czego się nie mogę przyzwyczaić - ciągnęła Margaret - to do traktowania mnie jak matronę, nawet z dodatkiem „młoda”. Ciągle zapominam o Davidzie. Myślę też o tym, w jakiej okropnej sytuacji znalazło się wiele kobiet w moim wieku. Nie ma dla nich mężczyzn. Wtedy dociera do mnie, ilu naszych rówieśników zginęło. Ludzie mają teraz kłopoty kompletując listy gości - przerwała i pochyliła się nad książką, którą Lally zostawiła otwartą na sofie. - Och, masz to. Tak właśnie myślałam, że będziesz chciała tę powieść przeczytać. - Podniosła „Kobietę zakochaną” D. H. Lawrence’a. - Brock przysłał mi coś, co jest teraz szczytem literackiej mody w Ameryce. Znasz tego nowego pisarza, Scotta Fitz-geralda? Powieść nosi tytuł „Po tej stronie raj”. Pomyślałam, że może chciałabyś przejrzeć. A, widziałam Susie tuż przed wyjazdem. Nieźle sobie radzi. Nie ma jeszcze żadnych zysków, ale już prawie odzyskała całą zainwestowaną w firmę kwotę, a to więcej, niż mogliśmy się spodziewać w tak krótkim czasie. Projektuje fasony niesamowicie zgrabne. Zdaje się, że trafiła na stosowny dla naszych czasów styl. Oczywiście, starsze panie wciąż wciskają się w gorsety i z obrzydzeniem patrzą na modele Susie, ale młode kobiety uwielbiają ją.

- Niektóre z nas, weź to pod uwagę - włączyła się Edith, muszą wciskać się w gorsety, Margaret. Nie wszystkie mamy po dwadzieścia dwa lata.

- Ale ty masz boską figurę, Edith. Pomysły Susie są w sam raz dla ciebie. Chciałabym, żebyś przymierzyła jeden czy drugi model. To by ucieszyło projektantkę i zrobiło dobrą reklamę firmie. Zmusiłam już Evelyn Porter z „Vogue”, by rzuciła okiem na prace Susie. Napisała pochlebny artykuł i to pomogło. Dostajemy już zamówienia z prowincjonalnych sklepów. To dopiero początek, ale niezły jak na kogoś, kto zaczyna z jedną krawcową i kilkoma przyuczającymi się dziewczynami z East Endu. Chciałam zabrać Susie z nami do Pellham. Nie zgodziła się. Powiedziała, że nie powinna być widziana w przyjacielskiej komitywie z ludźmi, którym próbuje sprzedawać swoje modele. Tłumaczyłam jej, że to zupełnie nie tak. Musi się obracać w towarzystwie, by wiedzieć, jak te pomysły są przyjmowane. Kiedy się jest oryginalnym i dowcipnym, nie trzeba się martwić swoim pochodzeniem.

- Susie zrozumie to we właściwym czasie, Margaret - powiedział Czarny Jack. Lally przypomniała sobie zręczne ręce, robiące zaszewki na jej mundurze.

Przed oczyma stanęły jej szkice, które Susie kreśliła na kopertach, by pokazać, jak mundury powinny wyglądać.

Tego roku w lipcu Lally spędziła z Margaret tydzień w Londynie. Chodziła na przyjęcia, do teatrów i do klubów nocnych, które były nieodzownym elementem londyńskiego życia. Kupiła u Susie trzy sukienki. Wymagały tylko drobnych poprawek. Spódnice noszono teraz o cal krótsze niż w sezonie zimowym. Fryzura, na którą Lally

zdecydowała się w desperacji podczas wojny, stała się modna i popularna. Jak wiele kobiet młoda pani Pollock paliła papierosy w długiej cygarniczce. Z pewną ostrożnością próbowała nowych koktajli. Przepisy na nie importowano zwykle z Atlantyku. Podobnie jak jazz, w rytm którego tańczono.

286

- Czytałam w „Tatlerze” - odezwała się Edith - że oboje byliście zaproszeni na weekendowe przyjęcie, gdzie gościem był także książę Walii? Czy to prawda? Jak się wam podobał?

- Och, to uroczy człowiek, Edith.

- Margaret, ty mała impertynentko! To nasz przyszły monarcha.

- Już się obawiałem, że zamierza skorzystać ze starego królewskiego przywileju - oświadczył ponuro Bobby. -

Podobno nasz książę ma słabość do zamężnych dam. Tym razem całą swoją uwagę poświęcił Margaret.

Zastanawiałem się, czy w ogóle uda mi się ją zabrać do domu. Margaret przywykła już do roli królowej każdego przyjęcia. Mogę prawie zgadnąć, na jakim etapie imprezy ktoś powie „Grenfell, jesteś szczęściarzem”. Dzieje się to zazwyczaj, gdy goście są już nieco pijani i zachwycony facet właśnie zatańczył z Margaret. Nie mam odwagi zostawić jej samej w Londynie przez cały sezon. Mój ojciec już się obraził, że nie przyjeżdżam od tak dawna. Ale co ja mogę zrobić? - zaapelował do nich wszystkich. - Po prostu nie mogę zostawić jej samej, czy nie mam racji? A ona ma prawo do odrobiny rozrywek. - Uśmiechnął się swoim łagodnym uśmiechem, ale w jego głosie pobrzmiwał smutek. - Czasami muszę przyznać, że sam jestem już na wpół śpiący, a Margaret jeszcze tańczy. Wydaje się mieć niewyczerpaną energię.

- Nie będąc twoim zramolałym mężem ani twoim wyrozumiałym ojcem - odezwał się Jon - a tylko nieco staroświeckim bratem, twierdząc, że mogłabyś trochę odpocząć. Czyżbym widział cienie pod twoimi oczami? Powinnaś chyba skorzystać z wiejskiego powietrza i dobrze się wyspać.

Margaret wstała.

- Drogi Jonie, stajesz się strasznym nudziarzem. Zaszkoziła ci pewnie ciężka praca. - Spojrzała na zegarek i przeniosła wzrok na macochę. - Edith, czy mogę zadzwonić na Billingsa i poprosić o koktajle? Już pora na to. Lady Pollock skinęła głową. Wyczuła powściągliwość, z jaką Margaret pytała o pozwolenie w domu, który był rodzinnym gniazdem.

- Jak mogłabym odmówić czegokolwiek damie adorowanej przez księcia Walii - odparła więc żartobliwym tonem. - Oczywiście, zadzwoń, Margaret.

- Zawsze to samo - jęknął Czarny Jack, zanim Billings zdążył odpowiedzieć na dzwonek. - Myślę, że Jon ma dużo racji. Troszkę snu, kochane dziecko. Wiesz, że nie możesz mieć wszystkiego. Trudno być na nogach po całych nocach i pozostać piękną.

Margaret odwróciła się od nich.

- Wiecie, Brock przysłał mi jeszcze jedną książkę. Zbiór wierszy. Tak, śmieJCie się. Wszyscy. Nigdy nie podejrzewaliście, że bezmyślna, frywolna Margaret czytuje poezję. Cóż, jak zwykle Brock wiedział, co mnie może zainteresować. To twórczość kobiety. Edny St. Vincent Millay. Zapamiętałam pewien fragment, który szczególnie mi się podoba. Wyraża moje uczucia dużo lepiej, niż ja bym potrafiła je wam przedstawić. Posłuchajcie.

Moja świeca z dwóch końców się pali;

288

Nie dotrwa nocy;

Ale, o wrogowie moi i przyjaciele moi, Daje ona piękne światło.

Osobliwa cisza zapadła w salonie. Przerwało ją dopiero pojawienie się Billingsa.

- Słucham, proszę pani...?

III

Słoneczny sierpień ustąpił miejsca jesiennym dniom wrześnieowym. Wrzosa, jeszcze purpurowe miesiąc temu, zaczęły nabierać barwy brązu. Jonathan i David raczkowali w swoich pokojach. Podejmowali pierwsze wysiłki, by stanąć na nóżkach i wciąż się przewracali. Zaczęły się im wyrzynać ząbki i w związku z tym Lally miała pierwsze spięcie z nianią Dunstable. Poszło o karmienie Jonathana cukrem, który niania podawała chłopczykowi, by go uspokoić.

- Zęby będą mu się psuły. Jeśli za bardzo polubi cukier, nie będzie chciał niczego innego, tylko słodyczne.

- Dzieci pod moją opieką, - pani Pollock, dostają słodyczne wtedy, kiedy ja na to pozwolę. I regularnie chodzą do dentysty.

Lally wyszła, pokonana, bezradna. Streściła rozmowę z nianią przez telefon Margaret, która śmiała się z tej historii do rozpuku.

- Pozwól jej robić, co chce, Lally. Nianie mają swoje przyzwyczajenia. Masz szczęście, że trafiła ci się staroświecka opiekunka do dziecka. A swoją drogą, ja nie ośmieliłabym się sprzeciwić niani Williams. Mogłaby odejść, a ja, Boże pomóż, wciąż nie umiem zmieniać Davidowi pieluszek. Nasza niania nawet nie dopuszcza myśli, że powinnam się tego nauczyć. Mogłaby pani ukłuć dziecko agrafką, tak mi powiedziała. I postawmy sprawę jasno, Lally, ja wcale nie chcę zmieniać pieluch. Posiadanie dzieci jest wystarczająco kłopotliwe. A co dopiero, gdyby trzeba było je obsługiwać. - Margaret i Bobby zostali w Neatherby dłużej niż Margaret chciała. - Nic ciekawego nie zaczęło się jeszcze dzieć w Londynie i wiem, że drogi ojciec Gough pobłażał mi od czasu narodzin Davida. Ofiarował nam dom

i nie robił żadnych kwestii o pozostawanie w Londynie do końca sezonu. Więc, by zadowolić jego i Bobby'ego, zgodziłam się zostać przynajmniej do finałów St Leger. - St Leger, słynne doroczne gonitwy, odbywające się w Don-caster były dla Margaret wspianym pretekstem do zorganizowania przyjęcia. -Obiecuj mi, że przyjedziesz z Jonem, Lally. Przekonałam lady Gough, by umieściła część gości w Dentdale, ponieważ oczywiście nie ma za wiele miejsca w tym ciasnym domu. Ojciec i Edith zatrzymają się u Goughów. - Margaret najwyraźniej nie dostrzegała uroku Neatherby. A przecież dwór znany był jako klejnot architektury elżbietańskiej. Margaret wydawał się on jednak ciemny i niewygodny. Narzekała, że lord Gough nie chciał wydać ani pensa, by dom całkowicie unowocześnić. - Ale powoli przyzwyczajają się do tego pomysłu - zwierzała się

213

siostrze. - Doszedł do wniosku, że to może skłonić mnie do dłuższych pobytów. Wciąż powtarzam, że jeżeli mamy mieć więcej dzieci, musimy mieszkać w jakich takich warunkach. A wiesz, co mój teść myśli o posiadaniu wnuków. Ale na razie ty i Jon będziecie musieli zadowolić się pokojem wielkości mniej więcej schowka na szczotki. I obawiam się, że nawet nie tak dużego jak ten, który zajmował w „Ritzu” Brock.

Lally i Jon przyjechali do Neatherby dwa dni przed rozpoczęciem St Leger. Okazało się, że są jedynymi gośćmi we dworze, wszyscy inni zostali zakwaterowani w Dentdale.

- Zwaliłam wiele kłopotów na głowę mojego teścia, ale tylko po to, żeby zdał sobie sprawę, jakie to niewygodne miejsce. Poza tym, oni mają masę służby, a ja musiałam przywieźć swoją z Londynu. Lord Gough jest tak strasznie skąpy. Nie zaszkodzi mu, jeśli wyda trochę na gości. Zdecydowali się pójść na ustępstwo i zaprosić również kilku swoich przyjaciół. Wieczorem odbędzie się wielki obiad w Dentdale, więc wystąpię w swojej najlepszej sukience od Susie, Lally.

Dentdale było oddalone o dwie mile od Neatherby. Leżało wśród tych samych pięknych łąk, gdzie wypasano sławne stada bydła Goughów. Młodzi Pol-lockowie jechali obsadzoną dębami drogą, wodącą do domu, którego piękno zaparło Lally dech w piersiach. Wspaniałe ceglany dwór o wysokich oknach. Ogromny hall zatłoczony był już gośćmi, pomiędzy którymi przemykali lokaje z tacami. Lally i Jon dostrzegli wśród zaproszonych lorda i lady Bletchley. Podczas obiadu w Dentdale Bobby został wezwany do telefonu. Wrócił uśmiechając się.

- Przepraszam, mam. To był Brock Weymouth. - Powiedziano mi w Neatherby, że wszyscy jesteście tutaj. Właśnie przyjechał do Londynu. Pamiętasz Brocka Weymoutha, mam?

Lady Gough przytaknęła sztywno. Nie wyglądała na zadowoloną. Za to Margaret rozpromieniła się.

- Brock! Jak cudownie! Przyjedzie tu?

- Pomyślałem, że to cię ucieszy, kochanie. Tak, przekonałem go, że musi obejrzeć gonitwy St Leger. Przyjedzie jutro. Powiedziałem, że spróbujemy wcisnąć go do schowka na szczotki w Neatherby.

- Znowu ten człowiek! - oburzyła się lady Bletchley. - Straszny natręt. Lord Gough nachylił się do niej.

- Powiedziano mi, że jest bogaty. Wie pani, to zmienia sprawę.

*

* *

Następnego dnia po południu przyjechał Brock nowym cadillakiem.

- Mojemu przyjacielowi obrzydło poprzednie auto. Prosił, żebym przywiózł mu jakiś amerykański wóz na próbę.
- Och, jest piękny, Brock. - Margaret natychmiast chciała usiąść na miejscu kierowcy, by wypróbować najnowsze udoskonalenia. Wszyscy zgromadzili

214

się wokół cadillaca, ale tylko Margaret wyblagała pozwolenie na przejażdżkę. Pojechała do Dentdale i zmusiła teścia do obejrzenia nowego nabytku Brocka.

- Znakomity. Brock, obiecaj, że pozwolisz mi poprowadzić go jutro do Don-caster. Wywoła sensację. Och, co za prześliczny samochód! Ma dosłownie wszystko, co sobie można wymarzyć. Bobby, kiedy pojedziemy do Ameryki? Nie mogę się doczekać.

IV

Planowano, że po zakończeniu gonitw St Leger towarzystwo goszczące u Goughów rozdzieli się. Starsi przyjęli zaproszenie na obiad w domu jednego z przyjaciół lorda w pobliżu Doncaster. Młodszy mieli wrócić do Dentdale, gdzie czekał na nich bufet z kolacją albo mogli sami coś sobie zorganizować.

- Recepcjonista z „Ritza”, kiedy dowiedział się, że jadę na St Leger, zarekomendował mi miejsce zwane „Seaton” - powiedział Brock. - To akurat po drodze, gdy będziemy wracać do Neatherby. Zrobił dla nas rezerwacje, o ile, oczywiście, nie wolelibyście jechać do Dentdale.

- Zawsze chciałam pójść do „Seatona” - oświadczyła radośnie Margaret. - Mówią, że ma najlepszą kuchnię w całej północnej Anglii. Nigdy nie mogłam zmusić Bobby'ego, żeby mnie tam zabrał.

- Prawdopodobnie dlatego, że to kosztuje fortunę, a Bobby zna lepsze sposoby wykorzystania pieniędzy - powiedział Jon.

- Nudziarz. Skoro Brock chce nam zafundować...

- Brock funduje o wiele za dużo. - Nieśmiały opór Bobby'ego załamał się pod wzrokiem Margaret. - No dobrze, kochanie. Podejrzewam, że w Dentdale nie będzie ciekawie... i zdaje się, że prawie nikt nie wraca tam na kolację. Dzięki, Brock... doceniam to stary. Wszystko, żeby tylko uszczęśliwić jej wysokość.

Dzień wyścigów był spokojny i wyłożony słońcem. Oglądali pomniejsze wyścigi, towarzyszące, jak zwykle sławnej gonitwie. Klacz lprda Gougha biegła w jednej z nich.

- Nie ma szans - pomrukiwał Gough. - Zawsze trzymaliśmy jednego albo dwa kłusaki. Niestety, nie podołam już temu dłużej. To zbyt kosztowne. Przyjmij moją radę, Pollock. Nie stawiaj na nią. Puszczamy ją tylko dlatego, że jej trener twierdzi, iż klacz potrzebuje zdobyć trochę doświadczenia. - Czarny Jack przyjrzał się koniom i przyznał Goughowi rację. A potem, ku zaskoczeniu tłumu i zachwytni bukmacherów, klaczka zwana „Latającą Rybą”, wyprzedziła na mecie o łeb faworyta wyścigu. Margaret podrzuciła w górę torebkę, krzycząc z radości.

- Wygrałam! Wygrałam!

- To znaczy, że na nią postawiłaś!

- Oczywiście, tak mi doradzono.

- Doradzono? Kto ci doradził? - Gough ciskał w tłum piorunujące spojrzenia. Kto ośmielił się twierdzić, że jego koń wygra wyścig, którego wygrać nie powinien?

292

- Przyjaciel - śmiała się Margaret. - Po prostu przyjaciel - Odeszła odebrać wygraną od bukmachera. Szczęśliwa i promienna piła szampana z Brockiem i Lally, czekając na główną wielką gonitwę.
- Wiecie co, podejrzewam, że mam skłonności do hazardu. To bardziej podniecające, niż jakiegokolwiek inne rozrywki. W tym roku pojechaliśmy do Deau-ville. Chodziłam do kasyna co noc i zostawałam tam aż do świtu.
- Wygrałaś? Spuściła głowę.
- No, niezupełnie. Najpierw dużo wygrałam, potem to wszystko przegrałam. A potem próbowałam się odegrać. I przegrywałam tylko coraz więcej. Wiem, że mogłabym to wszystko odzyskać, gdyby Bobby zechciał zostać jeszcze kilka dni dłużej. Ale on okropnie martwił się przegraną. Czasami... cóż, jest taki sztywny. Wydaje się prawie stary. Lubisz hazard, Brock?
- To jest to, czym zajmuję się przez całe życie. Jej usta rozchyliły się z ekscytacji.
- Co?
- Giełda, droga Margaret. To największy hazard na świecie. Wzruszyła ramionami.
- Brzmi niezbyt podniecająco.
- Nie dla tych, którzy śledzą kurs i zdobywają kolejny pakiet jakichś akcji. Wtedy to nie jest nudne, zapewniam cię. Czarny Jack przyłączył się do nich.
- Jakie typowania? - spytał.
- Na giełdzie czy w gonitwie?
- I te, i te będą mile widziane.
- Cóż, nie wiem nic o koniach, ale powiem ci jedno. Wycofaj się z interesów związanych z cukrem, jeśli masz z nimi coś wspólnego.
- Cukier! - krzyknęła Margaret. - Dlaczego ojciec miałby mieć do czynienia z cukrem?
- Tylko dla pieniędzy - odpowiedział Brock. - A słyszałem, że to teraz kiepska inwestycja.
- Wybaczcie mi - przerwała mu Margaret. - Nie zrobiłam jeszcze zakładu. To tylko kilka minut.
- Pozwól mi postawić za ciebie - zaproponował Brock. Nie było dobrze widziane, by dama przedzierała się przez tłum otaczający bukmacherów.
- Nie, zawsze robię to sama. Na szczęście... Czuję, że mam dziś dobrą rękę. Obserwowali wielką gonitwę. Koń obstawiany jako drugi pokonał faworyta

o długość. W tłumie zapanowało jednocześnie przygnębienie i podniecenie. Niektórzy z towarzystwa lorda Gougha wygrali spore sumy. Znowu zamówiono szampana. Stojąca obok Lally Margaret duszkiem opróżniła kieliszek i podała go Bro-ckowi.

- Cholera! - powiedziała do Lally. - Przegrałam!

- Ja też - odparła Lally. Ale było coś wstrząsającego i desperackiego w wyrazie twarzy Margaret, co pozwoliło Lally domyślić się, że przegrała dużo wię-

294

cej, niż wynosiła zwyczajowa suma, stawiana w zakładach. Patrzyła jak Margaret połyka kolejny kieliszek szampana, jakby nie miała dość alkoholu.

- Cholera. To posłodzona woda.

Wylała resztki na trawę, wyjęła z torebki piersiówkę i wlała solidną dawkę whisky do pustego kieliszka. Bobby z przerażeniem przyglądał się poczynaniom żony.

- Ja... uspokój się, kochanie... - Czym innym było, gdy dama pociągała łyk wódki podczas polowania, by ogrzać się w zimowe popołudnie. Ale nalewać sobie whisky pośród eleganckiego tłumu na padoku podczas St Leger, to groziło skandalem.

- Och, zamknij się - odpowiedziała Margaret. Jej głos był straszny, podobnie jak i twarz, której wyraz jednak po chwili zdołała opanować.

Ostatni wyścig Margaret oglądała bez zainteresowania. Potem wrócili do samochodów i włączyli się w długi sznur pojazdów oczekujących na wyjazd na szosę. Brock i Grenfellowie znaleźli się spory kawałek przed młodymi Pollockami. Margaret raz jeszcze prowadziła cadillaca. Słyszeli ponagląący ryk klaksonu, gdy piesi i pojazdy konne zatarasowały Margaret drogę. Umówili się u „Se-atona”, gdzie zarezerwowano dla nich osobny gabinet.

- Coś nie tak z Margaret? - dopytywał się Jon, gdy powoli posuwali się naprzód.

- Przegrała w wielkiej gonitwie. I myślę, że wini za to Bracka.

- Dlaczego? On nie podawał żadnych typowań.

- Nie, ale mówił o cukrze. I ona obstawiła „Cukrową Dziecinę”.

Złociste jesienne popołudnie ochłodziło się. Gdy przebijali się przez korek, Lally dostrzegła chmury gromadzące się na zachodzie. Wiatr wzmagął się. Jechali spokojnie na północ, dawno już straciwszy cadillaca z zasięgu wzroku.

- Margaret musiała przyciskać gaz do dechy - stwierdził Jon. Gdy parkowali obok samochodu Bracka, spadły pierwsze krople deszczu. - Cóż, to koniec St Leger. Jutro wszyscy wracamy do pracy.

*

* *

Siedemnastowieczne zabudowania, w których mieścił się zajazd miały wiele krętych korytarzy i małych pokoi, przeznaczonych na prywatne przyjęcia. Wielki hall miał ściany wybite perkalem, a ogień płonął w dużym kominku przy barze. Pollockowie zostali zaprowadzeni do pokoju na piętrze, gdzie czekali już pozostali goście. Lally ucieszyła się widząc, że tam także napalono. Jesień dawała się odczuć coraz dotkliwiej.

Margaret właśnie instruowała barmana, jak przygotowywać martini. Pierwsze odesłała po pierwszym łyku.

- Obrzydliwe. O wiele za dużo wermutu. To ma być tylko ociupinka. W dodatku nie mają tu dość lodu - usłyszeli Lally i Jon, kiedy weszli.

217

- A Margaret jest w obrzydliwym humorze - radośnie poinformował ich Brock. - Więc uważajcie.

Margaret jedynie wściekle na niego spojrzała i wkrótce znów zadzwoniła na barmana.

- Tym razem proszę przygotować duże martini. Poprzednie z trudem mogłam zauważyć. I bez przesady z wennutem.

- Kiedy studiowali menu, wypila kolejnego drinka. - Do diabła - powiedziała niedbale - wszyscy wyjeżdżają jutro rano. Wreszcie będę mogła się wyspać.

- Matka oczekuje nas jutro na lunchu - przypomniał jej Bobby. - Obiecałaś przywieźć Dawida.

Margaret zapaliła papierosa.

- O, cholera. Trudno, ty możesz go zabrać. Ona nie potrzebuje ze mną się widzieć. - Z zapamiętaniem dźgała swoją porcję widelcem, ale jadła niewiele. - Nie rozumiem, dlaczego to miejsce cieszy się taką dobrą reputacją.

- To niezbyt ładnie tak mówić, kiedy Brock nas tu gości - powiedział Jon. - I może, gdybyś coś zjadła, doceniłabyś kuchnię „Seatona”. Zostawiłaś połowę talerza.

- Nie wiem, czemu wybrałam pieczeń i pudding. Mam to w każdą niedzielę. - Niespodziewanie uśmiechnęła się do Brocka. - Tak, zachowuję się naprawdę jak gbur? Po prostu nie mam apetytu. Jednak wino jest cudowne.

- Chateau lafite zazwyczaj takie jest - burknął na nią Jon.

- Naprawdę? - Wyciągnęła przed siebie kieliszek. - Zawsze znałeś się na dobrych trunkach. Zamówmy jeszcze jedną butelkę. Ja płacę, mam resztkę swojej wygranej. To nie może kosztować więcej.

Brock zadzwonił i zamówił wino, mimo że na stole stały jeszcze prawie pełne dwie butelki. Margaret żartobliwym tonem poprosiła kelnera o wystawienie oddzielnego rachunku.

- Nie chcemy zabierać twoich ostatnich pieniędzy na drobne wydatki, Margaret - powiedział Brock.

- Na drobne wydatki? To nie były pieniądze na drobne wydatki. To były pieniądze na dom. Na opłacenie rzeźnika i kupca win i na rachunek od Fortnuma za wszystkie słodycze. Nie wiem, jakim cudem te głupstwa sumują się w tak dużą kwotę. Harrods też przysłał niezbyt przyjazne listy poświęcone rachunkom. - Obracała w palcach kieliszek po winie. - Niedrogie sukienki od Susie niestety nie równoważą rachunków za buty, torebki i kapelusze. I jeszcze kwaciarnia. A Taylor i kucharka bardzo cierpliwie czekali na pensję. Obiecałam, że wyrównam im zaległe wynagrodzenie, kiedy przyjedziemy do Yorkshire. Jeśli twój ojciec nie da mi na to, Bobby, mój zrobi to na pewno. Planowałam poprosić ojca o zaliczkę z przyszłorocznej wypłaty mojej części kapitału. Ale wolałam spróbować sama te długi spłacić. I zapłaciłabym. Wygrałam masę pieniędzy stawiając na klacz ojca, Bobby. A potem... - Odwróciła się do Brocka. - Tak, rzeczywiście winien mi jesteś chateau lafite. Postawiłam prawie wszystko na „Słodką

Dziecinę". Przeklęty cukier! Dlaczego musiałeś o tym mówić? Zawsze gram zgodnie z przeczuciem. Mogłabym spłacić wszystkich, gdyby przybiegła pierwsza

297

i jeszcze trochę by zostało: Wydaje się to takie łatwe, prawda? Hej, presto! Koniec kłopotów!

Bobby siedział nieruchomo. Lally poczuła niepokój, widząc, jak biała zrobiła się jego twarz. Czy to możliwe, że Bobby w końcu straci cierpliwość do żony? Wargi miał mocno zaciśnięte. Wreszcie zdołał wydobyć z siebie głos.

- Chcesz powiedzieć... naprawdę chcesz powiedzieć, Margaret, że nie wypłaciłaś służbie pensji. Nawet nie wypłaciłaś pensji?

Wzruszyła ramionami.

- Nic na to nie poradzę. Dałam im pewną zaliczkę. Och, przestań, Bobby. Nie bądź takim nudziarzem. Wiesz, że dostanę pieniądze. I będę ostrożna w przyszłości. Obiecuję, że będę ostrożna. Będę pilnować każdego pensa.

- Zaufałem ci - powiedział powoli. - Prosiłaś, by ci przekazać zarządzanie domowymi wydatkami i zaufałem ci. Ale nie zapłacić nawet pensji, Margaret? To jak okraść tych ludzi. Oni nie mogą sobie pozwolić na to, żeby dawać się oszukiwać.

- My też nie, jak mi się wydaje - odpowiedziała lekceważąco, ale wypieki wystąpiły jej na policzki. - Nie ukradłam tych pieniędzy. Jesteś strasznie staromodny, Bobby.

- Tak - powiedział. - i zamierzam być jeszcze bardziej staromodny. Od dziś będę cię informował, na co możemy sobie pozwolić, a na co nie. Sprzedamy ten cholerny dom w Londynie. Spłacimy każdego pensa, którego jesteś winna i zamkniemy wszystkie twoje przeklęte rachunki kredytowe. Tylko gotówka! Będziemy żyć w Neatherby z pieniędzy przydzielonych przez mojego ojca. Zawsze sobie tego życzył. Czarnego Jacka natomiast zamierzam poprosić, by zainwestował twoje pieniądze w jakiś pewny interes, a nie używał ich do spłacenia długów. Nauczysz się odpowiedzialności, Margaret. Jeśli to brzmi staromodnie, trudno!

- Mam trochę pieniędzy. Moja część kapitału...

- Myślę, że twój roczny przydział powinien być dużo mniejszy niż obecnie, a reszta zamrożona zostanie dla ciebie, dopóki nie nabierzesz trochę rozumu. Myślisz, że twój ojciec jest ślepy i głuchy, Margaret? Mimo wszystko nie podejrzewa pewnie, że jest aż tak źle. Żywię głębokie przekonanie, że poprze mnie we wszystkim, co zamierzam zrobić. Może cię rozpieszcząć, ale nie myślę, żeby spokojnie patrzył jak doprowadzasz nas do ruiny. Najwyższy czas, bym zajął się pracą, która jest moim obowiązkiem, to znaczy prowadzeniem majątku. Na Boga, Margaret, czy nie rozumiesz...

Poderwała się na równe nogi. Krzesło z hukiem przewróciło się za jej plecami.

- Tak, rozumiem. Jesteś głupim, słabym, bezradnym idiotą! Wszystko, czego chcesz, to wrócić do mamusi. Trzymać tatusia za rękę. Być grzecznym, uliza-nym chłopczykiem. Cóż, nie możesz zastąpić żadnego ze swych braci. Byli mężczyznami dwa razy lepszymi niż ty! Ale masz swego cennego syna i dziedzica. Lord Gough ma swego wnuka. Podejrzewam, że nie będziesz tak podły, by omówić mi rozwodu. - Trzęsła się cała. Jej palce zacisnęły się na krawędzi stołu i zaczęły ciągnąć obrus.

219

Bobby wstał.

- Kto tu mówi o rozwodzie? Jesteś zdenerwowana, Margaret. I pijana. Nie będzie żadnego rozwodu. Rano...

- Rano pakuję się i wracam do Londynu. Rób ze mną, co chcesz. Wyrzuć mnie na ulicę, jeśli to cię zadowoli. Zrobisz tylko z siebie większe przedstawienie. Wszyscy wiedzą, jakim jesteś durniem. I jaka głupia ja jestem. Przecież w końcu wyszłam za ciebie! - Popatrzyła wokół stołu. - Tak właśnie mówiliście, prawda? Wszyscy byliście temu przeciwni, a ojciec najbardziej. Nie będę protestować, jeśli zabierzesz Dawida, Bobby. Podejrzewam, że masz prawo po swojej stronie. Powiedz swojemu ojcu, że przystanę na oddanie wam dziecka w zamian za przyzwoite alimenty. Wiem, że w końcu i tak mi go odbierzecie. Równie dobrze może się to stać teraz.

- Margaret! - głos Jona trząsł się z gniewu. - Bobby ma rację. Jesteś pijana. Oprzytomniej! Mówisz o swoim dziecku! Łzy strumieniem spływały po jej twarzy.

- Wiem, o kim mówię. Kocham mojego syna. A ty nie bądź taki święty, Jon. Ostatecznie, też popełniłeś błąd. Poślubiłeś Sandy West. Tak, wiem, że nie powinnam wymieniać jej imienia, ale po Sandy ożeniłeś się dla bezpieczeństwa. Jesteście tacy nieznośnie zadowoleni z siebie, ty i Lally. Stajesz się zupełnie jak Bobby. Będziesz mieszkał w Yorkshire, zarządzał swoimi fabrykami, a on swoim przeklętym majątkiem. I z czasem upodobnicie się do pary waszych własnych baranów. - Podeszła do wieszaka przy drzwiach, zdjęła płaszcz i gniewnie wpychała ręce w rękawy. Na pożegnanie gestem wyzwania i wściekłości machnęła w ich stronę torebką. - Tak, właśnie do pary baranów. Bee... bee... - dławiła się łzami.

Bobby podszedł do niej.

- Margaret, opanuj się. Dokąd idziesz?

- Do Neatherby. Po raz ostatni do cholernego Neatherby. Szarpnięciem otworzyła drzwi i pobiegła korytarzem w stronę schodów.

Bobby ruszył za nią, nie troszcząc się o płaszcz. Jon też się poderwał.

- Muszę z nimi jechać. Spróbuję ją uspokoić! Boże, co za historia. - Poszperał w kieszeni i wyciągnął kluczyki do samochodu. Pojedźcie za nami z Lally, Brock. Spotkamy się w Neatherby. - Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach. -

Przepraszam, Brock. Widziałeś nas dzisiaj w najgorszym wydaniu. Ona nie myślała tego, jestem pewien. To tylko...

- Potrząsnął głową. - Co za piekło. Oboje to durnie. Margaret kompromituje się, robiąc przedstawienie, a Bobby powinien był już dawno wziąć ją w karby. - Odwrócił się i pośpieszył za Grenfellami.

Brock gwałtownie zadzwonił na kelnera.

- Rachunek natychmiast, proszę. Szybko. - Mimo wszystko zajęło to kilka minut.

- Obawiam się sir, że kilku rzeczy brakuje. Nie miałem czasu... ale zobaczyłem młodą panią, jak wychodziła.
- Tak - powiedział Brock. - Założę się, że widziałeś. - Wyciągał banknoty z portfela. - Czy to pokryje wszystko? Dodatkowo? Tak, byś milczał o tej młodej damie?

300

Usta kelnera otworzyły się ze zdumienia na widok pieniędzy na stole.

- Bardziej niż dostatecznie, sir. Dziękuję bardzo, sir. Gdy schodzili na dół, Brock wziął Lally pod rękę.
- Spokojnie, kochana. Nie chcemy przecież, by widziano jeszcze dwoje ludzi wybiegających w noc jak para wariatów. Mieliśmy tu już wystarczający dramat. Tylko spokojnie.

Ale ona pociągnęła go przynaglająco.

- Sytuacja jest poważna, Brock. Margaret miała twoje kluczyki. Widziałam z okna, że Bobby'emu i Jonowi ledwie udało się wskoczyć do wozu.

Drzwi wejściowe zamknęły się za nimi. W świetle pojedynczej lampy wylaniał się z mroku fragment opustoszałego już parkingu. Deszcz padał, rozbryzgując duże krople o ziemię. Wydawało się, że minęły wieki zanim silnik zapalił. Nikt nie zainteresował się ich odjazdem. Droga, na którą wyjechali, była mokra i pusta. Wyścig St Leger zakończył się i wszyscy dawno już wrócili do domów.

*

* *

Byli już w parku Dentdale, niedaleko zakrętu do Neatherby, kiedy światła reflektorów wyciągnęły z mroku ten widok. Wielkie dęby, sadzone przez pokolenia Grenfellów wzdłuż krętej drogi, masywne i dostojne, wydawały się przytłaczać swym ogromem rozpruty, poskręcany wrak.

- Boże! - Lally poczuła, że samochód wpadł w lekki poślizg, gdy Brock wcisnął hamulec do oporu. Zatrzymali się. Brock wyskoczył z wozu i ruszył biegiem. Lally z trudem łapała powietrze. Deszcz bił jej w twarz, a ona potykała się jak niewidoma na koleinach błotnistej drogi.

- Cofnij samochód - krzyknął Brock. - Musimy mieć trochę światła. - Zrobiła, co jej kazał.

W blasku reflektorów mogła teraz dostrzec przez strugi deszczu Margaret, opartą o pień dębu. Mokra ubranie całkowicie jąoblepiało. Patrzyła na wrak z nieruchomą twarzą. Pończochy miała w strzępach, gdzieś zgubiła jeden but. Deszcz zmywał krew, która sączyła się z małego rozcięcia nad okiem. Lally dotknęła jej ręki. Margaret zaczęła się niepoohamowanie trząść.

- Nic nie mogłam poradzić. Jon ciągle próbował odebrać mi kierownicę. Próbował mnie zatrzymać. Powtarzałam, żeby zostawił mnie w spokoju. Bobby ciągle na mnie krzyczał! Nie przestawał krzyczeć... Idź i pomóż im, Lally. Zrób coś, żeby wyszli. Próbowałam wyciągnąć Jona, ale nie chciał wyjść. Samolubne dranie, obaj. Robią to, bo chcą mnie nastraszyć.

Powoli Lally podeszła do Brocka, który klęczał przy wraku. Przeniknęło ją uczucie straszniejsze niż na widok Margaret. Dotknęła ramienia Brocka. Odwrócił się.

- Nie patrz, Lally! Nie patrz!

A przecież musiała patrzeć. Czyż nie wiedział o tym? Musiała popatrzeć i zobaczyć, i poznać całą głębię rozpacz. Klatka piersiowa Jona została zmiażdżona.

221

dżona o tablicę rozdzielczą. Głowa Bobby'ego przebiła przednią szybę, ale krew z rozerwanego gardła dawno już przestała płynąć i zmył ją deszcz. Tylko biała koszula Grenfella była teraz bladoróżowa. Lally rzuciła się na kolana i podczołgała do zmasakrowanych zwłok, aż dotarła do Jona. Gniewnie strząsnęła powstrzymujące ją ręce Brocka. Jej usta dotknęły warg męża, bladych i zimnych.

- Kocham cię, Jon. Kocham cię. - To go nie obudziło. Nic go już nie mogło obudzić.

Teraz pozwoliła Brockowi odciągnąć się na bok.

- Musimy zabrać stąd Margaret. Szybko.

- Po co się śpieszyć? Oni są martwi. Martwi, Brock. Mój piękny Jon nie żyje. Kocham go... Och Boże, kocham go. Potrząsnął nią.

- Nie ma ani chwili czasu. Odjedźcie. Odjedźcie. - Zaczął popychać Lally w stronę nieruchomej Margaret. -

Znalazłem jej torebkę. Zabierz Margaret do domu i postaraj się, żeby nikt ze służby jej nie widział. Przypuszczam, że wszyscy już śpią. I słuchaj, co masz zrobić. Słuchasz Lally? Słyszysz mnie?

Skinęła głową, ale głos Brocka docierał do niej z daleka.

- W domu musisz ją zamknąć, trzymać z daleka od wszystkich. Cokolwiek, by się działo nikt nie może z nią mówić. Stań pod drzwiami, jeśli będzie trzeba. Potem zadzwoń po karetkę i po policję. A teraz uważaj, co im powiedzisz. Słuchasz, Lally? Pamiętasz, co trzeba zrobić?

Przytaknęła bezradnie.

- Byłyście z Margaret w twoim samochodzie. A ja prowadziłem... - wskazał głową rozbitego cadillaca. - Ja prowadziłem tamten. Właśnie nas znalazłyście.

Nie rozumiejąc, patrzyła jak rzucił się na ziemię i zaczął tarzać po rozmokłej trawie. Potem przejechał dłonią po resztkach szkła wciąż tkwiących w miejscu przedniej szyby. Lally ze zdumieniem zobaczyła, jak wyciągnął piersiówkę z torebki Margaret i wypił pozostałą whisky, odrobinę rozlał na koszulę.

- Nie wiem, czy uda mi się ich oszukać. Uderzenie w głowę wyglądałoby lepiej, ale nie mogę oczekiwać, że zechcesz mi to zrobić. Jeśli ktokolwiek zobaczy Margaret w takim stanie, będziemy mieli kłopoty.

Lally patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem. Całe jej życie zdawało się umrzeć w chwili, kiedy pocałowała na pożegnanie Jona.

- Kłopoty? Jakże jeszcze moglibyśmy mieć kłopoty? - Obejrzała się na cadillaca. - Najgorsze już się stało. Dlaczego musimy to robić?

- Wiesz równie dobrze jak ja, Lally. Kiedy oprzytomniejesz, zrozumiesz doskonale. Margaret nie może trafić do więzienia. Zwariuje w ciągu jednego dnia. Margaret n i e m o ż e trafić do więzienia. Jest możliwe, że skazano by ją, a ja na to nie pozwolę. Teraz zrób, jak powiedziałem, Lally.

Stała, jak się jej wydawało, przez długi czas. Czuła zimno ulewnego deszczu, przenikającego jej ubranie. Ale to przemarznięte ciało, było obce. Jej własne umarło razem z Jonem.

303

- Lally, musisz! Musisz! - dobiegł głos Brocka. - Pomyśl o Czarnym Jacku. Pomyśl o Alice, o Jonathanie. Musisz! Jakim cudem, zastanawiała się, Brock mógł dowiedzieć się o tej nocy sprzed lat, kiedy po śmierci matki Alice wdrapała się na kolana Czarnego Jacka i złożyła mu obietnicę? Tylko ona i Czarny Jack znali treść jej przysięgi. Brock także zdawał się wiedzieć. Czy naprawdę wiedział? To nie miało znaczenia. Obiecała i przez całe lata nie sprzeniewierzyła się danemu słowu. Zaopiekuje się Alice. Zaopiekuje się Jonem... i Margaret. W jakiś sposób Brock wiedział.

- Szybko, Lally, proszę. Nie wiem, kiedy lord Gough dotrze tutaj. I Czarny Jack. Mam nadzieję, że wyprzedzili nas i nie będą musieli tego widzieć. Pośpiesz się, Lally. Proszę.

Odwróciła się i jak automat poszła do samochodu. Silnik wciąż pracował. Niewyraźnie widziała Brocka wlokącego Margaret w stronę auta i wpychającego ją na miejsce pasażera.

- W drogę, Lally. Wiesz, co robić.

Zwolniła sprzęgło. Ruszyły zaskakująco sprawnie. To cudze ciało działało zgodnie z instrukcjami Brocka i zgodnie z obietnicą, którą ona, Lally, dała niegdyś Czarnemu Jackowi. Gdy Neatherby pojawiło się w zasięgu reflektorów, szybko zgasiła światła. Jako gość Goughów dostała własny klucz do bocznego wejścia. Brutalnie wyciągnęła Margaret z samochodu. Obie potykały się w ciemnościach. Wreszcie przemarznięte palce przekreśliły klucz w zamku i Lally przepchnęła Margaret przez drzwi. W hallu paliła się mała lampka. Lally popychała Margaret przed sobą po schodach aż znalazły się w sypialni Grenfellów. I znowu, pamiętając instrukcje Brocka, jakby je miała zapisane, zamknęła drzwi na klucz.

Potem zeszła na dół do telefonu.

Zanim skończyła drugą rozmowę, Taylor - ten sam Taylor, któremu Margaret nie wypłaciła pensji - pojawił się szlafroku niedbale naciągniętym na piżamę.

- Czy mogę być w czymś pomocny, madam?

Lally zakończyła rozmowę z policją, odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do kamerdynera.

- Tak, możesz. Zdarzył się wypadek. Lepiej idź się ubrać. Karetka jest już w drodze. I policja wkrótce tu będzie. Lady Grenfell jest w swoim pokoju i nie wolno jej przeszkadzać. Rozumiesz? Nikomu nie wolno jej niepokoić. Właśnie widziała zwłoki lorda Grenfella. On nie żyje, Taylor.

- Madam! - krzyknął, a potem dodał: - Och, moja biedna pani... Lally była już w połowie schodów. Odwróciła się.

- Zobaczą się z policją. Zawiadom mnie, kiedy przyjadą. Będą potrzebować zeznań świadka wypadku. Mój ojciec i prawdopodobnie lord Gough... Och, nie wiem... - Potrząsnęła głową, próbując przypomnieć sobie, co jeszcze musi zrobić.

Kamerdyner podszedł do schodów.

- Pani Pollock? Pani Pollock, co jeszcze się stało? Popatrzyła w jego niespokojną twarz.

.223

- Mój mąż - powiedziała. - Mój piękny Jon nie żyje.

Na oślep pokonała resztę schodów, ściskając klucz do pokoju Margaret w dłoni tak mocno, że czuła, jak wbija się jej w ciało. Czuć cokolwiek, powtarzała sobie, byle nie zacząć krzyczeć. A chciała wykrzyczeć tylko jedno słowo. „Morderstwo!...”

V

Jeszcze daleko było do świtu, gdy Lally siedziała z Czarnym Jackiem w salonie w Neatherby. Przebrała się i zdjęła mokre ubranie z Margaret. Złożyła pierwsze, krótkie zeznanie policji. Opowiedziała im wersję Brocka. Potem położyła Margaret do łóżka i kazała jej tam zostać.

- To się nie stało, Lally - powtarzała Margaret. - Jestem pijana i głupia, a to tylko koszmar senny.

- Więc nie śnij więcej - powiedziała ostro Lally. - Po prostu śpij. Ulży ci, jeśli zaśniesz.

- Tam są tabletki. W szafce w łazience. Czasem, kiedy nie mogę spać... Lally zaczęła, aż tabletki zaczęły działać. Potem zeszła na dół, by porozmawiać z Czarnym Jackiem. Taylor, wstrząśnięty i milczący, podał im kawę.

W twarzy Czarnego Jacka Lally dojrzała odbicie własnej pustki.

- Brock jest teraz na komisariacie - zaczął powoli. - Nie wiem, co powiedzieć... co myśleć.

- Musimy spełnić życzenie Brocka. I musimy zabrać stąd Margaret. Najlepiej do Pellham, jeśli się uda. Jak najdalej od ciekawskich, zwłaszcza od prasy. Nikt nie może z nią teraz rozmawiać.

Ręce ojca wyciągnęły się do niej.

- Oboje straciliśmy Jona. Kochaliśmy go. Skąd cała ta... ta troska o Margaret? - Dłonie zacisnęły się na rękach Lally w uścisku, który choć bolesny sprawił jej ulgę, ponieważ mogła go czuć, podczas gdy reszta ciała wydawała się jej martwa. Lally miała wrażenie, jakby stała się dwiema osobami. Obserwowała samą siebie, działającą niczym automat według poleceń Brocka. Ta druga Lally zepchnięta w głąb i bezradna, płakała.

Powiedziała ojcu prawdę, bo musiała. Bez jego pomocy nigdy nie wydostałaby Margaret z tego pokoju na górze i nie dowiozła jej do Pellham Lan-gley. Poświęcenie Brocka straciłoby sens, gdyby Margaret nie została zabezpieczona.

- Prawdopodobnie zostanie skazany. Od razu o tym pomyślał. Powiedział, że Margaret nie może iść do więzienia.

Powiedział... że nie przetrwałaby tam nawet dnia. On wie. Myślę, że on zna Margaret równie dobrze jak my. Jaki będzie wyrok? Za nieumyślne zabójstwo? Na jak długo za to zamykają?

Ręce Czarnego Jacka raz jeszcze zacisnęły się na dłoniach młodej kobiety.

- Lally... Lally, nie mówisz o sobie. Nie płaczesz. Wiem, jak kochałaś Jona. A on nie żyje. Mówisz mi teraz, że to Margaret jest za to odpowiedzialna.

224

Wyrzuciło ją z samochodu i ocalała, ale Bobby i Jon nie żyją. Co czujesz? Kochanie...

Wyrwała mu swoje ręce i zaczęła nerwowo wyginać palce.

- To, co robię i to, co czuję, to dwie różne sprawy. Muszę ją chronić, tak jak kazał Brock. Jon... Jon... Nie mogę mówić o Jonie. Nie mogę jeszcze pozwolić sobie czuć. Gdybym dopuściła do siebie uczucia, mogłabym chcieć ją zabić, zamiast ratować. Co by to dało? Tylko większy ból dla ciebie.

Nagle rzuciła się ojcu w ramiona.

- Pomóż mi jej przebaczyć. Pomóż mi. - To była modlitwa i krzyki rozpacz. Czarny Jack tulił Lally. Wdychała wilgotny zapach jego garnituru.

- Kochanie, nic nie zwróci nam Jona. Możemy tylko próbować uratować Margaret...

Czekała na potępienie córki, na wybuch wściekłości. Ale nic takiego nie wydarzyło się. Czarny Jack kochał wszystkie swoje dzieci. Teraz instynktownie bronił tych, które mu pozostały.

VI

Następny dzień na zawsze pozostał czarną dziurą w pamięci Lally. Nigdy nie była do końca pewna, w jaki sposób i kiedy zabrali Margaret do Pellham Langley. Obudzili ją z głębokiego snu, zbyt jeszcze odurzona, by mogła protestować. Podczas długiej drogi nie odezwała się słowem, ale kilka godzin podróży, przywróciło jej poczucie rzeczywistości. Stawiła tragedii czoło, kiedy znaleźli się już w Pejlham.

- Wiem, że to zrobiłam, ojczu. Czy będziesz mógł mi wybaczyć? Ty i Lally? - Odwróciła od nich twarz. - Nie oczekuję odpowiedzi. Co się teraz ze mną stanie? Wsadzą mnie do więzienia? - Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Opuściła głowę.

- Nic takiego się nie stanie, Margaret. Brock stwierdził, że to on jest odpowiedzialny. Oświadczył policji, że to on prowadził. Ty masz milczeć. Nie wolno ci nic powiedzieć, poza tym, że byłaś w samochodzie z Lally. Postaram się utrzymać policję od ciebie z daleka.

Margaret podniosła na nich wzrok.

- Nie możemy mu na to pozwolić. Skażą go na więzienie.

- On sobie z tego świetnie zdaje sprawę, Margaret. Nie rozmawiałem z nim jeszcze, ale myślę, że znam Brocka.

Najlepiej zrobisz, siedząc cicho. Pozwól mu działać według jego własnego planu. Możliwe, że uda mu się wybrnąć. Może nie pójdzie do więzienia. Nie chce, żebyś się narażała.

Patrzyła to na jedno to na drugie, a jej twarz stawała się coraz bledsza.

- Nie mogę zaciągać u niego takiego długu, ojczu. To nie jest już kwestia prezentu, chojności, szczodrości.

Zawdzięczałabym mu... to znaczyłoby zawdzięczać mu wszystko. Takiego długu, nigdy nie będę w stanie spłacić.

Nie możemy Brockowi na to pozwolić.

15 - Obietnice

225

- Lepiej milcz - ostro powiedziała Lally. - Zrobiłaś już dość. Dość powiedziałaś. Skłamałam dla ciebie, złożyłam fałszywe zeznania. Brock również skłamał. Zapewne pójdzie za ciebie do więzienia. Jedyne, co możesz zrobić, i tylko to, Margaret, to posłuchać go. Skoro Brock podjął taką decyzję, nie wolno ci sprzeciwiać mu się. Musisz tylko być cicho. Pomyśl o Dawidzie. Pomyśl o ojcu. Raz w życiu przestań myśleć o sobie.

- Gdzie jest Dawid?

- Tutaj. W pokoju dzieciennym z Jonathanem.

- Lally... ? - oczy Margaret zaklinały ją i błagały. Ale Lally odwróciła się.

- Mam jeszcze dwie z tych pigułek. Powiedziałam wszystkim, że nie wolno cię niepokoić. Postaraj się zasnąć. Mamy wiele do załatwienia. Musimy zająć się przygotowaniami do pogrzebu.

- Lally...?

Lally zatrzasnęła drzwi, nie zważając na rozpaczliwe wołanie. Po raz pierwszy w życiu postanowiła nie słyszeć lamentu Margaret, jej wołania o pomoc. Na razie to było wszystko, co Lally mogła z siebie dać.

* *

Na dole czekał Brock.

- Wypuścili mnie za poręczeniem Czarnego Jacka. Zaskoczyło ich, że człowiek może być tak wspaniałomyślny. Ale uznali, że pozostają w dziwnych stosunkach z waszą rodziną, Lally.

Myśli Lally wybiegły w przyszłość. Musi dojść do procesu. Chociażby Brock przyznał się do wszystkiego, będą przesłuchiwani świadkowie.

- Co z kelnerem od „Seatona”?

- Załatwione - stwierdził spokojnie Weymouth. - Wytropiłem go zaraz po tym, jak mnie puścili. Bez kłopotu dał się przekupić. Kiedy postępowanie się skończy, niezależnie, jaki przybierze obrót, zostanie mu zapłacona pewna suma, z którą ten facet wyemigruje do Ameryki. Czeka tam na niego praca lepiej płatna, niż mógłby sobie wymarzyć. Nie będzie żadnych wywiadów dla prasy. Nie będzie rozmawiał z nikim poza policją, kiedy ta do niego dotrze oraz sędzią czy urzędnikiem, czy kimkolwiek innym, kto będzie prowadził tę sprawę.

- A co ma powiedzieć?

- Dokładnie to, co mu wbiłem w głowę. Że dość dużo wypilem. I że nie wie, kto pojechał, którym samochodem. To nie jego sprawa nadmiernie interesować się gośćmi.

- Mówisz to bardzo spokojnie.

- Muszę. Co z Margaret?

- Tylko o nią się troszczysz?

- Margaret żyje, Lally. Jon i Bobby są martwi. Muszę troszczyć się o nią.

226

- Ale troskliwość nie zawsze oznacza poświęcenie. Nie musisz posuwać się tak daleko.

- Chodzi ci o to, że nie chcesz, żebym to robił. Myślisz, że raz powinna zapłacić? Cóż, zapłaci dostatecznie.

Wtedy Lally zaczęła rozumieć, co kryło się za krzykiem protestu Margaret, protestu, który Czarny Jack i ona kategorycznie zdławili. Teraz Margaret będzie należeć do Brocka. Będzie, jak sama powiedziała, zawdzięczać mu wszystko. W końcu Brock dostał Margaret.

Przytaknął, jakby czytając w jej myślach.

- Tak. Rozumiesz wszystko, prawda, Lally? Teraz rozumiesz. Stary Brock czekał przez cały czas i czekał. Nie spowodowałem tego wypadku. Nie chciałem śmierci Jona i Bobby'ego. Nie, nawet biednego Bobby'ego, który po raz pierwszy w życiu zamierzał obstawać przy swoim zdaniu. Przez jakiś czas Margaret mogła być nawet posłuszną żoną. Ale nie potrwałoby to długo. Wreszcie chciały się uwolnić i miałem szczerzy zamiar być w pobliżu, kiedy do tego dojdzie. I doszło, tylko że w najgorszy z możliwych sposobów. To straszne dla ciebie i Czarnego Jacka.

Straszne dla rodziców Bobby'ego. I dla Davi-da i Jonathana. Ale to straszne także dla Margaret. Czy nie możemy o tym pamiętać? Doprowadziła do tragedii. Nie wyobrażaj sobie, że za nią nie zapłaci. Jeśli będę musiał odsiedzieć za Margaret wyrok, nie będę protestował. Mogę wiele znieść. Wyrosłem walcząc o każdą cholerną rzecz. Ona nie poradziłaby sobie. Nie możesz po prostu wepchnąć Margaret do więzienia. Wiesz o tym, Lally.

- Ty i Czarny Jack. - Odwróciła się od niego i utkwiała oczy we mgle unoszącej się nad twtwnikami, zaczynającej spowijać strzyżone żywopłoty, różane kwietniki. Listopadowa mgła, która sprawiała, że dzień wydawał się jeszcze krótszy. Lally czuła, jakby listopad miał zapanować w jej sercu na zawsze. Mgła gęstniała z minuty na minutę i Lally zobaczyła w niej twarz Jona, martwą i bladą. Cieszyli się i śmiali zbyt często. Śmiali się i poznawali rozkosz ponieważ przetrwali masakrę frontu zachodniego. Myśleli, jak to zwykle młodzi, że będą żyć wiecznie. Lally wiedziała, że listopadowy chłód pozostanie w jej sercu na zawsze i że nigdy nie będzie już młoda. Ty i Czarny Jack

- powtórzyła, nie odwracając się. - Będziecie chronić ją przed wszystkim. Na spółkę.

- Tak, Lally. I ty też.

Chciała zaprotestować, ale zacisnęła usta. Jaki sens było mówić cokolwiek? Błada, martwa twarz nie ożyje.

Bunt w jej duszy zdawał się zostać stłumiony na zawsze, kiedy Alice z hukiem otworzyła drzwi biblioteki i padła w ramiona Brocka.

- Och, Brock! Ojciec powiedział mi o Jonie i Bobbym. Brock...?

- Tak, kochanie. Słucham cię. Alice, możesz to zrozumieć? To był wypadek. Okropny wypadek. Jon i Bobby odeszli, skarbie. Nigdy ich już nie zobaczy--my. Ale nadal masz ojca i Lally, i Margaret. No i mnie, Alice. Nadal masz Brocka. Ludzie będą mówić różne złe rzeczy o Brocku, Alice, ale ty musisz wierzyć, że to był wypadek. Nikt nie chciał, żeby stało się coś złego. Wiesz, że czasem nic

310

nie można poradzić na to, co się dzieje. Musisz wierzyć, że stary Brock nie chciał, żeby stało się coś złego:

- Ty nie mógłbyś być zły, Brock. Nigdy! Lally, prawda?

Lally zmusiła się, by odwrócić się i na nich spojrzeć. Ostateczne zobowiązanie musiało zostać teraz złożone.

- To prawda, Alice. Zdarzył się wypadek. Brock nie mógłby specjalnie zrobić nic złego.

*

Margaret stała pośród nich, skostniała i niema, słuchając mszy pogrzebowej swego świętej pamięci męża, Roberta Grenfella, a potem w Pellham Langley, brata Jonathana. Brock wyjechał do Londynu, gdzie czekał na wezwanie na rozprawę.

Tymczasem Margaret i Lally zostały przesłuchane przez policję. Czarny Jack gruntownie przygotował córkę do wygłoszenia jej roli. Lally jednak odmówiła udziału w tych rozmowach. Podczas przesłuchania Margaret odpowiadała na pytania bezbarwnym głosem. Wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle w czarnej sukni i perłach, z zastygłą, tragiczną twarzą.

Te same pytania powtórzono w czasie śledztwa. Margaret wyrecytowała swoje zeznanie mniej więcej tymi samymi słowami. Unikała patrzenia na Brocka i opuściła urząd koronera zaraz po przesłuchaniu. Zapadło orzeczenie o nieumyślnym spowodowaniu śmierci i Brocktonowi Weymouthowi wytoczono proces przed sądem przysięgłych w Leeds. Prawdziwą sensację wywołała wiadomość, że Czarny Jack wystarał się o zwolnienie zabójcy syna za kaucją i za własnym poręczeniem. Na wieść o tym lord Gough obraził się śmiertelnie.

Czekając na rozprawę Brocka, Margaret przeniosła się z Davidem do Pellham Langley. Czarny Jack zapłacił zaległe pensje i zwolnił jej służbę, poza nianią Williams. Spłacił też wszystkie długi córki. Londyński dom został wystawiony na sprzedaż.

- Oddajcie wszystko mojemu teściowi - nalegała Margaret. - Nie chcę żadnych rzeczy. Nigdy naprawdę nie należały do Bobby'ego ani do mnie.

Lord Gough błagał, by została w Neatherby.

- Chcemy, by David dorastał ze świadomością swego dziedzictwa, w posiadłości przodków. Musimy go widywać, Margaret. To nasz jedyny wnuk.

Pokręciła głową.

- Nie mogę zamieszkać w Neatherby sama. David będzie przyjeżdżał do was w odwiedziny.

Przez krótki czas Lally opierała się naleganiom Czarnego Jacka, by także wróciła do Pellham Langley. Ale dni i noce stawały się dla niej zbyt długie, a cisza zbyt dręcząca. Myślała o Jonathanie, samotnym w dziecinnym pokoju w Grangewick, i Davidzie samotnym w Pellham. W końcu złamała się, kiedy przyjechała po nią Edith.

312

- Mam nadzieję zabrać cię ze sobą do domu, Lally. Jack opowiedział mi

0 Margaret. Powiedział o poświęceniu Brocka. Nie jestem taka głupia, żeby nie podejrzewać, że jego relacja mijała się z prawdą. Ale jakie ma szanse prawo wobec człowieka, który utrzymuje, że jest winny? Który potwierdza zarzuty? Zwłaszcza kiedy nie ma nikogo, kto by podważył zeznania takiego straceńca. Wszyscy, Lally, jesteście teraz związani znową krzywoprzysięstwą. To nie jest zwykłe milczenie, to krzywoprzysięstwo. Nikt już nie powie prawdy z obawy, że miałyby to przykre konsekwencje dla pozostałych.

- I co z tym wszystkim wspólnego ma mój przyjazd do Pellham? - Lally znów poczuła narastający gniew. Czaił się w jej sercu cały czas, gniew i poczucie spustoszenia. I obawa, że mogłaby skrzywdzić Margaret, bo pragnęła jąznisz-czyć, tak jak ona zniszczyła Jona. Ale mszcząc się na Margaret, Lally zraniłaby śmiertelnie Czarnego Jacka.

- Wiem, z czym musisz próbować żyć. Jeśli nie pogodzisz się z winą Margaret i z jej słabością w najbliższym czasie, to nigdy ci się to nie uda. I dodatkowo rozedrzesz serce Jacka. On kocha was obie. Wariuje z bólu z powodu Jona.

I z twojego, i Margaret powodu też. Musisz zrobić pierwszy krok. Przebaczyć, Lally. Wróć i zostań z nami w Pellham.

- Nie mogę. Nie mogę patrzeć na nią dzień po dniu.

- Dziecko! - Było to powiedziane głosem markizy, która bezlitośnie ćwiczyła Lally przed prezentacją u dworu, która nigdy nie zaprzestała nalegań, by Lally brała udział w każdym balu, która domagała się, by towarzyszyła w Ascot i Henley swojej pięknej siostrze Margaret, ponieważ tego pragnął Czarny Jack. I te słowa, te dobrze zapamiętanie słowa: „Dobra robota, moje dziecko”, pozostały na zawsze w pamięci młodej kobiety. - Czarny Jack, potrzebuje cię, Lally!

Z rezygnacją skinęła głową.

- Spakuję się i zamkniemy dom. Nic tu nie mam, nic zupełnie, poza Jonathanem. Jak Margaret i ja będziemy wyglądać w oczach świata? Dwie wdowy pocieszające się nawzajem. Kochające córki, pomagające ojcu znieść smutek. Nasze dzieci będą bawić się razem. Doskonały obrazek, prawda? Ludziom powinno się wydawać, że mamy tylko jednego wroga, Brocka. A tymczasem on jest naszym najlepszym przyjacielem.

Odwróciła się do starszej kobiety.

- Edith, pomóż mi! Zrobiłabym wszystko dla ojca. Dla niego muszę spróbować przebaczyć Margaret. To się nie stanie w ciągu tygodni. Może nigdy się nie udać. Ale powinno chociaż wyglądać, jakby się udało.

* *

Margaret czekała na nią samotnie w salonie Pellham Langley. Wstała, gdy Lally weszła, i zrobiła niepewny krok naprzód, a potem zatrzymała się. Złożyła ręce w błagalnym geście.

- Dziękuję, że przyszedłś, Lally.

229

- Przyszłam - odparła Lally beznamiętnie - ponieważ ojciec tego chciał. Muszę spróbować...

Margaret zrobiła jeszcze kilka kroków w jej kierunku.

- Spróbujesz, Lally? Byłabym taka wdzięczna. Ojciec byłby taki wdzięczny... Nie wiem, jak prosić cię o przebaczenie. To zbyt wielka rzecz, by można o nią błagać. Ale gdybyś mogła spróbować...

- Jon był dla mnie wszystkim. Całym moim światem, Margaret. Stracił życie przez twoją głupotę. Mój piękny, mój ukochany Jon. Jak mogę... ?

Zobaczyła łzy spływające po twarzy Margaret. Wtedy zmusiła się do wypowiedzenia słów, na które przybrana siostrą z utęsknieniem czekała.

- Postaram się spróbować. Ponieważ obiecałam.

Pochyliła się i pocałowała Margaret w policzek. Przez chwilę stały blisko siebie, dwie kobiety w czerni, noszące identyczne naszyjniki z pereł, które Czarny Jack ofiarował im w dniu prezentacji u dworu. Gniew trochę ostygł, gorycz stała się mniej dojmująca. Margaret także była częścią dawnego życia. Lally niepewnie wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia.

- Mogę tylko spróbować.

*

* *

Brockton Weymouth nie stanął już przed sądem przysięgłych w Leeds, ponieważ od razu przyznał się do zarzucanego mu czynu. Został skazany na rok więzienia.

- Łajdak powinien wisieć - oświadczył lord Gough lekceważąc werdykt władz.

„Amerykański milioner w więzieniu” - głosiły wszem i wobec gazety. Firma maklerska „Brockton Weymouth & Partners” nadal działała na Wall Street, ale dziennikarze nie potrafili dotrzeć do żadnych partnerów, choć bardzo chcieli usłyszeć ich oświadczenie w tej sprawie.

Sir John Pollock także odmówił wszelkich informacji. Obie jego córki i ich dzieci wróciły do Pellham Langley, by z nim zamieszkać. Chodziły słuchy, że Czarny Jack najał specjalnego strażnika, który miał pilnować terenu i zniechęcać intruzów do nękania mieszkańców Pellham pytaniami.

Kiedy nadszedł pierwszy termin odwiedzin w więzieniu na przedmieściach Hull, to właśnie Lally przyjechała jako reprezentantka rodziny. Rozmawiała z Brockiem przez kraty rozmównicy.

- Cóż, Brock...

- Cóż, Lally. Zrobiliśmy wszystko co trzeba, prawda?

Nawet okropny strój więzienny Brock nosił z pewną nonszalancją. Kiedy Lally zwróciła na to uwagę, roześmiał się.

- Przez lata chodziłem w uniformie naszego sierocińca, Lally. Po prostu, wiem jak to się nosi.

*

315

Odwiedzała go raz w miesiącu, przywożąc dozwolone przez regulamin smakołyki uzupełniające więzienny wikt.

Brock zeszczupełiał trochę i o ile to było możliwe, rysy twarzy jeszcze bardziej mu się wyostrzyły, ale nie narzekał.

- Dobrze mi tu. Spokojne życie, regularne posiłki. Dużo czytam. Mój człowiek w Londynie przysłał mi wszystko, co przepuszcza tutejsza cenzura, a listy od niego są kwintesencją wszystkich ważniejszych artykułów z „Wall Street Journal”. - Ów człowiek z Londynu zajmował resztę przydzielonego czasu wizyt. Wydawał się być pracownikiem Brocka, kimś, kto utrzymywał kontakt z nowojorskim biurem. Lally zaczęło świtać, że Brock z angielskiego więzienia sprawnie sterował swoją firmą w Stanach.

Podczas każdej wizyty wypytywał o Czarnego Jacka i Edith, o Alice i obu chłopców. Zawsze na końcu pytał też o Margaret.

- Cieszę się, że jest tam z tobą - mawiał. Nigdy nie prosił jednak, by go odwiedziła.

- Z pewnością napisaliby, ale...

- Nie chcę, żeby pisała - przerwał prawie opryskliwie. - Nie chcę, by nawet myślała teraz o mnie. Margaret nie może mieć kontaktu z miejscami takimi jak to. Zobaczę się z nią, kiedy będzie na to pora. Jeśli skrócą mi wyrok za dobre sprawowanie, wyjdę stąd nim zacznie się lato.

Miesiące zimowe ustępowały przed spóźnioną w tym roku wiosną. Ogród i wrzosowiska okryły się świeżą zielenią. W sercu Lally panował jednak nadal listopad. Nadchodzącą wiosnę oglądała jakby cudzymi oczami.

Stosunki między Lally a Margaret doznały jedynie lekkiego odprężenia, a i to były raczej pozory przybierane dla uspokojenia Czarnego Jacka. Obie młode kobiety jadły przy tym samym stole, bawiły się ze swoimi synami w pokoju dzieciennym lub w ogrodzie i wciąż dzielił je niewidzialny mur. Lally nie mogła przypomnieć sobie, kiedy ostatnio śmiały się szczerze razem. Ale w ogóle niewiele było teraz śmiechu w Pellham Langley. Gdy przypadkiem znalazły się w pokoju same, cisza stawała się napięta i trudna do zniesienia. Czekały, żeby Alice przerwała milczenie. Ona przynajmniej mogła mówić swobodnie, choć jej paplanina miała niewielką wagę. W odczuciu Lally dni i tygodnie wlokły się niemiłosiernie. Życie wydawało się nie mieć celu. Potrafiło ją jeszcze tylko zaabsorbować obserwowanie postępów Jonathana. Ale niania Dunstable nie dopuszczała Lally do żadnych zajęć w pokoju

dziecinnym. Lally szukała więc rozpaczliwie jakiejś pracy, która zmęczyłaby ją i ułatwiła sen, ale nic takiego nie było możliwe w Pellham. Przyjechała z wizytą Susie Barlow i zmierzyła przyjaciółkę zatroskanym wzrokiem.

- Boże, Lally, wyglądasz okropnie. Bezczynność nie pasuje do ciebie. Gdybym miała cię w Londynie, dałabym ci roboty na dwanaście godzin dziennie.

- Gdybym tylko była z tobą w Londynie! Ale nie mogę zostawić ojca. Właśnie teraz nie mogę. Susie skinęła głową.

Tak, wiem co masz na myśli. Margaret zachowuje się okropnie, prawda? Co ona próbuje zrobić, zapic się na śmierć?

231

Martini zastąpiło teraz przedpołudniową sherry, a Billings musiał uzupełniać zapasy w barku już w porze popołudniowej herbaty.

Ta zima przyniosła w Pellham jeszcze jedną stratę. Któregoś dnia Neli poprosiła Lally o rozmowę. Nieśmiało powiadomiła swojapanią, że przyjęła oświadczyzny kapitana Mortimera Crawforda, służącego dawniej w pułku Królewskich Karabinierów z Somerset.

- Poznałam go, panienko Lally, kiedy przyjeżdżaliśmy do Pellham Langley podczas wojny. Leżał tu przez długi czas. Obie nogi mu amputowano i nie ma żadnej rodziny, która by się nim zajęła. Pisywaliśmy do siebie później. We wrześniu, kiedy dostałam urlop, pojechałam go odwiedzić. Mieszka w pobliżu Yeovil. Zatrzymałam się w miejscowym zajeździe i spędzaliśmy razem całe dni. Chciał, żebym zobaczyła jak to jest, rozumie pani. Ma gospodynię, a pielęgniarka codziennie zagląda, by pomóc. Wie pani, opatrunki i tym podobne. Dom jest ładny, chociaż nieduży. Mortimer przebudował go i teraz nie musi pokonywać schodów. Jest też śliczny ogród, panienko Lally. Próbuje w nim mimo wszystko pracować, niemniej jednak musi mieć pomoc. Skonstruował takie narzędzie na długiej ręczce, którym może wrywać chwasty. Próbuje przyzwyczaić się do używania protez, ale nie bardzo mu to wychodzi. Więc większość czasu spędza na wózku. Najważniejsze, żeby nie upaść. Zawsze będzie potrzebował pomocy. Myślę, że to dlatego mnie poprosił... Cóż, trudno wyobrazić sobie, by dżentelmen chciał poślubić kogoś takiego jak ja, prawda? Lally spojrzała na łagodną twarz. Pamiętała ją od pierwszych dni w Pellham, od zawsze. Ile ta kobieta mogła mieć lat? Pewnie jeszcze nawet nie czterdzieści, ale jej obecność była dla nich tak oczywista, że w ogóle nie zastanawiali się nad Neli jako osobą.

- Neli, zależy ci na nim? Zarumieniła się.

- Lubię go, panienko Lally.

- Na tyle, by spędzić życie, opiekując się nim? Podniosła głowę.

- Takie jest życie, panienko Lally. Będę mężatką. Będę mieć własny dom. Panienska Alice już mnie nie potrzebuje. Służę jej tylko swoim towarzystwem. Nie przeszkadza mi, że muszę się nim opiekować. Widziałam wiele dużo gorszych przypadków, kiedy odwiedzałam go w szpitalu. Nie spodziewałam się, że mnie zechce, ale stało się.

Alice rozpaczliwie płakała, kiedy zrozumiała, że Neli naprawdę odeszła. Chodziła osowiała przez kilka dni, a potem zaczęła spędzać większość czasu w pokoju dzieciennym z chłopcami i ich nianiami.

- Gdzie my w ogóle znajdziemy drugą Neli? - narzekał Czarny Jack. - Nie ma co się dziwić, że ten Crawford starał się ją zdobyć.

Obie nianie odnosiły się tolerancyjnie do Alice, ale skarżyły się Lally, że dziewczyna raczej przeszkadza niż pomaga w pokoju dzieciennym. Czarny Jack zatrudnił więc jako towarzyszkę najmłodszej córki młodą kobietę o pewnym doświadczeniu pielęgniarzkim. Została tylko miesiąc.

232

- Przykro mi, sir Johnie. Po prostu nie mogę znieść panującej tu atmosfery. Ten wielki dom na pustkowiu. I wszyscy są tacy smutni. Obie pańskie córki... ci dwaj chłopcy. A poza tym, pan jest jedynym mężczyzną w promieniu wielu mil. Pańska Alice to urocza dziewczyna. Ale nie może pan ode mnie oczekiwać, że przez cały czas będę się z nią bawić lalkami, prawda?

*

Pod koniec lata, w upalny poranek, Lally czekała w samochodzie przed bramą więzienia. Naczelnik zgodził się uwolnić Brocka o dzień wcześniej, niż było to zapowiedziane, żeby uniknąć ataku dziennikarzy. Lally nie miała pojęcia dlaczego Brock poprosił właśnie ją, by przyjechała, ale też nie potrafiła odgadnąć, czemu to ją prosił o comiesięczne wizyty. Cokolwiek Brock chciał, wykonywano bez szemrania. Tak zarządził Czarny Jack i Lally nie miała powodu przeciwstawiać mu się.

Brock cicho zamknął za sobą małe drzwi w wielkiej bramie więzienia i niedbale rzucił walizkę na tył samochodu.

- Dokąd teraz? - spytała Lally, kiedy powitał ją pocałunkiem w policzek.

- „Queen's Hotel” w Leeds. - To był najnowszy obiekt w mieście. Jak zawsze, Brock wiedział, gdzie najlepiej się zatrzymać.

Lally towarzyszyła Brockowi do apartamentu, który zarezerwowano dla niego na przybrane nazwisko. Pokój wypełniony był kwiatami. Człowiek z Londynu, tajemniczy pracownik Brocka, już tam czekał. Miał na sobie ciemny, prążkowany garnitur i perłowszare rękawiczki leżały na stole. Wyglądał jak typowy dżentelmen z city.

- Miło pana widzieć, panie Weymouth - uklonił się oficjalnie. Nie wyciągnął pierwszej ręki. W stosunku do Brocka wydawał się zajmować pozycję kogoś w rodzaju totumfackiego. Brock przedstawił go Lally jako Samuela Parson-sa. - Mam wszystkie dokumenty, o które pan prosił, panie Weymouth.

Brock już wertował „Financial Times”, przeglądał nagłówki. Potem zadzwonił na kelnera i zamówił śniadanie dla trzech osób - śniadanie, jakiego Lally nie wymarzyłaby sobie nawet w czasach, gdy dręczyła ją obsesja głodu.

Tymczasem Brock ledwie je tknął.

- Zdaje się, że się odzwyczaiłem - powiedział.

W tym czasie lokaj rozpakował dwie walizki, które Samuel Parsons przywiózł z Londynu. Telefonicznie zamówiono też fryzjera i manikiurzystkę.

- Czy mogę zaproponować, sir - odezwał się lokaj - żeby wezwać krawca? Niektóre z tych ubrań, pan wybaczy, wydają się troszkę za obszerne na pana. Ostatnio chyba trochę pan stracił na wadze. - Dla Lally było zupełnie jasne, że służący rozpoznał mężczyznę, którego fotografia w zeszłym roku zajmowała pierwsze strony lokalnych gazet. Nie dojedzone śniadanie odesłano do kuchni. Lally wstała, by się pożegnać. Brock odprowadził ją do windy.

319

- Dziękuję, Lally. Dziękuję za wszystko. Po prostu bardzo chciałem zobaczyć, że czekasz tam na mnie. - Gdy drzwi do windy otworzyły się, raz jeszcze pocałował przyjaciółkę w policzek. - Powiedz Margaret, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze Lally? Będę czekał na jej telefon.

Drzwi windy zamknęły się, lecz Lally ciągle miała przed oczami sardoniczny uśmiech. Brock nie prosił o telefon. To było żądanie.

* *

Pięć dni później Margaret wicehrabina Grenfell wyszła za pana Brocktona Weymoutha w urzędzie stanu cywilnego w Leeds. Przedstawiła akt zgonu męża, a Brock zaświadczenie o rozwodzie. Wszystko odbyło się tak sprawnie i gładko, jakby Brock przewidział i przygotował się na każdą ewentualność. Czarny Jack i Edith złożyli podpisy jako świadkowie. Lally stała tuż obok i, gdy Margaret składała swój podpis, trzymała jej niewielki bukiet fiołków.

Brock, z którego twarzy zniknęły już wszelkie ślady pobytu w więzieniu, w dopasowanym do szczuplejszej figury garniturze, pocałował nowo poślubioną żonę niewiele bardziej namiętnie niż całował Lally przed bramą więzienną.

Po tak długim oczekiwaniu, nie musiał już teraz się spieszyć. Margaret, ubrana na lawendowo, sprawiała wrażenie sztywnej i oszołomionej, jakby odgrywała nakazaną jej rolę. Jej piękna twarz nie wyrażała zadowolenia ani smutku. Malował się na niej sztuczny uśmiech, którym dziękowała za wznoszone na cześć nowożeńców toasty podczas skromnego przyjęcia w „Queen's Hotel”.

- Jadę z tobą do Ameryki, prawda Brock? - spytała Alice.

- Nie tym razem, kochanie. Ale już wkrótce. Margaret i ja musimy najpierw znaleźć odpowiedni dom. I stary Brock musi załatwić kilka ważnych spraw. Przyjedziesz na całe następne lato, Alice. Wyszukamy tam jakąś cudowną plażę specjalnie dla ciebie.

- Więc dlaczego zabierasz Margaret, a nie mnie?

- Ponieważ ja jestem żoną Brocka - odpowiedziała zirytowanym głosem Margaret. - Czy nawet tego nie potrafisz zrozumieć? Nie jesteś przecież aż tak głupia.

- Nie jestem głupia! - krzyknęła Alice. - Ojciec mi powiedział, że nie jestem głupia. Nie wolno ci tego mówić! - Rzeczywiście Czarny Jack zabronił wytykania Alice jej słabego umysłu. - Jesteś okropna, Margaret. Nienawidzę cię. Brock mnie kocha najbardziej.

Z trudem podtrzymywany dobry nastrój rodzinnego przyjęcia rozpląnął się wraz ze łzami Alice.

Tym razem Brock nie zdołał zapłacić personelowi hotelu za milczenie. Fotograf z „Yorkshire Post” czekał już na państwa młodych, gdy wyłonili się z drzwi hotelu i towarzyszył im aż na dworzec. Jego koledzy w Londynie robili zdjęcia Brocka i Margaret z Davidem oraz nianią Williams, wysiadających z pociągu i biorących taksówkę do „Ritza”.

321

Nazajutrz Brock i Margaret znaleźli się na pokładzie „Cunardera”, który, odpływał z Southampton. Młoda para poszła od razu do swego apartamentu, a mały wicehrabia Grenfell z nianią Williams został umieszczony w przyległej kajucie.

Ci, którzy pierwszego wieczoru zasiedli do obiadu w jadalni dla pasażerów podróżujących pierwszą klasą, jednogłośnie stwierdzili, że pani Brocktonowa Weymouth należy z całą pewnością do najpiękniejszych kobiet, jakie zaszczyliły tę salę swą obecnością. Później zauważono, że owa dama dość dużo pije, a tańczy z zapalem i jakąś obłąkańczą radością.

- Nie winię jej za to - stwierdził któryś z mężczyzn. - Słyszałem, że całą rodziną mieszkali gdzieś na wrzosowiskach w Yorkshire w domu przypominającym mauzoleum.

**KSIĘGA
TRZECIA
rok 1925**

Rozdział trzynasty

I

Fale wzburzone jeszcze po nocnej burzy rozbijały się o plażę, prawie za głośzając krzyk mew. Lally najbardziej lubiła patrzeć i słuchać morza właśnie w taką pogodę. Północne wybrzeże Long Island tak spokojne, kiedy żar zdawał się lepić w powietrzu, nie pociągało jej. Tego ranka wiał silny wiatr od strony cieśniny. Woda obmywająca nagie stopy Lally była zimna. Możliwe, że nocna burza zwiastowała zbliżanie się tutejszej jesieni. Młoda kobieta podniosła wyrzucany przez fale kawałek drewna i cisnęła go z powrotem w morze. Jeden z psów, który towarzyszył jej w samotnych przechadzkach, ochoczo pobiegł go odzyskać.

Lally nie oglądała się na dom. Na pamięć znała zarysy jego wieżyczek i iglic, tak jak znała kształty innych domów ustawionych frontem do zatoki. Przyjeżdżali tu każdego lata, odkąd Margaret i Brock pobrali się. Teraz był to już znajomy krajobraz, ale nadal nie czuła się w nim w pełni swobodnie. Było coś nierzeczywistego w ciężkich liniach dachów, tych dziwacznych pałacyków. Niektóre, jak dom Brocka, odważnie schodziły niemal na plażę, inne cofały się w głąb lądu pod osłonę drzew. Trochę przypominały jej Pellham Langley. Dawały bowiem świadectwo nowo zdobytemu bogactwu, były jego namacalnym symbolem.

O właścicielach tych domów mówiono z szacunkiem, ze względu na wielkie pieniądze, a czasem nawet ze zgrozą. Kiedy po raz pierwszy przyjechali na Long Island, ona z Jonathanem, Alice, Czarny Jack i Edith, zamieszkali u Brocka i Margaret w nieco skromniejszym, choć też dużym domu, który jednak oddalony był od plaży i w porównaniu z sąsiadami ledwie wart spojrzenia.

Następnego lata Brock powitał ich na wybrzeżu na Manhattanie i zawiózł prosto do nowego ogromnego, ale mimo to uroczonego domu. Whytecliffe było nieomal kopią francuskiego pałacu, może nie aż królewskiego, lecz z pewnością okazałego i pięknego.

- Jes tylko wynajęty - wyjaśniał Weymouth. Ale Lally wiedziała, że wreszcie znalazł dla Margaret oprawę, na jaką, jego zdaniem, zasługiwała. Oprawę której obiecał. Pollockowie podejrzewali, że historia o wynajmowaniu Whytechffe była równie nieprawdziwa, jak ta o pożyczaniu apartamentów w „Ritzu” i „Płazie”, czy domu w Palm Beach, do którego zresztą Margaret jeździła każdej zimy.

Margaret wzruszała ramionami.

- Czy to ma znaczenie, dopóki możemy z niego korzystać? Nie pytam Bracka o żadną z jego „spółek”. O ile wiem, nie jestem właścicielką ubrań, które mam na sobie. To zresztą nie ma żadnego znaczenia, tak długo, jak nie muszę się z nimi rozstać. Połowa Ameryki żyje na kredyt.

Podróżując do Ameryki po raz pierwszy, czuli się trochę niepewnie. Tego lata Margaret była w ciąży i Brock prawie błagał o ich przyjazd.

- Ona potrzebuje towarzystwa, a nie wolno jej robić rzeczy, na które ma ochotę. Możę wam uda się ją przekonać, żeby się oszczędzała.

- Wszystko to pięknie, Brock - oświadczył Czarny Jack, zaraz po przyjeździe - ale co z moimi wrzosowiskami, co z sezonem polowań?

- Przyjedziemy, ojciec - obiecywała Margaret - jak tylko będziemy mogli Wydasz czasem jakieś przyjęcie, prawda Edith? Zaprosimy wszystkich naszych tutejszych przyjaciół. Jak tylko...-westchnęła. Spiekota tego sierpniowego dnia 1922 roku wydawała się me do zniesienia. - Jak tylko ono się urodzi. To taka nuda. Nie mogę nigdzie iść i waże chyba z tonę. Tracę wszystkie przyjęcia.

Zdaje się, pomyślała Lally, że urodzenie dziecka Bracka traktuje w bardzo podobny sposób, co urodzenie syna Bobby'emu. To był obowiązek, forma spłaty długu za miesiące w więzieniu.

Rodzina Weymoutów różniła się nieco od bogaczy z sąsiednich domów na wybrzeżu Brock mógł dorównać majątkiem starym fortunom. Był jednak traktowany jak poszukiwacz przygód. Jego pieniądze zależały od notowań na Wall Street i sadzono, jak domniemywał Czarny Jack, że mają one dość wątpliwe pochodzenie.

Weymouth lokuje w papierach. - Którejś nocy Lally, siedząc na jednym z wychodzących na wybrzeże tarasów Whytecliffe, podsłuchiwała rozmowę nieznanomych mężczyzn. - Jego majątek może runąć jak domek z kart Pies Bracka otrząsnął się z wody i patrzył ufnie w oczy Lally. Wzięła patyk i raz jeszcze rzuciła, a pies radośnie skoczył w fale, a Lally znowu zatoneła w myślach. Zeszłoroczna wizyta księcia Walii była ukoronowaniem towarzyskich sukcesów Margaret Każda dama w Ameryce pragnęła go gościć, ale rozeszła się wiadomość że Jego Królewska Wysokość napisał specjalnie do pani Weymouth z pytaniem, kiedy mógłby złożyć jej wizytę. Margaret

odpowiedziała, że będzie zachwycona widząc Jego Królewską Wysokość, kiedykolwiek plany jego podróży na to pozwolą.

Historie o tym przyjęciu opowiadano jeszcze długo potem na Long Island Bale na czesc księcia wydano jeszcze w kilku pałacach północnego wybrzeża' ale najbardziej poszukiwane było zaproszenie na „małe przyjęcie” u Margaret
325

Weymouth. Książę przyjechał wczesnym popołudniem. Do obiadu zasiadło zaledwie dwadzieścia osób. Kilku dodatkowych gości zaproszono na tańce wieczorem, ale atmosfera pozostała nieoficjalna. Lally, która nigdy nie zastanawiała się nad osobowością człowieka, mającego zasiąść na tronie Anglii, została oczarowana i podbita. Po pierwszym tańcu z panią domu książę na kilka minut zaprosił na parkiet Alice. Alice, która nie wiedziała i nie potrafiła zrozumieć, kim jest ten obcy pan, odpowiedziała z całym typowym dla siebie wdziękiem/Zawsze była czuła na dobre maniere, zauważyła Lally. Dygnęła, jak kazała jej Margaret, ale potem po prostu cieszyła się tańcem. Margaret była piękna, ale Alice stanowiła połączenie urody i niewinności. Nawet książę mógł przez chwilę poczuć się olśniony.

Opowieść o „małym przyjęciu” Margaret rozeszła się po całym północnym wybrzeżu. Wszystkie wielkie bale zbladły przy nim jako imprezy sztywne i oficjalne. Spotkanie u Weymouthów miało charakter prywatny. Książę nazywał panią domu po imieniu i odprężył się, na co nie mógł sobie gdzie indziej pozwolić. Mała koteria angielska skupiła się wokół niego, zdecydowana nie dopuścić reszty towarzyskiego światka. Wystarczająco dużo osób zostało zaproszonych, by legendy o przyjęciu mogły się rozprzestrzenić. Damy z Long Island, które dotąd ignorowały Brocktona Weymoutha i jego żonę, wszczęły próby, by ich sobie zjednać. Posypały się zaproszenia na prywatne pola golfowe i trasy jeździeckie, prowadzące od jednej posiadłości do drugiej.

- Nie wiem, czy mi się to podoba - powiedział któregoś dnia Czarny Jack do Lally i Edith. - Obawiam się, że to zbyt wysokie progi. Oczywiście, Brock ma pieniądze, ale czy aż taki majątek? Mam wrażenie, że on się zapożycza, by dać Margaret wszystko, co mogłoby ją uszczęśliwić.

Edith, która zawsze osłaniała się parasolem przed palącymi promieniami, trąciła nim teraz żartobliwie męża.

- To, z całą pewnością, jest sprawa Bracka. On jest bardzo sprytny. I sprawia wrażenie bardzo pewnego siebie. Nie wykryłam u niego żadnego śladu nerwów. A majątki robi się obecnie, Jack, właśnie na giełdzie. Tutaj po prostu każda rozmowa sprowadza się do finansów. Nawet bardzo bogaci są zainteresowani w pomnażaniu swego majątku. Konwersacja o pieniądzech nie jest uważana za dowód prostactwa, Jack. - Szerokim gestem objęła stajnie, garaże, pomieszczenia dla służby, basen z kolumnadą w tle, korty tenisowe, wreszcie widok zatoki u ich stóp. - Nawet jeśli

to wszystko jest wynajęte, jak utrzymuje Brock, w tym kraju nie ma to żadnego znaczenia. Możliwe, że twój zięć rzeczywiście prawie nic nie ma w banku.

Czarny Jack powachlował się panamskim kapeluszem.

Pewnie masz rację, Edith. Staję się powolny i stary. Straciłem już zapał do podejmowania ryzyka. - Lally bystro spojrzała na ojca. To nie było do niego podobne, by mówić z rezygnacją o swoim wieku. Skończył wprawdzie sześćdziesiąt lat. Jego włosy i wąsy pobielały, ale brwi nadal miał gęste, zaskakująco czarne. Letnie słońce nadało jego śniadej skórze barwę intensywnego brązu. Czarny Jack wciąż był uderzająco przystojnym mężczyzną.

16 - Obietnice

241

Pies zaszczekał przy jej nogach. Raz jeszcze odwróciła się i rzuciła mu patyk. Tak, miała powód, powiedziała sobie, by przyjeżdżać tu co roku razem z całą rodziną. Przyjeżdżać na wezwanie Margaret. Zdrowa, opalona twarz Czarnego Jacka była tylko jedną z przyczyn. Oczami wyobraźni Lally ujrzała swego syna Jonathana wbiegającego bez strachu do wody, jego skórę ciemniejącą z każdym tygodniem wakacji, rozjaśnione słońcem włosy. Chłopiec gwałtownie wyrósł podczas tych tygodni lata i słońca. Bawił się ze swoim kuzynem Davidem i innymi dziećmi gromadzącymi się na plaży. Uczył się zabaw odmiennych niż te, które poznał w Anglii. W pewnym sensie uczył się nowego języka. Został zaakceptowany przez grupę. Przyłączał się do chaotycznych gier, próbował posługiwać się kijem baseballowym, kiedy ciągnęło go raczej do krykieta. Na kupionym przez Bracka kucyku, objeżdżał piaszczyste szlaki wielkich posiadłości. Lally powtarzała sobie, że przyjeżdża przez wzgląd na Jonathana, ale odwiedzała Margaret, ponieważ chciał tego Czarny Jack. Mógł narzekać z powodu straconego sezonu polowań, ale przyjeżdżał w czerwcu i często przeciągał pobyt poza nienaruszalną datę dwunastego sierpnia, kiedy to huk wystrzałów zaczynał nieść się nad wrzosowiskami. Czarny Jack lubił widzieć swoich wnuków bawiących się razem. - To dobre dla Jonathana - nalegał. - Dopóki nie jest wystarczająco duży, by pójść do szkoły. Towarzystwa ma tutaj więcej niż w Pellham. Jest małym szczęściarzem, dostaje co najlepsze z obu światów.

Dzięki tym wizytom Jonathan uniknął nieśmiałości i egocentryzmu właściwego jedynemu dziecku, chowanemu w wielkim domu wśród samych dorosłych. Co roku witali się z Davidem entuzjastycznie, sprawdzając, ile obaj urosli i czego nowego się nauczyli. Dzielili sąsiadujące pokoje i wszystkie swoje skarby. Czasami rozmawiali o dniu, kiedy razem pójdą do Eton. Obaj zostali tam zapisani już w momencie urodzenia. Na razie jednak, choć często o tym wspominali, nie bardzo umieli sobie wyobrazić szkolne życie. Zgoda Margaret na wyjazd Davida do Eton była ustępstwem na rzecz Goughów i przyszłego dziedzictwa chłopca: tytułu lorda i związanego z tym majątku. David musiał poznać życie w Anglii. Stać się na powrót Anglikiem. Miał spędzać przerwy semestralne z każdym z dziadków po kolei, połowę wakacji w Pellham Langley, połowę w Dent-dale. A latem obydwaj z Jonathanem mieli wracać na Long Island, by zdobywać amerykańskie doświadczenia. Każdy z nich dorastałby w ten sposób po obu stronach Atlantyku.

Może Czarny Jack miał rację. Jonathan i David dostaną to, co mogą zaoferować stary i nowy świat.

Gdy odwróciła się, by kolejny raz rzucić kij napraszającemu się psu, dostrzegła na brzegu postać Margaret. Szła krokiem powolnym i ciężkim. Nosila teraz drugie dziecko Bracka, które miało urodzić się za pięć tygodni. Lally stała spokojnie i czekała. Margaret spieszyła w jej stronę, nie dbając o to, że fala moczy rąbek jej długiej, cieniutkiej sukni.

- Cudowny jest ten chłodny wiatr, prawda? - powiedziała zbliżywszy się. -Sprawia, że czuję się odrobinę energiczniejsza. Wczorajsza burza była wspania

242

ła. Czy widziałaś kiedyś takie błyskawice? Siedziałam przy oknie i nie mogłam oderwać wzroku.

Ciąża dodawała Margaret urody, jaką niektóre kobiety mają szczęście zyskiwać w odmiennym stanie. Dojrzewając staje się coraz piękniejsza, pomyślała niechętnie Lally. Margaret miała teraz dwadzieścia osiem lat. Lally nigdy do końca nie umiała zapanować nad wrażeniem, które wywoływała uroda Margaret. Co roku, ponownie ją widząc, była zaskoczona własną reakcją. Kapryśne wargi stały się trochę pełniejsze, bardziej zmysłowe, jakby ukształtowało je doświadczenie. Włosy zwinięte w węzeł odsłaniały długą szyję i nieco arogancką linię podbródka. Margaret była kobietą swoich czasów. Starła się nigdy nie powracać myślą do wojny. Bawiły ją szybkie samochody, przyjęcia, przemycony gin i jazz. Świetnie pasowała do Ameryki, jej tempa, jej stylu.

Zrównały krok. Lally zwolniła trochę, przystosowując się do Margaret. Prawie zawsze, kiedy Lally zostawała sama z Margaret, czuła się jak oniemiała. Przez wszystkie te lata, które minęły od tamtej nocy, kiedy znaleźli Margaret wpatrzoną we wrak samochodu, Lally nie była w stanie przezwyciężyć swego urazu. Niewidzialna bariera wciąż dzieliła ją od przybranej siostry. Margaret czyniła różne przyjazne kroki i Lally pozornie to akceptowała. Ludziom z zewnątrz mogło się wydawać, że nadal są przyjaciółkami. Ale Lally nie znajdowała już przyjemności we wzajemnych kontaktach. Nigdy nie odzyskała zaufania do Margaret. Wszystkie dobre uczucia należały do przeszłości, do czasów zanim zobaczyła Jona martwego, jego twarz za roztrzaskaną szybą samochodu. Wystarczyło tylko spojrzeć na Margaret, na jej starannie ułożone włosy nad drobną blizną na czole, by wskrzesić tamtą scenę.

- Wszystko - powiedziała Lally, świadoma, że wygłasza banały - wydaje się większe w Ameryce, nawet burza.

Ponieważ wyglądało na to, że żadna z nich nie ma nic więcej do powiedzenia, pochyliła się, zabrała patyk psu i znów cisnęła go w fale.

Spoglądała z ukosa na Margaret, zdając sobie sprawę, że jest przeraźliwie zazdrosna o jej zaokrąglony brzuch i ocięzały krok. Margaret będzie mieć kolejne dziecko. Kolejne dziecko, które Brock będzie kochał i trochę rozpieszczał, tak jak kochał i rozpieszczał samą Margaret. To nie jest w porządku, myślała Lally. Margaret dostała zbyt wiele, kiedy jej, Lally, odebrał los niemal wszystko.

Nie pozwoliła sobie na rozważania, czy Margaret była szczęśliwa w małżeństwie z Brockiem. Margaret zawsze miała wszystko, czego chciała. Jej życie wypełnione było ludźmi, rozrywkami i pogonią za czymś, co nazywała „dobrą zabawą”. Czy ona w ogóle wie, zastanawiała się Lally, czym jest małżeńskie szczęście? To zresztą zdawało

się nie mieć znaczenia. Marzenia Bracka również się spełniły. Poślubił Margaret i wkrótce narodzi mu się drugie dziecko. Mógł zaprezentować światu Margaret wprawie, na którą zasługi wała jej uroda. Czasami Lally myślała, że wyczuwa w Brocku ogrom samozadowolenia. Nie on spowodował wypadek, w którym zginął mąż Margaret, ale natychmiast zorientował się, jak wykorzystać sytuację. Gotowy był pójść do więzienia, aby ją tylko do

329

stać. Stanowiła jego najcenniejszą własność? Została panią jego domu, nosiła kupione przez niego ubrania i biżuterię. Była ozdobą, której pragnął ponad wszystko, szczytem jego spektakularnych osiągnięć. I na zawsze pozostała rozpuszczonym dzieckiem z Pellham Langley.

Lata od tamtej nocy, którą pamiętała zbyt dobrze, wydawały się Lally straszliwie puste, choć były to lata pracowite. Po ślubie Margaret, mieszkała jeszcze przez jakiś czas z Czarnym Jackiem i Edith w Pellham Langley, aż w pełni zdała sobie sprawę z żałowości swej egzystencji. Zdesperowany jej stanem, Czarny Jack nalegał, by odwiedziła Londyn.

- Jedź i zobacz, jak powodzi się Susie. Czas żebyś porzuciła żałobę, Lally. Nie możesz opłakiwać Jona przez całe życie.

- Dlaczego nie? - zapytała. - Kto go zastąpi? Czarny Jack popatrzył na nią ze smutkiem.

- Nie mogę zaproponować ci niczego w zamian. Wiem tylko, że nie wolno ci zachowywać się, jakby twoje życie się skończyło, kiedy ono ledwie się rozpoczęło. Znajdziesz kogoś innego...

Susie pokręciła głową, kiedy Lally powtórzyła jej tę rozmowę.

- Nie tak łatwo. Rozejrzyj się dookoła. Gdzie podzieli się mężczyźni?

To była prawda. Lally zrobiła wszystko, czego oczekiwał od niej Czarny Jack. Zrzuciła żałobę, bywała na podwieczorkach w „Ritzu” ze znajomymi z sezonu debiutanckiego i dziewczynami poznanymi w VAD, chodziła do nich na koktajle, kilkakrotnie sama zaprosiła gości. Ale mężczyzn brakowało. Chwilami zapominała o Jonie i z zazdrością spoglądała na czyjegoś męża. Wyglądało na to, że każdy mężczyzna już był zajęty.

Rozmawiała o tym z Susie, która jej przytaknęła.

- No właśnie. Sama też przestałam szukać. Poruszam się trochę w środowisku projektantów. W większości dziwacy, ale mili. Mili, tyle że nie nadają się na mężów. Ale ty lepiej uważaj, Lally. Masz pieniądze. To może być dla niektórych pokusą.

Lally pomyślała o tych kilku mężczyznach, z którymi się ostatnio zetknęła.

- Po Jonie nie ma dla mnie zbyt wielu pokus.

- Zawsze - przyznała się Susie - trochę bałam się o ciebie i Jona. Wydawaliście się myśleć, że zdobyliście wszystko i tak już zostanie. Całe życie poświęcone jednemu mężczyźnie. To mnie trochę przerażało.

Lally wzruszyła ramionami.

- Tak, byłam pochłonięta jednym mężczyzną. Tak, myślałam, że zdobyłam wiele. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, ale kiedy przyszło, nie spodziewałam się, że się odwróci. Myślałam, że wygrałam na zawsze. - Rozrzuciła

ręce bezradnym gestem. - Co mam zrobić z resztą swojego życia? Mogę wychowywać Jonathana i rozpieszczać go, gdyż jest wszystkim, co mam. A któregoś dnia on dorośnie i także odejdzie.

Susie zapaliła papierosa. Siedziały w pracowni. Biurko Susie zaśmieczone było papierami, szkicami, formularzami zamówień, rachunkami, przepelnionymi popielniczkami.

331

- Jest pewna rzecz, o której od jakiegoś czasu myślę. Możesz przyłączyć się do mnie. Pracy wystarczy, Bóg mi świadkiem. Nie mogę płacić dużo, ale też, ty nie potrzebujesz pieniędzy. Poza tym odziedziczyłaś udziały Jona. Dlaczego się tym nie zajmiesz?

- Co do licha miałabym robić? Nie potrafię projektować. I z całą pewnością nie umiem szyć. Susie wskazała na biurko.

- Uporządkuj to wszystko. Znajdź rynek zbytu. Pomóż mi. Organizuj. Masz kontakty, identyczne jak Margaret. Użyj ich. Reklamuj naszą firmę. Zachowuj się wreszcie jak córka Czarnego Jacka. Poskutkowało.

Lally wynajęła mieszkanie w kamienicy w Knightsbridge. Było zbyt duże jak na jej potrzeby, ale zdecydowała się na nie, ponieważ miało przyjemny widok na Hyde Park. Postanowiła też trochę się rozerwać, wydać kilka przyjęć lub, co wygodniejsze, koktajli. Podczas spotkań towarzyskich można by pokazać kilka sukienek projektu Susie.

Mieszkanie miało służbówkę, ale Lally nie chciała, by ktoś stale kręcił się po domu. Po długim pobycie w Pellham Langley stwierdziła, że delektuje się prywatnością własnego kąta. Sprzątająca codziennie kobieta dbała o jej potrzeby, a kiedy wydawała przyjęcie po prostu wynajmowała dodatkową obsługę.

Aktywne życie umożliwiło Lally przetrwanie zimy po wyjeździe Margaret do Ameryki. Czasami wieczorem bywała tak zmęczona, że sen przychodził bez kłopotów. Ale najczęściej budziła się szybko dręczona przez powtarzający się koszmar. Widziała we śnie Jona roześmianego, pewnego siebie i ich szczęśliwej przyszłości. Budziła się drżąca i samotna, a wybaczenie Margaret wydawało się niemożliwe) I wciąż powracała dawna zhora, sen o ciemnym miejscu, z którego zabrał ją kiedyś Czarny Jack.

W weekendy jeździła do Pellham Langley. Z każdym tygodniem Jonathan stawał się większy, zdobywał nowe umiejętności, poznawał jedno lub dwa słowa. Zawsze oczekiwał jej przyjazdów. Choć usilnie próbowała nad sobą zapanować, Lally nie mogła oprzeć się impulsowi, by nie odwiedzić go z pustymi rękoma. Zawsze była jakaś nowa zabawka, dopóki półki w pokoju dziecięcym nie zostały szczelnie wypełnione.

- Nie popieram tego, pani Pollock - protestowała niania. - Dziecko nie może oczekiwać prezentu za każdym razem, gdy pani przyjeżdża. Stanie się wyrachowany.

Lally nie potrafiła się jednak pohamować. Często przez cały tydzień żyła, oczekując chwili, gdy zobaczy małą twarzyczkę, już teraz boleśnie przypominającą jej Jona. Oczyma wyobraźni widziała rozpalone policzki, wyciągnięte ramiona i słyszała dyszkantowy głosik wołający: Mamusia! Jakież miało znaczenie, jeśli mały także wyciągał rączkę po „niespodziankę”? To była zabawa, w którą wspólnie grali. To nic złego, mówiła sobie.

Po pracy chodziły zwykle z Susie do pobliskiej francuskiej restauracyjki, do „Armanda”.

245

- Nie pamiętam takiego jedzenia z Francji - żartowała Susie. Ale często kończyły wieczór w „Lyons Corner House”.
- Zawsze taki nobliwy lokal - pokpiwały. I rzeczywiście dwie samotne kobiety mogły spokojnie posiedzieć tu przy herbacie. „Lyons Corner” był mieszczański, bezpieczny i bezbarwny. Co tydzień Lally przywoziła wieści z Pellham Langley, zdawała raport z rozwoju Jonathana, opowiadała o jego zręczności, urodzie i uroku. Susie bardziej interesowała się stanem fabryk i kopalń.
- Z dzieckiem wszystko jest w porządku, Lally. Widujesz go wystarczająco często, a nie działacie sobie nawzajem na nerwy ani też nie potykacie się o siebie. Ale twój tata, to jest problem... Jego fabryki ciągle zmniejszają produkcję, prawda? Wzrasta bezrobocie.
- Tak. Ojciec dla większości nie ma pracy. Zdaje się, że nikt nie ma dla nich pracy. Kolejki bezrobotnych przed urzędem zatrudnienia były widomym świadectwem wojennego zadłużenia kraju.
- Mówi się, że Ameryka rozwija się gwałtownie - powiedziała Susie. - A co się u nas stało?
- Spłukaliśmy się, próbując utrzymać się na powierzchni - odpowiedziała Lally. - Szala zasobów finansowych przechyliła się w stronę Ameryki, ponieważ Stany Zjednoczone mogły zaopatrzyć nas w to, czego potrzebowaliśmy, by utrzymać się w ruchu. Na początku wojny mieliśmy kredyty, które z czasem przekształciły się w długi. Myślę, że tak by to wyjaśnił Brock.
- Brzmi to dokładnie jak wykład Bracka - potwierdziła Susie. W zamyśleniu zaciągnęła się papierosem. - Często myślałam o nim i o Margaret. Jakoś nigdy nie wyobrażałam sobie, że taki facet może się zakochać. Ale jeśli on ma jakiś słaby punkt, Margaret go znalazła. Zupełnie przypadkiem, ale znalazła.
- Nadeszła wiosna i wrzosowiska się zazieleniły. Znowu słyhać było skowronki. Jonathan rósł niemal błyskawicznie.
- Jak chwast-powiedział czule Czarny Jack. - Już czas, by znów zobaczył swego kuzyna, Lally. Margaret prosi, żebyśmy przyjechali do nich latem. - Był rok 1922. Margaret zawiadomiła, że jest w ciąży. Planowała przyjechać do Anglii, ale lekarz jej zabronił. Zdaniem Lally to raczej Brock kazał lekarzowi udzielić jej tego zakazu.
- Wszyscy? Nie pomieścimy się - Lally próbowała się jeszcze opierać.
- Myślę, że dom Bracka sprostą temu najazdowi. Margaret nie mieszka w chacie.
- Tak pisze o tym domu Brock.
- Moda. Do dobrego tonu należy mówić o letnim domku na północnym wybrzeżu Long Island. To jak napomykać od niechcienia, że się ma niewielki teren łowiecki w Szkocji, a chodzi o trzydzieści tysięcy akrów. Myślę, że powinniśmy pojechać. Wiesz, jaka jest Margaret w ciąży. Znudzona i nerwowa. Potrzebuje towarzystwa.

W Lally wszystko się zbuntowało. Nie chciała już nigdy więcej łagodzić nudy i zdenerwowania Margaret. Nie chciała patrzeć na ciało, zaokrąglone przez

334

dziecko Bracka, podczas gdy Margaret odebrała jej mężczyznę, którego dziecko powinno zaokrąglać jej, Lally, brzuch.

- Nie mogę jechać - powiedziała. — Mam swoją pracę. To prawdziwa praca, choć niewielka. I nie spędzę całego lata bez Jonathana. Zanim się spostrzegę, wyrosnie i nie będzie mnie poznawał.

- Czy to nie jest odrobinę samolubne? - nalegał cicho Czarny Jack. - Lato w słońcu na plaży zrobiłoby Jonathanowi dobrze. I sama podróż. A poza tym on chciałby znów zobaczyć Davida.

- Bzdury! - odcięła się Lally. - Nie może pamiętać Davida. I jak sobie wyobrażasz, że dwuletnie dziecko zniesie podróż przez ocean? Obiadując przy kapitańskim stole? Czy cierpiąc przez cały czas na chorobę morską?

Wybiegła z domu i samotnie spacerowała po wrzosowiskach wokół Pellham Langley, rozmyślając nad rozwiązaniem tego nowego problemu. Czarny Jack nie złagodzi swego cichego, ale niewątpliwego nacisku. Po śmierci Jona stał się bardzo apodyktyczny wobec pozostałych dzieci. Dwóch wnuków było dla niego oznaką kontynuacji życia. Obecna ciąża Margaret dawała radość i nadzieję na przyszłość. On, Edith i Alice pojedą do Ameryki. Lally wiedziała, że w taki czy inny sposób, ją także do tego skłonią. Wdrapała się na skałę nad wodospadem. Przed nią rozciągała się dolina z wysokimi kominami, dolina mieszcząca mały świat Pellham Langley.

Przypomniała sobie obietnicę, jaką nie proszona złożyła niegdyś Czarnemu Jackowi,

- Czy muszę dochować jej aż w takim zakresie? - Proóbowała uczciwie sobie odpowiedzieć.

Po powrocie do Londynu rozmawiała o tym z Susie.

- Oczywiście, powiedziałam, że nie mogę. To by były dwa miesiące. Kto by poprowadził sklep?

- Myślisz, że stałaś się niezastąpiona? - surowo spytała Susie. Ale mówiąc to, uśmiechała się. - Napijmy się brandy i pomyślmy o tym.

Podano brandy. Przez chwilę czekały, aż ogrzeje się w ich dłoniach. Sam Armand pojawił się, by obsłużyć znakomitych gości.

- Wszystko w porządku, proszę pań? - Miały teraz własny, tylko dla nich zarezerwowany stolik w rogu, skąd mogły mieć widok na salę lub odwrócić się do niej plecami. Były mile widzianymi klientkami, choć nigdy nie towarzyszył im żaden dżentelmen. To naprawdę przyzwicie ze strony Armanda, powiedziała kiedyś Susie.

- Pewnie, że powinnaś jechać. Dobrze to zrobi tobie i dziecku. Spójrz, nabrałaś już tego wyblakłego, londyńskiego wyglądu. Za ciężko ostatnio pracowałaś. - Podniosła rękę. - Nie, nie mów mi, że ja pracowałam równie ciężko. To mój obowiązek. I kocham to. Kilka tygodni twojego odpoczynku nie zaszkodzi firmie. Interes latem jest prawie martwy. Większość szkiców na jesień mam już gotowych. I czas, żebym na trochę wróciła do sklepu. Czas, żebym usłyszała, co klientki mają do powiedzenia o naszych modelach. Jedź, to zrobi dobrze nam obu. Poza tym, co zamierzasz ze sobą zrobić? Nie możesz puścić dziecka samego. Powinien mieć matkę przy sobie. I nie możesz zostawić go zupełnie samego

247

tam, w Yorkshire. Nie bądź cholernie samolubna. - Wtedy Lally zrozumiała, że Czarny Jack rozmawiał już przez telefon z Susie i przymierze przeciw niej zostało zawiązane.

- Pomyślę o tym - powiedziała gniewnie i zakrzuszyła się brandy. Armand nie posiadał się ze zdenerwowania. To naprawdę była jego najlepsza brandy.

W ten oto sposób po raz pierwszy pojechali całą rodziną na Long Island i przyjeżdżali później każdego lata. Byli tam, gdy pierwsze dziecko Brocka urodziło się na miesiąc przed terminem. Raz jeszcze Margaret przeżyła bardzo bolesny poród. Kiedy Brockowi oznajmiono, że jego syn w końcu się urodził, małe, ale zdrowe niemowlę, prawie zignorował tę wiadomość.

- A żona? - dopytywał się. - Czy z moją żoną wszystko w porządku?

- Jest zmęczona, ale wszystko w porządku. Musi odpocząć.

Brock poszedł do niej i wziął ją w ramiona, zanim zechciał obejrzeć dziecko. Lally zdała sobie wówczas sprawę, że nie zazdrościła Margaret drugiego dziecka, tylko troski Brocka. Odepchnęła te myśli od siebie całą siłą woli. Pragnęła przecież tylko miłości Jona. Czy miała teraz zazdrościć każdej kochanej kobiecie? Zmusiła się do pocałowania Margaret w czoło.

- Znów to zrobiłaś. Przestraszyłaś nas wszystkich śmiertelnie. Ale to śliczne dziecko, warte było wysiłku.

Dziecko ochrzczono imionami Daniel John.

- Dan to dobre jankeskie imię - powiedział Brock. -1 jeśli mój syn wyrośnie na chodź trochę podobnego do Czarnego Jacka, to nie mógłbym być bardziej dumny.

Z powodu przedwczesnego porodu i powolnego powrotu do zdrowia Margaret zostali na Long Island kilka tygodni dłużej, niż uprzednio planowali. Lally zaczęła się irytować.

- Muszę wracać. To nie w porządku wobec Susie.

Ale od Susie przyszedł telegram. „Radzę sobie dobrze. Ucałuj ode mnie dzidziusia”. Lally wyobraziła sobie treść depezy, którą Czarny Jack musiał wysłać do Susie, by uzyskać wiadomość takiej treści. W gorące sierpniowe popołudnie odpoczywały z Margaret na ocienionej werandzie wynajętego domu.

- Lally? - głos Margaret był cichy, niepewny. Leżała wyciągnięta na szez-longu i Lally myślała, że zasnęła. Lally spojrzęła na siostrę. - Czy będziesz mogła kiedyś mi wybaczyć?

- Było, minęło, Margaret. Nie mówmy o tym. Nie powinnaś się teraz dreczyć.

Zdumiewające. Łzy stanęły w oczach Margaret. Lally przypisała jej słabości po porodzie. Margaret nie płakała nad innymi.

- Cały czas czuję w tobie gniew. Gniew, który ukryłaś przed ludźmi. Lally, nie nienawidź mnie. Potrzebuję cię.
- Potrzebujesz mnie? Nie, nie potrzebujesz mnie wcale. Masz Brocka i swoje dzieci.
- Potrzebuję ciebie. Chciałabym mieć cię przy sobie przez cały czas. Stałabym się lepsza, gdybyś tu była, Lally. Przy tobie jestem spokojniejsza. Czasem

337

wiesz robię dzikie rzeczy. Szalone rzeczy. A Brock zgadza się na wszystko. Dopóki nie chodzi o innego mężczyznę, pozwala mi mieć cokolwiek zapragnę. Prawie jak ojciec. Ty byłabyś dla mnie twardsza. Lally raptownie odsunęła krzesło i wstała.

- Nie możesz mnie posiadać pośród wszystkich innych rzeczy. Nie chcę być twoją opiekunką do końca życia. - Odeszła w stronę piaskownicy, udając, że nie słyszy rozpaczliwego szlochania Margaret. Słońce uderzyło w jej głowę jak żelazem. Lally czuła się winna i nieszczęśliwa. Było zbyt gorąco. Wyciągnęła ręce do dzieci. - Chodźcie, chłopcy, pójdziemy na spacer na plażę.

Wstali, zabierając kubelki i łopatki. Alice biegła do nich przez trawnik.

- Przyprowdzi ich pani na podwieczorek, pani Pollock? - spytała niania Dunstable. - Jest pani pewna, że nie będę teraz potrzebna?

- Nie, nianiu. Jest zbyt gorąco dla ciebie.

- Myślę, że jest zbyt gorąco dla nas wszystkich. Wolałabym, żeby chłopcy odpoczywali całe popołudnie. I proszę pilnować, by mieli cały czas kapelusze na głowach.

Dogoniła ich zdyszana Alice.

- Ja też mogę iść? - Chwyciła mocno rękę Davida i w podskokach pociągnęła go przez trawnik do prowadzącej na plażę ścieżki między sosnami.

- I proszę pilnować panienki Alice, pani Pollock - powiedziała niania. - Jest taka podniecona, gdy tylko dopuścić ją do dzieci. Któregoś dnia podczas spaceru brzegiem morza, nagle wyrwała mi ich obu z rąk i zaczęła hasać po wodzie. Byli cali mokrzy. Wszyscy. Nie mieli kostiumów kąpielowych ani nic na zmianę. Stała tam i śmiała się, a fale przewalały się wokół nich. Musiałam wejść po kolana w wodę, by ich wyciągnąć. Też przemokłam. Łatwo zapomnieć, pani Pollock, że ona nie jest... cóż, nie jest w pełni odpowiedzialna. Alice oczywiście bardzo chłopców kocha. Czasami myślę, że ona tęskni za własnym dzieckiem. Biedna owieczka, nigdy go nie będzie miała.

Lally szła brzegiem z dwójką chłopców i Alice, a błaganie Margaret powracało do niej z każdym uderzeniem fal o piasek. Margaret prosiła ją o wybaczenie, ale to nie tak łatwo. Mogła tylko próbować ze względu na Czarnego Jacka.

Patrzyła na roześmianych chłopców, trzymających Alice za ręce, widziała uszczęśliwioną twarz młodszej siostry i wiedziała jak uradowany będzie ojciec, gdy Alice opowie mu o przyjemnościach spaceru, nazwie tych, których spotkali na plaży, pokaże muszle, które znaleźli. Czarny Jack miał rację. To byłoby samolubne trzymać te dzieci z dala od siebie, odmówić Alice radosnego doświadczenia zabawy z obydwoma siostrzeńcami, poznania nowego dzidziusia. Byłoby samolubne odmawiać Czarnemu Jackowi pociechy płynącej z pojednania jej i Margaret. Nie mogła wątpić, że brakowało mu Jona, ale ojciec doświadczył łaski przebaczenia Margaret, podczas gdy ona mogła tylko udawać.

Zawrócili, gdy cienie zaczęły się wydłużać, a w powietrze przeniknął lekki chłód. W wielkim domu, który Brock nazywał domkiem, włączono światła. Niemowlę zabrano już do pokoju dzieciennego, a niania Dunstable czekała na chłop-

ców z kolacją i kąpielą. Czarny Jack i Edith siedzieli z Margaret na werandzie. Służący wniósł tacę z drinkami. Na widok Lally i całej gromadki Czarny Jack poderwał się z miejsca i wyszedł im naprzeciw. Przygarnął obu chłopców i po kolei podniósł każdego wysoko w górę.

- Sir John - dobiegł ich głos niani - nie powinien ich pan rozbawiać, kiedy muszą się uspokoić przed kolacją i kąpielą. Tak, byłoby samolubne odmówić im tego, czego wszyscy pragnęli, podsumowała w myśli Lally. Pochyliła się więc nad Margaret, która na jej widok wyprostowała się i usiadła. Lally pocałowała ją delikatnie w czoło.

- Mam nadzieję, że się troszkę zdrzemnęłaś, kiedy nas nie było. - Czarny Jack uśmiechnął się, a Margaret odwróciła do niej promienną twarz.

- Nie... ale jestem pewna, że będę spać dziś w nocy. Ojczy, dasz mi drinka? Dobre, wytrawne martini. Czarny Jack mieszał drinki dla nich wszystkich. Siedzieli w ciemniejącym zmierzchu, dopóki światła samochodu Bracka nie błysnęły między drzewami. Był to znak dla Czarnego Jacka, by przygotować jeszcze jednego drinka. Brock najpierw pocałował na powitanie żonę, a potem przyjął chłodną szklanekę z ręki teścia.

Jest hojnym i gościnnym gospodarzem, myślała Lally. Wiedziała, że Brock wydawał nie kończące się przyjęcia, ponieważ Margaret kochała być wśród ludzi, tańczyć, rozmawiać. Cieszył się, kiedy dobrze się bawiła, ale widać było, że najbardziej lubi chwile, gdy Margaret była cicha i w spokojny sposób zadowolona. Ciemność zapadała równomiernie. Brzęczały cykady. Czas pójść na górę i przebrać się do kolacji. Odwracając się, Lally poczuła na sobie wzrok Bracka, baczny, prawie pytający. Czy on także czekał na jej ostateczny gest przebaczenia wobec Margaret? Wstała szybko.

- Zajrzę tylko do chłopców. Zobaczę, czy wszystko... Brock także się podniósł.

- Pójdę z tobą, Lally; Muszę uściskać chłopaków na dobranoc. I mojego nowego maluszka, jeśli niania mi pozwoli. Wchodził po szerokich schodach, nadal trzymając szklanekę z drinkiem. Dotarli na piętro, gdzie mieściły się pokoje dzieci. Ręka Bracka dotknęła lekko dłoni Lally.

- Dziękuję, że spędziłaś u nas lato, Lally. To wiele dla mnie znaczy. Margaret jest szczęśliwa, mając cię tutaj. - Nagle odwrócił ją twarzą do siebie. - Nie musisz mi mówić, że nie było ci łatwo osłaniać Margaret. Jesteś dla mnie bardzo ważna, Lally. - Jego uścisk się rozluźnił. - Spróbuj przyjechać za rok, dobrze? Nawet, jeśli miałyby to być tylko po to, by sprawić mi przyjemność.

Wyjeżdżali następnego dnia. W pokojach stały zapakowane kufry. Lato się skończyło, pomyślała Lally. Znowu będzie wolna.

- Zrobiłabym prawie wszystko, by sprawić ci przyjemność, Brock - powiedziała. - Ale nie wiem, czy będę mogła poświęcić wszystkie wakacje do końca moich dni. Także prowadzę interes.

Skinął głową.

- Wiem. Ty i ja zawsze będziemy pracować, prawda? Ale trochę odpoczynku i zabawy nie może zaszkodzić.

250

- Podejrzewam, że podchodzę do życia zbyt poważnie - odparła. - Nie bardzo chyba umiem się bawić. Nie w sposób ogólnie przyjęty. - Przypomniało jej się, że nie zobaczy Bracka przez długi czas. - Ty... Ty także jesteś dla mnie bardzo ważny, Brock - dodała, bo nagle powiedzenie tego wydało się jej bardzo istotne.

Nagrodził ją uśmiechem. Byli już przy drzwiach dziecinnego pokoju. Brock skierował się prosto do dużej łazienki, gdzie obaj chłopcy brali razem kąpiel. Przez następne piętnaście minut z zapalem bawił się z nimi łódkami, pomagał im się wytrzeć, wciągał na nich piżamy.

- Słuchajcie, panowie - oświadczył w końcu. - Będziecie musieli nauczyć się robić to sami. Niedługo już będziecie mieli we mnie lokaja.

David uznał, że to bardzo śmieszne. Nie rozumiał, kim jest lokaj, ale lubił, gdy Brock się z nim droczył. Podobało mu się, że Brock nie poszedł od razu do nowego dziecka. Dla Davida bowiem stał się ojcem, którego chłopczyk nie mógł pamiętać, Brock zabrał dzieci do umeblowanego z prostotą białego pokoju, który służył im za sypialnię. Okno wychodziło na cieśninę. Na wodzie poruszały się światła zakotwiczonych jachtów. Po drugiej stronie zatoki błyszczały okna domu, w którym najwyraźniej odbywało się właśnie przyjęcie. Z lekką nocną bryzą dobiegły ich niepewne, nikłe dźwięki saksofonu. Brock nagle zaczął się śpieszyć i oddał chłopców w ręce niani. Na krótko wszedł do pokoju, gdzie w kołysce spał jego maleńki syn. Lally rozumiała nagły pośpiech przyjaciela. Nadchodziła pora, kiedy Margaret stawiała się nerwowa. Zapewne usłyszy odległe dźwięki saksofonu w letnią noc. Jej wciąż jeszcze słabe ciało może zapragnąć tańca. Brock musiał być przy niej.

Lally patrzyła, jak odchodzi. Była zadowolona, że jutro odpływają. Czasem czuła się zakłopotana będąc świadkiem intensywności uczuć Bracka, Znała bowiem dobrze nienasyconą żądzę ruchu, towarzystwa, muzyki i alkoholu, którą odznaczała się Margaret. Tak jakby kręciła się i kręciła bez końca, szukając zatracenia, próbując zapomnieć wrześnieją deszczową noc w Neatherby.

To pierwsze lato stworzyło wzór na przyszłość. Alice niecierpliwie wyczekiwała corocznego wyjazdu. Kiedy tylko śnieg tajał na wrzosowiskach Yorkshire, zaczynała mówić o wybrzeżu, plaży, słońcu. Rozprawiała o przejażdżkach motorówką Brocka zakotwiconą w cieśninie, o radosnym pływaniu maleńką należąca do Margaret żaglówką, której

Brock bał się i nienawidził i zakazałby jej używania, gdyby wierzył, że żona go posłucha. Dla Alice kłótnie o żaglówkę były niesłychanie zabawne.

- Choć, kochanie - namawiała Margaret. - Pokażemy staremu Brockowi, jak łatwo możemy nią kierować.

Z tarasu Whytecliffe Brock obserwował przez lornetkę, jak płyną, beztrosko prześlizgując się przed dziobami wielkich jachtów. Margaret zazwyczaj znała ich właścicieli i radośnie do nich machała. Kiedyś, siedząc na tarasie, kiedy Margaret żeglowała samotnie, Lally usłyszała jak Brock wymamrotał:

- Mała nędznica. Sposób, w jaki do nich macha jest zupełnie jednoznaczny. Oczywiście, oni uważają ją za szaloną. I zachwycającą. Tak samo jest, kie-

341

dy poluje. Zawsze na czele. Wszyscy wiedzą, w jakich okolicznościach zginęła jej matka. Czasem podejrzewam, że liczą, iż to samo przydarzy się Margaret. - Zrobił wściekły gest ręką. - Wracaj, głuptasie - krzyknął, choć Margaret nie mogła go usłyszeć. Patrzył potem w milczeniu, jak mała łódka wypływała ku środkowi cieśniny. Dopiero, kiedy w końcu zawróciła i żywa czerwien żagla zabłysła jaskrawą plamą pośród nobliwie prezentujących się jachtów sąsiadów, Brock opuścił lornetkę. - Przysięgam, że któreś nocy przedziurawię i zatopię tę łódź. Margaret robi to, by mnie dręczyć. Wie, że pocę się ze strachu przez cały czas.

- Dlaczego nie popłyniesz z nią?

- Nie zaprosi mnie. A ja nie chcę się ośmieszać, Lally. Stateczny Brock siwiejący ze strachu o swoją kapryśną, rozbrykaną żonę. Tak mówią, Lally. Twierdzą, że jestem dla niej za stary. Że nie jestem wystarczająco dobry. Taki nikt ze zmysłem do robienia pieniędzy i wycuciem wartości rzeczy. Zastanawiają się, co dzieje się z chłodnym człowiekiem interesu, kiedy patrzy na swoją żonę. Mówią, że przez nią głupieję. I mają rację.

- O nie, ty nie jesteś głupcem - zimno przerwała mu Lally. - Dostarczasz jej rozrywek i dokładnie wiesz, co robisz. A gdy ona jest przestraszona, dostrzec to może właściwie chłodny człowiek interesu. Miałam okazję już to widzieć. Ona jest jak dziecko, dokucza ci, by zobaczyć, na ile jej pozwolisz. I cały czas chce wiedzieć, że zapewnisz jej pokój dziecinny, bezpieczny i spokojny, w którym może się schować, gdy zmęczy się zabawą. Odwrócił się do niej.

- Mówisz, jakbym był jej niańką. Do diabła, jestem jej mężem! Odszedł, rozmyślnie ignorując zbliżającą się do mola żaglówkę. Nie zbiegł po schodach, by pomóc Margaret zwinąć żagiel, co zwykle robił. Wszedł po stopniach niższego tarasu i zniknął w domu. Mały, czerwony żagiel przemykał radośnie pomiędzy większymi łodziami poruszającymi się na kotwicach. Margaret rozwinęła niemałe umiejętności w obsłudze swej żaglówki i uwielbiała to pokazywać. Zrezygnowana Lally zaczęła schodzić na nabrzeże. Wiedziała, że pani Weymouth nie potrafi porządnie bez pomocy wszystkiego poskładać. Alice zbiegła za nią po szerokich schodach.

- Margaret popłynęła beze mnie. A obiecała. I Brock jest zły. Co zrobiła Margaret, że Brock jest na mnie zły?

Lally wzięła siostrę za rękę i czekała aż zuchwała żaglóweczka dobije do przystani.

- Nic, Alice. Nic nie zrobiła. Brock po prostu nie mógłby być na ciebie zły. Alice niepewnie spojrzała w stronę otwartych drzwi, za którymi zniknął uwielbiany przyjaciel.

- Czasami nie lubię Margaret - oświadczyła. - Czasami ona śmieje się ze mnie. I czasami śmieje się z Brocka. Nikt nie powinien śmiać się z Bracka. Po ojcu kocham go najbardziej na świecie.

Lally poczuła się niepewnie, zastanawiając się, jakie myśli krążyły po słabej głowie Alice.

343

- Kiedy ludzie są małżeństwem - próbowała wyjaśniać - czasami wydaje się, że kłócą się ze sobą. Ale tak naprawdę tego nie robią. Margaret tylko lubi drażnić się z Brockiem. To dlatego, że go kocha i to jest taka gra. I ona nigdy nie wyśmiewałaby się z ciebie, Alice. Margaret by tego nie zrobiła. Ona cię kocha. Chodź teraz ze mną, kochanie. Zejdźmy i pomóżmy Margaret uporać się z żaglami.

- Nie - Alice cofnęła się. - Nie pójdę. Nie chcę dziś pomagać Margaret w czymkolwiek.

Każdego roku, poza latem, kiedy urodził się Dan, Margaret składała wizytę w Dentdale, a następnie z ulgą przenosiła się do Pellham Langley. Później udawała się do Londynu, gdzie Brock nadal utrzymywał w „Ritzu” własny apartament. Podczas gdy niania Williams z zapalem nabywała rzeczy, które powinien posiadać każdy zadbany angielski chłopiec, Margaret wydawała serię lunchów, koktajli i przyjęć, biegała po teatrach i nocnych klubach. Dawne londyńskie kontakty zostawały odnowione i znajomi, którzy właśnie wrócili z polowań w Szkocji, szczerze cieszyli się na widok pani Weymouth. Jej fotografie zamieszczano w gazetach i pisano o niej nawet w „Tatlerze”. Wymagała obecności Lally na wszystkich spotkaniach towarzyskich i usiłowała przedstawić przybraną siostrę kilku znajomym mężczyznom. Lally zdawała sobie sprawę, że poczucie winy Margaret zmniejszyłoby się o połowę, gdyby wdowa po Jonie ponownie wyszła za mąż. Lally stwierdziła jednak, że nie potrafi zakochać się, by pomóc Margaret.

Któregoś dnia Margaret zaproponowała wycieczkę do Deauville. Lally nie była do tego pomysłu przekonana.

- Wydaje mi się, że nie powinnaś znowu grać.

- Och na Boga, Lally, nie nudź. Brock ma mnóstwo pieniędzy na hazard. I nie przegram tak wiele. To nie to, co było z pensją biednego Taylora... - przerwała. - Do cholery, czy nigdy nie uwolnię się od tamtej nocy? Jeśli tylko... Lally! Nie odchodź! W porządku, zapomnijmy o Deauville. Możesz napisać Brockowi, jaki masz na mnie dobry wpływ. Dobrze, pójdźmy pooglądać jakieś ciuchy. Zabierzemy najpierw Susie na lunch, a potem razem obejdziemy salony mody. Mogłaby się dokładnie przyjrzeć... Och, tak. Zróbmy to. Nie musimy przecież nic tam kupować.

Susie pojawiła się na lunchu w „Ritzu” w sukience, która sprawiała, że prawie każda kobieta na sali wydawała się mieć na sobie za dużo ubrań. Z zuchwałą miną rozejrzała się wokół rozbawiona.

- Niektórzy wspaniali architekci mówią, że „im mniej tym więcej”. Moim zdaniem, to dobry pomysł. Tak - zwróciła się do kelnera - poproszę wytrawne martini.

- Susie, wyglądasz cudownie - szczerze zachwyciła się Margaret. – **i** dowodujesz cudów. Wiem o tym nie tylko od Lally. Ojciec też tak twierdzi, a on nie z tych, co bez powodu chwala. Ojciec chyba myślał, że to był jakiś żart, kiedy Jon i ja poparliśmy twój pomysł. Teraz chwali mnie, że przynajmniej raz wykazałam cię przedsiębiorczości. Nie mam odwagi mu wyjaśnić, że było to nud-

253

ne, deszczowe popołudnie i wszyscy potrzebowaliśmy czegoś, co by nas rozbudziło.

- Ja nie zapomniałam. Jestem ci wdzięczna, Margaret. — Susie powoli popijała swoje martini. Skinęła z zadowoleniem głową. - Nieczęsto robimy sobie przerwę na lunch, prawda, Lally? To miła odmiana.

- Obie zbyt ciężko pracujecie. - Twarz Margaret nagle się rozjaśniła. - Mam pomysł! Pojedziemy do Paryża. Przejdziemy się po domach mody. Brock by to poparł. Możemy przyjrzeć się nowym fasonom i trochę się zabawić. A Susie wróci z głową przepelnioną świeżymi pomysłami.

- Cóż... - zawahała się Susie. - Może to dobry pomysł. Znam tylko to, co jest prezentowane w żurnalach. Chciałabym móc zobaczyć tkaniny i pomyśleć, czym je zastąpić, by kosztowały dziesięć razy mniej, a nie wyglądały na tanie. Marzę o tym, żeby zobaczyć kolekcję Chanel. Ona projektuje takie fasony, jakie chciałabym widzieć na wszystkich kobietach.

- Wiesz, Susie - powiedziała Margaret - chciałabym, żebyś przedarła się do wielkiego świata. Myślę... o salonie w Mayfair. Wiem, że dałabyś radę. Ojciec i Brock poparli by cię. To nie byłaby tak mała sumka jak ta, którą zainwestowaliśmy z Jonem. Jestem pewna, że oni obaj na to pójda. Masz w sobie tę samą pasję co Brock. Susie zacisnęła usta i łobuzersko mrugnęła.

- Idee Brocka są na dużo większą skalę, ale podejrzewam, że śnimy te same sny. - Podniosła swoją szklanekę. - Cóż, drogie panie, więc jedziemy do Paryża...? Tak, chętnie spędzę tam kilka dni, kradnąc najlepsze pomysły.

W Paryżu Susie przesiadywała w salonach *haute couture*. Margaret również obejrzała wiele modeli, a kilka nawet kupiła. Przymiarki robione były w pośpiechu, ponieważ pani Weymouth musiała wracać do Ameryki. *Directrice* wznosiła ręce do nieba, wykrzykując, że eleganckie ubrania nie mogą być wykańczane w pośpiechu. Margaret jednak dopięła swego.

Wszystkie trzy kupiły też sobie po prezencie u Chanel. Gdy wróciły do hotelu, Susie przypadła do nowych strojów, by szczegółowo je przebadać.

- Widzicie - mówiła prawie rozpaczliwie - jak ktokolwiek może z tym konkurować? Spójrzcie, każdy centymetr ma porządną podszewkę, więc całość trzyma kształt. Każdy szef jest obrzucony. Nie rozejdzie się przez milion lat.

- Ale my nie robimy ubrań, które mają przetrwać milion lat - pocieszała ją Lally. - Chodzi nam o znacznie krótszy okres. I o uszczęśliwienie kilku tysięcy kobiet. To nie najgorszy plan.

- Zamierzam - oświadczyła Margaret - poważnie porozmawiać o tym wszystkim z Brockiem. Jestem pewna, że mógłby sporo w ciebie zainwestować, Susie. Dużo więcej pieniędzy, niż my mieliśmy, Jon i ja. To pozwoli ci otworzyć pracownię, jakich potrzebujesz, i zatrudnić sprzedawców. Lally mogłaby tego dopilnować.

Susie popatrzyła niepewnie.

- Już teraz jesteśmy bliskie załamania. Wiesz, kłopoty ze spłacaniem pożyczek. Nie jestem pewna, czy dam radę wziąć się za coś większego. A jeśli wszystko stracę?

346

Ale nagle Lally poczuła się pewna. Nie pozwoli Susie dłużej się wahać.

- Wóz albo przewóz, myślę, że Brock wszedłby w ten interes z tobą. I porozmawiam z ojcem. Zmiany muszą być przeprowadzone sensownie. Po pierwsze, myślę, że trzeba zamknąć sklep dla osób, które tylko chcą się pogapić. Nie możemy poświęcać czasu kobietom wpadającym do nas na moment. Będziemy potrzebowały wszystkich manekinów, by wyczerpująco zaprezentować kolekcję naszym klientkom. I nie traćmy nadziei, że dostaniemy ogromne zamówienia.

- Dokąd zmierza mój śliczny sklepik - jęczała Susie. - Mając go, czułam się tak bezpiecznie. Nie za duży, ale wystarczająco elegancki. - Spoglądała to na Lally, to na Margaret. - Chciałam, by pozostał kameralny i cichy. Chciałam odnieść tylko mały sukces.

- Brock nie jest zainteresowany małymi sukcesami, Susie. Jeśli chcesz zyskać jego poparcie, będziesz musiała się rozwinąć.

Susie pozwoliła, by ubranie wysunęło się jej z rąk.

- Przekonałyście mnie. Ale mówię wam, trzęsę się ze strachu, a jednocześnie mam ochotę zaryzykować. Chanel niezamożnej kobiety! Tym właśnie naprawdę chciałabym być.

- W takim razie - powiedziała Lally - jak najszybciej wracajmy do Londynu. Margaret, ty w czwartek wieczorem wypływasz do Nowego Jorku. Trzeba odebrać twego syna z Dentdale i odstawić cię mężowi.

- Lally, czy nie...

Lally przerwała jej w pół słowa.

- Powiedziałaś Susie, że musi przeprowadzić zmiany na wielką skalę. Więc będzie potrzebować pomocy. To znaczy mnie. - Potrząsnęła głową. - Margaret, nie mogę jechać z tobą.

- Zdaj ę sobie sprawę, że to nie moj a sprawa, Margaret - odezwała się cicho Susie - ale nie wydaje ci się, że już czas, żebyś zwróciła Lally wolność? Żebyś, jakby to powiedzieć, stanęła na własnych nogach?

Cień paniki przebiegł po twarzy Margaret.

- Nie wiem, jak miałabym zwrócić Lally wolność. Czasami Lally była wszystkim, co miałam. - Margaret pochyliła się i zaczęła składać sukienkę, którą Susie upuściła na sofę. - Ty tego nie zrozumiesz, Susie. Lally zawsze...

- Jedwabna sukienka ześlizgnęła się z sofy na podłogę. Margaret odwróciła się i wybiegła do swojej sypialni.

Zdezorientowana Susie popatrzyła na Lally.

- Co u licha...?

Lally ostrożnie podniosła sukienkę. Jej głos był rozmyślnie spokojny, choć ręce trochę się trzęsły.

- Naprawdę tego nie zrozumiesz, Susie. Niezależnie jak bliska jesteś nam obu. To zaczęło się dawno temu.

Tak, dawno temu. Noce w pokoju dzieciennym w Pellham Langley, gorące popołudnia we Włoszech, wspólny sezon londyński, strach o tych samych ludzi podczas wojny. Punktem kulminacyjnym była ta deszczowa noc w Neath-

255

erby. Teraz Lally szła z Margaret plażą w Whytecliffe. Drugie dziecko Bracka wkrótce się urodzi. Wszyscy zjechali tu, jak przed narodzinami Dana, który teraz miał już trzy latka. David i Jonathan mieli po pięć i pół roku. We wrześniu poprzedniego roku David zaczął uczęszczać do małej prywatnej szkoły na północnym wybrzeżu, a w tym samym czasie młody nauczyciel, Mark Shaw, został wychowawcą Jonathana w Pellham Langley. Lally gwałtownie opierała się przeciw pomysłowi zatrudniania dla Jonathana prywatnego nauczyciela.

- Co złego - pytała Czarnego Jacka - jest w wiejskiej szkole w Pellham?

- To czysta i szlachetna idea, moja kochana, ale nie jesteśmy jeszcze czystym i szlachetnym społeczeństwem. Wiesz do jakiej sfery należy Jonathan. Nie jest to środowisko chłopców z wiejskiej szkoły.

Lally towarzyszyła więc Czarnemu Jackowi przy rozmowach ze wszystkimi kandydatami, którzy odpowiedzieli na ogłoszenie i w końcu wybrała człowieka, którego Czarny Jack nie w pełni zaaprobował.

- Wolałbym dla Jonathana jakąś weselszą osobę. Będą musieli wiele czasu spędzać razem. Naprawdę nie możesz dawać facetowi pracy tylko dlatego, że ci go szkoda.

Lally wybrała Marka Shawa ponieważ wyczuła, że bardzo potrzebuje pracy. Przez pewien czas uczył w szkole powszechnej, ale musiał zrezygnować z posady, gdyż astma, pamiątka po niemieckim iperycie, nie pozwalała mu uczestniczyć w wyczerpującym życiu szkoły.

- Ma doskonałe kwalifikacje. - Ponownie odczytała życiorys Shawa. - Zbyt dobre, by jedynie uczyć małego chłopca. Miejmy nadzieję, że wyjdzie to Jonathanowi na korzyść. A tutejsze powietrze dobrze biedakowi robi. Ostatecznie, nie mogłeś się spodziewać, że zamknie się tu z nami na odludziu jakiś krzepki osiłek.

Niania Dunstable niechętnie oddała Jonathana w ręce Marka Shawa.

- Wolałabym widzieć na tym miejscu bardziej towarzyskiego człowieka. Ale pani Pollock ma takie miękkie serce - powiedziała do Czarnego Jacka. Natychmiast też postanowiła objąć posadę u innej rodziny. - Oczywiście, jestem staromodnym typem niani. Mówią, że w dzisiejszych czasach jesteśmy wymierającym gatunkiem.

Na Long Island niania Williams zwracała się żałośnie Lally, która przyjechała do Whytecliffe kilka tygodni później niż pozostali.

- Tęsknię za panią Dunstable, pani Pollock. Sądzę, że pan Shaw jest przyzwoitym człowiekiem, choć jak na mój gust nieco zbyt markotnym. Przez cały rok oczekiwałam przyjazdu niani Dunstable. Rozmawiałyśmy o dawnych czasach. .. - Mimo wszelkich nostalgicznych wspomnień z Anglii, Lally wiedziała, że niania Williams doskonale zadomowiła się w Ameryce, cieszyła się teraz większymi wygodami i wyższą pensją niż dawniej. Z powodu trzyletniego Dana i

kolejnego dziecka, które miało się lada moment narodzić, oczekiwała kolejnych lat zatrudnienia u Weymouthów. Kiedyś powiedziała coś dziwnego pani Dunstable, co niania natychmiast powtórzyła Lally,

256

- Pani Weymouth - zwierzyła się niania Williams - ona zatrzyma mnie nawet, kiedy dzieci dorosną. Z braku panny Lally, opiera się na mnie. Jestem, dla niej niezbędnym elementem domu. Wiem, że pan Weymouth nie lubi zostawiać jej samej. Oczywiście, nigdy tego nie komentuję. Po prostu siedzę, robiąc na drutach lub pilnując panicza Daniela i jego kolegów, a ona leży na szezlongu i albo coś mówi, albo milczy zależnie od nastroju. Nie mogę jej nie lubić. Czasami myślę, że ona wciąż jest małą dziewczynką. Czasami też okropnie przypomina mi panienkę Alice, chociaż są tylko siostrami przyrodnimi. Niezupełnie odpowiedzialna, jeśli pani wie, co mam na myśli. Pan Weymouth oczekuje żebym jej... strzegła. Jakbym także była jej nianią.

Dla Bracka miała tylko słowa pochwały.

- Jest wspaniałym ojcem dla lorda Grenfella i panicza Daniela i takim dobrym mężem dla pani Weymouth - mówiła otwarcie do Lally. - Dla mnie jest także bardzo życzliwy, pani Pollock. Wziął nawet moje drobne oszczędności i zainwestował je dla mnie na giełdzie. Osobiście o nie dba. To moje port... - portfolio, jak on to nazywa.

Niania Williams stropiła się trochę na widok zaskoczenia na twarzy Lally.

- A dlaczego by nie, pani Pollock? W Ameryce każdy się bogaci, prawda? Nawet tacy nic nie znaczący mali ludzie jak ja. Proszę zauważyć, że pan Weymouth nie chciał wziąć i zainwestować moich oszczędności. Chciał, żebym zaciągnęła u niego pożyczkę, a oszczędności zostawiła na wszelki wypadek. Ale ja nalegałam. Więc ulokował je w najbezpieczniejszych akcjach. Dał mi ich listę, a ja sprawdzam ją codziennie w „Wall Street Journal”. Cały czas rosną. Niektórzy robią złośliwe uwagi na temat sposobu, w jaki pan Weymouth zdobył pieniądze. Ale ja twierdzę, że gdyby było w tym coś złego, pan Weymouth nie zajmowałby takiej pozycji, jaką zajmuje. Dla mnie jest prawdziwym dżentelmenem.

Zanim Lally dotarła tego roku na Long Island, Mark Shaw zdążył się tu już trochę zadomowić. Zrzucił ciężki tweedowy garnitur, który nosił w Yorkshire i nabył kilka lekkich ubrań. Nosił je jednak z pewnym skrepowaniem i podejrzliwością, jakby nie ufał, że upał przetrwa kolejny dzień. Ale jego blada twarz opaliła się nieco. Okazało się też, że nauczyciel Jonathana lubi pływać. Wygląda na wypoczętego, pomyślała Lally, choć Mark Shaw nadal zwykle milczał w czasie rodzinnych spotkań. Był jedyną osobą w domu, która czuła się zakłopotana z powodu Alice. Nie wiedział dokładnie, jak się w jej towarzystwie zachowywać. Był niezmiennie uprzejmy, ale powściągliwy. Nie było mu łatwo przestawać z młodą, dwudziestotrzyletnią kobietą, piękną i uroczą, a przy tym żenująco dziecinną. Był

prawie w tym samym wieku co Alice i nie potrafił pogodzić się z faktem, że ona wciąż nosi ze sobą wyliniąłego misia, wielokrotnie cerowanego sprawnymi palcami Susie, którego nazywała Teddy Rose. I że nadal tuli zniszczone lalki, Madame Butterfly i Raggedy Anne. Śpiewa im, kołysze je do snu, mówi do nich.

- Czy ona nie powinna - zwrócił się kiedyś do Lally - mieć... towarzyszek?

17 - Obietnice

257

- Myśli pan o pielęgniarce? Opiekunce, panie Shaw?

- Cóż...

- Sądzimy, że nasza miłość jej wystarczy, panie Shaw. Próbowaliśmy z... towarzyszką. Alice jej nie lubiła. Czuli, że jest obserwowana i nie kochana. Kiedyś ta kobieta zamknęła ją i gdyby nie odeszła na własną prośbę, sir John i tak by jej kazał pakować manatki.

- Myślę, że wszyscy państwo rozpieszczaliście Alice. Mogłaby zachowywać się dużo rozsądniej, gdyby ją do tego zmuszono. Jest pieszczochem rodziny i nikomu nie wolno jej tknąć...

- Nie, panie Shaw, nikomu nie wolno jej tknąć. I myślę, że wychowanie panny Pollock w żadnym stopniu nie leży w zakresie pańskich obowiązków. Proszę wbijać łacinę do głowy mojego syna i do bardzo odpornej głowy lorda Gren-fella, ale proszę nie poświęcać uwagi Alice. Jest dla nas kimś bardzo szczególnym - dzieckiem natury.

- Dziecko natury... - zaniósł się kaszlem. Lally czekała aż atak minie. Wreszcie Mak Shaw wciągnął głęboko powietrze i otarł załzawione oczy. - Czy to nie jest dość niebezpieczny pomysł, pani Pollock?

- Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa w tym, co jest piękne i niewinne. Lally zauważyła, że Mark Shaw rzadko zwracał się bezpośrednio do Alice

i starał się unikać pozostawiania z nią sam na sam. Był jednak, musiała przyznać, dobry dla chłopców i potrafił uczyć w sposób dla dzieci interesujący. Jeździł też z nimi na konne przejażdżki i okazywał lekkie niezadowolenie jedynie, kiedy sugerowano, by Alice do nich dołączyła.

- Nie mogę brać odpowiedzialności za pannę Pollock - stwierdzał stanowczo.

- Nie będzie sprawiać kłopotów - zapewnił go Czarny Jack. - Alice, jak pan wie, dobrze sobie radzi w siodle. Nie boi się. Ma jakiś naturalny stosunek do zwierząt. Jazda konna sprawia jej przyjemność, panie Shaw. Zapewnia jej jakieś zajęcie. Niestety, wypełnienie czasu Alice nie jest proste. Czyta bardzo wolno, a jej możliwości koncentracji są niewielkie. Ale jazda, spacerowanie i pływanie... ona to kocha.

Odtąd Mark Shaw niechętnie, ale uwzględniał Alice, kiedy jechał z Davi-dem i Jonathanem na konną przejażdżkę lub zabierał ich na długie spacerowanie ścieżkami północnego wybrzeża czy wzdłuż plaży. Okazało się, że miał jeszcze jedną zaletę. Był amatorem przyrodnikiem. Wskazywał dzieciom różne ptaki, opowiadał o różnicach między fauną w Ameryce i w Europie. Kierował ich uwagę na kwiaty i trawy, na owady krążące wśród zieleni. Podzielał zachwyty chłopców dla wiewiórek ziemnych. Skupiał swą uwagę wyłącznie na Jonathanie i Davidzie, a Alice pozwalał podążać za nimi. Wyławiała z jego opowieści to, czego chciała się nauczyć. Towarzyszyła mu skwapliwie, słuchając z uwagą, ale zdawała się niewiele zapamiętywać. Starła się jednak nauczyciela zadowolić. Któregoś dnia Lally i

Mark Shaw siedzieli na niższym tarasie i obserwowali Alice wędrującą po plaży. Odległa postać zmniejszała się i Lally chciała już pójść po siostrę, kiedy Alice sama zawróciła i skierowała się

258

do domu. Wiatr szaleńczo rozwiewał jej włosy i sukienkę. Dziewczyna weszła na taras z zarumienioną i promienną twarzą, nucąc piosenkę, której słowa ginęły w szumie morza. Ramiona wypełnione miała masą liści i traw, chwastów, płataniną kapryfolium, nagietek i stokrotek, które bezmyślnie zerwała z ogrodów wokół przystani. Na ten widok Mark Shaw poderwał się na równe nogi.

- Ofelia! - szepnął. - Szalona jak Ofelia.

W jego głosie zabrzmiała taka odraza, że Lally odwróciła się gwałtownie, by upomnieć nauczyciela. Ale on już pośpiesznie odchodził, utykając bardziej niż zwykle. Lally spojrzała na siostrę. Na twarzy Alice malowało się rozczarowanie. Dziewczyna otworzyła ramiona i naręcze chwastów i kwiatów zsunęło się na kamienną podłogę.

- Markowi się nie podobały - powiedziała żałośnie. - Zerwałam je dla niego.

Po tym wydarzeniu Mark Shaw dostał silnego ataku astmy i musiał przez następny tydzień leżeć w swoim pokoju. Lally i Margaret dotarły już do stopni kamiennej przystani należącej do wielkiej posiadłości Harperów, gdy zobaczyły w oddali Alice i chłopców.

- Znów się za nimi wyślizgnęła - powiedziała Margaret z lekkim rozdrażnieniem. - Podejrzewam, że nikt inny jeszcze nie wstał. Cóż, mam nadzieję, że nic złego z tego nie wyniknie - przerwała i opadła na najniższy stopień. - Muszę chwilę odpocząć. Poszłam dalej niż powinnam.

Lally spojrzała na nią niespokojnie.

- Wszystko w porządku? Mam poprosić kogoś o pomoc? Harperowie... Harperowie przyślą szofera, by cię odwiózł do Whytecliffe. Albo mogę zadzwonić po jeden z naszych samochodów. Brock wściekłby się...

- Och, to nic aż tak poważnego. Zawsze liczyłam na to, że chociaż ty nie będziesz marudzić, Lally, ale jesteś taka sama jak pozostali.

Lally usiadła obok niej.

- Naprawdę nie marudzę. Ale aż boję się myśleć, co zrobiłby mi Brock, gdybyś nagle zaczęła rodzić na przystani Harperów. - Obejrzała się. Za ich plecami rozciągała się długa, szeroka weranda, a wspaniałe kamienne kolumny wspierały piętro, z którego, jak wiedziała, rozciągał się słynny widok na cieśninę. Tam na górze zwykle tańczono w ciepłe letnie noce. Pokój, którego wysokie francu, skie okna otwierały się na werandę, mógł spokojnie pomieścić sto osób. - W sumie nie byłoby źle się tu urodzić.

Margaret westchnęła, a potem wzruszyła ramionami.

- Mogłaś to mieć, Lally. Naprawdę mogłaś to mieć.

- Uważasz, że wyszłabym za faceta dla przystani?

- Och, nie bądź głupia. Chodzi o dużo więcej niż przystań. Geny nfe jest najstarszym synem, ale zawsze był ulubieńcem ojca. Wszyscy o tym wiedzą. I jest dużo błyskotliwszy od Roddy'ego. Nie ma wątpliwości, kto przejmie interesy Harperów. Mogłaś mieć to wszystko, Lally.

- Ale widzisz, ja tego nie chciałam. I nie chciałam Gerry'ego.

353

Margaret znów wzruszyła ramionami.

- Cóż, oczywiście, to twój wybór. Ale od czasu rozwodu jest kawalerem do wzięcia. Wciąż się nie ożenił...

- Nie wydaje mi się, żebym złamała mu serce.

- Pojechał za tobą do Londynu.

- Miał tam jakieś interesy.

- Został dużo dłużej, niż uprzednio zamierzał. Stary Harper wiedział o tym wszystkim. Przyszedł kiedyś ze mną porozmawiać. Sam na sam. Dużo o ciebie pytał. Chciał wiedzieć o tobie wszystko. O służbie w VAD podczas wojny. Cofnął się nawet do czasów, kiedy byłyśmy małymi dziewczynkami. Opowiedziałam mu, Lally. Opowiedziałam o tym, co dla nas zrobiłaś. Jak, w pewien sposób, utrzymałaś nas razem. Jak my, a zwłaszcza ja, polegamy na tobie. Powiedziałaś mu, że ojciec cię bardzo kocha. Spodobała mu się historia o tym, jak przyniósł cię tamtej nocy z Leeds. Spodobała mu się historia, jak pod opieką markizy przetrwałaś sezon debiutancki. Żartował nawet, że nie może sobie wyobrazić ciebie grubej, bo jedyną wadą, jaką w tobie znajduje jest to, że jesteś trochę za szczupłą. Opowiedziałam mu wszystko o Susie i waszej firmie. Podobało mu się. Powiedział, że była żona Gerry'ego jest salonową trzpiotką i byłby szczęśliwy, widząc związanego syna z kobietą obdarzoną zdrowym rozsądkiem. Wiesz, jego ojciec zaczynał właściwie od zera. Potem dopiero odkrył złoża miedzi. Żona Gerry'ego pochodziła z wyższych sfer, więc stary Harper przewidywał, że to małżeństwo się nie uda. Chciał, żeby Gerry ożenił się z dziewczyną, która czuje ziemię pod nogami. Nie podoba mu się żona Roddy'ego. Owoc tego samego drzewa, co żona Gerry'ego, jak powiedział. Spodobała mu się myśl, że Gerry poślubi ciebie. Nie może doczekać się wnuków. Mogłaś wyjść za Gerry'ego Harpera i zostać księżniczką miedzi.

- Nie chciałam miedzi Harperów, skoro nie kochałam jej właściciela.

- Musiało mu na tobie bardzo zależeć. Ma dopiero koło trzydziestki i jest przystojny. Mógł wybierać, a chciał ciebie. Lally puściła mimo uszu słowa Margaret. Pozwoliła im ulecieć z wiatrem. Zeszłego lata Gerry Harper rzeczywiście zalecał się do niej, zabiegał o jej względy. Pojechał za nią, jak przypomniawszy Margaret, do Londynu. Przez kilka krótkich tygodni Lally myślała, że się zakochała. Gerry Harper był równie uroczy jak przystojny. Z radością oczekiwała kwiatów, które codziennie przysyłał, wieczornych spotkań, kiedy zabierał ją na obiad, a potem szli potańczyć. Jeździł z nią do Pellham Langley na weekendy. Lally widziała, że Czarny Jack targany jest sprzecznymi uczuciami. Chciał, żeby ponownie wyszła za męża, ale obawiał się rozłąki, jaką oznaczało małżeństwo z Amerykaninem. Nie powiedział nic, co mogłoby zniechęcić ją do Gerry'ego, tylko uśmiechał się łagodnie, obserwując umizgi młodego człowieka.

- Wyjdź za mnie, Lally - powiedział wreszcie Gerry tak, jak się spodziewała. Miała gotową odpowiedź. Początkowo nie była pewna, ponieważ to, co czuła w ogóle nie przypominało miłości do Jona. Jon był trawiącą ją namiętno

355

ścią, całym jej życiem, a nawet istotą życia. Gerry mógł zająć tylko skrawek jej uczuć.

Pytanie padło ponownie, tym razem z lekką nutką zniecierpliwienia. Zawahała się.

- Nie zależy ci na mnie?

- Ależ tak. - To była prawda. Zależało jej, ponieważ w końcu znalazł się ktoś, kto wypełniał pustkę samotnych nocy, godzin, kiedy skończyły się tańce i ucichła muzyka. Wkrótce po tym, jak porzuciła amerykańskie lato dla angielskiej jesieni, która okryła drzewa mglistym całunem, zostali kochankami. Lally powtarzała sobie, że zrobiłaby to na jej miejscu każda dorosła kobieta, ponieważ wciąż nie miała pewności co do swych uczuć. Byli dobrymi kochankami, pełnymi czułości.

- Wróc ze mną do Stanów, Lally. Pobierzemy się i będziemy mieli dzieci. - Nie słyszała co jeszcze mówił.

Rozpaczliwie pragnęła dzieci Jona. Nie mogła wyobrazić sobie dzieci Gerry'ego Harpera. Wtedy się upewniła.

- Przykro mi, Gerry. Nie mogę za ciebie wyjść.

- Właśnie to odkryłaś? Mogłaś mi wcześniej powiedzieć, zanim straciłem tyle czasu.

- Nie wiedziałam. Nie byłam pewna.

- Domyślam się, że wciąż jesteś zakochana w swoim mężu. - Widziała jak wiele razy jego wzrok wędrował do zdjęć Jona, poustawianych w różnych miejscach. Szczególnie często przyglądał się fotografii stojącej na stoliku przy jej łóżku. - Cóż, nie mogę powiedzieć, że zamierzam spędzić resztę życia, konkurując ze zmarłymi. To nie w moim stylu. Jesteś wspaniałą kobietą, Lally, ale jeśli nie możesz być w pełni moją, to nie chcę się ubiegać o resztę twoich względów. Nie bardzo potrafię się dzielić.

- Przykro mi. Myślałam, że mogę...

- Zapomnij o tym, skarbie. Lepiej, że odkryłaś to teraz niż później. Opuścił Londyn, a jego ostatnie słowa brzmiały gorzko.

- Z pewnością nieźle się moim kosztem zabawiałaś. Będzie kupa śmiechu, kiedy wrócę na Long Island. Cóż, żegnaj, moja słodka. Zresztą pewnie jeszcze się zobaczymy. Przypuszczam, że przyjedziesz za rok na północne wybrzeże.

Może do tego czasu znajdziesz swego mężczyznę. Może ja trafię na swoją kobietę. - Zatrzymał się by ją pocałować.

- Cóż, skarbie, wspaniale było cię poznać. Szkoda... szkoda. Powodzenia.

- Żegnaj, Gerry - odpowiedziała cicho. Odjechał, a noce znów stały się samotne, a pracowite dni nie zwiastowały spełnienia żadnych marzeń.
- Mogłaś go mieć - i wszystko, co do niego należy - powiedziała Susie przy obiedzie u Armanda. - Jesteś rzeczywiście pewna, Lally?
- Tak, jestem pewna. On nie jest ...
- Nie mów mi, że nie jest Jonem. Wszyscy to wiemy. - Nagle jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - Nie mogę powiedzieć, że mi nie ulżyło. Nie chciałam nic mówić, żeby ci nie zepsuć takiej szansy. Ale nie wiem, jak dałabym sobie radę bez ciebie.

- Dałabyś. Ty zawsze byś dała radę, Susie.

Kapitał włożony w firmę przez Czarnego Jacka i Bracka przynosił rezultaty i trzy pracownice działały na pełnych obrotach. Susie i Lally myślały o otwarciu czwartej. Z prowincji przyjeżdżali kupcy.

- Kobiety nie korzystają już z domowych maszyn do szycia, jak kiedyś. Widzą w sklepach gotowe rzeczy i chcą natychmiast je mieć - stwierdził jeden z nich, gdy Lally wypełniała jego zamówienie. Zauważyła, że zwiększyło się ono o jedną trzecią od poprzedniej wizyty.

- Rzeczy Susie dobrze się sprzedają, prawda? Zewsząd sypią się zamówienia.

- Ona ma dobre pomysły. Proste. Taki fason wygląda dobrze niezależnie od gatunku materiału.

Jeden ze znanych właścicieli salonów mody, Julian, przyszedł obejrzeć prace Susie, ponieważ zażądała tego patronująca mu Margaret. Zasiadł ze znudzonym wyrazem twarzy. I został. Lally towarzyszyła mu i obserwowała jego reakcje. Znali się trochę wcześniej, choć nigdy nie kupiła żadnego z jego modeli, ale chodziła na przymiarki z Margaret. Teraz Julian pierwszy odzywał się do Lally, ponieważ był szczerze zainteresowany. W jego zwykle ospały ton wkradła się nuta entuzjazmu.

- Byłaby wspaniała w *haute couture*. Rzecz w tym, że Susie jest rzemieślnikiem.

- Rzemieślnikiem? Susie jest projektantką.

- To pewna różnica, kochanie. Susie nie jest jedną z tych sprytnych dziewczetek, które szybko kreślą szkice i oczekują, że jakiś nieszczęsny krojczy poj.-mie, o co chodzi. Ona wie, jak się szyje. Wie, jak układają się materiały. Co będzie wyglądać dobrze, a co nie. Można by przypuszczać, że od małego zasiadała przy maszynie do szycia. Nie próbuje grać na efekt, co nieuchronnie przynosi fiasko. A poza tym Susie zna swój rynek.

- Więc dlaczego mówisz, że byłaby dobra w *haute couture*?

- Ponieważ, gdyby jej dać materiały, na jakich my pracujemy, gdyby mogła przymierzać w nieskończoność, na co pozwalamy i gdyby dysponowała wszystkimi dodatkami, które sprawiają, że nasze sukienki są tak cholernie drogie, mogłaby się naprawdę wybić. Widzisz, kochanie, ona jest kobietą. Nie ma więc ochoty ośmieszać swojej płci. To dlatego jej pomysły odnoszą taki sukces w Bournemouth, Buxton i Bradford. Niektórzy z nas wiedzą takie rzeczy. Boli nas, kiedy gruba stara krowa przychodzi do salonu i zamawia suknię przeznaczoną dla szczupłej młodej dziewczyny. Modele Susie można dostosować i dla grubych starych krów.

- Jesteś bardzo niemiła dla grubych starych krów - zaśmiała się Lally.

- Kochana, gdybyś musiała znosić od nich to, co ja znoszę, też byś była niemiła.

- Próbujesz porwać Susie do swojego salonu, Julianie?

Zaciągnął się papierosem, studiując obracającą się przed nim modelkę, w gustownej sukni o prostej linii.

358

- Nie, Susie nie jest dla mnie. Chciałaby kierować całą cholerną imprezą. W ciągu minuty mielibyśmy awanturę i zaczęlibyśmy rzucać w siebie nożyczkami. Pozwólmy jej działać na własną rękę. A robi to bardzo dobrze. Z odrobiną szczęścia ona zbije fortunę, podczas gdy większość osób z naszej branży balansuje na krawędzi bankructwa. Widzisz, nasi klienci często zapominają płacić rachunki...

Pływały długie, monotonne dni ciężkiej pracy, przerywane weekendami w Pell-ham Langley. Wspomnienie Gerry'ego Harpera prawie całkiem się w sercu Lally zatarło.

- Ale - odezwała się obok niej Margaret - cudownie byłoby mieć cię tutaj na stałe, tylko kilka minut jazdy od domu. Miałam nadzieję... No, cóż... Nikt nie wyobrażał sobie nawet, że odrzucisz Gerry'ego Harpera.

- Tak, podejrzewam, że nikt sobie tego nie wyobrażał - odpowiedziała sucho Lally. Ale miło jej było wiedzieć, że Stary Harper, jak wszyscy go nazywali, spoglądał na nią łaskawym okiem. Lubiła Starego Harpera. Tego lata nie spotkała Gerry'ego. Pojechał na zachód - mówiono. A ktoś mrugnął porozumiewawczo. - Sprawdza, czy miedz nadal jest w kopalniach. Więc wspomnienie wyblakło jeszcze bardziej.

Pies rozpoznał teraz Alice i chłopców i wybiegł im na spotkanie. Postacie na brzegu zaczęły biec. Cała trójka wydawała się uosobieniem piękna i wdzięku: młoda kobieta z jasnymi rozwianymi na wietrze włosami, promienna, roześmiana i dwaj chłopcy, jasnowłosi i rozczochrani, opaleni od tygodni na słońcu, skaczący boso przez fale. Wiatr przywiewał szczekanie psa. Margaret oparła się o stopień werandy i usiłowała wstać, ale opadła z powrotem.

- Pomóż mi, Lally.

Lally chwyciła Margaret za rękę i podciągnęła do góry. Przez chwilę ich dłonie pozostawały złączone. Oczy obu kobiet spotkały się.

- Dziękuję - powiedziała cicho Margaret. Lally nie mogła usłyszeć słów przez huk fal, ale i tak zrozumiała ich znaczenie.

II

Przed wieczorem wiatr uspokoił się i ciężki upał zawisł nad Long Island. Ale ogromne fale, niewiele złagodniały. Brock wrócił z miasta, narzekając na duchotę.

- Było kilka godzin ulgi dziś rano - powiedział, przyjmując pierwszego drinka od Czarnego Jacka - ale jutro wszystko wróci do normy. - Pochylił się i pocałował Margaret. - A jak się czuje moja pani? Mam nadzieję, że kolejny Weymouth nie dokucza ci zbyt.

Margaret nerwowo poruszyła się na sofie.

- Kopie jak diabli - stwierdziła bez humoru. Wpatrywała się kwaśno w samochód, którym szofer przywiózł Bracka z Manhattanu. - Skoro musisz mieć ochronę, to wołałabym Brock, żeby oni mniej wyglądali na zbirów. I ci ludzie,

263

którzy wciąż wyskakują z krzaków, trzymając grabie, jakby to miały być widły. Nie możesz ich jakoś przeszkolić, żeby przypominali trochę bardziej prawdziwych ogrodników?

- Skarbie - powiedział cierpliwie Brock - oni umieją tylko jedno - chronić ciebie i dzieci. Z rzadka, ale widuję ich grabiących trawę. To jest już dodatkowa usługa. Naprawdę nie możesz oczekiwać, że będą chodzić ubrani w drelichy i słomiane kapelusze?

Roześmiała się. Potrafiła zawsze załagodzić śmiechem sytuacje, gdy zachowała się jak sekutnica.

- Tak, kochanie, wyglądaliby znacznie bardziej nie na miejscu. Podejrzewam, że ich obecność jest naprawdę konieczna?

Brock zlustrował grupę na tarasie. Jego wzrok objął wszystkich, Margaret z zaokrąglonym brzuchem, obu chłopców, Davida i Jonathana, którym pozwalano już czekać z dorosłymi na powrót Brocka, ogarnął Lally i Czarnego Jacka i zatrzymał się na dłużej na Alice.

- Tak, kochanie, myślę, że to konieczne. - Rysy, które na chwilę ściągnęły się w surowym grymasie, teraz rozluźniły się. - A jeśli nawet nie, musisz zrozumieć prawdopodobnie niemądre obawy twojego zramolałego męża.

Margaret uśmiechnęła się. Rozdrażnienie minęło.

- Zaprosiłam Gertie i Billa na kolację, Brock. Jest u nich kilku przyjaciół, którzy też przyjdą. Zrobimy małe przyjęcie.

Pogodny wyraz raz jeszcze zniknął z jego twarzy.

- Margaret, czy powinnaś? To znaczy, czy to cię zbyt nie zmęczy? Rozłożyła ręce.

- Gdybyś tylko zrozumiał, jak nudno jest, kiedy ledwie możesz się poruszać. Brock, kochanie, to będzie tylko kolacja. Dziecko urodzi się za kilka tygodni. Kiedy ciąża się skończy, będę już zupełnie łagodna jak aniołek, zobaczysz. Tylko pomóż mi przebrnąć przez końcówkę. - Przystał na jej pomysł, z uśmiechem, popijając swego drinka.

Cieśnina rozjarzyła się światłami. Migotały światełka jachtów. W wodzie zaczęły odbijać się światła z okien wspaniałych rezydencji dosięgających niemal samego brzegu morza. Północne wybrzeże przygotowywało się do wieczornych rozrywek.

Nagle Edith wzięła władzę w swoje ręce.

- Chłopcy, czas do łóżek. Zanim niania zacznie narzekać. Już was tu nie ma...

- Odprowadzę was na górę, panowie - zaoferował się Brock. - Muszę zmyć z siebie miejski kurz. Zajrzę do Dana, sprawdzę, czy jeszcze rozrabia. Potem zejdę na obiad. Nie będziesz przedłużać dziś przyjęcia, dobrze, kochanie? To

znaczy, wyglądasz wspaniale, ale martwię się, żebyś nie przesadziła. -Gdy jednak wyraz rozdrażnienia zaczął powracać na twarz Margaret, podniósł ręce do góry w geście rezygnacji. - W porządku, cokolwiek zechcesz. Spokój, tylko spokój. - Spojrzał błagalnie na Czarnego Jacka. - Mógłbyś przygotować mi największe możliwe martini? To był ciężki dzień. - Postawił pustą szklanke

361

na balustradzie tarasu i wyciągnął ręce do chłopców. - Biegiem! Chodźcie tu, leniuchy!

Słuchali niknących w głębi domu krzyków i śmiechu, gdy Brock z dziećmi wspinał się po wielkich schodach.

Czarny Jack odwrócił do Margaret prawie niewidoczną w ciemności twarz.

- Brock jest wspaniały. Nigdy o tym nie zapomnij, Margaret.

- Jakbym mogła! - jej głos załamał się. - Jakbym mogła kiedykolwiek zapomnieć. Myślisz, że minął choć jeden dzień, kiedy nie pamiętałam, co jestem mu winna? Gdybym tylko mogła zapomnieć, tylko czasami...

- Cicho, kochanie - uspokajał ją Czarny Jack. - Nie możesz się podniecać. Nie zamierzałem...

- Jack - Edith pośpiesznie przerwała - może lepiej zacznij przygotowywać Brockowi martini.

Czarny Jack zajął się tym z ulgą, zadowolony, że ma pretekst, by nie patrzeć na udrękę Margaret. Czy nie było sposobu, zastanawiała się Lally, by komukolwiek z nich pozwolono zapomnieć? Czasami bliska była współczucia dla Margaret, obciążonej ciężarem wdzięczności wobec Brocka. Rodziła jego dzieci i była mu wierna. Ale Lally nigdy nie słyszała, żeby przyznała, że go kocha.

Czarny Jack energicznie mieszał koktajle.. To, pomyślała Lally, jeszcze jeden przejaw delikatności Brocka. Co wieczór przyjmował martini z rak swego teścia z wdzięcznością, jakby to on, a nie starszy mężczyzna, był gościem w tym domu. W wyrozumiałej i opiekuńczej postawie Brocka rzadko pojawiała się rysa. Lally przypuszczała, że nigdy nie stanie się nic, na co Margaret miałaby prawo narzekać. Brock się o to postara.

III

Gertie, Bill i czwórka ich gości zasiedli wraz z Weymouthami i Pollockami do obiadu. Wydawali się ożywieni. Burza szalejąca poprzedniego wieczoru i przyniesione przez nią ochłodzenie poprawiło wszystkim samopoczucie. Jedzenie jak zawsze w Whytecliffe okazało się wyśmienite - mrożony melon, mus z łososia, krucha pieczeń wołowa, sorbet. Dania podawano i wynoszono, ale Lally ledwie ich próbowała. Brockowi udało się zatrudnić szefa kuchni jednej z najlepszych restauracji Manhattanu. Kucharz nie był jednak zadowolony z nowej posady. Jego talenty nie zostały w pełni wykorzystane, gdyż Margaret często, jak tego wieczoru, gromadziła gości u stołu bez uprzedzenia. Zabrali kawę i likiery na górny taras, pod ciepłe rozgwieżdżone niebo. Burza oczyściła powietrze, więc mogli z przyjemnością napawać się widokiem migocących gwiazd. Beładna rozmowa umilkła, gdy niespodziewanie na tarasie pojawił się jakiś mężczyzna. Lally z trudem rozpoznała go w mroku.

- Terry! - krzyknęła Margaret. - Nie widziałam cię na plaży.

To był Terry North. Posiadłość Northów, położona pół mili dalej, stała się niemal drugim domem Margaret. Ona i żona Terrego, Tiny North, były

przyjaciółkami, a jednocześnie rywalkami na polowaniach, prowokującymi się nawzajem do różnych wybryków i szaleństw. Tyny North, wysoka, szczupła i równie elegancka jak Margaret, okazywała pełną pobłażliwość wobec kaprysów i humorów przyjaciółki. Zapałała też sympatią do Czarnego Jacka. Trzy razy już odwiedziła Pellham Langley. Była, jak podsumował Czarny Jack, dobrym kompanem na polowaniu. Nie mógł chyba ocenić jej trafniejszymi słowami. Teraz głowa o gładkich, krótko obciętych włosach pojawiła się nad balustradą.

- Kto idzie na plażę? Buddy Rawlston rozpała ognisko przed swoim domkiem plażowym. Twierdzi, że jest dość chłodno jak na sierpień. - Roześmiała się. Miała na sobie jedwabną sukienkę tak cienką, że zdawała się przylegać do ciała jak druga skóra. Pod jedwabiem, pomyślała Lally, była chyba naga, ale nie przejmowała się tym.

Margaret dźwignęła się z trudem z krzesła i wyrzała przez balustradę.

- O tak, widzę. Chodźmy. - Posiadłość Rawlstonów sąsiadowała z Why-tecliffe.

- Margaret! - Czarny Jack i Brock jęknęli błagalnie jednym głosem. Margaret zareagowała w możliwy do przewidzenia sposób. Niecierpliwe wzruszenie ramion, przywołujący gest w kierunku Gertie, Billa i pozostałych gości. Ktoś u Rawlstonów włączył przenośny gramofon. „Yes, sir, that's my baby, No, sir, don't mean maybe...” - Margaret już zaczęła schodzić z tarasu. Wszystko, co teraz Brock mógł zrobić, to pospieszyć do żony i podać jej ramię.

- Margaret, nie zostawajmy zbyt długo... Niespodziewanie odwróciła się i pocałowała go w policzek.

- Obiecuję. Nie dłużej niż pół godziny. Alice także dostrzegła ognisko.

- Och, patrzcie!... Patrzcie! - Sfrunęła ze schodów na plażę. Lally wydawało się, że usłyszała za plecami westchnienie Czarnego Jacka. Zaczynała się kolejna długa noc.

*

* *

Jak to było w zwyczaju na północnym wybrzeżu, garstka ludzi którzy zgromadzili się przy ognisku, rozrosła się rychło w sporą gromadę. Na piętrze domku plażowego ktoś energicznie kręcił korbą gramofonu i muzyka zdołała zagłuszyć łoskot fal uderzających o brzeg. „Sometimes I'm happy, sometimes I'm blue...” Wszyscy śpiewali, bardziej lub mniej fałszywie. Pozdejmowali buty. Jakaś para szurała bosymi stopami po piasku. Ciała rysowały się w świetle ognia, poruszając się w rytm tanga. Wkrótce pojawili się kolejni tancerze. Nie było ważne, że piasek tamuje im ruchy. Byli zachwyceni przewyciężaniem tej przeszkody.

- O Panie, jakże chciałabym móc zatańczyć. Jestem tak zmęczona własnym ciężarem - zamruczała obok Lally Margaret.

364

Alice, która instynktownie reagowała na muzykę, tańczyła sama. Nie były to dokładne kroki tanga, nie zdołała nigdy ich opanować. Ale sunęła po piasku, przechylała się, kołysała jakby prowadził ją niewidzialny partner. Na tle spienionych fal wyglądała szczególnie pięknie. Jej włosy, upięte przez nianię wieczorem w węzeł z tyłu głowy, rozpuściły się i opadły na plecy, błyszczące jak atlas. Lally, dosłyszała głos Marka Shawa.

- Boże!... Ktoś powinien...

Cokolwiek ktoś powinien był zrobić, nie zrobił tego. Tango się skończyło. Wszyscy klaskali, widzowie i tancerze. Alice, czarująca, zastygła w fantazyjnej, nieświadomie wyzywającej pozie. Powoli jej plecy wyprostowały się. Ktoś znów nakręcił gramofon. Więcej osób podniosło się i tańczyło teraz pod melodię „Di-nah”. Jakiś mężczyzna podszedł do Alice i chwycił ją za ramiona! Nie zaakceptowała objęcia. Tańczyła w pewnej odległości, poruszając się zgodnie z rytmem. Lally słyszała jej śmiech, widziała rozwiane złociste włosy. Kto nie znał Alice, kto nie znał jej historii, mógł sądzić, że widzi trochę szaloną, żywiołową młodą kobietę, zbuntowaną przeciw konwenansom. Mężczyzna, z którym tańczyła, próbował przyciągnąć ją do siebie, a ona wymykała mu się, nie dla kokieterii czy prowokacji, ale po prostu instynkt nakazywał jej chronić swobodę ruchów. Obok Lally leżały na piasku, powierzone jej opiece, Teddy Rose, Madame Butterfly i Raggedy Anne. Alice przyniosła je ze sobą z tarasu. Niemożliwe wydawało się skojarzenie tych dzieciennych zabawek z młodą kobietą, której smukła sylwetka rysowała się na tle błyszczącej, ciemnej wody. Lally usiadła koło Margaret niezbyt blisko ogniska. Brock przyniósł im piwo, ale niewiele mówił. Buddy Rawlston poprosił Lally do tańca. Zgodziła się niezbyt chętnie. Kiedy wróciła do Margaret, poczuła się zmęczona. Nie to nie było zmęczenie, tylko nuda. Miała dość tych ciągłych rozrywek, które wymagały zmobilizowania takiej energii. Ta nie kończąca się zabawa wydawała się jej nagle ciężką pracą. Zauważyła, że Czarny Jack i Edith, zamieniwszy z Brockiem kilka słów, wstali i skierowali się w stronę Whytecliffe. Margaret zaczęła protestować.

- Aleja nie chcę iść, Brock. Wiesz jak ciężko mi jest teraz zasnąć. Jeszcze tylko maleńki gin, a potem zrobimy, co zechcesz.

Brock wstał niechętnie i ruszył do domku Rawlstonów, gdzie zainstalowany został prowizoryczny bar. Jego cierpliwość do kaprysów Margaret podczas ostatnich tygodni ciąży wydawała się równie nieskończona co pasmo rozrywek, jakich od niego żądała. Będzie dogadzał i pobłażał żonie, dopóki przyjęcie, przyjęcie które wydawało się

trwać od stu lat, nie dobiegnie końca. Ktoś dotknął ręki Lally. Odwróciła się i migotliwy blask ognia oświetlił rysy Gerry'ego Harpera.

- No i cóż - odezwał się nowo przybyły. - Jak ci leci, Lally? Tęskniłaś za mną?
- Wiedziałaś, że będę tęsknić.
- Tak, wiedziałem - przytaknął. - Cholerna uparciucha. Zmieniłaś zdanie?
- Nie, Gerry. Chciałabym tylko znaleźć się z powrotem w Londynie. Jęknął.

267

- Och, nie mów tak. Pragniesz wrócić do tej ponurej firmy, którą prowadzisz z Susie. Na Boga, Lally... taka dziewczyna jak ty. Należy ci się lepsze życie.

- Jakże? Takie jak to? Tańce przez całą noc, tenis w południe, leczenie kaca, oczekiwanie na następne przyjęcie, które z pewnością odbędzie się już następnego wieczora. Robiłeś chyba ciekawsze rzeczy, Gerry?

Wydawał się wypoczęty i w dobrej formie. Skórę miał ogorzałą.

- Też, tak myślę. Nie tańczyłem każdej nocy. To zbyt męczące. Tam na północy jest wspaniały kraj, Lally.

Spodobałby ci się. Mogę zrozumieć, co widział w nim mój dziadek. Mój stary zresztą też. Ale nie można żyć w chacie z okraglaków przez trzy pokolenia, podczas gdy Wall Street gromadzi dla ciebie fortunę. Mój stary wie, jak wygląda prawdziwe życie. Byłby zadowolony, gdybyś za mnie wyszła, Lally. - Ponownie dotknął jej ręki. - Ja też byłbym zadowolony, gdybyś za mnie wyszła.

- Gerry, nie...

- Nie, nie będę. Jedna odmowa mi wystarczy. Ale jesteś dziewczyną, którą naprawdę ciężko wybić sobie z głowy. Chociaż bardzo się starałem. Próbowiałem się pocieszyć z wieloma dziewczynami, ale nie ma drugiej takiej jak Lally Pollock. Przepraszam. Daj mi tylko swoją szklaneczkę, a napłaczę ci do ginu.

- Zamiast tego lepiej go wylej. Mam dość ginu, a ty nie jesteś z tych, którzy płaczą po kobiecie.

- Masz cholerną rację. Za to zatańcz ze mną. To nie „Ritz”, ale jakoś damy sobie radę.

Wstała. Nie miała ochoty tańczyć, ale cieszyła się z obecności Gerry'ego Harpera. Wnosił powiew rzeczywistości na to imitujące radość życia przyjęcie. Przyjęła jego ramię i wtedy zobaczyła Brocka okrążającego ognisko ze szklaneczkami w obu rękach. Nagle zmarł w bezruchu. Lally odwróciła się, by zobaczyć, co go wprawiło w takie osłupienie. Z początku niewiele osób to zauważyło. Rozmawiając z Gerrym, Lally słyszała niski śmiech Margaret, chichot, na który nie zwróciła uwagi. Teraz ujrzała, co się działo. Tancerze, którym spodnie i rąbki sukienek zmoczyły fale, zaczęli ściągać i tak skąpe letnie stroje. Pierwszy plusk był ledwie słyszalny przy głośnej muzyce i uderzających falach. Zaraz potem jeden z mężczyzn w samych slipach wbiegł do wody. Towarzysząca mu dziewczyna zsunęła z siebie jedwabną sukienkę i ruszyła w pogoń za pływakiem, który wysforował się w międzyczasie daleko do przodu. Słychać było wiwaty i oklaski. Goście zaczęli zrzucać ubrania na piasek.

Jedna osoba posunęła się w tym szaleństwie dalej niż inni. Alice, w ekstazie, podekscytowana, ściągnęła sukienkę i lekką bieliznę. Uniosła się na czubkach palców, napinając nagie ciało i rozpościerając ramiona. Lally oszołomiło piękno tego widoku. Przez sekundę naga dziewczyna jakby unosiła się między ruchomymi światłami jachtów a

blaskiem ogniska, jak istota należąca jednocześnie do nieba i ziemi. Wszystko to trwało zaledwie chwilę i Alice wbiegła do morza.

268

Wszyscy patrzyli tylko na nią. To nagie piękno było w stanie zaapelować do zmęczonych zmysłów.

- Brawo, kochanie! - ochryple krzyknął jakiś mężczyzna z tłumu. Lally usłyszała głos Marka Shawa.

- Nie! Hańba! - Czyja hańba, pomyślała Lally.

Szklanki wypadły z rąk Brocka. Wielkimi susami biegł po piasku i, nie zatrzymując się, by zdjąć buty, skoczył do wody. Lally widziała, jak szamotał się z koszulą i uniósłszy ją na wysokość piersi, przedzierał się przez, fale do Alice.

- Biedne dziecko - wyszeptał Gerry Harper. Zostawił Lally i zszedł nad wodę, rozpychając tych, którzy w skąpej bieleźnie bawili się w falach, jakby to była jakaś szalona atrakcja.

- Obrzydliwe! - powiedział Mark Shaw. Lally odwróciła się do niego.

- Ty zarozumiałcze! Dlaczego nie pomoże pan zamiast wydawać sądy?

- Alice ma wokół mnóstwo silnych mężczyzn do pomocy.

Brock dotarł do dziewczyny i okrył ją swoją koszulą. Otoczywszy talię Alice ramieniem, usiłował wyprowadzić ją na plażę. Koszula w niewielkim stopniu mogła zakryć nagość. Całkiem mokra, przylgnęła do ciała. Nasiąknięte wodą włosy Alice oblepiały jej twarz i plecy. Śmiała się, szalonym, obłąkańczym śmiechem, który wzbił się ponad głosy tłumu. Uciszyło się, gdy Brock wyprowadził ją z wody, a Gerry Harper podszedł, by służyć również swoją koszulą. Światło ogniska tańczyło na jasnej skórze nóg i złotym meshku włosów łonowych, nigdy nie tkniętych słońcem.

- Kąpiąca się piękność roku - ktoś wykrzyknął.

Rozległ się suchy trzask, gdy Mark Shaw uderzył w twarz człowieka, który to powiedział.

- Ach, ty...! - wściekł się znieważony. - Ty cholerny angielski poła-mańcu!

Lally zobaczyła, jak Mark Shaw zwałił się na piasek pod ciosem pięści białej w podbródek. Leżał nieruchomo, a fale obmywały mu głowę. W ciszy usłyszeli ciężki oddech. Po chwili podciągnął się na kolana i zaczął kasłać astmatycznie.

Brock doprowadził Alice do Lally. Wciąż śmiała się, lecz teraz już nerwowym śmiechem, w którym pojawił się załazek rozpacz i hysterii. Lally wzięła siostrę w objęcia, zasłaniając przed wzrokiem tłumu.

- Spokojnie, kochanie... Spokojnie. Idziemy już do domu.

Bez niczyjej pomocy Margaret dźwignęła się najpierw na kolana, a potem na nogi.

- Nie! - wrzasnęła. Płyta się skończyła i głos ciężarnej kobiety brzmiał przeraźliwie cienko. - Nie. Mam już dość! Mam dość tego niańczenia jej. Alice jest odpowiedzialna, jak każdy człowiek. Wszyscy zbyt długo ją rozpieszczaliśmy. Ale teraz koniec z tym. Natychmiast! Nim Brock zdążył zareagować, złapała ulubione zabawki Alice. Przez sekundę przyciskała Teddy'ego Rose'a, Madame Butterfly i Raggedy Anne do piersi.

368

Potem powolnym krokiem podeszła do ogniska. Ogromny, wydęty brzuch wyraźnie zarysował się w blasku płomieni.

- Koniec z tym. Koniec z całym tym dziecinny nonsensem!

Jednym ruchem, jakby pragnąc jak najszybciej się od nich uwolnić, rzuciła lalki do ognia. Zapadła martwa cisza, która po chwili dotarła do świadomości Alice. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała.

Nie wydawszy żadnego dźwięku, uwolniła się z ramion Lally. Obie koszule opadły z niej, gdy biegła do ogniska. Tylko Margaret stała wystarczająco blisko, by próbować ją zatrzymać, ale ociążałe ciało nie miało szans wobec siły oszalałej młodej kobiety. Patrzącemu zaparło dech, gdy Alice włożyła ręce w płomienie, sięgając po palące się lalki. To, co usłyszeli, było raczej krzykiem radości niż bólu, gdy chwyciła całą trójkę w objęcia. Lally dostrzegła z przerażeniem, że roztopiony wosk z twarzy Madame Butterfly spływa pomiędzy nagimi piersiami Alice. Wtedy właśnie Alice zaczęła płakać.

- Lally, Lally, boli mnie!

Lally rzuciła się do niej i raz jeszcze otoczyła siostrę ramionami. Wosk ostygł, ale wciąż był miękki. Oblepił Lally sukienkę. Czuć było swąd spalonych szmat, z których zrobieni byli Teddy Rose i Raggedy Anne. Co gorzej, czuć było swąd spalonego ciała.

Teraz pół tuzina mężczyzn oddawało swe koszule. Brock gorączkowo owijał poparzone ręce dziewczyny. Kiedy prowizoryczne opatrunki zostały nałożone Gerry Harper podniósł Alice i przerzucił ją sobie przez ramię. To był najprostszy sposób, by jak najszybciej dostali do Whytecliffe. Brock dotrzymywał mu kroku.

- Alice... - rozpaczliwie zawołała Margaret. - Alice, kochanie, nie chciałam tego. Kupię ci nowe, obiecuję. Jutro rano. Och, poczekajcie! Brock, poczekaj na mnie. Proszę, poczekaj na mnie.

Brock nie odwrócił się.

Lally z nią poszła, podtrzymując ciężarną kobietę ramieniem. Za sobą usłyszały ciężki oddech Marka Shawa.

- Proszę pozwolić sobie pomóc, pani Weymouth.

Bez słowa skinęła głową. Ten, który nie dotykał nikogo, jeśli mógł tego uniknąć, objął Margaret w pasie, by wesprzeć jej obciążone ciało. Za sobą zostawili absolutną ciszę. Było to jedno z przyjęć na północnym wybrzeżu, które gwałtownie się skończyło.

IV

Dopóki morfina nie zaczęła działać, Alice kwiliła z bólu, potem odpłynęła w niespokojny sen. Jej ręce, teraz już fachowo zabandażowane przez lekarza, spoczywały na lekkim prześcieradle, którym była okryta. Przez sen nerwowo skubała je, jakby chciała zerwać bandaż. Lekarz potrząsnął głową.

- Nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem. To co ona czuje do tych... tych stworków - wskazał głową nadpalone lalki Alice - było najwyraźniej sil

370

mejsze niż ból. Albo przez tych kilka chwil nie czuła bólu w ogóle. Szkoda. Zostaną jej paskudne blizny. Co prawda chirurgia plastyczna potrafi już radzić sobie z oparzeniami. Wiele nauczono się podczas wojny. Ale to wciąż głównie eksperymenty. Trudny i często bolesny zabieg. Biedna dziewczynka.

- Ona ma dwadzieścia trzy lata, doktorze - przypomniała mu Lally.

Doktor Morton westchnął, zaczynając zbierać swoje narzędzia. Był lekarzem domowym rodziny Weymouthów. Przepisywał leki przy wszystkich dziecięcych chorobach, opiekował się Margaret w czasie ciąży. Był obecny, razem ze specjalistą, którego sprowadził Brock, przy narodzinach Dana. Zostanie wezwany, kiedy zacznie się rodzić kolejne dziecko. Przez ten czas dobrze poznał Alice.

- Tak, wiem. Jest młodą kobietą, wobec której ja jako lekarz popełniam błąd, traktując ją jak dziecko. Psychicznie, oczywiście, jest dzieckiem. Ale ma fizyczną siłę dorosłej kobiety. Jak ona musi kochać te... te rzeczy. Dosłownie, poszła za nimi w ogień.

- Brock jej je dał. Wiedział pan o tym? - powiedziała Lally. - No, nie misia. Ale to on nazwał go Teddy Rose. - Zdała sobie sprawę, że mówi o zabawkach Alice, jakby były żywymi ludźmi. - Ma dziesiątki innych zabawek, lalek, królików. Ale te były specjalne, ponieważ dostała je od Brocka. Jest bardzo... przywiązana do Brocka.

- Tak, zauważyłem to. I jej przywiązanie jest dużo silniejsze niż u... cóż, u normalnej kobiety. Ona nie ma możliwości oceniać nikogo według norm świata dorosłych, więc nigdy nie widzi wad, kiedy już kogoś pokocha. Każde niepowodzenie człowieka, którego kocha i któremu ufa jest dla niej katastrofą. Trzeba wybaczyć pani Weymouth. Sytuacja była nietypowa, a w ostatnich tygodniach ciąży kobieta często nie panuje nad nerwami. Pani siostra jest bardzo napięta, pani Pollock.

- Wiemy o tym - odpowiedziała Lally. - Wszyscy jesteśmy tego świadomi.

- Tak, wiem o tym. - Zamknął torbę. - Dobrze więc, wróć rano. Powinna spać teraz przez kilka godzin, ale gdyby był jakikolwiek problem, proszę niezależnie od pory bez wahania mnie wezwać. Skontaktuję się z lekarzem, którego

świetnie znam. Prowadzi praktykę na Manhattanie. Ma bardzo duże doświadczenie w leczeniu oparzeń. I jest jeszcze ktoś, pani Pollock, kto mógłby pomóc. Psychoanalityk. Gdyby Alice zechciała tylko z nim porozmawiać.,.

Oczywiście, on nic nie poradzi na uszkodzenie mózgu, to jest nieuleczalne, ale mógłby pomóc Alice wyrazić, co ona teraz czuje. Mówię o siostrze... i lalkach.

- Nie wiem - powiedziała Lally znużonym głosem. - Czy to coś da? - Alice jęknęła cicho i Lally odwróciła się do niej. Zabandażowane ręce drapały prześcieradło. - Pamiętam dzień, kiedy się urodziła. Wie pan, że jej matka zmarła przy porodzie? Druga żona Czarnego Jacka? Także miała na imię Alice. Przez długi czas nikt nie zauważył, że mała nie rozwija się jak normalne dziecko. Była taka piękna i zawsze grzeczna, łagodna. Wszyscy ją kochali. Myśleliśmy, że będzie tylko troszkę spowolniona. Nic więcej.

271

- Nikt z nas nie może nic poradzić na błędy natury - stwierdził lekarz. W jego głosie zabrzmiał smutek, jakby był osobiście odpowiedzialny za chorobę Alice. - Proszę spróbować trochę odpocząć, pani Pollock. Dałem pani Weymouth coś na sen. Musicie postarać się być bardzo delikatni wobec niej. Wydaje się głęboko żałować tego, co zrobiła.

- Żałować? Tak, wiem, że żałuje. Będziemy wobec niej delikatni, doktorze. Nie zranimy Brocka ani Czarnego Jacka. Powiemy chłopcom, że zdarzył się wypadek. Ale nic nie możemy poradzić na to, co usłyszą poza domem.

Doktor Morton przytaknął.

- Będzie się o tym mówić. Dopóki dziecko się nie urodzi, proszę postarać się, by plotki nie dotarły do pani Weymouth. Po porodzie będzie miała więcej siły, by znieść wścibstwo i nieżyczliwość. Z samego rana przyślę pielęgniarkę dla Alice.

- Zostanę z nią. Nie chciałabym, żeby poczuła się po przebudzeniu opuszczona.

Kiedy wyszedł, Lally wyjrzała przez okno. Błady ślad porannego światła pojawiał się na wschodzie, tam gdzie wody cieśniny wlewały się do Atlantyku. Wciąż było zbyt ciemno, by dostrzec grzebienie fal, uderzających o plażę. Alice poruszyła się. Paliła się tylko jedna przyćmiona lampka, a jej blask miękko oświetlał piękną twarz. Ręce, owinięte w bandaże, wyglądały karykaturalnie. Lekarz założył też opatrunek pomiędzy piersiami Alice, w miejscu, gdzie przycisnęła do siebie gorący wosk i palące się szmatki. Wzmocnił opatrunek owijając bandaże wokół ciała. Rozciągli jej tył koszuli nocnej, by nie uciskała i zakryli chorej ramiona. Biała koronkowa koszula. Gdyby twarz Alice chwilami nie kurczyła się z bólu, wyglądałaby tak pięknie, jak zawsze.

- Jak anioł, prawda, pani Pollock? - Niania Williams weszła bezgłośnie. - Dlaczego ta biedna owieczka to zrobiła? Dlaczego pani Weymouth... Och nie, nie mogę jej obwiniać. Wiem, jak bardzo kocha swoją nieszczęśliwą siostrzyczkę. Właśnie zasnęła zmęczona płaczem. Te tabletki od doktora pomogły, ale kiedy się obudzi, znów będzie zrozpaczać. Biedny pan Weymouth. Siedzi tam i trzymają za rękę. Gdyby nie był takim silnym mężczyzną, myślę, że także by płakał. No i pan Shaw. Jemu również lekarz musiał dać coś na sen, bo strasznie charczał i dusił się. On się kiedyś wykończy. I pan Harper nie poszedł do domu. Zasnął w bibliotece. Nie bardzo wyobrażam sobie, w jaki sposób on może tu pomóc.

- Po prostu chce być tutaj. Więc masz dom pełen wymagających opieki inwalidów, nianiu.

- Po to tu jestem, pani Pollock. Rodzina zawsze może na mnie polegać. - Lally wolałaby, żeby słowa te zostały wypowiedziane nie takim tonem. Wiedziała jednak, że niania musi utwierdzać samą siebie w przekonaniu, że jest

niezbędna. - Teraz, pani Pollock, proszę iść i spróbować trochę odpocząć. Obiecałam doktorowi zastąpić panią przy Alice. Kiedy biedaczka się obudzi, zobaczy obok siebie przyjazną twarz. A ja natychmiast pójde panią powiadomić.

- Zameczasz się, nianiu.

272

- Dzięki Bogu, poszłam do łóżka jak tylko lord Grenfell i panicz Jonathan spokojnie zasnęli. Odpoczęłam lepiej niż ktokolwiek z państwa. Pani Pollock, proszę położyć się chociaż na kilka godzin.

Oto potrzeba bycia potrzebnym, pomyślała Lally.

- Dobrze, nianiu. Dziękuję. Proszę obudzić mnie za dwie godziny. Chcę być przy Alice, kiedy się ocknie.

- Tak zrobię, pani Pollock. Proszę się nie obawiać.

Lally stała pod prysznicem i pozwalała wodzie swobodnie spływać po włosach, splukiwać z ciała zapach maści i środków odkażających. Wreszcie wytarła się, mocno trąc skórę ręcznikiem, osuszyła włosy i szeroko otworzyła okno. Krwawo czerwona smuga świtu rozcinała niebo nad cieśniną. Ostrzeżenie dla marynarzy, przemknęło Lally przez myśl. Opadła na łóżko i natychmiast usnęła.

Obudziła się sama. Minęła zaledwie godzina. Przez odsłonięte okna wpadło do pokoju wczesne światło poranka.

Przez chwilę Lally leżała oszołomiona, zastanawiając się dlaczego jest naga i ma mokre włosy. Potem przypomniała sobie Alice. Wstała, założyła kimono i pantofle. Na palcach weszła do pokoju chorej.

Lampka wciąż się paliła, a niania Williams spokojnie drzemała w fotelu. Łóżko było puste.

Najpierw Lally po cichu zajrzała do łazienki. Pusta. Znacznie energiczniej, ale wciąż nikogo nie budząc, ruszyła do pokoju Margaret. Tam także paliło się światło, a Brock spał skurczony w fotelu przy łóżku. Na jego dłoni zaciskały się kurczowo palce Margaret. Zatrzymała się pod drzwiami sypialni Czarnego Jacka i słyszała uspokajające chrapanie. Możliwe, że Edith już się obudziła, ale nocne wydarzenia z pewnością ich wyczerpały. Nie byli już młodzi. Zostawiła ich w spokoju i zbiegła na dół. Hall i pokoje na parterze były puste. Tylko w bibliotece leżał Gerry Harper, chrapiąc równie głośno jak Czarny Jack. Ani jedna służąca nie zjawiała się jeszcze w kuchni. Jeśli strażnicy Brocka patrolowali teren, to robili to w sposób niezmiernie dyskretny. Lally nie zauważyła też żadnego ruchu w stajniach ani garażach. Było zbyt wcześnie. Wróciła na górę. Zanim poszła obudzić nianię Williams, machinalnie otworzyła drzwi do pokoju, gdzie spali David i Jonathan. Ich łóżka także były puste.

Zbiegła na dół i zaczęła gwałtownie potrząsać Gerrym.

- Na Boga, Gerry! Alice i chłopcy wyszli.

- Wyszli? Dokąd?

- Skąd mam wiedzieć? Ale myślę... Boże, Gerry, myślę, że na plażę. Tam zawsze chodziła.
Chwył ją za rękę.

- Nie czekamy na innych. Musimy biec, Lally. Gnać jak diabli.

* *

Na plaży zawahali się.

- W którą stronę? - zapytał Gerry. - Mogła wrócić do ogniska?

18-Obietnice

273

Lally zastanowiła się. Minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny, od poranka gdy Alice podążyła za nią i Margaret - czy może je śledziła? - za zakręt, na przystań Harperów.

- Wczoraj rano poszła z chłopcami na waszą przystań. Margaret i ja właśnie spacerowałyśmy.

- Dobrze, prawdopodobnie znów tam poszła. Ale ty idź w drugą stronę, na wszelki wypadek. Ona jest pewnie półprzytomna. Powinienem był wziąć lornetkę i rozejrzeć się z tarasu, ale mogli już zniknąć za zakrętem. Może powinniśmy byli obudzić pozostałych? Cóż, rozejrzyjmy się najpierw sami. Jeśli jej - ich - nie znajdziemy za kilka minut, będziemy musieli podnieść alarm. Ruszajmy, Lally.

Ogarniał ją coraz większy niepokój. Alice rzeczywiście mogła pójść na plażę, ale równie dobrze mogła powędrować jedną ze ścieżek jezdzieckich pomiędzy posiadłościami. Mogła być wszędzie. Ale niewiele ponad godzinę temu, przypominała sobie Lally, widziała Alice śpiącą po zastrzyku z morfiny. Czy było możliwe, że chłopcy wyszli sami? A Alice? Może Alice zaszyła się w jakimś cichym kącie tego ogromnego domu? Dlaczego nie obudzili wszystkich? Wątpliwości, strach i nadzieja towarzyszyły Lally, gdy biegła wzdłuż plaży. Mogła wyobrazić sobie panikę i krzyki, gdyby podniosła na nogi cały dom. I właśnie to ona i Gerry powinni byli zrobić. Czy był czas wracać? Z coraz większym trudem łapała oddech. Ciało złane było potem, mięśnie łydek bolały od biegu po miękkim piasku. Dzień będzie lepki i gorący. Będzie... Już miała zawrócić. Wtedy wpatrzyła się bacznie. Poranne słońce odbijało się w falach jak w milionie lusterek. Światło było miejscami oślepiające. Czy wyobraziła sobie trzy jasne głowy tam, pośród fal, czy to gra światła na wodzie? Nie... Ależ tak. Podnosili się i opadali jak w tańcu, huśtając się wraz z ruchem fali. Trzy jasne głowy, dokładnie tak, jak widziała je wczoraj rano, gdy skakali i tańczyli wśród fal. Znów zaczęła biec. Tak, teraz była pewna. Cała trójka. Zatrzymała się i obejrzała na Gerry'ego, ale nie mogła go nigdzie dostrzec. Możliwe, że był już za zakrętem. Ale to nie miało znaczenia. Znalazła Alice i chłopców.

Gdy się zbliżyła, zrozumiała, że coś jest nie w porządku. Alice stała zanurzona po piersi w wodzie, oblepiały ją mokre włosy i resztki koszuli nocnej. I były dwie jasne głowy chłopców. Alice trzymała ich mocno. Trzymała ich na głębokości, gdzie nie mogli dotknąć gruntu. Te dwie jasne główki huśtały się na wodzie, uderzając o fale, jakby nieświadome, co się z nimi dzieje. Groteskowe, zabandażowane ręce wyglądały jak białe kije. Jasne główki sterczały po bokach Alice, jak wciśnięte pod pachę kukielki.

- Alice! - Lally krzyczała z całych sił, ale dźwięk rozplywał się na wietrze.-Alice!

Zaczęła przedzierać się przez fale. Ogarnął ją paralizujący strach.

- Alice, puść ich! Puść ich!

Poczuła całą grozę sytuacji. Dla dobrego pływaka fale odpływu niewiele by znaczyły, ale ona nigdy nie nauczyła się pływać tak swobodnie jak Amerykanie, tak swobodnie, jak Alice, jak chłopcy. Tylko że chłopcy nie mogli wykorzystać

274

teraz tej umiejętności. Byli unieruchomieni w uścisku silnych ramion obłąkanej kobiety.

- Alice! O Boże Gerry! - Dlaczego Gerry nie przychodził? Przedzierała się przez fale z narastającą paniką, którą zawsze budziły w niej

wzburzone fale. Słona woda szczypała pod powiekami. Wreszcie dosięgnęła Alice i szarpnęła ją za ramię.

- Puść ich! Słyszysz mnie? Puść ich!

Zwróciły się w jej stronę puste oczy. Z wysiłkiem, by nie dać przewrócić falom, Lally wymierzyła cios w uśmiechniętą twarz. Nikt nigdy dotąd nie uderzył Alice. W błędnym wzroku chorej pojawił się błysk rozpoznania. Ponad hukiem fal uniósł się jej krzyk. Otworzyła ramiona i głowy chłopców były wolne. Wolne? Jednego odrzuciła cofająca się fala. Miotła bezwładnym ciałem obracając je i unosząc za sobą. Drugi zaczął płynąć w stronę plaży, półprzytomny ze strachu i zmęczenia. Lally rzuciła się za tym, którego porwało morze. Zagłębiała się w koszmar spienionej i dławiącej wody, niżej i niżej, a potem fala znów ją wyrzucała. Jasna główka zgubiła się gdzieś w kipieli białej piany i zielonej wody. Lally miotała się, oślepiąca.. Walczyła z czymś, co było ludzkim ciałem. Złapała się czyjeś nogi i wypłynęła na powierzchnię. Ujrzała twarz Alice rozjaśnioną obłąkanym uśmiechem. Gdzie była ta druga głowa? Lally wydawało się, że zauważyła ją tam, w zielonych otchłaniach, gdzie słońce iskrzyło się oślepiająco. Ale nie, nie tam. Może tam. Gdzie? Z trudem odwróciła się do Alice.

- Gdzie? - wrzasnęła. Pytanie było bezcelowe. Alice poddawała się uderzającym w nią falom, wznosiła się z nimi trochę, opadała na piasek, gdy się oddalały. Rozcięta koszula odpłynęła porwana przez morze. Fale zaczynały rozdzierać bandaże na piersi i rękach. Wkrótce opatrunek został zmyty. Alice stała wśród spienionej wody dziewicza, a mimo to naznaczona.

- Alice, pomóż mi. Pomóż mi znaleźć drugiego.

Jasna głowa kiwała się rytmicznie. Ciało wznosiło się i opadało z każdą kolejną falą. Zdawało się, że Alice świetnie się bawi. Nie słyszała, co powiedziała Lally.

Lally próbowała nurkować, ale nie potrafiła. Gubiła się w tych zielonych odmętach, i za każdym razem, gdy się wynurzała próbując złapać trochę powietrza, kolejna fala nadchodziła i zalewała jej twarz. Nagle Lally poczuła, że wsysa ją jakiś ostry wir, wciąga w głąb. Tonęła. I wtedy duża fala wyrzuciła ją w stronę plaży. Lally zaczęła

wypelzać na brzeg. Byle tylko wydostać się poza zasięg bezlitosnego morza. Każdy miesiąc trząsał się i napinał, gdy próbowała podnieść się z klęczek. Mały chłopiec stał na plaży, płacząc z przerażenia. To nie był jej syn. Jonathan zniknął w otchłani spienionej wody.

*

* *

Stała przez jakiś czas bezmyślnie wpatrzona w morze, aż ogarnęła ją wściekłość, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Jej piękny syn, syn Jona, był gdzieś tam,

377

w kłębowisku zielonej wody. Lally wpatrywała się w postać Alice, wesoło podskakując przy każdej fali. Raz jeszcze przedarła się przez wodę. Najpierw Alice roześmiała się na widok siostry. Po chwili jednak w jej wzroku pojawił się lęk. Lally złapała ją za ramię. Nawet w chwili wściekłości i bólu, nie była w stanie zadać cierpienia, jakie sprawiłoby dziewczynie dotknięcie jej poparzonych rąk. Nie chciała mieć nic wspólnego z Alice, ale nie mogła zostawić jej samej w wodzie.

- Alice! Chodź!

Głos Lally przeszedł we wrzask. Niemo, potulnie Alice posłuchała. Wyszły na brzeg, gdzie stał szlochający chłopiec. Bluza jego piżamki była porwana.

- Dlaczego to zrobiłaś, Alice? - płakał. - Powiedziałaś, że tylko trochę popływamy. A potem nas trzymałaś!

Alice potrząsnęła głową.

- Jestem poparzona, Davidzie. - Odwróciła się błagalnie do Lally. - Lally tak mnie bolało. Palilo. Woda była chłodna. Chłopcy zawsze chodzili ze mną, a teraz nie chcieli zostać. Musiałam ich zatrzymać, żeby zostali, bo wiem, że nie wolno mi być samej.

Lally próbowała zapanować nad uczuciem grozy. Nie była w stanie zmusić się do powrotu do tej zielonobiałej wody. I nie mogła zostawić Davida z Alice samego. Złapała siostrę za ramię, a trzęsącego się ze zdenerwowania chłopca za rękę.

- Biegiem - rozkazała.

- Ale gdzie jest Jonathan? - krzyknął David.

- Znajdziemy Jonathana - odpowiedziała. - Szybko!

Chwiejnie biegli po piasku. Lally nagle stwierdziła, że jest naga, podobnie jak Alice. Kimono zniknęło podczas walki z falami.

- Znajdziemy Jonathana - powtórzyła, by pocieszyć szlochające dziecko. Nogi jej drżały, gdy ponaglała ich do pośpiechu. Próbowwała trzymać się miejsc obmywanych przez fale, gdzie piasek był twardszy. Wściekłość i ból gotowały się w niej. W pewnej chwili rozpoznała biegnącą ku nim postać. Silnego, wysportowanego mężczyznę, który lato spędził wśród dzikiej głuszy, nadzorując wydobycie miedzi w swoich kopalniach.

- Lally! - Mój Boże! Gdzie jest Jonathan?

- Tam! - Gwałtownie szarpnęła głową w kierunku oceanu. - Dlaczego nie było cię ze mną, Geny? Mogłeś go uratować. Mogłeś go uratować, ale poszedłeś w drugą stronę!

V

Gdy wiadomość o tragedii rozeszła się po okolicy wydawało się, że każda łódka, każdy jacht z północnego wybrzeża, wyruszyły na poszukiwania. Przez cały poranek cieśnina rozbrzmiewała nawoływaniem, krzykiem, hałasem. Lally, otepiąta z bólu, zastanawiała się, po co to wszystko. Koło południa przyniesio

276

no ciało jej synka, nie tknięte przez żadną rybę, nie poranione uderzeniami

0 burty jachtów. Czarny Jack przyszedł jej powiedzieć. Jonathan leżał na łóżku w jednym z bezosobowo urządzonych pokoi gościnnych, daleko od przytulnej sypialni, którą zawsze dzielił z Davidem. Uczesali jego wciąż mokre włosy

1 Lally mogła dostrzec w nich ziarenka piasku. Założyli mu białą koszulkę. Reszta ciała przykryta była prześcieradłem. Niania Williams płakała, klęcząc obok łóżka.

- Och, pani Pollock, jeśli może mi pani kiedykolwiek wybaczyć...Zasnęłam. Nigdy nie powinnam była zostawiać jej samej. Ale kto mógł przypuszczać...?

Lally nie była w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Patrzyła na opuchniętą od łez twarz kobiety i czuła, że ogarnia ją litość. Wyrzuty sumienia będą prześladować tę kobietę do końca życia. Wszyscy gdzieś zniknęli. Czarny Jack wyprowadził z pokoju nianię Williams i wrócił po cichu. Lally stała i patrzyła na Jonathana. Patrzyła i patrzyła, próbując na zawsze zapamiętać najmniejsze szczegóły twarzy swego synka. Był jasny, piękny i młody. I był martwy. Weszła Edith i delikatnie dotknęła ręki Czarnego Jacka.

- Margaret zaczęła rodzić.

Lally krzyknęła. Była wstrząśnięta, słysząc gwałtowność własnego głosu.

- Boże! - Czy nie możemy mieć chwili spokoju!

*

* *

Tej nocy nie było spokoju w Whytecliffe. Poród był równie ciężki jak dwa poprzednie. Margaret walczyła, Lally widziała to podczas krótkiej wizyty w jej pokoju, by powstrzymać się od krzyków. Czasami jednak ból zwyciężał i elegancka sypialnia rozbrzmiewała wrzaskami tak prymitywnymi, jakie znało każde prostackie mieszkanie. Doktor Morton wezwał ginekologa z Manhattanu i obaj nerwowo krążyli po pokoju albo też przysiadali na parę minut na tarasie, podczas gdy akuszerka mierzyła Margaret długość przerw między skurczami. Druga pielęgniarka siedziała przy Alice. Alice była bardzo spokojna. Dostała sporą dawkę narkotyku, który całkiem ją znieczulił. Tej nocy w Whytecliffe dwie kobiety cierpiały straszliwą mękę. Lally, słuchając jęku Margaret, wiedziała, że także pragnie krzyczeć. Dać ujście bólowi i żalości. Ale ani krzyk, ani łzy nie przychodziły.

- Och, Lally! - wołała Margaret. - Przyprowadźcie Lally!

Kiedy Lally pochylała się nad nią, Margaret ścisnęła jej rękę z siłą, o jaką nikt by tak delikatnej kobiety nie posądzał.

- Lally, przepraszam" Przepraszam! Gdybym nie spaliła tych zabawek, to by się nigdy nie stało. Lally, gdybym tylko mogła oddać ci Jonathana.* Gdybym tylko mogła ofiarować ci to dziecko.

- Przyj - powiedziała szorstko Lally, widząc, że zaczyna się kolejny skurcz. -Przyj. Im wcześniej urodzisz, tym szybciej potem dojdiesz do siebie. Brock chce cię mieć zdrową i silną.

380

Margaret odmówiła przyjęcia leków przeciwbólowych poza niezbędnym minimum.

- Nie chcę urodzić dziecka, nie wiedząc, co się dookoła dzieje. Muszę to wynagrodzić.

- Wynagrodzić? Co musisz wynagrodzić?

- Muszę spróbować. Muszę spróbować być... lepsza. Lally, wybac mi. Przejdę przez to, jeśli będę wiedzieć, że mi wybaczasz.

Lally pochyliła się i pocałowała jej spocone czoło.

- Nie ma nic do wybaczenia. Nie mogłoby być. Jesteś córką Czarnego Jacka.

To była prawda. W Lally ciągle żyło wspomnienie tej nocy, kiedy zwinęła się na krześle Czarnego Jacka, nocy, kiedy zmarła matka Alice, nocy, kiedy mała dziewczynka obiecała zaopiekować się nimi wszystkimi. Patrzyła na udreżoną, wyczerpaną twarz Margaret.

- Zapomnij o tym. Zapomnij o wszystkim. - Powtarzała te słowa wiele razy, bo tego od niej oczekiwano. Ale teraz gdzieś w głębi własnego bólu odkryła zaczątek prawdy. - Zapomnij o wszystkim, co się stało. Musisz urodzić dziecko Brocka. Jesteś mi to winna. Mnie, Brockowi i Czarnemu Jackowi jesteś winna zdrowe, silne dziecko. To wszystko, co musisz zrobić.

Margaret zacisnęła usta, by nie krzyknąć. Kiedy skurcz minął powiedziała słabym głosem:

- Zrobię to, Lally. Zostaw mnie teraz.

Nie wzywała już Lally ani w ciągu nocy, ani następnego dnia rano. Wreszcie w gorące popołudnie urodził się drugi syn Brocka.

Przyszedł na świat cztery tygodnie przed terminem, ale był silny i zdrowy. Lally wzięła go na ręce, sprawdzając czy nic mu nie dolega. Nie patrzył na nią, ale jego ciemnoniebieskie oczy były identyczne jak u ojca. Miał czoło Brocka i, odmiennie niż jego dwaj bracia, ciemne, gęste włoski. W małej twarzączce zdumiewał brak dziecięcej okrągłości. Była szczupła i miała dorosły wygląd.

- Chciałabym - wyszeptała Margaret - móc oddać go tobie. Lally zdołała się słabo uśmiechnąć.

- Nie, to jest dziecko Brocka aż po czubki palców. Spójrz, Margaret, jak on się mnie trzyma. Patrz, jak mnie ściska.

Będzie człowiekiem czynu, dokładnie jak jego ojciec. Będzie tak silny jak Brock i prawdopodobnie dwa razy sprytniejszy, o ile go nie rozpuścisz. Jeśli pozwolisz, żeby stał się maminsynkiem, nigdy ci tego nie wybaczę.

- Więc zgódź się nadal przyjeżdżać i mieć pieczę nad nim i nade mną, dobrze, Lally? Żebym zdołała dotrzymać słowa. - Łzy słabości napłynęły jej do oczu.

Lally oddała dziecko pielęgniarce.

- Zaśnij. Będę przyjeżdżać.

Znużona zeszła na dół, gdzie Czarny Jack, Edith i Brock siedzieli w milczeniu na tarasie. Obietnica ciągle miała moc, odnawiana z każdym pokoleniem. Nie przysięgała tylko na jakiś czas, ale na zawsze. Myślała o młodej kobiecie,

382

która właśnie dała życie dziecku i o drugiej młodej kobiecie, która leżała w głębokim śnie narkotycznym, z obandażowanymi rękoma przywiązany do poręczy łóżka, by powstrzymać chorą od zdzierania opatrunków. Wybaczenie musiało objąć je obie. Czarny Jack z niepokojem podniósł głowę. Jego spojrzenie było prawie błagalne.

- Masz kolejnego ślicznego wnuka, ojczy. - Spojrzała na Brocka. - Powinieneś być dumny z Margaret - dodała.

Brock wstał, ujął Lally pod ramię i delikatnie poprowadził wzdłuż tarasu. Odwrócił ją twarzą w kierunku ogrodów, gdzie spryskiwacze odświeżały-zieleń, ratując ją przed palącym upałem letniego popołudnia. Nie pozwolił Lally patrzeć na morze, jakby chciał wymazać z jej pamięci obraz wczorajszego poranka. Ale w głębokim cieniu rozłożystych drzew Lally mogła zobaczyć białą suknię niani Williams i zgarbioną postać Davida, siedzącego obok w pełnej rezygnacji pozie. Mały Dan rozpoznał ojca i zaczął biec ku nim przez trawnik.

- Gdybym mógł oddać życie tego nowego dziecka za Jonathana, zrobiłbym to, Lally. Naprawdę.

Patrzyła, jak bierze syna w ramiona.

- Nie. Ich nie można wymienić. To niemożliwe. Jeden nie równa się drugiemu. Ten maleńki, to cały ty, Brock. Tak jak Jonathan to był cały Jon. Dlatego jeszcze bardziej mi ciężko. Ostatnie wspomnienie Jona odeszło. Teraz tylko twój i Margaret synowie będą kontynuacją, przedłużeniem życia Czarnego Jacka. Bo nie pozostało już nic z Jona.

* *

Dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu Jonathana zamknięto orzeczeniem o przypadkowej śmierci w wyniku utonięcia. Zgodnie ze świadectwem doktora Mortona i psychiatry Alice została uznana za niezdolną do udziału w przesłuchaniu. Lally zeznała przed koronerem, że poszła szukać Alice i chłopców, a kiedy już się zbliżała, zobaczyła że jej syn ma jakieś kłopoty. Nie powiedziała ani słowa o tym, że Alice mocno trzymała obu chłopców na takiej głębokości, gdzie sama mogła stać spokojnie, ale dzieci nie miały już gruntu pod nogami. Opisała swoje próby ratowania syna.

- Czy panna Pollock starała się pani pomóc?

- Trudno to tak określić. Na tyle, na ile mogła. Nadal bardzo cierpiała i była pod wpływem morfiny. Zdawała się niewiele rozumieć z tego, co się wokół niej działo. Sama musiałam wyprowadzić ją na plażę.

Zeznanie przyjęto bez dalszych pytań. Koroner złożył wyrazy współczucia. Czarny Jack mocno trzymał ramię Lally, wyprowadzając ją z niewielkiej sali sądowej.

279

Lally odrzuciła propozycję pochowania Jonathana na Long Island.

- Nie, chcę go pochować w domu. Obok Jona.

Więc Czarny Jack i Mark Shaw odpłynęli razem z nią statkiem, w którego ładowni umieszczono kasetę z ciałem Jonathana. Postanowiono, że Edith zostanie u Weymouthów, aż Alice będzie w stanie podróżować. Lally żyła jakby w transie. Do kajuty przynoszono jej posiłki, ale nie mogła nic jeść. Stwierdziła że chociaż pragnie świeżego powietrza, nie jest w stanie znieść widoku morza bezkresnego, otaczającego ją ze wszystkich stron. Zbyt często zdawało jej się że widzi jasnowłosą głowę wśród białych grzywiastych fal. Potrzeba ruchu wyprowadziła ją jednak kiedyś wcześniej rano na pokład. Znalazła tam Marka Shawa Spacerowali, przeważnie milcząc. Przemierzali pokład tam i z powrotem Miał dwie mile. Gdy po raz kolejny zbliżyli się do rufy, Lally zmusiła się, by nie patrzeć na spienioną wodę.

- Co będzie pan teraz robił? Wstyd mi, że wcześniej nawet nie zapytałam.

- Co będę robił? Nie jestem pewien. Nie mogę wrócić do pracy w szkole Rozważam pewną ofertę. Ofertę pana Weymoutha.

- Co by pan dla niego robił?

- Zaproponował, że mógłbym zostać kimś w rodzaju prywatnego sekretarza. Poufnego sekretarza, jak on to nazwał. Uczyłbym również lorda Grenfella Pan Weymouth chce, żeby chłopiec był w pełni przygotowany do nauki w Eton. Co do tych obowiązków, nie mam wątpliwości. Nie bardzo natomiast rozumiem na czym miałyby polegać prace sekretarza. Wall Street nie jest moją domeną i mam pewne wątpliwości, czy mógłbym być użyteczny. Byłbym również odpowiedzialny za sprawy finansowe Whytecliffe. Myślę... Cóż, myślę, że to jest jakieś wymyślone stanowisko, żeby zatrzymać mnie na Long Island. Kawalek Anglii dla lorda Grenfella. Czasem towarzystwo dla pani Weymouth. Uczyłbym Dana abecadła, a lord Grenfella zapoznawał z Wergiliuszem. Ale to mogłoby być... interesujące, bo mieszkałbym w Whytecliffe.

Brock nigdy nie przestanie, pomyślała Lally. Starał się każdego z nich wciągnąć na wszelkie możliwe sposoby do swego kręgu. Otoczyć Margaret wspomnieniami domu. Spojrzała na napiętą, zmęczoną twarz młodego mężczyzny. Przypomniała sobie, że nie zwołała kroku, zapominając, że Mark Shaw utyka Ale on mimo to dotrzymał jej kroku. Zostanie kupiony przez Brocka. Podda się Będzie uczył Davida greki i łaciny, a Dana nazw roślin i ptaków. Ugrzęźnie na zawsze, ucząc potem to nowe, jeszcze nie nazwane dziecko, kiedy nadejdzie jego pora. Będzie tam tkwił przy boku Margaret, kiedy zapragnie ona bardziej pobudzającej rozmowy niż pogaduszki z nianią Williams. Nie myślała o młodym nauczycielu od tej nocy na plaży, gdy Alice poparzyła sobie ręce. Uświadomiła sobie, że była

bardziej niż inni winna traktowania go jak służącego jak kogoś wystarczająco kulturalnego i wykształconego, by zasiadać z nimi przy stole ale jednocześnie zobowiązanego do wszelkich posług, pilnowania chłopców, szukania rakiet tenisowych Margaret czy przynoszenia jej martini.

- Mógłbym nawet... - Jego śmiech nie miał w sobie nic z beztroskiej wesołości. - Mógłbym nawet zdobyć pieniądze na Wall Street. Wszyscy zdają się to robić.

385

- Jeśli zamierza pan wrócić do Stanów, to czemu jest pan teraz tutaj z nami?

- Myśli pani, że mógłbym pozwolić jechać państwu samym? Że nie pozostanę z panią do samego końca? Jonathan był pod moją opieką. Obwiniam się, że zasnęłam tamtego ranka. Mój pokój był przecież obok sypialni chłopców. Ale wtedy akurat poprosiłem, doktora o coś na sen. Miałem... Miałem kłopoty z oddychaniem. A powinienem był słyszeć, co się dzieje.

- To nie była niczyja wina - stanowczo powiedziała Lally. - Nikogo nie można tu oskarżyć, a zwłaszcza nie wolno nam obwiniać Alice.

- Alice nigdy więcej nie może zostać sama - równie stanowczo powiedział Mark Shaw. - Niczego jeszcze się państwo nie nauczyli? Czy wszyscy jesteście ślepi na niebezpieczeństwo, jakie ona stwarza dla siebie i dla innych? Dlatego, że ją kochacie? To głupota. Musicie państwo chronić przed jej obłędem innych, ale i ją samą.

- Zatrudnienie jakiejś... opiekunki złamałoby serce memu ojcu.

- Więc trzeba je złamać. Ja sam mam nadzieję nigdy więcej już Alice nie widzieć.

Został Lally raptownie odwracając się i odszedł w przeciwnym kierunku. Kiedy był zmęczony, jego utykanie stawało się wyraźniejsze.

Padło, kiedy dotarli do Southampton i padało w czasie całej podróży do Yorkshire. W tym deszczu jest coś symbolicznego, myślała Lally. Dlaczego cały świat nie miałby płakać razem z nią? Padało nadal, gdy chowali Jonathana obok jego ojca na cmentarzu w Pellham Langley. Przyszła cała wioska. Tłum rozstępował się przed nimi, gdy Czarny Jack prowadził Lally pod ramię do samochodu. Billings wyglądał na starego, chorego, pochylonego wiekiem. Ale sam obsługiwał państwa, kiedy wrócili do domu. Przyniósł whisky, o którą poprosił Czarny Jack, i szklanki także dla niej i dla Marka Shawa. Ale nie mówił o Jonathanie.

- Pamiętam, panienko Lally jakby to było wczoraj. Pamiętam noc, kiedy sir John przyniósł panienkę tutaj i nikt z nas nie myślał, że przeżyje panienka do rana. - Wspominał historię uratowania życia, nie chcąc mówić o śmierci.

- Długą drogę przeszliśmy od tamtego czasu, Billings - powiedział Czarny Jack. Wmuszał alkohol w Lally. - Wypij to. Wyglądasz na przemarzniętą.

- Przemarzniętą? Ależ jest dopiero sierpień - odpowiedziała. - **i** znów opuściłeś otwarcie sezonu łowieckiego.

- Zdaje się, sir, że od czasu tego polowania, do którego w końcu nie doszło, gdyż wybuchła wielka wojna, nie mieliśmy już nigdy prawdziwego sezonu. Nic już nie było takie samo od tamtej pory. - Wycofał się z pokoju.

Czarny Jack gwałtownie odwrócił się plecami do ognia. Zdawał się być nieświadom obecności Marka Shawa.

- Żałuję, że nie poślubiłaś Gerry'ego Harpera- oświadczył. Jego ton był prawie gniewny. - Przynajmniej miałabyś jakieś życie. Dzieci. Mogłabyś stworzyć dom.

281

Mark Shaw zaczął podnosić się, zakłopotany. Niecierpliwym gestem kazała mu zostać.

- Nie można wyjść za kogoś tylko po to, żeby mieć dzieci. Lubię Gerry'e-go, ale on nie jest Jonem.

- Jon nie wróci. Ani Jonathan - chrapliwie powiedział Czarny Jack. Na jego twarzy odmalował się ból. - Musisz pogodzić się z tym, Lally. Co będziesz teraz robić?

- To co zawsze - pracować.

Rozdział czternasty

I

Lally towarzyszyła Czarnemu Jackowi do Southampton, kiedy na pokładzie „Cunardera” przypląły Edith i Alice. Lally była tam, ponieważ wiedziała, że musi.

- Oczywiście, że pojadę - odpowiedziała, kiedy Czarny Jack o tym napomknął. Nigdy wcześniej nie musiałby pytać. Jakaś na poły martwa część jej istoty obawiała się widoku Alice. Lally powiedziała co prawda, że nikt nie powinien ani nie może winić Alice, ale sama nieprzerwanie walczyła z koszmarem. Nie opuszczał jej obraz dwóch jasnych główek przyciśniętych do boków chorej dziewczyny z siłą wzmożoną przez narkotyki i ból. We śnie i podczas długich bezsennych godzin Lally wciąż i wciąż walczyła o Jonathana. Cichy głos sumienia dręczył ją wątpliwościami, czy gdyby w tych straszliwych chwilach wiedziała, który chłopiec jest jej synem, nie uwolniłaby najpierw Jonathana? Nigdy nie pozwalała też sobie rozważać, na ile odpowiedzialna była wtedy Alice. Wiedziała, że było to kolejne pytanie, którego nie wolno zadawać.

Przywitała Alice jak zawsze, a Alice rzuciła się jej w ramiona.

- Och, tęskniłam za tobą. - Potem wyciągnęła przed siebie ręce. - Spójrz, Lally, spójrz! Ślady nie zniknęły. Co rano patrzę, czy nie zniknęły, ale one zawsze są.

Lally obejrzała dokładnie wyciągnięte dłonie, jak ufnie oczekiwała tego Alice. Potem ujęła je i pocałowała zsiniałe blizny. Widziała podobne oparzenia na wojnie, gdy czasem w pośpiechu ktoś dotknął rozpalonego metalu dział. Pomyślała o cierpieniu biednej dziewczyny, kiedy Margaret wrzuciła lalki do ognia. Jej rozpacz musiała być równie silna co emocje oszałamiające żołnierza na polu bitwy, by popchnąć ją do ratowania ukochanych stworów mimo takiego bólu. Lally spojrzała na piękną, niewinną twarz i utwierdziła się w przekonaniu, że tamtego dnia Alice nie wiedziała, co robi. Szukała ukojenia w chłodnej wodzie i zabrała ze sobą chłopców. Traktowała ich, jak swoje lalki, gwałtownie przytulając do siebie. Lally przyszło do głowy, że Alice nigdy w pełni nie pojęła różnicy mię-

dzy chłopcami a ulubionymi stworkami. Kochała ich z równą namiętnością. Nie zrozumiała, że zniszczyła jednego z nich. Lally wiedziała, że od tej pory będzie w to wierzyć. Przystanie analizować dręczące pytania. Odnajdzie spokój.

- Kochanie - powiedziała łagodnie - kiedyś wreszcie się zagoją. Zobaczmy, czy możemy im w tym pomóc.

Alice rozpromieniła się.

- Wiedziała, że coś wymyślisz. Powiedziałam: Lally je wyleczy, prawda? Lady Mama?

Edith uśmiechnęła się słabo.

- Tak, kochanie. Tak powiedziałaś.

Kobieta w skromnym płaszczu i kapeluszu wyłoniła się zza ich pleców.

- A teraz, panienko Alice, zbierzemy nasze rzeczy i wyjdziemy na ląd. Wracasz do siebie, kochanie. A ja zobaczę w końcu ten wielki dom i zwierzęta w ogrodzie, prawda?

Twarz Alice przybrała lekko onieśmielony wyraz. Dziewczyna popatrzyła na Edith i ojca, a potem na nie znaną Lally kobietę.

- Tak, Barnes. Jedziemy do domu.

Edith odciągnęła Lally na bok, kiedy wynoszono ich podręczny bagaż.

- Musieliśmy zabrać tę Barnes. Brock na to nalegał. Alice nigdy nie można zostawić samej. Myśleliśmy, że sami damy sobie radę, ale ktoś może zasnąć. Jak niania Williams. Barnes będzie sypiać w pokoju Alice. I musimy znaleźć jeszcze kogoś na zmianę, ponieważ Barnes nie może pilnować jej siedem dni w tygodniu przez całą dobę. Kogoś dyskretnego i delikatnego. Alice nie może się przestraszyć. To złamałoby serce twemu ojcu. - Położyła ręce na ramionach Lally. Pamiętasz jak to było, dziecko? Jak doskonale spisałaś się tamtego roku? Zawsze wiedziałam, że zdolna jesteś dokonać wspaniałych rzeczy. Wiem, że twoje serce zostało złamane. Nic ci nie pozostało. Pomóż mi uratować to, co mogę, dla Jacka. Pomożesz mi, Lally?

- Zawsze. - Kolejna obietnica została złożona.

Pojechała z nimi do Pellham Langley, ponieważ chciał tego Czarny Jack. W Leeds czekał na nich Billings z dwoma samochodami.

- Witam w domu, proszę pani. Witam w domu, panienko Alice.

Kiedy znaleźli się w Pellham Langley, Alice wpadła jak burza do ogromnego hollu.

- Jonathan! Gdzie jesteś? To ja. Alice. Wróciłam. Wróciłam. Jonathan, chodźmy zobaczyć królika i kota, i psa.

Jonathan...? - Wbiegła po schodach. Słyszeli, jak wołała w korytarzu na pierwszym piętrze. - Jonathan? Chowasz się przede mną. Mark, przyprowadź Jonathana!

Barnes niepewnie ruszyła śladem swojej podopiecznej. Ręka Czarnego Jacka poruszyła się w powstrzymującym geście.

- Nie trzeba. Zna ten dom. Tu nie może zrobić sobie krzywdy. Usłyszeli odległy głos Alice z dziecinnego pokoju. Wreszcie zeszła z powrotem na dół.

- Gdzie oni są?

284

Lally ujęła pokryte bliznami ręce.

- Mark pojechał do Ameryki. Żeby być z Davidem, Margaret i Brockiem. Alice zdawała się rozumieć tę informację. Minęło kilka chwil, zanim zadała następne pytanie.

- Jonathan? A gdzie jest Jonathan?

- Jonathan... - Lally nie była w stanie patrzeć jej w twarz, więc chwyciła ją mocno w ramiona. - Jonathan umarł, Alice. Rozumiesz co to znaczy, że ktoś umiera?

Alice wyszarpnęła się z uścisku Lally.

- Umarł? Jak Teddy Rose i Madame Butterfly, i Raggedy Anne? Umarł jak oni? Czy to zrobiła Margaret?

- Nie kochanie. Margaret tego nie zrobiła. To był... to był wypadek, Alice. **Uciekła** od nich. Słyszeli jej krzyk, gdy wbiegała po schodach.

- Jonathan? Teddy Rose? Nie umarli. Nie umarli!

Tym razem, kiedy Barnes pobiegła za nią, Czarny Jack nie zaprotestował.

II

Jesień zmieniła się w zimę, a Lally ledwie zauważała coraz krótsze dni i chłód, przywiewanego wiatrem deszczu smagającego jej twarz. Przestała jeździć regularnie do Pellham Langley. Nawet miłość dla Czarnego Jacka nie pomogła. Nie czekał już tam na nią mały Jonathan, nie było „niespodzianek”, po które wyciągałaby **raczki**. Była natomiast rozgorączkowana Alice o nieprzytomnych oczach.

- Jonathan? - dopytywała się, ale z coraz mniejszą nadzieją.

Za radą londyńskiego psychiatry nie zamierzali nic robić z bliznami po oparzeniach na jej rękach.

- Ból zabiegu byłby olbrzymi - tłumaczył lekarz - i możliwe, że okazałby się bezcelowy, ponieważ usunięcie szram nie zawsze się udaje. Przez lata one nieco wyblakną. Cierpienie i groza operacji mogą natomiast rozbudzić emocje,

które doprowadziły do tych oparzeń. Lepiej pozwolić, żeby jej ręce źle wyglądały niż żeby biedna dziewczyna znów miała zacząć zadawać pytania. Na razie pozwólmy organizmowi samodzielnie wracać do względnej równowagi. Może za rok, kiedy będzie spokojniejsza... zbadamy dokładniej jej umysł. Ale proszę nie robić sobie fałszywych nadziei, sir John. W wieku pańskiej córki takie uszkodzenie mózgu jest nieodwracalne. Po co rozbudzać jej emocje? Lęki? Jest teraz łagodna i prawdopodobnie pozostanie taka przez resztę życia, jeśli tylko żaden okropny wypadek nie odbezpieczy jej gniewu i strachu. Zrobił pan dla swojej Alice więcej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. I uczynił pan to tylko za pomocą miłości. Był pan rozważny i kochający. Zarozumiałstwo lekarzy mogłoby zniszczyć te osiągnięcia.

Czarny Jack przekazał tę opinię Lally i przyjął jako ostateczny werdykt. . - Spróbuj przyjechać, kiedy będziesz mogła, Lally - prosił. - Tęsknimy za tobą. - Mógł powiedzieć: potrzebujemy cię, ale nie zrobił tego.

390

Susie zarzucała ją wciąż narastającymi obowiązkami, jakby chciała sprawdzić, jak wiele Lally jest w stanie wytrzymać. Dla odrętwiałego, otumanionego umysłu, praca stanowiła ulgę. Dużo łatwiej było wypełnić dzień różnymi zajęciami, niż spędzać samotnie czas na rozpamiętywaniu swojej tragedii. Susie rozmawiała z przyjaciółką uprzejmie, ale bez ogródek.

- Lally, miałaś parszywego pecha. Ale rozejrzyj się. W tym kraju żyje kilka milionów kobiet, które straciły szansę na małżeństwo, ponieważ ich mężczyźni poszli na wojnę. Ty miałaś Jona i miałaś dziecko. Umarli. Ale kiedyś ich miałaś. Musisz pamiętać, że był czas, gdy ktoś cię kochał. Miałaś kiedyś dziecko. Pomyśl o niezamężnych, bezdzietnych kobietach rozsianych po całej Anglii. Cóż, ja jestem jedną z nich. Nie chciałabyś być mną. Prawda? Czasem Lally myślała, że chciałaby być właśnie taka jak Susie. Susie świat sprowadzał się całkowicie do jej pracy, a praca jej się odpłacała. Inteligentne, kreślone z wyczuciem projekty, nigdy nie za bardzo awangardowe, by odważyła się je nosić zwykła kobieta z prowincji, znajdowały swój rynek. Etykieta „Susie” zaczynała być znana i poszukiwana. Nie było to imię, które mówiło wiele przeciętnej klientce, dla której projektowała stroje pani Bario w, ale znali je właściciele salonów mody przy głównych ulicach małych i większych miast.

- Ona jest szatańsko sprytna - powiedział kiedyś Julian do Lally. - Całkowita prostota fasonu uspokaja kobietkę z ulicy, że nie jest zbyt ekstrawagancka. Ale przez problemy prostoty najtrudniej jest przejść zwycięsko. Każdy głupiec może dodać wszędzie falbanki i kokardki. Jeśli twój ojciec i Brock Weymouth pozostaną przy niej, prawdopodobnie zrobi fortunę.

- Nie wydaje mi się, żeby Susie naprawdę zależało na fortunie. Ona po prostu chce odnieść sukces. Brwi Juliana się uniosły.

- Jak można mieć jedno bez drugiego?

- Och, nie wiem. Susie ma więcej satysfakcji z widoku którejś ze swych sukienek na ulicy, niż ze wzrostu sumy na koncie bankowym.

*

* *

Sprowokowana tym, co Susie powiedziała o niezamężnych i bezdzietnych kobietach, Lally starała się wydobyć z nastroju bliskiego depresji. Walczyła, by przestać litować się nad sobą, odegnąć uczucie otaczającej ją samotności. Znajomi, których ledwie pamiętała z londyńskiego sezonu i lat późniejszych, nagle pojawili się wokół niej i próbowali zostać przyjaciółmi. Przyjęcia i obiady raz jeszcze stały się częścią życia Lally. Odkryła, że ich potrzebuje. Wypełniały puste godziny wieczorów. Susie nalegała, by przyjaciółka przyjmowała każde zaproszenie. - To ci dobrze zrobi. Ludzie starają się być życzliwi. Przynajmniej wyjdź im naprzeciw. Zbyt byłaś pochłonięta Jonathanem i pracą tutaj. Częściowo to

392

moja wina. Powinnam była wcześniej to zauważyć. Teraz chciałabym zobaczyć, jak się bawisz. Przyjmuj każde zaproszenie. To ci pomoże, uwierz mi.

Lally była zaskoczona. To naprawdę pomagało. Powoli zaczynało w niej świtać zrozumienie dla niezmordowanej aktywności Margaret. Czy Margaret bez końca przeżywała tę noc, której nie mogła zapomnieć? A teraz Lally próbowała tej samej metody, choć brakowało jej niewyczerpanej energii pani Weymouth. Jedną z dawnych znajomych, Isobel Paynton, wypowiedziała to, co wielu ludzi zdawało się czuć wobec Lally.

- Tak się cieszę, że walczysz z depresją, Lally. Pamiętasz, wszyscy próbowaliśmy się do ciebie zbliżyć po śmierci Jona, ale byłaś taka... odległa. A potem taka pochłonięta swoją firmą. Każdy chętnie by ci pomógł, gdybyś tylko pozwoliła.

Lally mrugała oczami, jakby widziała Isobel Paynton i innych znajomych po raz pierwszy. To zaskakujące, myślała, że tak wielu ludzi zdawało się pragnąć jej towarzystwa. Z zadowoleniem przyjmowali ją w swoim kręgu. Mimo wszystko jacyś mężczyźni przeżyli wojnę, a kobiety mające szczęście ich poślubić zdawały się, podobnie jak towarzystwo Margaret, zapominać o niedawnej przeszłości. Stopniowo Lally przyzwyczaiła się do wizyt w teatrze i przyjęć i odkryła, że znajduje przyjemność w odwzajemnianiu gościnności przyjaciół.

- Moja kochana, tak się cieszę, że się przełamujesz - powiedział któregoś dnia Julian. - Stawałaś się powoli zawodową wdową, a one są takie nudne. - Julian był teraz wszechobecny w jej życiu. Cieszyła się z jego towarzystwa. Gładki i uroczy, nie stanowił żadnego niebezpieczeństwa dla uczuć Lally. Nie powstała między nimi żadna romantyczna więź. Byli dla siebie nawzajem przyjemną wygodą.

Zdarzyło się to na jednym z koktajli, jakie wydawała w swoim mieszkaniu. Zawsze, gdy przyjmowała gości, wynajmowała kamerdynera i resztę służby ze sprawdzonej już agencji. Agencja starała się przysyłać tych samych ludzi i Lally rozpoznawała już większość z nich. W trakcie przyjęcia roznosili tace z koktajlami i przekąskami. Później doprowadzali kuchnię do nieskazitelnego porządku, zostawiając tylko talerze z zimnym mięsem i serami oraz chłodzące się wino dla kilku osób, które miały zabawić dłużej. Była to sprawna obsługa i skuteczna pomoc dla pani Trący, która prowadziła małe gospodarstwo Lally. Młoda pani Pollock ochoczo korzystała więc z usług agencji do czasu, gdy pod rurkowanym białym czepeczkiem zobaczyła twarz, którą po raz pierwszy widziała na swoim weselu. Dostrzegła tę twarz z daleka, kiedy służąca krążyła między gośćmi z tacą pełną kieliszków. W pewnej chwili kobieta odwróciła się i jej oczy napotkały wzrok Lally. Trwało to ułamek sekundy. Wtedy ktoś poruszył się i przesłonił Lally widok. Mówiła sobie, że to nieprawda. Przelotne podobieństwo, jakaś zapomniana mara z przeszłości. Niemniej jednak, starała się pozostawać w tej części pokoju, gdzie napoje podawał kamerdyner. Gdy jej wzrok od czasu do czasu padał na służącą, a dziwnie znajoma twarz przybliżała i oddalała się w tłumie, Lally stawała się coraz mniej pewna. Kobieta nie próbowała zbliżyć się do niej. Większość czasu spędzała w kuchni. Co pewien czas tylko wносиła tace, z któ-

rych serwował napoje kamerdyner. Wreszcie przyjęcie dobiegło końca. Ludzie żegnali się i wkrótce Lally została tylko z Julianem i trójką najbliższych znajomych. Siedzieli przy wykuszowym oknie w salonie, podczas gdy kamerdyner uprzątał ostatnie brudne szklanki i popielniczki.

Nadeszła chwila, kiedy Lally musiała pójść do kuchni. Ku swojej uldze zastała tam tylko panią Trący, zmywającą i wycierającą szklanki oraz kamerdynera Hopkinsa.

- Mam nadzieję, że wszystko wypadło dobrze, madam?

- Tak, Hopkins. Dziękuję. - Wręczyła mu napiwek. - Wydaje mi się, że widziałam dziś nową służącą?

- Tak, madam. Jest w agencji od niedawna. Mam nadzieję, że nic się nie stało, madam? Twierdziła, że ma doświadczenie. Myślałem, że sprawiła się bardzo dobrze.

- Ależ tak, wszystko odbyło wyśmienicie. Dziękuję. Tylko... cóż, wydawało mi się, że skądś ją znam.

- Możliwe, że widziała ją pani na jakimś innym przyjęciu, madam. Może w Yorkshire? Przypominam sobie, że mówiła, iż mieszkała tam przez jakiś czas.

- Tak, to możliwe. - Strach, który ogarnął ją na widok kobiety, narastał. - Wyszła już?

- Och, tak, madam. Zostaliśmy tylko pani Trący i ja, by dokończyć porządków.

Wmawiała sobie, że się pomyliła. To tylko przelotne podobieństwo. Kobieta nie została, nie czekała, aż Lally przyjdzie do kuchni. Ale lęk nie ustępował. Poprosiła Hopkinsa, by przygotował jej jeszcze jednego drinka. Ręce trzęsły się jej, gdy brała kieliszek. Wróciła do Juliana i pozostałych gości.

- Coś nie tak? - zapytał Julian. - Wyglądasz blado.

- Nie, nic takiego. - Udało jej się uśmiechnąć. - To po prostu był długi dzień.

Ale później, kiedy Julian wniósł tace do jadalni i częstowali się pozostałymi z przyjęcia smakołykami, Lally, podnosząc do ust widelec, stwierdziła, że przerażający zapach wrócił. Zapach, który towarzyszył jej w koszmarach sennych. Przesuwała jedzenie na talerzu i udawała, że je. Rozmowy gości z trudem do niej docierały, a czas zanim wyszli, wydawał się nie mieć końca. Potem jednak cisza panująca w mieszkaniu stała się być nie do zniesienia. Leżała bezsennie w łóżku i słuchała łoskotu własnego serca. Okropny zapach dławił ją, a znajome Lally oczy wyzierały z ciemności.

Stopniowo jednak strach ustępował. Usiłowała go zdusić, nie pozwalając sobie na analizowanie własnych uczuć. Podobieństwo do kobiety, która utrzymywała, że jest jej matką, było przypadkowe. Prawdopodobnie nigdy więcej Lally jej nie zobaczy.

Ale ta sama służąca pojawiła się na następnym wydanym przez Lally przyjęciu. Hopkins właśnie podawał zupę, gdy Lally ze swego miejsca u szczytu stołu, mając naprzeciw siebie Juliana, zerknęła przypadkiem do pokoju

288

kredensowego. Zobaczyła odbitą w lustrze twarz kobiety, ubranej w czarną suknię, z białym rurkowanym czepeczkiem na ciemnych, poznaczonych siwizną włosach. Znajome oczy odszukały i wytrzymały wzrok Lally. Tym razem Lally wiedziała, że nie zaszło żadne przypadkowe podobieństwo. Patrząca na nią kobieta była tą samą, która pojawiła się na weselu, a potem rozmawiała z Czarnym Jackiem w Grangewick. Lally odłożyła łyżkę i nie była w stanie wypowiedzieć do swych gości ani słowa. W końcu Hopkins przyszedł posprzątać talerze.

- Skończyła pani, madam? - Skinęła niemo.

Tego wieczoru Julian dyskretnie przejął od niej obowiązki gospodarza przyjęcia. Tuszował jej milczenie, bawił gości. Opowiadał różne historyjki, pełne złośliwego dowcipu, grał na pianinie, gdy podano kawę. Służąca wchodziła i wychodziła, przynosząc Hopkinsowi tace. Była zręczna i staranna i jak zauważyła Lally, nigdy więcej nie próbowała zwrócić na siebie uwagi pani domu. Ale Lally dręczyła przeraźliwie świadomość obecności tej kobiety.

- Jesteś chora? - spytał Julian, gdy zostali sami.

Wcisnęła mu kolejną brandy, zdecydowana skłonić go, by jeszcze został, żeby został dłużej niż wynajęta z agencji obsługa. Wcześniej już wywołała Hopkinsa do hollu. Wręczyła mu napiwek i prosiła o przekazanie pieniędzy dla kucharki i służących. Sama nie odważyła się wejść do kuchni.

- Tylko ból głowy, Julianie. Pokiwał głową ze współczuciem.

- Wspaniale sobie radzisz, Lally. Ludzie podziwiają cię za to, że starasz się przetrwać... śmierć dziecka. Nie popaść w depresję. Oczywiście, wszyscy wiemy, że to trudne. Masz całkowite prawo do chwil przygnębienia, od czasu do czasu.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry, Julianie - próbowała mu podziękować.

- Moja droga, od czego są przyjaciele?

Był uprzejmy, grzeczny i zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że prawie trzęsła się z przerażenia. Sączyła swoją brandy najdłużej jak się dało, by zmusić go do pozostania. Wreszcie odgłosy w kuchni ucichły. Wszyscy wyszli.

Mogła pozwolić Julianowi wyjść. Na pożegnanie musnęła wargami jej policzek.

- A teraz do łóżka. Bądź grzeczną dziewczynką. Powiedz Susie, że ją zabiję, jeśli będzie cię zamęczać pracą.

Gdy wyszedł, przejrzała wszystkie puste pokoje. Było już po północy. Odgłosy ulicy zamarły i cisza przygniatała Lally. Bicie jej własnego serca wydawało się najgłośniejszym ze wszystkich dźwięków. Skierowała się do sypialni,

ale zatrzymała się jeszcze i obejrzała. W szparze pod pokrytymi zielonym rypsem drzwiami błyszczało światło. Lally przysunęła się bliżej i słuchała. Nie dobiegł jej żaden dźwięk. Powoli otworzyła drzwi. Wszystko wyglądało tak, jak zawsze zostawiał Hopkins. Umyte naczynia leżały w szafkach, taca na herbatę była już przygotowana na rano. Lally miała właśnie zgasić światło, gdy jej wzrok powędrował w stronę służbówki, pokoju używanego przez nią jako graciarnia. Zaskrzypiały drzwi. Przerażona, zastygła z ręką na wyłączniku. Drzwi otworzyły

19 - Obietnice

289

się szerzej. Stała w nich kobieta w czarnym płaszczu i kapeluszu na ciemnych włosach.

- Cóż, jesteś, Lily. Czekałam na ciebie. Lally chwyciła się framugi.

-Ty!

- Tak długo czekałam, by cię zobaczyć po śmierci twego męża. A potem przeczytałam w gazecie o twoim małym chłopczyku. To smutne, Lily. Matka czuje takie rzeczy.

- Matka! Nie byłaś dla mnie żadną matką! Nie jesteś moją matką. Otumaniłaś tylko Czarnego Jacka, żeby go ponaciągać na pieniądze. Ale nie jesteś moją matką! Nie masz żadnego dowodu. Żadnego. To tylko sprytna gra. Szorstki śmiech dziwnie zabrzmiał w pustym mieszkaniu.

- Dowodu? Jakiego więcej dowodu ci potrzeba? Im jesteś starsza, tym dowód jest wyraźniejszy. Spójrz, Lily, tylko spójrz.

Ręka w czarnej rękawiczce niepewnie dotknęła ramienia młodej kobiety. Bezwolna, jakby miała kości z waty, Lally dała się wprowadzić za zielone drzwi. Lekkie pchnięcie przysunęło ją do wiszącego w służbówce lustro. Było wąskie, ale pomieściło dwie twarze, oświetlone zwisającą z sufitu lampą.

Ciemnoszare oczy patrzyły w ciemnoszare oczy; brwi miały takie samo wygięcie, a kości policzkowe zarysowane były niemal identycznie. Gdy Lally lekko się przesunęła, szukając jeszcze możliwości zaprzeczenia dostrzegła przerażająco znajomą linię podbródka. Tymczasem kobieta ściągnęła kapelusz i grube czarne włosy rozsypały się tak samo jak u Lally. Twarz była starsza, wychudzona, pomarszczona. Wyrażała dzielące je lata i być może coś więcej. Wyrażała lata złego odżywiania, biedy, smutnych doświadczeń. Ale wciąż była to twarz, jaką kiedyś Lally zobaczy, stając przed lustrem.

- Widzisz, prawda, Lily?

- Widzę. - Jeszcze przez kilka chwil przyglądała się kobiecie z napięciem. Potem odezwała się. - Czego chcesz? Pieniądzy? Więcej pieniędzy?

- Pieniądze nie wystarczą, Lily. Chcę mego dziecka. Chcę mieć z powrotem swoje dziecko.

- Twojego dziecka! - Głos Lally podniósł się w oburzeniu. - Oddałaś mnie. Odrzuciłaś. Zostawiłaś, żebym umarła. Nie masz do mnie prawa.

- Nie zostawiłam cię, żebyś umarła, Lily. Właśnie gdybym cię zostawiła przy sobie, nie przeżyłabyś nawet dwóch dni. Obie byłyśmy blisko śmierci. Mnóstwo ludzi dookoła umierało. Także dzieci. Niektóre z nich konały w tym samym pokoju, gdzie mieszkaliśmy. Nie było dość jedzenia, by utrzymać duszę w ciele. Wiedziałam, że ja przetrwam tych kilka dni, zanim rozpocznę pracę, którą mi obiecano. Ale ty byś nie przeżyła. Nie mogłam zabrać cię

ze sobą do fabryki. Musiałaś odejść. Więc zostawiłam cię tam, skąd ktoś mógł cię zabrać. W ten sposób miałaś jakąś szansę. Giełda Zbożowa wydała mi się dobrym miejscem. Niektórzy z tych kupców to bogaci ludzie. Nigdy jednak nie liczyłam na takie szczęście jak Czarny Jack Pollock.

Lally opadła na krzesło.

290

- Czego chcesz? - powtórzyła.

- Niewiele. Tylko możliwości widywania cię. Dotrzymałam obietnicy złożonej panu Pollockowi. Sir Johnowi. Regularnie płacił mi, a ja trzymałam się z daleka. Zamieszkałam w wynajętym pokoju. Niezbyt pięknym, ale porządnym. Nie musiałam pracować. Szyłam trochę i cerowałam paniom, by zająć jakoś czas. Żadnych... żadnych mężczyzn, Lily. Nie było żadnego mężczyzny.

- Jeśli jesteś moją matką, to ktoś musi być moim ojcem.

- Nie osądzaj mnie, Lily. Kobieta robi, co może, żeby przeżyć. Czasami jest tylko jeden sposób. Nie byłam taka od wczesnej młodości. Potem żyłam z różnymi, ale to czym się stałam było winą tego pierwszego mężczyzny. Mówię ci, że nigdy do tego potem nie wróciłam. Odkąd pan Pollock, sir John, zgodził się mi pomóc. Myślałam o tobie. Chciałam zobaczyć swego wnuka...

- Przestań! - Lally przycisnęła ręce do uszu. - Nie mów o Jonathanie. Nie chcę tego słyszeć.

Kobieta powoli założyła kapelusz.

- Dobrze, Lily. Teraz pójdę, ale wrócę. Wrócę jutro wieczorem. Wejdę wejściem dla służby, oczywiście.

- Jeśli chcesz pieniędzy - powiedziała Lally - zapłacę ci więcej. Ojciec nie musi wiedzieć.

- Nie, Lily. Nie chodzi o pieniądze. Wrócę.

Wyszła. Lally usłyszała ciche trzaśnięcie drzwi kuchennych prowadzących na tylne schody. Kobieta była czysto i porządnie ubrana. Jej włosy miały zdrowy połysk. Ale w pokoju znów pojawił się znajomy zapach. Stary, przerażający zapach biedy i śmierci. Lally dygotała gwałtownie. Dreszcze wstrząsały jej ciałem. To prawda, nieznajoma nie musiała przedstawiać żadnych dowodów. Dowód był wypisany na dwóch twarzach, skonfrontowanych w lustrze.

Następnego dnia Susie popatrzyła na przyjaciółkę z trwogą.

- Boże, Lally, wyglądasz okropnie. Pozwól, że zrobię ci filiżankę herbaty. - Kiedy herbata zaparzała się, Susie dodała do niej odrobinę brandy. - O co chodzi?

- Och, to tylko zła noc. Susie przypaliła jej papierosa.

- Zła noc? To musiała być okropna noc.

- Tak, była.

Susie nie zadawała więcej pytań, ale kręciła się wokół przyjaciółki przez cały dzień. Kiedy dowiedziała się, że Lally nie była nigdzie umówiona tego wieczora, nalegała na wspólny obiad u Armanda. Z troską patrzyła, jak niewiele Lally zjadła.

- Pozwól, że doprowadzę cię do domu - zaproponowała, gdy wyszły z restauracji.

Uczucie paniki ogarnęło Lally.

- Nie, dzięki. Wezmę taksówkę. Czuję się strasznie śpiąca. Zasnę. Jestem pewna, że dziś w nocy zasnę.

399

Susie wsadziła ją troskliwie do taksówki, ale Lally, kiedy tylko znalazła się poza zasięgiem wzroku przyjaciółki, zatrzymała samochód i zapłaciła kierowcy. Ruszyła spacerem wzdłuż Knightsbridge, ledwie powłócząc nogami. W pewnej chwili omal nie zatrzymała taksówki, by dostać się na stację Kings Cross, a potem pociągiem do Leeds. Do Czarnego Jacka. Przez te wszystkie lata, groźbami i łapówkami, Czarny Jack trzymał tę kobietę z daleka od Lally. Teraz przyszła jednak pora, by Lally zachowała się jak dorosły człowiek. Nie umarła tamtej nocy pod Giełdą Zbożową. Zawsze podświadomie czuła, że w jakiś sposób będzie musiała płacić za ten dar życia.

Obawiała się, że kobieta będzie na nią czekać przed kamienicą albo na schodach. Ale nocny portier przywitał Lally jak zawsze uprzejmie i nie miał dla niej żadnej wiadomości.

Ledwie jednak zdążyła zdjąć płaszcz, gdy rozległ się dzwonek przy kuchennych drzwiach. Lally uchyliła je, nie zdejmując łańcucha. Na progu stała kobieta. Lally zsunęła łańcuch i pozwoliła mu opaść.

- Czekałam, Lily. Godzinami stałam na schodach. Przyszłam, kiedy dyżurował dzienny portier. Oni w ciągu dnia nie zwracają uwagi na ludzi takich jak ja. Dopóki się jest porządnie ubranym. Czekałam na półpiętrze nad twoim mieszkaniem, aż wyjdzie pani Trący. Nie chciałam rzucić się w oczy. -Rozejrzała się po kuchni. - Zmęczyłam się, Lily. Mogę zrobić sobie filiżankę herbaty?

Lally milcząco skinęła głową. Obserwowała dokładne ruchy kobiety, która tymczasem ostrożnie ustawiała filiżankę na spodku.

- Tobie też zaparzyć, Lily? Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała. - Nie nalegała, kiedy Lally potrząsnęła przecząco głową, tylko podeszła i ukroiła sobie kromkę chleba i posmarowała ją masłem, czekając, aż zagotuje się woda.

-Pozwolisz, że usiądę?

Lally patrzyła na nią z niedowierzaniem. Ta kobieta musiała być jej matką. Takie podobieństwo nie mogło być okrutną sztuczką natury.

- Nazywam się Brown. Rose Brown.

Rose - Lily. Róża - Lilia. Czy to był jedyny dar, jakim obdarzyła swoje dziecko? Imię kwiatu?

- Nie usiądziesz, Lily?

Lally opadła na krzesło po drugiej stronie wyszorowanego stołu.

- Czego chcesz? - wyszeptwała. - Jeśli nie pieniędzy, to czego?

- Tylko trochę miejsca przy tobie. Tylko możliwości oglądania cię. Opiekowania się tobą.

- Opiekowania się mną! Teraz! Po tych wszystkich latach. Musisz być szalona. Nie zgodziłabym się.

- Nie zgodziłabyś się, Lily? Nie zgodziłabyś się? - Kobieta skinęła głową w kierunku służbówki. - Byłoby mi tam tak wygodnie. Sprzątałabym i gotowałam dla ciebie/Doglądała twoich ubrań. Jestem całkiem dobra w tych sprawach. Byłam na domowej służbie. Wiem, na czym polegają obowiązki pokojówki. Nie zawsze pracowałam w fabryce czy na ulicy. Znajdziesz we mnie pomoc, Lily.

292

Opiekowanie się własnym dzieckiem dałoby mi tyle radości. Nigdy nie zbliżałam się do ciebie, kiedy żył chłopiec. Nie chciałam, żeby zgadł, kim jestem. Nie mogłabym go tak zawstydzić. Ale ty jesteś inna, Lily. Byłaś wystarczająco duża, by co nieco pamiętać. Pamiętać, jak źle tam było. Pożałujesz mi tej odrobiny przyjemności? Czy nigdy nie zdołam okazać, że żałuję tego, co robiłam przez te wszystkie lata?

Lally zdała sobie sprawę, że ugina się pod ciężarem kłębiących się w niej emocji. Wściekłość, współczucie, litość... co było najważniejsze? Z pewnością najsilniejszy ze wszystkiego był dawno znany strach.

- Można to zrobić tak, żeby nikt nie podejrzewał, kim jestem. Będę zawsze nosić strój pokojówki i odpowiednio zwracać się do ciebie przy ludziach. Nikt nie patrzy na twarz służby.

- Czarny Jack...? - wyszeptwała Lally.

- Nie musi wiedzieć. Kiedy przyjechałam do Londynu i znalazłam twój adres, postarałam się o pracę w agencji, z której korzystasz. Właścicielka pokoju, który dawniej wynajmowałam, przesyła mi pieniądze, jakie sir John przekazuje dla mnie przez swoich adwokatów. Obiecałam jej kilka szylingów za fatygę. Nie chciałabyś niepokoić sir Johna, prawda? Nie należy go niepokoić. Był taki dobry dla nas obu. Oczywiście, jeśli znów wyjdiesz za mąż, usunę się. Nie chciałabym stać ci na drodze. Ale chociaż na jakiś czas... pozwól mi, Lily. Matka zawsze pozostaje matką. Wiem, co to znaczy stracić dziecko. Teraz ty też to wiesz, Lily.

Lally walczyła ze sobą przez kilka minut, przerażona, bezradna, bezsilna. Ta kobieta była jej matką.

- Dlaczego? - spytała, bardziej siebie niż Rose Brown. - Dlaczego miałabym się zgodzić?

- Ponieważ nie miałam niczego pięknego w życiu. Niczego. Ty możesz mi coś ofiarować. Choćby na pewien czas. - Mówiła gładko i płynnie. Wiedziała, na co położyć nacisk, lally odczuła jej słowa jako rodzaj emocjonalnego szantażu. Ale wtedy nagle stwierdziła, że nie czuje strachu, który prześladował ją od dnia, kiedy Czarny Jack przeniósł małą chorą dziewczynkę do innego świata. Stanąc w obliczu strachu, stawić mu czoło i przepędzić go, to stało się teraz najważniejsze.

- Dobrze - powiedziała,

W końcu ona, Lally, nie musiała nazywać tej kobiety swoją matką. Była obcą osobą, panią Brown,

I tak pani Trący odeszła, a pani Brown zamieszkała w służbówce. Czasami Lally nie mogła uwierzyć, że sama się na to zgodziła. Pani Brown robiła wszystko, co obiecała, a czasem nawet więcej. Ale ta sytuacja wydawała się Lally jakaś nierealna. Dla młodej kobiety było prawie nie do przyjęcia, że siedzi, podczas gdy pani Brown ją obsługuje. Pani Brown gotowała zwyczajne, ale dobre potrawy i przykładła wiele starania, by elegancko je podać. Wstrząsem dla Lally było, kiedy po raz pierwszy znalazła w swojej sypialni starannie rozścielone łóżko i przygotowaną już koszulę nocną. Tak działo się w Pellham Langley, ale nigdy

402

wcześniej w Londynie. Jej bielizna była zawsze wspaniale wyprana, a kiedy zachodziła taka konieczność, również wyreperowana. W sukienkach poprawiono wszelkie oberwane rąbki czy przujące się szwy. Pani Brown nie proszona podejmowała się różnych drobnych usług, których żadna zwykła służąca nie zaliczyłaby do swych obowiązków. I wreszcie, Lally rzadko ją widywała. Drzwi do kuchni pozostawały zwykle dokładnie zamknięte. Nawet gdy były same, pani Brown nazywała Lally panią Pollock. Jedyne z rana, kiedy przynosiła jej herbatę do łóżka, Lally słyszała szept.

- Lily? Dzień dobry, Lily.

Wreszcie, powoli, Lally zaczęła wygrywać bitwę z paraliżującym ją strachem. Wiedziała, że wspomnienie zimnego, ciemnego pokoju pozostanie w niej na zawsze, ale w końcu obie przecież przetrwały. Może decyzja, by porzucić własne dziecko, umotywowana tak jak przedstawiła to pani Brown, była słuszna. Tylko w ten sposób mała Lily miała szansę przeżyć.

Pierwsza samotna zima minęła, a napięcie wywołane obecnością pani Brown w dziwny sposób odwróciło uwagę Lally od cierpienia po stracie Jonathana. Czy starszej kobiecie mógł podpowiedzieć to instynkt matki? Któregoś dnia Lally, podnosząc oczy znad druków zamówień i formularzy dotyczących działalności czterech już pracowni krawieckich, niespodziewanie zauważyła, że na świecie zapanowała wiosna. Pokaz wiosennych sukienek Susie okazał się wielkim sukcesem.

*

* *

Lally z wdzięcznością powitała wiosnę i na tydzień pojechała do Yorkshire. Spacerowała z Alice po wrzosowiskach, wdychała krystaliczne powietrze i zasypiała wreszcie bez pomocy tabletek, które zalecił jej lekarz. Lód topniał przy brzegach strumienia. Gdy wspinały się z Alice na szczyt wzgórza, do źródeł wodospadu, Lally wydawało się, że słyszy już skowronki.

- Och, czyż nie wspaniała jest wolność?

Lally zatrzymała się zdumiona. Chyba po raz pierwszy popatrzyła na Alice ze współczuciem. Nikt nie przypuszczał, że dziewczynie przeszkadza aż tak bardzo obecność troskliwych i życzliwych opiekunek, pani Barnes i macierzyńskiej pani Shearing. Czy Alice czuła, że jej prywatność została pogwałcona? Nikt nigdy nie wiedział, co działo się w tym chorym umyśle. Czarny Jack wciąż wahał się poddać córkę leczeniu psychiatrycznemu, wiedząc, że niewiele to zmieni w rozwoju jej możliwości umysłowych, a zapewne obudzi dawne lęki i zaciekłość. Któż mógł oskarżać go o niesłuszną decyzję?

Teraz jednak inne sprawy niemal całkowicie zajmowały uwagę Czarnego Jacka.

- To straszne, Lally - tłumaczył. - Popyt na nasz węgiel spada wobec niskich cen węgla niemieckiego i polskiego. Właściciele kopalń zrzeszają się i trudno mi się będzie wyłamać.

294

- Co zamierzają zrobić?

- Mówi się o lokaucie. Zostanę zapewne zmuszony do zamknięcia kopalń. Rozmawiali o tym tego jedynego wieczoru, który spędzili razem podczas

wizyty Lally, w Pellham Langley. Czarny Jack jeździł po całym Midlandzie i północnej części kraju. Spotkania z innymi właścicielami kopalń ciągnęły się w nieskończoność. Edith nalegała, by towarzyszyć mężowi, ale poprosił ją o pozostanie w domu.

- Co by to były za wakacje dla Lally, gdyby nikogo tu nie było? I Alice bardzo by to odczuła.

Kiedy Alice została zabrana na górę, przez szczebioczącą łagodnie panią Shearing, Lally otwarcie zwróciła się do macochy.

- Czy nie czujesz się tu samotna, Edith? Nawet kiedy ojciec jest z tobą? Masz Alice przez cały czas na głowie. Ludzie zwykle sądzą, że Pellham jest miejscem zbyt oddalonym od świata.

Edith spróbowała brandy, którą właśnie podał im Billings.

- Samotna? Nie, nie jestem samotna. - Odwróciła wzrok od ognia. - Kocham Czarnego Jacka, Lally. - Machnęła niecierpliwie ręką. - To nie tylko to, że mi na nim zależy. Kocham go. Powiedziałam ci o tym już kiedyś. Gdyby poprosił, żebym zamieszkała z nim na biegunie północnym, pojechałabym tam. Nigdy nie myślałam, że Pellham Langley to odludzie. Skoro Jack chce żyć tutaj, wszystko inne przestaje być ważne.

Lally pokiwała głową. Dlaczego zakładać, że cała namiętność zarezerwowana jest tylko dla młodych? W świetle kominka dostrzegła wyraz twarzy Edith. Czy każda kobieta, która się do niego zbliżyła, musiała kochać Czarnego Jacka. Jak Edith, jak ona sama?

Czarny Jack wrócił do domu wymizerowany i przywiózł złe wiadomości.

- Właściciele fabryk przegłosowali lokaut. Nie mogę samotnie im się przeciwstawić i nie mogę pozwolić sobie na prowadzenie kopalń za cenę podwyżek, jakich żądają górnicy. Chcą trzynastoprocentowego wzrostu płac i odmawiają pracy w dodatkowych godzinach. Cena, jaką musiałbym zażądać za nasz węgiel, doprowadziłaby nas do plajty w ciągu sześciu miesięcy. Oni muszą to widzieć. Muszą! - Przysunął się z krzesłem do ognia. Twarz miał napiętą i wyczerpaną. Edith dotknęła jego ramienia i podała mu brandy. - Górnicy powszechnie wywołują współczucie - kontynuował. - Inne związki mówią o przyłączeniu się do nich w razie strajku. To byłby już strajk generalny. - Edith i Lally słyszały o tym zagrożeniu w radiu, czytały w gazetach, ale pozwalały Czarnemu Jackowi wygadać się. Najwyraźniej tego potrzebował. - Co mam zrobić? Większość z nich pracowała dla mnie przez całe swoje życie, przedtem pracowali ich ojcowie. Ale jeśli nie zgodzą się na warunki, jakie możemy im zaproponować, kopalnie zostaną zamknięte i być może nigdy nie będę już w stanie ich otworzyć. Wiecie, co dzieje się z opuszczoną kopalnią. Pompy nie pracują, wdiera się woda, powietrze staje się cuchnące i niebezpieczne. Nie można zakopać kopalni jak kawałka złota w ziemi i oczekiwać, że odnajdzie się ją błyszczącą i lśniącą, kiedy nadejdą lepsze czasy.

Właściciele kopalń rozpoczęli lokaut pierwszego maja. Trzeciego maja, popierając górników, wystąpili kolejarze, drukarze, pracownicy doków, hut żelaza i stali, fabryk chemicznych i elektrowni. Lally, jak najszybciej mogła, wróciła do Londynu, ale Susie podjęła już decyzję.

- Utrzymuję warsztaty otwarte. Muszę. Kobiety, które chcą przyjść do pracy, przyjdą. Inne ktoś zastąpi. Nie mogę teraz tego zostawić, Lally.

- Myślisz, że przyjdą?

- Przyjdą, ponieważ muszą. Ich mężowie strajkują albo są stale bezrobotni, muszą więc zarabiać. Wiele by trzeba, żeby skłonić kobiety do strajku.

- Wszystkie nasze dziewczęta są z East Endu - powiedziała cicho Lally.

- Mnie to mówisz. Niektóre z nich to sąsiadki mojej mamy. Powinnam być z nimi. Walczyć razem z nimi. Ale czasy się zmieniły, a wraz z upływem lat zmieniła się Susie Barlow. Bóg jeden wie, jak długo to potrwa. Ja muszę działać nawet podczas szczytowego nasilenia strajku. Muszę prowadzić interes. - Wściekle wcisnęła niedopałek w popielniczkę. - Och, nie patrz tak na mnie. Tak, zdradzam własną klasę. Ale naprawdę, ja już tam nie należę. Nie jestem idealistką, Lally. Nie mogę sobie na to pozwolić. Nie za pożyczone pieniądze. A przy okazji, co zrobił twój ojciec?

- Zamknął kopalnie.

- No proszę! Wiedziałam. On i Brock. I ja. Nie jesteśmy sentymentalni. Ale nie obwiniaj Susie Barlow za strajk generalny. A teraz lepiej już idź. Mam robotę. - Podeszła do tablicy kreślarskiej. Lally przez chwilę obserwowała gniewne, ostre kreski, które pojawiły się na kartonie, kreski bez sensu i znaczenia. Wtedy uświadomiła sobie, że ramiona Susie drżą. Wyszła cicho. Były chwile, kiedy nie należało narzucać się z przyjaźnią rogatej duszy Susie. Problem lojalności dręczył ją podobnie jak Czarnego Jacka. Dla nich obojga praca była całym życiem.

Przez ostatnich kilka dni, myślała Lally, większość przedstawicieli klasy średniej zdawała się mieć w Londynie jakiś zjazd. Studenci z Oksfordu i Cambridge zgłosili się do kierowania autobusami i pociągami, co robili często z większym zapalem niż umiejętnością. Lally szczególnie zapamiętała sobie autobus z dumnym napisem „Ten autobus jedzie wszędzie, gdzie zechcesz. Żadnych opłat i uprzejme traktowanie”. Prywatne samochody podwoziły robotników, idących pieszo do fabryk. Lally i Susie wychodziły o szóstej rano, by pomóc swoim szwaczkom dostać się na czas do warsztatów. Tylko dwie pracownice nie stawiały się.

- Niezamężne - skomentowała Susie. - Mogą sobie pozwolić na odrobinę niezależności. - Była silna i pogodna. Jeśli przeżywała jakieś wątpliwości, nie okazywała tego.

- Przyjmiesz je z powrotem? ,

- Oczywiście. To najlepsze krojczynie, jakie mam. Kiedy przyjdą i spytają, powiem „tak”.

Mimo atmosfery radosnej współpracy i braterstwa, jaka szerzyła się w tamtych dniach, zdarzały się też chwile prawdziwego napięcia. Czasami do głosu

407

dochodziła przemoc. Przewracano autobusy, miały miejsce potyczki między policją a strajkującymi, wezwano nawet wojsko db ochrony konwojów z żywnością. Ale nie było ofiar śmiertelnych. Do dwunastego maja strajk zakończył się. Jednak stosunki pomiędzy górnikami a właścicielami kopalni pozostawały w impasie. Górnicy powtarzali swoje hasło: „Nie ma płacy, nie ma pracy”. Kiedy Lally ponownie zawitała do Pellham Langley, Czarny Jack był udręczony i wy-mizerowany.

- Musiałem kupić niemiecki węgiel, by utrzymać produkcję w fabrykach. Nie mogłem także ich zamknąć.

Bolał go powszechnie powtarzany żart lorda Birkenheada. Przywódcy górników, głosił dowcipny arystokrata, to najgłupszy ludzie w Anglii, może z wyjątkiem właścicieli kopalń.

Ponieważ kopalnie nadal pozostawały zamknięte, Czarny Jack odmówił wizyty na Long Island tego lata.

- Nie mogę być po drugiej stronie Atlantyku, kiedy wreszcie sytuacja wyklaruje się. To nie byłoby w porządku wobec moich ludzi. I nie wyglądałoby dobrze w oczach innych właścicieli kopalń.

Lally szczerze ucieszyła się z tej decyzji, choć tego nie powiedziała. Nie miała ochoty wracać na Long Island.

Koszmarne wspomnienia wciąż w niej żyły. Alice natomiast dopraszała się wizyty u Brocka. Czarny Jack błagalnie spojrzał na Edith.

- Nie, Jack. Zostaję z tobą.

W cichości ducha Lally przyklasnęła jej decyzji. Edith była kobietą o wielkim sercu, ale ani zrozpaczona twarz Alice, ani ponaglące telegramy Margaret, nie zdołały odciągnąć jej od męża. Któregoś dnia nieustających sporów na temat wyjazdu, Lally z przerażeniem usłyszała słowa Alice.

- Muszę pojechać - denerwowała się chora. - Wiem, że znajdę tam Jonathana. Trzymacie go z daleka ode mnie. -

Nagle wyciągnęła przed siebie pokryte bliznami, pomarszczone ręce. - Patrzcie, co dla niego zrobiłam. Uratowałam go od ognia. A wy nie pozwalacie mi go zobaczyć.

Edith zadzwoniła na panią Shearing i Alice, protestując, poszła na górę.

- Przepraszam, Lally - tłumaczyła skonfundowana lady Pollock. - Czasami jest z nią gorzej. Wszystko się jej miesza. Zwykle wygląda na taką szczęśliwą, nawet kiedy traci orientację w otaczającym świecie. Może powinniśmy znowu skonsultować się z tym lekarzem z Londynu.

- Nie chcę jeszcze bardziej rozstroić Alice - ostro odpowiedział Czarny Jack. - Cała ta psychiatria, to bardzo niepewny interes. Alice musiałaby spotykać się z psychiatrą codziennie, a więc mieszkać w Londynie. Nie możemy jej tego zrobić. Tylko tutaj jest bezpieczna.

W tej sytuacji Margaret pojawiła się w Europie wcześniej niż zwykle. Przyjechała z dziećmi, nianią Williams i jeszcze jedną, nowo zatrudnioną, nianią. Mark Shaw, zgodnie z tym co powiedziała Lally, spełniał rolę pewnego rodzaju sekretarza, towarzysza, okazjnie nawet kierowcy. Był oczywiście wychowawcą Da-vida, a czasem, kiedy nianie miały wolne, sprawował funkcję opiekunki do dzie

ci. Wyglądał na wyczerpanego i napiętego, ale jego oczy błagały Lally, by nie osądzała go zbyt surowo.

- Wiem, co pani myśli - powiedział. - Ale nie jest tak źle, pani Pollock. Prowadzę wszystkie sprawy pana Weymoutha związane z Whytecliffe i zazwyczaj raz w tygodniu jestem na Wall Street. To jest... cóż... szerszy świat, niż może doświadczyć większość nauczycieli. - Odwrócił się do niej prawie ze złością. - Chciałbym, żeby popatrzyła pani na moją pracę w ten sposób. Myśli pani, że podoba mi się to, co zazwyczaj robię? Funkcja niańki? Rola towarzysza dla dam? Ale przynajmniej tam, na Wall Street, pracuję z mężczyznami, i to mi się podoba. Lubię tamtejsze zamieszanie. Nawet zainwestowałem część mojego kapitału na giełdzie. I wie pani co? Podoba mi się robienie pieniędzy. Zainwestowałem też pieniądze mojej matki. Z początku nie mogła zrozumieć, dlaczego przyjąłem taką pracę, ale kiedy wysłałem jej stronę „Wall Street Journal”, gdzie przeczytała, że jej akcje stale rosną, zaczęła być, cóż, prawie dumna ze mnie. Nagle przestałem być synem, który nie mógł nawet zostać porządnym nauczycielem, a stałem się kimś, kogo ona lubi wobec swoich przyjaciół nazywać finansistą. To oczywiście jest śmiechu warte, ale to lepsze niż nic.

Dwa obowiązkowe tygodnie Margaret spędziła z lordem i lady Gough, którzy rozpieszczali Davida, na ile umożliwiała to ich powściągliwa natura. Lally wyczuwała w Davidzie dziwne napięcie. Nigdy nie wymieniał imienia Jonathana, ale zdecydowanie unikał pokoi dziecińczych, gdzie kiedyś razem się bawili. Zajmował je teraz Dan i jego mały brat, ochrzczony imionami John Samuel, ale nazywany Sammy. David wołał towarzystwo Marka Shawa niż przyrodnych braci. Margaret przetrwała dwa tygodnie u Goughów z całą cierpliwością, na jaką zdołała się zdobyć i z przyjemnością wróciła do Pellham.

- Och, Bogu dzięki - powiedziała do Lally, zrzucając pantofle i układając się na szezlongu. - Nie wyobrażam sobie, co się stanie z Davidem, kiedy to odziedziczy. Odetnie się od nas? Przyglądałam się lordowi Goughowi. Wygląda coraz gorzej, biedaczek. Nagle wyobraziłam sobie mojego małego Davida siedzącego u szczytu stołu w Neatherby. Zupełnie samego. Powinien bawić się z kolegami, biegać po plaży... O Boże, Lally, przepraszam. Nie mogę pogodzić się z tym, że Jonathan nie żyje. Kiedy czasem się modlę, Lally, proszę Boga, żebyś wybaczyła mi także i tę śmierć. Choć to nie była bezpośrednia moja wina. - Jej twarz ściągnęła się. - Ajednak muszę czuć się winna.

Wrzuciłam te głupie lalki do ognia. Nie mogę sobie tego wybaczyć. Dlaczego miałabym oczekiwać, że inni mi wybaczą? Wiem... Jestem głupią, niepoważną Margaret. Większość ludzi mnie lubi, ale nikt nie szanuje.

- Brock cię kocha.

- Czy to coś znaczy, Lally? Że Brock mnie kocha? Że ojciec mnie kocha? Chciałabym, żebyś ty mnie kochała. To było przecież pierwsze przykazanie życia Lally, złożona przed laty obietnica, najważniejsze zobowiązanie.

- Kocham cię, Margaret. -1 Lally pomyślała ze zdziwieniem, że mówi prawdę. Spojrzała na smukłą figurę, przystrzyżone złociste włosy otaczające kapry-

298

śną twarz. Samo piękno i wdzięk. Niech śmieje się i tańczy jak długo może. Niech włada sercem Brocka i sercem Czarnego Jacka. Świat potrzebuje piękna i uroku. Posiadanie tych zalet nie jest zbrodnią.

Wraz z Brockiem nadciągnęła fala gości z Long Island. Ostatnia sypialnia w Pellham Langley została zajęta. Wielki dom rozbrzmiewał rozmowami, muzyką, brzękiem talerzy i szklanek.

- Podejrzewam - powiedział Czarny Jack do Lally - że o tym marzył mój ojciec, budując ten ogromny dom. - Roześmiał się. - Nie mógł jednak przewidzieć, że w jego pałacu bawić się będą Amerykanie, i to przy takiej muzyce. Z hallu muzyka buchała w spokojną letnią noc. Wdzierała się na taras, gdzie Czarny Jack ukrył się wraz z Edith, by spokojnie wypalić cygaro. „Tymczasem, w międzyczasie, bawmy się!” - ryczał gramofon. Mijając otwarte drzwi, zatrzymali się na chwilę. Mieli stąd dobry widok na tańczących. Margaret szalała w środku większej grupy, z wdziękiem poruszając się w rytm muzyki.

- Zastanawiam się, czy ona się kiedyś uspokoi - jęknął Czarny Jack. Edith zatrudniła człowieka, który za kolosalną pensję pełnić miał w sposób dyskretny obowiązki młodszego kamerdynera. Billings, osłabiony po lekkim zawale, nie mógł już poradzić sobie z napływem takiej liczby ludzi, ale upierał się nadal zarządzać całym gospodarstwem w Pellham i co wieczór uroczyście prowadził wszystkich do stołu. Następnie jednak oddalał się, zostawiając swemu młodszemu zastępcy zaspokajanie wszelkich potrzeb gości.

- Wszyscy się starzejemy - powiedział Czarny Jack - ale kiedy patrzę na tańczącą Margaret...

- Kiedy patrzę na tańczącą Margaret - wtrącił Brock - czuję się kompletnie wyczerpany. - Usadowił się na kamiennej ławce na tarasie, palił i obserwował rozbawiony tłum. Podniósł się dopiero, kiedy weszła Alice. - Chodź, kochanie. Pokręcisz się ze swoim starym Brockiem?

Udali się na parkiet, gdzie Alice zupełnie poprawnie odtańczyła charlestona, naśladowując niedoścignioną mistrzynię, Margaret. Czarny Jack westchnął.

- Jak Brock daje sobie z tym wszystkim radę? Margaret jest niesforna, a jeszcze chłopcy absorbują jego uwagę. Przysięgłbym, że kocha Davida równie mocno jak Dana i Sammy'ego. Chciałbym, żeby stary Gough mógł obserwować choćby tylko przez kilka godzin Brocka z chłopcami. Może zaczęłby o nim inaczej myśleć.

Ale prawda o wypadku, w którym zginął Bobby Grenfell, nie mogła zostać ujawniona, więc nienawiść i zawziętość lorda Gougha skierowane były przeciw Brockowi. Ci dwaj, Weymouth i Gough, nigdy się nie spotkali.

Strzały nad wrzosowiskami zagrzmiały dokładnie dwunastego sierpnia. Rozpoczął się sezon łowiecki. Początkowo Czarny Jack chciał całą imprezę odwołać.

- Jak mogę organizować przyjęcia, kiedy górnicy wciąż nie mają pracy? Jak by to wyglądało?

- Nie będą cię szanować bardziej, jeśli zrezygnujesz z sezonu łowieckiego - stanowczo powiedziała Margaret. - To nic nie zmieni, a poza tym obiecałeś polowanie naszym gościom.

411

Więc organizowano bale myśliwskie. Wynajęto naganiaczy, gajowi założyli najlepsze tweedowe garnitury i z większą niż zwykle troską przygotowali psy. Samochody dowoziły na wrzosowiska kosze piknikowe. Billings dwa razy sprawdził zawartość piwnicy, ale menu win wypisywał z bólem serca i stawał się coraz bardziej podejrzliwy wobec swojego nowego zastępcy. Pellham pełne było gości. Przyjaciele z Londynu zawierali znajomości z przyjezdnymi z Long Island. Edith błagała, by Lally wzięła sobie kilka dni wolnego.

- Potrzebuję pomocy, moja droga. Margaret jest urzekająca dla gości, ale całkowicie bezużyteczna jako organizatorka. Zawsze gdzieś znika, gdy jej najbardziej potrzebuję.

Ponieważ Edith prowadziła dom idealnie sprawnie, Lally uznała, że prośba o pomoc była jedynie wymówką, by sprowadzić ją do Yorkshire. Spełniła jednak życzenie lady Pollock, ponieważ wiedziała, że ucieszy to Czarnego Jacka. Czy Oni oboje rozumieli, jak ciężko było jej czasem obserwować Davi-da spacerującego z Markiem Shawem. Davida, gdy pragnęła ujrzeć Jonathana. Ale lubiła towarzystwo Brocka i nie mogła odmówić miłości obu młodszym chłopcom - Danowi, złotowłosemu i roześmianemu jak Margaret, i małemu Samowi, który właśnie zaczynał chodzić i którego szczupła sniada buzia zdawała się niemal niedorzeczną kopią rysów ojca. Niania Williams wzdychała nad nim.

- Je jak wilk, pani Pollock, a jest chudy jak patyk. Lekarz zapytał mnie wręcz, czy dobrze go karmię! Proszę to sobie wyobrazić! Ale też on będzie dokładnie taki jak pan Weymouth, wysoki i chudy. To podobno prawdziwy janke-ski typ urody. Lubie, kiedy moje dzieci są okrągłe i ładne.

- Skoro jest tak podobny do ojca, to nic mu nie będzie, nianiu. Podczas polowania Lally została z tyłu z Brockiem. Strzelał zupełnie znośnie, ale zdawał się nie przejmować tym, czy upoluje jakąś kuropatwę.

- Nigdy nie interesowałem się bronią, jeśli przypominasz sobie, Lally. Nawet w czasie wojny unikałem jej, jak tylko to było możliwe.

- Wszystko, co pamiętam to to, że przeniosłeś się do Francji- odpowiedziała Lally. - Brock...?

- Tak?

Pozwolili innym się wyprzedzić. Mimo pory roku, dzień na wrzosowiskach był szary i deszczowy. Trzymali się doliny Pellham, więc widok kominów fabrycznych nie zakłócał dzikiego i odludnego krajobrazu. Huk wystrzałów wydawał się nieznośnym natręctwem wobec spokoju przyrody.

- Myślisz czasem o tym? To znaczy, o wojnie? Minęło tylko kilka lat, a dla mnie to całkiem inny świat. Całkiem inne życie. Tak jakbym została rozszczepiona na dwoje. Nie potrafię rozpoznać młodej kobiety z tamtych czasów.

Skinął głową i wskazał na odsłoniętą skałę pośród wrzosów.

- Pozwólmy im iść dalej, dobrze? - Podał Lally papierosa i sam też zapalił. - Nikt nie wyszedł z tego bez skazy, w stanie nienaruszonym. W jednym kawalku. Ani Anglicy, ani Francuzi, choć oni wydają się bardziej pragmatyczni. Amerykanie w jakiś sposób zdołali zachować pewną dozę niewinności. Dla nich

300

wojna nie trwała tak długo i ofiary nie były na tyle duże, by nie można było potraktować walki jak wielkiej przygody i okazji do zaprezentowania światu, kto jest kim.

- Uważasz, że tylko o to chodziło? - Oboje odwrócili się na dźwięk znajomego głosu. - A ja taplałem się błocie i myślałem, że ofiarowuję Staremu Światu demokrację.

- Geny Harper! - wykrzyknął Brock. - Ki diabeł... - Podniósł się i wyciągnął rękę. - Nie spodziewałem się ciebie. Czarny Jack ani Edith nic nie mówili...

- Cóż, prawdę powiedziawszy, sam się zaprosiłem. Zadzwoiłem dziś rano i spytałem, czy mógłbym wpaść. Lady Pollock, niech ją Bóg błogosławi, obiecała, że pokój się znajdzie, chociaż dom zatłoczony jest po sufit.

- Zawsze możesz zamieszkać w pokoju dzieciennym z Danem i Samem. Spodobałoby im się to.

- Ciekaw jestem, czy niani Williams także.

- Przeżyłaby największy wstrząs swego życia, jak podejrzewam - roześmiała się Lally. Starła utrzymać lekki ton, ale widok Geny'ego Harpera był dla niej szokiem. Poza kilkoma minutami w urzędzie śledczym, nie widziała dawnego przyjaciela od tego poranka na plaży, kiedy w rozpaczy niesłusznie obarczyła go winą za śmierć Jonathana. Zastanawiała się, czy Geny kiedykolwiek wybaczy jej tamte słowa. Ale jego obecność w Pellham mówiła, że po prostu rozumiał jej ból. Wyciągnął teraz rękę, by pomóc Lally wstać.

- Dobrze wyglądasz, Lally. To miejsce pasuje do ciebie. Nigdy wcześniej nie myślałem o tobie jako o postaci z powieści sióstr Bronte, ale gdybyś tylko miała tweedową pelerynę i wielkiego psa...

- To samo przyszło mi do głowy, kiedy tu przyjechałem po raz pierwszy wiele, wiele lat temu, Geny - powiedział Brock. - Nie myśl, że jesteś jedynym Heatcliffem, który przemierzał te wrzosowiska.

- Och...? Cóż, miałem na myśli raczej pana Rochester⁴. Zawsze wyobrażałem sobie siebie doganiającego konno piękną damę i zakochującego się w niej. A wszystko dzieć się miało w oparach mgły, która dodaje romantycznego posmaku.

⁴Bohaterowie powieści E. Bronte „Wichrowe Wzgórze” i Ch. Bronte „Dziwne losy Jane Eare” (przyp. red).

- Nie pasujecie do tych postaci - szorstko powiedziała Lally. - Ani żaden z was nie jest typem romantyka. A teraz, chodźmy. Żołądek mówi mi, że to pora lunchu, a wrzosowiska są jedynym miejscem, gdzie naprawdę nabieram apetytu. Spodziewam się, że Edith obmyśliła ucztę, która zostanie podana jako prosty, skromny posiłek.

- Jestem za - oświadczył Geny. - **i** cieszę się, słysząc, że dla odmiany mówisz o jedzeniu. Mam ci coś przekazać od mojego ojca. Powiedział mianowicie: „Jeśli zobaczysz Lally, namów ją, żeby coś zaczęła jeść. Jest zbyt koścista”.
Lally roześmiała się.

414

- Miło z jego strony, że mnie pamięta. Mam nadzieję, że jest zdrow... -Rozpoczęli pozornie przyjemną pogawędkę. Ale Lally była świadoma napięcia, które bynajmniej nie miało nic wspólnego z tragedią na Long Island.

Gerry pozostał przez trzy dni, dzieląc pokój z Markiem Shawem. Wyglądało na to, że polowanie sprawia mu prawdziwą przyjemność. Był doskonałym strzelcem i któregoś dnia przyniósł rekordową liczbę kuropatw.

- Polowałem przedtem na króliki - powiedział lakonicznie. Wypowiedź ta była grubym niedomówieniem. Lally wiedziała, że Gerry podchodził jelenie w bezkresnych lasach na ziemiach Harperów, że zastrzelił kilka niedźwiedzi. W gabinecie Starego Harpera stał wypchany lew. Ludzie mówili, że Gerry trafił go w momencie, gdy zwierzę szykowało się do skoku.

- Cenię twoją skromność, Gerry - powiedziała. - Ale to do ciebie nie pasuje.

Siedzieli w bibliotece w Pellham, pokoju rzadko używanym wieczorami przez gości. W hallu trwały tańce. Ogień wciąż palił się, walcząc z chłodem wieczoru, ale powoli zaczynał przygasać. Lally wiedziała, że muzyka będzie grać dopóki ostatni tancerz nie opadnie z sił, ale przedtem kamerdyner, ten nowy, po raz ostatni obejdzie dom, by zabezpieczyć okna i zapyta, czy życzą sobie jeszcze czegoś.

- Masz cholerną rację. Stary Gerry Harper zawsze był pewien siebie. Teraz nagle staję się skromny i nieśmiały.

- Dlaczego, Geny?

Jego głos nagle zabrzmiał miękko.

- Przez ciebie, Lally. Taka jest prawda. Przyjechałem zobaczyć się z tobą.

- Co się stało? - Czuła, że rośnie w niej napięcie.

- Do diabła, skarbie, nie bądź taka przerażona. Spytałem lady Pollock, czy mogę przyjechać, ponieważ musiałem z tobą porozmawiać.

- Dlaczego właśnie teraz?

- Ponieważ teraz jest odpowiednia pora. Właściwy czas. Stary Harper chce wiedzieć i ja także.

- Wiedzieć co?

- Jak brzmiało jedyne pytanie, które ci kiedykolwiek zadałem, Lally? Chcę wiedzieć, czy wyjdiesz za mnie.

- Myślałam, że odpowiedziałam ci na to dawno temu.

- Wszystko się zmieniło. Dla nas obojga. Rok temu straciłaś dziecko, jedyną osobę, która wiązała cię z tym miejscem. Z takim życiem, jeśli wolisz. A teraz Stary Harper ostatecznie zraził się do Roddy'ego. Mój brat zrobił z siebie osła o jeden raz za dużo, więc został odstawiony na bocznicę, na bezpieczne miejsce w firmie, gdzie niewiele może zaszkodzić. Zostałem dyrektorem. Stary Harper, jak wiesz, jest prezesem firmy. To oznacza, że muszę tkwić

na Wall Street przez większość czasu. Nie będę już mógł spędzać całego lata na Zachodzie. Jedyne tyle czasu, by tamtejsi faceci mieli świadomość, że trzymam rękę na pulsie, ale nie dość długo, by faceci z Wall Street pomyśleli, że mogą się pod moją nieobecność lenić. Roddy narobił bałaganu, a ja muszę to naprostować.

416

- A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Jaka jest różnica między sytuacją obecną a tą sprzed roku?

- Wielka. Zapytałem cię dawno temu. Jak sama przypomniałaś, odpowiedziałaś mi dawno temu. Od tamtej pory rozglądałem się, Lally. Nie zamierzam zaprzeczać. Ale jesteś jedyną kobietą, która sprawiła, że pomyślałem o ustatkowaniu się. Mam dość jazzu i ginu. Stary Harper...

- Nie miałabym wyjść za twego ojca, Geny.

- To prawda. Wyszłabyś za Gerry'ego Harpera, który uważa, że jesteś pierwszorzędną dziewczyną. Co nie zmienia faktu, że chce tego również Stary Harper. Odetchnąłby z ulgą po chaosie mojego pierwszego małżeństwa.

Moglibyśmy mieć dzieci, Lally. Nie wszystko umarło, dlatego że straciłaś męża i Jonathana...

Wstała.

- Czekaj, Lally. Wysłuchaj do końca. Pomyśl chwilę. Spojrzała w dogasający ogień.

- Spodziewam się, że planowałaś mieszkać tam... W domu na północnym wybrzeżu?

Wzruszył ramionami.

- To takie dla ciebie trudne? To by było... cóż, wygodne. Oczywiście moglibyśmy mieć własny dom. W pobliżu. Stary Harper zbudowałby go w ciągu nocy, gdybyś tylko sobie zażyczyła. On cię lubi, Lally. Dobrze się przy tobie czuje. Jest starym człowiekiem, zupełnie samotnym w tej wielkiej stodole. Chciałby widzieć cię przy swoim stole. Chciałby widzieć swoje wnuki. Byłabyś blisko Margaret. Nasze dzieci mogłyby rosnać z dziećmi jej i Brocka... Pomyśl tylko. Co cię teraz tu trzyma? Przecież nie ten drobny interes, który prowadzisz z Susie. Pomyśl o tym, Lally. Nasze dzieci. Możemy mieć kilkoro dzieci, jeśli tylko chcesz.

Nie potrzebowała czasu na zastanawianie. Tylko tyle, ile trwało, by jeden rozjarzony kawałek węgla dopalił się i rozkruszył. Dzieci. Nowe życie. Inne życie. Duchy Jona i Jonathana pozostałyby gdzieś w przeszłości.

- Jeździlibyśmy na Zachód. Zabierali dzieci. Uciekalibyśmy z północnego wybrzeża. To by było dobre.

Czy Geny Harper szukał w niej poczucia bezpieczeństwa? Była właściwym wyborem. Pewna, rozsądna Lally.

Koniec z zabawowymi dziewczynami. Jego ojciec popierał ten wybór. Pamięć odżyła boleśnie. Czy nie to właśnie zrobił Jon? Dotrwał do końca wojny wbrew własnym oczekiwaniom, więc potrzebował bezpieczeństwa, spokoju.

Pragnął pogrzebać wspomnienie o Sandy West. Szukał w miłości Lally zapomnienia o bombardowaniach i

koszmarze okopów. Ojciec Jona także pragnął tego małżeństwa. I wszyscy przyjmowali je za naturalną kolej rzeczy. Dlaczego zatem czekała na coś bardziej dramatycznego, bardziej nieodpartego? Dlaczego zawsze musiała czekać i mieć nadzieję, że usłyszy słowa miłości?

- Poprzednio powiedziałam „nie”, Geny. Nie możesz pozwolić sobie na ponowny nieudany związek. Ja też nie mogę pozwolić sobie na nieudany związek. Nie mogę wyjść za ciebie ani ze względu na dzieci, ani ze względu na twego ojca. Moja odpowiedź musi brzmieć „nie”. To jedyna rzecz, jakiej jestem pewna.

303

- Do diabła, Lally. Mogłabyś chociaż się zastanowić.

- Gdyby to był dobry pomysł, nie musiałabym się zastanawiać. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Do pokoju wlało się światło. Buchnęła

muzyka z hallu. Gerry zerwał się na równe nogi.

- Lally...?

Weszła w tłum. Pomocnik Billingsa roznosił drinki, podczas gdy jeden z lo-kai opiekował się barem. Wielki dywan perski zwinięto dla wygody tancerzy. Dym papierosów unosił się jak mgła pod wysokimi belkami ogromnego wnętrza. Alice tańczyła pośród tłumy z mężczyzną, którego Lally wcześniej nie zauważyła. Czyżby ścisk stał się tak wielki, że nie mogła zapamiętać wszystkich gości? Z półpiętra pani Shearing obserwowała swoją podopieczną. Nie będzie żadnego wymykania się na taras ani wizyt w sypialni chłopców. Panie Shearing i Barnes potrafiły już tego dopilnować.

Lally zatrzymała się koło krzesła Czarnego Jacka.

- Myślę, że nadszedł czas, żebym wróciła do Londynu. Najazd gości przekroczył już wszelkie wyobrażenie.

W tej samej chwili Gerry Harper zwrócił się do Edith:

- Jutro pożegnam się z państwem, pani Pollock. W środę wypływa statek, na którym powinienem się znaleźć.

Lally dostrzegła, jak wyraz nadziei i oczekiwania znika z oczu Czarnego Jacka. Jakby rozpląnął się z dymem papierosa.

- Szkoda, że wyjeżdżasz, Gerry. Miałem nadzieję, że to będzie dłuższy pobyt.

*

* *

Obudziwszy się Lally ujrzała Margaret siedzącą przy oknie w narożniku wieży. Rozpościerał się stąd widok, który wczesnym rankiem wydawał się Lally krainą czarów, gdzie mgła przybierała kształt różnych postaci, ozdobny ogród zmieniał się i falował, a wystrzyżone w żywopłocie zwierzęta ożywały. Margaret wciąż miała na sobie suknię z poprzedniego wieczoru. W ogóle nie położyła się.

Odwróciła się na dźwięk swego imienia. Wstała i podeszła do Lally. W świetle brzasku widać było jej rozmazany makijaż. Margaret płakała.

- Jak mogłaś to zrobić? Znowu? Wiedziałaś, jak ucieszyłoby ojca, gdybyś ponownie wyszła za męża. Gerry nie da ci kolejnej szansy, Lally. Jak mogłaś to zrobić?

Lally usiadła i popatrzyła przybranej siostrze prosto w oczy.

- Po raz pierwszy pomyślałam o tym, czego ja chcę. Pomyślałam o tym, co jest dobre dla mnie. A teraz idź do łóżka, Margaret. Zostaw mnie samą.

Ułożyła się wygodnie z kolanami pod brodą i naciągnęła prześcieradła na uszy. Nie dotarł do niej żaden dźwięk poza cichym stuknięciem zamykanych drzwi.

304

Na ten tydzień, kiedy Margaret, Brock i dzieci spędzili czas w Londynie, pani Brown wzięła urlop.

- Załatwiłam, że ktoś z agencji przyjdzie posprzątać. Obiecałam, że nigdy nie będę ingerować w twoje życie. Że nikt się nigdy o mnie nie dowie. Teraz się usunę. Nie będziemy ryzykować.

Wyszła, nie mówiąc dokąd pojedzie. Jej czysty i bezosobowy pokój, wyglądał, jakby nikt go nie zajmował. Po Rose Brown nie pozostał żaden ślad.

Lally ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje jednocześnie ulgę spowodowaną nieobecnością pani Brown, ale i tęsknotę za drobnymi gestami i przejawami opieki, które kiedyś uznawała za zbyt zaborcze. Brakowało jej szeptanych rano słów: „Lily... dzień dobry, Lily.”

Rozdział piętnasty

I

Pokaz wiosennej kolekcji Susie skończył się w listopadzie, w tym samym czasie co strajk górników. Lally nalegała, by przyjaciółka spędziła Boże Narodzenie w Pellham Langley.

- Szczerze mówiąc, bardzo cieszy mnie ta propozycja - przyznała się Susie. - Strajk generalny wiele zmienił w mojej sytuacji. Nie chodzi o to, że mama i tata nie są dumni, że wydostałam się z Mile End Road. Są, ale kiedy tam jadę, nic nie jest już jak dawniej. Sąsiedzi patrzą na mnie wilkiem. Pamiętają, po której stronie stałam podczas strajku. Kiedy przyjeżdżam z wizytą, nikt do nas nie zagląda. Widzą samochód i trzymają się z daleka. Zostawiłam tamten świat za sobą, Lally, i chyba nie znalazłam jeszcze nowego miejsca. Może nigdy nie znajdę. Ambicja często prowadzi do samotności. Tak, chętnie znów zobaczę twojego tatę. Zawsze sprawia, że czuję się lepiej.

Pierwszego wieczoru przed obiadem paliła papierosa, obserwując, jak Lally kończy się ubierać.

- Boże - westchnęła - ten strajk zrobił z niego staruszka.

- Bolało go, że musiał zamknąć fabryki. Ma więcej sumienia w sprawach społecznych, niż mogłoby to wyjść na zdrowe jakimkolwiek właścicielowi fabryki lub kopalni. To był długi, nerwowy okres. Czarny Jack musiał solidaryzować się z innymi właścicielami, chociaż nie miał na to cienia ochoty. Kupił niemiecki węgiel, żeby utrzymać produkcję w fabrykach. To rozgoryczyło górników z Yorkshire. Minie rok albo dwa zanim mu wybaczą. - Lally wołałaby, żeby Susie nie zmuszała jej do rozmowy o Czarnym Jacku. Chciała udawać, że wychudzona, zmizerowana twarz, nerwowo zaciskające się dłonie i smutne oczy są wytworem jej własnej wyobraźni. Ale Susie otwarcie mówiła, co widzi i myśli.

W bożonarodzeniowy poranek obdarowali się nawzajem prezentami. Wszyscy byli zadowoleni z obecności Susie.

Rudowłosa panna Barlow robiła dość zamieszania, by zagłuszyć ich milczenie. Lally dostała więcej podarunków

306

niż inni. Pani Brown, zanim opuściła Londyn, wcisnęła jej do ręki małą świąteczną paczuszkę. Teraz Lally otworzyła ją i znalazła ręcznie haftowaną jedwabną halkę. „Dla pani Pollock - Wesołych Świąt - Rose Brown” - głosiła dołączona do paczuszki kartka. Doświadczone oko Susie fachowo oszacowało prezent.

- Piękna - stwierdziła zwięźle właścicielka salonu mody.

Listonosz zasypał ich ulewą kartek świątecznych. Przyszedł też telegram od Margaret: „Wesołych Świąt! Skoro przedstawienie się skończyło, co powiecie o przyjeździe do Palm Beach po trochę słońca. Chłopcy czekają. Kocham was”.

- No właśnie - odezwała się Susie. - Przedstawienie się skończyło, sir John. Nie ustąpił pan. Przetrzymał pan czas strajku wraz z innymi właścicielami kopalń. Ale był pan dzielniejszy niż większość z nich, gdyż bardziej się pan troszczył o los pracowników. - Odwróciła się do Edith. - Lady Pollock, czy nie uważa pani, że tym razem nasza złota panienka ma rację? Czyż wyjazd nie zrobiłby wam wszystkim dobrze? Alice jest blada i mizerna. Chciałabyś zobaczyć chłopców, prawda, Alice? - Susie zarumieniała się. Wszyscy wiedzieli, że Alice nigdy nie zobaczy się z chłopcami inaczej niż w towarzystwie pani Barnes lub Shearing.

Edith odparła szybko, widząc zakłopotanie Susie:

- Myślę, że to świetny pomysł. Przyznaję, że nie mam nic przeciw odrobinie słońca. Morska podróż też mi odpowiada, nawet jeśli w środku zimy.

Susie niemal zapakowała im kufry. Potem wraz z Lally wyjechały do Londynu.

- Zdaje się, że potrzebują, by ich trochę popchnąć. Musiałam to zrobić. Twój tata chyba stracił nieco... jak to nazywają Amerykanie? „Podnieść się i dalej iść”? Odpocznie, jeśli uwolni się od rozmów o strajku. Miał tego dość. Kiedy wróci, będzie znów sobą.

Lally pożegnała rodzinę w Southampton z pewną ulgą. Ich wyjazd oznaczał długie miesiące bez wizyt w Pellham Langley, bez dręczącej ciszy przy stole i w bibliotece.

- Wrócimy w marcu - powiedziała Edith. Zima już się skończy. - A potem cicho szepnęła do Lally: -1 Czarny Jack będzie czuł się lepiej. Susie ma zupełną rację. Musi znaleźć się w towarzystwie, gdzie mówi się o czymś innym niż górnicy i strajk. Zrobił, co uważał za słuszne, ale to go zraniło.

- Tak - zgodziła się z nią Lally. - Opiekuj się ojcem. I Margaret. I Alice. Nie pozwól Markowi maltretować Davida łaciną i greką. To jeszcze mały chłopiec. - W myślach wciąż nie potrafiła rozdzielić ich obydwu Davida i Jonathana. Zawsze widziała dwie postacie na brzegu, skaczące i biegające, i Alice pomiędzy nimi.

Zamiast zwyczajowego telegramu od Czarnego Jacka i Edith, zawiadamiającego o przybyciu do Nowego Jorku, Lally odebrała telefon. Obie z Susie patrzyły na siebie oszołomione i z niedowierzaniem, gdy operator powiadomił, że łączy ze Stanami Zjednoczonymi. Telefoniczne usługi transatlantyckie między

Nowym Jorkiem a Londynem właśnie niedawno zostały uruchomione. Lally nigdy nie wyobrażała sobie, że usłyszy głos Czarnego Jacka, znajomy mimo trzasków, z odległości trzech tysięcy mil.

- To naprawdę ty? Potem odezwał się Brock.

- To specjalnie dla ciebie, Lally. Zainstalowałem osobistą linię. Wreszcie włączyła się Margaret.

- Czyż to nie bajeczne, moja droga? Będę mogła regularnie do ciebie dzwonić,

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała kwaśno Susie. - Masz dość roboty, by jeszcze szarpać się z nią na taką odległość.

Ale kolejna wiadomość z Florydy nadeszła drogą telegraficzną. „Przyjedź natychmiast - pisała Margaret. - Ojciec miał atak serca. Potrzebujemy Cię”. Zaraz potem nadszedł telegram od Edith. „Jack szybko wraca do zdrowia. Nie ma alarmu. Proszę, nie przyjeżdżaj, jeśli nie chcesz mieć teraz wakacji”. Susie przestudiowała obie wiadomości.

- Cóż, wieści od Margaret i od lady Pollock. Zaufałabym ocenie lady Pollock. Jeśli pojedziesz w takim pośpiechu, możesz przestraszyć swego tatę. Pomyśli, że jest z nim rzeczywiście źle. Myślę, że to chciała ci przekazać Edith.

Mam nadzieję, że Czarny Jack zostanie na Florydzie jeszcze długo. W promieniach ciepłego słońca.

Kiedy wróciła tego wieczoru do domu, Lally po raz pierwszy poszła prosto do kuchni. Pani Brown właśnie przygotowywała warzywa na obiad. Lally opowiedziała jej o dwóch telegramach. Zanim się odezwała, pani Brown naląła małą brandy i podała Lally.

- Jedź do niego, Lily. Żaden człowiek nie był nigdy lepszy dla dziecka. On cię kocha. Poczuj się lepiej, jak tylko cię zobaczy.

Wymieniono jeszcze więcej listów i telegramów. Wreszcie opinia Edith przeważała. „Myślę, że to może zaniepokoić Jacka. Pomyśli, że przyjechałaś, gdyż tak bardzo się o niego baliśmy”. Marcowa data powrotu została przesunięta.

Nadszedł kwiecień. W londyńskich parkach rozkwitły żonkile. Ale kiedy Lally pojechała do Pellham Langley, by na prośbę Billingsa, sprawdzić, jak nadal idealnie funkcjonuje, stwierdziła, że w Yorkshire nadal panował mróz, a wiosenne pączki jeszcze nie miały szansy się rozwinąć.

*

* *

Po powrocie z Pellham Langley londyńskie mieszkanie wydało się Lally dziwnie ciche. Obecność pani Brown nigdy nie rzucała się w oczy, ale teraz cisza była inna. Lally poszła do kuchni. Czysto i pusto.

- Pani Brown? - Prawdopodobnie wyszła po jakieś zakupy. Mimo to Lally podeszła do drzwi służbówki i zapukała. Nie było odpowiedzi.

- Pani Brown? - Ostrożnie uchyliła drzwi. Zasłony były zaciągnięte. W pokoju panowała ciemność.

423

- Pani Brown? - Zapaliła światło.

Starsza kobieta leżała nieruchoma w łóżku. Lally sięgnęła, by zbadać jej puls, ale ręka okazała się zimna i prawie sztywna. Właściwie nie było potrzeby przykładać ucha do chudej piersi. Lally przypuszczała, że w nocy serce po prostu przestało bić. Matka...

Lally złożyła jej ręce i poszła zadzwonić po lekarza.

Gdy ciało Rose Brown zostało zabrane, zaczęła starannie przeglądać jej nieliczny dobytek. Bielizna była schludna i czysta, wyprana równie porządnie co rzeczy Lally. Surowe czarne suknie wisiały rzędem w szafie. Na półce leżały wykrochmalone białe kołnierzyki i czepeczki. Oprócz tego dwa czarne płaszcze i wypolerowane na wysoki połysk buty. Z papierów były tylko dwie kartki. Na jednej znajdował się adres, pod którym mieściła się firma prawnicza w Leeds, prowadząca osobiste sprawy Czarnego Jacka. Podkreślono nazwisko starszego partnera, pana Aisgilla. Druga kartka w kopercie, zaadresowana była do Lily. Otworzyła ją.

Pismo wyglądało na niewprawne, jakby pisanie sprawiało Rose Brown wiele kłopotu. „Droga Lily. Skóro to czytasz, to znaczy, że odeszłam. Lekarz powiedział mi, że coś się dzieje z moim sercem. Wtedy przyjechałam do Londynu szukać ciebie. Ta odrobina pracy, jaką tu wykonywałam, była niczym. Nigdy mi nie szkodziła. A kiedy tu zamieszkałam, czułam się jak w niebie. Uwielbiałam opiekować się tobą, Lily. Uwielbiałam widzieć, kim się stałaś. Dałaś mi szansę, którą straciłam tyle lat temu w Leeds. Miałam nadzieję, że zobaczę, jak wychodzisz za mąż i masz dzieci. Ale mogę tego nie dożyć. Jeśli umrę tutaj, będę szczęśliwa. Pełna szacunku Rose Brown". A potem, jakby po namyśle, dopisała coś, co było prawie nieczytelne. „Matka”.

- Matka... - powtórzyła Lally. Zadzwoniła do pana Aisgilla w Leeds.

- Tak, pani Pollock, przez kilka lat wysyłaliśmy skromną sumę pieniędzy do pensjonatu w Leeds. Na życzenie sir Johna. Obawiam się, że nie rozumiem, jak pani Brown... - Wysłuchał ze zdumieniem relacji Lally o pojawieniu się w jej życiu Rose Brown. - Przykro mi, pani Pollock. Nie mieliśmy pojęcia. To było jedno z najbardziej stanowczych poleceń sir Johna. Nie mogła być pani nigdy niepokojona żadnym kontaktem z tą kobietą. Jest mi bardzo przykro, pani Pollock. Powinniśmy byli zachować większą czujność. Ale nie mogliśmy wiedzieć, że pani Brown miała jakiś układ z właścicielką pensjonatu i że obie zwodziły nas.

- To oszustwo zostało popełnione w dobrej wierze, panie Aisgill. Możliwe, że tamta kobieta zgodziła się, wiedząc o stanie serca pani Brown. Nie może jej pan winić. Nie możemy winić żadnej z nich. Pani Brown przyszła do mnie, kiedy uznała, że nie zostało jej już wiele czasu. Nigdy się nie upewnimy, czy naprawdę była moją matką. Wciąż nie ma żadnego dowodu na piśmie. Nadal nic o niej nie wiem. Nie znam jej prawdziwego nazwiska ani miejsca, skąd pochodzi. Nie wiem, kto jest moim ojcem, panie Aisgill. Nie wiem nic o Rose Brown. Ale chciałabym pochować ją tak, jakby była moją matką.

- Pani Pollock! Ale sir John...

- Ojca nie należy tą sprawą niepokoić. Napiszę do niego, kiedy będzie już po wszystkim. Ucieszy się, że ona i ja zawarłyśmy pokój. Więc, panie Aisgill, czy mogę liczyć na pana przybycie pojutrze do kościoła w Pellham Langley? Chciałabym, żeby był pan obecny. Zamierzam zadzwonić do pastora w Pellham Langley i poprosić go o pochowanie pani Brown na tamtejszym cmentarzu. Powiem, że pochodziła z Yorkshire, co zapewne jest prawdą. Nie będzie wiedział

0 niej więcej niż inni. Nikt z nas nie jest pewien, panie Aisgill. Nikt z nas nie jest pewien, czy była moją matką. Ale też nikt nie widział ich obok siebie. Nie był świadkiem konfrontacji ich twarzy w lustrze.

- Jeśli taka jest pani wola, pani Pollock, oczywiście... ale nadal...

- Wątpliwości pozostaną, panie Aisgill. Ale pani Brown nie żyje. Jesteśmy jej winni godny pogrzeb.

To dziwne, jak powaga śmierci działa na najbardziej nawet prozaiczne prawnicze umysły. Może ludzie spoglądają wtedy ku własnemu końcowi i ogarnia ich przerażenie.

- Oczywiście, pani Pollock. Jeśli zatelegrafuje pani, którym pociągiem pani przyjeżdża, wyjdę na dworzec.

*

Dwa dni później Lally i pan Aisgill byli jedynymi osobami obecnymi na pogrzebie kobiety, znanej jako Rose Brown. Lally przywiozła ze sobą z Londynu bukiet frezji. Kwiaty te zawsze kojarzyły jej się z panią Brown. Rzuciła je na trumnę, gdy opuszczano ją do grobu. To dziwne, ale Lally przestała bać się ich zapachu. Myślała o nagrobku z nazwiskiem Rose Brown. Nie będzie na nim żadnych dat, bo nikt nie znał historii tej kobiety, która mogła być jej matką.

Tego wieczoru Lally zaczęła list do Czarnego Jacka. „Najdroższy Ojcze, pochowaliśmy dzisiaj pewną kobietę, Rose Brown, na cmentarzu w Pellham Langley. Zdecydowałam o tym, ponieważ pomyślałam, że ona ma prawo tam leżeć”. Opowiedziała mu o pojawieniu się Rose Brown w Londynie i roli, jaką zdecydowała się odegrać. -

„Stwierdziłam, że opuściły mnie nienawiść i lęk. I zastanawiam się, dlaczego zawsze tak się bałam”.

Tej nocy Lally spała spokojnie w Pellham Langley. Zdała sobie sprawę, że minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni miała sen o tamtym ciemnym, znienawidzonym miejscu. Stawiła czoło faktom. Uznała istnienie tej kobiety, Rose Brown,

i miejsce, jakie mogła mieć w jej życiu. Lally poczuła, że wreszcie jest wolna.

*

* *

Czarny Jack, Edith i Alice pozostali na Florydzie do maja. Potem przenieśli się na Long Island. „Z ojcem wszystko już dobrze” - pisała Margaret. - „Wydaje

310

się, że w pełni wrócił do sił. Ale mam nadzieję, że zostanie u nas na lato, a przynajmniej do lipca. Wtedy moglibyśmy razem pojechać w sierpniu do Pellham. Ale, Lally, on pragnie Cię zobaczyć. Wiem, że tak jest. Nie poprosi, żebyś przyjechała, ponieważ przyznałby wtedy, że czuł, w którymś momencie, iż nigdy więcej Cię nie ujrzy. Ale bardzo tęskni za tobą. Od czasu wojny nie rozstawał się z tobą na tak długo. Wtedy jednak był młodszy i nie tak chory. Tym razem nie proszę dla siebie. Proszę dla Niego”.

Susie uważnie przestudiowała list.

- Myślę, że mówi prawdę. Powinnaś jechać, Lally. Twój tata jest ważniejszy niż wszystko, co masz tutaj.

- Zmuszasz mnie, Susie.

- Tak, zmuszam cię. Wiem, że chciałabyś nigdy więcej nie widzieć tamtego miejsca. Cały czas będziesz myśleć o Jonathanie. Będziesz go sobie wszędzie wyobrażać. I tam jest Alice. Wolałabyś jej nie widzieć na tym tle, prawda? Ale dopóki nie stawisz czoła lękowi przed miejscami, których nie chcesz już nigdy oglądać, nie otrząśniesz się z tego. W porządku, powiedz sobie, że robisz to dla ojca. Może on też chce wiedzieć, czy dasz sobie radę z przeszłością. Cokolwiek byłoby powodem, musisz jechać.

Lally przypomniała sobie ulgę, jaką ogarnęła przy trumnie Rose Brown. W ostatnim momencie przyznała się do tej kobiety, pochowała jak matkę i uwolniła się od zmory przeszłości. Dla przenikliwej intuicji Susie było to całkiem zrozumiałe.

- Zawsze byłaś apodyktyczna, Susie - powiedziała Lally z rezygnacją, ukrywając, że w głębi duszy docenia mądrość przyjaciółki.

- Tak, takie właśnie są dzieci slumsów, kiedy już staną na własnych nogach. Mają też skłonność do snobizmu. Tylko poczekaj. Za kilka lat, mogą cię nawet nie poznać.

Więc Lally pojechała. Brock czekał na nią na nabrzeżu przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

- Udało mi się przekonać Margaret, że spotkam cię sam - powiedział, gdy pakowali bagaże do samochodu. Tego dnia zrezygnował z usług szofera i Lally wiedziała dlaczego. Chciał mieć warunki, by porozmawiać z nią w trakcie podróży na północne wybrzeże.

- Myślę, że było nieco gorzej, niż Edith informowała - zaczął. - Pojechałem na Florydę i rozmawiałem z lekarzami. Potem znalazłem tutaj odpowiedniego specjalistę. Czarny Jack wygląda dobrze i nie skarży się, ale on wszystko znosi spokojnie. Dopiero teraz zrozumiałem, że nie jest tak silny czy pewny siebie, jak mówi. Lekarze niewiele potrafią powiedzieć o jego chorobie. Napięcie wywołane strajkiem mogło przyspieszyć to, co i tak by się stało. Ciężko w to uwierzyć. Wygląda nieźle, ale dostrzegłem zmianę w jego twarzy, gdy tylko tu przyjechał. Myślę, że tym razem Margaret miała rację, ściągając ich na Florydę. Lekarze mówią, że Czarny Jack potrzebuje kilku miesięcy spokoju. Będzie tak zdrow jak zawsze, jeśli tylko dobrze odpocznie. Margaret wszystko zaplanowała i znów muszę jej przyznać rację. Zostaniemy w Whytecliffe do końca lipca, a po

427

tern razem pojedziemy do Pellham. Tego właśnie Czarny Jack potrzebuje najbardziej - mieć was wszystkich wokół siebie.

- Nie tylko nas, Brock. Ciebie też. Jesteś niemal w takim stopniu jego synem, jak Jon. Czasem wydaje mi się, że chciałby, żeby szczęście cię zawiodło. Mógłby wtedy poprosić cię o przyjazd i pomoc w prowadzeniu fabryk i kopalń.

- Och, nie myślę, żeby potrzebował mnie aż tak bardzo, Lally. Ostatecznie, przecież ma ciebie.

Potrząsnęła głową.

- Kobiety są teraz o wiele bardziej niezależne, ale jest ogromna różnica między prowadzeniem do spółki z Susie małego salonu mody a zasiadaniem w radzie dyrektorów poważnych zakładów przemysłowych. Zwłaszcza w Yorkshire. W Londynie to mogłoby się udać, ale północna Anglia jest znacznie bardziej konserwatywna. Tam mężczyźni podejmują wszystkie decyzje, a przynajmniej uważa się, że powinni. Mogłabym spróbować zostać prawą ręką ojca, ale nie wydaje mi się, by on tego chciał. Woli, żebym była wolna od świata interesów. Podejrzewam, że sądzi, iż moje szanse na ponowne małżeństwo będą wtedy większe.

Brock przytaknął.

- Może masz rację. Chciał, żebyś wyszła za Gerry'ego Harpera. Niezły pomysł, ale skoro uznałaś, że to nie dla ciebie, wierzę twojemu osądowi. Słyszałaś, co się przydarzyło Gerry'emu?

- Nie? - Dlaczego wpadła w popłoch? Gerry Harper nie należał już do jej życia. Pozwoliła mu odejść. Czyżby przypuszczała, że wciąż będzie na nią czekał?

- Ożenił się. Z dziewczyną z Denver. Mówią, że jej rodzina równie solidnie siedzi w brunatnym antracycie co Harperowie w miedzi. Przywiózł ją na północne wybrzeże i kupił apartament na Park Avenue. Ta mała ma zaledwie dwadzieścia lat. Po raz pierwszy naprawdę smakuje wielki świat. I czuje się w nim jak ryba w wodzie. Jeśli chodzi o zapał do przyjęć i tańca, może nawet pobić Margaret. Podobno nie za bardzo podoba się Staremu Harperowi. On teraz często przychodzi w odwiedziny do Czarnego Jacka. Siedzą razem na tarasie, patrzą na cieśninę i niewiele mówią, ale mógłbym przysiąc, że obaj myślą, jak bardzo byliby zadowoleni, gdybyś to ty wyszła za Gerry'ego.

- Nic na to nie poradzę - odparła ostro. - Nie mogę wyjść za mąż, by zadowolić innych, nawet najbliższych, ludzi.

- Masz całkowitą rację, nie możesz. Nigdy o tym nie zapomnij. Jeśli kiedykolwiek usłyszę, że zamierzasz poślubić jakiegoś faceta, pozwolę sobie przypomnieć ci twoje słowa.

- Zrób tak, Brock. Zrób.

Reszta drogi minęła im w milczeniu. Lally myślała o ostatnim spotkaniu z Gerrym. Czy, mimo wszystko, postąpiła głupio? Jak wielu Gerrych Harperów mogła jeszcze spotkać? Brutalnie stłumiła uczucie żalu i niemal przeklinała miłość, którą czuła dla Jona. Wydawało się niemożliwe, by inny mężczyzna zajął jego miejsce. To paskudny pech, myślała, zakochać się tak dawno temu i nie móc

312

wyrwać z serca tego uczucia. Powinno być jakieś wyzwolenie, jeśli istnieje sprawiedliwość.

Czarny Jack siedział wraz z Edith, Margaret i Alice na tarasie w cieniu markizy. Miał na sobie białe flanelowe spodnie i panamę. Ogorzały, wyglądał na człowieka w dobrej formie. A może było to złudzenie z powodu opalenizny? Pierwszy dostrzegł Lally, wstał i zdjął kapelusz. Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że ramiona ojca pochyliły się, te ramiona, które zawsze były takie proste. Jego włosy stały się już zupełnie białe, choć brwi zachowały zaskakującą czerń. Wciąż przystojny mężczyzna, ale już stary człowiek. Rzuciła się w jego rozwarte ramiona.

- Och, Lally, tak dobrze cię widzieć,

Margaret miała rację. Powinna była przyjechać dawno temu.

*

* *

Gdy tak siedzieli na tarasie w majowy wieczór, a Brock mieszał i podawał drinki, kamerdyner, zapominając nagle o zimnej krwi, jakiej nauczyły go dwa lata służby w angielskim pałacu książęcym, wbiegł prawie pędem, chcąc podzielić się ostatnimi wiadomościami.

- Panie Weymouth, madam! Zrobił to! Wiedzą państwo, Lindbergh, ten facet, który wystartował wczoraj z Roosvelt Field, próbując przelecieć Atlantyk. Udało mu się! Dotarł bez lądowania do Paryża. Właśnie usłyszałem w radiu. Wiadomości dopiero nadeszły. Jezu, proszę to sobie tylko wyobrazić!

Wszystkie spojrzenia spoczęły na jego twarzy. Brock odwrócił się, wciąż trzymając w ręku shaker. Kamerdyner zdrętwiał.

- Przepraszam, sir. Nie chciałem przeszkadzać. Pomyślałem tylko, że chcieliby państwo wiedzieć.

Brock energicznie zaczął mieszać martini. Ten przywilej przejął od Czarnego Jacka, a rezultaty, jakie osiągał były dużo lepsze.

- Oczywiście, że chcieliśmy wiedzieć, Vickers. Włóż szampana do lodu. I, o ile nie zakłóci to obiadu, możesz wydać kilka butelek służbie.

Vickers spojrzał niepewnie.

- Ma pan na myśli całą służbę, sir? Myśli pan o... cóż, pokojówkach? Ochro... - próbował zatuszować potknięcie. - Ogrodnikach i wszystkich innych, sir? - Przez chwilę wyglądał, jakby cierpiał męki. - Sir, mamy tylko dobry rocznik szampana.

- Taką mam nadzieję, Vickers. W końcu za to płacę. Tak. Zaproś wszystkich. Również ochroniarzy, nawet jeśli zwykliśmy nazywać ich ogrodnikami. I pokojówki. Byle tylko nie oblały mnie zupą, podając do stołu.

- Sir!

- W porządku, Vickers. To żart.

- Oczywiście, sir. Żart. - Vickers odwrócił się i zaczął wycofywać się z tarasu. Ale zatrzymał się. - Panie Weymouth?

430

- Tak?

- Kiedy wiadomość nadeszła z Paryża, podobno ogromny tłum zebrał się na różnych lotniskach. Od razu nadali mu przydomek, temu Lindberghowi. Ktoś nazwał go „Samotnym Orłem”. Bardzo dobrze, że to Amerykanin dokonał takiego czynu jako pierwszy. Tak myślę, sir.

- Bardzo dobrze, Vickers. Bardzo dobrze. Skorzystaj z okazji...

Kiedy kamerdyner wyszedł, odezwała się Alice. Wyraźnie zaintrygowało ją powszechne poruszenie.

- Orzeł? Kto jest orłem?

- Orzeł... - zaczął tłumaczyć Mark Shaw. Ale Margaret niecierpliwie mu przerwała.

- Orzeł. Tak, mają rację tak go nazywając. - Wstała, podeszła na skraj tarasu i wychyliła się nad balustradą. -

Wyobraźcie sobie tylko, jakie to musi być uczucie, latać. Oderwać się od ziemi. Wolność... lot... jak ślizganie się po powierzchni fal, ale tum w górze, wśród chmur.

- Nie tak gładko, nie tak swobodnie, jak pani myśli - powiedział Mark Shaw.

- A co pan o tym może wiedzieć? - Margaret poczuła się urażona autorytatywnym tonem nauczyciela. - Latał pan kiedykolwiek? Niewiele pan wie o życiu, panie Shaw. Nie żył pan nigdy naprawdę!

- Margaret! - krzyknęli jednocześnie Czarny Jack i Brock.

Odeszła od balustrady i osunęła się na swój fotel. Podniosła swoje martini.

- Przepraszam, panie Shaw. To podłość z mojej strony. A na dodatek nieprawda. - Uniosła w jego stronę pustą szklanekę - Czy mi pan przebaczył?

- Tak, pani Weymouth. - Ale twarz Marka Shawa nadal była zaczerwieniona, a usta ściągnięte urazą. Kto, pomyślała Lally, nie poczułby się urażony stwierdzeniem, że niczego w życiu nie zdziałał. Złośliwość Margaret zdawała się stawiać męskość Shawa pod znakiem zapytania. Któregoś dnia mógł zostać sprowokowany do jakiegoś słowa lub działania, tylko po to, by udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną. Margaret niebezpiecznie igrała z jego uczuciami.

Tymczasem Margaret odchyliła głowę do tyłu i piękna linia jej szyi zarysowała się na tle nieba.

- Więc, Brock, gdzie jest szampan? Kiedy uczcimy naszego Samotnego Orła?

- Orzeł! - powtarzała Alice. - Orzeł... orzeł...

- Och, bądź cicho jeśli nie możesz mówić z sensem - rzuciła ze złością starsza siostra i zignorowała zraniony wyraz, jaki pojawił się w oczach Alice. Specjalnie też ominęła wzrokiem ojca, by nie zobaczyć malującego się na jego twarzy wyrzutu. Wyciągnęła szklanekę do Brocka.

- Jeszcze jednego, kochanie, proszę. Akurat wystarczy, zanim pojawi się szampan.

Brock natychmiast zaczął mieszać martini, próbując jednocześnie rozproszyć mrozącą ciszę, jaka zapadła na tarasie.

314

- Nie uważasz, Jack, że czas zainteresować się rynkiem lotniczym? Może produkcja samolotów? Wygląda na dziedzinę z przyszłością. Mamy szansę wejść w to od samego początku...

II

Pozornie wszystko było jak dawniej. Płynęły długie, leniwe dni w Whytecliffe. Ale pod tym spokojem Lally wyczuwała napięcie, podskórne niechęci, nawet podskórną wrogość. Działo się coś złego. Czy Margaret zaczęła ranić i straszyć Alice? Czy troska o zdrowie Czarnego Jacka wywierała na ich nerwy presję, do jakiej nie mogli się przyznać? Scena, która miała miejsce na tarasie w wieczór przyjazdu wydawała się Lally znamiona. Dni mijały. Codziennie pływali, jeździli konno, grali w tenisa i golfa, a po nocach tańczyli. Wszystko odbywało się tak samo od lat, ale życie nie było już takie samo. Czarny Jack obserwował swoich bliskich. Niewiele się ruszał i zwykle milczał. Edith siadywała obok męża. Pragnęła osłonić go przed najdrobniejszym zmartwieniem, wiedziała jednak, że nigdy nie zdoła tego dokonać. Powoli Lally zaczęła uświadamiać sobie zmiany, jakie przyniosły ostatnie dwa lata. W silnie niegdyś związanej ze sobą rodzinie zaczęło dochodzić do rozłamów. David, mimo swoich zaledwie siedmiu i pół lat, przejawiał już znaczne dążenie do niezależności. Kiedy tylko mógł, wymykał się spod kontroli Marka Shawa, aby psocić z innymi chłopcami z domów na wybrzeżu. W towarzystwie kilku starszych chłopców, rzucając kamieniami, wytlukł szyby krytego kortu tenisowego na terenie posiadłości Harperów. Brock pośpieszył naprawić szkodę i kazał Davidowi przeprosić Starego Harpęra.

- Nie możesz mnie zmusić - krzyczał David. - Nie jesteś moim ojcem!

- Słuchaj, synku, na razie jestem jedynym ojcem, jakiego masz, więc zrobisz to, co mówię. A teraz zabieraj się do pana Harpera albo sprawię, że długo nie będziesz mógł usiąść na tyłku.

Kiedy mały wyszedł, Margaret zaatakowała Brocka.

- Nie będziesz go karał fizycznie. Nie zniosę tego!

- A ja nie zniosę, żeby smarkacz psuł mi stosunki towarzyskie. Żyjemy w zgodzie z sąsiadami i jeśli dasz mi jakiś dobry powód, dla którego David miałby niszczyć własność innych ludzi, to będę szczerze zdziwiony.

Margaret milczała, urażona. Potem, mimo nadciągającej burzy, całe mile żeglowała wzdłuż cieśniny, wiedząc, że Brock umiera ze strachu. Kiedy wróciła, Edith i Lally wyszły jej na spotkanie na molo. Pomagając złożyć żagle, Edith powiedziała:

- Wiem, że zrobiłaś to na złość Brockowi. Chciałaś, żeby się zdenerwował. Ale nie zapominaj, że w taki sposób szarpiesz również nerwy swemu ojcu. A ja tego nie zniosę, Margaret. Prowadź wojny z Brockiem, kiedy tylko chcesz, ale nie wciągaj w to Jacka. Nie masz prawa go niepokoić.

- Do cholery! - wściekała się Margaret. - takie zamieszanie o kilka zбитych szyb. David zrobił to, bo inni go namówili. Starsi od niego. Nie chciał być

433

uznany za maminsynka. A gdzie, ciekawa jestem, był wtedy Mark Shaw? Czy nie jest wychowawcą Davida? Czy nie powinien być z nim cały czas?

- Pan Shaw tego popołudnia pojechał z Brockiem na Manhattan - spokojnie odpowiedziała Edith. - Wiesz o tym doskonale. A teraz przestań zachowywać się jak egoistka i pomyśl o ojcu. I przestań znieważać pana Shawa. Czasami wstydzę się za ciebie. Sposób, w jaki traktujesz tego człowieka, jest skandaliczny.

- Niepokoję się o Davida i wyładowuję gniew i lęk na Marku. David zmienił się. Od czasu śmierci Jonathana. Zdawało się, że wtedy przyjął wiadomość

o tragedii w miarę spokojnie, ale zmiany, które w nim zaszły, widoczne są w różnych, drobnych sprawach. - Gdy Margaret mówiła, myśli Lally wróciły do biblijnych słów: „Dusza Jonatana przylgnęła całkowicie do duszy Dawida”. To była prawda. David kochał Jonathana.

- Wiem - ciągnęła Margaret - że opieka nad małym jest trudniejsza, niż kiedykolwiek przyznałam. Nie radzi sobie najlepiej w szkole, mimo że Mark go doucza. Zdarzały się już pewne incydenty, o których nie mówiłam Brockowi. Jakoś je załagodziłam. Staralam się sama sobie z tym poradzić. Ale widzę... widzę, że źle się dzieje. Nie wiem, co robić. Z Davidem czy z Alice.

Dotknęła problemu, którego nie chcieli uznać, a tym bardziej mówić o nim. Alice kontrolowana przez dwie opiekunki stała się inną osobą. Może zatrzymała dla siebie okropne wspomnienia tamtego poranka, kiedy zginął Jonathan, a może zapomniała o wszystkim i po prostu czuła się urażona nadzorem, pod którym stale się teraz znajdowała. Zdobywała się więc na różne pomysłowe sztuczki, by wymknąć się spod kurateli. Siedziała na przykład, spokojnie z Czarnym Jackiem

1 Edith, a potem nagle proponowała im lemoniadę albo mrożoną herbatę, po którą wyruszała samodzielnie do kuchni. Stała się ulubienicą służby. Przesiadywała godzinami, chrupiąc ciasteczka wypiekane na podwieczorek i gawędząc z kucharką i Vickersem.

Lally podsłuchiwała kiedyś rozmowę tych dwojga.

- Kto mógłby czegokolwiek jej odmówić? - wzruszała się kucharka. - Panienska Alice jest taka śliczna. I te jej biedne, poparzone ręce. Ktoż może winić biedne dziecko za tę historię sprzed dwóch lat? Ale sędzę, że oni ją winią, nawet jeśli wprost tego nie mówią.

Czy to właśnie była zmiana, którą wyczuwała Lally? Czy rodzina zaczęła odczuwać jakieś wątpliwości w związku z Alice? Margaret zatrzymała dla niej na stałe drugą opiekunkę, mimo że w domu była liczna służba, a Mark Shaw i

niania Williams nie akarzyli się na nadmiar obciążeń. Margaret po prostu bała się, myślała Lally, zostawić którekolwiek dziecko same. -

Brock także zdawał się mieć swoje obawy. Nigdy nie wyrażał ich otwarcie, ale wyraźnie miał się na baczności przed jakimś zagrożeniem z zewnątrz. Margaret wspomniała o tym kwaśno Lally któregoś dnia, gdy spacerowały wybrzeżem. Jedynie podczas tych samotnych przechadzek, naprawdę rozmawiały. W towarzystwie wymieniały się jedynie banałami.

- Nie do końca rozumiem, o co chodzi - powiedziała Margaret. - Nie wiem, czego Brok się obawia. Dotąd mieliśmy najwyżej dwóch ludzi z ochrony. To

435

tutaj normalne. Pilnują terenu, by nikt nie naruszał prawa do prywatności. Ale teraz jest ich chyba sześciu. Nigdy dokładnie nie wiem. Zmieniają się. Brock przebiera ich za ogrodników lub dodatkowych szoferów. Ktoś zawsze myje i poleruje samochód, nie spuszczać jednocześnie wzroku z głównego wejścia. Czasami płaczą się po domu, udając, że reperują bezpieczniki lub wymieniają uszczelki w kranach. Odkąd Jonathan... Od tego dnia, gdy nikt nie zauważył, jak Alice zabiera chłopców, Brock stał się ostrożny. Ale nie wiem, czego dokładnie się obawia. Zerknij dyskretnie przez ramię, Lally. Jeden z tych facetów będzie szedł za nami. Oczywiście, w stosownej odległości. Dlaczego mamy być pilnowane? Kiedyś zapytałam Brocka o to wprost. Ale wiesz, jak on potrafi odpowiedzieć, nie mówiąc nic konkretnego. Tłumaczył mi, że transakcje na Wall Street zwracają na siebie publiczną uwagę. Cała Ameryka oszalała na tym punkcie. Uważa, że nie rozumiem, na jaką skalę są niektóre z tych operacji. Wie, że nie czytuję „Wall Street Journal”. Ale ja przeglądam artykuły o sprawach finansowych w „New York Timesie”. Nie mogę zrozumieć, co te transakcje mają wspólnego z taką ochroną, w Whytecliffe. Wiesz, wciąż krążą plotki, że Brock miał jakieś powiązania z różnymi brudnymi sprawami. Kontakty z jakimiś nieciekawymi osobnikami. Och, nie aż takimi jak Al Capone. Ale właśnie tego typu ludzie zatrudniają ochroniarzy. Takich, jakich my mamy.

- To cię dręczy.

- Oczywiście, że to mnie dręczy. Wolałabym, prowadzić życie swobodniejsze, prostsze. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że dojdzie do takich absurdów. Brock trzyma pistolet w szufladzie obok łóżka i mam wrażenie, że jakaś broń schowana jest też w bibliotece. Jestem przekonana, że bierze ze sobą pistolet, kiedy gdziekolwiek jedzie. Tak podobno robią wszyscy.

- On cię kocha, Margaret. Jest zapewne wplątany w coś, co uważa za niebezpieczne i chce cię ochronić.

- Wolałabym, żeby się nie mieszał w takie historie. Dlaczego nasze życie nie może być normalne, zwyczajne? Ojciec nigdy nie potrzebował...

- Ojciec, chcąc nie chcąc, musiał wziąć udział w łamaniu strajku. Wszystkie dawne urazy wobec właścicieli kopalń i fabryk znów wypłynęły na powierzchnię. Wywleka się przeszłość, dużo mówi się o czasach, kiedy dzieci pracowały po dwanaście godzin dziennie. Jakby to ojciec był odpowiedzialny za te wszystkie niesprawiedliwości. Oczywiście, żaden człowiek interesu nie dorobił się majątku bez wykorzystywania czy nawet wyzyskiwania różnych w swoim czasie ludzi. Brock może mieć rację, obawiając się wrogów. Pragnie ochronić ciebie i dzieci.

- Powinam być mu wdzięczna. On chce mieć pewność, że nigdy już nie zdarzy się nic takiego, co spotkało Jonathana. Ale dla ciebie, Lally, to za późno. Wiem, że ta myśl prześladowuje Brocka. Prześladowuje nas wszystkich. Byliśmy tacy nieostrożni i zdaje się, że będziemy płacić za to do końca życia.

Lally dotknęła jej ramienia.

- Wracajmy.

Margaret odwróciła się posłusznie.

317

- Tak, jaki jest sens rozmawiać o tym? Wskazała jakąś postać w oddali. -Widzisz, on też zawraca. Tuż przed nami dotrze do domu. Prawdopodobnie zostaniemy go przy zamiataniu tarasu.

Lally napisała o tym wszystkim do Susie. Opowiedziała o wycieńczeniu Czarnego Jacka, pełnej czujności postawie Edith, wzrastającej bezkompromisowości Davida, wreszcie o złych humorach Alice i jej próbach ucieczki opiekunkom. Susie odpisała. „Potrzebuję Cię tutaj, ale dam sobie radę. Twoim obowiązkiem jest zostać z nimi. Oni bardziej Cię potrzebują”. Więc Lally spędzała czas, w sposób, który uważała za beczynność. Nie mogła zająć się niczym, co jej zdaniem byłoby użyteczne. Pewnej nocy, kiedy pozostali poszli już spać i została sama na tarasie, przysiadł się do niej Brock.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, dobrze, Lally? - poprosił. - To już niedługo. Za kilka tygodni będziemy w Pellham.

Lepiej się czuję, kiedy tu jesteś. - Wyciągnął papierośnicę. - Ostatni papieros przed snem?

Palili w milczeniu, obserwując migotliwe światła jachtów, kołyszących się na spokojnych wodach cieśniny.

Wpatrywali się w gwiazdy, które stawały się jaśniejsze od gasnących powoli okien wielkich domów nad zatoką.

Lally szcze- gołnie silnie czuła bliskość Brocka. Pomyślała nagle ze zdumieniem, że tylko w jego obecności zaznawała ukojenia, poczucia bezpieczeństwa. Teraz ona mogła mu pomóc odzyskać spokój. Brock liczył na nią.

Wstali zdusiwszy papierosa, pochylił się nad Lally i pocałował ją w policzek

- Dobrej nocy. - Przytrzymał rękę przyjaciółki o sekundę dłużej, niż wymagała tego zwykła grzeczność. - Dziękuję ci, Lally.

Nie zapytała, za co jej dziękował.

III

Lipcowy żar spadł na północne wybrzeże. Lally zdawało się, że zmaćcił masywne linie budynków, tak że falowały i skrzyły się w rozpalonym powietrzu. Przez cały tydzień temperatura wzrastała i Brock z dnia na dzień wracał z Wall Street coraz bardziej zmęczony. W piątek razem z Markiem Shawem przyjechali z Manhattanu wczesnym popołudniem. Brock ciężko osunął się na stojący w cieniu fotel i poprosił Vickersa o mrożoną kawę.

- Na rynku panuje zastój. Wszyscy wyjechali na weekend. Nie wiem, dlaczego Mark i ja mielibyśmy męczyć się w tym upale. Nie mogę się już doczekać momentu, kiedy wsiądziemy na statek. Solidna ulewa i chłodny angielski sierpień o tym właśnie marzę. - Podał gazetę Czarnemu Jackowi. - Pomyślałem, że to cię zainteresuje. Myślę, że sam zainwestują...

Na tarasie pojawiła się Margaret. Jej twarz wyrażała napięcie. Za nią podążał David. W drzwiach, prowadzących z głównego hallu stanął człowiek w mundurze policjanta. Wahał się przez chwilę, a potem skierował prosto do Brocka. Po drodze położył rękę na ramieniu Davida i popchnął chłopca naprzód.

438

- Dobrze, że pana zastaję, panie Weymouth. To historia, którą powinien zająć się mężczyzna.

Brock podniósł się.

- Co się stało, sierżancie Willis?

- Ja w sprawie dzieciaka, panie Weymouth. Zdarzyły się pewne kłopoty w posiadłości Haileyów. Banda chłopaków, wśród nich kuzyn Haileyów, rzuciła kilka petard na terenie stajni. Jeden z koni oszalał ze strachu. Próbował wydostać się z boksu i fatalnie się poranił. Mówiąc krótko, panie Weymouth, złamał nogę i musieli go zastrzelić. Ile wspólnego z tym wybrykiem miał pański syn, a raczej syn pani Weymouth, nie jestem pewien. Pan Hailey mówi o wniesieniu sprawy do sądu. To był bardzo cenny rasowy koń, toteż właściciel jest zdecydowany uzyskać rekompensatę od rodziców. I nie zamierza pobłażać państwa małemu, z powodu młodego wieku lub arytokratycznego pochodzenia. Nie ma dla niego różnicy, czy dzieciak jest angielskim lordem, czy kimkolwiek innym. Myślę, panie Weymouth, że lepiej, żeby pan jak najszybciej poszedł do pana Haileya. - Spojrzał w dół na Davida. - Wiem, co się stało z tym drugim chłopcem dwa lata temu, panie Weymouth, ale to nie tłumaczy takich wariactw. David zna konie. Jeździ na kucykach. Powinien mieć więcej rozsądku. Cóż, zostawiam to panu. Nie interesuje mnie karanie dzieciaków więzieniem. Ale ciągle wzrasta liczba młodocianych przestępców, panie Weymouth. Niech pan lepiej weźmie go w garść. Nie chciałbym, żeby takie wybryki powtórzyły się na moim terenie. Brock natychmiast udał się załagodzić gniew Daltona Haileya. Znali się przelotnie, a nawet sporadycznie składali sobie wizyty. Hailey admirował urodę Margaret, ale jego sympatia nie sięgała tak daleko, by przebaczyć Davidowi śmierć ulubionego konia. Brock wypisał więc czek na pokaźną sumę i obiecał, że chłopak zostanie przykładowie ukarany.

Tego wieczoru i przez cały następny dzień w Whytecliffe toczyły się spory o los Davida.

- Myślę, że pora przekazać go na pewien czas Goughom. W Anglii uczęszczałby już do szkoły powszechnej.

- Daj go mnie pod opiekę Brock - zaproponował Czarny Jack. - Gough jest za stary. Ja też nie jestem młody, ale lepiej mu będzie z nami.

- Nie! - krzyknęła Margaret. - Nie pozwolę go wysłać do żadnej z tych okropnych szkół. To jeszcze dziecko! Wystarczy, że kiedyś będzie musiał pójść do Eton. Spróbujcie sobie wyobrazić, jakby się czuł tak daleko od nas. Nie mógłby nawet wracać do domu na święta i wakacje.

- Wydaje mi się, że Brock ma rację, Margaret. Może trochę dyscypliny... -głos Czarnego Jacka brzmiał ponuro. - Przecież David będzie mógł przyjeżdżać do Pellham. I oczywiście, wracaliby do Ameryki na lato.

- Pellham! Pellham! Musisz być szalony, jeśli myślisz, że pozwolę, żeby David przebywał sam w Pellham, kiedy mieszka tam Alice! Już zapomniałeś? Nie mogłeś zapomnieć! David widział śmierć Jonathana! A Alice jest za to odpowiedzialna. Jeśli chłopiec sprawia kłopoty, to dlatego, że był świadkiem zbrodni. Ciągle śnią mu się koszmary. Wszyscy mamy te koszmary, ale David jest tylko

dzieckiem. Nie możecie go odesłać. Jeśli chcecie go gdzieś wysłać, to ja wam mówię, lepiej pomyślcie o oddaniu Alice!

- Nie! - wysoki, przejmujący krzyk rozległ się w sąsiednim salonie. Alice siedziała na jednej z sofy wysokim oparciem. Nie odzywała się przez cały wieczór ani słowem, więc wszyscy myśleli, że poszła na górę z panią Barnes. Teraz gwałtownie zerwawszy się ze swego miejsca, dziewczyna rzuciła się do Czarnego Jacka.

- Nie będę odesłana. Ojczy... Ojczy... Muszę zostać z tobą. Czarny Jack chwycił córkę w ramiona.

- Spokojnie, kochanie. Spokojnie... wszystko w porządku. Nikt cię nie odda. Zawsze będziesz ze mną, kochanie. - Ponad jej głową popatrzył twardo na resztę rodziny. - Alice zawsze będzie ze mną. Mam nadzieję, że to rozumiecie.
*

Dyskusja o przyszłości Davida przeciągnęła się z soboty na niedzielę. Mały winowajca siedział w swoim pokoju, Mark Shaw prawie w ogóle się nie pokazywał, a podczas posiłków ponuro milczał. Lally uświadomiła sobie, że waży się również losy nauczyciela. Jeśli David zostanie odesłany do szkoły w Anglii, Mark Shaw straci pracę. Brock mógł go, oczywiście, zatrzymać w swoim biurze na Manhattanie, ale Lally nie była pewna, czyjej dawny protegowany zdołałby się tam naprawdę do czegoś przydać.

Zdenerwowanie i przygnębienie wyraźnie malowały się na wszystkich twarzach. Alice prawie nie spuszczała wzroku z Czarnego Jacka. Odmówiła pójścia na zwykły spacer z panią Barnes, siedziała tylko potulnie, obojętna i milcząca. Jej napięcie udzieliło się pozostałym członkom rodziny. Lally pomyślała, że fatalnie się stało, iż pani Shearing w ten właśnie weekend postanowiła wziąć wolne. Chora zawsze wydawała się szczęśliwsza z nią niż z panią Barnes. Alice ledwie dotknęła obiadu, mimo że Czarny Jack błagał ją, by jadła. Poza odmową pójścia na spacer, przez dwa dni odezwała się tylko raz.

- Gdzie jest David?

- David był niegrzeczny - odparła Margaret. - Zostanie na razie w swoim pokoju.

- Czy jego też zamierzasz odesłać?

- Nikt nie będzie nigdzie odesłany, Alice - warknęła Margaret. - **1** nie pytaj już więcej.

Milczenie Alice podziałało na nich wszystkich.

* *

Na niedzielny wieczór wszyscy zostali zaproszeni do Harperów. Ponury nastrój nie sprzyjał składaniu wizyt, więc Edith zaproponowała, by przepro

sić Gerry'ego i zrezygnować z zaproszenia. Margaret jednak oparła się stanowczo.

- Och, na Boga, nie róbmy tego. Co za ulga wyjść na chwilę z tego domu. Wszyscy potrzebujemy odpoczynku od siebie nawzajem. Poza tym, jeśli Lally nie pójdzie, będzie wyglądało, jakby unikała żony Gerry'ego.

Lally pomyślała, że istotnie wcale nie na ochoty spotkać żony Gerry'ego, ale nie zamierzała się z tego nikomu zwierzać. Wykąpała się więc i starannie uczesała, wybrała najodpowiedniejszą sukienkę i powiedziała sobie, że nie będzie zazdrosna. Prawie jej się to udało. Czuła tę samą ciepłą sympatię, jaką zawsze miała dla Gerry'ego, ale nic więcej. Obrzuciła bezstronnym spojrzeniem jego młodą żonę i uznała, że jest bardzo ładną kobietą o żywym sposobie bycia, błyskotliwą i pełną młodzieńczego uroku.

Kiedy pani Harper ochoczo opowiadała o planach podróży do Europy, Edith uprzejmie zaprosiła ją z mężem na polowanie do Pellham Langley.

- Och, myślę, że nie będzie czasu. Jest tak wiele miejsc. Paryż, Wenecja, Rzym...

Lally odniosła wrażenie, że żonę Gerry'ego trochę peszyła Edith. Powiedziano jej, że będzie podejmować markizę i dziewczyna nie była pewna, jak powinna zwracać się do dostojnego gościa. Kiedy pierwsze zakłopotanie minęło, młoda gospodyni zagadnęła Margaret.

- A twój synek jest naprawdę wicehrabią? To wszystko udaje mi się okropnie pogmatwane.

- Musicie wybaczyć Carol - przerwał jej Stary Harper z odrobiną zjadli-wości. - Jest jeszcze bardzo młoda. Co prawda, jeździ konno i strzela jak kowboj, a wszyscy znający się na rzeczy twierdzą, że tańczy prawdziwego charlestona, ale nie oczekujcie zbyt wiele od tego dziecka.

- Myślę, że na nas już czas - dała sygnał do powrotu Margaret. Czuła się znużona rodzinnymi kłótniami. - Ojciec nie powinien przesiadywać długo po nocy.

Stary Harper na pożegnanie uścisnął dłoń Bracka.

- Słyszałem, że chłopak wpadł w jakieś kłopoty. Bądź dla niego twardy. Pobłażanie to błąd, który popełniłem z Roddym. Skutki okazały się fatalne.

- David - wtrąciła się ostro Margaret - jest moim synem.

- Więc, młoda damo, zajmij się nim staranniej.

- Grubiański staruch - wściekała się jeszcze Margaret, kiedy już wszyscy siedzieli w samochodzie. - Biedna Carol będzie z nim mieć piekielne życie. Bardzo dobrze, że nie wyszłaś za Gerry'ego, Lally. Musiałabyś ścierpieć jego ojca.

- Lally - powiedział oschle Brock - owinęła sobie Starego Harpera wokół małego palca. Ale co to ma do rzeczy. Przecież to nie on się jej oświadczał.

* *

Kiedy zatrzymali się na podjeździe, ogromna liczba świateł w oknach Why-tecliffe, powiedziała im, że stało się coś niezwykłego. Brock zgasił silnik. Do ich uszu dobiegł przeraźliwy histeryczny krzyk.

21 - Obietnice

321

- Alice! - Brock rzucił się w stronę domu. Vickers otworzył mu, jakby czekał tuż za drzwiami.

- Właśnie dzwoniłem do rezydencji państwa Harperów, sir, i powiedziano mi, że państwo już wyszli. To panienka Alice, sir.

- Sam słyszę, człowieku. Na Boga, co się stało?

Brock już go minął i ruszył do biblioteki. Wszyscy podążali za nim. Czarny Jack biegł szybciej niż pozwalało mu osłabione serce.

- Jack, ostrożnie... - błagała Edith. Zatrzymali się w drzwiach.

Alice klęczała przytulona do poręczy fotela. Rzuciła głową, krzycząc i szlochając. W przerwach między atakami wrzasku wciskała twarz w miękki plusz obicia, jakby zasłaniając się przed światłem lub jakimś obrazem, który budził jej przerażenie. Mark Shaw i pani Barnes stali bezradnie obok. Opiekunka próbowała pogłaskać dziewczynę, ale Alice gwałtownie strząsała jej dłonie. Twarz Marka Shawa znaczyły ślady wielu małych zadrapań. Jego koszula i białe flanelowe spodnie poplamione były błotem i krwią.

- Panie Weymouth... - zaczęła pani Barnes.

Czarny Jack uciszył ją gestem ręki. Powoli podszedł do Alice. Ostrożnie ukląkł obok córki i położył rękę na jej głowie.

- To ojciec, kochanie.

Momentalnie szloch i krzyki ustały. Alice rzuciła się w jego objęcia omal nie przewracając go na podłogę.

- Już dobrze, kochanie. Jestem przy tobie, Alice. Jestem.

Podniosła głowę, spojrzała ponad jego ramieniem i zobaczyła ich wszystkich stłoczonych w drzwiach. Wtedy krzyk rozbrzmiewał na nowo.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś po lekarza? - Brock ostro zwrócił się do Vickersa.

- Sir... Nie byłem pewien, czy pan sobie tego życzy.

- Cholerny głupcze! Cokolwiek się stało, ona potrzebuje pomocy medycznej.

Czarny Jack wstał, delikatnie podnosząc Alice. Brock wziął ją pod ramiona, uwalniając Czarnego Jacka od ciężaru niemal bezwładnego ciała.

- Już dobrze, skarbie. To twój stary Brock. - Alice przywarła do niego, wtulając zapłakaną twarz w jego koszulę. - Co się stało, kochanie? Powiedz Bro-ckowi.

- Ona nic nie musi panu mówić, panie Weymouth - chrypliwie krzyknęła pani Barnes. - Dziewczyna została zgwałcona. To się stało. Ten człowiek, Shaw, to zrobił.

Brock spojrzał kobiecie w twarz.

- Jest pani tego pewna?

- Proszę na nią spojrzeć. Cóż innego mogło się stać?

Brock zmusił Alice do rozluźnienia uścisku i odsunął ją na długość ramienia. Wówczas wszyscy zobaczyli zakrwawioną, rozdartą koszulę nocną. Zmaltretowana twarz dziewczyny nosiła okrutne ślady, podobnie jak szyja i reszta

322

ciała. Na koszuli przyschły plamy błota, a we włosach zaplątały się suche liście. Gdy Brock przyglądał się rannej, jej ręka ześlizgnęła się na podbrzusze i zaczęła pocierać złociste włosy łonowe. Wówczas dostrzegli ciemny cień krwi, zaschniętej pomiędzy udami.

- Boli mnie.

- Boże wszechmocny! - szepnął Brock. Z bezgraniczną delikatnością przekazał dziewczynę Czarnemu Jackowi, podszedł do Marka Shawa i chwycił go za koszulę.

- To prawda? Zrobiłeś to, skurwysynu!

- Nie, to nie było tak! Mówię wam, nie tak. Usłyszałem jakieś wrzaski... z ogrodu. Zszedłem na dół. Biegła od strony ujeżdżalni. Potwornie krzyczała. Wszystko co zrobiłem, to wciągnąłem ją do domu. Poza tym nawet jej nie dotknąłem.

Brock zaklął i uderzył Marka wierzchem dłoni w twarz tak silnie, że głowę nieszczęśnika aż odrzuciło do tyłu. Mimo krzyków Alice mogli dosłyszeć astmatyczne charczenie, kiedy Shaw próbował złapać powietrze.

- Nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem...

Brock przyciągnął nauczyciela do dużego biurka. Wciąż trzymał go za gardło, nie zważając na narastające ataki duszności.

- Puść mnie...

Walka o oddech stała się teraz równie gwałtowna co szloch Alice.

- Na Boga, Brock! - Margaret próbowała uspokoić męża.

- Trzymaj się z daleka, Margaret. Alice, czy to ten mężczyzna cię zranił? Alice, spójrz na mnie. Czy ten mężczyzna to zrobił?

Uniosła głowę z ramienia Czarnego Jacka. Patrzyła na Marka Shawa, jakby próbowała ujrzeć go wyraźniej. Jej krzyk znów wzniósł się do najwyższych rejestrów.

- Boli mnie! Boli! Mężczyzna mnie zranił!

Huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco w dużym, wypełnionym książkami pokoju. Dźwięk bardziej wstrząsający niż płacz Alice. Przez chwilę Brock podtrzymał Marka Shawa, potem odepchnął go, jak jakiś obrzydliwy przedmiot. Mark osunął się bezwładnie. Lally widziała w życiu tyle ciał, że w tym wypadku nie mogła żywić złudzeń. Podbiegła do rannego.

- Nie dotykaj tego zwyrodnialca, Lally. Nie dotykaj go.

Ale ona ukłękła, szukając pośpiesznie niknącego pulsu. Plama jasnej krwi rozszerzała się wokół miejsca, gdzie trafiła kula z pistoletu Brocka. Mark usiłował coś powiedzieć. Pochyliła się nad jego ustami i krew wsiąkła w jej sukienkę, ciepła, jeszcze pełna uchodzącego życia.

- Nie... - Co chciał powiedzieć? - Nie...

Słowo zaprzeczenia przeszło w agonalny jęk. Twarz rozluźniła się. Lally dostrzegła cienką stróżkę krwi wypływającą z jego ust. Wreszcie krwawienie ustało. Życie uciekło z wątłego ciała Marka Shawa.

Lally łagodnie odsunęła się. Twarz zmarłego wyglądała spokojnie i niewinnie, mimo zadrapań i śladów krwi. Przypominała twarze młodych mężczyzn,

445

umierających w lazarecie. Ilu z tych obcych ludzi Lally trzymała w chwili śmierci za rękę. Westchnienie, szept pośród nocy wzbudzały jej czujność. Umierali. Ale nigdy nikogo nie zabito na jej oczach. Popatrzyła na Brocka z niedowierzaniem.

- Nie żyje. Jestem pewna, że on nie żyje.

- O to właśnie mi chodziło.

- Brock! - W głosie Edith brzmiały protest i zgroza.

- Sir... - Vickers nie był pewien, co ma robić.

- Głupcze, powinien pan być... - pani Barnes nie dokończyła tego, co chciała powiedzieć.

- Jak...? - Lally wstała i podeszła do Brocka.

Wrzucił pistolet do otwartej szuflady. Jak to możliwe, że nikt z nich nie zauważył, kiedy Brock sięgał po broń? Nie widzieli, bo nikomu nie przyszło do głowy takie zakończenie. A Mark Shaw był bezbronna. Lally zdusiła tę myśl. Alice także była bezbronna.

- Oddaj mi go, Brock. Mógłbyś jeszcze kogoś skrzywdzić. Gwałtownie zatrzaskała szufladę.

- Został użyty. Nie dotykaj go, Lally. Nikt poza mną nie może go wziąć do ręki. - Lally przypomniała sobie, co Margaret mówiła o pistolecie w szufladzie obok łóżka, i o drugim w bibliotece. Zastanawiała się, czy Brock miał broń ukrytą również w samochodzie. Nikt z nich nie widział, by sięgał po nią wysiadając, ale mógł to zrobić mimowolnie, kiedy usłyszeli krzyki Alice.

Margaret wydała z siebie płaczliwy jęk.

- Brock...

- Zamknij się! - przerwał jej chrypliwie. - Wszyscy się zamknijcie. Nie odwracajcie sytuacji. Tak zastrzeliłem skurwysyna. Zabiłem go, jeśli rzeczywiście nie żyje. Ale on zgwałcił naszą Alice. Zgwałcił ją! Rozumiecie, co on zrobił? To dziecko nie wie, kiedy jest w niebezpieczeństwie, a on dobrze wiedział. Zawsze ślinił się na jej widok. Ślinił się, a jednocześnie gardził nią. Co on sobie wyobrażał? Że zgwałci ją, a potem zabije w lesie? Zabije, żeby nie mogła nikomu powiedzieć? Bóg jeden wie, jak ją tam zwabił. Czy może poszedł za nią? Kto do cholery opiekował się wówczas Alice? Gdzie pani była, pani Barnes? - Gestem ręki uciał jej próbę odpowiedzi. - Facet był szalony, jeśli myślał, że mu to ujdzie na sucho. Sfrustrowany, pełen kompleksów kaleka, który w końcu zapragnął udowodnić, że też jest mężczyzną. Spójrzcie na nią! O mało jej nie zabił. Popatrzcie na jej szyję. Kto by pomyślał, że ten drań był taki silny? Ale, zabiłem go... - Zaciekłość i furia jakby nagle opuściły Brocka. - Tak, zabiłem go. Biednego, durnego, nieudolnego skurwysyna. Jakkolwiek będę musiał za to zapłacić, uważam, że postąpiłem słusznie...

Gwałtownie opuścił głowę i na oślep wyciągnął rękę do Lally.

- O Boże, Lally, nie chciałem naprawdę go zabić... To znaczy tak! Chciałem! W tamtej chwili czułem, że muszę to zrobić. Chociaż, śmierć jest tak straszliwie nieodwołalna. Mogłem równie dobrze tylko sprać go i pozwolić prawu dokonać reszty. - Błądząca po omacku ręka znalazła wreszcie ramię Lally. - Ale

324

spójrz na Alice. Zobacz. Mężczyzna, który zrobił coś takiego Alice, nie zasługuje, by żyć.

Lally obejmowała Brocka, tak jak przed chwilą trzymała Marka. Słyszała jego spazmatyczny oddech, mimo nieustających krzyków Alice. Ciężar Brocka przerastał jej siły. Wszyscy pozostali zastygli w osłupieniu. Wyglądali jak postacie na obrazie. Dlaczego tak stali? Czy nie mogli otrząsnąć się z szoku. Zmusiła się do wydobycia głosu z zaschniętego gardła.

- Vickers, zadzwoń natychmiast po policję i po lekarza.

*

* *

Niemal do rana, kiedy Alice wreszcie usnęła po zastrzyku uspokajającym trwało przesłuchanie. O świcie ciało Marka Shawa zostało ostatecznie zabrane z Whytecliffe.

W tym czasie sierżanta Willisa zastąpił inspektor Kane, który prowadził przesłuchania w pokoju bilardowym. Domownicy czekali na wezwanie w salonie. Kucharka przygotowała kawę i kanapki. Nikt nie był w stanie ich tknąć. Kucharka, której mieszkanie położone było na tyłach budynku, w pobliżu stajni, została obudzona przez Vickersa przez domowy telefon.

- Nic nie słyszałam - powtarzała każdemu, kto chciał jej słuchać. Wyrwane ze snu pokojówki mówiły to samo. Policjanci, fotografowie i ludzie zbierający odciski palców, pojedynczo przychodzili do kuchni, by napić się kawy i coś przekąsić. Sporo tam mogli usłyszeć o państwie z Whytecliffe. Większość plotek była zresztą powszechnie znana. Sierżant Willis najwięcej czasu spędził w kuchni.

Och, niektórzy mówią, że był powiązany z przemytem alkoholu, ale żadnych przemytników u nas nie widziałam. Sami bardzo szanowani ludzie. Nikt niepożądany nie dostałby się do Whytecliffe. Ci strażnicy, oni noszą broń. Pan Weymouth nie chciał w nic wciągać żony. Uwielbiają. Jest dla niego najważniejsza. A jaka rozpieszczona. Jeśli mnie spytacie, to ta biedna Alice powinna była zostać zamknięta już dawno temu. Przez połowę czasu nie wie, co się z nią dzieje. Dla jej własnego dobra trzeba ją izolować, chociaż nie robi nic złego. Nie mogę pojąć, jak pan Shaw mógł tak

postąpić. Nigdy bym nie podejrzewała. Cichy, spokojny, milczał prawie przez cały czas. Mówi się, co prawda, że tacy zawsze są najgorsi, gdy się ich sprowokuje.

Kiedy wreszcie inspektor Kane wezwał kucharkę do pokoju bilardowego, powtórzyła to samo. Nic nie słyszała, ale ma mnóstwo opinii do przekazania. -Nie mogę powiedzieć, żal mi pana Weymoutha. Bardzo jest przywiązany do tej małej Alice.

A w salonie pani Barnes broniła się przed swymi pracodawcami.

- Cóż, szybko zasnęła, więc poszłam do łazienki. Mam chyba prawo pójść do łazienki? Chciałam posiedzieć trochę w wannie. Mam chyba prawo wykapać się po takim gorącym dniu? Alice spała w sąsiednim pokoju...

448

- Została pani zatrudniona, by jej pilnować - przerwał Czarny Jack.

A to, sir John, jest dwudziestoczworogodzinna praca. Przecież śpię z nią w tym samym pokoju. Niewiele więcej mogę zrobić. A pan wyraźnie powiedział, że nigdy nie wolno jej zamykać. Nigdy. Twierdził pan, że ona boi się uwięzienia. Więc, jeśli pani Shearing jest akurat nieobecna, czy nie mogę pójść do toalety ani się wymyć? Czy tak pan uważa, sir John? Teraz już zresztą za późno na takie dyskusje.

Vickers powtórzył im to, co zeznał przed policją.

- Czekałem na państwa powrót, panie Weymouth, by pozamykać dom i upewnić się, że nic więcej państwu nie potrzeba. Czytałem gazetę. Przypuszczam, że zasnąłem. Obudziły mnie jakieś krzyki. Wybiegłem na taras i wtedy zobaczyłem pana Shawa szamoczącego się z panią Alice. Tam, gdzie ścieżka dojazdu konnej ginie w lesie. Dla mnie wyglądało, że pan Shaw próbował ciągnąć panią do domu, a ona okładała go pięściami, szarpała i drapała. Nie pojmowałem, co u diabła, z przeproszeniem państwa się stało. W tej części posiadłości powinno czuwać dwóch ludzi z ochrony. Poszedłem ich szukać, jednego znalazłem, pijanego w trupa. Drugi gdzieś zniknął. To ta ochrona, za którą płaci pan Weymouth. Potem pojawiła się pani Barnes i uderzyła panią Alice w twarz, uciszając ją na chwilę. Razem wnieśliśmy biedactwo do domu i natychmiast zadzwoniłem do państwa Harperów. Powiedziano mi, że państwo są już w drodze, więc czekałem. Pomyślałem, że może pan nie zechce dzwonić na policję.

Lally słuchała uważnie. Pytania, wzajemne obwinianie się, ledwie zauważalne zmiany faktów za każdym razem, gdy historia była na nowo opowiadana. Pani Barnes, broniąc się przed zarzutem niedopełnienia obowiązków, oskarżała wszystkich po kolei.

- Nie musiał pan tak reagować, panie Weymouth. Lepiej pozwolić działać prawu. Wiem, że był pan zdenerwowany, ale...

- Nie jestem zainteresowany pani opiniami.

- Zachowuje się pan niestosownie, panie Weymouth. W końcu zabił pan człowieka, choć nie miał pan po temu powodu.

- Pani powiadomiła nas o jego winie.

- A co innego mogłam myśleć? Widziałam stan Alice i Marka Shawa całego podrapanego i we krwi? Każdy powiedziałby to samo. Ale jest różnica między oskarżeniem kogoś a morderstwem. Wolałabym mieć stuprocentową pewność, zanim bym do kogoś strzeliła. Faktycznie Alice nigdy nie twierdziła, że to on. Powiedziała tylko, że zrobił to mężczyzna. Na razie lekarze mogą tylko stwierdzić gwałt. To jest fakt. Wkrótce jednak będą wiedzieć, czy to był Mark Shaw. Są sposoby, by takie rzeczy sprawdzić.

- Budzi pani we mnie wstręt - warknął Brock. - Proszę się stąd wynosić.
 - O nie, nie wyjdę, panie Weymouth. Zostanę tu, dopóki inspektor nie powie, że mogę iść.
- Wreszcie wszyscy zostali indywidualnie przesłuchani, przepytano służbę, a strażnik z ochrony otrzeźwiał na tyle, by zeznać, że nic nie słyszał. Inspektor Kane wezwał całą rodzinę do pokoju bilardowego.

326

- Nie ma wątpliwości, że pan Weymouth zastrzelił Marka Shawa. Sam się przyznał. Byliście państwo świadkami tej tragedii. Zabił go w ślepej furii, w odwecie za gwałt popełniony na pannie Alice Brock. Co do tego także nie ma wątpliwości. Mamy więc dwa niezbite fakty: gwałt i zabójstwo. Jednak problem, czy pan Weymouth zastrzelił właśnie gwałciciela pozostaje pytaniem otwartym. Powinniśmy wkrótce dowiedzieć się tego z raportu laboratorium. Teraz pojedzie pan z nami na komisariat, panie Weymouth, a rano zostanie pan postawiony w stan oskarżenia. Rozumiem, że pański adwokat jest już w drodze z Manhattanu. Nie wiem, pod jakim zarzutem będzie pan sądzony. Prawdopodobnie zabójstwo. To był rozmyślny strzał, aczkolwiek, co wydaje się oczywiste, nie zachodzi przypadek premedytacji. Szkoda, że się pan tak pospieszył. Okazało się, że zniknął jeden z pańskich ludzi, Paolo Gambini. O ile nie pojawi się na posterunku dobrowolnie w ciągu najbliższych kilku godzin, będziemy musieli wydać nakaz sądowy. Być może zostanie oskarżony o gwałt. Musimy z tym jednak poczekać, aż będę mógł przesłuchać pannę Pollock.
- Nie przesłucha pan Alice - zdenerwował się Brock. - Nie przesłucha jej pan. Ona balansuje na skraju szaleństwa. Jeśli ten gwałt nie zepchnął jej w całkowity obłęd, może do tego doprowadzić policyjne przesłuchanie.
 - Sędzia prawdopodobnie będzie chciał odbyć z nią krótką rozmowę, oczywiście w swoim gabinecie.
 - Ale to wszystko, czego możecie od niej wymagać - powiedział Brock. - Kogokolwiek uznacie winnym gwałtu, obojętne czy będzie to Shaw czy Gambini, czy jakiś nieznany sprawca, nigdy Alice nie stanie przed sadem. Żaden lekarz na to nie pozwoli. Ani żaden sędzia. Sąd nie może uznać jej za świadka z powodu obniżonej poczytalności. Myślę, że to dlatego zastrzeliłem Marka Shawa. Ponieważ mógłby wykręcić się od odpowiedzialności. Nikt nie uwierzy w to, co powie Alice. Jako dowód służyłby tylko test laboratoryjny. Shaw mógłby oświadczyć, że zrobił to za jej przyzwoleniem. Nikt nie byłby w stanie udowodnić prawdy, ponieważ ofiara jest nieźrównoważona psychicznie i niedorozwinięta umysłowo. Nie uwzględnia się zeznań osoby psychicznie chorej, inspektorze, i nie stawia jej na miejscu dla świadków. Nawet nasze społeczeństwo jest wystarczająco ludzkie, by zakazać dręczenia ułomnych. Póki żyję, Alice nie pojawi się na sali sądowej. Zrobię, co w mojej mocy. Najlepsi prawnicy w kraju będą o to walczyć. Tak długo, jak będzie trzeba.
 - A pan, panie Weymouth, co pana czeka w sądzie? Będzie się pan bronił przed zarzutem zabójstwa?

- Do diabła, nie. Przyznałem się do zastrzelenia Marka Shawa. Pójdę za to do więzienia. Nie myślę, żebym miał dostać karę śmierci. Siedziałem już w więzieniu, inspektorze. I jakoś przetrwałem.

*

* *

Następnego dnia rano Brock został oskarżony o popełnienie zabójstwa. Jego adwokaci obstawali przy wersji nieumyślnego spowodowania śmierci, ale prze

451

grali. Brock przyznał się do winy. Sympatia sądu była po jego stronie, więc wypuszczono go za kaucją, która jednakowoż wyniosła aż pół miliona dolarów. Tymczasem testy laboratoryjne wykazały, że Alice nie została zgwałcona przez Marka Shawa. Policja rozpoczęła pościg za Gambinim. Przesłuchiowano także wszystkich mężczyzn na obszarze kilku mil, zarówno służących, jak i właścicieli pałaców z północnego wybrzeża. Zniknięcie Paola Gambiniego mogło okazać się całkowicie mylnym śladem.

Whytecliffe stało się teraz fortecą. Nikt nie pojawiał się na tarasach, nie spacerował po plaży ani nie jeździł konno. Teren ochraniała przed intruzami zupełnie nowa grupa dwunastu strażników, którzy, dzień i noc patrolowali okolicę. Tylko policjanci, prawnicy i lekarze byli wpuszczani do domu. Dwóch sekretarzy Brocka przeniosło się z Manhattanu do Whytecliffe, by odpowiadać na telefony. Zazwyczaj powtarzali w kółko to samo.

- Pan Weymouth nie ma żadnego oświadczenia dla prasy. - Ale prasa stworzyła własną wersję wydarzeń.

Wyciągnięto na światło dzienne i opisano ze wszystkimi pikantnymi szczegółami historię rodziny Pollocków.

Plotkowano o trzech żonach Czarnego Jacka: legendarnej lady Latitii, nieciekawej Alice Trimble, matce zgwałconej dziewczyny, wreszcie o budzącej respekt byłej markizie Ross. Rozpisywano się o Jonie i jego drugim małżeństwie z kobietą, która była prawie jego siostrą. Ale przede wszystkim interesowano się Brockiem i Margaret. Koledzy po piórze z drugiej strony Atlantyku zachłannie przeczesali archiwa prasowe w poszukiwaniu danych o wypadku, w którym zginęli Jon i Bobby, i powodu z którego Brock został skazany. Szczególnym wzięciem cieszyła się historia o jego zawartym w trzy dni po wyjściu z więzienia, małżeństwie z wdową po Grenfellu. A wszystkie te sensacje osadzono w tle budzącym zawsze zainteresowanie czytelników, w świecie dobrobytu i przywilejów, ludzi z tytułami, o rozgałęzionych drzewach genealogicznych. Smaku plotkom dodawały losy dwojga ludzi bez przeszłości i prawdziwych nazwisk, Brocktona Weymoutha i Lilian Pollock. Prasa rozpisywała się o mężczyźnie, który pojawił się znikąd i zdobył fortunę, i o kobiecie, znalezionej przed laty na jednej z ulic Leeds.

- Musimy odesłać stąd dzieci - powiedziała Edith. - Nie możemy trzymać ich tu w zamknięciu, kiedy rozpocznie się sprawa Brocka.

- Ale dokąd? - spytała Margaret. - Nie pozwolę oddać Davida Goughom. To złamałoby mu serce. Dokąd wyślemy chłopców, żeby nie pomyśleli, że to za karę?

Niespodziewanie Stary Harper rozwiązał ten problem. Któregoś dnia pojawił się w Whytecliffe i oświadczył:

- Przyszedłem zabrać chłopców. Wywieziemy ich furgonetką. Nikt z prasy się nie zorientuje. Dzieciaki będą tylko o pół mili od ciebie, Margaret. Możesz przychodzić codziennie. Dziennikarze wywęszą tylko, że odwiedzasz mój dom,

nic więcej. Mam własnych strażników i osobiście im przysiągłem, że urwę łeb temu, kto wspomni prasie o dzieciach. Noszę ze sobą książeczkę czekową i grubą laskę. Obu ich mogę użyć.

328

Pomysł z laską wydał się Lally niedorzeczny z racji wieku i słabości Starego Harpera. Ale książeczka czekowa to był argument. I starszy pan wiedział, jak go użyć.

Dzieci zamieszkały w domu Harperów. Korzystały z kortów tenisowych i basenu, ale nie jeździły konno ani nie chodziły na plażę. Prasa pisała, iż „rozplynęły się jak duchy”. Wobec Dana i Sammy'ego wszyscy udawali, że to wakacje. Tylko David nie dał się oszukać.

- To z powodu Alice, prawda? - dopytywał się. - Z powodu tych ostatnich kłopotów. Chodzi o pana Shawa? Mówią, że on nic Alice nie zrobił.

- Kto tak mówi? - spytała Lally.

- Wszyscy. Ja tylko słucham. Oni myślą, że jestem dzieckiem, jak Dan i Sammy. Ale ja jestem już duży. Tylko słucham. Czasami wpadnie mi w ręce któraś z gazet w kuchni. Piszą dużo o mojej matce i Brocku. I o moim ojcu, o tym jak zginął z wujkiem Jonem. Przeczytałem też, że Brock był jakimś... bandytą. Czy to prawda, Lally?

- Nie. Zupełna bzdura.

Paola Gambiniego nie schwytano, a policja nie mogła znaleźć żadnego innego podejrzanego. Lally bała się patrzeć na twarz Brocka. Świadomość zabójstwa dokonanego na niewinnym człowieku doprowadzała go do obłędu. Nigdy nie wypowiadał imienia Marka Shawa, ale Lally wyczuwała, że ciągle o nim myśli. Natomiast Czarny Jack przesiadywał teraz zwykle w salonie, ponurym nawet w ciepłe letnie dni. Mimo że policja odplombowała już bibliotekę, nikt tam poza pokojówkami nie wchodził.

Codziennie też lekarz przeprowadzał rozmowę z Alice, zazwyczaj w obecności inspektora Kane'a. Kiedy zbliżali się do tematu gwałtu, dziewczyna milkła albo odpowiadała całkowicie chaotycznie.

- Wysłałam - powtarzała w kółko. - Wysłałam. Było bardzo gorąco. Chciałam popływać.

Brock zatrudnił jako konsultantów najslawniejszych amerykańskich psychiatrów, którzy przebadali Alice i dowiedli jej niezdolności do pojawienia się przed sądem. W końcu Czarny Jack zwięźle i ostatecznie powiadomił inspektora o swoich decyzjach.

- Alice nie będzie zeznawać w sądzie. Nie jest świadkiem w sprawie o zabójstwo Marka Shawa. Brock przyznał się do winy, a resztą macie mnóstwo innych świadków. Nawet jeśli odnajdziecie Gambiniego, sprowadzicie ją do sądu

tylko po moim trupie. Lekarze, nawet wasi, nigdy na to nie pozwolą. Więc pozwólcie Alice żyć w spokoju, na ile w ogóle jest to dla niej możliwe.

- Całkowicie się z panem zgadzam, sir John - powiedział Kane. - Są w mojej pracy pewne aspekty, które ja także uważam za przykre. Jeśli znajdziemy Gambiniego, sprawa będzie musiała oprzeć się na dowodach poszlakowych i panna Pollock nigdy nie pojawi się przed sądem. Natomiast, o ile pyta mnie pan o szanse odnalezienia zbiega...

- Nie pytałem, ale chętnie posłucham.

454

- Moim zdaniem, nigdy nie zobaczymy już Paola Gambiniego. Może leżeć teraz obłany cementem na dnie East River lub na wysypisku śmieci w New Jersey. Wpływy pana Weymoutha w pewnych kręgach sięgają bardzo daleko. Nie życzyłby sobie z pewnością procesu Gambiniego. Zbyt duży rozgłos. Z jego punktu widzenia byłoby dużo lepiej, gdyby Gambini po prostu definitywnie zniknął. - Inspektor Kane zdążył już dobrze poznać rodzinę Pollocków i Weymouthów. - Pan Weymouth jest chłodnym, zdecydowanym na ryzyko człowiekiem. Przypuszczam, że jedyny raz w życiu, stracił głowę, kiedy ujrzał zgwałconą Alice.

Czarny Jack pochylił się do przodu, wspierając na lasce, którą teraz zawsze ze sobą nosił. Lally, towarzysząca im podczas tej rozmowy, wstrzymała oddech.

- Nie, inspektorze. Myślę, że był jeszcze jeden przypadek, kiedy Brock Weymouth stracił głowę. Wtedy, gdy spotkał moją córkę, Margaret. I nigdy do końca nie ochłonął.

Miesiące ciągnęły się w oczekiwaniu, aż sprawa Brocka znajdzie swoje miejsce w ściśle wypełnionym kalendarzu sądowym.

- Nie będzie procesu - podkreślał Brock. - Przyznałem się do winy. Nawet prawnicy nie namówią mnie do zmiany zeznania. Nic więcej ode mnie nie uzyskają. Koniec z sensacjami w prasie.

Próbował ich odesłać do Anglii.

- Na Boga, wracajcie do Pellham. Dostanę wyrok. Nie będzie, mam nadzieję, bardzo długi. Nawet sędziowie mają wiele sympatii dla faceta, który zabił w obronie zgwałconej dziewczyny. Przejdę przez to, ale nie chcę, żebyście tu byli.

- Nie możesz nas zmuszać, Brock - spokojnie oświadczył Czarny Jack. - Jestem starym człowiekiem i mam prawo do odrobiny uporu. Margaret powiedziała również, że nie wyjedzie.

- Jeśli myślisz, że zamierzam pozwolić Margaret zostać tutaj, kiedy ja będę odsiadywał wyrok, to się mylisz.

Wydałem już polecenie, że dom ma zostać zamknięty. Dzierżawa posiadłości jest jeszcze długa, ale to zawsze da się zmienić. Biuro na Wall Street nadal będzie działać. Są pewne przywileje, którymi można cieszyć się w więzieniu przy lekkich wyrokach. Nie sądzę, żebym miał tłuc kamienie na drogach. Musisz wszystkich stąd zabrać, Czarny Jacku, kiedy tylko skończy się proces. Pellham jest jedynym miejscem, gdzie znajdziecie spokój. Reporterom szybko znudzi się wędrówka przez wrzosowiska. Chłopcy będą mogli jeździć konno, spacerować. Zatrudnisz dla nich wychowawcę... - Przerwał. - Podejrzewam, że nigdy już bez żalu nie użyję słowa „wychowawca”. Możesz mieć trudności ze znalezieniem chętnego na tę posadę. Musimy teraz pomyśleć o różnych sprawach. Na początek, matka Marka Shawa. Napisałem do niej. Odrzuciła wszelkie propozycje pomocy. Rozumiem ją. Ale są sposoby, by pomóc

wbrew jej woli. Pewien londyński bankier powiadomi panią Shaw, że Mark inwestował poprzez jego bank. Likwidując majątek zmarłego odkryli, że będzie z tej inwestycji ładny dochód. Pani Shaw nie spyta o szczegóły, ponieważ bank jest powszechnie znany i cieszy się dobrą opinią. Oczywiście, kazała swym prawnikom sprzedać wszystkie akcje, jakie Mark nabył dla niej w ramach naszej fir

330

my. Powiedziałbym, że jest kobietą, która nie ma pojęcia o interesach. Zrobi to, co miejscowy dyrektor banku i adwokat w Buxton jej doradzą. A z nimi już nawiązałem kontakt.

- Czy nie ma temu końca, Brock? - zapytała Lally. - Czy zamierzasz kiedyś przestać urządzać ludziom życie?

- Nie. Dopóki uważam, że postępują głupio, nie przestanę. Spojrzała mu prosto w twarz.

- A co ty zrobiłeś? Czy to nie było głupie?

- To było nie tylko głupie, Lally. To było bezsensowne. Nienawidzę głupoty. Nigdy sobie tego czynu nie wybaczę, nawet jeśli zdołam pomóc pani Shaw, a sam odcierpię karę więzienia. Zachowałem się jak głupiec. Nieczęsto zdarzało mi się to w życiu. Bardzo rzadko, szczerze mówiąc. Ale rodzina Pollocków jest chyba moim słabym punktem. - Porzucił już jakiś czas temu skomplikowany rytuał mieszania martini. Pił teraz siedemnastoletnią czystą szkocką. - Niech mnie, jeśli wiem, jak to zrobiłeś, Jack. W jaki sposób sprawiłeś, żebym tak bardzo pokochał twoje córki.

* *

Lally po raz pierwszy doświadczała czaru i nostalgii amerykańskiej jesieni. Nigdy przedtem nie widziała drzew w tak olśniewających kolorach, w purpurowej czerwieni, w odcieniu starego złota. Liście opadały na trawniki Whytecliffe'a szybciej, niż ogrodnicy mogli je zgrabić. Wieczorami w powietrzu unosił się gryzący dym ognisk. A potem nadchodził wiatr i liście znów wirowały. W nozdrza uderzał intensywny zapach morza. Białe grzywy fal rozbijały się o wybrzeże. Dzieci wróciły od Harperów. Reporterzy zniknęli. Sprawę Brocka wyznaczono na schyłek października i do tego czasu rodzina musiała uzbroić się w cierpliwość. Margaret zazwyczaj bywała teraz cicha. Wydawała się przyjmować swój los bez buntu. Tylko wobec Lally przyznała się do dręczącego ją uczucia zniecierpliwienia.

- Znów zbliża się czas polowań. Chciałabym wyjechać z Meadowbrooka-mi, ale oczywiście nie mogę. Zaczynam rozumieć Alice, Lally. Myślę, że wiem, dlaczego wybiegła tamtej nocy. Gdyby zamknięto mnie i pilnowano dzień i noc, też bym uciekła. Dokądkolwiek. Choćby na kilka minut. To okropne, że dopiero teraz zaczynam pojmować Alice. Ona nie jest lalką ani zabawką. Ma uczucia. Nigdy dokładnie ich nie przenikniemy, ale do mnie zaczyna docierać, że musimy się z nimi liczyć. Brock znów trafi do więzienia przez kogoś z nas. Dokładnie tak, jak poprzednim razem... kiedy zabiłam Jona i Bobby'ego. Teraz jestem mu winna więcej niż kiedykolwiek, Lally. Przyjmie znów całą winę i poniesie konsekwencje jak jakiś kozioł ofiarny. Zaplanował już każdy szczegół. Wsiadamy na statek do Anglii, kiedy tylko zapadnie wyrok. My z Alice, ojcem, Edith i chłopcami. I będziemy czekać, aż Brock da nam znać, co dalej. I ja tak zrobię. Podporządkuję mu się.

457

Czasami Margaret wymykała się, by pożeglować na „Fancy”.

- Proszę, Brock, nie zakazuj mi tego! Nie mogę cały czas siedzieć zamknięta w domu. Jachty nie wypływają już tak jak latem. Nie ma nikogo. Kto by mógł mnie zobaczyć? Tam, chociaż przez chwilę, czuję się wolna.

- Najwyższa pora, żeby zaprzestać żeglowania. To nie jest bezpieczne o tej porze roku.

Nigdy nie wypływam w silny wiatr. Nie chcę cię niepokoić, Brock. Nie chcę dodawać ci zmartwień.

Dni i noce były takie ciche, żadni goście nie odwiedzali Whytecliffe, a Margaret nie włączała już gramofonu, tylko godzinami wpatrywała się przez okna salonu w wody cieśniny, zostawiając nawet nietknięte drinki, więc Brock nie potrafił odmówić żonie tej jedynej rozrywki. Najczęściej zabierała ze sobą Alice, która w tych dniach rzadko się odzywała i nigdy nie śmiała.

- Współczuję jej - powiedziała Margaret do Lally. - Jest jak człowiek w transie. Nigdy teraz nie słyszę jej śpiewu. Brakuje mi tego. Przez tę godzinę lub trochę więcej, kiedy jesteśmy na „Fancy”, czuje się wolna. Dlatego nie znoszę zawracać. Gdybyśmy tak mogły żeglować aż do końca życia. Ostatnim razem powiedziała mi „dziękuję”, jak grzeczna mała dziewczynka. Prawie się uśmiechnęła. Wiele bym dała, żeby znów zobaczyć uśmiech Alice. Ale dawna radosna Alice zniknęła bezpowrotnie. Opiekowały się nią teraz trzy nowe pielęgniarki. Pani Barnes opuściła Whytecliffe, kiedy tylko inspektor Kane pozwolił jej odejść. Pani Shearing pojawiła się jedynie, by spakować swoje rzeczy. -

- Nie mogę być zamieszana w żaden skandal. Nikt nigdy nie dałby mi pracy.

Umiejętności nowych opiekunek sprowadzały się do podania odpowiednich leków, gdyby Alice stała się krnąbrna. Lekarz z Manhattanu zbadał ją na prośbę Czarnego Jacka.

- Myślę, że to miejsce wiąże się dla pańskiej córki z bólem i strachem. W Anglii mogłaby być szczęśliwsza. I chyba powinien pan przemyśleć sprawę kliniki...

- Nigdy - ostro zaprotestował Czarny Jack. - Tylko przy nas Alice czuje się bezpieczna. A poza tym, uwielbia Brocka. Nie wiem, co jej powiem, kiedy zostanie aresztowany. Ona tego nie rozumie.

- Proszę jej powtarzać, że niedługo znów go zobaczy. Nie należy rozmawiać z nią o więzieniu. Ona uważa, że również jest uwięziona.

◆ *

Pierwszego listopada Brock stanął przed sądem. Przyznał się do zabójstwa i został skazany na trzy lata. Prosił, by rodzina trzymała się z daleka od sali sądowej.

- Wszyscy znamy rezultat. Po co dawać prasie rozrywkę?

332

Wyrok powszechnie uznano za łagodny, ale Margaret wpadła w rozpacz.

- To zbyt długo!

- Bardzo niewiele za tak poważne przestępstwo. Równie dobrze mógł dostać dziesięć lat - tłumaczył jej Czarny Jack.

- Brock znalazł u sędziów współczucie i zrozumienie. Nie popełnił zbrodni z premedytacją. Wydaje mi się, że mieli dla niego wiele sympatii, ale wokół zabójstwa Marka zrobił się tak duży rozgłos, że sędzia obawiał się wydać zbyt pobłażliwy wyrok. Z pewnością jednak można uzyskać złagodzenie kary za dobre sprawowanie. Brock jest dostatecznie mądry, by się nie narażać władzom więzienia. Nie będą to więc pełne trzy lata.

- Trzy lata to wieczność. Chłopcy będą rosnać, bez ojca. Ja... ja się zestarzeję. Tak, wiem, że to brzmi głupio, ale już czuję się stara, smutna i chora.

Na oczach Lally w Margaret zachodziły zadziwiające zmiany. Stała się cichsza, łagodniejsza. Rozglądała się wokół, jakby po raz pierwszy widziała świat, którego przedtem nie dostrzegała.

- Będę musiała zająć się jakąś pożyteczną pracą. - Sardoniczny uśmiech pojawił się na jej boleśnie zaciśniętych wargach. - Zabawne pomyśleć, że mogę stać się taką kobietą, jaką Goughowie chcieli mieć za synową...

Zastanawiam się, czy zdołam zmienić się na lepsze, zanim Brock wyjdzie? Czy rzeczywiście mogę jeszcze coś ze sobą zrobić?

- Po prostu go kochaj. To wszystko, czego on pragnie.

- Czasami myślę, że lepiej by mu było beze mnie. Tylko utrudniam mu życie.

Powiodła wzrokiem po kufrach gotowych do przetransportowania na statek. Następnego dnia odpływali. Dom wydawał się wymarły. Żyrandole owinięto w muślinowe zawoje, meble zniknęły pod chroniącymi przed kurzem pokrowcami. W powietrzu unosiła się melancholia, jakby okiennice Whytecliffe już zostały zamknięte, a zakończenie tego rozdziału życia rodziny dopisane do końca.

- Chciałabym, żeby Brock zgodził się na moje odwiedziny.

- To niemożliwe. Nigdy nie pozwoliłby ci pojawić się w takim miejscu.

- Ale z tobą chciał się widzieć, kiedy poprzednio siedział w więzieniu.

- Wiedział po prostu, że mną to tak nie wstrząśnie. Byłam, cóż byłam bardziej przyzwyczajona do brutalnych stron życia.

Margaret pochyliła się i niespodziewanie musnęła jej policzek pocałunkiem.

- Staram się nie być o ciebie zazdrosna, Lally, ale nie zawsze mi się udaje. Teraz idę pożeglować. To ostatnia okazja. Kiedy napiszę do Brocka, będę mogła opowiedzieć mu, jaki piękny był dzisiejszy dzień, pogodny, złoty. Powietrze zostało prawie nieruchome w blasku słońca. Napiszę, Lally, radosny, pogodny list. Nie przyznam się Brockowi, że ostatni dzień w Whytecliffe był okropny i smutny. Chcę móc powiedzieć mu, że pożeglowałam z Alice i czułyśmy się cudownie. Spokojne... i wolne. Właśnie to on pragnie usłyszeć. Alice...? Alice...? -zawołała. - Tylko na godzinę. Jedynie ty i ja, kochanie. Alice...! - Wbiegła do połowy schodów, gdy Alice pojawiła się u ich szczytu.

- Chciałabyś popływać, kochanie? Pożeglować ostatni raz z Margaret?

460

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak - powiedziała. A potem jakby z wysiłkiem dodała: - Dziękuję.

*

* *

Powietrze było, jak powiedziała Margaret, prawie nieruchome. Za ledwie lekki podmuch wiatru marszczył wodę. Lally obserwowała mały czerwony żagiel samotny na wodach cieśniny i myślała o Margaret. Patrząc od strony morza na Whytcliffe, na wielki, piękny dom tonący w jesiennym słońcu, żona Bracka przypominać sobie musiała wszystkie ważne wydarzenia, jakie tu miały miejsce, narodziny dzieci, bale, przyjęcia. Lally miała nadzieję, że Margaret nie rozmyśla o śmierci Jonathana i Marka Shawa. To mogłoby zepsuć jej tę chwilę pożegnania z dawnym życiem. Minie długi czas, zanim Margaret nauczy się rezygnować z patetycznych gestów na rzecz prozaicznego pakowania kufrów. Może właśnie dlatego Brock tak wielbił ją i kochał. Sam przecież ciągle pracował i dzięki temu tak wiele osiągnął. Niespodzianie przyszły Lally na myśl biblijne słowa: „Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich”. Może Bracka pociągało właśnie piękno i bezużyteczność lilii na polu.

Pod wieczór napłynęła listopadowa mgła i opadła na cieśninę. Lally z niepokojem przemierzała molo, dopóki nie zrobiło się zbyt ciemno, by dostrzec znajomy czerwony żagiel. Morze było spokojne, fale delikatnie uderzały o drewniane filary pomostu.

Późnym wieczorem Lally zgłosiła straży przybrzeżnej zaginięcie „Fancy”. Nadszedł czas, kiedy Margaret i Alice powinny były pojawić się na obiedzie. Twarz Czarnego Jacka pobieliała, gdy usłyszał nowinę. Lally pocieszała go bez przekonania.

- Nic im się nie stanie, ojcze. Jest tak cicho i spokojnie. Spójrz, mgła niedługo zrzednie. Nie ma niebezpieczeństwa. Znalezienie ich nie sprawi straży przybrzeżnej wielkich trudności.

*

* *

Odnaleziono „Fancy” nazajutrz, kiedy wstał późny listopadowy świt, a narastający wiatr rozwiął resztki mgły. Rumpel był uwiązany, ale bom bujał się dziko. Prąd i wiatr zaczynały już znosić łódkę poza wody cieśniny, w stronę Marthat's Vineyard czy Nantucket albo nawet, gdyby „Fancy” dłużej dryfowała, aż na Atlantyk.

Alice siedziała w żagłówce sama. Rozpłakała się, kiedy któryś z ratowników jej dotknął. A potem, gdy owinęli ją w koce i próbowali zmusić do wypicia kilku łyków kawy, odwracała od nich twarz. Nie była w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie.

462

Lally natychmiast pojechała na posterunek straży przybrzeżnej. Twarz Alice rozjaśniła się na widok przybranej siostry.

- Lally... Lally!

Komendant posterunku z całą cierpliwością obserwował próby uspokojenia Alice.

- Pani Pollock - odezwał się wreszcie - brakuje pani Weymouth. Czy może pani skłonić pannę Pollock, do złożenia jakichś konkretnych zeznań?

- Gdzie jest Margaret, kochanie? Wiesz gdzie jest Margaret? Alice potrząsnęła głową.

- Duży kij się kręcił.

- Czy ona ma na myśli bom?

- Uderzył Margaret. Wpadła do wody. Zupełnie jak Jonathan. Zostawiła mnie też samą.

- Czy myśli pani, że ta młoda dama mówi wszystko, co wie? Zginęło też jedno wiosło.

Lally automatycznie stanęła w obronie Alice.

- Mówi tyle, ile potrafi opowiedzieć.

- Przepraszam, pani Pollock. Jeśli pani Weymouth wypadła za burtę, mamy małe szanse znaleźć ją żywą. Nikt nie przetrzymałby całej nocy w wodzie. Będziemy jednak nadal szukać. Jest mała nadzieja, że udało jej się dopłynąć do brzegu.

- Czy pamiętasz, kochanie, kiedy Margaret wpadła do wody? Pamiętasz cokolwiek? Możesz nam powiedzieć, Alice?

- Nie... po prostu wypadła z „Fancy”.

Lally poprawiła koce, w które otulona była Alice. Ponad ramieniem chorej dziewczyny dostrzegła, jak komendant ze zniechęceniem potrząsnął głową

- Jest źle. Ale mogło być jeszcze gorzej. Jeszcze kilka godzin przy tym wietrze, a ta mała wypłynęłaby na Atlantyk lub umarła z zimna.

- Ale ona odeszła, prawda? - niespodziewanie zapytała Alice prawie błagalnym głosem.

- Tak, kochanie. Odeszła.

- Wiele pytań trzeba będzie jeszcze zadać, jeśli rozpocznie się dochodzenie badające przyczyny śmierci pani Weymouth.

Alice nie może być przepytwana przed sądem. Lekarze... Tak, domyślam się. Nie odpowiada za swoje czyny. Otworzył im drzwi, przepuszczając obie kobiety przed sobą.

* *

Lally poprosiła kierowcę, by zamknął szybę oddzielającą go od pasażerów i włączył ogrzewanie. Tuliła do siebie owiniętą w koce Alice, ale dziewczyna nadal trzęsła się z zimna.

- Już dobrze, Alice. Już dobrze... Wkrótce będziemy w domu, z ojcem.

335

- Ona odeszła, prawda? - ponownie spytała Alice. - Odeszła. Jak Jonathan i Jon. Odeszła Brocka. On też odszedł. Powiedziała mi, że odszedł na długi czas. Spaliła Teddy'ego Rose'a, MadameButterfly i Rageddy Anne. Poparzyła mi ręce. Mnie też chciała odesłać. Mówiła, że mnie zabiera daleko stąd.

- Co ona powiedziała, kochanie? Co powiedziała Margaret?

- Powiedziała, że płyniemy w bardzo długi rejs i możemy już nigdy nie wrócić. Nie chciałam jej już. Nie chciałam już z nią płynąć. Był tam duży kij i wpadła do wody...

- Cicho, kochanie, cicho... Nie powiemy nikomu, co mówiła Margaret. To będzie nasz sekret. Nie powtórzysz tego nikomu innemu, dobrze, Alice?

- Zgoda. Jeśli nie chcesz, żebym powiedziała. Kocham cię, Lally. Nie jesteś jak ona. Nigdy byś mnie nie odesłała. Tak powiedział ojciec.

- To prawda. Nigdy bym cię nie odesłała, Alice. - Lally poczuła w sercu ołowiany ciężar.

*

* *

Czekali cały dzień. Wreszcie straż przybrzeżna odwołała dalsze poszukiwania. Wówczas Lally wyruszyła w długą drogę w górę rzeki Hudson, do Ossining, gdzie znajdowało się więzienie Sing Sing. Wiedziała, że Brock nie życzył sobie, by ktokolwiek z jego bliskich odwiedzał go w takim miejscu. Naczelnik więzienia, usłyszawszy o tragedii udzielił pozwolenia na specjalną wizytę. Lally, oddzielona od Brocka specjalną szybą, przekazała mu wiadomość o śmierci Margaret.

Przez kilka minut siedział w milczeniu. Kiedy wreszcie odezwał się, ton jego głosu był ostry.

- A dlaczego nie ma z tobą Czarnego Jacka?

- Cóż, pomyślał, że lepiej jeśli zostanie z Alice. Jest okropnie zdenerwowana.

- Kiepski z ciebie kłamca, Lally. Przyjechałaś tu, by powiedzieć mi, że Margaret nie żyje, a Alice albo może mieć coś wspólnego z jej śmiercią, albo była niewinną ofiarą desperacji Margaret. I Czarny Jack nie wspiera cię w takim momencie? Co się jeszcze stało?

- Nie powiedziałam ojcu wszystkiego. Tylko o śmierci Margaret. To był dla niego wystarczający cios. Jest w szpitalu, Brock. Dziś rano miał atak serca.

Błysk wściekłości zamigotał w oczach Brocka, który jednak pohamował się, mocno zaciskając usta. Zapadło milczenie. Wreszcie Brock odezwał się.

- Nigdy dotąd nie czułem się bezradny. Zawsze byłem w stanie j akoś wpłynąć na bieg zdarzeń. Ale teraz jestem jak dziecko. Zamknięty w tym koszmarnym miejscu, nie mogę nic zrobić!

Trzasnął dłonią w solidny drewniany stół. Przez chwilę Lally bała się, że Brock spróbuje rozbić szybę. Strażnik gwałtownie ruszył ku niemu.

- Och, zostaw mnie! Nie zamierzam się awanturować. - Wstał. - Dziękuję, że przyszedłaś, Lally. Zabierz ich wszystkich do Pellham, kiedy tylko będziesz mogła.

336

Musisz zaopiekować się Davidem, Danem i Sammym. Pomóż Edith zająć się Czarnym Jackiem. I znajdź jakiś sposób, by roztoczyć pieczę nad Alice.

Ruszył w stronę zamkniętych drzwi. Nie obejrzał się na Lally. Czekał, aż mu otworzą. Strażnik był zaskoczony.

Wiedział z doświadczenia, że więźniowie nie kończyli rozmowy, dopóki ich do tego nie zmuszono.

- Panie Weymouth... - Użycie nazwiska powiedziało Lally, że znajomości Brocka zapewniły mu już pewne wygody w więzieniu. - Nie musi pan jeszcze wychodzić. Naczelnik wie o pańskiej żonie. Straszny wypadek. Nie chciałby...

- Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. Zawołała go, kiedy drzwi się otwierały.

- Brock!

- Co?

Przysunęła twarz do szyby, jakby chciała usunąć tę barierę.

- Wiesz, co mówiła Margaret, zanim wypłynęła? Ostatnie jej słowa. Powiedziała, że cię kocha.

Potrząsnął głową.

- Dziękuję ci za to szlachetne kłamstwo, Lally. Jediną osobą, którą kochała Margaret, była ona sama.

KSIEGA
CZWARTA
rok 1929

Rozdział szesnasty

Lally siedziała nad wodospadem zapatrzona w dolinę, gdzie wznosiły się kominy fabryk. Woląta ich widok niż Pellham Langley. Nawet jeśli nad niektórymi nie unosił się już dym, wciąż czuło się tam życie. Rozmyślnie odwróciła się plecami do wszystkiego, co wiązało się z domem Pollocków. Przez kilka minut słuchała tylko wycia wiatru. Wrzosa ściała już pierwszy listopadowy mróz. Lally wiedziała, że wkrótce nie da rady wspiąć się tutaj. Oblodzone skały wokół wodospadu staną się niedostępne, śnieg zasypie wrzosowiska, a zimny wiatr będzie hulał wśród posępnego krajobrazu.

Na dole, w Pellham Langley, był jej świat. Życie ułożyło się mniej więcej tak, jak przewidziała, gdy wreszcie opuszczali Amerykę. Dzieci rosły. David przed pójściem do Eton zaczął uczęszczać do szkoły podstawowej. Stał się trudnym, kłótlwym chłopcem, który z pewnością odbierze swojaporcję batów od nauczycieli i starszych kolegów, a kiedy wreszcie zdobędzie pozycję szóstoklasisty me okaże więcej litości młodszym uczniom niż sam jej zaznał. Będzie mu ciężko znaleźć równie dobrego przyjaciela jakiego Jon miał w Patricku. Ich przyjaźń czyniła szkolny żywot znośnym. Potrafili razem śmiać się z kłopotów. Ale David, nawet teraz śmiał się rzadko. Odbywał zwyczajowe odwiedziny u dziadka, lorda Gougha, i okazywał uprzejme zainteresowanie majątkiem. Tylko uprzejme zainteresowanie. Nauczył się już prezentować światu nieprzeniknioną, raczej surową twarz. Rzadko rozmawiał z kimkolwiek w Pellham inaczej niż z konieczności. Nauczył się jednak pysznić bogatym domem przed szkolnymi kolegami, tak jak potrafił korzystać ze wspaniałomyślności Czarnego Jacka. Był pewien, że Edith zrobi wszystko, co w jej mocy, by uprzyjemnić mu wakacje w Pellham, ponieważ było to życzeniem Czarnego Jacka. Cynizm, który narodził się w dniu śmierci Jonathana, rozwinął się w chłopcu po śmierci matki. Lally miała wrażenie, że David nigdy więcej nie pozwoli sobie na najmniejszy przejaw wrażliwości.' Chłopiec postanowił nie dać się więcej zranić. Jedyne mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znał jako ojca, nadal odbywał wyrok po drugiej stronie Atlantyku.

David wobec kolegów starannie wypierał się wszelkich powiązań z Brockiem Weymouthem.

- Mieszkałem tam tylko przez jakiś czas - usłyszała kiedyś Lally. - Tak naprawdę, wcale go dobrze nie znałem.

Dwaj młodsi chłopcy, Dan i Sammy, żyli listami, które co miesiąc nadchodziły z więzienia. Mały Sammy miał jedynie mgliste wyobrażenie o ojcu, ale karmił się każdą fantazją, którą Dan mu przekazywał. Lally często słyszała, jak wyliczali długą listę zalet Brocka.

- Ojciec jest bardzo wysoki - zaczynał Dan. - i zawsze był wesoły. Przychodził zobaczyć się z nami, kiedy tylko wrócił wieczorem do domu. Codziennie jeździł do biura. Ciociu Lally, czy któregoś dnia wrócimy jeszcze do tego domu na plaży? Bardzo go lubię. Czy ojciec nas tam zabierze?

- Nie wiem Dan. Ale cokolwiek ojciec zadecyduje, jestem pewna, że wam się to spodoba. On zawsze potrafi wszystko świetnie urządzić. Jest bardzo dobrym człowiekiem.

Czasami zastanawiała się, czy to prawda. Korespondencja więźniów była ograniczona, więc listy do niej stanowiły zwykle spis poleceń i próśb. Jednak czeki na utrzymanie nie tylko jego synów, ale Davida, jak też na pokrycie opłat za naukę pierworodnego syna Margaret, przychodziły regularnie. Czarny Jack próbował się sprzeciwić, ale Lally poprosiła, by nie odmawiał przyjęcia tych pieniędzy.

- To jedyny sposób, w jaki Brock może pokazać chłopcom, że się o nich troszczy.

Nigdy nie napisała do Sing Singu, że lord Gough stanowczo odmówił przyjęcia jakichkolwiek funduszy od Brocka na rzecz swego wnuka.

- Czy myślicie, że pozwolę, by opłaty szkolne mego chłopca pokrywał człowiek, który jest dwukrotnym mordercą? Lally założyła więc w banku konto na nazwisko Davida i wydzielala mu hojne kieszonkowe podczas wakacji. Syn Margaret mógł się wypierać powinowactwa z Brocktonem Weymouthem, ale przyjmował jego pieniądze bez oporu. Dla Dana i Sammy'ego zatrudniono wychowawcę.

- Nie chcę posyłać jeszcze Dana do szkoły - tłumaczył Czarny Jack. - Lepiej chłopców nie rozdzielać. Musimy czekać, co Brock zechce z nimi zrobić. Może - i zapewne tak się stanie - może zabrać ich do Ameryki.

„Kiedy Brock wyjdzie...” było zwrotem bardzo często pojawiającym się w ustach starszego pana. Czarny Jack oczekiwał z niecierpliwością uwolnienia zięcia, ale spodziewał się też w związku z tym rozstania z wnukami i ta myśl go zasmucała. Rekonwalescencja po ataku serca, który przeżył po śmierci Margaret, była bardzo powolna. Obydwoje z Edith pozostali w Whytecliffe jeszcze całe dwa miesiące. Potem pojechali na Florydę, by tam spędzić zimę. Ponad rok więc byli nieobecni w Pellham Langley.

Jak zwykle wiosna w Yorkshire spóźniała się. Czarny Jack siedział blisko ognia, niewiele przejmując się tym, co działo się poza jego domem, odizolowaną od świata doliną. Rzadko odwiedzał fabryki i nigdy nie pofatygował się do żadnej z kopalń. Dyrektorzy i członkowie rady nadzorczej przyjeżdżali do Pellham

342

Langley, by składać mu sprawozdania, ale Lally odnosiła wrażenie, że te wizyty stały się tylko ukłonem wobec starzejącego się i chorego człowieka. Możę się jednak myliła. Przecież Czarny Jack nadal pozostawał bezspornie jedynym właścicielem i żadna decyzja nie mogła zostać podjęta bez jego przyzwolenia.

Lally nabrała zwyczaju towarzyszenia ojcu podczas tych spotkań. Czytała raporty finansowe sporządzone przez dyrekcję poszczególnych zakładów przemysłowych. Któregoś dnia Czarny Jack uśmiechnął się do przybranej córki swoim dawnym uśmiechem.

- Nie myślę, że mi za to podziękujesz, ale z twoją zgodą lub bez niej, włączyłem cię do rady dyrektorów fabryk. Myślę, że szacownym członkom rady kopalń nieco więcej czasu zajmie przełknięcie informacji, że mają kobietę w swoim gronie. Ale z czasem zaakceptują cię. Będą musieli. Opracowałem plan stworzenia spółki rodzinnej. Wszystkie udziały należałyby do nas. Tylko ty i ja mielibyśmy decydujące prawo głosu, dopóki chłopcy nie osiągną odpowiedniego wieku. Musiałabyś zarządzać udziałami Davida, Dana i Sammy'ego do czasu uzyskania przez chłopców pełnoletniości. Dysponowałabyś też głosem Edith. - Czarny Jack wciąż był zbyt przywiązany do swej przez lata pielęgnowanej niezależności by zgodzić się na udziałowców nie należących do rodziny. Lally wiedziała, że zarówno fabryki, jak i kopalnie potrzebują dopływu świeżego kapitału, ale Czarny Jack nawet za tę cenę nie wypuściłby kontroli ze swoich rąk. - Kiedy umrę będziesz musiała przejąć to wszystko, Lally. Możesz równie dobrze zacząć korzystać z pewnej władzy już teraz. Obecność kobiety solidnie potrząśnie tymi nadętymi głupcami z zarządu. Przez jakiś czas będą traktować cię protekcyjnie, jak małą kobietkę. Ale poradzisz sobie z nimi. Zabrałem cię z firmy Susie, więc muszę dać coś w zamian.

- Nie zabrałeś mnie z firmy. Po prostu zdecydowałam, że wolę pomieszkać z wami w Pellham.

Było to kłamstwo, ale ojciec nie zakwestionował jej słów. Została w smutnym i odludnym domu, ponieważ rodzina jej potrzebowała. Niechętnie i z pewną obawą przyjęła miejsce w radzie, do której Czarny Jack ją powołał. Natknęła się rzeczywiście na uprzedzenia i protekcyjność ze strony pozostałych członków.

Studiując sumiennie raporty finansowe, Lally myślała z tęsknotą o dniach, kiedy pracowała z Susie. Jej miejsce w firmie panny Barlow zajęły teraz dwie kobiety. Susie odwiedzała Pellham Langley, kiedy tylko mogła. Wydawała

się wnosić świeży powiew witalności i entuzjazmu do domu Pollocków. Lally nie mogła się wprost doczekać jej wizyt. Susie przywoziła niespodzianki dla chłopców a dla Lally wiadomości ze świata, który wydawał się już utracony.

Edith słuchała rozmów, zwykle leżąc na szezlongu i wpatrując się w rozciągnięte za oknem wrzosowiska. Często była zmuszona pozostawać w swojej sypialni przez cały dzień. Artretyzm w biodrze utrudniał jej poruszanie się. Nie porzuciła jednak roli pani domu. Wszystkie zarządzenia dotyczące gospodarstwa wydawane były z jej pokoju. Nawet gdy doskwierał jej ból, Edith co wieczór zmuszała się, by się przebrać do obiadu i zejść na dół. Zdaniem Lally, starsza pani wyglądała elegancko jak zawsze, ale na jej twarzy dawały się dostrzec

470

bruzdy wyłobione przez cierpienie. Czarny Jack zainstalował dla żony małą windę. Nadal największą radość sprawiało mu towarzystwo Edith. Sprowadzał najlepszych londyńskich krawców, by zajmowali się jej garderobą. Proste fasony od Susie nie nadawały się dla lady Pollock.

Stary Billings już prawie całkowicie wycofał się z prowadzenia domu. Zatrzymał sobie jedynie przywilej zarządzania piwnicą win. Całe dni spędzał w swoich pokojach, schodząc czasami do skrzydła kuchennego, by poczęstować kieliszkiem dobrego wina Pickeringa, który przejął obowiązki kamerdynera. Czarnemu Jackowi brakowało Billingsa i często odnosił się w szorstki sposób do Bogu ducha winnego Pickeringa. Edith starała się łagodzić napięte stosunki. Wiedziała bowiem, że po długich, wspólnie spędzonych lotach nikt Billingsa nie mógł, zdaniem Czarnego Jacka, zastąpić. Młodszy chłopcy byli niesforni i żywi. Nadawali staremu domostwu pozory wesołości. Nie wystarczało im towarzystwo wychowawcy, więc Lally starała się dostarczyć im wszelkich możliwych rozrywek. Czarny Jack nie robił dla synów Brocka żadnych planów. Czekał na decyzje, wskazówki. „Kiedy tata wróci...” rozbrzmiewało w Pellham równie często co „Kiedy Brock wyjdzie...” Wszyscy oczekiwali tego wydarzenia z niecierpliwością, a jednocześnie z pewnym niepokojem. Przyjazd Brocka oznaczałby zmiany. W życiu całej rodziny.

Osobą, która najwięcej mówiła o Brocku, była Alice. Codziennie pytała, czy wkrótce go zobaczą. Ciągłe prosiła Lally, by w jej imieniu pisała do Brocka, że za nim tęskni i chce z nim wrócić do domu na plażę. Lally nigdy tego Brockowi nie przekazała. Kilka krótkich listów adresowanych do Alice było już niemal w strzępach od ciągłego otwierania i składania. Alice potrafiła powtórzyć je, słowo po słowie, z pamięci.

Lally nie była pewna, co Brock sądził o przedstawionych mu raportach, dotyczących śmierci Margaret. Jej ciało zostało wyrzucone na plażę prawie tydzień po odnalezieniu Alice samotnie żeglującej na „Fancy”. Raport patologa stwierdzał rany powstałe od uderzenia w tył głowy ciężkim przedmiotem, takim jak bom żagłówki lub wiosło, ale bezpośrednią przyczyną śmierci było utonięcie.

Alice spędzała dni w swoich pokojach w Pellham Langley i nigdy, ani przez chwilę, nie zostawała sama. Trzy pielęgniarki pilnowały jej przez całą dobę i nawet członkowie rodziny nie widywali Alice bez dozoru. Czarny Jack wydał wyraźne instrukcje, zgodnie z którymi żaden z chłopców nie mógł nigdy zostać sam w towarzystwie chorej. Nie wytłumaczył swego zarządzenia, ale wszyscy rozumieli powody. Alice całymi dniami słuchała płyt gramofonowych, a co wieczór pojawiała się na obiedzie. Pielęgniarka czekała w hallu. Alice niewiele mówiła, poza powtarzającymi się pytaniami o Brocka. Niedostatecznie pobudzane jej procesy myślowe zdawały się coraz bardziej mroczne i mętne.

- Byłoby jej lepiej w klinice - raz jeszcze zaproponował lekarz. - Miałaby więcej towarzystwa, kontakt z fachowcami, którzy potrafiliby obudzić w niej jakieś zainteresowania.
- Nigdy nie oddamy Alice do szpitala psychiatrycznego - powtórzył Czarny Jack. - Może pan to nazwać starym uporem, ale wierzę - zawsze wierzyłem - że życie w otoczeniu rodziny jest dla Alice najlepsze. Winię się za problem-
344

my, które wynikły przy narodzinach mojej córki. Nie chcę, by jeszcze dodatkowo została za to ukarana.

- Gdyby tylko wyrzuciła to z siebie - westchnęła kiedyś jedna z pielęgniarek - Jest zamknięta w przeszłości. Mogłoby jej pomóc, gdyby zaczęła mówić... Lekarze twierdzą, że to niezbedne. Ale ona, biedactwo, każdego dnia staje się coraz bardziej milcząca. Strasznie to przeżyje, kiedy chłopcy wrócą do Ameryki. Wydaje się rozumieć, że w końcu pojedą do swego ojca. Ale nie mam odwagi przygotowywać Alice na to wydarzenie. Nie chcę jej przedwcześnie niepokoić. Ona uwielbia pana Weymoutha.

- I on też ją kocha - powiedziała Lally. Ale me była całkiem pewna, czy nie powinna użyć czasu przeszłego. Mieli przed sobą jeszcze rok, może trochę mniej, zanim Brock przyśle po Dana i Sammy'ego. Kilka ostatnich miesięcy wyroku zapewne zostanie umorzony. A co potem?

Jeszcze do niedawna można było przewidzieć, jak dalej potoczą s« losy chłopców. Brock znalazłby dla Dana i Sammy'ego podobny do Whytechffe dom w odpowiednim dla ich przyszłej pozycji otoczeniu. Zostaliby wysłani do najlepszej szkoły, potem do Haryardu lub Yale. Byłaby też mowa o kilku latach w Oksfordzie, by umocnić ich angielskie korzenie. Młodzi Weymouthowie wiedliby typowe życie synów bogatego człowieka. _

Ale minęło dopiero kilka tygodni, odkąd notowania na nowojorskiej giełdzie runęły z hukiem, który wstrząsnął światem. Codziennie Lally czytała o spadających cenach i obserwowała zmiany na rynku londyńskim i rynkach światowych. Już nie tylko wiek i choroba powodowały, że ręce drżały Czarnemu Jackowi gdy rano otwierał „Timesa” . . .

- Kryzys szerzy się jak pożar, Lally - mówił z przerażeniem. - Ledwie mam odwagę o tym czytać. Nigdy nie myślałem, że będę musiał przywyknąć do biedy.

- Nasz kraj jest ubogi już od dłuższego czasu, ojczy, przynajmniej od zakończenia wojny.

- Wygląda na to, że krach będzie się pogłębiać - odpowiedział Czarny Jack - Kto kupi nasze tkaniny i węgiel? Ameryka zaoferuje najniższe ceny i zdominuje europejski rynek zbytu. Wierzysz w te historie o samobójstwach amerykańskich finansistów? Znam niektóre z tych nazwisk. Z całą pewnością prasa nie mogła tego wymyślić!

- Brock często mówił, że to bogactwo zostało wzniesione na papierze. A papier nie wydaje się pewnym materiałem.
- Właśnie Brock? Co on zrobi? Był jednym z najzręczniejszych maklerów. Jeśli wszystko ulokował w papierach, to i jego fortuna przepadła.
- Tak, tak podejrzewam. Przypuszczam, że jest... że jest teraz biedny - zastanowiła się Lally.
- Nie watpilbym w to. Dlaczego miałaoby mu się udać? Wszystko, co miał, jestem pewien, lokował w akcjach.
- Nagle twarz Czarnego Jacka rozjaśniła się. - Może... może w tej sytuacji zechce zostawić Dana i Sammy'ego z nami.
- Nie wydaje mi się. Nawet gdyby Brock musiał kopać rowy, chciałby mieć synów przy sobie.

473

- Ale oni są też dziećmi Margaret. Nie zniósłbym myśli, że byliby pozbawieni dobrobytu.
- A czy my możemy zapewnić im dobrobyt, ojcze? Teraz?
- Damy radę. Jakoś damy radę. Złóża węgla nie wyczerpały się. Fabryki wciąż pracują. Kiedy wrócą dobre czasy - a wrócą, Lally - fabryki zwiększą produkcję tkanin. Ludzie zawsze potrzebują odzieży i węgla. Mam trochę gotówki, która pozwoli nam przetrwać. To nie to samo, co kruchy papier.

Ale nie był to jeszcze czas, by oszacowywać skutki krachu na nowojorskiej giełdzie. Fabryki, i tak już pracujące poniżej możliwości, zaczęły mieć kłopoty ze zbytem. Kopalnie mogły dostarczyć dowolną ilość węgla, lecz nowych zamówień nie było. Lally wraz z Czarnym Jackiem uczestniczyła poprzedniego dnia w zebraniu rady wszystkich dyrektorów. Czarny Jack wyglądał jak schorowany starzec, kiedy prowadził to pierwsze od swojego powrotu z Ameryki zebranie rady w pełnym składzie. Jego głos brzmiał posepnie.

- Nie zmniejszymy ani nie wstrzymamy zapłaty naszym robotnikom i górnikom tak długo, jak zdołamy. Będziemy na razie gromadzić zapasy z nadzieją, że krach jest tylko chwilowy. Spotkamy się ponownie, zanim podjęta zostanie decyzja o zamknięciu któregoś z przedsiębiorstw. Możemy jedynie naśladować to, co robi reszta świata. Musimy przetrwać. W razie zwolnień, będziemy wypłacać możliwie wysokie odszkodowania. Ale nie przestaniemy działać. - Podniósł głowę. Na jego twarzy pojawił się przeblask dawnej energii. - Nadal oczekuję od panów, że będziecie dbać o interesy naszych przedsiębiorstw. Pol-lockowie nigdy nie chowali głowy w piasek, czekając, aż kryzys minie. Trzeba wyjść kłopotom naprzeciw. Nawiązywać nowe kontakty i odnawiać dawne. Będziemy potrzebowali wszystkich naszych przyjaciół

Ani Czarny Jack, **ani** nikt inny w tym pokoju, nie potrafił jeszcze przewidzieć stopnia kryzysu w następnych latach.

- Możemy być tylko zadowoleni, panowie... - Nagle przypomniał sobie

O obecności Lally - i pani, pani Pollock, że nie mamy żadnych zaległych długów. Jesteśmy wypłacalni i przetrwamy. Przetrwać. Lally wpatrywała się w smukłe linie kominów fabrycznych. Wiele z zakładów przemysłowych od czasów wojennej hossy musiało o połowę zmniejszyć produkcję. Lally przewertowała księgi zamówień. Nie wydawało jej się możliwe, żeby spadek cen w Nowym Jorku mógł tak znacznie zmniejszyć popyt na produkty przemysłu włókienniczego z Yorkshire czy z Lancashire. Ich wełny

1 bawełny były przecież w najlepszym gatunku. Ludzie nadal będą potrzebować ubrań i węgla, pocieszała się. A noże, widelce i łyżki z Sheffield cieszą się zasłużoną renomą na całym świecie. Wielka Brytania wciąż była centrum imperium, czyż nie? To tutaj surowce przetwarzano w gotowe dobra, które znajdowały zbytnie w różnych zakątkach imperium. Ale jeśli rynek zbytu stanie się mniej chłonny? Albo jeśli to prawda, że czas imperium dobiega końca, jak

głoszą plotki? Jeśli całkowicie bezcelowe były cztery lata wojny i śmierć dziesięciu milionów ludzi. Czy możliwe, żeby imperium zaczęło upadać? Stany Zjednoczone też zdawały się chylić ku upadkowi w tych ostatnich tygodniach. Nagle przed oczyma Lally

346

zaczęły przesuwać się twarze zmarłych, nie kończący się korowód zmarnowanych ludzkich istnień. Raz jeszcze w uszach zabrzmiał huk wielkich dział. Kończyła się dekada, w ciągu której starali się zapomnieć o zmarłych, o ofiarach i cierpieniu. Dekada, kiedy tańczyli do utraty pamięci w rytm wciąż szybszej i głośniejszej muzyki i bogacili się jeden przez drugiego.

Działa w wyobraźni Lally ucichły. Zamilkła też muzyka. Jedyne wiatr świstał wśród skał i wrzosów, jak zawsze.

- Wszystkiego najlepszego, Lally.

Nie odwróciła się w obawie, że to tylko wywołane tęsknotą złudzenie. Ale znajomy głos znów się odezwał.

- Dziś przecież jedenasty listopada.

Powoli, jakby z trudnością, jeszcze nie wierząc własnym oczom i uszom, podniosła się i padła mu w ramiona.

- Och, Brock! Nie zapomniałeś. I ja zawsze pamiętam o czwartym lipca.

Stała tak, tuląc się do niego i wdychając zapach tweedowego garnituru przesiąkniętego dymem papierosów. To był naprawdę Brock. Brock we własnej osobie. Teraz mogła uwierzyć... Uwierzyć w co? Nie wiedziała.

- Co się stało? - zapytała. - Jak się wydostałeś? Miałeś jeszcze rok. Łagodnie oderwał jej zaciśnięte palce.

- Pozwolisz, że usiądziemy na chwilę, Lally. Więzienie nie utrzymuje człowieka w dobrej formie. Nie grywa się tam w tenisa. Strasznie się zadyszałem, wspinając nad wodospad. Wiesz, nie jestem już młody. W lipcu obchodziłem tam pięćdziesiątkę.

Pociągnęła go na skałę obok siebie.

- Opowiedz mi, opowiedz wszystko.

Irytująco powoli zapalał papierosy dla nich obojga, ftraz miała okazję przyjrzeć się Brockowi uważniej. Chyba zeszczuplał, ale on zawsze był szczupły. Czyżby ramiona zaczynały mu się trochę pochylać? I czyż nie mówiono, że ludzie w więzieniu zawsze są bladzi? Włosy miał starannie ostrzyżone, paznokcie zadbane. Ale linie wokół jego ust pogłębiły się, jakby stwardniały. Patrzył na nią chłodnymi, ciemnobrązowymi oczami. Czy to możliwe, że były teraz chłodniejsze, prawie zimne?

- Opowiedzenie ci wszystkiego zajmie ze dwa lata, jeśli masz czas słuchać. Ale chociaż zacznę. Wyszedłem, Lally, ponieważ wiem jak się zachowywać w więzieniu. Pozwolili mi pracować w bibliotece. To naprawdę niezłe zajęcie.

Prawie mi się spodobało. Miałem mnóstwo czasu na czytanie. Zacząłem nawet doradzać naczelnikowi więzienia w sprawie jego inwestycji. Po cichu, oczywiście. Nie pomogłoby mu to w karierze, gdyby widziano go za pan brat ze znanymi kryminalistami. On właśnie zamówił tych kilka książek ekonomicznych ponad to, co bibliotekarz uznał za niezbędne minimum. Podejrzewam, że byłem jedynym ich czytelnikiem. Książek i drugiego egzemplarza „Wall Street Journal”, który dostarczano do biblioteki każdego dnia.

- Wiedziałem, że komisja zwolnień warunkowych okaże się dla mnie wyrozumiała. Pozwolili mi nawet opuścić kraj, pod warunkiem, że będę meldować

476

się brytyjskiej policji. W końcu moi dwaj mali synowie są tutaj. Myślę, że to ze strony władz bardzo przyzwoicie.

- Brock, cyganisz jak zawsze. W jaki sposób dostałeś się tutaj? Dlaczego nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz?

- Nie byłem pewien, Lally. Naprawdę nie byłem pewien, jak mnie przyjmiecie.

- A co sobie wyobrażałeś? Czekaliśmy i czekaliśmy. Czekaliśmy na ciebie każdego dnia. Nikt z nas nie wiedział, co myślisz o... o Margaret. Co myślisz o Alice. Wszystkie twoje listy poświęcone były finansom. Co chłopcom należy załatwić ... i tak dalej. Nie wiedzieliśmy nic o tobie.

- Słuchaj, Lally. Zabiłem człowieka. Zabiłem niewinnego człowieka, bez sensu, w zaślepieniu. Ściągnąłem na waszą rodzinę kłopoty. Straciłem Margaret. Byłem odpowiedzialny za zatrudnienie w swojej posiadłości tego bydlaka, który skrzywdził Alice. Skąd mogłem wiedzieć, jak mnie osądzicie? Och, byliście tacy wyrozumiali przez te miesiące, kiedy czekaliśmy na proces. Powtarzaliście, że zabiłem, bo kocham Alice i nie mogłem znieść świadomości, że bestialsko ją skrzywdzono. Ale co naprawdę myśleliście? Wiadomość o ataku serca Czarnego Jacka była chyba gorsza niż ta o Margaret.

- Gorsza?

- Margaret zawsze tańczyła nad przepaścią. Ludzie mówili, że Alice jest szalona, ale szaleństwo Margaret było rozmyślnie. Właśnie szaleństwo Margaret mogło spowodować jej śmieć. Mogła to być też Alice. Moim zdaniem jednak, Alice miała większe prawo, by żyć.

Lally odsunęła się, zaszokowana.

- Nie wierzę ci! Zawsze uwielbiałeś Margaret.

- Kiedyś, tak. To było jedynie szaleństwo mego życia, zanim nie zabiłem Marka Shawa. Tamtej nocy w Neatherby popełniłem błąd. Nie chodzi mi o wzięcie na siebie winy za Margaret. Myślałem jednak, że akceptacja tej sytuacji przez Margaret równoznaczna jest z obietnicą. Ale ona nigdy mi żadnej obietnicy nie dała. Nikt nie spytał jej, czy naprawdę chce za mnie wyjść, a ja po prostu przyjąłem, że mam do niej prawo. Możliwe, że przez wszystkie lata naszego małżeństwa wiła się w pułapce. Powinienem był pozwolić jej odejść, ale mogłaby wpaść w coś jeszcze gorszego. Kiedy zdałem sobie sprawę, w co tę kobietę przemieniłem, poczułem, że moim obowiązkiem jest chronić ją w każdy możliwy sposób. Kochałem więc Alice i wypełniałem obowiązek wobec żony, którą kiedyś uwielbiałem. Margaret rozumiała tę grę. Pragnęła być otoczona opieką i adorowana. Wieczna zabawka. Gdybym pozwolił jej dorosnąć, mógłbym naprawdę ją pokochać. Może kochałem Alice, ponieważ ona nie mogła dorosnąć. Utknęła w wiecznym dzieciństwie. I dała mi swoją miłość bez pytania, bez wahania. Zabiłem Marka Shawa, bo sądziłem, że

zbezcześcił jedyną czystą i niewinną istotę jaką znałem. Człowiek, który ją skrzywdził musiał umrzeć. Tak wtedy czułem. Straciłem panowanie nad sobą i zabiłem niewłaściwego człowieka.

Nawiasem mówiąc dostałem pewną informację jeszcze w więzieniu. Człowiek, który naprawdę napadł Alice, nie żyje. Umarł w paskudny sposób. Pół

478

światek nie akceptuje atakowania czy zabijania kobiet i dzieci. Tam się czeka, aż chłopcy staną się mężczyznami, a kobietom daje się spokój, o ile nie są dziwkami.

- Więc jednak miałeś powiązania z... z półświatkiem? Zawsze mówiono...

- Tak, zawsze mówiono. Większość z tego, co słyszałaś to plotki. Ale jest w tym i trochę prawdy. Dużo więcej pieniędzy zdobyłem na giełdzie niż na przemyśle whisky. Nie liczyłem się, Lally, jako konkurent w ocenie gangów. Ale działałem za ich zgodą. Gdyby chcieli, wyeliminowaliby mnie. Dorastałem w brutalnym świecie, Lally. Znałem niektórych z tych ludzi w czasach, kiedy byłbym zaszczycony mogąc czyścić im buty. Stare znajomości bywają użyteczne. Pomogłem puścić trochę pieniędzy z przemytu na legalne rynki. Ufali mi. Ale wiedzieli, gdzie wyznaczyłem granice. Ktoś taki jak Margaret, Czarny Jack czy Edith nie mogli mieć kontaktu z półświatkiem. Nawet gangsterzy mają swój własny kodeks moralny. To dlatego Gambini umarł tak paskudnie. Złamał pewne normy.

Lally siedziała nieruchomo, próbując zrozumieć wszystko, co usłyszała. Co on powiedział o Margaret? „Gdybym pozwolił jej dorosnąć, mógłbym naprawdę ją pokochać”. Wreszcie udało jej się odzyskać głos.

- Widziałeś raport koronera? O Margaret? Co o tym sądzisz? Myślisz, że Alice mogła to zrobić? Czy to był wypadek? Albo czy Margaret.

- Wybierz co chcesz, Lally. Dowolne rozwiązanie. Prawda nie ma dla mnie znaczenia. Jeśli Margaret zdecydowała się odejść, był to jej wybór. Ale w ten sposób o mało nie zamordowała Alice, zostawiając ją samą w łodzi. Jeśli, a to tylko domniemanie, Alit-, ogarnęła nagle mordercza furia, to może Margaret zasłużyła na tę wściekłość. Alice mogła przerazić się długim rejsem, o którym opowiadała jej Margaret. A jeśli to był wypadek... Cóż, mówiono mi, że jest taka istota - naprawdę, nie wiem, czy powinienem powiedzieć osoba - nazywana Bogiem, wszechmocna siła, która działa w niepojęty i nieprzewidywalny sposób. Obojętnie z jakiej przyczyny, dla Margaret długie przyjęcie skończyło się.

- Masz to wszystko już przemyślane, prawda? Mówisz o Margaret zupełnie beznamiętnie.

- Tak, tym razem jestem spokojny. W więzieniu miałem wiele czasu na myślenie. Kiedy siedziałem w Hull dręczyło mnie pragnienie posiadania czegoś, czego nie mogłem kupić za żadne pieniądze. Dlatego moja decyzja była mylna. Tym razem miałem długie noce. Nie śpię najlepiej w zaduchu więziennej celi. Dużo myślałem.

- Więc dlaczego przyjechałeś? Dlaczego przyjechałeś do Pellham? Mogłeś przysłać po chłopców. Oczekiwaliśmy, że tak zrobisz.

- Musiałem odnaleźć drogę powrotu. Musiałem znaleźć drogę powrotu do cywilizowanego świata, do miejsca, gdzie mógłbym znaleźć spokój. - Chwycił ją za ramiona, jakby u niej szukając siły. - Myślisz, że nie dręczy mnie, że zabiłem Marka Shawa? Biednego, astmatycznego, charczącego faceta, który prawdopodobnie miał więcej odwagi, niż kiedykolwiek zdołam sobie wyobrazić. W końcu walczył w okopach. Ja bym się odwrócił i uciekł jak tchórz. Pamiętasz... Ja widziałem, kto wytrzymywał w okopach. Nie byli to ludzie pokroju

349

generałów, którym służyłem... Zabiłem przyzwoitego człowieka... Wierzę, że honorowego człowieka. Tak, to mnie bardzo dręczy.

- Nigdy się z tego nie zwierzyłeś. Ani słowa. Pisałam do ciebie. Nie dałeś żadnej odpowiedzi, która choćby sugerowała, co myślisz i czujesz.

- Co mogłem napisać? Jakimi słowami? Słowa inaczej wyglądają na papierze. Nie mogłem zestawić swoich uczuć jak rzędu cyfr. Pewnie myślisz, że wszystko, do czego jestem zdolny, to dodawać, liczyć. Robiłem, ile w mojej mocy dla chłopców i przygotowywałem się do chwili, kiedy mnie wypuszczą.

- Teraz wyszedłeś. Zobaczyłeś chłopców i co dalej?

- Nie, nie widziałem ich jeszcze.

- Nie widziałeś... nie widziałeś Dana i Sammy'ego? Nie widziałeś Czarnego Jacka... ani Edith? Dlaczego? Jak mnie tu znalazłeś?

Ostrożnie zgasił papierosa.

- Pamiętam wiele rzeczy, Lally, równie dobrze jak datę twoich urodzin. Przyjechałem taksówką z Leeds, ale wysiadłem koło stajni. Potem skreśliłem parę słów do Billingsa. Staruszek, chociaż rzadko opuszcza swój pokój, wie gdzie przebywają wszyscy domownicy... albo gdzie powinni przebywać. Był jedyną osobą, która tak naprawdę utrzymywała mnie w kontakcie z rodziną. Długie listy co miesiąc. Nie zostawało mi wiele pytań do zadania. Od niego wiedziałem, co działo się w Pellham. Widział, dokąd poszłaś albo się domyślił. Obaj domyśliliśmy się. Więc bez trudu znalazłem cię.

- Ale... dlaczego?

- Jesteś pierwsza, Lally. Resztę rodziny noszę w sercu, ale ty jesteś pierwsza.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Boże, ależ trudno to wyjaśnić. Chcę od ciebie wszystkiego. Chcę, żebyśmy pozostali tacy, jacy zawsze mieliśmy być. Ty i ja, Lally, nie mamy nazwisk. Do nikogo nie należymy. Ale możemy należeć do siebie nawzajem. Czyż Czarny Jack nie nadał ci imienia? Lally Leeds? A jakiś facet w cylindrze nazwał mnie Brocktonem Weymouthem. Nic więcej o sobie nie wiemy. Jesteśmy tacy, jakimi siebie uczyniliśmy. Ludźmi, którzy wiele życia widzieli. Nadal to czujesz, Lally? Zapach biedy?

- Skąd wiesz?!

- Bo przeżywałem te same lęki. Jesteśmy podobni. Należymy do siebie. Musieliśmy tylko poczekać, aż szaleństwa naszych poprzednich miłości nas opuszczą.

- Moja miłość nie była szalona. Ja naprawdę kochałam Jona.
 - Wiem, że go kochałaś. Wiem jak bardzo. Zazdrościłem mu tego. Nie mogę oczekiwać, żebyś i mnie kochała tak bardzo, Lally. Proszę tylko o miejsce w twoim sercu.
- Zawsze o tym wiedziała. Zawsze był jej najbliższy. Radowała się jego szczęściem, opłakiwała z nim jego klęski. Zawsze, od pierwszego dnia.
- Delikatnie odwrócił ją ku Pellham Langley, a potem w stronę kominów fabrycznych.
- Widzisz to wszystko? Tak dużo tego. Zbyt wiele odpowiedzialności.
 - Skąd wiesz, że właśnie tym się martwię? Nigdy nawet nie napisałeś do mnie.

481

- Nie odważyłem się pisać. Nie potrafię wpłynąć na ciebie. Jesteś inna. Nieprzekupna. Nie znęciłyby cię żadne pieniądze. Żadne obietnice lepszych czasów. Żadne zabezpieczenia ani udziały. Dlaczego bałem się wracać do Pellham? Właśnie z twojego powodu.
 - Co ty mówisz? - jej głos brzmiał równie chłodno jak przed chwilą.
 - Pobierzmy się, Lally! Dopełnijmy tego, co musiało się stać. W imię Lally Leeds i Brocktona Wymoutha, które w ogóle nie są imionami. Zawrzemy ten związek?
 - Tak. - Zabrzmiało to zupełnie zwyczajnie, jakby czekała na to słowo od dłuższego czasu.
- Nie pocałował jej nawet. Na pocałunki miał przyjść czas później. Podnieśli się.
- Coś innego chciałem ci jeszcze powiedzieć, ale to sprawa drugorzędna. Kiedyś nie miałyby znaczenia. Uznałabyś pieniądze za rzecz oczywistą. Ale teraz muszę o tym wspomnieć. Jakies pięć miesięcy temu wycofałem się z giełdy. Wiele czytałem w tym cholernym więzieniu. Wiedziałem, że gra zaczyna się robić niebezpieczna dla nas wszystkich. A może to było swędzenie w palcach. Instynkt, który posiada każdy urodzony hazardzista. Wycofałem się z rynku. Sprzedałem wszystko. Przy najwyższych cenach. Więc teraz mam do zaoferowania tobie i Czarnemu Jackowi pewien kapitał i trochę doświadczenia. - Skinął głową w stronę kominów. - Nie wiem, kiedy znowu wszystkie będą dymić. Może potrzeba kolejnej wojny, by pracowały pełną parą. Ale któregoś dnia uda nam się. Tymczasem, mam odłożony zapasik whisky, legalnie w magazynach w Kanadzie, na wypadek końca prohibicji. To już niedługo nastąpi. I mam zamiar nabyć prawdziwą posiadłość. Ziemię. Po najniższych rynkowych cenach. Kupuję wszystko co trwałe, co zabezpieczy nam przyszłość.
 - Nigdy się nie zmienisz, Brock. Zawsze coś planujesz. Zawsze kalkulujesz...
- Zaczęli już schodzić w dół wodospadu. Brock zatrzymał ją jeszcze na chwilę.

- Tak, kalkuluję, jeśli chcesz tak to ująć. Ale moje kalkulacje się zmieniły. Najpierw przyszedłem do ciebie, potem do swoich chłopców. I tym razem nie mam potrzeby wracać i udowadniać, że potrafię się wybić w Ameryce. Nie mógłbym zabrać stąd was wszystkich. Nie potrafiłbym zostawić Czarnego Jacka i Edith samych. Ani Alice. David, Dan i Sammy będą dorastać tak, jak dorastałby Jonathan. I chcę, żebyś ty była ze mną. - Stworzymy dom. Myślisz, że Czarny Jack odda mi ciebie?

- Jeśli go poprosisz. Grzecznie. Uśmiechnął się szeroko.

- Do diabła, Lally. Wiesz, dlaczego do ciebie nie pisałem, poza tymi głupimi listami o finansach? Bałem się, że uznasz, iż musisz na mnie czekać. Jakiś rodzaj zobowiązania. A ja pragnąłem cię znaleźć na swój sposób. Ufając Bogu, że wciąż masz dla mnie trochę miejsca w swoim życiu. Ale nie egzekwując od ciebie żadnej obietnicy. Nie chciałem, żebyś próbowała wynagrodzić mi... Zrozum, Lally! To nie ma związku z dziećmi, ani z Czarnym Jackiem, ani z Alice. Nie wróciłem, by ratować fabryki i kopalnie. Gdybyśmy byli tylko ty i ja tutaj,

351

na szczycie świata, bez niczego, bez pensa przy duszy, bez korzeni - zawsze pamiętaj, że żadne z nas nie ma nazwiska - pragnąłbym życia tylko dla ciebie i dla mnie. Nie zaznasz ze mną wielu niespodzianek. Nie jestem zdolny do silnych emocji. Czy to ci wystarczy, Lally? Skinęła głową.

- Tak.

Brock ruszył pierwszy. Schodzili po skałach przy wodospadzie, śliskich od przywiewanych wiatrem bryzgów wody. Niedawny deszcz przemienił wodospad w rwący z hukiem potok. Lally stąpała niepewnie. Nagle poczuła podtrzymującą ją rękę Brocka.

- Nie słyszałaś, co powiedziałem?

- Co? - krzyknęła.

- O dzieciach. Będziemy mieć dzieci, Lally, prawda?

Spojrzała mu z góry w twarz. Za jego plecami unosiło się Pellham Langley, ogromny dom, zagubiony prawie zupełnie w wieczornym cieniu. Z kominów płynął dym. Ogrody schowały się za ochraniające je żywopłoty. Świat Pellham Langley leżał u jej stóp, ale widziała go inaczej. Przypomniała sobie, jak dawno temu Jon obiecywał, że zapełnią wszystkie te pokoje dziećmi. Zmysły Lally obudziły się. Spoglądała na twarz Brocka teraz i duch Jona nie wszedł między nich. Te dzieci, o których marzyła, będą inne. Nie wnuki Czarnego Jacka, ale synowie i córki. Jej dzieci. Dzieci nowej, niepewnej epoki. Życie tych dzieci rozegra się po obu stronach Atlantyku, ale jego źródło pozostanie tutaj, w miejscu, które pierwsze dało jej schronienie i ukojenie. Gdzie ongiś mała Lally Leeds przemówiła. Być może tylko Brock, jedyny na całym świecie potrafił pojąć te uczucia.

Popatrzyła na niego i zeskoczyła mu prosto w ramiona. Aż zatoczył się pod jej ciężarem. Lally czuła krople pryskającej wody na czole i policzkach. Oplotła jego kark ramionami.

- Tak, będą dzieci. I obiecuję ci dużo więcej niż tylko dzieci.

- Kocham cię, Lally.